

**Rita Monaldi & Francesco Sorti**

# **Veritas**

## Od Autorów

Wszelkie odniesienia do miejsc, osób i faktów - choć mogą wydać się dziwne - NIE są wytworem naszej fantazji i zostały zaczerpnięte ze źródeł z epoki. Jeśli łaskawy Czytelnik wątpi w prawdziwość tego, co czyta, proszony jest o zapoznanie się z materiałami źródłowymi i bibliografią dołączoną na końcu książki, gdzie znajdzie udokumentowane wyjaśnienia. Przeszukiwanie archiwów jest pasjonującym zajęciem, można bowiem natrafić na prawdziwe osobliwości Historii. Gdyby nie były prawdziwe, należałoby je uznać za niewiarygodne.

„Już nie między Trojany i Greci bój srogi, Lecz się Greci na same porywają bogi”.

Homer, *Iliada*, księga V, wiersze 381-382, przeł. Franciszek Ksawery Dmochowski

„Zeus pokolenie też inne - spiżowych ludzi - na świecie Stworzył z jesionu, gwałtowne i silne, srebrnemu już przecie W niczym nierówne; bo ono jedynie w krwawe wyprawy, Wojnę i przemoc wierzyło, ze zboża nie jedząc potrawy”.

Hezjod, *Prace i dni*, wiersze 143-146, przeł. Wiktor Steffen

### Wstęp

W dużej sali połyskują w blasku świec brązowe okucia sprzętów i woluty. Opat Melani każe na siebie czekać, po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat, odkąd się znamy.

Do tej pory zawsze przybywał przed czasem, czekał więc na mnie, przytupując nogą na znak zniecierpliwienia. Tym razem to ja wpatruję się w drzwi, których surowy, monumentalny próg przekroczyłem ponad pół godziny temu. Na próżno wsłuchuję się w wycie wiatru pędzącego tumany śniegu i skrzypienie otwartych drzwi, nie słysząc ani turkotu czarnego powozu, ani parskania koni w ozdobnej uprzęży. U stóp schodów, rozjaśnionych światłem pochodni, czterej starzy lokaje, owinięci płaszczami przyprószonymi śniegiem, wyglądają swojego pana, aby po raz ostatni otworzyć przed nim drzwiczki i pomóc mu wysiąść.

Czekając na opata, rozglądam się po sali. Wokół mnie mnóstwo dekoracji. Z arkad zwieszają się chorągwie z wyszytymi złotą nicią napisami, ściany pokrywają brokatowe tkaniny, honorową galerię tworzą nakrapia-ne srebrnymi kroplami woale. Drogę do platformy pod baldachimem przypominającej ściętą piramidę z sześcioma lub siedmioma stopniami, otoczoną potrójnym rzędem kandelabrow, wyznaczają kolumny, łuki i filary ze sztucznego marmuru. Na platformie dwie skrzydlate istoty ze srebra, klęczące na jednym kolanie, z rozłożonymi ramionami zwróconymi ku niebu, zdają się na coś czekać.

Cztery ściany baldachimu zdobią pędy mirtu i bluszczu. Na każdej z nich widnieje herb szlacheckiego weneckiego rodu, z przedstawieniem świnki na zielonym tle, utworzony ze świeżych kwiatów, sprowadzonych zapewne prosto ze szklarni w Wersalu. W rogach płoną pochodnie, zatknięte na wysokich, srebrnych trójnogach, z takim samym herbem.

Na przekór okazałości *castrum* [\* Patrz: *Objaśnienia fragmentów łacińskich* na końcu książki (przyp. red.)], katafalku, i przepychu dekoracji wokół mnie jest niewiele osób. Oprócz muzyków (którzy zajęli już miejsca i wyjęli instrumenty z futerałów) i lokajów (ze świeżo ogolonymi twarzami, stojącymi sztywno niczym posągi, dzierżąc w dłoniach pochodnie) w czarno-czerwonych, złocistych liberiach, dostrzegam jedynie zubożałych arystokratów o zawistnym spojrzeniu oraz robotników, służących i plotkarki, którzy pomimo późnej pory i mrozu spoglądają dokoła z zachwytem, oczekując konduktu.

Kiedy tak na to patrzę, ożywają wspomnienia. Choć na zewnątrz, tuż za progiem, panuje mroźna, paryska noc, po opustoszałym, zasypanym śniegiem placu Zwycięstwa hula tramontana, lodowaty wiatr z północy, i owiewa konny posąg króla, ja wracam myślą do łagodnych zboczy siedmiu wzgórz Wiecznego Miasta, szczytu Janikulum i upalnego lata sprzed wielu, wielu lat, kiedy w otoczeniu innej arystokracji, na tle lekkiej architektury z kartonu, w towarzystwie muzyków szykujących się do innego wydarzenia i lokajów rozświetlających pochodniami inną scenę, obserwowałem przyjazd pewnej karety do willi Spada.

Jakże dziwne bywają koleje losu! Wówczas nie zdawałem sobie sprawy, że w tej karecie znajduje się opat Melani, którego nie widziałem od siedemnastu lat. Teraz natomiast mam pewność, że za chwilę przybędzie, choć nie widzę jeszcze jego powozu.

Ocknąłem się z zamyślenia, gdy potrącił mnie niechcący jeden z muzyków schodzący ze sceny. Spojrzałem w górę na napis *Obsequio erga Regem*, wyszyty złotymi literami na chorągwi z czarnego aksamitu ze srebrnymi frędzlami, zdobiącej wysoką kolumnę ze sztucznego porfiry, w prostym stylu, wznoszącą się na wprost mnie. Po przeciwnej stronie dostrzegam drugą, podobną kolumnę, ale napis jest zbyt daleko, abym mógł go odczytać.

W ciągu całego mojego życia tylko raz uczestniczyłem w podobnej uroczystości. Wtedy także była zimna noc i padał śnieg, a może deszcz, dokładnie nie pamiętam. Z pewnością zimno, deszcz i ciemność wypełniały moją duszę.

Wówczas kto inny spoczywał w trumnie. W skrzyni z czarnych desek znalazł się na skutek oszustwa, zdrady i podłości. Wcześniej go otruto, poraniono, zniszczono. Krew sączyła się spod powiek, mózg wypływał nosem. Teraz był to tylko strzęp zgniłego mięsa.

Zabójcy śmiali się w kułak.

Wtedy także przebywałem w towarzystwie Atta. Wokół nas było pełno ludzi i wciąż napływali nowi. Panował taki ścisk, że opatowi i mnie udawało się postąpić zaledwie dwa kroki co kwadrans. Nie mogliśmy ruszyć się ani do przodu, ani do tyłu, a jedyne co widzieliśmy, to dekoracje na suficie i napisy zwieszające się z arkad lub umieszczone w zwieńczeniach kapiteli.

Na czterech kolumnach w stylu doryckim, symbolizujących bohaterów, wysokich na piętnaście metrów, wykonanych na wzór zabytkowych rzymskich kolumn Antonina i Trajana, znajdowały się motto: *Ob Hispaniam assertam, Ob Galliam triumphatam, Ob Italiam liberatam, Ob Belgium restitutum*. Pomiedzy nimi, nad *castrum*, rozpięte było sztuczne nocne niebo z woalu nakrapianego złocistymi płomieniami, który, zebrany pośrodku, tworzył wieniec zawieszony na linach i złotych szarfach, spiętych ogromnymi broszami w kształcie majestatycznych orłów ze zwieszonymi głowami. Obok nich Gloria w otoczeniu promieni (wzorem *Claritas* na monetach cesarza Konstansa) dzierżyła w lewej dłoni wieniec z wawrzynu, w prawej zaś gwiazdę.

Za nami, tuż za wysokim progiem, dwudziestu czterech lokajów oczekiwało na swojego pana. Niespodziewanie tłum ucichł. Wszyscy zamilkli. Ciemną noc rozświetlił jasny blask pochodni podtrzymywanych przez arystokratów.

Przybył.

Cichnący z wolna odgłos końskich kopyt na bruku odrywa mnie od wspomnień. Czterej lokaje, lśniący od śniegu, poruszyli się. Nadszedł Atto.

Płomyki świec drżą, rozmazują się w moich zamglonych łzami oczach, gdy otwierają się na oścież drzwi Notre Dame des Victoires, bazyliki Augustianów Bosych. W czarnym powozie błyszczy w świetle pochodni czerwony aksamit okrywający trumnę. Atto Melani, opat Beaubec, szlachcic, honorowy obywatel Republiki Weneckiej, wielokrotny uczestnik konklawe, przybył do kościoła, oczekiwany przez zgromadzony w nim tłum.

Starzy słudzy podtrzymują na ramionach trumnę z wyrytym herbem Atta: małą świnką na zielonym tle. Przechodzą między szpalerem ludzi, oddających cześć zmarłemu, pod rozpiętym czarnym woalem ze srebrnymi łożkami. Zapewne niewielu z nich mówi coś nazwisko Atta Melaniego, ostatniego przedstawiciela epoki, której kres położyła wojna. Docierają do *castrum doloris*, katafalku pogrzebowego. Wchodzą po schodkach ściennej piramidy i składają ciało starego pana w otwarte ramiona dwóch srebrnych aniołów, klęczących na jednym kolanie, których dłonie, zwrócone ku niebu, otrzymują w końcu to, na co czekały.

Z katafalku zwiesza się chorągiew żałobna z czarnego aksamitu ze srebrnymi

frędzlami i napisem wyszytym złotymi literami:

*Hic iacet*

*Abbas Atto Melani Pistoriensis in Etruria.*

*Pietate erga Deum*

*Obsequio erga Regem*

*Illustris*

*Die 4. Ianuarii 1714. Mtatis suce octuagesimo octavo*

*Patruo Dilectissimo*

*Dominicus Melani nepos mestissimus posuit*

Te same słowa zostaną wyryte na nagrobku, zamówionym przez bratanka Atta u florenckiego rzeźbiarza Rastrellego. Ojcowie augustianie użyczyli miejsca w bocznej kaplicy, niedaleko ołtarza głównego, naprzeciw drzwi zakrystii. Zgodnie z wolą Atta będzie on pochowany w tym samym kościele, w którym spoczywają prochy innego tokańskiego muzyka, słynnego Giambattisty Lullego.

*Pietate erga Deum/Obsequio erga Regem/Illustris* - inskrypcja ta widnieje na obydwu kolumnach bocznych, ale zdołałem przeczytać napis tylko na tej bliższej mnie. „Wybitny ze względu na oddanie Bogu i posłuszeństwo królowi”. W rzeczywistości pierwsza zaleta zaprzecza drugiej. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

Orkiestra rozpoczyna mszę żałobną. Nic nie widzę, wszystko wokół mnie jest niewyraźne, zamglone. Łzy napływają mi do oczu. Twarze, kolory i światła wyglądają jak na obrazie, który wpadł do wody.

Atto Melani nie żyje. Umarł tu, w Paryżu, przy ulicy Platriere, w parafii św. Eustachego, przedwczoraj, 4 stycznia 1714 roku o drugiej nad ranem. Byłem przy nim.

- Zostań ze mną - powiedział i wydał ostatnie tchnienie.

Pozostaną z panem, panie Atto. Zawarliśmy pakt, złożyłem obietnicę i zamierzam jej dotrzymać. To nieważne, że kilkakrotnie zrywał pan nasze porozumienia, oszukiwał dwudziestojednoletniego posługacza, a później dojrzałego mężczyznę, ojca rodziny. Tym razem nie ma niespodzianki - wywiązał się pan z danego mi słowa.

Teraz, kiedy mam prawie tyle lat co pan, kiedy się poznaliśmy, teraz, kiedy pańskie wspomnienia należą do mnie, a pańskie dawne uczucia rozpalają się w mojej piersi, teraz pańskie życie jest moim życiem.

Przybyłem tu trzy lata temu. Teraz pan wyrusza w swoją ostatnią podróż do nieznaney krainy.

Szczęśliwej drogi, panie Atto! Otrzyma pan to, o co mnie prosił.

Rzym

*Styczeń 1711*

- Wiedeń? Po co mielibyśmy jechać do Wiednia? - Clordia patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, oczekując odpowiedzi.

- Najdroższa! Wychowałaś się w Holandii, twoja matka była Turczynką, mając niespełna dwadzieścia lat przyjechałaś zupełnie sama do Rzymu, a teraz przeraża cię podróż do cesarstwa? A co ja mam powiedzieć? Nigdy nie ruszyłem się dalej niż do Perugii.

- Nie chodzi o podróż. Chodzi o to, że mamy tam zamieszkać! Znasz niemiecki?

- No, nie...

- Pokaż mi to - powiedziała Clordia, wrywając mi z dłoni dokument.

Przebiegła tekst jeszcze raz wzrokiem.

- Jak mam, do licha, to rozumieć?! Co to znaczy darowizna? Dostałeś ziemię? Warsztat? Miejsce służącego na dworze? Tu nic nie jest napisane!

- Słyszałaś, co powiedział notariusz, wszystkiego dowiemy się na miejscu. Na pewno chodzi o rzecz dużej wartości.

- Z pewnością. Przemierzemy Alpy i okaże się, że ten oszust opat chciał cię wykorzystać do kolejnej szalonej sprawy, potem wyrzuci cię jak starą szmatę i puści z torbami!

- Zastanów się, Cloridio! Atto ma osiemdziesiąt pięć lat, nie w głowie mu szaleństwa. Myślałem, że już nie żyje, tymczasem on pragnie spłacić mi dawny dług. Być może poczuł, że zbliża się kres i chce mieć czyste sumienie. Powinniśmy dziękować Bogu, że dał nam szansę w tak trudnym dla nas momencie.

Moja małżonka spuściła oczy.

Od dwóch lat wiodło nam się źle, bardzo źle. Zima 1709 roku była wyjątkowo mroźna i śnieżna. Zaczęło brakować żywności, co w połączeniu ze zniszczeniami spowodowanymi toczącą się od siedmiu lat wojną o tron Hiszpanii wpędziło w nędzę lud Rzymu. Bieda dotknęła także moją rodzinę, która do tego czasu powiększyła się o synka, obecnie już sześciolatniego. Na skutek niespotykanej dotąd klęski nieurodzaju nasze niewielkie gospodarstwo i uprawy uległy zniszczeniu. Upadek rodu Spada, jak również powolna ruina willi przy Porta San Pancrazio, gdzie przez wiele lat zlecano mi dobrze płatne prace, dodatkowo pogorszyły naszą sytuację. Ekonomicznej ruiny nie powstrzymały starania mojej żony Cloridii, od lat trudniącej się akuszerstwem z pomocą naszych córek, teraz w wieku dwudziestu trzech i dziewiętnastu lat. Przybywało połoźnic bez grosza przy duszy. Mimo to Clordia opiekowała się nimi z takim samym oddaniem jak zamożnymi paniami z

arystokracji.

Nasze długi rosły, aż w końcu, aby przeżyć, musieliśmy sprzedać lichwiarzom z getta dom i gospodarstwo, kupione przed dwudziestu sześciu laty za oszczędności świętej pamięci teścia. Przenieśliśmy się do miasta, do sutereny, którą dzieliliśmy z pewną rodziną z Istrii. Na szczęście mieszkanie, wydrążone w tufie, miało tę zaletę, że było suche, w zimie zaś utrzymywała się w nim stała temperatura, nieschodząca poniżej zera.

Na kolację jedliśmy czarny chleb i zupę z pokrzyw i ziół. W ciągu dnia zbieraliśmy żołądź i jagody i przyrządzali z tego rodzaj polewki z dodatkiem rzepy. Buty stały się dla nas luksusem, zamiast nich nosiliśmy, również zimą, drewniane chodaki. Stopy owijaliśmy szmatami i przewiązywaliśmy konopnym sznurkiem.

Nie mogłem znaleźć żadnego zajęcia. Niski wzrost zamykał mi drogę do większości zawodów, także tragarza. Podjąłem się więc najnędniej-szej, najpodlejszej pracy, do której nie niżyłby się żaden rzymianin, mnie natomiast dawała ona poczucie wyższości w stosunku do lepiej zbudowanych ojców rodziny - zostałem kominiarzem.

Byłem wyjątkiem, rzymscy kominiarze i dekarze pochodzili bowiem zazwyczaj z alpejskich dolin, znad jezior Como i Maggiore, z Valcamonica, Val Brembana, a także z Piemontu. Tamtejsza ludność była bardzo biedna. Głód zmuszał niektóre rodziny do oddawania swoich sześciu-, siedmioletnich dzieci do terminu u kominiarzy, a ci wysługiwali się nimi do czyszczenia wąskich przewodów, co niekiedy zagrażało życiu tych malców.

Obdarzony wzrostem dziecka i siłą dorosłego mężczyzny, mogłem wykonywać swoją pracę perfekcyjnie jak mało kto. Bez trudu dostawałem się do najciaśniej szych kominów. Poruszałem się zwinnie, czyściłem z sadzy czarne ściany okapu i komina staranniej niż dziecko. Ponadto, niewiele ważąc, nie narażałem na szwank dachówek, kiedy wspinałem się na dach, by wyczyścić lub naprawić komin, a jednocześnie nie groziło mi roztrzaskanie się o ziemię w razie upadku, co małoletnim pracownikom zdarzało się niestety dość często.

Jako lokalny kominiarz byłem do dyspozycji przez cały rok, podczas gdy moi alpejscy koledzy ścigali do Rzymu dopiero w początkach listopada.

Prawdę mówiąc, ja także zmuszony byłem zabierać do pracy mojego małego rozrabiakę, ale nigdy, przenigdy nie kazałbym mu wchodzić do przewodu kominowego. Traktowałem synka raczej jako ucznia i pomocnika, zawód kominiarza wymaga bowiem współpracy co najmniej dwóch osób.

Pragnąc zapewnić klientów o moich umiejętnościach, chwaliłem się praktyką odbytą w górach Abruzji (które, podobnie jak Alpy, słyną z dobrych kominiarzy), choć tak naprawdę nie miałem dużego doświadczenia w tym zawodzie. Podstaw nauczyłem się w willi Spada,

gdzie czasem zlecano mi przeczyszczenie kominów, usunięcie niewielkiej usterki lub naprawienie dachu.

Tak więc codziennie nad ranem ładowałem na wózek narzędzia: skro-bak, szpachelkę, szczotkę, miotelkę z ostrokrzewu, linkę, drabinkę, ciężarki i ruszałem w drogę z zaspanym synkiem, którego całowała na pożegnanie zatroskana Clordia. Żona nienawidziła mojego niebezpiecznego zajęcia. W bezsenne noce modliła się, aby nic mi się nie stało.

Szczelnie owinięty krótkim, czarnym płaszczem, o świcie docierałem do najdalszych dzielnic miasta lub pobliskich miejscowości. Krzyczałem: „Kominiaaarz! Kominiaaarz!” i rozpoczynałem pracę.

Dość często spotykałem się z niezyczliwym przyjęciem. Na mój widok ludzie czynili gesty służące oddaleniu złego uroku. Wierzono bowiem, że kominiarz, który przybywa zimową porą, w złą pogodę, przynosi pecha. Kiedy otwierano nam drzwi, przy odrobinie szczęścia zdarzało się, że jakaś litościwa kobieta dawała mojemu synkowi kubek gorącego rosółu i kawałek chleba.

Na mój kominiarski mundur składała się czarna marynarka, zapinana z boku, po lewej stronie, tak aby nie zahaczyć guzikiem o wystającą cegłą w ścianie komina, z wysokim kołnierzykiem i rękawami związanymi sznurkiem wokół nadgarstków, żeby do środka nie dostawała się sadza, oraz spodnie z gładkiego barchanu, do którego nie lgnął tak brud. W czarnym, obcisłym ubraniu - z łatami naszytymi na kolanach, łokciach i siedzeniu, gdzie materiał wycierał się najszybciej - wydawałem się mały i drobny jak mój syn, niektórzy brali mnie za jego starszego brata.

Kiedy przeciskałem się przez przewód kominowy, zakładałem na głowę płócienny worek zawiązywany pod szyją, aby uchronić się, przynajmniej częściowo, przed wdychaniem sadzy. Tak opakowany, przypominałem skazańca stojącego pod szubienicą. Nic nie widziałem, ale w kominie nie przeszkadzało mi to, ponieważ i tak było tam ciemno choć oko wykol. Sadze zdrapywało się po omacku.

Synek zostawał na dole i za każdym razem drżał ze strachu, że coś mi się stanie. Bał się, że sam nie trafi do domu, do ukochanej mamy i sióstr.

Z kolei na komin i dach wchodziłem boso, żeby nic mi nie przeszkadzało i żeby pewniej stać na nogach. Miałem od tego posiniaczone i poranione stopy, dlatego też przez całą zimę, czyli okres wzmożonej pracy, stąpałem niepewnym krokiem, utykając.

Praca na dachach bywała niekiedy bardzo niebezpieczna, co raczej nie zrażało człowieka, który pewnego dnia wspiął się na sam szczyt Bazyliki św. Piotra.

Głównym powodem mojej troski nie był jednak nędzny zawód, jaki wykonywałem,



ale córki. Nie wyszły jeszcze za mąż i wszystko wskazywało na to, że zostaną starymi pannami. Dzięki Bogu, cieszyły się żelaznym zdrowiem. Mimo że żyły w biedzie, były piękne, kwitnące i rumiane jak jabłuszka („Dzięki temu, że każdą przez trzy lata karmiłam piersią” - powtarzała z dumą Cloridia). Włosy miały tak piękne i gęste, że co sobotę sprzedawały za dwa grosze na targu te, które pozostały na grzebieniu po porannej toalecie. To prawdziwy cud, że dopisywało im tak wspaniałe zdrowie, zważywszy na to, że wokół nas wiele osób zmarło z zimna i głodu.

Moje dwie córeczki - miłe, zdrowe, piękne i cnotliwe nie miały ani grosza posagu. Kilkakrotnie odwiedziły nas siostry z klasztoru Santa Ca-terina Sopra Minerva, który co roku przeznaczał znaczne sumy dla ubogich rodzin, aby namówić je do wstąpienia do zakonu. Zakonnice potrzebowały silnych, posłusznych dziewcząt do wykonywania cięższych prac w klasztorze, nieodpowiednich dla mniszek ze szlacheckich rodów. Jednak nawet w najtrudniejszych chwilach grzecznie odrzucałem ich propozycję (o wiele mniej uprzejma była Cloridia. Potrząsała gniewnie głową i wykrzykiwała prosto w oczy zakonnicom: „To po to karmiłam każdą z nich przez trzy lata piersią, żeby skończyły tak jak wy?”). Zresztą naszych dziewczynek nie pociągało klasztorne życie. Jako pomocnice matki akuszerki poznały radość macierzyństwa i pragnęły jak najprędzej znaleźć sobie mężów.

Po pewnym czasie mrozy ustały, skończył się też głód, ale nędza trwała. Uplęły dwa lata, a moje córki nadal nie miały mężów.

Ogarniała mnie bezsilna złość na widok twarzyczki starszej córki, która nagle pograżała się w smutku i milkła (miała już dwadzieścia pięć lat!). Nie złościłem się jednak na okrutny los, o nie! Dobrze wiedziałem, kto zawinił! Z pewnością nie była to wina zimna i głodu panującego w całej Europie. O nie! Po głowie chodziło mi tylko jedno imię: Atto Melani.

Bezlitosny intrygant, szpieg, człowiek wyjątkowo fałszywy i przebiegły, mistrz kłamstwa, podstępu, udawania i obłudy - taki był Atto Melani, słynny niegdyś śpiewak kastrat.

Przed jedenastu laty nikczemnie mnie wykorzystał, wystawił moje życie na niebezpieczeństwo, obiecując w zamian wiano dla córek. „Dostanę nie tylko pieniądze, ale także domy, grunty - całe gospodarstwo. Dam wyprawę twoim córkom. Bogatą wyprawę. A kiedy mówię »bogata«, nie kłamię”.

Zakpił sobie ze mnie. Jego słowa dobrze zapadły mi w pamięć.

Powiedział, że ma kilka majątków w Wielkim Księstwie Toskanii, wszystkie przedstawiają wielką wartość i są dochodowe - uściślił. Zobowiązał się na piśmie, że da moim

córkom posag, zatwierdzony notarialnie, w postaci renty lub posiadłości przynoszących ogromne zyski. Nigdy jednak nie poszliśmy do notariusza.

Kiedy wypełniłem wszystkie jego polecenia, wrócił po kryjomu do Paryża. Na nic się zdało chodzenie po adwokatach. Nikt nie dawał mi choćby iskierki nadziei. Wszyscy prawnicy, do których się zwracałem, powtarzali, że powinienem być wytoczyc mu proces we Francji. Krótko mówiąc, obietnica Melaniego okazała się bez pokrycia.

Tak więc opat pławił się w luksusach, a ja rozpaczliwe starałem się wyrwać rodzinę z biedy.

Aż tu pewnego dnia, niespodziewanie, otrzymałem wezwanie od jednego z rzymskich notariuszy. Kolega z Wiednia polecił mi odnaleźć mnie i wręczyć akt darowizny z podpisem opata Melaniego.

Treść aktu owiana była tajemnicą. Przedmiot darowizny przedstawiał zdaniem notariusza dużą wartość („ziemia lub dom” - domyślał się), opisany był za pomocą skrótów i liczb, odnoszących się zapewne do wiedeńskich rejestrów, i całkowicie niezrozumiałych. Poza tym w jednym z banków opat Melani otworzył mi nieograniczony kredyt, przeznaczony na wydatki związane z podróżą.

Po przyjeździe do stolicy cesarstwa miałem pójść pod wskazany adres, gdzie wszystkiego się dowiem i otrzymam to, co mi obiecano.

Nie chodziło więc, niestety, o darowiznę w Wielkim Księstwie Toskanii, jak zapowiadał opat, ale znacznie dalej, po drugiej stronie Alp.

W każdym razie wobec kłopotów, z jakimi się borykaliśmy, była to dla nas prawdziwa manna z nieba. Czyż można było odmówić?

Wiedeń

*Luty 1711*

Na rozległej, zaśnieżonej i nagiej równinie pod murami miasta rozbrzmiewało głośnie dudnienie bębnow. Ich warkot mieszał się ze srebrzystymi dźwiękami trąbek, piszczałek i rożków orkiestry wojskowej. Głośnie odgłosy wznagało echo, odbijające się o potężne mury, baszty, tarasy i nasypy. Odnosiło się wrażenie, że nie była to jedna orkiestra, ale trzy lub cztery, może nawet dziesięć.

Pomiędzy bastionami przezierwały pinakle kościołów i pałaców, dzwonnice zwieńczone krzyżami, wieże blankowe, okrągłe kopuły, przestronne tarasy, iglice budowli religijnych i świeckich, świadczących o tym, że nie jest to zwykłe miasto, skupisko ludzi i architektury, ale łagodna kolebka dusz, potężna twierdza, patronka kupców błogosławiona przez Boga.

Kiedy nasza karetka zbliżała się do Bramy Karynckiej, przez którą wjeżdżają do

Wiednia podróżni z południa, dostrzegłem dumne, dostojne wieże odcinające się na tle ołowianego nieba.

Najwspanialsza z nich, poinformował nas woźnica, to wysoka, okazała wieża katedry św. Szczepana, ozdobiona wspaniałymi koronkowymi dekoracjami, upiększonymi teraz białym płaszczem śniegu. Opodał ujrzałem masywną, ośmiokątną dzwonnice kościoła Dominikanów, dalej wysoką dzwonnice św. Piotra, jak również św. Michała ojców barnabitów, św. Ruprechta ojców franciszkanów, pinakiel convento delie Vergini alla Porta del Cielo, klasztoru Dziewic u Bramy Niebios, i wiele innych wież ozdobionych cebulastymi wolutami, typowymi dla tych ziem, zwieńczonych połączanymi kulami ze świętym krzyżem na szczycie. Na koniec spostrzegłem basztę pałacu cesarskiego, w którym od sześciu lat sprawował rządy Józef I z dynastii Habsburgów austriackich, dumny władca Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Podczas gdy muzyka orkiestry wojskowej zachęcała do zachowania dyscypliny, potężne mury obronne przypominały o skromności, a niezliczone wiedeńskie dzwonnice - o bojaźni bożej, zacząłem wyobrażać sobie kręte zakola Dunaju. Z książek, do których zajrzałem przed wyjazdem, dowiedziałem się, że rzeka płynie po drugiej stronie Wiednia. Nade wszystko jednak powtarzałem sobie w duchu nazwę olbrzymiej ciemnej sylwety, ukazującej się z wolna na horyzoncie, pośród obłoków. Mimo łagodnych stoków wydawała się potężna, kiedy tak opadała pionowo ku wodom rzeki i rozciągała się na wschód, niczym milczący bohaterski strażnik miasta. Był to Kahlenberg, słynne wzgórze, które ocaliło Zachód, lesisty przylądek wysunięty w stronę Wiednia i rzeki, skąd przed dwudziestu ośmiu laty wyruszyły chrześcijańskie wojska, by wyzwolić miasto z tureckiego oblężenia i uwolnić Europę od groźby Mahometa.

Doskonale pamiętam te wydarzenia, albowiem przed laty, we wrześniu 1683 roku, kiedy w Rzymie i w innych częściach Europy z niepokojem oczekiwano wyniku bitwy o Wiedeń, pracowałem w tym mieście jako posługacz w gospodzie. Tam właśnie poznałem niejakiego Atta Mela-niego...

Kiedy koła karety z łoskotem pokonywały kolejną dziurę, wyteżyłem wzrok i dostrzegłem, jak promień słońca oświetla niewielki budynek na szczycie Kahlenbergu, zapewne jakiś kościół, tak, małą kaplicę, tę samą, w której pewien kapucyn (dobrze pamiętam te fakty należące już do historii) o świcie 12 września 1683 roku, przed decydującym natarciem, odprawił mszę i wygłosił mowę do chrześcijańskich dowódców, szykując ich do krwawej acz zwycięskiej bitwy z niewiernymi. Wkrótce również ja miałem poczuć pod stopami tę historyczną ziemię, przejść po łagodnych wzgórzach Nussdorfu, gdzie żołnierze

chrześcijańskiej armii oczyścili każdy dom, stodołę, winnicę z nędznych potomków Mahometa.

Ogarnięty wzruszeniem, spojrzałem na Cloridię. Małżonka milczała, trzymając na kolanach naszego śpiącego synka. Z pewnością wiedziała, o czym myślę. I że nie są to myśli błahe.

Odbyliśmy wyczerpującą podróż, trwającą blisko miesiąc. Wyruszyliśmy z Rzymu w ostatnich dniach stycznia, tuż przed wyjazdem pomodliliśmy się przed świętymi relikwiami św. Filipa Neri, patrona naszego miasta. Opat Melani wystarał się dla nas o dobre miejsca w karecie, pośrodku, a nie tuż przy drzwiczkach, gdzie jest dość niewygodnie. Po zmianie koni w Civita Castellana i noclegu w Orticoli pojechaliśmy do

Narni w Umbrii, później do Terni, aby o północy dotrzeć do starego miasteczka Foligno. Przez kolejne dni ja, który nie ruszyłem się dalej niż do Perugia, każdą noc spędzałem w innym mieście: Tolentino, Loreto, Sini-gaglii, położonej na rozległej równinie nad Adriatykiem, w Rimini i Ce-senie w Romanii, w Bolonii, Ferrarze i dalej na północ, w Chioggi w delcie Padu, Mestre pod Wenecją, Sacile, w Udine, stolicy Friuli, bogatym mieście należącym do Najjaśniejszej Republiki Weneckiej. Widziałem noce w Gorycji i Adelsbergu, aby później dotrzeć szczęśliwie do Lubiany, mimo że śnieg padał nieprzerwanie przez całą podróż. Następnie nocowałem w Cilli, Marburgu nad Drawą, w Grazu, stolicy Styrii, w Pruch, na koniec w Stuppach. Przejechałem przez wiele miast, od Fano i Pesaro do Cattoliki, małej osady w Romanii, i od Forli do Faenzy. Jechaliśmy wzdłuż Padu, przez Corsolę i Cavanellę w Adydze, jak również wzdłuż rzeki Brenta. Odwiedziliśmy śliczne miasteczko Mira oraz Fusi-nę, prowadzącą do wód rozległej Laguny Weneckiej. Płynęliśmy też rzeką Lintz jednym z tych niewielkich stateczków, słusznie nazywanych domkami z drewna, ponieważ mają wszelkie wygody. Załoga statku składała się z dwunastu mężczyzn, którzy wiosłowali tak szybko, że krajobraz przed naszymi oczami zmieniał się jak w kalejdoskopie: mijaliśmy skały, lasy, winnice, pola pszenicy, duże miasta, ruiny zamków.

W ciągu całej podróży towarzyszył nam nieustannie mróz i śnieg. W końcu dotarliśmy do bram Wiednia, drżąc z lęku przed nieznanym. Niebawem mieliśmy wkroczyć do naszego wymarzonego miasta, nazywanego „nowym Rzymem”, stolicy bezkresnego Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Obejmowało ono liczne ziemie, przede wszystkim Górną i Dolną Austrię, Karyntię, Tyrol, Styrię, Voralberg i Burgenland, dziedziczne ziemie Habsburgów, tak zwane Arcyksięstwo Austrii nad rzeką Anizą, którym władcy ci zarządzili jako arcyksiężęta, na długo przed koronacją na cesarzy. Do Świętego Cesarstwa Rzymskiego należało wiele innych regionów, nadmorskich i górskich, jak na przykład Kraina, Istria, Dalmacja, Banat,

Bukowina, Chorwacja, Bośnia i Hercegowina, Sławonia, Węgry, Czechy i Morawy, Galicja i Lodomeria, Śląsk i Sieben-biirgen. Poza tym cesarstwo zarządzało elektoratami niemieckimi, włącznie z Saksonią i Polską. Począwszy od średniowiecza zaliczały się do niego (w różnych latach) także Szwajcaria, Szwabia, Alzacja, Burgundia, Flandria, Artois, Franche-Comte, Hiszpania, Holandia, Sardynia, Lombardia, Toskania, Wielkie Księstwo Spoleto, Wenecja, Neapol.

Święte Cesarstwo Rzymskie liczyło zatem miliony poddanych, mówiących dziesiątkami języków i narzeczy. Należeli do niego Niemcy, Włosi, Węgrzy, Słowianie, Polacy, Rusini, szwabscy rzemieślnicy, czeskie kucharki, ordynansi i pokojówki z Bałkanów, biedni uchodźcy, którzy uciekli przed Turkami, przede wszystkim zaś czeladź z Moraw, napływająca do Wiednia całymi zastępami.

Miasto będące celem naszej podróży było zatem stolicą tych wszystkich ludzi. Czy spełni się tam obietnica Atta?

Ponieważ dysponowaliśmy kredytem od opata, wszystkie nasze oszczędności powierzyliśmy córkom, które pozostały w Rzymie (pod czujnym okiem naszych współlokatorów z Istrii), gdzie nadal pracowały jako akuszerki. Rozstaliśmy się z nimi z ciężkim sercem, obiecując, że wrócimy jak najszybciej z upragnionymi posagami. Sami pozostaliśmy bez grosza przy duszy.

Gdyby w Wiedniu nastąpiły jakieś komplikacje, musielibyśmy żyć z jałmużny i oczekiwać końca mrozów, aby stąd wyjechać. Oto do czego może doprowadzić bieda! Człowiek przemierza w pośpiechu kawał świata, do miejsca, gdzie ma nadzieję na lepsze jutro. Krótko mówiąc, zupełnie nie wiedzieliśmy, co nas czeka.

Clordia zgodziła się na wyjazd, „byle więcej nie oglądać twojej twarzy czarnej od sadzy” - tak powiedziała. Myśl, że porzucę zajęcie, które przysparzało jej tylu trosk, skłoniła ją do przyjęcia propozycji opata.

Odruchowo spojrzałem na swoje dłonie: pod paznokciami nadal widniały czarne obwódki - znak rozpoznawczy kominiarzy.

Od kilku dni Clordia i synek mieli silny kaszel. Mnie też dzień i noc dokuczały objawy przeziębienia. Ataki gorączki zaczęły się w połowie podróży, bardzo nas osłabiły.

Kareta przejechała przez mostek nad fosą obronną, kierując się ku Bramie Karynckiej. W oddali dostrzegłem zielone lasy Kahlenbergu. Słońce przeniosło swoje złociste promienie ze wzgórza na moją skromną osobę. Niespodziewanie figlarny promyk padł mi prosto na twarz. Uśmiechnąłem się do Clordii. Powietrze było zimne i krystalicznie czyste. Wjechaliśmy do Wiednia.

Mimowolnie pomacałem kieszeń nowiutkiego ciepłego płaszcza, kupionego z kredytu opata, w której miałem notatki niezbędne podczas podróży. Jak wynikało z dokumentów otrzymanych od rzymskiego notariusza, mieliśmy zatrzymać się pod wskazanym adresem. Nazwa ulicy dobrze wróżyła: Porta Coeli, Brama Niebios.

Wokół panowała nierealna cisza, wywołana padającym śniegiem. Karetą jechała wolno ulicą Karyncką, która wiodła od bramy o tej samej nazwie do centrum miasta. Clordia spoglądała na okazałe kamienice przystrojone śniegiem, na powozy wyjeżdżające z bocznych ulic i dziwiła się beztrząsco spacerującym grupkami opatulonym służącym, jakby to była niedziela, a nie środek tygodnia.

Chciała poprosić woźnicę o wyjaśnienia, ale nie znając języka, zrezygnowała.

Ja natomiast wpatrywałem się w katedrę św. Szczepana, górującą nad dachami po prawej stronie. Budowla wydawała się teraz jeszcze potężniejsza. W ten święty pinakiel, myślałem, Turcy celowali z dział latem 1683 roku, podczas gdy po drugiej stronie murów, w mieście, w którym teraz kwitł handel i tętniło życie, oblężeni wytrwale stawiali opór, narażeni nie tylko na pociski wrogów, ale także na głód i choroby...

Woźnica, któremu pokazałem karteczkę z adresem, zatrzymał karetę przy eleganckiej przecznicy. Dotarliśmy do miejsca przeznaczenia.

Zdziwiłem się, kiedy woźnica wskazał dzwonek u bramy klasztoru i gestem nakazał pociągnąć za sznurek, aby obwieścić nasze przybycie.

- *Uno momento, uno momento* - powiedział niepoprawnym włoskim jakiś cień zza grubej, czarnej kraty.

Z powodu słabej znajomości niemieckiego nie zrozumiałem, że pod adresem napisanym na karteczce znajdował się żeński klasztor.

Usłyszawszy nasze imiona, cień skinął głową. Oczekiwano nas. Dwa dni wcześniej woźnica, podczas przerwy w podróży, wysłał posłańca z wiadomością o naszym rychłym przyjeździe.

Z pomocą woźnicy zdjąłem z karety bagaże. Dowiedziałem się od niego, że za chwilę przekroczymy próg jednego z największych klasztorów żeńskich w mieście i na pewno najważniejszego.

Znaleźliśmy się w szerokim, ciemnym korytarzu, aby po kilku minutach ponownie wyjść na światło dnia i stanąć wśród kolumnienek wewnętrznego krużganka - długiej galerii z białego kamienia - ozdobionych podobiznami sióstr, które zasłynęły z najwspanialszych cnót. Zakonnica, która nas prowadziła, sprawiała wrażenie niemowy, a może po prostu nie знаła naszego języka. Spod arkad dotarliśmy do pomieszczeń dla gości.

Umieszczono nas w dwóch sąsiadujących ze sobą pokojach. Podczas gdy Cloridia z synkiem padli ze zmęczenia na łóżko, ja zająłem się przyniesieniem bagaży, w czym pomógł mi chłopak, którego mniszki najęły do sprzątanego piwnic. Był nader gadatliwy. Wywnioskowałem, że dopytuje się o naszą podróż. Szkoda, że nie rozumiałem ani słowa.

Pożegnałem się z nim, obdarzając go szerokim uśmiechem, zamknąłem za sobą drzwi i rozejrzałem się dokoła. Choć prawie puste, lokum zawierało wszystko, co konieczne do życia. Z pewnością było lepsze od rzymskiej sutereny w tufie, gdzie mieszkaliśmy przez dwa ostatnie lata i gdzie zostały nasze córki. Spojrzałem na Cloridię.

Spodziewałem się z jej strony narzekań, skarg i pretensji pod adresem opata Melaniego. Mieszkanie u zakonnic było najgorszą rzeczą, jaka mogła się jej przytrafić, dobrze o tym wiedziałem. Oblubienice Jezusa były jedynymi kobietami, z którymi moja małżonka nie potrafiła się porozumieć.

Tymczasem Cloridia milczała. Leżała na łóżku, tuląc do siebie kaszlące przez sen dziecko. Rozglądała się po pokoju, zdezorientowana, obojętnym wzrokiem osoby, która ze zmęczenia pozostaje na granicy jawy i snu.

Przełąknąłem się nie na żarty, gdy synek dostał ataku kaszlu, o wiele silniejszego niż dotychczas. Chyba mu się pogorszyło. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Kozi tłuszcz i mąka orkiszowa z kroplą oleju do posmarowania piersi. Pod główkę trzeba podłożyć tę poduszkę ze słomą z pszenicy orkiszowej.

Słowa te, wypowiedziane piękną włoszczyzną, pochodziły z ust młodej zakonnicy, która zdecydowanym krokiem weszła do naszego pokoju, wyraźnie zatroskana.

- Jestem Camilla, *Chormaisterin* w klasztorze augustianek - przedstawiła się i nie prosząc Cloridii o pozwolenie, włożyła poduszkę pod głowę naszego synka, rozsunęła mu koszulkę na piersiach i zaczęła wcierać maść.

- *Chor...maisterin!* - wybełkotałem, ucałowawszy skraj szaty siostry i podziękowawszy za okazaną nam gościnność.

- Tak, dyrygentka chóru - wyjaśniła łagodnym głosem.

- Nie spodziewaliśmy się usłyszeć w Wiedniu tak doskonałego włoskiego, matko.

- Pochodzę z Rzymu, jak wy, z Zatybrza, gwoli ścisłości. Moje świeckie nazwisko brzmi Camilla de' Rossi. Proszę nie nazywać mnie matką, jestem tylko świecką siostrą.

Cloridia nadal leżała na łóżku. Zauważyłem, że zerka z ukosa na naszego gościa.

- Przez dwa tygodnie może jeść tylko lekką zupę - dodała *Chormai-sterin*. Pochyliła się nad dzieckiem i uważnie mu się przyjrzała.

- To było do przewidzenia. Szczodrość na pokaz...

Słyszając uszczypliwą uwagę Cloridii, spłonilem się ze wstydu. Przestraszyłem się, że wyrzucą nas z klasztoru, ale siostra, ofiara przymówki, roześmiała się.

- Widzę, że dobrze nas znacie - stwierdziła bez urazy. - Zapewniam was, że przysłowiowe skapstwo moich towarzyszek nie ma tu nic do rzeczy. Zupa orkiszowa ze zmielonymi pestkami śliwek jest doskonała na przeziębienie.

- To wy też leczycie orkiszem - stwierdziła Cloridia spokojnym głosem, po chwili milczenia. - Jak moja matka.

- I jak nasza święta siostra Hildegarda, przełożona klasztoru w Bin-gen - uściśliła Camilla z wdzięcznym uśmiechem. - Cieszę się, że pani matka stosowała podobne metody. Może któregoś dnia zechce mi pani o niej opowiedzieć?

Cloridia nie odezwała się, ostentacyjnie okazując nieufność.

Camilla de' Rossi jest doprawdy bardzo miła, pomyślałem, choć Cloridia odnosi się do niej nieufnie. Miała na sobie białą suknię z rękawami obszytymi cienkim śnieżnobiałym lnem indyjskim, na głowie czepek z takiego samego lnu, z welonem z czarnej krepy. Twarz, której nie zasłaniał czepek ani welon, w niczym nie przypominała charakterystycznych fizjonomii dwóch młodych zakonnicek (czy sióstr świeckich, bez różnicy). Tamte miały wodniste oczy o tępych spojrzeniach, pełne, bladoróżowe lica przypominające tłustą szynkę, małe, złe oczka, głęboko osadzone w woskowych wychudłych twarzach. W przeciwieństwie do nich Camilla de' Rossi była dorodną, pełną wdzięku dziewczyną. Duże ciemne oczy o dumnym aksamitnym spojrzeniu i kształtne usta przywoływały mi na myśl rysy twarzy Cloridii sprzed lat.

Ponownie usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

- Oto i wasz obiad - oznajmiła *Chormaisterin*, otwierając drzwi dwóm pomywaczkom dzierżącym tace.

Dziwnym trafem na posiłek składały się potrawy z orkiszem: podplomyki z orkiszem i kasztanów, krem jabłkowo-orkiszowy, zapiekanka z ziaren orkiszem i kopru włoskiego.

- Musicie się pospieszyć - napomniała nas Camilla, kiedy skończyliśmy jeść. - Za pół godziny macie się stawić u notariusza.

- A więc siostra wie... - zdziwiłem się.

- Wiem o wszystkim - przerwała mi Camilla. - Kazałam zawiadomić notariusza o waszym przyjeździe. Idźcie już! Zajmę się dzieckiem.

- Chyba siostra nie sądzi, że zostawię małego w jej rękach? - zaprotestowała Cloridia.

- Wszyscy jesteśmy w rękach Boga, córko - odparła, przybierając macierzyński ton.

*Chormaisterin*, na tyle młoda, że mogłaby być naszą córką, popchnęła nas lekko, acz



zdecydowanie w stronę drzwi.

Spojrzałem błagalnie na Cloridię, prosząc ją wzrokiem, by się nie sprzeciwiała i nie czyniła złośliwych docinków pod adresem oblubienic Jezusa.

- Wszystko, byleby nigdy więcej nie widzieć sady - powiedziała krótko.

Dziękowałem Bogu, że z niechęci do zawodu kominiarza moja małżonka w końcu ustąpiła. Możliwe też, że ta młoda siostra, która wydawała się szczerze przejęta zdrowiem naszego synka, zdołała przełamać jej nieufność.

Za drzwiami, oparty o ścianę, czekał na nas ten sam chłopak, który pomagał mi przy bagażach. *Chormaisterin* rzuciła krótkie, porozumiewawcze spojrzenie.

- To jest Simonis. Zaprowadzi was do notariusza.

- Prawdę mówiąc, matko - próbowałem zaoponować - nie znam dobrze niemieckiego i nie rozumiem, co on do mnie mówi. Także wcześniej, po naszym przyjeździe...

- Nie mówił do was po niemiecku, Simonis jest Grekiem. I jeśli tylko chce, potrafi się dogadać - wyjaśniła Camilla z uśmiechem i zamknęła za nami drzwi.

- Bardzo hojna ta darowizna opata Milaniego, nieprawdaż?

Tymi słowy notariusz powitał nas w swoim gabinecie, patrząc zza okularów. I choć zdanie wypowiedziane było poprawną włoszczyzną, popełnił błąd w nazwisku Melaniego. Nie bardzo rozumieliśmy, czy w wypowiedzi prawnika chodziło o stwierdzenie, czy o pytanie.

Dotarliśmy na miejsce pieszo, po krótkim marszu wśród śniegu, przemarznięci do szpiku kości. Straszliwa zima 1709 roku, która zrujnowała moją rodzinę i cały Rzym, była niczym w porównaniu z mrozem panującym obecnie w Wiedniu. Okazało się, że ciepłe płaszcze kupione na wyjazd chroniły nas tyle co łupina cebuli. Cloridię męczyły katar i kaszel.

- Tak, tak - powtórzył kilkakrotnie notariusz, kiedy zdjęliśmy płaszcze, następnie poprosił nas, żebyśmy zzuli buty i usiedli naprzeciw niego.

Rozkoszowaliśmy się ciepłem bijącym od olbrzymiego, pięknego pieca z żeliwa pokrytego majoliką, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Notariusz wertował plik kartek zapisanych gotyckim pismem.

W milczeniu, z zapartym tchem obserwowaliśmy, jak jego palce poruszają się pospiesznie, i wsłuchiwali w szelest kartek. Moja biedna małżonka przyłożyła dłoń do skroni. Domyśliłem się, że chwycił ją jeden z tych silnych bólów głowy, na które cierpiała, odkąd popadliśmy w nędzę. Jaką nowinę niesły nam te kartki? Był w nich zapisany kres naszych trosk czy kolejna kpina? Ze zdenerwowania czułem ucisk w żołądku.

- Nie brakuje żadnego z dokumentów. Jest Geburtsurkunde Kaufkon-trakt, a przede wszystkim Hofbefreyung - oświadczył notariusz. - Sprawdźcie, z łaski swojej, czy dane się zgadzają - dodał, podając mi dokumenty, z których niewiele rozumiałem. - Pan opat Milani, wasz dobroczyńca...

- Melani - sprostowałem.

- No, tak - powiedział notariusz po dokładnym przeczytaniu jakiejś kartki. - Jak zatem mówiłem, pan opat Melani oraz jego plenipotenci wykazali się dużą starannością i skrupulatnością. Ale trybunał jest nader surowy i jeśli coś się nie zgadza, to koniec.

- Trybunał? - zdziwiłem się.

- Jeśli trybunał was odrzuci, nie będzie można dokonać darowizny - oświadczył notariusz. - Proszę teraz przeczytać Geburtsurkunde i powiedzieć, czy wszystko się zgadza.

To powiedziawszy, podał mi pierwszy z czterech dokumentów, który ku mojemu zdziwieniu okazał się świadectwem urodzenia, zawierającym moje imię, dzień, miesiąc i rok urodzin oraz imiona rodziców. Dziwne, byłem znajdą i sam nie wiedziałem, kiedy i gdzie przyszedłem na świat ani kim byli moi rodzice.

- A oto Gesellenbrief - ciągnął nasz rozmówca, po czym spojrzął za okno i niespodziewanie zaczął się spieszyć. - Jak już mówiłem, trybunał jest wyjątkowo surowy. Zwłaszcza jeśli chodzi o naukę zawodu, jako że cech mógłby robić panu trudności.

- Cech? - zapytałem, nie mając pojęcia, o czym mówi.

- Idźmy dalej, mamy mało czasu.

Chciałem powiedzieć notariuszowi, że zupełnie nie rozumiem, do czego miały służyć te wszystkie dokumenty (sfalszowane, nawiasem mówiąc). Poza tym nadal nie wiedzieliśmy, czym w istocie była darowizna Atta Melaniego. Posłuszny woli notariusza, wstrzymałem się od zadawania pytań. Cloridia także milczała, wyraźnie zmęczona migreną i przeziębieniem.

- Hofbefreyung przeczytacie w karecie. Gwarantuję prawomocność tego dokumentu.

- W karecie? - zdziwiła się Cloridia. - Mamy dokądś jechać?

- Ależ oczywiście! Potwierdzić treść Kaufkontraktu - odparł stanowczym tonem notariusz, wstając i prowadząc nas do wyjścia.

Przyszliśmy tu pełni nadziei, a opuszczaliśmy gabinet notariusza dręczeni wątpliwościami.

Zdziwiliśmy się nieco, kiedy kareta, wioząca nas, Simonisa i notariusza, zaczęła oddalać się od centrum Wiednia. Szybko dotarliśmy do murów miasta, przejechali przez bramę i znaleźli się na zaśnieżonej równinie.

Moja żona wcisnęła się w kąt karety, szukając schronienia przed zimnem, Simonis

patrzył przez okno tępy wzrokiem, a ja przyglądałem się notariuszowi i rozmyślałem. Widać, że bardzo mu było spieszno, ale nie wiedziałem do czego. Obydwa dokumenty, które mi pokazał, zostały sfalszowane. Pochodziły od opata Melaniego. Doskonale pamiętałem, że Atto miał dużą wprawę w fałszowaniu papierów, i to o wiele ważniejszych. Tym razem jednak pragnął dokonać darowizny. Należało więc przyznać, że cel, który mu przyświecał, było mniej naganny.

Notariusz spojrział na mnie i oznajmił:

- Wiem, o czym pan myśli. Proszę mi wybaczyć, że dotąd nie udzieliłem wyjaśnień. Właśnie nadarza się sposobność, abym powiedział, dokąd jedziemy.

Najwyższa pora, pomyślałem. Cloridia ożywiła się, ciekawa, co powie notariusz.

- Na początek pragnąłbym umilić pańskiej żonie podróż i opowiedzieć o położeniu, architekturze i zaletach cesarskiej stolicy - oświadczył patetycznie notariusz, najwyraźniej dumny ze swojego miasta. - Wokół murów obronnych rozciąga się równinny, niemal pozbawiony roślinności obszar. W razie najazdu nieprzyjaciela obce wojsko widać jak na dłoni. Na wschód od miasta znajduje się rzeka Dunaj o krętym, serpentynowym biegu. Meandrując, płynie z północy na południe, z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód. W zakolach powstały wysepki, moczary i bagna. Dalej na wschód, za podmokłym, lagunowym terenem, ciągnie się nieprzerwanie rozległa równina, aż do Królestwa Polskiego i ziem podległych carowi Rosji. Również na południu, do Karyntii, regionu graniczącego z Italią, skąd przyjechaliście, roztaczają się równinne ziemie. Natomiast od zachodu i północy Wiedeń otaczają lesiste wzniesienia. Wśród nich wznosi się Kahlenberg, Łysa Góra, usytuowana na skraju Alp Wschodnich, nad Dunajem, bastion Zachodu wychodzący na bezkresną połąć Panonii.

Notariusz mówił jeszcze długo łagodnym, uprzejmym tonem. Twarz Cloridii stawała się coraz bardziej zachmurzona. Ja też miałem już dosyć tej gadaniny.

- Wiem, o czym, myślicie - oznajmił wreszcie notariusz, przerywając lekcję geografii. - Zastanawia się pan z pewnością - zwrócił się do mnie - jaki charakter ma darowizna waszego dobroczyńcy i jaka jest jej wartość. Otóż, jak wynika z tego oto Hofbefreyung - wyjaśnił, podając mi ostrożnie dokument - opat Melani załatwił panu funkcję *Hofbefreitera* na przedmieściu, w dzielnicy Josephina, przy kościele św. Michała, dokąd właśnie jedziemy.

- Co to znaczy? - zapytaliśmy jednogłośnie z Cloridia.

- To proste: *Hof* to trybunał, a *befreit* uwolniony. Wolno panu zatem zostać majstrem, za zgodą trybunału lub, jak kto woli, z mocy dekretu cesarskiego.

Spojrzeliliśmy na notariusza pytającym wzrokiem.

- To dlatego, że nie jest pan obywatelem Wiednia - ciągnął notariusz. - Zważywszy na to, że cesarz pilnie, nawet bardzo pilnie, potrzebuje pańskich usług, nasz dobroczyńca wystąpił do trybunału i wystarał się o Gewerbeberechtigung - oznajmił, nie zdając sobie sprawy, że dotąd nie wyjaśnił najistotniejszej kwestii.

- To znaczy? - nalegała Clordia. Mimo zawiłych wyjaśnień naszego rozmówcy nie traciła nadziei, że coś z tego zrozumie.

- Chodzi o pozwolenie na wykonywanie zawodu i, co za tym idzie, o przyjęcie do cechu - oświadczył notariusz zniecierpliwionym tonem, patrząc na nas jak na dzikusów, niedoceniających jego uprzejmości.

Wkrótce miałem się przekonać, że w kontaktach z cudzoziemcami wiedeńczycy biorą złą znajomość ich języka za przejaw braku obycia.

Słyszac ostry ton notariusza, Clordia zamilkła onieśmielona. Bała się go rozdrażnić, żeby nie spowodować komplikacji na drodze do upragnionej, choć tajemniczej darowizny.

Miałem więc zostać majstrem. Ale w jakiej dziedzinie? Jaki zawód mogłem wykonywać za łaskawą zgodą cesarza, mimo że nie byłem obywatelem Wiednia? I jakich to usług pilnie potrzebował ode mnie wspaniałomyślny władca?

- Powinniście wieść cnotliwe, uczciwe życie i dobrze wypełniać obowiązki, stając się wzorem dla Gesellen - oznajmił enigmatycznie notariusz. - Ale to nie wszystko. W Kaufkontrakcie, czyli umowie kupna, którą wielkoduszny opat Melani zawarł w waszym imieniu, wymienione są *Haus, Hof i Weingarten!* Cóż za hojność! Doprawdy niespotykana! Ale oto dojechaliśmy na miejsce, nareszcie. W ostatniej chwili, zaraz się ściemni.

W istocie, zaczynało zmierzchać. Wprawdzie było wczesne popołudnie, ale w krajach północnych ciemności zapadają szybko i zupełnie nieoczekiwanie, zwłaszcza w środku zimy. Oto dlaczego notariuszowi spieszno było opuścić gabinet i ruszyć w drogę.

Już miałem zapytać, co oznaczały trzy słowa widniejące w umowie kupna, ale karetka właśnie się zatrzymała. Wysiedliśmy. Przed nami wznosił się niewielki parterowy dom. Wydawał się niezamieszany. Nad drzwiami widniał nowiutki napis w gotyku.

- Gewerbe IV - przeczytał na głos notariusz. - Zapomniałem powiedzieć, że pana przedsiębiorstwo jest czwartym spośród dwudziestu siedmiu zakładów aktualnie zarejestrowanych w stolicy cesarstwa i jednym z pięciu, które z woli Jego Cesarskiej Wysokości Józefa I, na mocy Privilegium z 19 kwietnia 1707 roku, wliczono w poczet najbardziej prestiżowych przedsiębiorstw miejskich. Głównym pana zadaniem jest, oczywiście, zaspokajać pilne potrzeby cesarskie w charakterze Hofadjunkta, czyli pomocnika dworskiego. Powierza się panu opiekę nad starym cesarskim budynkiem, który nasz

wspaniałomyślny władca pragnie przywrócić do dawnej świetności.

Na te słowa Cloridia, wlokąca się smutno z tyłu, ożywiła się i przyspieszyła kroku, odprowadzana spojrzeniem Simonisa. We mnie także wstąpiła nadzieja. Jeśli przedsiębiorstwo, którego majstrem miałem zostać, kupione dla nas przez Atta, założył osobiście sam cesarz, a w całym mieście była określona liczba podobnych zakładów, ustalona dekretem, i jeśli dodatkowo miałem zająć się - i to pilnie! - budynkiem cesarskim, to z pewnością chodzi o rzecz dużej wagi.

- Mógłby nam pan wreszcie powiedzieć - poprosiła Cloridia słodkim głosem, darząc notariusza uśmiechem, pierwszym tego dnia - czy mógłby pan w końcu powiedzieć, o co właściwie chodzi? Na czym polega działalność, którą dzięki szczodrości opata Melaniego i wspaniałomyślności waszego cesarza mój małżonek będzie miał zaszczyt wykonywać w tak cudownym mieście, jakim jest Wiedeń?

- Och, *pardon*). Myślałem, że się pani domyśliła: będzie pracować jako *Rauchfangkehrermeister*.

- To znaczy?

- Zaraz, jak to się mówi po włosku? Przetykacz... nie... czyściciel... Już wiem: kominiarz!

Rozległ się głuchy odgłos. Cloridia upadła zemdlna.

Czwartek

9 kwietnia 1711 roku Dzień pierwszy

*Godzina, 11: w Wiedniu rzemieślnicy, sekretarz, nauczyciele języków, księża, sprzedawcy, lokaje i dorożkarze spożywają obiad*

Popijając gorący napar z ziół, patrzyłem na bawiącego się synka i jednocześnie przeglądałem przypadkowo znaleziony „Nowy Kalendarz Krakowski” na rok 1711. Zbliżało się południe. Dopiero co, za umiarkowaną cenę ośmiu kreuzerów, zjadłem w gospodzie obfity posiłek z siedmiu dań, pełnych mięsa. W Wiedniu taki obiad zjadał codziennie każdy prosty rzemieślnik, w Rzymie natomiast mógłby sobie na niego pozwolić jedynie dostojnik Kościoła.

Jeszcze dwa miesiące temu nie przyszłoby mi do głowy, że mój żołądek może pomieścić tyle jedzenia.

Tak więc, jak każdego dnia, korzystałem z dobroczynnego działania naparu na trawienie, przygotowanego przez Cloridię, siedząc wygodnie w pięknym nowiutkim fotelu, obitym seledynową brokatelą.

1711 lat po narodzinach Jezusa Chrystusa, naszego Zbawiciela, albo - jak wyczytałem

w kalendarzu - po 5660 latach od stworzenia świata, 3707 lat po pierwszej Wielkanocy, 2727 lat po wybudowaniu świątyni Salomona, 2302 lata po niewoli babilońskiej, 2463 lata po założeniu Rzymu przez Romulusa, 1757 lat po powstaniu cesarstwa rzymskiego z Juliuszem Cezarem na czele, 1678 lat po zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa, 1641 lat po zburzeniu Jerozolimy za panowania Tytusa Wes-pazjana, 1582 lata po ustanowieniu czterdziestodniowego postu i odkąd święci ojcowie kazali chrzczyć wszystkich chrześcijan, 1122 lata po powstaniu imperium otomańskiego, 919 lat po koronacji Karola Wielkiego, 612 lat po zdobyciu Jerozolimy przez Godfryda z Bouillon, 468 lat po wyparciu łaciny z oficjalnych niemieckich dokumentów kancelaryjnych, 340 lat po wynalezieniu rusznicy, 258 lat po upadku Konstantynopola, 278 lat po wynalezieniu druku przez Jana Gutenberga z Moguncji i 241 lat po wynalezieniu papieru przez Antoniego i Michała Gallicionesów z Bazylei, 220 lat po odkryciu Nowego Świata przez Krzysztofa Kolumba z Genui, 182 lata po pierwszym oblężeniu Wiednia przez Turków i 28 lat po oblężeniu drugim, i zarazem ostatnim, po 129 latach od zmodyfikowania kalendarza gregoriańskiego, 54 lata po wynalezieniu zegara stojącego, 61 lat po narodzinach naszego papieża Klemensa XI, 33 lata po narodzinach Jego Cesarskiej Wysokości Józefa I i po 6 latach od objęcia przez niego tronu cesarskiego, a więc w tym chwalebnym Anno Domini, w którym żyliśmy, Cloridia i ja staliśmy się szczęśliwymi posiadaczami fotela, a właściwie dwóch foteli.

Meble te nie były darem litościwych ludzi, kupiliśmy je sobie sami, z dochodów naszego małego rodzinnego przedsiębiorstwa. Korzystaliśmy z nich w naszym lokum w klasztorze augustianek, gdzie nadal mieszkaliśmy w oczekiwaniu, aż zakończy się budowa dodatkowej kondygnacji domu w podmiejskiej dzielnicy Josephina.

Tego dnia, w pierwszy czwartek po Wielkiej Nocy, minęły dwa miesiące od naszego przyjazdu do cesarskiej stolicy. Zapomnieliśmy o nędzy, jaką cierpieliśmy w Rzymie.

Polepszenie warunków życia stało się możliwe dzięki mojej pracy w charakterze wiedeńskiego kominiarza, a dokładniej mówiąc, majstra kominiarskiego za zgodą trybunału - *Hofbefreiter Rauchfangkehrermeister*, jak się mówi w tych stronach, gdzie nawet prości ludzie lubią przydać sobie powagi za pomocą tytułów i tytułików. Zawód, we Włoszech, jak już mówiłem, uważany za poślednie i brudne zajęcie, w arcyksięstwie Austrii był uznawany za sztukę. Tam panowało przekonanie, że kominiarze przynoszą pecha, tu natomiast, kiedy szliśmy ulicą, każdy chciał dotknąć naszego munduru na szczęście.

Co więcej, majster kominiarski cieszył się poważaniem i godnymi pozazdrośczenia dochodami. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że w zależności od kraju żaden inny zawód nie jest tak bardzo poważany lub lekceważony jak ten.

Tu nie było obdartych kominiarzy, błakających się od miasta do miasta w poszukiwaniu pracy i podejmujących ją za miskę ciepłej zupy. Nie było wyzysku dzieci, odebranych najbiedniejszym rodzinom, nie było *fam, film, frecc*, czyli głodu, dymu i zimna - trzech czarnych jeźdźców, którzy w ubogich alpejskich dolinach północnych Włoch symbolizowali to nieszczęsne zajęcie.

Wystarczyło porzucić te doliny i przybyć do cesarskiej stolicy, aby wszystko radykalnie się odmieniło. W Wiedniu pracowali wyłącznie kominiarze mieszkający tu na stałe. Mieli zezwolenie na pracę, świadectwo przynależności do cechu, określony cennik usług (12 fenigów za zwykle czyszczenie komina), stopnie hierarchii zawodowej (majster, pomocnik i uczeń), dom z warsztatem, nierzadko, jak w moim przypadku, z dziedzińcem i winnicą.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wszyscy wiedeńscy kominiarze byli Włochami.

Pierwsi z nich ścignęli do Wiednia przed dwoma stuleciami, razem z majstrami budowlanymi, którzy przeszczepili na ten grunt włoską sztukę architektoniczną. W rozrastającym się mieście wybuchało coraz więcej pożarów. Cesarz Maksymilian I postanowił więc zatrudnić kominiarzy na stałe. W siedzibie naszego cechu wisiał na ścianie, czczony niczym relikwia, dokument z 1512 roku, w którym cesarz nakazywał przyjąć do pracy w charakterze kominiarza niejakiego Hansa von May-lanth, czyli Giovannina z Mediolanu, pierwszego z naszych współbraci.

W ciągu stu pięćdziesięciu lat zdobyliśmy w mieście silną pozycję. Wystawiane nam zezwolenia na pracę zatwierdza cesarz. Zważywszy na to, że to my, Włosi, byliśmy w Wiedniu pierwszymi kominiarzami, od dwustu lat czynimy starania, żeby mieć wyłączność na uprawianie tego zawodu. Martini, Minetti, Sonvico, Perfetta, Martinolli, Imini, Zoppo, Toscano, Tondu, Monfrina, Bistorta, Frizzi, De Zuri, Gatton, Ceschetti, Alberini, Cecola, Codelli, Garabano, Sartori, Zimara, Vicari, Fasati, Ferrari, Toschini, Senestrei, Nicoladoni, Mazzi, Bulloni, Polloni - oto nazwiska pojawiające się w zakładach kominiarskich. Wszystkie należą do Włochów, na ogół ze sobą spokrewnionych. Zawód kominiarza stał się bowiem dziedziczny, przechodził z ojca na syna lub z teścia na zięcia albo na najbliższego krewnego. Niekiedy, wobec braku krewnych, przechodził na drugiego męża wdowy po kominiarzu. Co więcej, kominiarski certyfikat można było sprzedać i nieźle na tym zarobić. Na wydatek co najmniej dwóch tysięcy guldenów rzadko kto mógł sobie pozwolić. Każdego dnia z wdzięcznością myślałem o wspaniałomyślnym gościu opata.

Gdyby tak moi rodacy, kominiarze z Półwyspu Apenińskiego, wiedzieli, w jakim piekle żyją, podczas gdy niedaleko, po drugiej stronie Alp istnieje prawdziwy raj!

Zarabiałem bardzo dobrze. Każdy kominiarz miał swój rewir. Jeśli o mnie chodzi, to miałem szczęście. Otrzymany w darze od opata Melaniego zakład w podmiejskiej dzielnicy Josephina - od imienia naszego cesarza - położony był w bliskim sąsiedztwie miasta. Arystokracja miała tu swoje letnie rezydencje. W jeden miesiąc mogłem zarobić więcej niż w ojczyźnie przez całe życie.

Będąc Włochem, opat Melani nie miał większych trudności z kupieniem dla mnie przedsiębiorstwa. Za pieniądze wszystko się załatwi. Musiał jedynie sfałszować wymagane dokumenty, takie jak akt urodzenia, życiorys *et cetera*. Kiedy stawiałem się w siedzibie cechu, przyjęto mnie raczej chłodno, czemu się zresztą nie dziwiłem. Moja nominacja na kominiarza „za zgodą trybunału” była źle widziana przez kolegów, którzy musieli się sporo natrudzić, aby zdobyć to, co mnie podano na srebrnej tacy. Kominiarz z Rzymu wzbudzał ich nieufność. Wszyscy moi koledzy pochodzili bowiem z dolin alpejskich, z kantonów Ticino czy Grigions. Przyglądali się mojej pracy, niepewni, czy dobrze wykonuję nasz zawód. Pieniądze Atta mogły wiele zdziałać, to prawda, ale z pewnością nie pomogłyby zmienić w kominiarza amatora, który przez niezajomość fachu mógłby nawet spowodować pożar w mieście.

Clordia i ja rozpoczęliśmy zatem nowe życie w dostojnej stolicy cesarstwa, gdzie, jak zauważył kardynał Piccolomini, przekraczając próg najskromniejszego domu, odnosiło się wrażenie, że wchodzi się do książęcego pałacu. Każdego dnia przez okazałe bramy do miasta wtaczały się nieprzeliczone wozy z jajami, rakami, workami mąki, mięsem, rybami, ptactwem. Samego wina dostarczano ponad trzysta wozów. Z nastaniem zmierzchu wszystko to znikало w żołądkach wiedeńczyków. Ze zdumieniem przyglądaliśmy się z Clordia żarłocznemu, myślącemu tylko o napchaniu brzucha gminowi, który każdej niedzieli przejadał tyle pieniędzy, ile w Rzymie zarabialiśmy przez rok. Niezwykła obfitość pożywienia i wieczna uczta stały się także naszym udziałem.

Jak już mówiłem, hojność opata Melaniego mogła się urzeczywistnić dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Otóż Jego Cesarska Wysokość Józef I zapragnął odrestaurować stary budynek za murami Wiednia. Potrzebował fachowca do odnowienia przewodów kominowych i zabezpieczenia budowli przed pożarem. Nie mogłem od razu po zdobyciu uprawnień kominiarza rozpocząć pracy, ponieważ zaczęły się obfite opady śniegu. Ponadto budynek częściowo się zawalił i najpierw należało wykonać prace murarskie. Dopiero dzisiaj miałem po raz pierwszy udać się do posiadłości cesarza.

Zastanawiałem się, dlaczego cesarz nie zlecił tego zadania jednemu z kominiarzy nadwornych, zajmujących się rezydencjami królewskimi.

Opat Melani kupił nam parterowy domek niedaleko kościoła św. Michała, w dzielnicy



Josephina, zlecając wybudowanie dodatkowej kondygnacji, której jeszcze nie ukończono. Niebawem mieliśmy się tam przenieść i cieszyć się luksusem posiadania domu, z zakładem kominiarskim na parterze i częścią mieszkalną na piętrze. Ziściły się nasze marzenia. I pomyśleć, że w Rzymie mieszkaliśmy w suterenie wydrążonej w tufie, dzieląc ją z rodziną takich samych biedaków jak my! Mogliśmy posyłać okazałe sumki naszym córkom pozostałym w Rzymie. Planowaliśmy, że sprowadzimy je do Wiednia, gdy tylko zakończą się prace budowlane w nowym domu.

Darowizna Atta obejmowała również pensję dla nauczyciela, który miał udzielać naszemu synkowi lekcji czytania i pisania po włosku, ponieważ, jak napisał w liście dołączonym do dokumentów: „Włoski jest językiem międzynarodowym, co więcej, jest oficjalnym językiem dworu cesarskiego, gdzie prawie nie słychać innej mowy. Cesarz, podobnie jak jego ojciec i dziad, słucha kazań po włosku, a kawalerowie tych ziem mają taką słabość do naszej nacji, że prześcigają się w podróżowaniu do Rzymu i studiowaniu włoskiego. Każdy, kto zna nasz język, cieszy się wielkim poważaniem w całym cesarstwie i nie musi się uczyć żadnego innego”.

Czułem bezbrzeżną wdzięczność dla Melaniego za jego hojny gest, choć było mi przykro, że nie znalazłem w jego liście żadnej wzmianki o nim samym, żadnych oznak życzliwości, jedynie oficjalne pozdrowienia. Być może, pomyślałem, list pisał sekretarz. Atto, zbyt stary i chory, nie zadbał o takie szczegóły.

Odpisałem opatowi, dołączając podziękowania i wyrazy miłości. Nawet Cloridia, przewyciężywszy datującą się od wielu lat nieufność do Atta, skreśliła kilka słów. Posłała mu też szydełkową pelerynkę, nad którą pilnie pracowała kilka tygodni. Na okryciu z flandryjskiej włóczki kamlotowej, ciepłym i miękkim, w ulubionych kolorach opata: żółtym i czerwonym, wyhaftowała jego inicjały.

Nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

Synek właśnie przepisywał do zeszytu proste zdania w narzeczu germańskim, charakterystyczną gotycką kursywą, niezwykle trudną w czytaniu, którą tutejsi mieszkańcy nazywają *current*.

O ile, jak mówił opat Melani, włoski był językiem wiedeńskiego dworu, co więcej - władcy piszący do cesarza mieli obowiązek czynić to po włosku, a nie po niemiecku, o tyle prosty lud posługiwał się głównie niemieckim. Zwykły kominiarz, chcąc wykonywać swój zawód, powinien był znać przynajmniej jego podstawy.

W związku z tym z pieniędzy przeznaczonych przez Atta na nauczyciela włoskiego postanowiłem opłacać również preceptora lokalnego języka. Rodzimej włoszczyzny mogłem

nauczyć syna sam, podobnie jak uczyniłem to, z dobrymi wynikami, w przypadku córek. Co drugi wieczór przychodził więc do nas nauczyciel niemieckiego, który przez dwie godziny odsłaniał przed nami tajniki języka teutońskiego. Niemiecki był niebywale trudny i niemal całkowicie odmienny od innych języków, na co uskarżał się kardynał Piccolomini, a czego dowiedziano już w czasach Jana Kapistrana, który z ambony na placu Karmelitów w Wiedniu głosił kazania przeciw Turkom po łacinie. Następnie tłumacz przez trzy godziny powtarzał wszystko po niemiecku.

Synek uczył się bardzo szybko, natomiast Cloridia i ja musieliśmy włożyć w naukę dużo trudu. Większe postępy czyniliśmy w czytaniu, głównie dzięki temu, że, jak wcześniej mówiłem, późnym rankiem od 9 kwietnia 1711 roku, podczas krótkiej przerwy poobiedniej, zwykłem czytać (raczej swobodnie) „Nowy Kalendarz Krakowski”, autorstwa Mat-thiasa Gentillego, hrabiego Rodari z Trydentu.

Jak każdy majster kominiarski w Wiedniu, ja także miałem swojego *Lehrjunge*, ucznia. Był nim, ma się rozumieć, nasz synek, który, mając zaledwie osiem lat, doświadczył i nauczył się więcej niż chłopiec dwa razy starszy od niego.

- Chodź! Pospiesz się! - powiedziała Cloridia. - Za chwilę będą na naszej ulicy. Ja muszę wracać do pałacu!

Dzięki pomocy *Chormaisterin* moja małżonka znalazła dobrą pracę w bliskim sąsiedztwie klasztoru. Przy ulicy Bramy Niebios - Himmel-pfortgasse, jak mówią wiedeńscy - wznosiła się budowla o niezwykle prestiżowym charakterze, jaką był pałac zimowy Najjaśniejszego Księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, przewodniczącego cesarskiej rady wojennej, wielkiego wodza w służbie cesarstwa w wojnie z Francją, a także zwycięzcy nad Turkami. Otóż tego dnia w pałacu miało dojść do wydarzenia najwyższej wagi: w południe oczekiwano przyjazdu ambasadora oto-mańskiego z Konstantynopola. Było to duże przeżycie dla Cloridii, urodzonej w Rzymie, z matki Turczynki, nieszczęsnej niewolnicy, która dostała się w ręce wroga.

Dwa dni wcześniej, we wtorek, na pięciu łodziach, które przybiły do Wyspy Leopolda, położonej w odnodze Dunaju najbliżej bastionów, przybył do Wiednia turecki aga Cefulah Capichi Basza\*[\* W rzeczywistości nazywał się Zeifullah Aga, w Konstantynopolu pełnił urząd Capigi Ba-schi, ale w gazetach z epoki pisano o nim w ten sposób.] w otoczeniu dwudziestoosobowej świty. Tureckiemu dostojnikowi przydzielono okazałą kwaterę na wspomnianej wyspie. Nikt dokładnie nie wiedział, po co ambasador Wysokiej Porty Otomańskiej zjechał do Wiednia\*[\* Wysoka Porta Otomańska - za czasów sułtanów nazwa dworu lub państwa tureckiego (przyp. tłum.).].

Pokój z Turkami trwał już wiele lat, od 11 września 1697 roku, kiedy księżę Eugeniusz rozgromił ich wojska w bitwie pod Zentą, zmuszając Osmanów\*[\* Osmańczycy - dawna nazwa Turków, od imienia sułtana Osmana; przymiotniki „osmański”, „otomański” i „turecki” używane są więc zamiennie (przyp. tłum.).] do zgody na późniejszy pokój w Karłowicach. Obecnie wojna toczyła się nie z niewiernymi, lecz z katolicką Francją o tron hiszpański. W stosunkach z Wysoką Porta, niegdyś tak napiętych, nie zanosilo się na nic złego. Nawet na niespokojnych Węgrzech, gdzie od stuleci wojska cesarskie walczyły z armią Mahometa, wydawało się, że nasz umiłowany Józef I, nie bez przyczyny nazywany Zwycięskim, zdołał w końcu poskromić nieposłusznych mu książąt, porywczych i gotowych do bójk.

Pomimo to w drugiej połowie marca z Konstantynopola przybył kurier z pilną wiadomością do Najjaśniejszego Księcia Eugeniusza o nadzwyczajnej wizycie tureckiego agi, który miał stawić się w Wiedniu w końcu miesiąca. Decyzję o poselstwie ambasadora wielki wezyr Mehmet Pasza podjął najwidoczniej w ostatniej chwili, wysyłając kuriera bez stosownego wyprzedzenia. Zakłóciło to plany Sabauda, albowiem już od połowy miesiąca był on gotowy wyruszyć w kierunku Hagi, by wziąć udział w wojnie.

Wielki wezyr miał zapewne ważny powód, aby wyruszyć z Konstantynopola do Wiednia zimową porą. Jak wynikało z gazety, która wpadła mi w ręce, taka podróż trwa blisko cztery miesiące, jest niezwykle ciężka i niebezpieczna. Po drodze trzeba przemierzyć otwarte przestrzenie od Adrianopola i Filipopola do Nikopola. W Sofii błoto na ulicach sięga kolan. Między tureckimi ubogimi miasteczkami Selivrea i Kinigli a bułgarskimi Hisardszik, Dragoman i Kalkali rozciąga się bezkresna, pusta równina. Z rozkazu sułtana w ufortyfikowanych pałankach, jak Pasa Palanka, Leksinca i Rašin, nadgranicznych warowniach, od lat wegetują zapomniane oddziały żołnierzy tureckich...

Najtrudniejsze do pokonania były chyba góry w Bułgarii. Niektóre przełęcze, na przykład Porta Traiana, były tak wąskie, że mógł się przez nie przecisnąć tylko jeden wóz. Drogi są tam pełne błota i kamieni, zasypane śniegiem, a wiatr tak silny, że może przewrócić załadowany wóz. Przeprawa do Belgradu przez Sawę i Morawę, wpadające do Dunaju w Smerediewie, trwa osiem godzin. Zimą rzeki pozbawione są mostów i łodzi, zatopionych podczas jesiennych powodzi. Następnie, ostatkiem sił, trzeba przepłynąć po lodowatych wodach Dunaju na pokładzie tureckich barek, które w każdej chwili mogą się roztrzaskać o kry, zwłaszcza w przesmyku Żelaznej Bramy, szczególnie niebezpiecznym przy niskim stanie wody w rzece.

Nie bez powodu zatem już pierwsze otomańskie poselstwa, świadome ogromnego

ryzyka, podróż tę tradycyjnie odbywały wiosną, nigdy w zimie. Powrót następował z nastaniem kolejnej wiosny. Turcy nigdy nie odstępowali od tej reguły. W Wiedniu do tej pory wspominano niepowodzenia, jakie spotkały radcę stanu, szambelana i prezydenta Najwyższej Rady Cesarskiej Wolfganga hrabiego Ottingen, którego - po podpisaniu pokoju w Karłowicach 26 stycznia 1699 roku - przyszedł cesarz Józef I wysłał z misją specjalną do wielkiego ambasadora Wysokiej Porty Otomańskiej. Hrabia długo zwlekał z przygotowaniem do podróży i dopiero 20 października, wraz z dwustuosiemdziesięcioosobową świtą, ruszył Dunajem do Konstantynopola. Dotarłszy przed Bożym Narodzeniem do niegościnnych gór Bułgarii, przeżył, jak to się mówi, prawdziwą gehennę.

Na przekór tradycji turecki aga wyruszył w drogę w środku zimy. Widocznie wielki wezyr miał nader pilną wiadomość dla księcia Eugeniusza! Z drżeniem serca cesarz i wszyscy wiedeńscy codzienne patrzyli na Dunaj, oczekując fanfar janczarów, zwiastujących przybycie agi i jego licznej świty. Spodziewano się co najmniej siedemdziesięciu łodzi i pięciuset osób, nie mniej niż trzystu - tyle w każdym razie od niemal stu lat liczyły tureckie poselstwa.

Turecki aga dotarł do celu 7 kwietnia, z ponadtygodniowym opóźnieniem. Tego dnia napięcie w Wiedniu sięgnęło zenitu. Cesarz Józef I, uznawszy za politycznie poprawne okazanie Turkom wspaniałomyślności, udał się z rodziną do kościoła Karmelitów Bosych, znajdującego się w tej samej dzielnicy, na Wyspie Leopolda na Dunaju, gdzie zakwaterowano Turków. Jakież było jego zdziwienie, kiedy po zejściu agi na ląd, w otoczeniu rozpostartych chorągwi, przy wtórze bębnow i piszczałek, okazało się, że świta osmańskiego wysłannika liczy co najwyżej dwadzieścia osób! Z gazety dowiedziałem się później, że turecki dygnitarz oprócz tłumacza zabrał ze sobą tylko najbliższe sługi: nadwornego prefekta, skarbnika, sekretarza, pierwszego kamerdynera, stajennego, szefa kuchni, służącego podającego kawę i imama, który - jak napisał autor artykułu, nie kryjąc zdziwienia - nie był Turkiem, lecz hinduskim derwiszem. Służący, kucharze, stajenni i inni pracownicy zostali zwerbowani spośród Turków z Belgradu, podobnie jak dwaj janczarzy: chorąży i amunicyjny. Z tak uszczuploną świtą wysłannik wielkiego wezyra podróżował do Wiednia tylko dwa miesiące (z Konstantynopola wyruszył 7 lutego).

Najjaśniejszy Książę wysłał po gości sześciokonną karetę oraz czwórkę osiodłanych koni w ozdobnej, złoto-srebrnej uprzęży. Tureckie poselstwo wjechało do miasta przez most Bitwy, minęło Czerwoną Wieżę, plac Lugeck, katedrę Św. Szczepana i dotarło do pałacu.

W pośpiechu wyszedłem z domu. Zdążyłem w ostatniej chwili. Pod okiem

zaciekawionego tłumu orszak, poprzedzany dwudziestoosobowym konnym oddziałem żołnierzy straży miejskiej pod wodzą porucznika Herlitski, oddelegowanych do ochrony poselstwa podczas pobytu w Wiedniu, wyjechał właśnie z ulicy Karynckiej. Z powodu tumanów kurzu wzbitego kopytami nadjeżdżających koni oraz wielkiego ścisku ludzka ciżba przygniotła mnie do muru narożnego domu, między Bramą Niebios a ulicą Karyncką. Na przedzie jechała karetą z cesarskim kwatermistrzem, który z zachowaniem ceremoniału odebrał tureckie poselstwo na granicy. Za nią, wywołując powszechne zdumienie, posuwał się dziwny jeździec w podeszłym, trudnym do określenia wieku - hinduski derwisz, jak usłyszałem w tłumie - następnie trzech *chiaus* na koniach, tureccy oficerowie sądowi. Jeden z nich, ten z prawej strony, którego konia prowadzili dwaj słudzy idący pieszo, trzymał widoczną z daleka poduszkę w szkarłatnej satynowej poszewce z leżącą na niej pochewką z czystego złota. W środku był list akredytacyjny wielkiego wezyra, owinięty zieloną taftą haftowaną w srebrne kwiaty, zalakowany czerwoną pieczęcią wielkiego wezyra. Po jego lewej stronie jechał tłumacz Wysokiej Porty.

Na końcu posuwała się sześciokonna karetą wysłana przez księcia Eugeniusza. W jej wnętrzu tłum dostrzegł, wśród szmeru ciekawości, tureckiego agę w wielkim turbanie na głowie, w szacie z żółtej satyny i płaszczu z czerwonej tkaniny podszytej sobolowym futrem. Naprzeciw agi siedział, jak zrozumiałem z rozmowy dwóch kobiet stojących obok mnie, tłumacz cesarza. Po obu stronach karety szli w pośpiechu, sapiąc z wysiłku, dwaj lokaje księcia sabaudzkiego i czterej słudzy agi, za którymi jechał kolejny Turek, zapewne pierwszy kamerdyner. Orszak zamykali pozostali słudzy agi i żołnierze straży miejskiej.

Gdy orszak przejechał, udałem się do pałacu książęcego. Zgodnie z moimi przewidywaniami, przy głównej bramie spotkałem Cloridię, która żywo rozprawiała z jednym z tureckich lokajów.

Jak już wcześniej mówiłem, dzięki pomocy *Chormaisterin* Camilli de' Rossi moja małżonka znalazła pracę, tymczasową wprawdzie, ale dobrze płatną i o dużym prestiżu. Clordia dość dobrze mówiła po turecku, zatrudniono ją więc do pomocy w kontaktach osmańskich posłów ze służącymi księcia Eugeniusza, którymi nie mogli zajmować się przecież dwaj tłumacze z urzędu, przeznaczeni do oficjalnych rozmów.

- Zgoda, ale nie więcej niż jedną karafkę. Tylko jedną, rozumiano? - powiedziała Clordia, kończąc sprzeczkę z lokajem.

Popatrzyłem na nią pytająco, bo choć słowa te wypowiedziała po włosku, chytre spojrzenie tureckiego lokaja świadczyło o tym, że doskonale ją rozumiał.

- W bitwie pod Zentą trafił do niewoli i nauczył się trochę włoskiego - wyjaśniła, gdy

Turek zniknął za pałacową bramą. - Wino i wino, bez przerwy dopominają się o wino. Obiecałam, że po cichu załatwię jego kompanom karafkę wina. Poproszę o nią siostry z klasztoru przy Bramie Niebios. Ale tylko jedną! W przeciwnym razie dowie się o tym aga i każe im poucinać głowy. I pomyśleć, że cesarski kwatermistrz każdego dnia wydaje blisko pięć litrów wina, dwa litry piwa i pół litra nalewki Armenom, Grekom i Żydom ze świty agi. Zastanawiam się, dlaczego ci Turcy nie nawrócą się na religię Naszego Pana, który pozwala pić wino nawet księżom?

- Może ja pójdę po wino? - zaproponowałem, idąc obok niej.

- Dobry pomysł! Ale powiedz siostrze szafarce, żeby wydała karafkę najgorszego wina, Liesing lub Stockerau, które stosuje się do wywabiania plam w izbie chorych, żeby lokaje agi zbyt nie rozsmakowali.

Kiedy pałacowa brama zaczęła się zamykać, Clordia szybko wbiegła do środka i zanim się zatrzasnęła, rzuciła mi rozradowane spojrzenie.

Jakże wypiękniała moja małżonka, pomyślałem, stojąc przed zamkniętą bramą pałacu. Przez ostatnie dwa lata, pełne trudności i wyrzeczeń, straciła siły i posmutniała, a jej twarz nie była już tak pogodna i wesoła jak dawniej. Teraz jednak, kiedy tak dobrze nam się wiodło, znowu się uśmiechała, miała zarumienione policzki, gładkie czoło, różową cerę, pogodny wyraz twarzy i piękne, bujne włosy tak jak niegdyś. Żona miała już swoje lata i zmarszczki nie zniknęły, ale złagodniały, co więcej, doskonale harmonizowały z jej wesołą fizjonomią. Zawdzięczałem to opatowi Melanemu.

Idąc do klasztornej spiżarni, myślałem, jak zawiała i pogmatwana była nić łącząca Cloridię, Atta i mnie. Na całym moim życiu kładł się cień Wysokiej Porty Otomanskiej. Kiedy przed jedenastu laty pracowałem w willi kardynała Spady w Rzymie, musiałem podczas przyjęcia w ogrodzie, podobnie jak inni służący, podawać do stołu w przebraniu janczara, ku uciesze biesiadników, między innymi opata Melaniego. Clordia zaś była córką tureckiej niewolnicy. Urodziła się w Rzymie i na chrzcie otrzymała imię Maria. Jako młodą dziewczynę porwano ją i wywieziono do Amsterdamu, gdzie została zhańbiona i zmuszana do sprzedawania własnego ciała. W poszukiwaniu ojca wróciła do Wiecznego Miasta i tam znalazła - dzięki Bogu - miłość i wzięła ślub z niżej podpisanym. Jak już mówiłem, poznaliśmy się w gospodzie Donzello, gdzie wówczas pracowałem, we wrześniu 1683 roku, w czasie słynnej bitwy chrześcijan z niewiernymi u bram Wiednia, zakończonej, chwała Najwyższemu, zwycięstwem prawdziwej wiary. Jednym z gości Donzella był wówczas Atto Melani.

Clordia opowiedziała mi o cierpieniach, jakich doświadczyła po porwaniu, ale o

matce nie chciała rozmawiać. „Nie znałam jej” - skłamała na początku naszej znajomości. Później rzuciła niefrasobliwie, że zapach kawy przypomina jej matkę, a przyłapaną na niekonsekwencji, pragnąc położyć kres mojej ciekawości, stwierdziła, że nic nie pamięta, „nawet jej twarzy”.

Nie od Cloridii, lecz przypadkiem, w czasach gdy pracowałem w Don-zellu, dowiedziałem się, że jej matka była niewolnicą wpływowego rodu Odescalchich, tego samego, dla którego pracował jej ojciec. Na krótko przed porwaniem Cloridii sprzedano ją, rozdzielając z ojcem dziecka, ponieważ oficjalnie nie byli zaślubieni.

Nic nie wiedziałem o wczesnym dzieciństwie mojej małżonki. Cloridia posepniała, gdy tylko córki lub ja o to pytaliśmy.

Była niezwykle zaskoczona, kiedy kilka tygodni temu *Chormaisterin* zaproponowała jej pracę u księcia sabaudzkiego w charakterze tłumaczki służących tureckiego agi. Cloridia rzuciła mi groźne spojrzenie, ponieważ domyśliła się, od kogo Camilla dowiedziała się, że w jej żyłach płynie osmańska krew...

Ja również byłem zaskoczony, ale z innego powodu: aż do dziś nie wiedziałem, że moja żona tak dobrze mówi po turecku. Tymczasem bystra *Chormaisterin* była tego pewna, mimo że powiedziałem jej, iż Cloridię bardzo wczesnie straciła matkę.

W klasztorным krużganku o mały włos nie zderzyłem się z dwoma tragarzami, którzy nieśli ogromny kufer, zataczając się pod jego ciężarem. Niewiele brakowało, a odbiliby nim tynk ze ściany, ku wielkiemu niezadowoleniu starej dozorczyńni.

- Wasz pan musiał chyba nabrać ubrań na dziesięć lat - mruknęła pod nosem zakonnica, mając zapewne na myśli gościa, który niedawno przyjechał.

*Godzina 13: w Wiedniu arystokraci spożywają obiad (w Rzymie dopiero się budzą), w kawiarniach gromadzą się dworscy urzędnicy, a w teatrach rozpoczynają się spektakle.*

Ów dzień był ważny z dwóch powodów: Cloridia podjęła pracę w pałacu księcia, wybitnego wodza, a zarazem doradcy cesarza, ja zaś śpieszyłem się do moich obowiązków w służbie Najjaśniejszego Pana Józefa I. Po mroźnych zimowych miesiącach i równie ciężkim początku wiosny nastaly pierwsze ciepłe dni. Śniegi stopniały także na przedmieściach Wiednia, nadeszła więc pora, aby zadbać o przewody kominowe w opuszczonym budynku cesarskim, którym miałem się zająć jako nadworny kominiarz.

Jak już wspominałem, na skutek mrozów przez długi czas nie mogłem podjąć pracy w budynku. Powódź po odwilży zniszczyła wszystkie mosty w górnym biegu Dunaju i zalała podmiejskie ogrody. Natomiast bliżej ujścia na rzece zalegała kra. Mniej zawistni kominiarze szczerze odradzali mi rozpoczęcie prac przed nastaniem prawdziwej wiosny.

Owego pięknego ranka w początkach kwietnia świeciło słońce i choć było jeszcze bardzo zimno, przynajmniej jak dla mnie, uznałem, że nadeszła pora zająć się opuszczonym budynkiem Jego Wysokości.

Korzystając z okazji, *Chormaisterin* poprosiła mnie o drobną przysługę. Otóż mniszka, administrująca klasztorem Dziewic u Bramy Niebios, chciała, bym po drodze zaszedł do należącej do zakonu piwnicy wśród winnic na równinie Simmering, niedaleko miejsca, do którego zmierzałem, i rzucił okiem na kominiek, wymagający oczyszczenia. Dostałem klucz od piwnicy i obiecałem Camilli, że zajmę się wszystkim, gdy tylko będzie to możliwe.

Zabrałem synka i wyszedłem na ulicę, gdzie czekał już na mnie pomocnik. Siedział w dwukółce zaprzęgniętej w muła i uśmiechał się szeroko, jak zwykle.

Oprócz ucznia majster kominiarski potrzebował *Geselle*, pomocnika, pracownika, posługacza - jak kto woli. Mój pomocnik był Grekiem, miał na imię Simonis. Poznałem go w klasztorze obok Bramy Niebios, gdzie był czasowo zatrudniony do porządkowania piwnic. Przed dwoma miesiącami zaprowadził Cloridię i mnie do notariusza.

Gdy Simonis dowiedział się, że niżej podpisany jest właścicielem zakładu kominiarskiego, zapytał, czy nie potrzebuję pomocnika. Camilla namawiała mnie gorąco, bym go zatrudnił, zapewniając, że będę miał z niego pożytek. Przyjąłem go więc do pracy. Na razie nadal mieszkał w klasztorze. Gdy skończy się remont domu w dzielnicy Josephina, zamieszka u nas, jak każdy pomocnik majstra.

Często zdarzało mi się rozmawiać z Simonisem, jeśli tak można powiedzieć. Wymiana zdań między nami była dość męcząca. On mówił po grecku, ja słabo po niemiecku. Simonis, zawsze w dobrym humorze, zadawał mi mnóstwo pytań, mniej lub bardziej niewinnych, wtrącając niekiedy jakiś dowcip. Jeśli udało mi się go zrozumieć, byłem bardzo zadowolony i doceniałem towarzystwo sympatycznego, acz dziwaczego Greka, tak odmiennego od szorstkich wiedeńczyków.

Simonis, z czarną grzywką opadającą na czoło, podczas rozmowy nagle poważniał, wbijając we mnie swoje modre oczy. Nie wiedziałem, czy przysłuchiwał się z uwagą moim odpowiedziom, czy błądził myślami gdzie indziej. Miał wystające górne zęby jak u królika. Zwykł wysuwać do przodu prawe przedramię, kierując dłoń w dół. Sprawiał dobre wrażenie. Na pewno miał prawy charakter i wykazywał jak najlepsze chęci, tylko nie zawsze dobrze się rozumieliśmy.

Pewnego dnia niespodziewanie odkryłem, że mój młody pomocnik zna włoski. Podczas czyszczenia bardzo wąskiego przewodu kominowego nagle poczułem, że osuwam



się w dół. Zmęczony dukaniem po niemiecku, instynktownie krzyknąłem w moim rodzinnym języku, żeby przytrzymał mocno sznur, do którego byłem przywiązany.

- Już się robi, panie majstrze! - odkrzyknął po włosku.

- Mówisz po włosku?

- Tak - odparł krótko.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Bo mnie pan nie pytał, panie majstrze.

Wypytawszy go, dowiedziałem się, że Simonis Rimanopulos (tak brzmiało jego nazwisko) przebywał w Wiedniu nie dlatego, że poszukiwał jakiegoś zajęcia, żeby się utrzymać, ale z pobudek o wiele szlachetniejszych: był studentem. Medycyny, gwoli ścisłości. Studia rozpoczął na uniwersytecie w Bolonii i tam nauczył się włoskiego. Głód, który dotknął Europę w 1709 roku, i marzenia o lepszym życiu zawiadły Simonisa do bogatego Wiednia i słynnego uniwersytetu Alma Mater Rudolphina, gdzie studiowała młodzież z Węgier, Polski, wschodnich Niemiec i wielu innych krajów.

Mój grecki pomocnik należał do kategorii *Bettelstudenten*, to znaczy biednych studentów, pozbawionych środków do życia, utrzymujących się z najprzeróżniejszych zajęć, także z żebractwa, jeśli zaszła taka potrzeba.

Simonis miał prawdziwe szczęście, że go zatrudniłem. W Wiedniu *Bettelstudenten* nie byli mile widziani. Mimo iż prawo tego zabraniało, wśród studentów i nie tylko - dołączali do nich i inni młodzieńcy, choć nie byli studentami - było wielu włóczęgów żebrzących dniem i nocą na ulicach, przed kościołami, domami, a nawet podczas wykładów. Niektórzy próżnowali, kradli i dokonywali napadów. Wiedeńczycy dobrze pamiętali zamieszki z 17 i 18 stycznia 1706 roku, wywołane w centrum, na przedmieściach i w Nussdorfie. Do tej pory prowadzono śledztwo (staranne, lecz daremne), aby ustalić winnych i surowo ich ukarać. Ta część żakowskiej braci rzucała cień na porządnych studentów. Po rozruchach sprzed pięciu lat Jego Cesarska Wysokość, pragnąc raz na zawsze wykorzenić godne pożałowania *betteln*, żebractwo, jak nazywano włóczenie się i oddawanie się nieróbstwu pod pretekstem studiów, polecił rektorowi starego wiedeńskiego uniwersytetu wydać walkę *Bettelstudenten*. Ci, którzy zamiast nauką zajmowali się żebranią na ulicach, musieli w ciągu 14 dni opuścić stolicę cesarstwa. Nieposłusznych aresztowano, osadzano *ad Carceres Academicos*, w więzieniach uniwersyteckich, i poddawano surowej karze. Z kolei studenci, którzy uczyli się sumiennie i systematycznie, ale nie mieli środków utrzymania, mogli starać się o stypendium w *Alumnates*. Ci, którym nie udało się uzyskać stypendium lub z powodu szczególnie czasochłonnych zajęć na uczelni nie mogli zdobywać środków do życia inaczej niż żebrząc,

mogli to robić nadal, pod warunkiem legitymowania się odnawianym co miesiąc na uniwersytecie znakiem rozpoznawczym prawdziwych *Bettelstudenten*, noszonym na szyi. W przeciwnym razie mogli być uznani nie za prawdziwych biednych studentów, ale za niby-studentów włóczęgów i groziło im aresztowanie.

Oto dlaczego Simonis tak zabiegał o pracę u mnie w charakterze pomocnika kominiarza: nie chciał utrzymywać się z żebractwa i trafić do więzienia.

Już się nie dziwiłem, że ten prosty, niepozorny chłopak tak świetnie włada włoskim, co więcej - studiuje medycynę.

- Panie majstrze, chce pan, żebym powoził? Znam drogę.

Ja zaś jedynie w przybliżeniu wiedziałem, że cesarska budowla znajduje się gdzieś na równinie Simmering, na południe od Wiednia, niedaleko miasteczka Ebersdorf. W chwili gdy zlecono mi zajęcie się budynkiem, usłyszałem określenie: Bezimienne Miejsce, zwane Neugebau, nowy budynek. Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej od kolegów po fachu, ale udzielali mi jedynie zdawkowych odpowiedzi, niezbyt życzliwie do mnie usposobieni, zazdrośni o powierzone mi stanowisko. Nikt nie potrafił mi wyjaśnić, co to za budowla. „Nigdy tam nie byłem - powiedział jeden z kominiarzy. - Wydaje mi się, że to rodzaj willi”. Drugi oznajmił, „że chodzi chyba o ogród”. „To pałacyk myśliwski” - zapewniał ktoś inny, a kolejny twierdził, że jest to „woliera” - pomieszczenie dla ptaków. Jedno było pewne: żaden z kominiarzy nigdy nie był w tamtej okolicy i, jak się zdawało, nie miał na to ochoty.

Droga do Bezimiennego Miejsca był długa, toteż z chęcią oddałem lejce Simonisowi. Pozwoliłem mojemu synkowi zająć miejsce obok Greka, który od czasu do czasu przekazywał mu lejce i uczył go powozić. Ja usiadłem z tyłu, wśród narzędzi.

Synek szybko się zmęczył i zasnął. Przywiązałem go więc do dwu-kółki sznurem, żeby nie spadł. Simonis powoził pewną ręką, wprawnie. Ku mojemu zdumieniu milczał, jakby pogrążony w myślach.

Na otwartej przestrzeni, wiodącej ku równinie Simmering, słychać było jedynie skrzypienie kół wozu i uprzęży muła.

Prawdę powiedziawszy, rozmyślałem, uśmiechając się w duchu, wozem jechała trójka dzieci: mój synek, ja, czyli człowiek małego wzrostu, i Simonis, jeszcze prawie dziecko. Patrzyłem na monotony krajobraz, z wolna zapadając w drzemkę.

- Dojechaliśmy, panie majstrze.

Obudziłem się, zesztyniała z zimna i obolała od leżenia na twardych narzędziach. Znajdowaliśmy się na rozległym, opuszczonym dziedzińcu. Gdy Simonis z moim synkiem zeszedł z dwukółki i wyładowywali sprzęt, spojrzałem za siebie. Wjechaliśmy przez dużą

bramę, przez którą widać było drogę wśród pól.

- Jesteśmy w Bezimiennym Miejsu - uściślił Grek, patrząc na moją zaspaną twarz. - Za tą arkadą znajduje się wejście do głównego budynku.

Przed nami wznosił się niski budynek służbowy z arkadą, przez którą przechodziło się na kolejny dziedziniec. Po prawej stronie dostrzeżliśmy otwarte drzwiczki, a za nimi kręte schody. Kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem fragment murów blankowych oraz sześcioboczną wieżę z dachem ozdobionym dziwnymi pinaklami. Wieża, brama, mury i blanki wykonane były z bielutkiego kamienia, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Jego biel poraziła moje zaspane oczy.

- Tędy schodzi się do piwnicy! - zawołał mój syn i pobiegł zbadać teren.

Zatrzymał się przed białą półokrągłą basztą o niespotykanej formie, podobną do apsydy. Od baszty odchodził długi budynek, widoczny po drugiej stronie arkady, będący zapewne budynkiem głównym.

- A więc zejdźmy - powiedziałem. - Czyszczenie przewodów kominowych zaczyna się wszak od piwnicy.

Zsiadłem z dwukółki i razem z Simonisem, niosącym narzędzia, poszliśmy za moim synem.

Przekroczywszy próg piwnicy, zesliśmy w dół po schodach. Ujrzelśmy niskie sklepienie kolebkowe, grube mury, a w głębi jakieś drzwi. Znajdowaliśmy się w rozległym, pustym pomieszczeniu. Nie wyglądało na opuszczone, ale na niedokończone, jakby nagle przerwano prace budowlane.

Podczas gdy moi dwaj pomocnicy macali ściany w poszukiwaniu wlotu przewodu kominowego, poszedłem dalej. Oczy, oślepięte światłem słonecznym, musiały przyzwyczać się do ciemności. Nagle dotknąłem nosem czegoś zimnego. Odruchowo otarłem nos i spojrzałem na palce: były czerwone. Wyteżyłem wzrok.

Wisiął na sznurze i lekko się kołysał. Zakrwawiony tułów. Nagi, bez nóg, ramion i głowy. Do sznura przymocowany był zardzewiałym żelaznym prętem, który przeszywał go w poprzek. Odarli go żywcem ze skóry, pomyślałem zdjęty zgrozą. Miejsca, z których nie sączyła się krew, były bowiem jaskrawoczerwone, z odsłoniętymi nerwami i pasmami białawego tłuszczu.

Przerażony straszliwym widokiem, rzuciłem kominiarskie narzędzia na podłogę i najgłośniej jak umiałem, krzyknąłem do Simonisa, żeby uciekał i ratował dziecko. Sam też pomknąłem do wyjścia.

Simonis, choć nie rozumiał, wykonał polecenie z prędkością błyskawicy. Porwał

mojego synka na ręce i zmykał ile sił w długich nogach. Moje nogi były znacznie krótsze, mimo to miałem nadzieję się uratować. Nadzieja okazała się płonna. Gdy wybiegłem na światło dnia, zobaczyłem na horyzoncie dwukólkę i Simonisa smagającego muła batem. Usłyszałem też odgłos, który zmroził mi krew w żyłach. Na dźwięk tego straszliwego ryku drżą ze strachu ludzie i zwierzęta.

Zanim zrozumiałem, skąd pochodzi, poczułem silne uderzenie, które wyrzuciło mnie w powietrze. Upadając, ponownie usłyszałem donośny ryk i ujrzałem, jak się do mnie zbliża - on, postrach wszystkiego co żyje. Zobaczyłem jego demoniczne oczy, potarganą grzywę, zakrwawione kły. Zerwałem się z ziemi i pobiegłem na oślep, potykając się i drżąc z przerażenia. Nie mogłem uwierzyć w to, że w zimnym północnym kraju, za Alpami, goni mnie lew.

Wypadłem przez drzwiczki po lewej stronie dziedzińca i znalazłem się na niewielkim placyku. Lew z głośnym rykiem zbliżał się coraz bardziej. Nieprzytomny ze strachu, schroniłem się w dużym budynku bez dachu.

Sądziłem, że już nic mnie nie zdziwi, gdy nagle ujrzałem przed sobą... żaglowiec.

Nie miałem wątpliwości: to był żaglowiec, mimo że bardziej przypominał drapieżnego ptaka: miał głowę, dziób, skrzydła i ogon z zatknietą flagą na drzewcu.

Byłem pewien, że padłem ofiarą jakiegoś złego demona i jego zabójczych sztuczek. W przypływie rozpaczyny wskoczyłem na opierzony ogon dziwnego statku i próbowałem wyrwać maszt flagi, żeby użyć go do walki z lwem. Nadal słyszałem jego przeraźliwy ryk, od którego cały budynek drżał w posadach.

Mimo że zręcznie wdrapałem się na ogon ptaka-statku, zabrakło mi sił, żeby wyrwać drzewce i użyć do obrony. Lew był tuż-tuż.

Skoczył w górę, ale nie dosięgnął mnie. Opierzony żaglowiec zakołysał się. Lew skoczył jeszcze wyżej. I nic. Im wyżej skakał, tym wydawał się mniejszy. Z całych sił trzymałem się drewnianych skrzydeł. Statek chwiał się i przechylał. Jego dziwny żagiel - rodzaj kopuły tworzącej grzbiet drapieżnego ptaka - skręcał się i nabierał powietrza jak prawdziwy.

Wszystko wirowało mi przed oczami. Porażone strachem zmysły podpowiadały mi, że ten absurdalny sztuczny ptak za chwilę wzbije się w górę.

- Niedobry Mustafa! Dzisiaj pójdziesz spać bez kolacji! - powiedział ktoś nagle po niemiecku.

Lew położył się spokojnie u jego stóp.

Frosch, tak się nazywał (czuć było od niego winem), wyjaśnił mi, że zwierzę przepada

za ludzkim towarzystwem i kiedy tylko ktoś się pojawi, wita go rykiem radości i skacze, żeby go polizać.

- Bezimienne Miejsce, zwane Neugebau, jest niezwykle - powiedział. - Wzniesiono je około półtora wieku temu, na polecenie Jego Cesarskiej Wysokości, nieodżałowanej pamięci Maksymiliana II. Z dawnego splendoru zachowała się jedynie menażeria, niegdyś obfitująca w egzotyczne zwierzęta, głównie drapieżne. - Podczas rozmowy Frosch głąaskał olbrzymiego lwa, starego już i zmęczonego, którego kilka minut wcześniej wziąłem za groźne zwierzę. - Niedobry Mustafa, oj, niedobry! - skarcił lwa. Drapieżnik posłusznie pozwolił sobie założyć na szyję łańcuch. - Przykro mi, że tak pana wystraszył.

Frosch był strażnikiem menażerii w Bezimiennym Miejscu. Zajmował się lwami i innymi zwierzętami. zaproponował, żebym napił się z jego butelki, z której sam co chwilę pociągał. Odmówiłem. Na myśl o zakrwawionym trupie zbierało mi się na wymioty.

Mój rozmówca odgadł, o czym myślę, i wyjaśnił, że w piwnicy wisiał kawał baraniny. Posłużył się nim, żeby zwabić lwa, który uciekł i wałęsał się nie wiadomo gdzie. Frosch udzielał mi wyjaśnień w jedynym znanym sobie języku, czyli w gardłowym, niepoprawnym niemieckim, używanym przez wiedeńskie pospólstwo. Przytoczyłem zatem poprawną wersję naszej rozmowy. Podczas tej prawdziwej, jak w Wieży Babel, niewiele rozumiałem. Zmuszony byłem prosić o powtórzenie co drugiego zdania. Frosch posapywał ze zniecierpliwienia, popijał sznapsa na poprawę humoru i od czasu do czasu bekał.

- Włoch. Kominiarz - przedstawiłem się słabą niemczyzną. - Ja... czyścić kominy w pałac.

Frosch z zadowoleniem przyjął powód mojej wizyty. Czas najwyższy, żeby jakiś cesarz zajął się Neugebau. Teraz mieszkał w nim tylko on i zwierzęta, oznajmił, wskazując na Mustafę, który ze smakiem pożerał baranie mięso.

Co pewien czas strażnik rzucał zwierzęciu groźne spojrzenie, a Mustafa (nazwany tym imieniem w wyrazie pogardy dla niewiernych) wydawał się ujarzmiony i pełen skruchy. Odnosiłem wrażenie, że lew pozostawał pod urokiem szorstkiego Froscha. Strażnik zapewnił mnie, że mogę czuć się bezpieczny, bo wszystkie zwierzęta są mu ślepo posłuszne. Zdarzają się wyjątki, przyznał półgłosem, mając na myśli to, że lew wymknął się spod kontroli i spacerował sobie swobodnie po całym terenie.

Nie był to więc senny koszmar, pomyślałem z westchnieniem ulgi, schodząc z mojego wierzchowca. Rzuciłem okiem na zagłowiec w nadziei, że nie ma on absurdalnej formy drapieżnego ptaka, która jawiła mi się w chwili, gdy strach zaćmił mi umysł. Było jednak inaczej. Miałem przed sobą tajemniczy obiekt - ni to potwora, ni to maszynę. Stanowił

skrzyżowanie statku z wozem i drapieżnego ptaka z wielorybem. Przód był podobny do dumnej głowy sępa o ostrym, zakrzywionym dziobie, rufa przypominała długi rozwidlony ogon kani, a boki potężne skrzydła orła. Miał długość dwóch wozów, szerokość jednej feluki. Drewno, z którego wykonano ten dziwny obiekt, było już stare, zniszczone, ale nie zbutwiało. Pokład pośrodku rozległej przestrzeni w kształcie balii mógł pomieścić trzy-cztery osoby, oprócz sternika. Cały statek (o ile można było go tak nazwać) był okryty wielkim półkolistym żaglem. Flagę na rufie, której drzewce na próżno próbowałem wyrwać, ozdobił herb zwieńczony krzyżem.

- To flaga królestwa Portugalii - wyjaśnił Frosch.

Tylko to mi się przyśniło: żaglowiec nie unosił się w powietrzu, przeciwnie, mocno stał na ziemi.

Spytałem strażnika, co to za pojazd i w jaki sposób znalazł się w Bezimiennym Miejscu.

Zamiast odpowiedzi, jakby z obawy, że wyjaśnienie mogłoby zająć mu zbyt dużo czasu lub okazać się mało przekonujące, Frosch udał się w kąt pomieszczenia, chwilę grzebał w jakiś papierach, po czym podetknął mi pod nos starą gazetę.

Nawet w przypadku bardzo trudnych języków czytanie jest zajęciem mniej uciążliwym niż konwersacja. Usiadłem więc na ziemi i pogrążyłem się w lekturze. Gazeta nosiła datę sprzed mniej więcej dwóch lat.

**24 czerwca**

**Latający statek ze swym wynalazcą na pokładzie szczęśliwie dotarł z Portugalii do  
Wiednia**

Numer przeznaczony na **targi** w Naumburgu, **rok 1709**

Wiedeń, 24 czerwca 1709 roku

Wczoraj około godziny dziewiątej w mieście zapanowało ogromne poruszenie. Tłumy wiedeńczyków wyległy na ulice. Ci, którzy pozostali w domach, wyglądali przez okna, zastanawiając się, co się dzieje. Nikt nie wiedział, o co chodzi. Jedni biegali to tu, to tam, krzycząc, że nadszedł Dzień Sądu. Inni sądzili, że zaczęło się trzęsienie ziemi, jeszcze inni zapewniali, że u bram miasta stanęła turecka armia. W końcu na niebie ukazało się niezliczone stado ptaków, dużych i małych, które leciały wokół, jak się zdawało, olbrzymiego ptaka. W pewnej chwili cała ta ptasia gromada zaczęła zniżać się ku ziemi i wszyscy mogli się przekonać, że powodem zamieszania nie był gigantyczny ptak, ale maszyna w kształcie statku z rozpiętym żaglem. Na pokładzie znajdował się człowiek w stroju mnicha i wystrzałami z pistoletu obwieszczał swoje przybycie.

Po długiej podróży w przestworzach podniebny kawaler zamierzał osiąść na którymś z wiedeńskich placów, lecz niespodziewany podmuch wiatru pokrzyżował jego plan, spychając go na dzwonnice u św. Szczepana. Żagiel okręcił się wokół jej wierzchołka i maszyna zawisła w powietrzu. Tłum z dzikim wrzaskiem pomknął w stronę katedry. W ścisiku zginęło dwadzieścia osób.

Wszyscy wpatrywali się w człowieka zawieszzonego wysoko w górze. Nieszczęśnik na próżno wyczekiwał pomocy. Po dwóch godzinach, widząc, że nikt się nie kwapi, żeby go wyratować z opresji, stracił cierpliwość, wziął młotek i inne narzędzia, które miał na pokładzie statku, zaczął nimi pukać i stukać, aż w końcu blokujący go wierzchołek dzwonnicy odpadł i runął na ziemię. Maszyna podjęła lot, wykonała kilka skrętów i zręcznie osiadła na ziemi, w pobliżu pałacu cesarskiego.

Niezwłocznie posłano tam kompanię garnizonową do ochrony przybysza przed tłumem. Następnie zaprowadzono go do gospody Pod Czarnym Orłem, gdzie mógł nieco odpocząć. Po godzinnej drzemce kawaler przekazał ambasadorowi Portugalii listy i opowiedział osobistościom, które złożyły mu wizytę, o swojej przygodzie.

Poprzedniego dnia wyruszył z Lizbony o 6 rano na pokładzie latającej maszyny swojego pomysłu. Musiał nieustannie walczyć z orłami, bocianami i innymi gatunkami ptaków. Bez dwóch dubeltówek i czterech fuzji, które miał ze sobą i korzystał z nich na zmianę, nie uszedłby z życiem.

Kiedy przelatywał w pobliżu Księżyca, opowiadał, zorientował się, że został zauważony. Swoim pojawieniem się wywołał ogromne zamieszanie na srebrnym globie. Był tak blisko tej planety, że mógł wszystkiemu dokładnie się przyjrzeć. Dostrzegł góry, jeziora, rzeki, pola, jak również żywe istoty. Miały ręce, jak Ziemianie, ale pozbawione były nóg, pełzały więc jak ślimaki. Na plecach miały żółte pancerze. Mogły się w nich chronić i nie potrzebowały domów. Z tej przyczyny, zdaniem przybysza, na Księżycu nie było ani jednego domu, ani jednego zamku. Według niego, Królestwo Księżyca można by z łatwością zdobyć, nie napotykając oporu. Wystarczyłoby 40-50 latających statków, takich jak ten, który sam skonstruował, z czterema-pięcioma osobami na pokładzie. Zobaczymy, czy Jego Wysokość król Portugalii zechce dokonać podobnego podboju.

W następnym numerze gazety podamy więcej informacji o nowym Teze-uszu. Jego maszynę umieszczono w arsenale.

PS Jak nam przed chwilą doniesiono, latający żeglarz trafił do więzienia jako najprawdziwszy mag i czarownik. Jak się wydaje, wkrótce zostanie spalony na stosie razem ze swoim Pegazem, aby nie dopuścić do chaosu na świecie.

Zapytałem Froscha, czy pierzasty żaglowiec, który spoczywa w Bezimiennym Miejscu, jest tym, o którym pisano w gazecie. Oczywiście, że tak, odparł mój rozmówca, tyle że nikt w to nie wierzy.

Serce zabiło mi mocniej: czyżby żaglowiec naprawdę unosił się w powietrzu, tak jak mi się przed chwilą wydawało?

Statek, ciągnął Frosch, przez kilka miesięcy znajdował się w miejskim arsenale. Gdy opadły emocje wywołane jego przybyciem, władze miasta, jak pisano w gazecie, podjęły starania, by ukreślić łeb całej sprawie. Cesarz o tym nie wiedział. Był młody, bystry, przedsiębiorczy i z pewnością chciałby przyjrzeć się z bliska diabelskiemu wynalazkowi, czemu bezwzględnie należało zapobiec. Nikt nie powinien był o niczym wiedzieć. Latający statek był niebezpieczny, mógł wywołać chaos i zamieszki.

Zdziwiłem się, słysząc te słowa. Czyż od zarania dziejów człowiek nie marzył o tym, by wzbić się w przestworza jak ptak? Nie bez przyczyny w gazecie porównywano latający statek do mitycznego Pegaza, skrzydlatego konia z antycznych, greckich legend, a pilota do odważnego Teze-usza, pogromcy Minotaura. Mimo to otwarcie potępiano nieszczęsnego podniebnego podróżnika, co więcej, wtrącono go do więzienia. Tymczasem ja sprzedałbym duszę za to, żeby się dowiedzieć, w jaki sposób udało mu się wznieść w powietrze i skąd czerpał swoją wiedzę. Zapytałem strażnika, czy wie coś na ten temat. Pokręcił głową.

Kiedy ucichła cała sprawa, ciągnął Frosch, powietrzną karawelę przeniesiono do opuszczonego zamku pod Wiedniem, gdzie nikt nie mógł niczego wywęszyć i skąd, w razie potrzeby, z łatwością można było ją przetransportować w inne miejsce.

Obszedłem statek dookoła, wszedłem na pokład, wspiąłem się na skrzydło, podobnie jak głowa i ogon drapieżnego ptaka wykonane z drewna, po którym wsiadający jak po kładce dostawali się do środka.

Nad głową osoby wchodzącej na pokład wisiały liny rozpostarte między czterema słupkami - dwoma na dziobie, dwoma na rufie. Na podobnych sznurach wiesz się upraną bieliznę. Na tych nie wisiały schnące rzeczy, lecz kamienie: żółtawe i błyszczące, przywiązane do lin sznurkiem. Próbowałem ich dosięgnąć, ale były za wysoko. Wyteżyłem wzrok, starając się odgadnąć, co to za materiał.

- To bursztyń - usłyszałem. - Bursztyń, do licha! Piękny, najlepszej jakości. Musi nieźle kosztować. Po kiego czorta go tam powiesili...?

Spojrzałem na Froscha. W jego oczach wyczytałem całkowitą niewiedzę w kwestii zastosowania kamieni.

Zszedłem z pokładu i dokładnie przyjrzałem się tajemniczemu obiektowi. Mimo że



dziwna maszyna wystawiona była na niszczące działanie deszczu, wiatru i słońca, jej stan oceniłem jako bardzo dobry. Drewno nie było bardzo zniszczone. Ktoś pokrył je starannie ochronną warstwą pokostu. Podobnie zabezpieczają swoje łodzie rzymscy rybacy znad Tybru. Zauważyłem, że powierzchnię kadłuba, inaczej niż w łodziach rybackich, tworzą proste rurki biegnące przez całą długość statku, od dziobu po rufę.

Opukałem je. Wyglądało na to, że są w środku puste. Od strony dziobu otwory rurek były wyprofilowane. Od strony rufy natomiast, czyli na końcach, miały kształt trąbki skierowanej ku górze, w stronę żagla okrywającego cały statek.

Spojrzałem na prosty maszt, na dumny dziób, na mały wdzięczny pokład. Tu i ówdzie wymieniono deski, załatano dziury, wbito gwoździe. Widać było wyraźnie, że o podniebny statek stale ktoś dbał. Był jedynie opuszczony. Bezimienne Miejsce stało się dla niego bezpiecznym schronieniem, znalazł tu troskliwego opiekuna.

- Niczego mu nie brak - oświadczyłem, gładząc w zamyśleniu doskonale utrzymany kadłub statku.

- Chyba tylko szaleńców - dodał Frosch, wybuchając gromkim śmiechem.

Na te słowa zadrzałem na całym ciele.

Miałem dość. Po wydarzeniach tego popołudnia czułem się bardzo zmęczony. W dodatku musiałem wracać na piechotę, ponieważ Simonis odjechał wozem, żeby ratować mojego synka. Czekał mnie dwugodzinny marsz. Miałem wrócić nazajutrz i rozpocząć pracę. Powiadomiłem o tym Froscha, prosząc go, żeby przechował kominiarskie narzędzia, które zostały w piwnicy, kiedy w popłochu uciekałem.

Przed wyjściem jeszcze raz rzuciłem okiem na budynek. Jak już mówiłem, nie miał dachu, ale dopiero teraz zdałem sobie sprawę z ogromnych rozmiarów tej budowli, szerokiej, długiej i wysokiej niczym pałac.

- Co to... co to za miejsce? - spytałem zaskoczony.

- Stadion do gry w piłkę - odparł Frosch.

Strażnik wyjaśnił (choć z trudem rozumiałem jego narzecze), że w czasach cesarza Maksymiliana, założyciela Bezimiennego Miejsca, wśród arystokracji stała się modna gra w piłkę, sprowadzona z Italii. Gracze stawali do zawodów wyposażeni w drewniane pałki, którymi walczyli o skórzaną piłkę. Energicznie uderzona, wystrzeliwała jak z armaty. Frosch dodał ze śmiechem, że połamane żebra podczas gry były na porządku dziennym - zachowanie godne pożałowania, zwłaszcza na dworze wielkiego cesarza. Zabawa z góry skazana była na zapomnienie, co zresztą nastąpiło. W każdym razie dawniej gra miała wielu zwolenników, skoro do rozgrywania meczów wzniesiono taką budowlę.

Frosch był osiłkiem o rumianej twarzy w kształcie gruszki, z szarawymi wąsikami i małymi jasnymi oczami. Miał duży brzuch i dłonie wielkie jak łopaty. Nie był miły, pomyślałem, ale nie był też zły. Należało podchodzić do niego z ostrożnością, podobnie jak do zwierząt. Zwierzęta bywają kapryśne z natury, człowiek staje się chimeryczny na skutek nadmiernego pociągu do alkoholu. Frosch potrafił poskramiać lwy, ale nie własne pragnienie.

Podczas całej naszej rozmowy nie spuszczałem Mustafy z oczu. Nie mogłem uwierzyć, że tak ogromne zwierzę, choć teraz wydawało się niegroźne, żyje na swobodzie. Lew pożarł ze smakiem mięso, rozszarpując je kłami i mocnymi pazurami. Dokładniej mu się przyjrzawszy, zauważyłem, że był już stary i słaby. A jeszcze przed kilkoma minutami sądziłem, że ma dość siły, aby rozerwać mnie na kawałki.

Prowadząc lwa na łańcuchu, strażnik odprowadził mnie do wyjścia. Oznajmił, że zanim przystąpię do pracy, bezpieczniej będzie poznać Bezimienne Miejsce oraz pozostałe zwierzęta z menażerii. zaproponował, że od razu mi wszystko pokaże, tak abym następnego dnia uniknął przykrych niespodzianek. Przystałem na to, choć zaniepokoił mnie sposób, w jaki wymówił słowo „bezpieczniej”.

- Nie przeprowadzają tu żadnych kontroli - powiedział z zatroskaną miną.

Do Bezimennego Miejsca, zwanego Neugebau, rzadko przyjeżdżał cesarski komisarz do spraw egzotycznych zwierząt. Na dworze, mówił ze smutkiem w głosie Frosch, wszyscy zapomnieli o tej budowli, niegdyś wyjątkowo okazałej. Na szczęście wraz z objęciem władzy przez umiłowanego Józefa I sprawy przybrały lepszy obrót. Pieniądze na jedzenie dla Mustafy i reszty menażerii oraz na pensję dla ich opiekuna zaczęły napływać regularnie, co dobrze wróżyło Neugebau. Przed trzema laty, w roku 1708, w niedzielę po południu 18 marca - Frosch dobrze pamiętał ten dzień - cesarz z liczną świtą przywiózł tu swoją szwagierkę, księżniczkę Elżbietę Krystynę z dynastii brunszwicko-wolfenbuttelskiej. Józef reprezentował swojego brata Karola przebywającego w Barcelonie, gdzie zabiegał o tron hiszpański, podczas ślubu *per procura* z niemiecką księżniczką w Wiedniu. Na krótko przed wyjazdem szwagierki do Hiszpanii do męża Józef zapragnął osobiście pokazać jej zwierzęta trzymane w Neugebau, zwłaszcza dwa lwy i panterę, które niedawno sprowadzono. Dla skromnego strażnika była to niezapomniana chwila. Na własne oczy widział, jak Jego Cesarska Wysokość przechadza się alejami ogrodu i na własne uszy słyszał, jak Józef z młodzieńczym zapalem ogłosił, że Neugebau będzie odbudowane. Jednak minęło sześć lat i pałac nadal chylił się ku upadkowi.

- Nic na to nie poradzimy - stwierdził ze smutnym uśmiechem Frosch. Teraz wszystko się zmieni, zapewniłem strażnika, cesarz bowiem pragnie odrestaurować pałac. Na początek

zlecił mi przeczyszczenie przewodów kominowych, wkrótce rozpoczną się prace remontowe.

W oczach Froscha dostrzegłem błysk nadziei i radości, ale po chwili jego spojrzenie przygasło.

- Oby miał pan rację! - podsumował bezbarwnym głosem. Odwrócił butelkę do góry dnem i z niezadowoleniem stwierdził, że jest pusta. Mruknął pod nosem, że musi iść do niejakiego Slibowitza, czy jakoś podobnie, i ponownie ją napełnić.

Wiedeńczycy są z natury pesymistami. Od wieków podlegają władzy cesarza i sceptycznie odnoszą się do dobrych nowin, nawet wówczas, gdy są ich spragnieni. Wolą porzucić nadzieję i z filozoficznym spokojem godzą się na to, co nieuniknione.

Idąc obok Froscha, czułem coraz wyraźniej mdły, drażniący odór, a do moich uszu dochodziły groźne, ciche pomruki. Dotarliśmy do żelaznego ogrodzenia, uniemożliwiającego dalszy marsz. Za nim znajdowała się fosa. Frosch dał mi znak, żebym się zatrzymał. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, otworzył furtkę w ogrodzeniu i wepchnął Mustafę do środka. Następnie zaprowadził mnie do portyku, wychodzącego po prawej stronie na ciąg fos, skąd dochodził ów silny odór i pomruki. Spojrzawszy w tamtą stronę, zadrżałem ze strachu: w fosach, oprócz Mustafy, dostrzegłem inne lwy, tygrysy, rysie i niedźwiedzie - zwierzęta, które znałem dotąd z książkowych ilustracji. Frosch uśmiechnął się z zadowoleniem na widok mojej przerażonej i zarazem zdziwionej miny. Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę tyle dzikich zwierząt naraz! Gdy jeden z tygrysów rzucił mi podejrzliwe, groźne spojrzenie, zdjął mnie strach i cofnąłem się odruchowo, kryjąc się za balustradą chroniącą zwiedzających przed wpadnięciem do otchłani pełnej szczęk, kłów i pazurów. Ze wszystkich fos dochodził niemal namacalny zapach świeżego mięsa, krwiożerczej żądz, zabójczych instynktów.

- Codziennie potrzebują dużo świeżego mięsa. Na szczęście funduje cesarz, cha, cha, cha! - roześmiał się Frosch i tak mocno klepnął mnie po plecach, że aż się zachwiałem.

Dwa niedźwiedzie zaczęły walczyć o kość. Mustafa trzymał się z dala od innych zwierząt. Był chory i nie znosił towarzystwa innych drapieżników. Wolął przespacerować się od czasu do czasu ze swoim opiekunem, wyjaśnił mi Frosch.

Wróciliśmy do pałacu. Z jednego z budynków obok krętych schodów dochodził głośny, natrętny pisk.

Gdy wszedłem do środka, pisk przerodził się w nieopisany harmider. Ujrzałem przed sobą klatki z ptakami. W Rzymie, w owych szczęśliwych latach służby u kardynała sekretarza stanu w Watykanie, opiekowałem się wolierami w willi Spada. Skrzydlate stworzenia traktowałem jak swoich przyjaciół i z ciężkim sercem patrzyłem na to, w jakich warunkach przyszło im żyć tutaj. Światło docierało do wnętrza jedynie przez drzwi i dwa niewielkie

okna. Ptakom, ściśniętym po kilkadziesiąt sztuk w jednym pomieszczeniu, groziło uduszenie. Dostrzegłem znajome gatunki pierzastych osobników, ale też okazy zupełnie mi nieznanne: cudowne rajskie ptaki, papugi, papużki, ptaki karłowate, jedne podobne do nietoperzy, inne do motyli, o piórach złocistych lub przypominających jedwab. Tylko jeden budynek z ptakami zasługiwał na uwagę i podziw. Była nim stajnia, jak wyjaśnił mi Frosch, którą ktoś postanowił upiększyć wysokimi kolumnami tokańskimi. Ich kapitele połączono pod sufitem dużymi, krzyżującymi się ze sobą łukami. Tym sposobem powstała sieć sklepień, gdzie światło i cień szły ze sobą w zawody, tworząc niezwykle piękny efekt artystyczny.

Biedne ptaki, stworzenia nadzwyczaj delikatne (nawet ptaki drapieżne takimi się stają w niewoli), musiały bardzo cierpieć w ciasnym stajennym budynku. Frosch powiedział mi, że kiedy uległy zniszczeniu woliery, nikt nie zadbał o to, by zastąpić je nowymi. W stajni ptakom było przynajmniej ciepło w zimie i nie zagrażały im kuny.

Strażnik zapytał mnie, czy chcę skorzystać z okazji i zwiedzić pozostałe zabudowania pałacowe. Odmówiłem, ponieważ słońce było już nisko. Przypomniałem sobie, że muszę wracać do domu na piechotę. Pragnąłem jak najszybciej zobaczyć Cloridię, która po wysłuchaniu relacji Simonisa z pewnością zemdląca.

Wszedłem po krętych schodach i pożegnałem się z Froschem. Obiecałem wrócić tu następnego dnia rano.

Wracając do domu, oddałem się rozmyśleniom i wspomnieniom, które zaprzętały mi głowę od momentu opuszczenia latającego statku.

Czy przed laty dziwny obiekt naprawdę unosił się w powietrzu? Wprawdzie w gazecie przytoczono szczegóły zupełnie nierealne, takie jak życie na Księżycu, ale przecież nie wszystko w tym artykule było kłamstwem. Autor mógł zmyślić to, co dotyczyło dalekich, egzotycznych miejsc (kronikarze czynią to dość często), ale nie przybycie podniebnego statku do stolicy cesarstwa. Gazetę, pierwotnie przeznaczoną na targi, wydano i udostępniono szerokim rzeszom czytelników.

Najważniejsze było jednak to, że Frosch nazwał to urządzenie „statkiem szaleńców”, wywołując we mnie falę wspomnień.

Przed jedenastu laty w Rzymie spędziłem nieco czasu z opatem Mela-nim. W pewnej willi, opuszczonej tak jak Bezimienne Miejsce, która miała kształt statku (dlatego też nazywano ją Okrętem), zamieszkiwał tajemniczy osobnik ubrany na czarno, niczym mnich (jak pilot latającego statku). Ujrzeliśmy go, kiedy unosił się nad blankami willi, recytując fragmenty poematu zatytułowanego *Statek szaleńców*. Później odkryliśmy, że wcale nie fruwał. Był skrzypkiem i nazywał się Albicastro. Pewnego dnia wyjechał, żeby zaciągnąć się

do wojska. Straciłem go z oczu. Ostatnio często o nim myślałem, zastanawiając się, co się z nim stało.

Statek w kształcie drapieżnego ptaka i jego pilot, który wydawał się znać tajemnicę latania, nieuchronnie przywodzili mi na myśl Albicastra.

*Godzina 17: koniec pracy. Zamykane są warsztaty i kancelarie. Rzemieślnicy, sekretarze, nauczyciele języków, księża, sprzedawcy, lokaje i woźnice zasiadają do kolacji (podczas gdy w Rzymie jest pora podwieczorku)*

Cloridia nie zemdlała z przerażenia, bo jej po prostu nie było w domu. Pod drzwiami naszego lokum znalazłem bilecik, w którym moja słodka małżonka donosiła mi, że musi zostać dłużej w pałacu Najjaśniejszego księcia Eugeniusza. Oznaczało to, pomyślałem, że praca dla tureckiej delegacji była nader absorbująca lub, co bardziej prawdopodobne, że osmańscy żołnierze ze świty agi zamęczali Cloridię różnymi prośbami, na przykład o przyniesienie wina.

Simonis cierpliwie oczekiwał mojego powrotu. Na jego pozbawionej wyrazu twarzy nie odmalowało się ani uczucie obawy, ani ulgi. Byłem pewien, że da upust swojej gadatliwości, jako że przez cały dzień nie miał ku temu okazji. Już szykowałem się stawić czoło niekończącym się pytaniom, ale nic takiego nie nastąpiło. Powiedział tylko, że dopiero co wrócili z moim małym uczniem z gospody, gdzie jak zwykle spożyli obfitą, siedmiodaniową kolację.

- Nie jesteś ciekaw, co mi się przydarzyło? - spytałem.

- Bardzo, panie majstrze, ale nie chciałem być niedyskretny.

Pokręciłem głową, rozbrojony logiką Simonisa. Wziąłem za rękę syna i powiedziałem Grekowi, żeby towarzyszył mi do gospody, gdzie o wszystkim opowiem.

- Pospieszmy się, panie majstrze! Za kilka minut cena kolacji wzrośnie z ośmiu do siedemnastu kreuzerów. Po szóstej, czyli po osiemnastej, jak mówicie w Rzymie, będzie kosztować dwadzieścia cztery kreuzery, a po siódmej aż dwadzieścia siedem. O ósmej gospodę zamykają.

W istocie życie w Wiedniu przebiegało w ściśle ustalonym porządku, innym dla arystokraty, innym dla biedaka, rzemieślnika czy urzędnika. W zależności od pory dnia to samo danie (iście książęce) miało różną cenę. W ten prosty sposób przedstawiciele różnych warstw społecznych mogli spokojnie spożyć posiłek. Podobnie zorganizowane były inne aspekty codziennego życia. Można więc powiedzieć, przeinaczając stary aforyzm, że w Wiedniu słońce nie dla wszystkich świeciło tak samo.

Cesarskie miasto przywodziło na myśl scenę teatru, na którą wchodziły kolejne grupy

tancerzy, ustawionych w równiutkie rzędy. Kiedy jeden rząd schodzi ze sceny, zaraz pojawia się następny.

Aby wszystkie stany społeczne mogły swobodnie funkcjonować, władze postanowiły, że ludzie najniższego pochodzenia będą rozpoczynali dzień nie o wschodzie słońca, jak w innych częściach ziemskiego globu, ale w nocy.

Dosłownie wyskoczyłem z łóżka jak oparzony, kiedy przed dwoma miesiącami, nazajutrz po przyjeździe do Wiednia, usłyszałem głośny krzyk nocnego strażnika, od którego zadrzały szyby w oknach: „Zbudź się, w imię Boga, już widać jasne światło dnia!”

W rzeczywistości na jasne światło dnia trzeba było jeszcze poczekać. Podróżny zegar, zakupiony z kredytu opata Melaniego, wskazywał trzecią w nocy. Nie była to pomyłka. Po chwili rozległo się bicie dzwonu Laud na wieży katedry św. Szczepana, zwiastujące początek dnia. Jak się wkrótce przekonałem, po pierwszych uderzeniach nie było już spokoju. Strażnik bił w dzwon co kwadrans, pociągając za długi sznur, biegnący od okna jego mieszkania do serca dzwonu. Wybijał pierwszy, drugi i trzeci kwadrans, z wyjątkiem czwartego, wypadającego równo z biciem głównego dzwonu św. Szczepana. Mogłyby zrodzić się wątpliwości co do dokładnej godziny, a do rachuby czasu w Wiedniu podchodzono z należytą powagą.

Ponieważ dzień zaczynał się w nocy i nie można było obliczyć godziny na podstawie położenia Słońca, na ulicach i placach cesarskiego miasta pełno było zegarów. Znajdowały się nie tylko na ratuszu i innych miejskich budynkach, ale także na klasztorach, arystokratycznych rezydencjach, domach ludzi zamożnych. Wewnątrz na ścianach wieszano zegary z żelaza - istna zegarowa mania. W Rzymie zegarmistrze robili wszystko. W Wiedniu dzielili się na makro - i mikrozegarmistrzów, w zależności od tego, czy konstruowali zegary na wieżach, czy kieszonkowe. Istnieli również wytwórcy cyfr, rytownicy tarcz zegarowych, producenci wskazówek - osobno do dużych i do małych zegarków na sprężynę. W kwestii zegarków kieszonkowych wypowiedzieli się niezawodni jezuici. Po długich dyskusjach o tym, czy urządzenia te są dozwolone i potrzebne, wydali - jak zwykle - salomonowy wyrok: z zegarka na rękę można korzystać w podróży, w domu natomiast powinien wystarczyć zegar ścienny.

A zatem, zgodnie z nieugiętym prawem zegarów, dzień pracy zaczyna się o trzeciej nad ranem. Sprzedawcy warzyw i kwiatów ustawiają towar na targowiskach. O trzeciej trzydzieści otwierane są knajpki z przekąskami u bram miasta i do śniadania zasiadają murarze, stolarze, drwale i woźnice. O czwartej zaczynają pracę rzemieślnicy i służący, otwierają się miejskie bramy i wlewają się przez nie gromady mleczarek, rolników z masłem i

jajami, sadowników z owocami. Ludzka rzeka płynie w kierunku placów targowych. My, kominiarze, podobnie jak dekarze, możemy uważać się za szczęśliwców, w zimie bowiem, z powodu ciemności, rozpoczynamy pracę nie wcześniej niż o szóstej.

Rzym przed świtem to ciemne, posępne miasto, wypełnione groźnymi cieniami. W Wiedniu o czwartej nad ranem na ulicach pełno jest ludzi spieszących do pracy. Można by pomyśleć, że niebo jest czarne nie z powodu wczesnej pory, ale wskutek zaćmienia słońca.

O piątej żywność jest już wystawiona na sprzedaż. O piątej trzydzieści otwierane są gospody i piwiarnie. Producenci warzyw i owoców, dostarczywszy towar do miasta, siedzą w kawiarniach. Place targowe wypełniają kucharki, służba i inni kupujący. O tej samej porze odprawiana jest pierwsza msza. Zaczyna bić coraz więcej dzwonów, które przez cały dzień zapowiadają kolejne msze, podobnie jak w Rzymie. O szóstej udają się na zakupy żony i córki urzędników niskiego szczebla, artystów i podoficerów, czyli tych grup społecznych, których nie stać na służbę. O siódmej zaczyna bić dzwon Turków (nazywany tak od oblężenia Wiednia w 1683 roku), inaczej dzwon Modlitwy, wzywający wszystkich mieszkańców, zarówno tych w domach, jak i tych na ulicach, aby uklękli i odmówili pierwszą zdrowaśkę. O siódmej trzydzieści zabierają się do pracy drobni urzędnicy. Kobiety składają wizyty u przyjaciół i znajomych. Kwadrans później do domów arystokratów pukają ubodzy wieśniacy z prośbą o pomoc. Około ósmej niektórzy z tych klientów dostają zaproszenie na obiad. O ósmej przystępują też do pracy urzędnicy wysokiej rangi, a arystokraci wychodzą z domów. Przed ósmą na ulicach nie widać jeszcze pańskich karet, jedynie powozy mieszczan.

Wiedeńskie arystokratki są wyjątkowo leniwe i lubią długo spać. Słynny nadworny kaznodzieja, ojciec Abraham a Sancta Clara, ojciec od świętej Klary, zmarły przed dwoma laty, grzmiał z ambony na arystokratki, które ośmielają się wylegiwać do dziewiętej trzydzieści. Niektóre damy mają zwyczaj przyjmować wizyty w płaszczu narzuconym na koszulę nocną. Inne zakładają pod pelerynę suknie z dużym dekoltem i tak wystrojone przychodzą na poranne msze. Kaznodzieje zagrozili, że na-plują w zbyt śmiało wycięcia.

Między dziewiątą a dziesiątą, po porannej toalecie, arystokraci tłumnie wylęgają na ulice i udają się na spacer po wałach obronnych, głównie wiosną i jesienią, gdzie spędzają około dwóch godzin. Zagraniczni goście, przybyli w tym czasie z wizytą, bardzo się irtują, kiedy nie zastają nikogo w domu. O jedenastej zaczyna się pora obiadu, spożywanego o różnych godzinach. Ostatni obiad w pałacach arystokratów zbiega się w czasie z pierwszą kolacją w domach ludzi niskiego pochodzenia. W południe jadają obiad pracownicy dworu, o pierwszej arystokracja, która od drugiej do trzeciej składa lub przyjmuje wizyty przyjaciół i

znajomych. O trzeciej urzędnicy wracają do pracy, a uczniowie do szkół. O piątej po południu kończy się dzień pracy. Prości ludzie, jak już mówiłem, zasiadają do kolacji. Godzinę później spożywają kolację nadworni urzędnicy, teatry zamykają podwoje. Do połowy kwietnia bramy miasta są zamykane o szóstej trzydzieści, od połowy kwietnia - kwadrans później. Spóźnialscy płacą sześć kreuzerów grzywny. Bije Bierglocke, zegar piwny. Wraz z ostatnim uderzeniem w gospodach nie wydaje się napojów alkoholowych, nie wolno chodzić po ulicach z bronią i bez lampy. O siódmej ludzie niskiego stanu kładą się spać, arystokraci zasiadają do kolacji. Zupełnie inaczej niż w pałacach rzymskich książąt, gdzie biesiaduje się jeszcze o północy!

O ósmej zamykane są gospody. O dziewiątej, najpóźniej o dziesiątej, pomocnicy muszą wrócić do domu, do majstra, u którego mieszkają. W przypadku spóźnienia karani są grzywną.

Simonis, jak do tej pory, nie sprawiał mi tego rodzaju kłopotów, ponieważ mieszkał w klasztorze, ale nie słyszałem, żeby zakonnice się na niego skarżyły.

Największy *bon vivant* spośród wiedeńskich arystokratów chodzi spać nie później niż o północy. Między północą a trzecią nad ranem wszyscy mieszkańcy Wiednia, bez względu na pochodzenie społeczne, grzecznie śpią w swoich łóżkach.

Aby ujarzmić ciemności i ułatwić mieszkańcom rozpoczęcie uczciwej pracy o tak niewdzięcznej porze, przed dwudziestu laty władze miasta zadbały o to, by na ulicach stanęły latarnie. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Podobno oświetlenie ulic miało służyć zmniejszeniu liczby przestępstw w nocy, popełnianych przez rzemieślników i służących, którzy po zmroku, dla własnego bezpieczeństwa, chodzili uzbrojeni w dagi. Koszt utrzymania latarni ponosili, niestety, właściciele domów, którzy o nie zupełnie nie dbali. Tak więc wieczorami latarnie paliły się krótko, nieczyszczone dawały mdłe światło. Niekiedy niszczyli je wandalie. Utało się nawet ironiczne powiedzenie: „Latarnie na ulicach Wiednia służą temu, by lepiej widzieć ciemności”.

Po objęciu tronu przez naszego umiłowanego cesarza Józefa Zwycięskiego wszystko wróciło do normy. Podczas gdy w Rzymie nocą krążyły po mieście nieliczne karety z pochodniami rozjaśniającymi ciemności i nierzadko padały ofiarą rabusiów, w Wiedniu każdy - wieśniaczki, służące i dzieci z koszami pełnymi towarów - poruszał się swobodnie nawet w najbiedniejszych, ciasnych zaułkach.

Jak przeczytałem w „Corriere Ordinario”, wiedeńskiej gazecie wychodzącej w języku włoskim, zawierającej bardzo rzetelne informacje, spośród czterech tysięcy siedmiuset dwóch osób zmarłych w cesarskim mieście w 1710 roku jedynie sześćdziesiąt trzy zeszły gwałtowną



śmiercią, w tym trzynaście zostało zamordowanych (między innymi kilku studentów, którzy lubili wszczynać bójki), pięć stracono na mocy wyroku. Co się tyczy zamordowanych, dziesięciu z nich zginęło od szpady, dwóch od rusznicy, a jeden wskutek nadmiernego wzburzenia. Trzem zbrodniarzom z wyrokiem śmierci ścięto głowę, jednego powieszono, jednego złamano na kole. Reszta - czterdzieści pięć osób - to ofiary wypadków: dwadzieścia dwie spadły ze schodów albo z dachu, wypadły z okna, dwie przygmiotły belki, kolejne dwie beczka z winem i wóz, cztery wpadły do głębokiego wykopu, sześć utonęło, dwie zginęły pod kopytami konia, jedna wskutek zatrucia podrobionym lekarstwem, jedna poderżnęła sobie gardło, dwie wpadły do pieca do wypalania dachówek, jedna udusiła się oparami moszczu.

Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała w Rzymie, gdzie każdej nocy dochodziło do co najmniej jednej śmiertelnej bójki, nie mówiąc o kradzieżach, włamaniach do sklepów czy podpaleniach. Kiedy wracam pamięcią do wydarzeń sprzed roku, z przerażeniem myślę o tych okrutnych zbrodniach. Stary lekarz na służbie u Falconierich zabił domowego nauczyciela z zazdrości o względy kobiety. Z kolei pewien poborca podatkowy, postradawszy zmysły, zasztyletował na ulicy Borgognona swoją służącą. Sprzedawcy okowity, który handlował wódką w pobliżu jednego z warsztatów, zrabowano wszystkie pieniądze, a do tego, ponieważ bronił się i stawiał opór, dotkliwie pobito go kijem. Nieszczęsny Fra' Cicco, stary pustelnik z Porta Angelica, został trafiony w głowę motyką. Czyż można zapomnieć o bójce, jaka o drugiej w nocy wywiązała się pomiędzy strażnikami audytora Kamery Apostolskiej a służącymi kardynała Acquavivy na Ponte di Borgo? Prawdziwa bijatyka zaczęła się, gdy strażnicy chcieli ich zidentyfikować i w tym celu podnieśli w górę latarnię. Sam komendant straży, obawiając się pobicia, salwował się ucieczką z miejsca zdarzenia i schronił się w Castel SanfAngelo.

A ten młody, pijany pracownik winnicy, który wtargnął z bronią w rękę do kościoła przy Piazza del Popolo, pełnego ludzi? Zranił dwie osoby, wywołując takie zamieszanie i krzyki kobiet, że zakonnicy musieli bić w dzwony na alarm i ściągnąć żołnierzy z dzielnicy Ripetta. A ten nieszczęsny Pasqua, spedytor z Liège, któremu o pierwszej w nocy na placu Hiszpańskim, w pobliżu pałacu Propaganda Fide, poderżnął gardło w czasie sprzeczki ni mniej, ni więcej tylko kanonik z Loreto?

Na niewiele się zdały publiczne egzekucje na Piazza del Popolo: wieszanie, obdzieranie ze skóry czy ćwiartowanie. Jeszcze mniej dały obławy, w wyniku których trafiały do więzienia dziesiątki złodziei, czy rozkazy Jego Świątobliwości, by papiescy strażnicy chodzili nocą po mieście w grupach. Słynna była zwłaszcza zasadzka straży papieskiej i żołnierzy z San Salvatore in Salvo na bandytów, którzy co noc czaili się na schodach

oratorium San Lorenzo in Lucina. Napadali na przechodniów, okradając ich, niekiedy mordując, po czym z innymi osobnikami wyjętymi spod prawa wałęsali się po mieście. Straże bały się uzbrojonych przestępców. Na miejsce zlikwidowanej szajki po miesiącu powstawała nowa banda, o wiele groźniejsza od poprzedniej.

Rzym, w przeciwieństwie do spokojnego Wiednia, przypominał fosę z dzikimi zwierzętami w Bezimiennym Miejscu. Byłem wdzięczny opatowi Melanemu, że pomógł mi stamtąd wyjechać.

*Godzina 18: nadworni urzędnicy spożywają kolację*

Skończyłem jeść kolację. Stos misek i talerzy, na których podano mi siedem dań, stał w rogu stołu, zapomniany przez właściciela gospody. Na posiłek składały się: zupa, każdego dnia inna, wołowina w sosie z rzodkwią, warzywa, niekiedy z duszoną wieprzowiną, kiełbasą, wątróbką lub nóżkami cielęcymi, paszteciki, następnie ślimaki i raki ze szparagowym ragout, pieczeń, tego wieczoru z baraniny, innego pieczony kapłon, kurczę, gęś, kaczka lub dziczyzna, na koniec sałata. Tyle potraw naraz w Rzymie widywałem jedynie na stole kardynała sekretarza stanu, mojego pana. Posiłek kosztował, jak już mówiłem, tylko osiem kreuzerów i był równie obfity przez cały rok. Wyjątek stanowiły dni postu, zwłaszcza Wielkiego Postu. Wówczas dań było nadal siedem, ale mięso zastępowano rybami, pasztetami z jaj i słodkościami.

Wcześniej tego wieczoru taki sam zestaw dań dosłownie pochłonęli Simonis i mój syn. Grek, mimo że chudy, jadł za trzech. Ja zjadłem niewiele. Silnie poruszony przeżyciami minionego popołudnia, prawie nie tknąłem kolacji, ściągając na siebie gniewny wzrok właściciela gospody. Simonis poczuł się zatem w obowiązku dokończyć za mnie posiłek.

Pomocnicy zatrudnieni w warsztatach jadalni w gospodzie należącej do cechu albo przy wyznaczonych stołach. Korporacje rzemieślnicze i zawodowe, między innymi krawców, rzeźników, rękawiczników, komediantów oraz kominiarzy miały na ogół zarezerwowany kąt gospody. Przy jednym stole pożywiali się majstrzy, przy drugim pomocnicy. Si-monis i ja nie lubiliśmy jadać oddzielnie. Aby nie narażać się na zawistne spojrzenia kolegów kominiarzy, staliśmy się stałymi gośćmi gospody położonej najbliżej klasztoru i nie chodziliśmy do lokali odwiedzanych przez członków cechu.

Podczas gdy Simonis udzielał mi swej nieocenionej pomocy przy opróżnianiu talerzy, dokończyłem skomplikowaną relację z wydarzeń w Neugebau, pomijając fakty, których nie potrafiłem wytłumaczyć. Opowieść o lwie bardzo go rozbawiła, nie mógł natomiast zrozumieć, czym był latający statek. Podsunąłem mu więc pod nos gazetę z dokładnym opisem zdarzenia sprzed dwóch lat. Pogрузzył się w lekturze, a kiedy skończył, powiedział

lakoniczne „aha!” i nie stawiał dalszych pytań.

Po kolacji wróciliśmy do klasztoru. Grek wybierał się do łóżka, a ja z synkiem na wieczorne spotkanie z naparem na trawienie. Kiedy przechodziliśmy przez krużganek, powiedziałem małemu, który pytał o mamę, że musiała zostać nieco dłużej w pracy, w pałacu księcia Eugeniusza. Na dźwięk niemieckiej mowy skrzywiłem się, jakbym wypił gorzkie lekarstwo:

*- Mich duncket, dafi es ein uberaus schöne Übung seye, die Übung der Italdnischen Sprache, so in diesen Oerthern so sehr geiibt in Unsern Zeiten. Der Herr thut gar recht, dass er diese Sprache, also die fiirn-embste, und nutzbareste in diesem Land, mit Ihrem Knaben spricht!*

Gdy minęła krótkotrwała panika (uczucie dobrze znane neofitom, uczącym się dopiero języka niemieckiego), zdołałem pojąć sens mowy wygłoszonej pod moim adresem: „Mniemam, że to przepiękna eksperien-cja mówić w języku włoskim, tak często używanym w tych stronach ostatnimi czasy. Wasza wielmożność bardzo dobrze czyni, że rozmawia z synkiem w języku, który jest najważniejszy i najbardziej przydatny w tym kraju!”

Uśmiechnąłem się niewyraźnie do poczciwego Ollendorfa. Czas szybko minął i przyszła pora na lekcję niemieckiego. Z germańską punktualnością nasz preceptor przybył do klasztoru i czekał na nas przed wejściem.

*Godzina 20: zamykane są gospody i piwiarnie*

Kiedy skończyła się tortura, jaką była lekcja niemieckiego, podczas której mój syn brylował, jak zwykle, a ja się męczyłem, opuściliśmy klasztor, udając się na wieczorną próbę oratorium.

Dotąd nie miałem okazji powiedzieć, że w tych dniach pomagaliśmy Camilli de' Rossi. Dyrygentka chóru w klasztorze Porta del Cielo była utalentowaną kompozytorką. W ostatnich latach na zlecenie cesarza napisała i zaprezentowała w Wiedniu cztery oratoria na chór i orkiestrę, po jednym każdego roku, które zyskały powszechny aplauz. Pod koniec ubiegłego roku poprosiła Józefa I, by pozwolił jej zrezygnować z działalności kompozytorskiej i wstąpić do klasztoru w charakterze świeckiej, siostry. Jego Cesarska Wysokość przydzielił Camillę do klasztoru augu-stianek przy Bramie Niebios, gdzie miała prowadzić chór. W ostatnich tygodniach z dworu cesarskiego nadeszła, zupełnie niespodziewanie, wiadomość, że Jego Cesarska Wysokość także w tym roku zlecił Camilli skomponowanie („w trybie pilnym”, jak sama nam zreferowała, nie kryjąc zadowolenia) włoskiego oratorium. Wobec nieśmiałych protestów Camilli cesarski wysłannik oświadczył, że jeśli rzeczywiście nie czuje się na siłach, by skomponować nowy utwór, Jego Cesarska

Wysokość zadowoli się ponownym wysłuchaniem oratorium sprzed roku, zatytułowanego *Święty Aleksy*, które bardzo mu się podobało.

Powód, dla którego cesarz tak usilnie nalegał, był nader pilny. Ostatnio stosunki pomiędzy cesarstwem a Kościołem były bardzo napięte. Od czasów średniowiecza niemieccy cesarze dokonywali zbrojnych najazdów na ziemie Kościoła, a papież, nie dysponując armatami, odpowiadał ekskomuniką. Podobnie było przed trzema laty, w roku 1708. Pod pretekstem dawnego prawa cesarskiego do tych ziem oddziały Józefa I - który w gorącej atmosferze wojny oskarżał papieża o sprzyjanie Francji - przypuściły szturm na Państwo Kościelne i zajęły tereny Comacchio. Tym razem papież zamiast ekskomuniki postanowił użyć dział, dając początek smutnej wojnie pomiędzy Józefem Zwycięskim a Jego Świątobliwością Klemensem XI, zakończonej oczywiście zwycięstwem tego pierwszego. Po wygaśnięciu tego konfliktu kryzys polityczny trwał ponad dwa lata i dopiero teraz, wiosną 1711 roku, dzięki wysiłkom dyplomacji, zanosilo się na pokojowe rozwiązanie sporu: cesarz miał dobrowolnie zwrócić papieżowi tereny Comacchio. Zgodnie z politycznym obyczajem ostatecznemu pogodzeniu zwaśnionych stron miały towarzyszyć obopólne uprzejmości i grzeczności. Przed pięcioma dniami, w Wielką Sobotę 4 kwietnia, w wigilię Wielkanocy, Józef I, w towarzystwie nuncjusza apostolskiego w Wiedniu, kardynała Davii, oraz licznej świty ministrów i arystokratów, odwiedził kościoły i kaplice cesarskiej stolicy. W niedzielę wielkanocną nuncjusz towarzyszył Józefowi I także podczas mszy porannej i popołudniowej w kościele wielbnych ojców Augustianów Bosych, obok pałacu cesarskiego, co skrupulatnie odnotowały gazety. Wreszcie, następnego dnia wieczorem, obaj dostojnicy wysłuchali pięciu ostatnich kazań wielkopostnych (do niedawna jedno z nich wygłaszał słynny nadworny kaznodzieja, świętej pamięci Abraham a Sancta Clara, zmarły przed dwoma laty), a po wyjściu z kościoła pożegnano ich potrójną salwą z muszkietów. Rzecz wywołała wielką sensację, jako że nigdy wcześniej Jego Wysokość nie spędzał Wielkanocy w towarzystwie nuncjusza.

Aby przypieczętować poprawę stosunków ze Stolicą Apostolską, jak również zakończenie sporu o Comacchio, tuż po Wielkiej Nocy postanowiono przedstawić oratorium na sposób rzymski, czyli ze scenografią, kostiumami i akcją, podobnie jak *sepolcro* [\*Misterium przedstawiające złożenie Chrystusa do grobu (przyp. tłum.)]. Inscenizacja była odstępstwem od tradycji. Na dworze cesarskim oratoria wystawiano jedynie w okresie Wielkiego Postu i bez oprawy scenicznej.

Oratorium w opracowaniu Camilli mieli obejrzeć Józef I i nuncjusz, kardynał Davia, przedstawiciel Jego Świątobliwości, siedzący symbolicznie obok siebie.

Mimo że nikt tego wyraźnie nie powiedział, Camilla doskonale wiedziała, że pomysłowi inscenizacji przyświecał cel polityczny, zalety artystyczne schodziły na dalszy plan. Oratorium *Święty Aleksy*, w 1710 roku życzliwie przyjęte przez arystokrację i wytrawnych miłośników muzyki, miało być wystawione w kaplicy Jego Cesarskiej Wysokości. Oczy wszystkich zwrócone były na Camillę. *Chormaisterin* z zapalem przystąpiła do pracy, w pośpiechu angażując śpiewaków i muzyków sprzed roku, i osobiście znalazła zastępców dla wykonawców, których nie zdołała ponownie zatrudnić. Upewniła się też, czy dekoracje w kaplicy stanowią odpowiednią oprawę i czy instrumenty muzyczne są w dobrym stanie. Poza tym przepisała wyblakłe lub wygniecione części partytury.

Choć trudno w to uwierzyć, ale również ja, kominiarz, wziąłem udział w tym przedsięwzięciu. Brakowało dzieci do statystowania, bo niewielu rodziców godziło się, by ich pociechy wychodziły z domu późnym wieczorem. Camilla poprosiła nas o pomoc. *Chormaisterin* zdobyła w naszej rodzinie niejednego, ale dwóch statystów.

Tak więc niemal co wieczór udawałem się z synem do okazałej cesarskiej kaplicy, by uczestniczyć w próbach *Świętego Aleksego*. Kiedy zaszła potrzeba, odgrywaliśmy niektóre sceny, najczęściej jednak przysłuchiwałem się wprawkom muzyków i śpiewaków.

Miałem wrażenie, że po raz drugi odkrywam tajniki śpiewu. Do tej pory słyszałem jedynie głos Atta Melaniego, który wykonywał utwory swojego mistrza Luigiego. Dziwnym zrzędzeniem losu teraz słuchałem arii nie Luigiego Rossi, ale Camilli de' Rossi.

W różnobarwnej trupie muzyków znajdowało się wiele nadwornych sław, które mój synek i ja, słabo zorientowani w sztuce muzy Euterpe, mieliśmy zaszczyt poznać. Każdego wieczoru witali się z nami uprzejmie, wtrącając kilka miłych słów: teorbaniści Francesco Conti, wykonujący w *Świętym Aleksym* kilka partii solowych; jego żona Maria Landini, zwana La Landini, sopranistka, obsadzona w roli narzeczonej Aleksego; tenor Carlo Costa, w oratorium ojciec Aleksego; Carlo Agostino Ziani, zastępca cesarskiego kapelmistrza oraz Silvio Stampiglia, nadworny poeta. Dwaj ostatni panowie wysoko cenili muzykę Camilli de' Rossi i często przysłuchiwali się próbom oratorium.

Wybitne osobistości z cesarskiej orkiestry zaszczycały nas swoją przychylnością głównie dlatego, że wiedziały o naszej przyjaźni z *Chormaisterin*, ale nie mieliśmy z nimi bliższych kontaktów. Dłuższe rozmowy prowadził z nami jedynie pewien śpiewak, Włoch, jak większość wiedeńskich muzyków. Nazywał się Gaetano Orsini, w oratorium postać tytułowa. Doceniałem to, że pomimo swojej wysokiej pozycji był dla nas bardzo miły. Cesarz, którego Orsini znał osobiście, lubił jego śpiew i wypłacał mu stałą pensję. Spotkałem go po raz pierwszy, a odnosiłem wrażenie, że znamy się od dawna. Później zrozumiałem, co

było tego przyczyną. Otóż Orsini, podobnie jak Atto Melani, był kastratem.

Dotarłem na próbę z niewielkim spóźnieniem. Kiedy zbliżałem się do drzwi cesarskiej kaplicy, usłyszałem, że Camilla dała już znak orkiestrze. W środku powitał mnie śpiew Gaetana Orsiniego. Oratorium opowiada wzruszającą historię Aleksego, młodego rzymskiego arystokraty, szykującego się do ślubu. W dzień wesela Bóg nakazał mu porzucić ziemskie radości. Aleksey zostawił więc narzeczoną, wsiadł na statek i udał się do dalekiego kraju, gdzie żył w nędzy i samotności. Po pewnym czasie powrócił do Rzymu w przebraniu żebraka. Zamieszkał pod schodami ojcowskiego domu, gdzie spędził siedemnaście lat, przez nikogo nierozpoznany. Dopiero w chwili śmierci wyjawił rodzicom i dawnej narzeczonej, kim jest.

Tego wieczoru ćwiczono arie, które były dramatycznym dialogiem Aleksego z narzeczoną w dniu niedoszedłego wesela. Właśnie zająłem miejsce pośród statystów, kiedy dały się słyszeć przejmujące słowa Aleksego żegnającego się z ukochaną, poprzedzone dźwiękami teorbanów i cymbałów oraz cichym łkaniem skrzypiec:

*Credi, oh bella, eh 'io t 'adom  
E se t 'amo U Ciel lo sa Ma bram 'io ilpiu bel ristoro  
Mi t 'invola altra beltd...  
Uwierz, najmiłsza, w uwielbienie  
I miłość mą, znaną Bogu na niebie.  
Lecz czeka mnie inne pokrzepienie.  
Inne piękno zabiera mnie od ciebie...*

W recytatywie narzeczona odpowiada z podobnym żalem:

*Come goder poss 'io di gemmę e d 'oro  
Se da me tu t 'involi, o mio tesoro.  
Che creda, che tu m 'ami or mi spieghi  
E l 'amor tuo mi nieghi.  
Conosco che U tuo amore  
Sta solo su le labbra e non nel core...  
Jakże mogą cieszyć mnie złoto i rubiny.  
Skoro ode mnie odchodzisz, mój jedyny!  
Zapewniasz mnie o uczuciu swym.  
Lecz nie chcesz dzielić się nim.  
Zapewniasz mnie o swej miłości.  
Która tylko na ustach, nie w sercu gości...*

Słuchałem chwytającej za serce odpowiedzi panny młodej i melodyjnych akcentów

utworu Camilli de' Rossi, ale myślami byłem gdzie indziej. Oczami wyobraźni widziałem latający statek, unieruchomiony na stadionie do gry w piłkę, nieznanego pilota w stroju mnicha i jego śmierć owianą tajemnicą. Ta przedziwna historia, pomyślałem, jest jak z poematu Ludovica Ariosta\*[\* Ludovico Ariosto (1474-1533) - poeta włoski na dworze księżąt d'Este w Ferrarze, twórca renesansowego poematu *Orland szalony*. Jednym z najsłynniejszych epizodów utworu jest podróż Astolfa na Księżyc, gdzie znajdują się rozumy ludzi zbyt zaprzątniętych ziemskimi sprawami (przyp, tłum.)].

Tymczasem Aleksy, nieczuły na błagania ukochanej, oświadcza zdecydowanie, że lada moment wyjeżdża:

*In questo punto istesso Devo eseguire U gran comando espresso*

*Piii dimora quifar gid non poss 'io. Cara consorte, U Ciel ti guardi, addio...*

*W jednej chwili, już, od razu Muszę posłuchać najwyższego rozkazu.*

*Dłużej tu mieszkać nie mogę, Bóg z tobą, ukochana, ruszam w drogę...*

Zamknąłem oczy. Podczas gdy dźwięki pięknej muzyki *Chormaisterin* z klasztoru Dziewic u Bramy Niebios wypełniały przestrzeń cesarskiej kaplicy, w mojej głowie pobrzmiwał ryk lwów w Neugebau i świergot ptaków w klatkach.

Piątek

10 kwietnia 1711 Dzień drugi

*Godzina 3: daje się słyszeć krzyk straży nocnej: „Zbudź się, w imię Boga, już widać jasne światło dnia!”*

Nazajutrz obudziłem się z mocnym postanowieniem rozpoczęcia pracy w Bezimiennym Miejscu. Zbyt długo już zwlekałem, a poza tym paliła mnie ciekawość.

Kiedy dzwon Laud zapowiedział początek dnia dla ludzi niskiego pochodzenia, wsiadłem na dwukólkę razem z moim małym pomocnikiem i Simonisem.

- Tym razem, panie majstrze, pojedziemy drogą od południa. Dostaniemy się na miejsce od strony ogrodów, z dala od lwów, cha, cha, cha! - zaśmiał się Grek.

Poprzedniego wieczoru bardzo go rozbawiła opowieść o mojej przygodzie z Mustafą.

Zaczynało świtać. Minąwszy duży kościół, dostrzegliśmy w oddali białą budowlę, tak jasną, że jej mury, widoczne w pierwszych promieniach słońca, raziły w oczy.

Po chwili moje źrenice przyzwyczyły się do silnego blasku i ujrzałem mury zwieńczone blankami. Gdzieniedzie wyrastały wieżyczki o spiczastych daszkach, pełniące funkcję ozdobną, a nie obronną. Za nimi, na drugim planie, z wolna wyłaniały się kolejne strzeliste konstrukcje. Zauważyłem, że gigantycznych rozmiarów mur tworzy czworobok. W jednym dłuższym boku, od strony drogi, którą przyjechaliśmy z Wiednia, znajdowała się

wielka brama wjazdowa zwieńczona trzema basztami. Zatrzymaliśmy się i zsiadliśmy z dwukółki.

Przeszliśmy przez bramę i znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Synek, który z wypiekami na twarzy słuchał mojej opowieści o lwie i latającym statku, nieustannie dopytywał się, gdzie są te cuda i chciał je jak najprędzej zobaczyć. Zamyślony Simonis trzymał się kilka kroków za nami.

Rozległy zielony teren porastały drzewa i krzewy. Otaczał go drugi mur, również z wieżami, ale tylko w rogach. Były one o wiele potężniejsze od wież na murach zewnętrznych i co najmniej dwa razy wyższe. Przypominały dzwonnice, ale nie cylindryczne, tylko sześcioboczne. Każda z wież przykryta była kopułą, która spoczywała na bębnie prze-prutym oknami. W zwieńczeniu kopuły znajdował się sześcioboczny pinakiel, zakończony dużym sześciokątnym wierzchołkiem. Wokół kopuły, w miejscach gdzie kończyły się krawędzie wieży, znajdowało się sześć kolejnych pinakli, takich samych jak w zwieńczeniu. Na każdej z sześciu ścian widniały dwa rzędy okien, na dwóch poziomach, co pozwalało przypuszczać, że wieże były wewnątrz podzielone na piętra i zamieszkane.

Egzotyczne formy pinakli, ich wierzchołków i kopuł przywodziły na myśl minarety i urokliwe dachy Konstantynopola, które widziałem w książkach pozostawionych mi w spadku przez świętej pamięci teścia. Przypomniałem sobie, że poprzedniego dnia, kiedy dotarłem do Bezmiennego Miejsca, dostrzegłem wierzchołek jednej z tych wież. Byłem bardzo zaskoczony tym widokiem, ale zupełnie się nie spodziewałem, że za blankowymi murami wokół ogrodów znajdują się podobne wspaniałości.

Ciekawe, z jakiego powodu, zastanawiałem się, opuszczono to miejsce? Nasz umiłowany cesarz Józef I pragnął przywrócić mu dawny blask, to pewne, ale dlaczego jego poprzednicy skazali Neugebau na zapomnienie?

Już miałem podzielić się moimi refleksjami z Simonisem, lecz zmieniłem zamiar, nie chcąc przerywać milczenia - u gadatliwego Greka to rzecz wyjątkowa.

Od bramy wjazdowej do wewnętrznego dziedzińca wiodła wąska alejka wysadzana drzewami. Gdy się na niej znalazłem, oniemiałem z zachwytu.

Przed sobą miałem przepiękny ogród śródziemnomorski, którego strzegły cztery narożne wieże tureckie. Trawniki i kwietniki dzieliły przestrzeń na cztery równe kwadraty, każdy z nich składał się z takiej samej liczby mniejszych sektorów, ozdobionych rozkosznymi kompozycjami geometrycznymi. Pośrodku, w miejscu połączenia czterech kwadratów, znajdowała się cudowna fontanna w formie pucharu, wsparta na wysokim, ozdobnym postumencie. Ogrodzenie, od zewnątrz zwykły mur, z tej strony miało postać wspaniałej,



kamiennej arkadii o oślepiającej bieli, z wysokimi, eleganckimi kolumnami.

Nie zdążyłem nacieszyć oczu pięknym widokiem, gdy mój wzrok pobiegł już dalej, ku krańcowi ogrodzenia, gdzie rząd kolumn otwierał się na potężny, majestatyczny pałac książęcy.

Oszołomiony cudownym otoczeniem, próbowałem uzmysłwić sobie pewne istotne szczegóły. Pierwszy pas murów obejmował przepyszny, choć zaniedbany ogród, w którym rosły przeróżne gatunki drzew i roślin, bujnych i nieuporządkowanych. Drugie ogrodzenie, to z arkadami, było niemal całkowicie zrujnowane, zachowały się jedynie ślady po ozdobnych kwietnikach i trawnikach. Nie ostał się jednak żaden kwiatek, ani jedno źdźbło trawy. W pięknej fontannie w kształcie pucharu brakowało wody, a ściany i sklepienia arkad, nadjedzone zębem czasu, świadczyły o wieloletnim zaniedbaniu.

Idąc w stronę pałacu, zastanawiałem się nad nazwą, a raczej brakiem nazwy dla tego miejsca: Neugebau, nowy budynek. Bezimienne Miejsce zwane nowym budynkiem. Doprawdy dziwne określenie dla nieużywanego od lat, może nawet od dziesięcioleci, zespołu pałacowego. Poprzedniego dnia przyjechaliśmy od strony północnej. Nie spodziewałem się, że Bezimienne Miejsce kryje tyle wspaniałości. Usiłowałem przypomnieć sobie słowa kolegów kominiarzy. Czym według nich było to miejsce? Willą? Ogrodem? Pałacem myśliwskim? Pomieszczeniem dla ptaków?

Budowlę, którą miałem przed sobą, trudno nazwać pałacem. Stanowiła raczej swobodny, oryginalny wytwór fantazji. Elewacja, długości kilkuset metrów, zwracała się triumfalnie w stronę ogrodów w stylu orientalnym. Nie była jednak zbyt głęboka ani tak obszerna, jak początkowo sądziłem, ale raczej wąska i długa niczym kamienny wąż.

Przyspieszyłem kroku, gdyż chciałem obejrzeć wieże. Zacząłem od wieży północno-wschodniej. Wewnątrz ze zdumieniem ujrzałem lśniące marmury, egzotyczne mozaiki i fragmenty dużych zbiorników, które wskazywały na to, że dawniej mieściły się tu termy, być może do kąpeli lub do wdychania oparów leczniczych. Zaskoczony kolejną niespodzianką, odłożyłem zwiedzanie pozostałych wież na później, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do pałacu.

Ku mojemu zdziwieniu nie miał on charakteru orientalnego, z wyjątkiem dwuspadowego dachu, lśniącego od dziwnych błysków, przywodzących na myśl połączone przykrycia tureckich pawilonów. Zauważyłem, że dachówki miały niespotykaną, błyszczącą barwę, odmienną od tradycyjnego gładkiego brązu wiedeńskich dachów. Nagle mój wzrok poraził silny blask. Zasłoniłem oczy dłońmi i popatrzyłem przez szczeliny pomiędzy palcami: w promieniach słońca dach pałacu połyskiwał niczym złoto. Wykonany był bowiem nie z

terakoty, ale ze szlachetnej, pozłacanej miedzi. Kiedy przyjrzałem się dokładniej, stwierdziłem, że z pierwotnego dachu pałacu niewiele zostało, zniszczyła go niepogoda bądź ludzka zachłanność. Resztki miedzi wystarczyły jednak, by wszystko wokół rozświetlić cudownym blaskiem.

Na krańcach pałacu znajdowały się dwie półokrągłe baszty, które z bliska przypominały apsydy naszych kościołów, co było dość zaskakujące w miejscu utrzymanym w stylu orientalnym. W baszcie od strony wschodniej, po mojej prawej stronie, mieściło się zejście do piwnicy, gdzie natknąłem się na zakrwawiony kawał baraniny.

Pośrodku pałacu znajdowały się schody wejściowe, biegnące ponad niewielką fosą, prowadzące do głównego korpusu budowli, zwieńczone - ' go kamienną balustradą, za którą znajdował się zapewne rozległy taras. Centralna część pałacu miała długość jednej piątej całości. Do wnętrza wchodziło się dużym wejściem flankowanym oknami i ozdobionym dwiema parami smukłych kolumn z kapitelami.

Pałac, o klasycy żujący eh formach i nawiązaniach do budowli chrześcijańskich, stanowił rodzaj monumentalnej zapory od strony północnej, kontrastującej ze spiczastymi wieżami i ogrodami od słonecznego południa.

Rozejrzałem się dookoła. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie słyszałem o tym okazałym zespole budowli? Czyż nie był jednym z cudów cesarskiej stolicy?

Ileż to razy, mijając Hofburg, zimową rezydencję Jego Cesarskiej Wysokości, byłem zdumiony prostotą i skromnością budowli! Podobny charakter miały letnie rezydencje: Favorita, Laxenburg i Ebersdorf. Nie mówiąc o niezwykle skromnym pawilonie myśliwskim w Belfonte - Schönbrunn, jak mówią wiedeńczycy - który stał się willą dopiero wskutek rozbudowy zleconej przez umiłowanego Józefa I.

Ileż to razy, widząc niewielkie, pełne uroku pałacyki all'italiana w dzielnicy Josephina: Strozzi, Schönborn czy willa Trautson, z zakłopotaniem musiałem uznać ich architektoniczną wyższość w stosunku do rezydencji cesarskich. Jakby cesarze uznali surowość budowli za oznakę swojej władzy, pozostawiając przepych arystokracji.

Przed wielu laty Habsburgowie korzystali jednak z uroków Bezimiennego Miejsca, a było to w czasach, kiedy cesarz Maksymilian II śnił sen o Wschodzie na ziemiach niemieckich. Był to jednak krótki sen i szybko się rozwiął. Kto pozwolił mu przeminąć? I dlaczego?

Poczułem na sobie zamyślane spojrzenie Simonisa. Czyżby Grek odgadł moje myśli? A może znał odpowiedź?

- Panie majstrze, muszę się załatwić. Niezwłocznie! Mogę?

- Tak, ale nie tutaj - odparłem niezadowolony.

- Oczywiście, panie majstrze.

*Godzina 7: bije dzwon Turków, zwany też dzwonem Modlitwy*

Kiedy Simonis poszedł za potrzebą, dzwon na pobliskim kościele zawtórował biciu dzwonu w katedrze św. Szczepana, wzywającego wiernych na modlitwę nawet w najdalszych zakątkach miasta. Ukłękliśmy z moim małym uczniem i przeżegnaliśmy się. Bez względu na los, jaki spotkał Bezimienne Miejsce, myślałem, Jego Cesarska Wysokość Józef I był odmiennego zdania niż jego przodkowie i postanowił przywrócić zespołowi pałacowemu dawną świetność. Szczęście dopisało nie tylko Neugebau, ale także mojej rodzinie, stwierdziłem w duchu, dziękując za to Bogu.

Zjawił się Frosch. Powitał nas niewyraźnym chrząknięciem, tylko odrobinę miłszym od jego gburowatej twarzy. Poinformowaliśmy go, że rozpoczynamy pracę i że na początek udamy się do budynków gospodarczych. Jeśli bowiem cesarz rzeczywiście chce odrestaurować Bezimienne Miejsce, będą potrzebne budynki służbowe.

Simonis wrócił po dwukółkę i tak, idąc noga za nogą, szliśmy powoli, przysłaniając ręką oczy przed blaskiem bijącym od miedzianych dachów. Spektaklowi, zachwycającemu i zarazem oślepiającemu, wtórowało skrzypienie kół wózka. Wtem usłyszeliśmy powitanie. Dochodziło zza wież, spoza murów wokół ogrodu, zza pałacu, jakby z zaświatów należących do Bezimiennego Miejsca. Przystanęliśmy. W niczym niezmaconej ciszy poranka rozbrzmiewał głośny, budzący grozę ryk lwów.

Skręciliśmy w prawo i minęliśmy budynek, który dawniej służył jako

*Meierei*, po łacinie *maior domus* - dom rządcy. Był bardzo zniszczony, przez na wpół wyrwane okna widać było wyrosłe wewnątrz zielsko, brakowało części dachu.

Przeszliśmy przez arkadę za domem rządcy i znaleźliśmy się na dziedzińcu, tam gdzie poprzedniego popołudnia. Po lewej stronie dostrzegłem drzwiczki prowadzące na kręte schody. Z tyłu znajdowały się dachy zabudowań położonych niżej.

Znowu pomyślałem o wyjątkowym charakterze Bezimiennego Miejsca - niewielkiego miasteczka otoczonego murami, z alejami, ogrodami i budynkami różnego przeznaczenia. Było czymś więcej niż zwykłą willą z parkiem.

Frosch poprowadził nas w dół krętymi schodami. Dopiero teraz zauważyłem, że biegły one pomiędzy dwiema innymi konstrukcjami, opartymi o niewielkie wzniesienie, na którym wybudowano pałac górujący nad okolicą. Przez okienka w klatce schodowej mogłem wreszcie zobaczyć tylną część Bezimiennego Miejsca, zwróconą na północ, na urzekający ogród all'italiana. Główna alejka wiodła do dużego czworokątnego stawu, po którym

spokojnie pływały ptaki wodne i błotne. W ogrodach tych nie było nic wschodniego. Za stawem rozciągały się typowo germańskie łąki, prawdziwy raj dla myśliwych, a jeszcze dalej na północ - lasy, jak milczące, zielone katedry, pachnące żywicą i ściółką, zamieszkane przez ptaki i dzikie zwierzęta. W oddali widniał Wiedeń, otoczony potężnymi, niezwykłymi murami.

Strażnik chrząknął na pożegnanie i zostawił nas samych.

Pracę rozpoczęliśmy od budynku, który, jak powiedział Frosch, był kiedyś kuchnią. Bez trudu zlokalizowaliśmy przewody kominowe.

Mury Bezimiennego Miejsca kryją wiele sprzeczności, myślałem, kiedy z głową ukrytą w worku wspinałem się w górę wewnątrz pierwszego komina. W czym umyśle mógł powstać podobny projekt? Maksymiliana II, o którym nic nie wiedziałem, czyjego genialnego architekta? Cóż miały oznaczać te kontrasty, zakładając, że rzeczywiście miały coś znaczyć? A może to miejsce było dziełem zwykłego kaprysu? Ale dlaczego, pytałem po raz kolejny, dlaczego je opuszczono?

Dokonawszy pobieżnego rozpoznania, zszedłem do moich pomocników.

- Czeka nas dużo pracy. Tam, w górze, wszystko jest popękane - oznajmiłem. - Nie obejdziemy się bez schematu przewodów kominowych i raportu o ich stanie. Trzeba też będzie ocenić stan pozostałych budynków. Sami nie damy rady wykonać całej pracy. A teraz coś zjedzmy - powiedziałem i posłałem synka po torbę zjedzeniem, którą zostawiliśmy na dwukółce.

- Zemsta.

- Mówiłeś coś, Simonisie?

- Oto odpowiedź na pańskie pytania. Bezimienne Miejsce wybudowano z zemsty i z zemsty je zniszczono. Wszystko tu przepojone jest nienawiścią, panie majstrze.

Na dźwięk niespodziewanych słów, które stanowiły odpowiedź na moje niewypowiedziane pytania, po plecach przeszedł mi zimny dreszcz.

- Był wyznawcą Chrystusa, po prostu. *Imitatio Christi*, naśladownictwo Chrystusa było motorem jego życia. Ale los chciał, by urodził się i panował w czasach, kiedy fałszywa lekcja Lutera podzieliła chrześcijan, ich serca, umysły, całe nacje - oświadczył Simonis.

- O kim mówisz?

- Chrześcijanin walczył przeciw chrześcijaninowi, obaj uzbrojeni w słowo Pana - ciągnął Grek, nie zwracając na mnie uwagi. - Chciwość po obu stronach podsyciała ogień wojny. Ku uciechu niewiernych spory między katolikami a protestantami doprowadziły do podziału ziem niemieckich i flamandzkich, podczas gdy Święta Cesarska Wysokość, którego

władza od wieków opierała się nie tylko na zgromadzeniu książąt, ale także na papieskiej inwestyturze, z trudem bronił ortodoksji chrześcijaństwa.

Zasłuchany w słowa Simonisa, otworzyłem torbę przyniesioną przez synka i wyjąłem z niej drugie śniadanie. Zaczynałem rozumieć, kogo miał na myśli mój pomocnik.

- Nie powinien był zasiąść na tronie cesarskim. Cesarz Karol V, brat jego ojca Ferdynanda I, przed usunięciem się do klasztoru, dokonał podziału swoich ziem. Ferdynandowi I przekazał posiadłości hiszpańskie, a synowi Filipowi II Austrię i koronę cesarską. Tymczasem niemieccy książęta elektorzy nie godzili się na katolickiego cesarza i domagali koronacji młodego Maksymiliana, przebywającego w Hiszpanii. Mieli ambitne plany i sądzili, że zrealizują je dzięki młodemu Habsburgowi.

Simonis wyczytał z mojej twarzy, że dręczyło mnie mnóstwo pytań i wątpliwości. Teraz, kiedy spożywaliśmy niewielki, lecz smaczny posiłek złożony z żytniego chleba, jaj na twardo, kiszzonej kapusty i kielbasy, opowiadał mi o Maksymilianie II, który przed stu pięćdziesięciu laty kazał wznieść Bezimienne Miejsce, zwane Neugebau.

Już jako młody władca Maksymilian II, brzydząc się korupcją Kościoła rzymskiego, sprzyjał protestantom. Sprowadził na dwór luteran-skich kaznodziejów, doradców, lekarzy i uczonych, co wzbudziło obawy, że wkrótce on sam przyjmie ich doktrynę. Konflikty z ojcem, Ferdynandem I, gorliwym katolikiem, zaostrzyły się do tego stopnia, że czcigodny rodzic zagroził Maksymilianowi, iż nie odda mu tronu. Naciski ze strony ultrakatolickiej Hiszpanii i Stolicy Apostolskiej były tak silne, że Maksymilian II musiał ślubować wierność oficjalnemu credo Rzymu. Nie przeszkodziło mu to jednak w utrzymywaniu kontaktów ze zwolennikami Lutera.

Postawa Maksymiliana II obudziła nadzieje protestanckich książąt i wszystkich mieszkańców cesarstwa, którzy czuli nienawiść do Kościoła Piotrowego. Wierzyli, że dzięki Maksymilianowi ziści się ich sen o cesarzu wolnym od zwierzchnictwa papieża.

Bardziej szkodliwa od herezji - myślał Maksymilian, który kochał pokój - była wywołana przez nią wojna. Zdrada bliźniego jest okrutniejsza od zdrady religii, podobnie jak straszniejsza od miecza jest zadana nim rana.

Po objęciu tronu cesarskiego Maksymilian II obrał nową drogę i zamiast sprzymierzyć się z Kościołem rzymskim, by wziąć udział w walce z heretykami, opowiedział się za pokojem i tolerancją. Jego poprzednicy byli katolikami, podczas gdy większość książąt cesarstwa sprzyjała protestantom. Maksymilian II nie chciał opowiadać się po stronie ani jednych, ani drugich, nie zamierzał wyznawać żadnej wiary, pragnął być po prostu chrześcijaninem, tak, lecz ani katolikiem, ani luteraninem. Żaden z nich nie mógł więc

powiedzieć: „Maksymilian II jest jednym z nas”. W stuleciu Machiavellego, pełnym podstępów i okrucieństwa, postanowił być przebiegły na swój sposób: zamiast składać oświadczenia, wolał milczeć, zamiast działać, wolał się powstrzymać od wszelkich poczynań.

Maksymilian Sprawiedliwy stał się Maksymilianem Tajemniczym. Nikt z dwóch wrogich obozów nie potrafił przeniknąć jego myśli, nikt nie mógł zaliczyć go do swoich przyjaciół. Maksymilian II doskonale wiedział, że protestancy księżęta nazwą go zdrajcą i hipokrytą. Zawiódł nadzieje tych, którzy pragnęli wraz z nim zadać cios katolicyzmowi. Mimo to nie zmienił zdania, starając się wprowadzić w życie marzenie o pokoju.

- Zaskoczył wszystkich swoich zwolenników - podsumował Simonis.

Ja też byłem zaskoczony, kiedy okazało się, że mój pomocnik, o którym mówiłem, że jest lekko stuknięty, ma tak rozległą wiedzę! Dziwnie się czułem, słuchając opowieści, którą snuł z taką trzeźwością umysłu. Nie wiedziałem, czy Simonisa, podobnie jak Maksymiliana II, należy zaliczyć w poczet ludzi zdrowych na umyśle, czy pomyłonych. Nie rozumiałem też, do czego zmierza.

- Wcześniej mówiłeś coś o zemście - przypomniałem.

- Wszystko w swoim czasie, panie majstrze - odparł bez przesadnej uprzejmości, żując chleb.

Objęcie tronu przez Maksymiliana II, ciągnął Grek, wzbudziło wielkie oczekiwania w całej Europie. Ambasadorowie weneccy, słynący z dokładnych sprawozdań, opowiadali, że cesarz był dość wysoki, dobrze zbudowany, życzliwie nastawiony do ludzi i miał dumny, majestatyczny, prawdziwie monarszy wygląd. Powagę łagodził duży wdzięk osobisty i uprzejme obejście. W rozmówcy wzbudzał szacunek, niemający nic wspólnego z lękiem czy bojaźnią.

Ten, kto miał okazję poznać cesarza osobiście, zapewniał o jego bystrym umyśle i mądrości. Kiedy przyjmował kogoś na audiencji, nawet jeśli widział tę osobę po raz pierwszy, natychmiast odgadywał jego naturę i nastrój. Wystarczyło powiedzieć jedno słowo, a Maksymilian od razu domyślał się celu rozmowy. Wyróżniał się nie tylko inteligencją, ale także doskonałą pamięcią. Bez trudu rozpoznawał człowieka, którego nie widział przez wiele lat, nawet jeśli był nim jedynie skromny poddany.

Cesarz stale myślał o wielkich rzeczach i nie był zadowolony z aktualnego stanu cesarstwa. Szczerze przejęty sprawami państwa, rozmawiał o nich nadzwyczaj ostrożnie. Oprócz niemieckiego znał łacinę, włoski, hiszpański, czeski, węgierski, a nawet francuski. Dwór Maksymiliana II był jednym z najwspanialszych w Europie. Dzięki otwartości, towarzyskiej naturze i kompetencji w sprawach publicznych cesarz zyskał ogromną

popularność.

- Wszyscy mieli nadzieję, że jego panowanie będzie długie i pełne sukcesów - dodał Simonis.

Maksymilian Tajemniczy kochał rzeczy piękne i wzniosłe, dzieła umysłu i kultury. Jego zaufany doradca Kaspar von Nidbruck jeździł z grupą erudyków po całej Europie i zbierał cenne księgi i manuskrypty, na podstawie których powstały *centurie magdeburskie*, czyli pierwsze opracowanie historii powszechnej Kościoła. Cesarz przywrócił do dawnej świetności Uniwersytet Wiedeński i zatrudnił w nim najtęższe umysły oświeconej Europy, między innymi takich uczonych jak botanik Carolus

Clusius czy lekarz Johannes Crato von Krafftheim, nie zważając na to, czy byli zwolennikami papieża, czy Lutra.

Choć Maksymilian Tajemniczy nade wszystko ukochał pokój i zgodę, musiał stawić czoło wojnie. W jego czasach, w drugiej połowie XVI wieku, Europie zagrażali Turcy. Obrona granic chrześcijaństwa spoczywała w rękach cesarstwa, przede wszystkim Wiednia, wysuniętego najdalej na wschód. Maksymilian doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i odpowiedzialności Zachodu przed całym światem chrześcijańskim. Tymczasem sojusznicy zajmowali niejednoznaczne stanowisko. Hiszpania wahała się, papież obiecywał pieniądze, które nie docierały do Wiednia, a Wenecja, zazdrosna o swój handel i posiadłości na Wschodzie, zawarła oddzielny pokój z Turkami. Oddziały chrześcijańskie i osmańskie zmierzyły się ze sobą w roku 1566. Maksymilian został pokonany, choć nawet nie walczył.

- Jego ojciec Ferdynand I zawarł z sułtanem Sulejmanem Wspaniałym traktat pokojowy na osiem lat. Za wstrzymanie się od udziału w wojnie cesarstwo musiało płacić Wysokiej Porcie Otomańskiej haracz w wysokości trzydziestu tysięcy dukatów rocznie.

Po śmierci Ferdynanda I Maksymilian II nie mógł uczynić nic innego jak tylko zaproponować Sulejmanowi przedłużenie ugody. W 1565 roku rozpalilo się niebezpieczne zarzewie wojny, jakim były Węgry. Armia turecka zaczęła się zbroić.

Po śniadaniu powróciliśmy do inspekcji kuchni. Następnie sprawdziliśmy *maior domus*. Dom rządcy od dawna nie był zamieszkanym, należało więc przeprowadzić szczególnie dokładną kontrolę. Polegała ona na zapaleniu ognia u podstawy przewodu kominowego i sprawdzeniu, czy z komina na dachu uchodzi dym.

- Właśnie wypełnił się los Maksymiliana II - podjął przerwana opowieść Simonis, posapując i krztusząc się od kurzu. Odsuwaliśmy akurat odpadły tynk spod wlotu przewodów kominowych, aby przeprowadzić próbę z ogniem. - Jeden z dyplomatów, David Ungnad, poinformował cesarza, że w Konstantynopolu zebrała się armia licząca sto tysięcy żołnierzy.

Maksymilian II zlecił więc cesarskiemu skarbnikowi, zajmującemu się rezerwami finansowymi, aby zebrał również liczne wojsko, nie bacząc na wydatki.

Tymczasem zastępca cesarskiego skarbnika, Georg IIsung, stawiał się osobiście u Maksymiliana z zaskakującymi nowinami. On sam, dzięki bliskim kontaktom z największymi bankierami niemieckimi, takimi jak Fuggerowie, a także swojemu osobistemu majątkowi, zdołał zebrać armię złożoną z osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy, w tym pięćdziesiąt tysięcy piechurów i trzydzieści tysięcy kawalerzystów. Wystarał się też o posiłki ze strony florenckich Medyceuszy, Filiberta Sabaudzkiego, Alfonsa z Ferrary, księcia de Guise i elektorów niemieckich. W Niemczech zebrał olbrzymie sumy na opłacenie ekwipunku dla żołnierzy, żywności i broni. Innsbruck miał dostarczyć hełmy lokalnej produkcji, jak również konie sabaudzkie i żołnierzy włoskiej piechoty. Z księciem Wirtembergii zastępca skarbnika wypertraktował dostawę prochu strzelniczego, a z Augsburga i Ulm miały nadejść karabiny i innego rodzaju broń. Na koniec IIsung oświadczył, że pomoc finansową obiecali papież i król Hiszpanii.

- Maksymilian promieniał radością - powiedział Grek. - Mianował IIsunga naczelnym skarbnikiem, dymisjonując jego dotychczasowego przełożonego. Tym sposobem Georg IIsung, który już za panowania Ferdynanda I, ojca Maksymiliana, skupił w swoim ręku wiele stanowisk, stał się głównym odpowiedzialnym za cesarskie finanse.

Armia cesarska opuściła Wiedeń dwunastego sierpnia 1566 roku i po dwunastu dniach rozstawiła namioty w miejscowości Raab nad Dunajem.

Maksymilian II był człowiekiem pokoju, ale nie obawiał się walczyć w słusznej sprawie. Postanowił stanąć na czele armii, podobnie jak to uczynił Sulejman, z tą różnicą, że dla sułtana była to siedemnasta kampania, a dla cesarza pierwsza.

Wojsko cesarza rozbiło obóz i czekało na rozwój wydarzeń. Maksymilian II nie wykonał żadnego ruchu. Zamknął się w namiocie, z nikim nie rozmawiał. Z jego twarzy zniknęła radość. Wszyscy zastanawiali się, z jakiego powodu. Żołnierze i oficerowie byli w dobrym humorze, chcieli walczyć, ale skutek przedłużającego się oczekiwania ich morale słabło. W tak wielkim skupisku i w złych warunkach sanitarnych ludzie zaczęli chorować.

Sulejman nie tracił czasu i przypuścił od dawna przygotowywany atak na twierdzę Sziget. Żołnierze cesarza najpierw pospieszyli z pomocą oblężonym, później nieoczekiwanie się wycofali.

Los twierdzy Sziget był przesądzony. Oblężeni dokonali bohaterkiego, samobójczego wypadu i zostali wymordowani. Dowódca, hrabia Zri-ny, został ścięty. Jego głowę wysłano do obozu cesarskiego.



Sziget padł 9 września, po nim twierdza Gyula. To była prawdziwa katastrofa. Wszystkie oczy zwróciły się na cesarza. Zaprzepaszczono szansę na pokonanie Turków i odebranie z ich rąk Węgier, zmarnowano góry pieniędzy przeznaczonych na wyposażenie żołnierzy, padły dwie ważne twierdze.

Ponieważ wszystko wskazywało na to, że Turcy nie chcą dłużej walczyć, nie pozostawało nic innego, jak wrócić do domu, co wkrótce mieli uczynić także wrogowie. Któż ponosił winę za porażkę, jeśli nie cesarz, popełniwszy grzech zaniechania? Na długo przed walką nazwano go Maksymilianem Tajemniczym, a okazało się, że był po prostu nieudolny.

Kończyliśmy przeprowadzać próbę z ogniem w domu rządcy. Przewody kominowe były drożne, żaden nie był zatkany. Musieliśmy je tylko przeczyścić. Simonis snuł dalej swoją opowieść.

Po powrocie do Wiednia Maksymilian II przerwał milczenie. Postanowił wytłumaczyć się publicznie, rzecz zupełnie wyjątkowa u cesarza. Wyjaśnił, że kiedy osobiście skontrolował siły, jakimi dysponowali chrześcijanie, zorientował się, że Ilsung go okłamał. Zamiast osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy, którzy mieli wziąć udział w kampanii, doliczył się tylko dwudziestu pięciu tysięcy. Ekwipunek był gorszy, niż się spodziewał. Obiecane posiłki nie nadciągały. Oto dlaczego cesarz nie chciał atakować. Dwadzieścia pięć tysięcy chrześcijan przeciw stu tysiącom Turków! To byłaby prawdziwa rzeź. Istniała też obawa, że po wymordowaniu chrześcijan Osmanie ruszą na Wiedeń, zdobywając w mgnieniu oka miasto pozbawione obrony.

Ale na tym nie koniec niespodzianek. Ungnad też kłamał. Kilku tureckich jeńców, schwytanych przez żołnierzy cesarza podczas odwrotu, wyznało, że armia osmańska wcale nie była dobrze uzbrojona. Wielu Turków, wśród których byli bardzo młodzi, wystraszeni chłopcy, w ogóle nie miało broni.

Powodem milczenia Maksymiliana II była zatem zdrada Ilsunga i Ung-nada.

- Zdradzony przez własnych ludzi - wtrąciłem zdziwiony, a zarazem zaciekawiony tą dziwną historią. Nie zważałem na sadzę, która spadała mi na twarz, gdy zaglądałem do przewodu kominowego, aby sprawdzić jego stan. - Ale dlaczego?

- Cierpliwości, panie majstrze, to jeszcze nie koniec - uprzedził Simonis. - Z iście diabelskim sprytem ukryto przez Maksymilianem najważniejsze wydarzenie w całej wojnie. Piątego września, w samym środku kampanii, zanim padła twierdza Sziget, cierpiący na podagrę siedemdziesięcioletni Sulejman Wspaniały opuścił swoich ludzi. Innymi słowy, umarł.

- Umarł? I cesarz nic o tym nie wiedział?

- Nic a nic. Przez dwa miesiące. Mimo że David Ungnad był w stałym kontakcie z Turkami...

Śmierć sułtana długo utrzymywano w tajemnicy. Maksymilian dowiedział się o niej dopiero w ostatnich dniach października. Prawdę powiedziawszy, właśnie to przemilczenie, a nie upadek Sziget, stało się przyczyną klęski cesarza. Gdyby od razu dowiedział się o śmierci Sulejmana, armia chrześcijańska mogłaby wykorzystać tę niedobłą dla Turków okoliczność i zaatakować, zanim tamci zaprowadzą porządek w szeregach. W zaistniałej sytuacji zwycięstwo nad Osmanami było niemal pewne. Tymczasem służba wywiadowcza Maksymiliana II milczała. O śmierci sułtana cesarz dowiedział się od ambasadora Republiki Weneckiej. Nawet do dalekiego Innsbrucku wieść dotarła trzy dni wcześniej niż do cesarza, znajdującego się dwa kroki od obozu Turków.

Sulejman wyruszył z Konstantynopola już umierający, ale tego David Ungnad cesarzowi nie powiedział...

- Turcy zastosowali dziecinny fortel, kładąc na łożu Sulejmana pewnego staruszka, który naśladował jego głos i wydawał rozkazy, a tak naprawdę wykonywał polecenia ministrów - powiedział Simonis z szyderym uśmiechem.

Greki bardzo się ekscytowali wydarzeniami sprzed dwóch wieków. Obdarzony bystrym umysłem i gorącym sercem, oburzał się na zdrajców cesarza. Do tej pory nie wyjaśnił mi jednak przyczyny zdrady ani jej związku z Bezimiennym Miejscem.

- Domyślam się - wtrąciłem - że po publicznej przemowie Maksymiliana ludzie, którzy go zdradzili, zostali ukarani.

- Wprost przeciwnie, panie majstrze. Wyjaśnienia cesarza zignorowano. Ilsung, Ungnad i ich poplecznicy zachowali swoje stanowiska. Jakby cesarz w ogóle nie zabrał głosu. Nadal wszyscy go oskarżali o porażkę armii chrześcijańskiej. Ludzie nieprzyjaźni Maksymilianowi, nawet jego przyjaciele, szemrali przeciw niemu.

- To niedorzeczne - skomentowałem.

- Poddani i dwór byli zbyt rozczarowani i oburzeni, by spokojnie rozważyć wszystkie za i przeciw albo po prostu odwołać się do faktów. Wrogowie Maksymiliana dobrze o tym wiedzieli i wykorzystali sytuację. Zaczęli sprytnie podżegać przeciw cesarzowi. - Kto? I dlaczego?

- Kto? Wszyscy zaufani Maksymiliana. Dlaczego? Przez zemstę. Tym samym zapoczątkowali ciąg zdarzeń, które doprowadziły do powstania tego miejsca, a później do jego opuszczenia, cesarza zaś do grobu.

- Maksymilian II - ciągnął Simonis - został cesarzem dzięki poparciu sił wrogich

Kościółowi rzymskiemu. Otoczył się wybitnymi luteranami, ponieważ podzielał ich otwarte, nowatorskie poglądy. Z pewnością nie kierowała nim wrogość czy chęć osłabienia pozycji namiestnika Chrystusowego. Osoby, które cesarz obdarzył zaufaniem, nie miały, niestety, tak szlachetnych intencji. Wszyscy spodziewali się po nim zerwania z Rzymem, sygnału zapowiadającego rychły koniec papiestwa. Tym sposobem upragnione *imitatio Christi* przeszło oczekiwania Maksymiliana. Został zdradzony i pokonany, podobnie jak Chrystus, którego Żydzi skazali na ukrzyżowanie, ponieważ zrozumieli, że nie będzie walczył z Rzymem.

- Wojna z Turkami stała się więc dla heretyków okazją do zemsty i pretekstem do obalenia cesarza - podsumowałem, kichając i ścierając z twarzy sadzę.

- Przyszło im to aż nazbyt łatwo. Z nienawiści do Kościoła w Rzymie wielu heretyckich książąt popierało bowiem i finansowało Turków.

Słyszałem o tym przed laty, kiedy pracowałem w gospodzie Donzello. Od osób tam goszczących dowiedziałem się o tajnych układach Króla Słońce, Ludwika XIV, z Wysoką Porta Otomańską. Sprawa była wtedy poważniejsza, gdyż nie chodziło o protestanckich książąt, ale o arcy-chrześcijańskiego władcę Francji, jedyne go syna Kościoła. Zresztą papież nie był lepszy: wiedziony chęcią zysku, finansował heretyków. Historia ta nauczyła mnie, że po monarchach można się wszystkiego spodziewać.

- Po klęsce wszystko się zmieniło - oznajmił Simonis. - Maksymilian II czuł, że otaczają go szpieczy, że wrogowie tylko czekają na sposobną chwilę, aby odsunąć go od rządów. Georg Ilsung od lat był doradcą cesarza, tak jak przedtem jego ojca. Pracował dla Fuggerów z Augsburga, rodziny bankierów, którzy finansowali Karola V i pomogli mu zostać cesarzem, przekupując elektorów. W imieniu Fuggerów Ilsung nie tylko pożyczkał cesarzowi pieniądze, przy oprocentowaniu równym zeru, ale także z góry wypłacał daniny obiecane przez elektorów.

Habsburgowie byli zadłużeni po uszy. Maksymilian II nie mógł więc tak łatwo pozbyć się Ilsunga.

- Przez ręce Geoga Ilsunga przepływało złoto dla cesarzy - podsumował obrazowo Simonis. - Kiedy cesarz potrzebował pieniędzy na wojnę z Turkami, zwracał się do Ilsunga. Kiedy doszło do rozruchów na Węgrzech i potrzebne były pieniądze na uciszenie przywódców buntu, zajął się tym Ilsung. Przez niego cesarz prosił Fuggerów o pożyczkę, jako gwarancję dając wpływy urzędów celnych i zyski z cesarskich kopalni rtęci w Idrii. Ilsung porozumiewał się z innymi bankierami, żeby pomogli cesarzowi spłacić odsetki od zaciągniętych długów. Czasami płacił z własnej kieszeni i cierpliwie czekał, aż cesarz odda

mu pieniądze.

- Krótko mówiąc, trzymał cesarza w garści.

- Robił z nim, co chciał. Tymczasem inny wpływowy doradca, David Ungnad, jeździł z posłami tam i z powrotem z Wiednia do Konstantynopola.

- Był więc szpiegiem Wysokiej Porty Otomańskiej - domyśliłem się.

- I pozostawał w ścisłym kontakcie z bankierami Sulejmana - dodał mój grecki pomocnik.

- Maksymilian - ciągnął Simonis - czuł się jak w potrzasku. Tylko czekał, kiedy się go ostatecznie pozbędą, patrzył z niepokojem na swojego syna Rudolfa, który stopniowo wpadał w ich sieci. Pragnął temu zapobiec, lecz nie mógł już nikomu ufać. Był całkowicie pozbawiony autorytetu.

Kiedyś lubił biesiadować, miał mnóstwo pomysłów, planów, był pełen zapału i ufności, świadomy oczekiwań, jakie wiązało z nim cesarstwo i świat. Później stał się zamknięty, drażliwy, tajemniczy. Nie znajdował przyjemności w rozmowie. Spojrzenie, niegdyś żywe i uważne, teraz było smutne, głos bezbarwny. Ambasadorowie obcych potęg donosili swoim władcom, że cesarz nie był już taki jak dawniej. Porażka w walce z Sulejmanem naznaczyła go na zawsze. Zmarły turecki sułtan pokonał naszego władcę, sprawił, że był żywym trupem.

Odważna decyzja o nieprześladowaniu protestanckich heretyków i uczynieniu wielu z nich swoimi doradcami, jak również nieprzenikniona natura ściągnęły na Maksymiliana nienawiść ludu. Podejrzewano nawet, że ten udręczony człowiek o trudnym charakterze, prowadzący niezrozumiałą politykę, postradał rozum.

Maksymilian, który nigdy nie był okazem zdrowia, stopniowo tracił siły. W czasie powrotu z kampanii wiedeńskiej odezwały się stare dolegliwości. Palpitacje serca były tak dokuczliwe, że stracił zainteresowanie do większości spraw, z wyjątkiem jednej rzeczy.

- Marzył o nowym pałacu - wyjaśnił Simonis. - Jego pragnieniem było stworzenie Bezimiennego Miejsca.

Nie zaniedbywał swoich obowiązków głowy państwa, ale każdą wolną chwilę poświęcał budowie pałacu. Z czasem zaczął wydawać na wymarzony obiekt coraz więcej pieniędzy. Mówiono, że pałac stał się dla cesarza *idee fixe*, rodzajem słodkiej udręki. Lepszy ten kamień czy marmur? Gzyms czy fryz? W fasadzie zastosować serlianę czy portyk? Jakie drzewa, żywopłoty, jakie gatunki róż posadzić w ogrodzie? Niezdecydowanie, wypominane cesarzowi podczas wojny z Sulejmanem, teraz stało się jego miłą towarzyszką. Ambasador wenecki pisał do swoich rodaków, że Maksymilian ma tylko jedno zmartwienie, prawdziwą

obsesję, pochłaniającą go bez reszty: budowę willi pod Wiedniem - wspaniałej rezydencji na miarę cesarza.

Opracowanie projektu budowli zlecił tym samym architektom, którzy przed laty ufortyfikowali Wiedeń na wypadek wojny z Turkami. Planując Bezymienne Miejsce, włoscy budowniczowie mieli na uwadze nie baszty, nasypy i skarpy, ale minarety zwieńczone półksiężycem i tureckie pawilony.

Dwór oniemiał ze zdumienia: co skłoniło cesarza do wzniesienia budowli nawiązującej do architektury mahometan?

Nie chodziło jednak o kaprys czy dziwactwo umysłu dotkniętego melancholią.

W 1529 roku, ponad trzydzieści lat przed klęską Maksymiliana II, Su-lejman Wspaniały oblegał Wiedeń. Wyruszył z Konstantynopola na czele wielkiej armii. Pieniądze na ten cel otrzymał od ludzi, którzy z chciwości, chęci odwetu za poniesione krzywdy czy osobistej nienawiści domagali się ostatecznego upadku Tronu Piotrowego. Kampanię przeciw giau-rom, jak mahometanie nazywają chrześcijan, finansowały całe rody. Sulejman nie zważał na wydatki. Podczas oblężenia nie życzył sobie mieszkać w żołnierskim namiocie. Razem z muzykami, ulubionymi zwierzętami i haremem żył jak w pałacu w Konstantynopolu. Urządzono dla niego kosztowny, gigantycznych rozmiarów obóz z fontannami i gramami wodnymi.

- Zdobycie Wiednia i podbój całego chrześcijańskiego świata wydawało się wielce prawdopodobne - wyjaśnił Grek. - Tym bardziej że sto lat wcześniej z ręki tureckiej padł Konstantynopol - Nowy Rzym, Bizancjum pobożnej cesarzowej Teodory, umiłowanej małżonki Justyniana I Wielkiego. Ta „rozpustna tancerka”, jak nazwał ją kłamliwy, zdradliwy pisarzyna z Cezarei[\* Chodzi o Prokopiusza z Cezarei, autora *Historii sekretnej*, złośliwego paszkwilu na władców cesarstwa (przyp. tłum.)], niezachwianie wierząc w boską naturę Jezusa, zasłużyła sobie na raj. Pozostawiła po sobie wspaniały polityczno-religijny testament, jedyne niepodważalne źródło wiary chrześcijańskiej w Azji, wobec którego niewierni pozostają bezsilni. Teodora nie zdołała jednak uratować Bizancjum przed Mahometem, prorokiem urodzonym trzydzieści lat po jej śmierci. Bazylika Hagia Sophia, wzniesiona z polecenia Teodory, została zbezczeszczona minaretami Allaha. Podobny los mógł spotkać Wiedeń, stolicę Świętego Cesarstwa Rzymskiego, a później także Rzym. Z opowieści mojego pomocnika przebijało głębokie rozgoryczenie. Jednocześnie wykonywał niezgrabne, zabawne (ale nie bezradne) ruchy, aby podpalić wilgotne drwa - ani rusz nie chciały się zatlić. Przez szorstkie usposobienie Simonisa przebijały cierpienia zadawane Grekom przez tureckich panów.

- Oblężenie zakończyło się klęską - podsumował Grek. - Sulejman nie zdołał złamać oporu oblężonych, a Bóg pokarał go, zsyłając na niego jedną z najcięższych zim. Sułtan wracał do domu z pustymi rękami, narażając życie podczas burz śnieżnych i powodzi na miarę Sądu Ostatecznego. Jego bankierzy byli zrujnowani.

Skończył się sen tureckiego władcy o podbiciu Europy. Od tej pory mniej pewnie brzmiał okrzyk: „Spotkamy się w Złotym Jabłku!”. Taką obietnicę, skierowaną do dowódcy janczarów, rzucał każdy sułtan na zakończenie ceremonii inwestytury.

- W Złotym Jabłku? - zapytałem zdziwiony.

- Od niepamiętnych czasów Turcy nazywali tak cztery stolice giau-rów: Konstantynopol świętej Teodory, Budę Macieja Korwina, Wiedeń Świętego Cesarza Rzymskiego oraz Rzym następców Piotra.

Ta alegoryczna nazwa, owoc pożądania, w wyobraźni tureckich władców przybierała kształt połączonych kopuł Konstantynopola, błyszczących dachów Budy, złotej kuli pod krzyżem Chrystusa na wieży katedry św. Szczepana, górującej nad Wiedniem, i umieszczonej na kopule Bazyliki św. Piotra w Rzymie jeszcze większej kuli z czystego złota, której blask docierał do żeglarzy u brzegów Lacjum.

- Po objęciu tronu - powiedział sarkastycznym tonem Grek - sułtani uroczyście obiecują janczarom, że poprowadzą ich na podbój tych miast, jakby sens islamu polegał na obaleniu świata chrześcijańskiego.

Pierwsze Złote Jabłko, Konstantynopol, zostało zdobyte przez potomków Mahometa, lecz Wiedeń odmienił ich losy.

- I to całkowicie! - roześmiałem się. - Porta Otomańska potrzebowała stu pięćdziesięciu lat, żeby uzbierać pieniądze i ponownie zagrozić Wiedniowi, ale i tym razem na próżno. Znam historię tureckiego oblężenia z roku 1529. W ubiegły poniedziałek brałem udział w dorocznej procesji cechu piekarzy, którzy przeszli przez miasto przy dźwiękach muzyki, z rozwiniętymi sztandarami. W ten sposób uczcili pamięć kolegów, którzy ofiarowali swoje usługi oblężonemu miastu. Ale jaki związek mają wydarzenia z 1529 roku z twoją opowieścią? Czyżby zrujnowani bankierzy byli tymi samymi ludźmi, dla których Ungnad zdradził później Maksymiliana II?

- Zgadł pan, ale nie do końca. Chodziło o coś więcej. Czy wie pan, gdzie znajdował się obóz Sulejmana? Ten z fontannami, grammi wodnymi, muzykami, zwierzętami i innymi luksusami?

Spojrzałem na Simonisa pytająco.

- Tu, na równinie Simmering, gdzie wznosi się Bezimienne Miejsce.

Pomyślałem o orientalnych pinaklach, kopułach, fontannie, wieży termalnej, śródziemnomorskich ogrodach. Z drwami na rozpałkę w dłoni wyszedłem z budynku, opuszczając ucznia i pomocnika. Rozejrzałem się dookoła. W uszach pobrzmiwały mi jeszcze echa opowieści o cesarzu Maksymilianie. Spojrzałem na strzeliste dachy Bezimiennego Miejsca, widoczne na tle nieba. Teraz widziałem to, czego dotąd nie dostrzegałem, choć przez cały czas miałem przed oczami: lśniący dach przywodził na myśl okazały pawilon Sulejmana. Blask dachówek z połączanej miedzi ponownie poraził moje oczy. Odniosłem wrażenie, że widzę groźne błyski Bosforu, lśnienie bułatów ucinających głowę hrabiemu Zrinyiemu, a także złociste refleksy orientalnych kopuł Bazyliki św. Marka w Wenecji, zdradzieckiego miasta, które opuściło Maksymiliana w walce z niewiernymi.

Zrozumiałem, czym było Bezimienne Miejsce, zwane Neugebau, nowy budynek. Nie pałacem myśliwskim, ogrodem czy willą, lecz rezydencją sułtana. W wieżach mieściły się skarbiec, spiżarnia, mała i duża komnata, sala reprezentacyjna z białego marmuru i porfirowymi kolumnami, pokoje dla paziów i nadwornej straży. W każdej wieży odtworzono jedno pomieszczenie z obozu Sulejmana, włącznie z łaźnią turecką. Była też sala audiencyjna, pawilon sprawiedliwości i duża sala dywanu\*[\* Dywan - w dawnym państwie tureckim rada przyboczna sułtana (przyp. tłum.)].

Wydawało się, że wznosząc okazałą kopię pałacu sułtańskiego, Maksymilian II o smutnym uśmiechu pragnął stworzyć arcydzieło architektury i zarazem wziąć milczący odwet na wrogach ze Wschodu. W Szigecie został pokonany przez zmarłego Sulejmana, w Neugebau dokonał zemsty.

Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie strukturę budowli. Był to pałac z lśniącymi dachami na wzór pawilonu Sulejmana, ozdobiony klasycy-zującymi arkadami. Korpus pałacu flankowały dwie półkoliste baszty, nawiązujące do chrześcijańskich apsyd, podobne do żandarmów eskortujących więźnia. Główna budowla Bezimiennego Miejsca łączyła w sobie dwie podstawowe wartości Europy: dziedzictwo świata antycznego i wiarę chrześcijańską. Strzegły one pawilonu Sulejmana, ogrodów i wież tureckich po stronie południowej, odcinających drogę na północ. Podobnie zagrodzono drogę niewiernym, uniemożliwiając im podbicie chrześcijańskiego Zachodu. Łąki i lasy na północ od Bezimiennego Miejsca nie pozwalały snuć orientalnych skojarzeń, przeciwnie, wyraźnie wskazywały na bliskość cesarskiej stolicy z potężnymi basztami, których niewierni nigdy nie zdołali zdobyć.

- Był to odwet na Sulejmanie - oznajmił Simonis, dołączywszy do mnie razem z synkiem - i na ludziach, którzy sypnęli złotem na łupieżczą wyprawę sułtana. Ci sami ludzie z nienawiści do Kościoła wynieśli Maksymiliana na tron cesarski, po czym się go pozbyli,

wciągając w haniebną zasadzkę. Była to wyrafinowana zemsta skompromitowanego cesarza, władnego uczynić tylko jedno: wznieść wiecznotrwały pomnik porażki z ręki Sulejmana - rany, która nigdy się nie zagoiła.

Ilung skąpił Maksymilianowi pieniędzy na budowę Neugebau, nowego budynku. W 1564 roku na stanowisku nadwornego skarbnika zatrudnił swojego pupila, Davida Haga, spokrewnionego z Ungnadem. Hag był człowiekiem bez skrupułów, przez jego ręce przechodził każdy cent przeznaczony na budowę Neugebau. Kiedy Maksymilian żądał sfinansowania prac budowlanych, Hag twierdził, że brakuje pieniędzy lub wymyślał tysiące innych trudności. Kiedy cesarz, dzięki odpowiedniej strategii, zdołał w końcu wznowić prace, Hag podburzał rzemieślników, strasząc ich, że nie otrzymają zapłaty. Tych, którzy nie dali się zastraszyć, prowokował do kłótni i zawiści. Zamiast budulca zamówionego przez cesarza dostarczał materiału gorszej jakości, dlatego też w trakcie budowy niektóre ściany rozpadały się. Po śmierci Haga w 1599 roku, ponad dwadzieścia lat po odejściu Maksymiliana, odkryto, że skarbnik zapisywał w rejestrach wyłącznie wydatki cesarza, bez uwzględnienia przychodów.

- To chyba nie najlepszy sposób zarządzania funduszami władcy! - stwierdziłem z przekąsem.

- Wszystko wskazuje na to, że Hag okradał Maksymiliana - stwierdził Grek. - Mimo to prace budowlane, choć przebiegały powoli i wśród tysiąca trudności, były kontynuowane. Bezimienne Miejsce, choć nie-ukończone, zostało uznane za ósmy cud świata.

Turcy, nie dostrzegając subtelnych alegorii, kochali i czcili wspaniałą budowlę. Dla nich była jedynie wierną kopią obozu wielkiego sułtana.

Kiedy w 1683 roku ponownie oblegali Wiedeń, uchronili Neugebau przed zniszczeniem. Wszystkie tureckie poselstwa przynajmniej raz zwiedziły pałac. Kilka z nich przed wkroczeniem do miasta stanęło obozem na położonej przed nim równinie, na znak uwielbienia dla tego świętego miejsca, którego mury tureccy posłowie całowali i skrapiali łzami niczym relikwią. Wzruszali się, patrząc na seraj szerokości czterech tysięcy kroków, z szesnastoma olśniewająco pięknymi wieżami - doskonałe naśladownictwo rezydencji Sulejmana.

Zupełnie inaczej, niestety, odnieśli się do Bezimiennego Miejsca europejscy sojusznicy Wysokiej Porty. Kurucowie, nikczemni węgierscy rebelianci, podczas najazdu przed sześciu czy siedmiu laty uszkodzili mury, splądrowali, ogołocili i podpalili pałac. To, co przez ponad sto lat opierało się zaniedbaniu, zniszczono w ciągu kilku zaledwie minut.

- Po tylu latach? Nie sądzisz, że to był przypadek? Naprawdę myślisz, że kurucowie



zniszczyli Bezimienne Miejsce ze względu na jego symboliczną wymowę? - spytałem.

- Dopóki istnieją wrogowie chrześcijaństwa, dopóty istnieć będą wrogowie tego miejsca, panie majstrze. Nienawiść do Neugebau trwa do tej pory.

Chciałem spytać Simonisa, w jaki sposób się ona przejawia i kto za nią stoi, ale w tej samej chwili przybył Frosch, żeby zobaczyć, jak nam idzie praca.

Powiedzieliśmy mu, że przewody kominowe w domu rządcy są w dość dobrym stanie i szybko doprowadzimy je do porządku. Do sporządzenia rysunku wszystkich przewodów kominowych w Neugebau potrzebowaliśmy nieco więcej czasu. Powiadomiłem Froscha, że jutro nie przyjdziemy, ponieważ muszę wykonać pilne prace w domach kilku klientów w mieście.

Po *maior domus* przyszła kolej na budynki służbowe. Przez cały dzień męczyliśmy się, uzbrojeni w szczotki, liny, miotły z ostrokrzewu i ciężarki, sprawdzając i czyszcząc kominy w Bezimiennym Miejscu. Po zakończeniu pracy byliśmy brudni i zmęczeni. Miałem jednak dość siły, by zaspokoić ciekawość, a raczej spełnić pewien obowiązek. Wydawało mi się, że ten twór, najdziwniejszy w całym pałacu, czekał na mnie (o ile przedmiot nieożywiony może czekać).

Rozejrzałem się wokół. Froscha nigdzie nie było. Udałem się w kierunku stadionu do gry w piłkę.

Był tam, milczący i nieruchomy, a jego groźny dziób, ostry i wojowniczy, wydawał się spragniony lotu w mroźnym przestworzu nad Wiedniem. Latający statek, podobny do ogromnego drapieżnego ptaka, spoczywał na postumencie z drewnianych desek, daremnie rozkładając skrzydła. Simonis kilkakrotnie obszedł go dookoła, po czym wskoczył na pokład razem z moim synkiem, niezwykle ożywionym i zaciekawionym.

Greki, skończywszy opowieść o Bezimiennym Miejscu i jego budowniczym, swoim zwyczajem zarzucił mnie niedorzecznymi pytaniami, niewartymi odpowiedzi: czy statek mógł unieść się w powietrze, dlatego że miał kształt ptaka, i czemu drapieżnego? A gdyby pofrunął, czy nie wystraszyłby lwów i innych zwierząt w Neugebau? Mógł też pływać? Czy w takim razie nie powinien mieć kształtu ptaka wodnego albo ryby?

Odpowiadałem Simonisowi monosylabami. Odkrycie górnołotnej symboliki Bezimiennego Miejsca i opowieść Greka wywołały we mnie mnóstwo pytań i wątpliwości oraz stan silnego podniecenia. Nie czułem się na siłach rozwiązywać zagadek związanych z pierzastym żaglowcem.

Na stadionie do gry w piłkę, czyszcząc szczotką zatkany przewód kominowy, rozmyślałem nad opowieścią Simonisa. Napomknął o zaniedbaniu pałacu, opuszczonego na

długo przed dewastacją dokonaną przez kuruców. Zatem Ilsung i Hag pokonali Maksymiliana? W jaki sposób? I dlaczego później żaden cesarz nie zajął się tym cudownym miejscem? Zapytałem o to Greka.

- Prawdę mówiąc, niektórzy cesarze, między innymi świętej pamięci Leopold I, ojciec miłościwie nam panującego Józefa I, nosili się z zamiarem odrestaurowania budowli. Ale koniec końców, żaden niczego, a raczej prawie niczego nie uczynił.

- Dlaczego?

- Brak pieniędzy - odparł mój pomocnik, spoglądając na mnie swoimi bystrymi oczami. - Cesarscy i nadworni skarbnicy wynajdywali tysiące powodów, żeby nie finansować prac restauratorskich. Wzorem II-sungai Haga...

- ...zamożni bankierzy, manipulujący skarbnikami, byli tacy sami jak za czasów Maksymiliana - podsumowałem.

- Zgadł pan. Przykład? Preceptor nieletniego Leopolda I nazywał się Fugger. Wciąż to samo grono ludzi. Nienawiść do Bezimiennego Miejsca datuje się od pokoleń.

- Czy rzeczywiście są tacy silni?

- W grę wchodzi strach, panie majstrze. Wszyscy najjaśniejsi cesarze, którzy panowali po Maksymilianie II, trzymali się z dala od Neugebau. Ze strachu, że skończą tak jak on.

- Dlaczego? Co się z nim stało?

- Musimy wracać, panie majstrze! - wykrzyknął Simonis, jakby nie usłyszał pytania. - Późno już! Zaraz zamkną bramy miasta!

*Godzina 18.30: zamykane są miejskie bramy. Spóźnialscy muszą zapłacić 6 kreuzerów. Biję Bierglocke, dzwon piwny. Zamykane są winiarnie. Nie wolno poruszać się po mieście z bronią lub bez lampy*

Mocno smagając batem nieszczęsnego muła, w ostatniej chwili przekroczyliśmy bramę miejską. Zaoszczędziliśmy 6 kreuzerów, za to z powodu spóźnienia w gospodzie musieliśmy zapłacić za kolację trzy razy więcej: po 24 kreuzery od osoby.

Drogę powrotną odbyłem skulony z tyłu dwukółki, która podskakiwała na nierównościach, trzęsąc niemiłosiernie. Simonis i synek siedzieli na miejscu dla woźnicy. Rozmyślałem o opowieści Greka.

Teraz, kiedy znałem historię Bezimiennego Miejsca, decyzja Jego Cesarskiej Wysokości Józefa I ukazywała się w nowym świetle, budząc wiele pytań. Z jakiego powodu postanowił wydobyć Neugebau z zapomnienia, na które skazali je poprzednicy? Z pewnością znał smutne losy swojego przodka, Maksymiliana II, otoczonego atmosferą wrogości, oraz prawdziwe powody powstania i później zniszczenia kopii obozu Sulej-mana. Na pewno

domyślał się, o ile nie usłyszał na własne uszy, że jego poprzednicy trzymali się z dala od Neugebau ze względu na tamte ponure wydarzenia. Co sprawiło, że Józef I Zwycięski zainteresował się dawnym sporem, który, zdaniem Simonisa, do tej pory nie wygasł?

Co właściwie wiedziałem o naszym umiłowanym cesarzu?

Od przyjazdu do Wiednia zbierałem informacje o usposobieniu i czynach mojego nowego władcy oraz oczekiwaniach, jakie pokładał w nim lud. Dotychczas żyłem jako poddany papieży, na ogół w podeszłym wieku, więc cieszyłem się, że moim nowym władcą był młody monarcha bez sutanny i pastorału.

Ukazało się wiele publikacji na temat Józefa I, zwanego Zwycięskim. W większości były to panegiryki lub opowieści o jego dzieciństwie, wychowaniu pod okiem księcia Salmu (był pierwszym cesarzem, którego nie wychowywali jezuici; ojciec Józefa, Leopold I, był wrogo nastawiony do Towarzystwa Jezusowego), jak również szczegółowe opisy małżeństwa z Wilhelminą Amelią z dynastii brunszwicko-liineburskiej i triumfalnej nominacji na króla rzymskiego - tytuł, który w cesarstwie nadaje się następcy tronu. Krążyły też relacje o kampaniach wojennych, przede wszystkim o oblężeniu i zdobyciu twierdzy Landau w Palatynacie. Dwudziestoczteroletni Józef osobiście odebrał ją Francuzom w roku 1702 i ponownie w 1704. W 1703 roku Francuzi odbili twierdzę tylko dlatego, że Leopold I, z nieznanymi mi powodów, nie chciał, by syn wziął udział w walce.

Oto, co zapamiętałem z lektur o moim władcy lub znałem ze słyszenia i rozmów z kominiarzami. Koledzy po fachu cieszyli się, że mogą zaspokoić moją ciekawość. Podali mi mnóstwo szczegółów o rodzinie cesarskiej, budząc moje głębokie oddanie dla władcy. Nie przypominałem sobie jednak niczego, co miałoby związek z Bezimiennym Miejscem i jego historią. Choć może było kilka rzeczy: niepospolita uroda młodego cesarza (doprawdy wyjątkowa wśród słynących z brzydoty Habsburgów), będąca odbiciem gwałtownego, władczego charakteru (dość rzadkiego w tym rodzie), chęć zerwania z rodzinnymi tradycjami, prowadząca do konfliktów z ojcem i do kłótni z bratem Karolem, o niezdecydowanym, nieodgadnionym usposobieniu, wychowankiem jezuitów.

Postanowiłem, że w wolnej chwili zajrzę do książek i pism poświęconych cesarzowi, które kupiłem po przyjeździe do Wiednia.

Pochłonawszy lukullusową kolację, wróciłem do klasztoru. Zamierzałem zatopić się w lekturze dzieł na temat Józefa i poszukać odpowiedzi na pytania o Bezimienne Miejsce, ale nie było mi to dane.

- Witam! Dziś wieczorem porozmawiamy o spacerach, jedzeniu i picciu.

Słowa te spadły na mnie niczym grom z jasnego nieba. Właśnie szedłem korytarzem

do pokoju, gdy natknąłem się na Ollendorfa, nauczyciela niemieckiego. Zupełnie zapomniałem, że o tej porze mamy lekcję, która zawsze napawała mnie strachem. Zgodnie z zapowiedzią Ollendorfa, tego wieczoru mieliśmy nauczyć się słownictwa związanego ze spacerami i wiktem. Musiałem pożegnać się z lekturą książek o Józefie I i Neu-gebau, acz niechętnie.

Brak talentu do języków obcych przejawiał się w trudności, jaką sprawiało mi zapamiętanie niemieckich słówek. Tego wieczoru obawiałem się jeszcze większej kompromitacji niż poprzednim razem, kiedy próbowałem opisać uprzejme powitanie z damą, czyli ucałowanie jej dłoni, i zamiast *Hand* (dłoń) powiedziałem *Hund* (pies). Moja małżonka i synek parsknęli śmiechem. Ollendorf nie krył niezadowolenia.

Clordia była w pałacu księcia Eugeniusza. Ponieważ pragnąłem jak najszybciej przystąpić do lektury pism o Józefie I i rozważań o Bezimiennym Miejsu, wykręciłem się zmęczeniem i zostawiłem nauczyciela z synkiem samych.

Zamknąłem się w sypialni i nalałem wody do kociołka na kominku, żeby ją podgrzać i umyć się. Z radością słyszałem, jak w drugim pokoju mój syn wspaniale sobie radzi z językiem niemieckim.

- *Defi Herrn Diener mein Herr, wie gehets dem Herrn?* Sługa waszej wielmożności, jak się ma wasza wielmożność? - pytał nauczyciel, zwracając się jak do dżentelmena.

- *Wohl Gott lob, dem Herrn zu dienen, was fur gute Zeitungen bringt mir der Herr?* Dzięki Bogu dobrze, wasza wielmożność. Jakie nowiny mi waszmość przynosi? - odpowiadał pilny uczeń.

Umyłem się i właśnie zabierałem się do czytania stosu kartek - gazet i innych publikacji poświęconych czynom Najjaśniejszego Cesarza - kiedy usłyszałem chrobot klucza w zamku. Wróciła Clordia.

- Witaj, najdroższa! - powitałem małżonkę, odkładając lekturę na później.

Od dwóch dni nie mieliśmy okazji porozmawiać, a ciekaw byłem nowin o wizycie tureckiego agi u księcia Eugeniusza. Clordia miała posępną minę i pobladłą twarz, była smutna i zmęczona. Pocałowała mnie, zdjęła pelerynę i położyła ją na łóżku.

- Jak ci wczoraj poszło? - zapytałem.

- Szkoda gadać. Ci tureccy żołnierze nic tylko piją i rozrabiają. Rozzuchwaleni gościnnością i uprzejmością okazanymi adze, Osmanie niższej rangi domagali się podobnego traktowania i zamęczali Cloridię dziwacznymi żądaniami.

- Niestety - powiedziała z westchnieniem moja żona - spośród wszystkich cnót społeczeństwa chrześcijańskiego Turkom najbardziej odpowiada nasza gościnnność. Myślą, że

wszystko im wolno, ponieważ są *muzafirami*, gośćmi. Są przekonani, że to sam Bóg wysła ich w odwiedzin i wszędzie są mile widziani.

Nadużywając uprzejmości gospodarzy, Turcy, spragnieni cienkusa Stockerau, splądrowali spiżarnię, zużyli zapasy kawy i okowity. Tak się rozbawili, że porozrzucali po pokojach dywany, materace i poduszki, potłukli naczynia. Licząc chyba na wielkoduszność księcia Eugeniusza i szczodrość kamery cesarskiej.

- A do tego potwornie cuchną! - wykrzyknęła Cloridia. - W imperium otomańskim wszyscy śpią w ubraniach, w których chodzą w dzień, a tu, z powodu zimna, nie zdejmują z siebie futer, w których odbyli wielomiesięczną podróż. Futrzane okrycie jest dla nich szczytem elegancji, więc noszą je także dlatego, żeby się popisać.

W Konstantynopolu, mówiła dalej Cloridia, boją się zimna i starają się przed nim chronić, nawet wtedy, kiedy nam, Europejczykom, jest gorąco. Tak więc w dobrze ogrzanych komnatach pałacu Sabaudów siedzą okutani w cuchnące futra, w obawie przed przeciągiem uszczelniają pakułami okna i drzwi. Gdy księżę Eugeniusz przyjmował agę z honorami, za drzwiami panował prawdziwy zamęt. Osmanie biegali tam i z powrotem, służba pałacowa nie mogła dać sobie z nimi rady. Nieszczęsna Cloridia znalazła się jakby między młotem a kowadłem i omal nie oszalała, zmuszona tłumaczyć sporne kwestie.

Ormianie ze świty agi chcieli rozpalić *tandur*, usiąść wokół niego i rozgrzać się. Groziło to pożarem lub poważnym uszkodzeniem mebli Najjaśniejszego Księcia.

- *Tandur?*

- Piecyk z żarzącym się węglem. Ustawia się go pod stołem przykrytym wełnianą tkaniną, sięgającą podłogi. Siedzący przy nim ludzie, okryci wełnianymi chustami, rozgrzewają się tak, że bijana nich siódme poty. Chyba nie muszę ci mówić, że ten zwyczaj może doprowadzić do nieszczęścia. Ormianie upierali się przy zapaleniu *tanduru* w pałacu, powtarzali, że są *muzafirami* i tym podobne.

Na tym nie koniec, ciągnęła Cloridia. Kiedy marszałek dworu złożył powitalną wizytę orszakowi agi, Turcy, pragnąc pokazać, że znają obyczaje giaurów, pili prosto z butelki, bekali i rozpierali się niedbale na kanapach, przekonani, że tak jest u nas przyjęte. A gdy marszałek splunął do spluwaczki stojącej na podłodze, w geście zgorszenia rozkładali szeroko ramiona i przewracali oczami.

- Nie wiedziałem - wtrąciłem, chcąc udobruchać żonę - że niewierni są przekonani, że gościa przysłał sam Bóg.

- To tylko pozory, mój drogi! U siebie tak nie myślą. Gość po zakończeniu wizyty musi zapłacić gospodarzowi dwudziestokrotność tego, co skonsumował. Jeśli tego nie uczyni,

tuż za progiem, gdzie traci święty tytuł *muzafira*, zostanie obrzucony kamieniami - podsumowała Clo-ridia.

- Moja biedna zoneczka! - powiedziałem ze współczuciem, obejmując ją.

- Aha, zapomniałabym! Kiedy dowiedzieli się, że moja matka była Turczynką, wyciągnęli bębenek, duży bęben i fujarkę i zaczęli wybijać rytm, coraz szybciej i szybciej. Chcieli, żebym zatańczyła dla nich taniec brzucha. Doprawdy nie wiem, co w nim widzą, według mnie jest po prostu nieprzyzwoity - skwitowała Clordia z niesmakiem.

- Mam nadzieję, że ci nie uchybili?

- Bądź spokojny! Mimo że opili się wina, nie zapomnieli, co czeka mężczyznę, który naprzykrza się kobiecie. Przypomniał im o tym derwisz Ciezeber - oznajmiła z uśmiechem małżonka, dostrzegając moje zaniepokojenie.

- Widziałem go. Co on robi w orszaku agi?

- Jest jego imamem, kimś w rodzaju księdza. Zastanawiam się, dlaczego nie wysłano Turka.

- Czytałem, że to Hindus.

- Tak mówią. W każdym razie Ciezeber nie jest taki jak inni, zachowuje się niezwykle godnie.

Zapytałem Cloridię, jak wyglądają pałacowe wnętrza, czy brała udział w oficjalnych rozmowach i czy widziała księcia Eugeniusza. Odparła, że kiedy aga przekroczył próg pałacu Jego Wysokości księcia, mistrz ceremonii zaprowadził go do schodów honorowych, a następnie na pierwsze piętro. Tam, w otoczeniu arystokratów, szacownych osobistości i cesarskich urzędników, otomański ambasador został przyjęty przez dwóch oficerów z kancelarii wojskowej, którzy przeprowadzili go przez słynny salon reprezentacyjny ozdobiony freskami, następnie przez przedpokój do sali audiencyjnej. Aga rozglądał się z zaciekawieniem. Dworski ceremoniał zrobił na nim wrażenie, zauważyła Clordia, podobnie jak czerwony aksamit ze złotym haftem, pokrywający ściany i fotele w salonie reprezentacyjnym. Luksusowe wyposażenie i tłum oczekujących oszołomiły go. W kulminacyjnym momencie otworzyły się drzwi sali audiencyjnej, gdzie gościa oczekiwał Jego Ekscelencja, przewodniczący Najwyższej Rady Wojennej, Jego Wysokość książę Eugeniusz Sabaudzki.

Książę miał na sobie lśniący, ozdobiony złotymi haftami strój, kapelusz z kokardą i diamentami o bezcennej wartości, na piersi order Złotego Runa, u boku wspaniałą szpadę. Siedział w fotelu pod baldachimem z czerwonego aksamitu, w towarzystwie hrabiego Herbersteina, wiceprzewodniczącego Najwyższej Rady Wojennej, tajnego referendarza i

generałów. Do sali wlał się strumień arystokratów, dworzan i wybitnych osobistości. Wszyscy wyciągali szyje, żeby obserwować przebieg audiencji.

- Prawdę powiedziawszy, Eugeniusz wcale nie jest przystojny - dodała Clordia. - Jest brzydki i wąty. Mimo to budzi respekt.

Kiedy aga stanął przed obliczem księcia, powitał go na sposób turecki, trzykrotnie dotykając turbana. Następnie zajął miejsce w fotelu, ustawionym naprzeciw gospodarza, i podał księciu listy uwierzytelniające, które Eugeniusz przekazał tajnemu referendarzowi. Później nastąpiła długa rozmowa: aga mówił po turecku, Eugeniusz po włosku, który był nie tylko oficjalnym językiem dworu, ale także ojczystym językiem rodu Sa-baudów. O wzajemne zrozumienie się obydwu dostojników zadbali tłumacze. Gdy jeden tłumaczył, drugi kontrolował poprawność przekładu. Na początku spotkania, mówiła Clordia, aga uroczyście odczytał z kartki łacińskie zdanie na cześć Świętego Cesarstwa Rzymskiego: *Soli soli soli ad pomum venimus aureum*, co znaczy: „Przybyliśmy do Złotego Jabłka zupełnie sami”. Można to było zrozumieć dosłownie, ponieważ aga rzeczywiście przybył z nieliczną świtą, zaledwie dwudziestoosobową, albo jako deklarację uczciwych, pokojowych zamiarów. Innymi słowy, Turek przybył do Wiednia bez skrytych intencji. Kartkę z łacińskim zdaniem aga osobiście złożył na ręce Jego Wysokości księcia.

Podczas rozmowy Eugeniusz zabawiał się dziwnym metalowym przedmiotem, przekładając go nieustannie z jednej ręki do drugiej. Na koniec, po dokonaniu rytuału pożegnania, aga wstał, odwrócił się i poszedł w stronę drzwi. Dopiero wtedy, na znak wyższości, Eugeniusz podniósł się z fotela i uchylił kapelusza. Turka odprowadzili ci sami oficerowie, którzy towarzyszyli mu do pałacu. Aga zajął miejsce w karecie i odjechał. W rzeczywistości przejazd tureckiego ambasadora miał na celu zaspokój enie ciekawości tłumu, tego samego bowiem wieczoru aga wrócił ze świtą do pałacu. Pozostanie tam trzy dni.

- Krótko mówiąc, Turcy przez trzy dni będą gośćmi Eugeniusza.

- Tak postanowił sam książę. Pragnie ich godnie przyjąć.

- A zatem w poniedziałek wrócą do gospody Pod Złotym Jagnięciem - wywnioskowałem.

- To ty o niczym nie wiesz? Poselstwo nie zatrzymało się w gospodzie, w której od stu lat goszczą tureckie delegacje.

- A gdzie?

- Wciąż są na Wyspie Leopolda, w dzielnicy żydowskiej, u wdowy Leixenring. Mają do dyspozycji jedenaście pokoi, dużą kuchnię, stajnię.

- W prywatnej rezydencji? Z jakiego powodu?

- To tajemnica. Wiem tylko, że kwaterę opłaciła, jak zwykle, kamera cesarska. Właściciel gospody Pod Złotym Jagnięciem obraził się, bo zarezerwował już dla nich pokoje. Ciekawscy wyczekujący orszaku pod gospodą byli zawiedzeni. Najdziwniejsze jest to, że pałacyk wdowy Lei-xenring jest strzeżony jak twierdza. Słyszałam, że nie wolno zaglądać w okna.

- A więc to prawda, że coś się za tym kryje. Czy ktokolwiek zna powód wizyty tureckiego poselstwa? - spytałem strapiony.

Przyjechaliśmy do Wiednia, uciekając przed nędzą, a zanoszą się na to, że padniemy ofiarą kolejnego tureckiego oblężenia. Wyobraziłem sobie, że Turcy podrzynają mi gardło, porywają żonę (ma szczęście, że mówi ich językiem!), a synka wywożą do Konstantynopola, żeby zrobić z niego janczara albo, co gorsza, eunucha w sułtańskim haremie.

Clordia podeszła do drzwi dzielących pokoje i zaczęła podsłuchiwać rozmowę naszego małego z Ollendorfem:

- *Gott behute Ewer Gnaden.* Żegnam wielmożnego pana - powiedział grzecznie uczeń.

Clordia uśmiechnęła się rozczulona.

- Ludzie mówią, że to poselstwo jest zupełnie inne od poprzednich - oznajmiła, zwracając się do mnie z poważnym wyrazem twarzy. - Chcesz wiedzieć, ile osób liczył zwykle orszak tureckiego ambasadora? Około czterystu. Ostatnim razem przyjechali jedenaście lat temu, w 1700 roku, i mieli czterysta pięćdziesiąt koni, sto osiemdziesiąt wielbłądów i sto dwadzieścia mułów. Poza tym - ciągnęła Clordia - to pośpieszne przybycie, niemal niezapowiedziane, z nieliczną świtą, w środku zimy...

- Wiadomo, po co przyjechali? - przerwałem zniecierpliwiony.

- Oczywiście, że tak. Oficjalnie po to, by potwierdzić pokój karłowic-ki. Właśnie o nim turecki aga rozmawiał z Eugeniuszem.

- Traktat podpisany przez cesarza dwanaście lat temu, po zakończeniu wojny z Osmanami?

- Otóż to!

- I pędzili na złamanie karku tylko po to, żeby potwierdzić podpisany już traktat pokojowy? Czy przypadkiem nie wysunęli jakichś roszczeń w stosunku do cesarstwa?

- Przeciwnie. Turcy mają teraz co innego do roboty. Szykują się do walki z carem.

- To nie ma sensu. Myślisz, że są tu z innego powodu? Clordia spojrzała na mnie pytająco.

- Wszystkich pytałam, przysięgam, nawet tych pijaków ze świty agi - powiedziała. - Wiesz, co odpowiadają? *Soli soli soli ad pomum venimus aureum!* A potem śmieją się i piją.



Naśladują swojego pana, choć nie rozumieją, co mówią.

- A służba pałacowa? Może posłyszeli coś z prywatnych rozmów Eugeniusza z agą?

- Nie było żadnych prywatnych rozmów.

- Co?

- Nie przesłyszałeś się. Eugeniusz i aga rozmawiali ze sobą tylko w obecności innych osób.

- A więc naprawdę mówili wyłącznie o pokoju w Karłowicach.

- Nie sądzisz, że to dziwne? - spytała Clordia smutnym tonem. - Pomyśl! - powiedziała, ścisząc głos. - W dzienniku księcia pozostała jedynie kartka, którą dał mu aga! A na niej napisano zdanie: *Soli soli soli ad pomum venimus aureum*.

- To czysty absurd - stwierdziłem.

- Chyba że za tym zdaniem kryje się coś, o czym nie wiemy - zastanawiała się moja małżonka. - *Pomum aureum*, Złote Jabłko, tak Turcy nazywają Wiedeń.

- Tak, wiem. Powiedział mi o tym Simonis - potwierdziłem, wyjaśniając Clordii pobieżnie, czego dowiedziałem się o Bezimiennym Miejscu, Maksymilianie II i Sulejmanie.

- Niesłychane! Ciekawe, skąd się wzięło to określenie?

- Przykro mi, ale nie wiem.

- Być może właśnie *pomum aureum* jest kluczem do zrozumienia całego zdania - zauważyła Clordia.

Istotnie, coś tu się nie zgadzało. Obawiano się, że Turcy chwycą za broń lub uczynią jakąś straszną rzecz, tymczasem oni, oświadczając publicznie, że przybyli sami, pragnęli zapewnić cesarza o uczciwości swoich zamiarów. Nie wiadomo jednak, dlaczego zjawili się w Wiedniu w takim pośpiechu. Poza tym z pokojowym nastawieniem Turków klóciło się to, że nazwali cesarską stolicę Złotym Jabłkiem, co kazało przypuszczać, że Wiedeń nadal był łakomym kąskiem dla Wysokiej Porty Otomańskiej. Nie bez powodu książę Eugeniusz uczynił im zaszczyt, goszcząc poselstwo trzy dni w swoim pałacu...

- Skąd wiesz, co zawiera osobisty dziennik twojego pana? - zapytałem, otwierając szeroko oczy, gdyż uświadomiłem sobie, co przed chwilą powiedziała Clordia.

- To oczywiste: powiedziała mi o tym żona księżęcego kamerdynera, ta, której obiecałam, że odbiorę jej poród gratis.

Mimo że moja małżonka nie mogła pracować w Wiedniu jako akuszerka, ponieważ zawód ten wymagał oficjalnego pozwolenia (jak wszystko w tych stronach), nie przestała pomagać kobietom ciężarnym, rodzącym i położnicom. Jej pomoc była mile widziana, gdyż najlepsze akuszerki w mieście, dorównujące Clordii, kazały sobie słono płacić.

*Godzina 20: zamykane są gospody*

- Moje życie przed ślubem było nieciekawe - oświadczyła *Chormai-sterin*.

Znajdowaliśmy się w cesarskiej kaplicy, na próbie *Świętego Aleksego*. Właśnie trwała przerwa. W spektaklu statystowaliśmy we dwóch, nasz synek i ja, Cloridia jedynie nam towarzyszyła. Camilla de' Rossi przełamała początkową nieufność mojej małżonki. Podczas wieczornych spotkań obie panie chętnie ze sobą rozmawiały. W klasztorze było to niemożliwe. Po pierwsze, ja i Cloridia byliśmy bardzo zajęci i w ciągu dnia przebywaliśmy poza naszą siedzibą. Nie korzystaliśmy więc z klasztornej kuchni, chyba że w przypadku choroby. Po drugie, reguła zabraniała zakonnicom spożywania posiłków z obcymi. Miały osobną jadalnię. Camilla, jako świecka siostra, nie podlegała temu zakazowi. Była niepokieszona, że nie spotykamy się przy stole. Często zostawiała dla naszego synka smaczne potrawy z orkiszu. Dzięki ich zbawiennemu działaniu chłopiec cieszył się żelaznym zdrowiem, co ostatecznie przekonało Cloridię do naszej uprzejmej gospodyni.

Podczas rozmowy Camilla, pragnąc sprawić przyjemność mojej żonie, nawiązywała do tematu opieki nad kobietami w ciąży, położnicami i noworodkami. Poruszyła także wątek interpretacji snów, numerologii i różdżkarstwa; w młodości Cloridia znała się na tym, uprawiała bowiem tajemne praktyki. *Chormaisterin*, obdarzona wielką intuicją, zdawała się odgadywać upodobania i zainteresowania mojej żony, zręcznie sprowadzając rozmowę na te tematy.

Uprzejmość Camilli zachęcała Cloridię do zwierzeń do tego stopnia, że gdy *Chormaisterin* pytała ją o przeszłość, moja małżonka nie wpadała jak zwykle w złość, ale zaspokajała ciekawość rozmówczyni.

Tego wieczoru Cloridia sama zadała Camilli kilka pytań: co skłoniło ją, młodą rzymiankę, w dodatku z Zatybrza, do przyjazdu do Wiednia? Czy tęskniła za Rzymem? Gdzie dokładnie znajduje się dom, w którym urodziła się i wychowała? Jako akuszerka Cloridia znała prawie pół miasta. Przypomniała sobie właśnie, że niejaki Lukrecji Elisabecie pomogła urodzić syna imieniem Cintio. Jej matką była Camilla de' Rossi, zamożna sklepikarka z Zatybrza, córka Domenica da Pesaro. Moja słodka małżonka byłaby bardzo rada, gdyby się okazało, że zna krewną *Chormaisterin*. Wiadomo, świat jest mały...

- Moje życie przed ślubem było nieciekawe - powtórzyła Camilla, nie przejawiając chęci do rozmowy o swoim pochodzeniu. Być może w mrocznej przeszłości kryła się przyczyna braku zaufania do niej Jego Cesarskiej Wysokości.

- Ślubem? - zdziwiła się Cloridia.

- Tak. Zanim wstąpiłam do zakonu, byłam zamężna. Przepraszam, musimy

kontynuować próbę - oznajmiła.

Tak się dowiedzieliśmy, że Camilla, mimo że miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat, była wdową.

Rozbrzmiała muzyka. Cesarską kaplicę wypełniły słodkie dźwięki skrzypiec. Po chwili dołączyły do nich łagodne organy, srebrzyste tony lutni i głębokie kontrabas. Ustami sopranistki ukochana Aleksego wypowiadała smutną skargę:

*Cielo, pietoso Cielo... O Niebiosa, litościwe Niebiosa...*

W odpowiedzi rozbrzmiały gwałtowne akordy. Panna młoda uzala się na swojego umiłowanego i prosi Boga, by go ukarał:

*Un dardo, un lampo, un telo*

*Attenderó da te*

*Ferisci arresta esanima*

*Chi mi mancó dife...*

*Strzałę, piorun, ostrze*

*Ześlijcie na niego.*

*Zrańcie, pozbawcie życia wiarołomnego...*

Ten fragment oratorium nie wymagał obecności statystów, usiedliśmy więc z synkiem i Cloridią w ławkach kaplicy. Zasluchany w dźwięki muzyki, dałem się ponieść emocjom do tego stopnia, że zupełnie nieświadomie jedną dłonią silnie ścisnąłem ramię małżonki, a drugą oparłem ławkę przed nami. Podczas gdy oratorium Camilli i srebrzysty głos sopranu rozbrzmiewały wokół nas, rozmyślałem o dziwnym zbiegu okoliczności, na który zwróciłem uwagę poprzedniego wieczoru. Oto kolejny raz w moim życiu pojawiły się muzyka, śpiew i nazwisko Rossi. W Rzymie słyszałem arie mistrza Atta, Luigiego Rossi, tu, w Wiedniu, poznałem *Chormaisterin* Camillę de' Rossi. A może to nie był przypadek? Może nazwiska niosą ze sobą zdarzenia i doświadczenia? A jeśli tak, to czy słowa mogą rządzić rzeczami?

Kiedy snułem podobne rozważania, orkiestra przestała grać. Camilla pouczała muzyków i śpiewaczkę, w jaki sposób mają wykonywać odegrany właśnie fragment utworu. Stwierdziła, że należy go jeszcze przeciwżyć. *Chormaisterin* dokładnie wyjaśniła, na co ma położyć nacisk śpiewaczka i jak mają brzmieć słodkie dźwięki fletów i niskie tony fagotów.

W przerwie Camilla dołączyła do nas. Poprosiłem ją, żeby podjęła opowieść o swoim życiu. Powiedziała, że jako młodzianka dziewczyna wyszła za mąż za nadwornego kompozytora, muzyka w służbie pierwородnego syna cesarza, późniejszego Józefa I. Nadworny kompozytor udzielał lekcji muzyki Camilli, która mieszkała w Wiedniu razem z matką. Był Włochem, na imię miał Francesco.

- W cesarstwie - ciągnęła Camilla - wszystkie imiona się zniemcza, nazywał się więc Franz. Franz Rossi.

- Rossi? A zatem pani nazwisko brzmi Rossi, a nie de' Rossi? - spytałem.

- Początkowo nazywałam się Rossi. Szlachecki patronimik *de'* przyznał nam Jego Wysokość Józef I, na krótko przed śmiercią Franza.

Małżonek, mówiła dalej Camilla, uczył ją śpiewu i kompozycji, zabierał na dwory Europy, gdzie obydwójce poznawali modne kierunki muzyczne i po powrocie do Wiednia wprowadzali na dwór cesarza. Podróżowali do wielu miast włoskich: Florencji, Rzymu, Bolonii i Wenecji. W ciągu dnia zwiedzali pracownie lutników, teatry, badając ich akustykę, poznawali i słuchali utalentowanych śpiewaków i klawesynistów, składali wizyty księżętom, kardynałom i szanowanym osobistościom, pokornie korzystając z ich łaskawości. Nocami, przy świetle świec, walcząc ze snem, zapisywali utwory muzyczne, aby zawieźć je do Wiednia i zaprezentować Jego Cesarskiej Wysokości. W tym miejscu Camilla przerwała swoją opowieść i wróciła do sali prób. Kaplica ponownie wypełniła się muzyką, a ja poddałem się słodkiej fali wspomnień.

Rossi! Tak zatem brzmiało nazwisko zmarłego męża Camilli. Nie podobnie, jak początkowo sądziłem, ale identycznie jak nazwisko *seigneur-ra* Luigiego, ukochanego mistrza Atta, jego nauczyciela z lat młodości w Rzymie. Luigi Rossi zabrał młodziutkiego kastrata Atta Melaniego do Paryża, powierzając mu pierwszoplanową rolę w *Orfeuszu*, słynnym melodramacie skomponowanym dla kardynała Mazzariniego, aby uczcić wielkość purpurata, podniesionego do wysokiego urzędu z woli Niebios.

Jakby wtórując moim myślom, sopranistka śpiewała:

*O Niebiosa, litościwe Niebiosa...*

Powracałem myślą do wydarzeń sprzed dwudziestu ośmiu lat, do gospody Donzello w Rzymie, gdzie poznałem opata Melaniego, który każdego dnia drżącym, lecz silnym jeszcze głosem śpiewał fragmenty utworu mistrza Luigiego.

Dziś drżał głos sopranistki:

*Un dardo, un lampo, un telo*

*Attenderó da te*

*Ferisci arresta esanima*

*Chi mi mancó di fe...*

Zasłuchany w arię z oratorium, rozmyślałem o śpiewie opata Melaniego. Atto, głęboko wzruszony cudownymi melodiami, wspominał swojego mistrza (i wiele innych rzeczy, o których nie miałem pojęcia), podczas gdy ja, prosty posługacz, wpadałem w

zachwyty, słysząc te wspaniałe dźwięki. Nigdy przedtem ani potem nie słyszałem tak pięknej muzyki.

Po próbie wracaliśmy razem do klasztoru, znajdującego się kilka minut od kaplicy cesarskiej. Szliśmy więc powoli, aby podczas drogi wysłuchać opowieści do końca.

- Pojechaliśmy też do Francji, do Paryża - powiedziała Camilla.

- Do Wersalu? - zapytała Cloridia. Camilla uśmiechnęła się, lekko zakłopotana.

- Nie. Franz chciał odwiedzić pewną osobę, jedyną, która mogła powiedzieć mu coś o jego przodku, stryjecznym dziadku, także kompozytorze. Za życia był bardzo sławny, zmarł przedwcześnie. Minęło wiele lat i zapomniano o nim. W Rzymie Franz nie znalazł nikogo, kto by go pamiętał, dopiero w Paryżu...

- Chodzi o mistrza Luigiego? Czy tak? To on był przodkiem pani męża? A w Paryżu odwiedziła pani Atta Melaniego? Poznaliście się zatem? - pytałem rozemocjonowany.

W tej samej chwili natknęliśmy się na grupę młodzieży i przerwaliśmy rozmowę.

Mogłem się tego spodziewać, myślałem, przepuszczając młodych ludzi. Camilla знаła Atta. Nie mogło być inaczej. Oto dlaczego Atto wysłał nas do klasztoru przy Bramie Niebios. Poznali się z Camilla w Paryżu i od tej pory utrzymywali ze sobą kontakt. Dzięki tej znajomości podczas wojny między Francją a cesarstwem miał w Wiedniu, stolicy wrogów, zaufaną osobę. Czyż nie napisał listu do *Chormaisterin*, powierzając nas jej opiece? Sama to przyznała, gdy przyjechaliśmy. Co więcej, Franz, zmarły mąż Camilli, był wnukiem Luigiego Rossiego.

Grupa młodzieży skręciła na dziedziniec jednego z domów. W Wiedniu po zachodzie słońca odbywały się *Andacht*, spotkania modlitewne przed posągami świętych. Młodzi śpiewali, razem odmawiali różaniec i litanie, wysłuchiwali kazania. Na koniec łamali się chlebem i pili wino.

- Kiedy poznała pani Atta Melaniego? - zapytaliśmy jednocześnie z Cloridia, spragnieni wieści o naszym dobroczyńcy.

- Jedenaście lat temu, w sierpniu 1700 roku. Szacowny opat przyjął nas jak ojciec i podczas całego pobytu w Paryżu okazywał niezwykłą życzliwość i wspaniałomyślność. Byłam szczerze wzruszona jego szczodrością i uprzejmością. Nie spotkałam dotąd nikogo, kto dorównałby opatowi Melanemu szlachetnością!

Camilla rozplątywała się w zachwytach nad Attem. Miała szczęście, pomyślałem, poznała jedynie jego dobre strony...

- Melani wrócił właśnie z Rzymu, z wesela bratanka kardynała sekretarza stanu. Miał tam pozostać aż do konklawe, ale z powodu brzydkiej rany na ramieniu skrócił pobyt w

Wiecznym Mieście.

Clordia i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. Dobrze znaleźliśmy tę historię, gdyż przeżyliśmy ją razem z Attem, a właściwie zostaliśmy w nią wplątani wskutek jego intryg. Został zraniony nożem w ramię, to prawda, ale z Rzymu nie wyjechał, tylko uciekł! Nie sprostowaliśmy jednak tej nieścisłości, aby nie zdradzać Camilli nieuczciwych postępków opata. Wprawdzie oszukał nas i wykorzystał do swoich celów, ale później stał się naszym dobroczyńcą.

- Melani mówił mężowi o swoim mistrzu Luigim Rossim - opowiadała *Chormaisterin*.

Wydobył z zakamarków pamięci postać mistrza Luigiego. Opisując go Camilli i Franzowi, wzruszył się niemal do łez, ale mając na względzie obecność młodej, subtelnej damy, zapanował nad emocjami. Przypomniał sobie, że przed laty Luigi Rossi zdobył w Rzymie, w służbie Barberinich, wielką sławę. Później odnosił sukcesy na dworze króla Francji. Mówił o słynnej kantacie, skomponowanej na okoliczność śmierci króla Szwecji Gustawa Adolfa, którą podziwiała cała Europa. Jego *Orfeusz*, w którym po raz pierwszy arie trwały dłużej niż recytatywy, zrewolucjonizował muzykę operową. Luigi Rossi był człowiekiem uprzejmym, niezwykle inteligentnym, obdarzonym dużym talentem poetyckim i muzycznym. Zarówno w Rzymie, jak i w Paryżu oklaskiwano go jak żadnego innego włoskiego muzyka.

Atto, wspominając, przeżywał na nowo nie tylko sukcesy i radości, ale także smutne wydarzenia sprzed pół wieku. Wieść o chorobie młodej żony Costanzy, pięknej harfiarki z rodu Barberinich, zastała mistrza Luigiego we Francji, gdzie wraz z Attem pozostawał w służbie u Mazzari-niego. Podczas pośpiesznej podróży do Rzymu skomponował muzykę do słów *Speranza, al tuo pallore, so che non spero piu, eppur non lasci tu, di lusingarmi U core*, co znaczy: Nadziejo, na twą jasność, wiem, nie masz już nadziei, nie pozwalasz dłużej ludzi się memu sercu. Gdy otrzymał wiadomość o śmierci małżonki, stworzył smutną passacaglię *Poi che mancó la speranza*, Kiedy nie stało nadziei.

- Tragedia ta zawiodła go do grobu - oznajmiła smutno *Chormaisterin* i dodała, że Atto pokazał jej tabulatury napisane ręką mistrza. - Franz zwierzył się wówczas opatowi Melanemu, że nosimy się z zamiarem zamieszkania w Rzymie lub w Paryżu, tam gdzie żył i tworzył Luigi Rossi. Atto nam odradził ten krok. Co więcej, nalegał, żebyśmy wrócili do Wiednia, wówczas stolicy włoskiej muzyki. W Rzymie i w Paryżu muzyka się skończyła. W Rzymie przed laty zabił ją papież Innocenty XI, zamykając teatry i wydając zakaz urządzania karnawału. Dziś władza papieska nie sięga tak daleko. Z kolei w Paryżu Król Słońce związał

się z tą starą bigotką *madame* de Maintenon i wszystko, nawet muzyka, stało się szare i ponure.

Opat Melani, myślałem, słuchając słów *Chormaisterin*, doskonale wiedział, co wydarzy się za kilka miesięcy po tej rozmowie: król Hiszpanii Karol II umrze i nastąpi otwarcie testamentu (którego treść - o Bogowie! - Atto znał). Zdawał sobie sprawę z tego, że z powodu testamentu rozgorzeje spór o tron Hiszpanii, straszliwa wojna, która wyniszczy całą Europę, głównie Italię, teatr walk, i Francję, zrujnowaną przez jej własnego króla. Rada opata była zatem niezwykle cenna, albowiem Wiedeń, stolica cesarstwa pod opieką bogini obfitości, była jedynym bezpiecznym miejscem w Europie.

Ponadto, jak się domyślałem, znając Melaniego, staremu szpiegowi Króla Słońce Camilla i Franz mogli się przydać w stolicy wroga...

- Od lat nie widziałem opata - stwierdziłem z westchnieniem.

- Franz zaczął podupadać na zdrowiu - ciągnęła Camilla. - Chorował na płuca. Wyjazd do Wiednia mógł być dla niego zabójczy. Tak więc wróciliśmy do Włoch, krążąc od jednego dworu do drugiego. Mój biedny małżonek, zaniepokojony swoją chorobą, bardzo się o mnie martwił. Dlatego też, po wybuchu wojny o sukcesję w 1702 roku, postanowił pójść za radą Atta Melaniego. W Wiedniu łatwiej przysłoby mi żyć, gdyby zły los skazał mnie na samotność.

Franz de' Rossi, mówiła Camilla, ponownie rozpoczął służbę u Józefa i wprowadził żonę do kręgu muzyków królewskich, gdzie wkrótce zaskarbiła sobie życzliwość przyszłego cesarza.

- Cesarza? - zapytałem pełen podziwu.

- Jak powszechnie wiadomo, Jego Cesarska Wysokość jest uzdolnionym muzykiem i docenia tych, którzy służą mu z oddaniem i miłością, starając się zaspokoić jego pasję do sztuki - odparła Camilla. - *Timore et amore*.

- Słucham?

- To jego motto. Wyjaśnia zasadę, na jakiej cesarz opiera swoje rządy: bojaźń i miłość, *timore et amore* - powtórzyła *Chormaisterin* stanowczym tonem, po czym powróciła do opowieści o swoim małżeństwie.

Franz de' Rossi, potomek mistrza Luigiego, odszedł z tego świata w mglisty poranek 7 listopada 1703 roku w Niffisches Haus przy Woll-zeile, czyli ulicy Welny, na tyłach katedry św. Szczepana. Miał czterdzieści lat.

- Zostałam sama na świecie. Niestety nie znałam ojca, a moja kochana matka - dodała zmienionym głosem - którą tak bardzo chciałam uściskać po powrocie, zmarła, kiedy byłam

daleko.

- Moja matka także zmarła daleko - wtrąciła Cloridia.

Ogarnęło mnie wzruszenie, podobnie jak Camillę. Moja małżonka nieoczekiwanie wspomniała o swojej matce.

- Tak sędzę. Nie wiem, kiedy ani gdzie zmarła - dodała smutnym głosem.

*Chormaisterin* ujęła Cloridię za rękę.

- Na szyi nosiłam wisiołek - powiedziała powoli Camilla. - Filigranowe złote serduszko z miniaturowymi podobiznami matki i mojej małej siostry, ale niestety zostało w domu, w którym zmarła matka. Nie udało mi się go odzyskać.

- Pani siostra? Gdzie jest teraz? - spytałem.

- Nigdy jej nie widziałam.

Choć szliśmy bardzo wolno, obierając okrężną drogę, w końcu dotarliśmy do klasztoru.

- Nie zadręczajcie się smutnymi wspomnieniami, proszę - powiedziała Camilla na pożegnanie. - W najbliższych dniach czeka was wiele radości!

Podczas gdy Camilla oddalała się w stronę sypialni, z półcienia wyłoniły się dwie postacie: młody arystokrata i jego sługa. Kierowali się ku drugiemu skrzydłu klasztoru z pokojami gościnnymi. Młody mężczyzna powiedział:

- Pamiętaj: kruki trzymają się w stadach, orzeł szybuje sam. Zadrzałem z emocji. Znałem tę sentencję. Usłyszałem ją wiele lat temu od Atta. Przez cały wieczór myślałem o opacie Melanim, a teraz on zdawał mi się odpowiadać. Być może opat usłyszał te słowa od kardynała Mazzariniego, być może znało je wiele osób. Może ów arystokrata znał Camillę i usłyszał tę sentencję od niej, a ona z kolei od Atta. Dość już!

Przesadziłem w dociekaniach. Musiałem jednak przyznać, że była to jedna z maksym, których się nigdy nie zapomina i chętnie powtarza.

Kiedy znaleźliśmy się w naszym pokoju, Cloridia zaczęła szykować się do snu, a ja pośpieszyłem wykonać to, o czym marzyłem od powrotu z Bezimiennego Miejsca - przejrzeć książki i pisma poświęcone Józefowi I, aby w końcu rozwiązać dręczące mnie wątpliwości. Dlaczego Najjaśniejszy Pan zaprzagnął odrestaurować Neugebau, nie bacząc na otaczającą to miejsce atmosferę wendety? Smutna historia Maksymiliana II oraz walki pomiędzy chrześcijanami i ich przeciwnikami przyczyniły się do tego, że od półtora wieku Habsburgowie ustępowali pod presją ludzi, których życzeniem było doprowadzenie do ruiny tego pomnika porażki Sulejmana. Dlaczego Józef Zwycięski postanowił to zmienić? Co nim kierowało?



Odłożyłem na bok pisma w języku niemieckim. Pierwszy z panegiryków, jakie znalazłem po włosku, nosił tytuł: *Oklaski Sławy i Dunaju w dniu chwalebnego imienia Najjaśniejszego Cesarza Józefa. Poezja do muzyki, poświęcona Jego Ekscelencji Panu Hrabiemu Giuseppe di Paar, Wielkiemu Marszałkowi Jego Cesarskiej Wysokości*. Panegiryk napisał akademik Acceso Gelato z okazji imienin władcy w roku 1706. Przystąpiłem do lektury dialogu między Dunajem a Sławą:

*Dunaj:*

*Strapienia*

*Zmartwienia*

*Z Austrii znikajcie*

*Kłopoty*

*Zgryzoty*

*Z Austrii uciekajcie.*

*Chwała niech będzie.*

*Zapanuje wszędzie*

*I szczęście zagości*

*W tym dniu radości.*

*Za ciemnymi lasami.*

*Świetlistymi stokami.*

*Gdzie wysokie góry, Słyszać ptasie chóry.*

*Sława:*

*Imię Józefa powtarzają, Kiedy tak wdzięcznie śpiewają. Fale im wtórują I wietrzyki się radują.*

Mimo niedorzeczności i prymitywnych rymów panegiryk przypomniał mi o oddaniu dla Józefa I, które stopniowo budziło się we mnie, i w miarę poznawania zalet cesarza zmieniło się w miłość. Cechowała go wielka łaskawość, wspaniałomyślność, szczodrość, umiłowanie sprawiedliwości. Słuchał, rozumiał i wypowiadał się ostrożnie i z wdziękiem. Był niezwykle odważny, udawał się na polowania bez względu na pogodę, porę roku, niebezpieczeństwa. Najodważniejsi dworzanie bali się za nim iść. Niekiedy, opuszczony przez strażę, wracał z polowania sam lub z jednym tylko towarzyszem.

Z upływem czasu od mieszkańców domów, w których czyściłem kominy, lub od osób przypadkowo spotkanych w gospodach i kawiarniach usłyszałem więcej opowieści o dobrym sercu Jego Cesarskiej Wysokości. Był niezwykle hojny i nigdy nie odmawiał pomocy człowiekowi, który jej potrzebował. Rozdawał dobra i pieniądze, ale nie z kasy cesarstwa,

tylko własnej, nie zważając na to, że sam może popaść w biedę.

Żadna opowieść nie odda jednak wrażenia, jakie odniosłem, widząc cesarza na własne oczy.

Było to przed dwoma miesiącami, w lutym, kiedy podczas karnawału przywrócono dawny obyczaj *Prachtschlittenfahrt*, uroczystą przejażdżkę cesarza i dworu saniami. W orszaku cesarskim, prowadzonym przez samego Józefa, doliczyłem się pięćdziesięciu jeden sań i stu trzydziestu osób, arystokratów i służących.

Sanie miały przepiękne kształty łabędzi, muszli, niedźwiedzi, orłów i lwów, ale najpiękniejsze z nich długo jeździły tego ranka puste, tak aby mogła obejrzeć je gawieź. Należały do Józefa I i jego małżonki. Z przodu były pięknie intarsjowane przez ebenistów i złotników, po bokach zdobiły je dwa fauny z fletami, jak żywe. Przed mrozem chroniły parę cesarską futrzane pledy z gronostaja, obszyte złotą nicią. Z tyłu sań powiewały połączone sztandary z herbami Habsburgów i cesarstwa. Za nimi jechały inne pojazdy z podobiznami Wenus, Fortuny, Herkulesa i Cerery, wiozące zakochane pary z arystokratycznych rodów, okryte wełnianymi kocami, spragnione zapewne potajemnego, ciepłego pocałunku.

Po długiej sannie ulicą Karynecką orszak zatrzymał się przed katedrą św. Szczepana. Józef I wysiadł z sań. Na oczach tłumów rodzina cesarska udała się w kierunku wejścia do świątyni. Cesarzowi towarzyszyła matka, wdowa po Maksymilianie II Eleonora Magdalena Teresa, żona Wilhelmina Amelia, dwie córki: Maria Józefina i Maria Amelia, oraz siostry - Maria Elżbieta i Maria Magdalena. Cesarze z rodu Habsburgów uważają za swój obowiązek, traktowany też jako przyjemność, pokazywać się publicznie. Aby poddani mogli ich podziwiać, zbliżyć się do nich, przyjrzeć, że rodzina cesarska często udawała się na mszę do jednego z kościołów w mieście lub na przedmieściach, brała udział w procesjach lub - podczas Wielkiego Postu - odbywała tradycyjną Drogę Krzyżową na tak zwany Kalvarienberg, Kalwarię, w podmiejskiej dzielnicy Hernals, gdzie wznosił się kościół zwany Górą Kalwarią.

Razem z Cloridią rozpychaliśmy się łokciami, żeby przedrzeć się przez tłum na wielkim placu przed katedrą, ale bez powodzenia. Dlatego też, zanim cesarska rodzina wyszła z katedry, pobiegliśmy do pałacu Hofburg, bo tam na dziedzińcu miała się zakończyć sanna.

Tymczasem bardziej zapobiegliwi gapie byli już na miejscu. Jedni stali na dziedzińcu, inni wdrapali się na kolumny, dzieci siedziały na barkach ojców. Postanowiłem stanąć u wylotu bramy, przez którą cesarski orszak miał wjechać na plac, choć byłem świadomy, że z tego miejsca zobaczę cesarza jedynie przelotnie.

Padał śnieg, dachy Hofburga białą niczym jasny całun. Wciśnięty w tłum

zmarzniętych widzów, chroniąc twarz od wiatru, oczekiwałem przybycia procesji.

W końcu nadeszła pamiętna chwila. W wysokiej bramie dały się słyszeć dźwięki dzwoneczków u sań, po czym pojawiło się dwóch ludzi biegnących z cesarskimi sztandarami. Za nimi biegli następni. Potem ujrzelśmy pierwszą parę białych koni w ognistoczerwonej uprzęży, ze sztucznymi orlimi skrzydłami przytwierdzonymi do grzbietów. Konie ciągnęły sanie, w których stał cesarz, nie bacząc na mroźny wiatr smagający mu twarz.

Pragnąłem, żeby ten ulotny moment nigdy się nie skończył. Ujrzałem go z bliska, z odległości kilku kroków, a jego dostojna postać na zawsze wryła mi się w pamięć.

Wysokie, gładkie czoło, ruda broda i włosy, jasna karnacja, policzki zaczerwienione od mrozu, duże, pełne usta rozchylone w uśmiechu, skierowanym do nas, anonimowego tłumu - oto, co zdołałem dostrzec. Patrzyłem z uwielbieniem na cesarza. On obejmował spojrzeniem swoich dużych niebieskich oczu, promieniejących młodością, wszystkich zgromadzonych. W tej krótkiej chwili zobaczyłem jego niezbyt wysoką, zgrabną sylwetkę, mocne ramiona, dumnie wypiętą pierś.

Cesarz podbił nasze serca, moje i Cloridii. Od tej chwili moja miłość do władcy zmieniła się w głębokie przywiązanie. Kiedy patrzyłem na jego postać, doszedłem do wniosku, że znamienita figura cesarza jest doskonałym uosobieniem najbardziej heroiczych cnót, jakie skupili w sobie egipski Vexori, asyryjski Ninurta, perski Cyrus, Grek Epaminondas, a w Rzymie Pompejusz. Podczas oblężenia twierdzy Landau Józef I dowiódł niebywałego hartu ducha. Czyny najodważniejszych były jedynie namiastką jego śmiałości, a waleczność wysłużonych żołnierzy wydawała się w porównaniu z nim biernością. Powodowany silnym pragnieniem chwały, zaszczerpionej bitnym Germanom, dwukrotnie odbił z rąk Francuzów pilnie strzeżoną fortecę. Jego Wysokości księciu Eugeniuszowi nie udało się jej zdobyć! Militarnym powodzeniem dostojnego Józefa I dorównywały w starożytności jedynie triumfy Cyrusa Wielkiego, który podbił państwo lidyjskie i uwięził jego władcę Krezusa, zwycięstwo Temistoklesa nad Kserksesem, kiedy to Grecy dokonali odwetu na Persach za okrutną niewolę, zmagania Hannibala z armią rzymską pod Kannami - symbol niewykorzystanego zwycięstwa, wreszcie w czasach współczesnych krwawa łaźnia, jaką Karol V urządził pod Pavią Franciszkowi I, najmężniejszemu władcy swojej epoki. Prawdę powiedziawszy, myślałem, wzniosłszy się na szczyty uwielbienia, wojenne sukcesy Józefa Zwycięskiego przewyższały triumfy innych władców. Któryż z rzymskich cesarzy mógł poszczycić się równie wspaniałymi zwycięstwami, odniesionymi w trzy zaledwie lata? Do historii przeszły krwawe triumfy Cezara nad Pompejuszem, Wespazjana nad Witeliuszem, Konstantyna nad Maksencjuszem, których legiony zasłynęły z brutalności.

Podczas gdy snulem te refleksje, wszystkie sanie wjechały na dziedziniec Hofburga, oświetlony setkami pochodni. Kreśliły po placu wspaniałe serpentyny, ku radości oklaskującego tłumu. Wzruszony wspaniałym widokiem, objąłem Cloridię ramieniem. Przepęłniała nas radość: mieszkaliśmy w bogatej stolicy cesarstwa, zima nie kojarzyła się nam, tak jak w Rzymie, z biedą i głodem. W odróżnieniu od Wersalu czy

Watykanu przepych cesarskiego dworu nie kontrastował z nędzą ludu. W Wiedniu każdy biedak otrzymywał za darmo dwa funty (dwa funty!) mięsa na tydzień.

Powstrzymując łzy entuzjazmu i uniesienia, oddaliśmy tego dnia nasze serca młodemu cesarzowi, który w tym rogu obfitości otoczonym wzgórzami i gęstymi winnicami, jakim była cesarska stolica, stał się dla nas symbolem odrodzenia.

Po chwili wspomnień i dywagacji powróciłem do lektury panegiryku:

*Dunaj: Od połysku jego miecza.*

*Sława: Od blasku jego chwały*

*Dunaj i Sława: Więdną najpiękniejsze kwiaty...*

*Dunaj: I tym kwiatom na przekór.*

*Gdy władca ze smutku wzdycha.*

*Bawarii i Panonii.*

*Choć zuchwałych jeszcze, słabnie pycha. Sława: Cesarzu, Ty, który z Jowiszem*

*Dzielisz cesarstwo.*

*A z Marsem wawrzyny.*

*W kwiecie Twoich młodych lat.*

*Teraz, kiedy do wesela wzywa Cię*

*Dźwięk mojej trąby.*

*Otwórz serce na radość, na piękny świat...*

Nawet te nużące rymy zawierały ziarno prawdy. Pragnąc, by się go obawiano, cesarz Józef wybrał boga Marsa. Myśl o wojnie, której groźne odgłosy często docierały do Wiednia, towarzyszyła mu bowiem od wczesnych lat życia. Do boga wojny należało dodać Wenus.

Józef poznał boginię miłości w młodym wieku i nie mogło być inaczej, skoro matka natura tak hojnie go obdarzyła. Jako dwudziestoczteroletni młodzieniec był piękny, silny i dobrze zbudowany, podobnie jak jego niemiecka matka. Nie miał śladu koszmarnego, wystającego podbródka i obwisłych warg, które od pokoleń szpeciły jego przodków, także ojca Leopolda i brata Karola, obecnego pretendenta do tronu Hiszpanii. Józef wśród Habsburgów wyróżniał się jak łabędź w stadku kaczek.

Kobiety (księżniczki, damy dworu, zwyczajne służące) potrafiły docenić jego urodę,

co Józef I chętnie wynagradzał im nocą, każdej z osobna i we właściwy sposób.

Radził sobie doskonale! Nie brakowało mu niczego: elokwencji, fantazji, werwy. Z pomocą przyszły mu muzy, obdarzając go licznymi talentami. Król Francji nie znał ani jednego języka obcego, Józef mówił sześcioma, równie biegle jak ojczystym. W wieku siedmiu lat pisał poprawnie po francusku, w wieku jedenastu po łacinie, a jako szesnastolatek rozmawiał w obu tych językach, jak również po włosku, z dobrą wymową. Dwa lata później nauczył się czeskiego i węgierskiego. Znał się na muzyce i komponowaniu, po mistrzowsku grał na flecie. Silną rozwiniętą muskulaturę zawdzięczał ćwiczeniom fizycznym, wyprawom na polowania i dyscyplinie wojskowej.

Wziąłem do ręki drugi panegiryk, autorstwa Gian Battisty Ancioniego: *Józefowi I, królowi Niemiec i cesarzowi rzymskiemu, wielkiemu Zwycięzcy. Wiedeń w Austrii, u Gio. van Ghelena, włoskiego drukarza nadwornego Jego Cesarskiej Wysokości, roku 1709*. Pod ilustracją przedstawiającą popiersie Józefa widniał podpis: *Tibi militat Aether*. Niebo walczy u twego boku.

Przerzuciłem kilka stron i natrafiłem na wykaz bohaterskich czynów Józefa, jego generałów i konfederatów:

„Na miarę starożytnych są obecne wielkie wiktorie, odniesione nad Francuzami na polach pod Blenheim przez Wasze niezłomne wojska i sprzymierzeńców pod dowództwem dwóch wysłanników walecznego Marsa - Eugeniusza i księcia Marlborough. Za sprawą tego nieugiętego herosa Wielkiej Brytanii, ulubieńca Junony, zdobyto większą cześć Flandrii, a dzięki Karolowi III, człowiekowi wielkiego ducha, oraz bezprzykładowemu męstwu obrońców, dała odpór najstraszliwszym atakom oblężona Barcelona i doszło do bohaterskiego wyzwolenia Katalonii, z której w popłochu zbiegli przerażeni wrogowie.

Podczas nadzwyczajnego wyzwolenia Turynu dało o sobie znać nieugięte męstwo Waszych wojsk i zabłysło jasne światło Waszej fortuny. Obrona słynnego miasta przed Francuzami, przywodząca na myśl pamiętną wytrwałość Sagontinich, trwała wiele miesięcy. Jednak okrutne, ponawiane wciąż ataki, wielka liczebność otaczających miasto oddziałów, braki amunicji i obrońców, niemożność uzyskania pomocy doprowadziły do wycieńczenia oblężonych turyńczyków. Wtedy przybył z odsieczą roztropny Eugeniusz na czele Waszych walecznych legionów, który wraz z oblężonym Turynem chciał pomścić całą Italię. Przebył niebezpieczne góry Niemiec i Włoch, przeprawił się przez Adygę, Pad i Dorę, napotykał na swej drodze coraz większą liczbę Francuzów, aż wreszcie, bez chwili zwłoki, dotarł do Turynu. Połączywszy się z mężnym księciem Sabaudii, natarł z taką mocą na okopane oddziały Francuzów, że atak Niemców bardziej przypominał rzeź niż walkę. Konfuzja,

przerażenie i zagłada były tak ogromne, że wróg myślał tylko o ucieczce. Po potwornej rzezi i wzięciu do niewoli Francuzów Turyn był wolny. W kilka zaledwie miesięcy oddziały francuskie uszły z Italii. Armia cesarza zdobyła Mediolan i zajęła Lombardię. Rychło też Wasze wojska wkroczyły do Królestwa Neapolu. Italia odzyskała upragnioną wolność”.

Zamknąłem książkę. Czego dowiedziałem się z tych pompatycznych pism? Tego mianowicie, że Józef Zwycięski bardzo różnił się od Maksymiliana Tajemniczego. Jednego cechował spokój, drugiego żołnierski zapał, przodek miał usposobienie refleksyjne, potomek pewność siebie. Życie Józefa krążyło, jak do tej pory, wokół kampanii wojennych i odnoszonych zwycięstw.

Było jednak coś, co łączyło obydwu cesarzy, młodego cezara i jego antenata. Pierwszy z nich wydobywał z wiekowego zapomnienia Maksymiliana i Bezimienne Miejsce, jakby prowadził nowego rodzaju kampanię wojenną, z udziałem architektów zamiast generałów. Skupiając uwagę na wielkim antenacie, Józef wystąpił z podniesioną przyłbicą przeciw odwiecznym wrogom, stawiał czoło odwiecznej niechęci do cesarstwa i chrześcijan. Niechęci, która nigdy nie wygasła, o czym świadczył barbarzyński najazd na Neugebau, dokonany przez kuruców przed kilkoma laty.

Oczami wyobraźni widziałem Józefa I, kiedy, zachęcony tchórzliwością swoich ojców, ogłaszał zdziwionym architektom, że po zakończeniu rozbudowy pałacu myśliwskiego Schonbrunn pragnie przywrócić Bezimiennemu Miejscu dawną świetność. Być może zamierzał nadać mu jakąś nazwę? Uświadomiłem sobie, że podczas moich dwóch wizyt w Neugebau nie spotkałem nikogo, kto prowadziłby prace restauratorskie. Frosch też nie wspominał o nikim takim, co więcej, wydawało się, że nic nie wiedział o planach cesarza. A może, zastanawiałem się, architekci i cieśle czekają na odwilż? Może wkrótce zjawią się, aby rozpocząć prace, podobnie jak ja?

Zrobiło się późno i poczułem się zmęczony, postanowiłem więc przerwać lekturę pism o Józefie I i powrócić do niej innym razem. Nie wiedziałem dlaczego, ale odnosiłem wrażenie, że wśród stosu starych gazet i bezużytecznych książek kryje się odpowiedź na moje pytania co do Bezimiennego Miejsca.

*Godzina 23: w Wiedniu wszyscy śpią. W Rzymie zaczyna się haniebny handel*

Od kilku godzin leżałem w łóżku i nie mogłem zasnąć. Myślałem o Neugebau i Najjaśniejszym Cesarzu, o latającym statku, tajemniczym sterniku, wreszcie o mistrzu Luigim i jego ariach śpiewanych przez Atta. Nigdy o nich nie zapomniałem, a teraz z wolna wydobywałem z pamięci, tropiłem jak zwierzynek w gęstym lesie wspomnień. Jak brzmiało to ar-peggio, ta śmiała modulacja i wers? *A więc to prawda...*

Już się cieszyłem na myśl o uczcie duchowej, jaką było dla mnie odtwarzanie nut, rymów i akordów, gdy usłyszałem jakiś hałas. Dochodził z klasztornego korytarza. Jakby ktoś się o coś potknął. Nie była to z pewnością żadna z zakonnicek, ponieważ sypialnie mieściły się w innym skrzydle. Obok był jedynie pokój Simonisa. Grek doskonale wiedział, że zgodnie z regulaminem pracownicy warsztatów muszą wracać do domu przed dziewiątą wieczorem, najpóźniej o dziesiątej, pod groźbą grzywny. Simonis przestrzegał tej zasady. Tego wieczoru, po powrocie z próby *Świętego Aleksego*, złożyłem mu krótką wizytę, żeby uzgodnić kilka spraw związanych z naszą pracą. Był w pokoju, uczył się. W najbliższy poniedziałek Alma Mater Rudolphina, Uniwersytet Wiedeński, otwierała swoje podwoje po feriach wielkanocnych.

Znowu ten sam odgłos. Po cichu, by nie obudzić Cloridii i synka, ubrałem się i wyszedłem z pokoju.

- ...Wieniec z wawrzynu... otóż i on! - usłyszałem nerwowy szept. Simonis zbierał jakieś przedmioty, które wypadły mu z dużego płóciennego worka.

- Co tu robisz o tej porze?

- Hmm...

- Powinieneś być w swoim pokoju, znasz regulamin - powiedziałem z wyrzutem.

- Proszę mi wybaczyć, panie majstrze, ale muszę iść...

- ...spać, zgadza się! I to szybko! - odparłem poirytowany.

- Dzisiaj wieczorem są otrzęsiny.

- Jakie otrzęsiny?

- Jestem cyrulikiem, muszę iść.

- Cyrulikiem? Co ty pleciesz?

- Błagam pana, panie majstrze, muszę iść.

- Co tam masz? - spytałem, wskazując na worek, w którym coś się ruszało.

- Nooo... nietoperza.

- Co takiego? A co chcesz z nim zrobić? - pytałem coraz bardziej zdziwiony.

Potrzebuję go, żeby nie usnąć.

- Kpisz sobie ze mnie? Chcesz zapłacić karę? Dobrze wiesz, że...

- Przysięgam, panie majstrze, nietoperz odgania senność. Można też schwytać przed świtem ropuchę, wydłubać jej oczy i z martwym słowikiem zawiesić na szyi w woreczku z jeleniej skóry. Działa niezawodnie, ale z nietoperzem jest prościej...

- Dosyć już! - powiedziałem, ogarnięty lękiem i obrzydzeniem, ciągnąc mojego dziwnego pomocnika za ramię.

- Błagam, panie majstrze! Muszę iść. Po prostu muszę. W przeciwnym razie wyrzucą mnie z uczelni. Proszę iść ze mną, a wszystko pan zrozumie.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, Simonis wyglądał na zmartwionego. Zrozumiałem, że chodzi o rzecz najwyższej wagi. Za żadne skarby świata nie mogłem dopuścić, żeby z mojego powodu usunięto Simonisa z Alma Mater Rudolphina. A ponieważ i tak nie mogłem zmrużyć oka, postanowiłem zaspokoić ciekawość i towarzyszyć Grekowi.

Miejsce, do którego zmierzaliśmy, znajdowało się niedaleko klasztoru Szkotów. Gdy weszliśmy do opuszczonego mieszkania, odniosłem wrażenie, że jakiś czarodziej przeniósł mnie do innej epoki. Pomieszczenie pełne było młodych ludzi przebranych za starożytnych Rzymian w togach. Na skroniach mieli wieńce laurowe, na nogach skórzane sandały, niektórzy dzierżyli w dłoniach papierowe zwoje naśladujące starożytne pergaminy. Jedynym szczegółem nawiązującym do czasów nam współczesnych była niezliczona liczba kufli z piwem, które wesoło wychylano. Mimo że jakiś czas temu dało się słyszeć bicie zegara piwnego, zakazujące picia, dziwna kompania w togach zupełnie się tym nie przejmowała.

Simonis opróżnił worek, podał mi spory kawałek płótna, w drugi sam się owinął. W tej samej chwili go zauważono i podniosły się głośne szepty.

- Cyrulik, przyszedł cyrulik!

Studenci, którzy wyszli nam naprzeciw, objęli mojego towarzysza na powitanie. Simonis uniósł w górę ramiona w geście pozdrowienia, co przyjęto żywiołową owacją. Miałem wrażenie, że znalazłem się w siedzibie rzymskiego senatu po występie Cycerona.

Czułem się nieco zagubiony. Simonis, mój grecki pomocnik i podwładny, był królem wieczoru. Pomyślałem o jego porannej opowieści o Bezimiennym Miejscu i cesarzu Maksymilianie II. Doszedłem do wniosku, że dziwaczny młodzieniec miał wiele ukrytych zalet.

Simonis, przebrany za rzymskiego senatora, został odprowadzony do drewnianego podium pośrodku sali.

Ja również owinąłem się prześcieradłem jak togą i założyłem sandały, o wiele na mnie za duże. Podniosły się podniecone szepty, gdy otworzyły się drzwi, łączące pokój z innym pomieszczeniem, i ukazała się w nich grupka młodych ludzi eskortujących indywiduum w przedziwnym przebraniu. Nieśmiały, wychudzony młodzieniec rozglądał się dokoła niepewnym wzrokiem. Na głowie miał kapelusz z oślimi uszami i jeszcze większymi krowimi rogami. Z ust zwieszały się potężne kły dzika, przymocowane najpewniej jakąś żywicą. Okryty czarnym płaszczem, sprawiał śmieszne i zarazem smutne wrażenie. Wprowadzono go do sali, okładając kijem jak juczne zwierzę.



- Bean, bean\*[\* Bean - nowo przyjęty na uczelnię student (przyp. red.)!] - wykrzyknął radośnie tłum żaków na jego widok. Po chwili podniósł się nieskładny chóralny śpiew:

*Safoete candidi hospites Conviviumque sospites, Quod apparatu divite Hospes paravit, sumite.*

*Beanus iste sordidus Spectandus altis cornibus.*

*Ut sit novus scholasticus Providerit de sumtibus*

*Mos est cibus magnatibus...*

Poczułem się zagubiony pośród tej zgrai, podszedłem więc do Simoni-sa. Zauważyłem, że zawiesił na pasku strunę z jelit zwierzęcych, taką jak w lutni, gitarze i teorbanie.

- To hymn, którym witamy nowicjusza, życząc mu, żeby został prawdziwym studentem - powiedział mi do ucha Grek, starając się przekrzyczeć głośny śpiew podpitych kolegów.

- Co to znaczy bean? - zapytałem.

- Jesteś Włochem? Znam włoski! - wtrącił wysoki, brzuchaty student z dużymi zaczerwienionymi oczami, miłą twarzą, pełnymi, różowymi policzkami i gęstymi, ciemnymi włosami, typowymi dla ludzi Wschodu.

- To Christo Christov Hadzi-Tanjov - wyjaśnił Simonis. - Jest Bułgarem, przez dłuższy czas studiował w Bolonii.

- Zgadza się, zaspokoilem pragnienie wiedzy w bolońskiej Alma Ma-ter Studiorum - potwierdził Bułgar, unosząc kufel z piwem.

- A teraz gasi innego rodzaju pragnienie - zażartował tyczkowaty młodzieniec o szerokich barach, który przedstawił się jako Jan Janicki hrabia Opaliński, Polak. - Nieco wcześniej pragnął mojej siostry Idy, która jest tancerką.

- Cicho bądź, pijaczyno! Bean, nazywany też bachantem - wyjaśniał Christo, upiwszy łyk piwa - jeszcze nie jest studentem ani nawet człowiekiem. Wstąpił na uniwersytet, ale jest nieokrzesany jak zwierzę. Musi udowodnić, że potrafi przewyciężyć zwierzęce instynkty. Zostanie przyjęty do ludzkiej społeczności, jeśli pomyślnie przejdzie próbę otrzęsin.

- Co to takiego?

- *Depositio cornuum* - wtrącił młodzian o kruczoczarnych włosach, z wąsikami i o chytrym spojrzeniu brązowych oczu. - Dzisiaj wieczorem złoży zwierzęce rogi i stanie się człowiekiem.

- Mówiącym te słowa jest mój drogi przyjaciel - oznajmił Simonis. - Przedstawiam

panu barona Kolomana Szupana. Pochodzi z Varaždinu na Węgrzech i ma gospodarstwo z osiemnastoma tysiącami świń.

- A ja mam osiemdziesiąt tysięcy! - powiedział drwiącym tonem grubiotki, łysawy student, którego przedstawiono mi jako księcia Drago-mira Populescu z Rumunii. - Szupan nosi takie samo imię jak święty Koloman, patron studentów, ale nieustannie obraża go swoimi kłamstwami. A baron z niego taki jak ze mnie papież. Baron Cyganów, oto czym jest, cha, cha, cha! Jeśli naprawdę ma osiemnaście tysięcy świń, jak twierdzi, to dlaczego nigdy nie poczęstował nas szynką?

Studenci wybuchnęli gromkim śmiechem, ale Koloman nie stropił się:

- A ty podajesz się za księcia, żeby zrobić wrażenie na kobietach!

- Nie denerwuj się, Dragomirku, zachowaj spokój! - powiedział do siebie Populescu, czerwieniejąc ze złości i wznosząc oczy ku niebu.

- Raczej trzeźwość, bo jesteś kompletnie pijany! - wtrącił Bułgar Christo.

- A ty nasiąkłeś piwem jak gąbka! - odparował przystojniak o wyglądzie *bon vivanta*.

Powiedziano mi, że nazywa się Daniłó Daniłowicz i urodził się w Pon-tevedro, małym państewku, o którym nigdy dotąd nie słyszałem.

- Nie mogę wyjść z podziwu, że wszyscy tak dobrze mówicie po włosku! - stwierdziłem.

- Bo wszyscy studiowaliśmy w Bolonii. Medycynę, gwoli ścisłości - poinformował Christo.

- Ach, te Włoszki! - westchnął Opaliński.

- Ach, kobiety, kobiety, kobiety! - dorzucił Daniłó Daniłowicz, mrugając do mnie porozumiewawczo.

- Ach, Włoszki... Nie podniecaj się, Dragomirku! - zganił się Populescu z rozmarzonym spojrzeniem.

- Potem przyszła sroga zima, ta sprzed dwóch lat, wojna, głód - ciągnął Christo - i przenieśliśmy się do Wiednia.

- I nie żałujemy! - wtrącił Koloman. - Austria! Wspaniała kraina, pełna rzek i strumyków, obfitująca w winnice, owoce, ryby i lasy! O ty, potężny Dunaju, największa rzeka Europy, która bierzesz początek w Szwarcwaldzie, płyniesz przez Bawarię, Austrię, Węgry, przecinasz Serbię i Bułgarię, wpadasz sześćdziesięcioma szerokimi ramionami do Morza Czarnego, a twoje wdzięczne wody opływają wiele dumnych miast, ale żadne z nich nie jest bogatsze, bardziej ludne i piękniejsze niż Wiedeń!

Słowa te nagrodzono owacją i toastami. Wywnioskowałem, że studenci stanowią

grupę zaprzyjaźnionych kompanów, którzy lubią napić się piwa, uciąć sobie pogawędkę, pożartować i cieszyć się życiem. Bóg jeden wie, co ci birbanci wyczyniali na uniwersytecie w Bolonii! Widząc, z jakim smakiem piją piwo i stroją żarty, podając się za hrabiów, baronów, a nawet książąt, można było zważyć, czy kiedykolwiek uczynili coś rozsądnego. Kiedy dokładnie im się przyjrzałem, pod togami dostrzegłem brudne szyje, połatane ubrania i dziurawe buty. Podobnie jak mój grecki pomocnik, byli po prostu *Bettelstudenten*, czyli beztroskimi, wesołymi obibokami, którzy lepiej opanowali sztukę radzenia sobie w życiu niż doktryny naukowe.

- Masz sympatycznych kolegów - powiedziałem.

- Bardzo pan uprzejmy, panie majstrze - odparł Simonis. - Niektórzy z nich przybyli z bardzo daleka, spoza granic cesarstwa, a dokładniej z Halb-Asien, Pół-Azji - szepnął mi do ucha Grek, jakby chciał ich wytłumaczyć.

- Pół-Azji? - powtórzyłem, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Tak, tak nazwałem ziemie, które rozciągają się na wschód od Wiednia, za Śląskiem i Karpatami, jak na przykład Pontevedro. To tereny leżące między światłą Europą a dzikimi stepami przemierzonymi przez nomadów, nie tylko w sensie geograficznym, ma się rozumieć - odparł Simonis.

- Wyglądają na normalnych chłopców, jak ty - odparłem, nie pojmując aluzji.

- Pozory mylą, panie majstrze. Ja jestem Grekiem - oznajmił z dumą Simonis. - Wielu z nich dzieli od naszej Europy nie tylko język czy granica. Rozległe równiny i łagodne wzgórza ich rodzinnych stron, które rozciągają się, jak mówiłem, za Śląskiem i Karpatami, nie tylko pod względem krajobrazu przypominają ziemie Uralu czy Azji Środkowej. Podobieństwo do tego świata, tak różniącego się od naszego, sięga znacznie głębiej.

Nie miałem pojęcia, jak wygląda Ural i Azja Środkowa. Ponieważ nie zrozumiałem, co Simonis miał na myśli, zamilkłem.

Miła atmosfera wieczoru zachęciła mnie do zmiany tematu, zapytałem więc Simonisa:

- Dlaczego nazwali cię cyrulikiem?

- Zaraz się pan przekona.

- Cisza, przyjaciele! - zakrzyknął jeden ze studentów eskortujących beana.

W sali ustał harmider. Grek wszedł na drewniane podium. Podprowadzono wystraszonego studenta.

- Do tej pory byłeś bezmyślną istotą - oznajmił Simonis poważnym tonem. - Zwierzęciem, brudnym szkolnym lisem, teraz staniesz się człowiekiem. Obrzydliwe kły przeszkadzały ci w jedzeniu i picciu, zaciemniały umysł. Teraz obdarzymy cię rozumem.

- Simonis odgrywa rolę cyrulika - szepnął mi do ucha Koloman swoim niemieckim ze śpiewnym węgierskim akcentem - prowadzącego ceremonię. Porównał beana do lisa, ponieważ lis chowa się do dziury, podobnie jak uczniowie, gdy bawią się w chowanego. Dlatego otrzęsiny nazywa się też chrztem lisa. Aby stać się człowiekiem, należy wyjść z ukrycia, zdobywać wiedzę, studiując na uniwersytecie, i zapomnieć o świecie zepsucia i rozrywek. Dzisiejszy bean sam wybrał sobie cyrulika, dużo o nim słyszał i go podziwiał. Cnoty Simonisa z pewnością staną się dla niego wzorem do naśladowania.

Zapewne, pomyślałem, ale wszyscy ci rozbawieni studenci w niczym nie przypominali ludzi żądnych wiedzy. Tymczasem podano Simonisowi jakiś przedmiot zawinięty w płótno. Był to kawałek czarnego tłuszczu, którym Grek domalował beanowi wąsy i brodę, co zgromadzeni przyjęli brawami i śmiechem. Bean znosił wszystko w milczeniu. Simonis wygłosił krótkie przemówienie po niemiecku, zaklinając biednego żaka kandydującego do miana studenta, by porzucił rozpustne życie, obrał drogę cnoty i nauki i przestał być ciemnym człowiekiem.

- Teraz będzie egzamin z łaciny - szepnął, chichocząc, Węgier Koloman Szupan.

Poproszono beana, by odmienił rzeczownik *cor*, co po łacinie znaczy serce. Chłopak zaczął deklinować przez przypadki: mianownik, biernik, celownik i tak dalej, w liczbie pojedynczej.

- *Cor, cordis, cordis, cor, corde, cor* - bełkotał niewyraźnie z powodu dziczych kłów wystających mu z ust.

- *Numerus pluralis*. - Teraz Simonis kazał odmienić rzeczownik w liczbie mnogiej.

- *Corda, cordarum, cordis...* aj!

Ledwie bean wymówił *corda*, co po łacinie oznacza serca, ale też sznur, Simonis smagnął go boleśnie cienką struną z jelit zwierzęcych, przywiązaną do pasa.

- Niech zginie twój nałóg i zwierzęca natura! - grzmiał Grek. Nieszczęśnik zasłaniał się rękami od razów, a widzowie pękali ze śmiechu, bili brawo i podnosili kufle z piwem.

Przyszła kolej na następne pytania i odpowiedzi, a każde przejęzyczenie beana kwitowane było uderzeniem struną, ku uciesze zebranych. Następnie kandydata poddano próbie śpiewaczej. Żak chciał zaśpiewać piosenkę studencką, ale z powodu kłów tylko się opluł, czym zasłużył sobie na baty i gwizdy.

Później kazano mu położyć się na podłodze. Jedni studenci czesali go boleśnie starą drewnianą szczotką, inni wpychali mu do ucha rączkę łyżki.

- Wyczyścimy ci uszy zarówno z brudu, jak i pychy. Dzięki temu będziesz miał uszy zawsze otwarte na cnotę mądrości - oznajmił z emfazą Simonis. - Uwolnisz się od plugawych

dźwięków głupoty i niegodziwości.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiły się hebel, młotek i wiertło, a trzy osiłki przycisnęły egzaminowanego do ziemi. Jeszcze nie zdążył ochłonąć po czesaniu, a już zaczęli go okładać młotkiem, heblować i świdrować, najpierw plecy, później brzuch. Modliłem się, żeby nie doszło do przelewu krwi.

- W ten oto sposób sztuka i wiedza formują twoje ciało - oświadczył uroczyście Simonis.

Studencka brać zaśmiewała się do łez.

Następnie podniesiono ofiarę. Przed beanem postawiono miskę z wodą, kazano mu namydlić sobie głowę, umyć ją i wytrzeć wełnianą szmatą, dzięki czemu miał przejść do nowego, bardziej cnotliwego życia.

Nie był to jednak koniec tortur. Koledzy posadzili delikwenta na krześle, a jeden z nich brutalnie wyciągnął mu z ust kły dzika, niczym najgorszy wyrwiząb.

- Żeby twoje słowa nie zawierały jadu - zakomunikował cyrulik. Tymczasem dwaj inni studenci tęym pilnikiem czyścili paznokcie beana, aby, jak powiedzieli, trzymał ręce z dala od broni i pojedynków i sięgał jedynie po książki i manuskrypty. Młodzian z poranionymi tęym narzędziem opuszkami palców błagał o litość. Potem przystąpiono do golenia domalowanej brody, ale nie mydłem i brzytwą, ale kawałkiem cegły. Po tej operacji twarz nieszczęśnika wyglądała jak kotlet siekany. Następnie koledzy kazali mu usiąść przy stole i położyli przed nim karty i kości, aby sprawdzić, czy ma skłonności do hazardu. Biedak był tak wymęczony, że nawet się nie poruszył. Położono więc przed nim podręcznik do muzyki, co miało znaczyć, że kiedy poczuje się utrudzony nauką, powinien odpocząć, oddając się sztuce dźwięków, i tylko jej. Na koniec zdjęto mu kapelusz z oślimi uszami i krowimi rogami. Simonis przystąpił do wypełnienia obowiązku cyrulika i tęymymi nożycami tak ostrzygł biednego żaka, że na głowie pozostało mu tylko kilka kosmyków, podobnych do ugotowanych liści szpinaku. Następnie ponownie wcisnięto mu na głowę kapelusz.

W tej samej chwili do sali wszedł starszy człowiek o poważnym wyglądzie, którego przybycie wywołało szmer podziwu i szacunku.

- To dziekan wydziału filozofii - poinformował mnie Koloman Szupan.

- Dziekan? Profesor? - zdziwiłem się.

- Oczywiście! Certyfikat otrzęsin zawsze wręcza najstarszy z profesorów wydziału filozofii.

- Rytuał ma znaczenie oficjalne: jeśli bean nie przejdzie egzaminu otrzęsinowego, Alma Mater Rudolphina go nie przyjmie - dodał Christo.

Simonis krótko streścił dziekanowi przebieg egzaminu i poprosił o przyznanie certyfikatu kandydatowi na studenta. Bean wstał, chwiejąc się nieco na nogach.

Dziekan skinął głową i ojcowskim tonem wyrecytował jakąś łacińską formułę. Młodzianowi podano szklanę z jakimś ciemnym płynem, który wypił jednym haustem. Jeden ze studentów posypał białym proszkiem odkrytą głowę kandydata, na co zareagował on jękiem cierpienia.

- Wino i sól - wyjaśnił Bułgar Christo. - Dzięki nim słowa i czyny beana doprawione będą mądrością i wiedzą, a on sam chętnie będzie przyjmował rady i upomnienia.

Kandydat na studenta cudem przeżył tortury. Wymęczony przez swoich oprawców, słabiutkim głosem wyrecytował formułę kończącą ceremonię:

- *Accipe Depositor pro munere munera grata, et sic quaeso mei sis manesque memor.*

Cyrulik i bean uściskali się wśród aplauzów publiczności, z głowy kandydata zdjęto kapelusz z oślimi uszami i krowimi rogami i symbolicznie złożono go na ziemi. Otrzęsiny dobiegły końca. Zdjęto mu także czarny płaszcz, twarz wytarto czystą chusteczką. Z powodu głośnych okrzyków radości ledwie słyszałem wyjaśnienia Christa:

- Teraz stał się pismakiem. Nie jest jeszcze stuprocentowym studentem, ale wkrótce się nim stanie. Musi być posłuszny swojemu osobistemu cyrulikowi.

- Nie rozumiem.

- Jeśli cyrulik jest głodny lub spragniony, pismak musi go nakarmić lub napoić. Jeśli cyrulikowi chce się spać, nie może mu przeszkadzać, i tak dalej. Musi spełniać jego życzenia.

Nie miałem śmiałości pytać o nic więcej. Odpowiedź, jakiej udzielił mi Christo, pozwalała przypuszczać, że na tym nie koniec cierpienia i poniżeń nieszczęsnego aspiranta na studenta, mimo że został awansowany do stopnia pismaka. Tymczasem tłum widzów zgromadził się wokół neofity, Simonisa i dziekana, wygłaszając komplementy i dowcipne komentarze.

- Kiedy zostanie studentem?

- Niebawem. Czas oczekiwania określony jest regulaminem. Od dzisiejszego wieczoru musi upłynąć rok, sześć miesięcy, sześć tygodni, sześć dni, sześć godzin i sześć minut.

Podszedłem do biednego męczennika, który musiał znieść całą tę niedorzeczną inscenizację. Ujrzałem szczupłego, zagubionego chłopca z nieśmiałym uśmiechem na twarzy. Za okrągłymi, zaparowanymi od gorąca szklami małych okularów kryły się rozbiegane, lekko nieprzytomne od panującego wokół zamieszania oczka. Gdy przeszedł kilka kroków, zauważyłem, że biedaczek utyka na jedną nogę.

Studenci pożegnali profesora głośnymi okrzykami.

- To naprawdę był dziekan? - spytałem Christa, kiedy znów stanąłem obok niego.

- Oczywiście! To nie Bolonia! W Wiedniu jest bardziej rodzinnie.

- Rodzinie - wyjaśnił Dragomir Populescu, biorąc pod ramię Christa - to znaczy, że tutejszej uczelni nie wiedzie się lepiej niż rodzinie takiego syna. Cha, cha, cha!

- Uciszcie się, zboczeńcy! Od masturbacji rzuciło wam się na głowy! - przerwał Koloman Szupan. - Wyjaśnię naszemu przyjacielowi, jak wygląda sytuacja w Wiedniu.

Tutejszy uniwersytet został założony w roku pańskim 1365 przez cesarza Rudolfa IV. Stąd jego nazwa: Alma Mater Rudolphina. Podobnie jak na słynne uniwersytety w Paryżu i Bolonii, ściągają do Wiednia z całej Europy rzesze studentów spragnionych wiedzy, zdolnych do wielu wyrzeczeń, byle tylko słuchać najsłynniejszych wykładowców.

W Alma Mater Rudolphina uczyły tęgie umysły, natchnione przez Boga: Henryk z Hesji, Mikołaj Dinckelsbuchel, Tomasz Hasselbach (któremu zarzucano, że przez ponad dwadzieścia lat komentował pierwszy rozdział z Księgi Izajasza, choć go nie rozumiał).

Niestety, w połowie XVI wieku w Europie nastąpił kryzys. Z powodu protestanckiej schizmy uczelnie zajmowały się głównie formowaniem grup złożonych ze zwolenników lub przeciwników Kościoła rzymskiego i pojedynkami na traktaty teologiczne.

- Za Lutrem - mówił Koloman - opowiedziały się, o ile mnie pamięć nie myli, uniwersytety w Altdorffie we Frankonii, Erfurcie i Jenie w Turynii, Giessen i Rinteln w Hesji, Gripswalde na Pomorzu, Halle w księstwie Magdeburga, Helmstedcie w Brunszwiku, Kiel w Holsztynie, Königsbergu w Prusach, Lipsku w Miśni, Rostocku w Meklemburgii.

- Zapomniałeś, głupcze, o Strasburgu w Alzacji, Tybindze w Wirtembergii i Wittenberdze w Saksonii - zbeształ go Populescu.

- Także o Loden i Uppsali w Szwecji oraz o Kopenhadze w Danii - dodał Christo.

- Jesteście pedantyczni jak stare panny - odparł Koloman, zabierając ze stołu na pół opróżniony kufel piwa i podnosząc go łączywie do ust. - Po stronie Kalwina natomiast - ciągnął Koloman - stały uniwersytety w Duisburgu, Frankfurcie nad Odrą, w Heidelbergu w Palatynacie, Marburgu w Hesji, Canterbury i Oksfordzie w Anglii, Dovay, Lejdzie i Utrechcie w Holandii, Franecker i Groningen we Fryzji oraz Bazylei w Szwajcarii.

- Zapomniałeś o Dole w Burgundii, idioto! - wykrzyknął Populescu.

- Papieżowi wierne były tylko nieliczne niemieckie uniwersytety: we Wrocławiu na Śląsku, Kolonii nad Renem, Dillindze w Szwabii, Fryburgu Bryzgowi]’skim, Ingolstadcie w Bawarii, Moguncji nad Renem, Molzheimie, Paderbornie, Wurzburgu we Frankonii. We Francji natomiast popierały go uczelnie w Aix-en-Provence, Anjou, Angers, Awinio-nie, Bordeaux, Bourges, Cadruclens, Caen, Cahortan, Grenoble, Montpellier, Nantes, Orleanie,

Paryżu, Poitiers, Reims, Saumur, Tuluzie i Valence. W Portugalii uniwersytet w Coimbre, w Hiszpanii w Komplut-tum, Grenadzie, Sewilli, Salamance i Tarako, a we Włoszech w Bolonii, Ferrarze, Florencji, Neapolu, Padwie, PAVII, Perugii i Pizie.

- Zapomniałeś o Krakowie w Polsce.

- I o Pradze w Czechach.

- I Louvain w Brabancji - dodał Christo.

- Louvain pominąłem z litości, bo są tam tacy sami bigoci i nieudacznicy jak wy dwaj.

Moje biedne stare panny, rozpalony ptaszek w klatce nie robi na was wrażenia - odparł Koloman. Przytrzymał Populescu, schwycił go za pasek i wlał mu zawartość swojego kufła w spodnie. Wywiązała się ostra bójka, szybko zakończona śmiechem.

W czasach sporów religijnych, kontynuował Koloman, Wiedeń stracił znaczenie jako ważny ośrodek nauki. Cesarska stolica musiała bowiem zmagać się z epidemią dżumy, stałym zagrożeniem ze strony Turków i, nade wszystko, z chroniczną pustką w kasie państwowej. Ta niekorzystna sytuacja odbijała się na kondycji uniwersytetu. Profesorom wypłacano pensje z opóźnieniem, niekiedy kilkumiesięcznym, w dodatku weksłami zamiast gotówki. Z wiedeńskiej uczelni odchodzili najlepsi wykładowcy, ustępując miejsca zwykłym *doctores* bez tytułu profesora. Ciągła wymiana kadry nauczycielskiej, stale poszukującej lepszego zajęcia, spowodowała chaos na uczelni, z każdym rokiem większy. Kursy i skrypty były na coraz gorszym poziomie, panowało powszechne przekonanie o bezużyteczności wiedzy. Pół wieku wcześniej wojna trzydziestoletnia nie tylko zrujnowała cały kontynent, ale także doprowadziła do upadku kultury i dobrych obyczajów studentów. W 1648 roku następcą tronu Ferdynand, syn cesarza Ferdynanda III, chłopiec nieprzeciętnie uzdolniony, dał dobry przykład i w wieku zaledwie piętnastu lat podjął studia w Alma Mater Rudolphina. Był pierwszym Habsburgiem, który zapisał się na uniwersytet. Niestety, sześć lat później zmarł na ospę. Tron dostał się młodszemu bratu Ferdynanda, Leopoldowi, o wiele mniej błyskotliwemu. Młodzież uniwersytecka, jak przed pół wiekiem ordynarna i prostacka, znowu oddawała się hulankom, a nie zdobywaniu wiedzy. Bójki były na porządku dziennym. Znalezienie ciała martwego żaka nie było niczym wyjątkowym w spokojnym Wiedniu. Studenci, pozbawieni bojaźni bożej, wywracali do góry nogami gospody, bili strażę, napadali i okradali bezbronnych przechodniów, nie mówiąc już o prześladowaniu Żydów. Uniwersytet zachował jednak wiele przywilejów, przyznanych mu przed laty przez cesarstwo. Zdarzało się więc, że studenci, którzy dopuścili się zabójstwa lub innego poważnego przestępstwa, byli ułaskawiani albo w ogóle unikali procesów.

Słaby skutek odniósł dobry przykład, jaki dziesięć lat wcześniej dał sam cesarz Józef



I. Obdarzony większą inteligencją niż jego poprzednik Ferdynand IV, brat ojca, zapisał się na Alma Mater Rudolphina.

Jedyne co dobrze funkcjonowało na uniwersytecie cesarskiej stolicy, to zabawa.

- Kiedy organizujemy otrzęsiny lub inne rozrywki, wszystko przebiega bez zarzutu. Zawsze odwiedza nas rektor, z szacunkiem odnoszący się do tradycji - stwierdził pijany w sztok Koloman. - Rektor to wspaniały człowiek, uczciwy, szczerzy i prawy.

- Zapomniałeś powiedzieć, że jest też sympatyczny - upomniał się Populescu, podnosząc do góry kufel z piwem.

- Porządny z niego gość - podsumował Christo i głośno czknął.

Sobota

*// kwietnia 1711 roku Dzień trzeci*

*Godzina 7: bije dzwon Turków, zwany też dzwonem Modlitwy*

Bolała mnie głowa, czułem suchość w gardle. Burzliwa noc spędzona ze studentami pozbawiła mnie sił.

Dziwna ceremonia otrzęsin zakończyła się około drugiej. Kiedy wróciłem do klasztoru (miałem zapasowe klucze do bramy), byłem tak podekscytowany, że do świtu nie zmrużyłem oka. Ulegając namowom przyjaciół Simonisa, wychyliłem kufel dobrego piwa, potem drugi i trzeci. Aby uniknąć kaca, Grek i jego koledzy wypili po kieliszku octu i opasali się mokrym płótnem. Ich zdaniem było to niezawodny środek, ale ja nie byłem o tym przekonany. I źle zrobiłem, bo choć nie upiłem się, po przebudzeniu miałem wszelkie tego objawy.

Kiedy otworzyłem oczy, zbudzony przez dzwon Turków, Cloridia była już w pałacu księcia Eugeniusza. Synek z Simonisem udali się zapewne do pracy. Tego ranka mieliśmy w planie przeczyścić przewody kominowe w dwóch domach w dzielnicy Josephina. Pomocnik i uczeń już tam na mnie czekali z narzędziami. Miałem z nimi trochę popracować, a później zostawić samych i udać się do naszego domu, położonego niedaleko, gdzie czekał na mnie kierownik budowy, żeby omówić z nim kilka szczegółów. Było jeszcze wcześnie, tak więc po odmówieniu modlitwy miałem czas, by spokojnie zjeść śniadanie.

Moja małżonka, jak zwykle, zostawiła mi obok łóżka chleb, dżem i coś do czytania. W przeciwieństwie do Rzymu, gdzie lektura gazet (pełnych informacji o zabójstwach i innych krwawych czynach) wywoływała we mnie lęk i niepokój, w Wiedniu lubiłem czytać prasę. Poczciwy Ollendorf, nasz nauczyciel, gorąco to pochwalał, gdyż czytając gazety, podciągałem się w niemieckim.

W Wiedniu wydawano tylko dwa tytuły, w tym jeden po włosku (ku niezadowoleniu

Ollendorfa). Mówiąc jaśniej, była *napisana* po włosku. „Corriere Ordinario” ukazywała się co cztery dni. Nadwornym drukarzem był Włoch van Ghelen. Założyli ją przed czterdziestu laty Włosi. Choć czasopismo to nie nadawało się do celu, o jakim myślał Ollendorf, stanowiło bardzo przyjemną lekturę.

Podczas wieczoru spędzonego ze studentami mówiłem wyłącznie po włosku. Przyjaciele Simonisa studiowali w Bolonii i trochę za nią tęsknili. Aby poczuć się jak w domu, pomyślałem zadowolony, wystarczy mówić w Wiedniu po włosku. Dumny z mojego pochodzenia, wziąłem do ręki „Corriere Ordinario”.

Przeglądając gazetę, myślałem o tym, jak trudne musiało być życie opata Melaniego w Paryżu. We Francji Włosi byli zawsze lekceważeni, nienawidzeni i prześladowani. Słynny Concino Concini, faworyt Ludwika XIII, został pozbawiony majątku i stracony. Paryżanie poćwiartowali jego ciało i je zjedli. Później nastął kardynał Mazzarini, intrygant, który sprowadził do Paryża włoską muzykę i teatr. Ponieważ skupił w swoim ręku nieograniczoną władzę i jej nadużywał, został przez wszystkich znienawidzony. W latach frondy włoscy artyści musieli znosić wszelkiego rodzaju upokorzenia. Jacopo Torelli, twórca scenografii do *Orfeusza*, o mały włos nie został zlincowany przez tłum, mimo że przybrał francuskie nazwisko Torel. Atto Melani i Luigi Rossi musieli uciekać z Paryża. Po śmierci Mazzariniego włoskich muzyków odesłano do ojczyzny. Francuzi zakochali się w Jean-Baptiste Lullym, zapominając, że naprawdę nazywał się Giovanni Battista Lulli i pochodził z Florencji. Ciekawe, co powiedzieliby Francuzi, gdyby zobaczyli, że w Wiedniu, cesarskiej stolicy, jest tak wielu Włochów, mają duże wpływy i cieszą się szacunkiem. Można tu było odnieść wrażenie, że jest się we Włoszech.

Bardzo się ucieszyłem, kiedy okazało się, że do cechu kominiarzy należą wyłącznie moi rodacy. Na tym nie koniec. Tu wszyscy oprócz pospólstwa mówią moim językiem. Wiedeńscy arystokraci rozmawiają, ubierają się, zalecają, obracają pieniędzmi, modlą się, planują, piszą i czytają po włosku. W języku Dantego i Petrarcki prowadzą korespondencję, kupują, sprzedają, mówią o przyjaźni, miłości i nienawiści. Podziwiano nas i ceniono, może nie kochano, ale z pewnością szanowano. Włoski był oficjalnym językiem dworu. Znał go doskonale sam cesarz Józef I (także dialekt rzymski, tokański i wenecki), podobnie jak jego ojciec Leopold I i dziadek Ferdynand III, piszący po włosku poezje, jak również wielcy książęta, ambasadorowie i inne godne szacunku osoby. Przed piętnastu laty Leopold I założył szkołę dla młodych austriackich arystokratów, w jego przeświadczeniu gorzej wykształconych od cudzoziemców. Dyrektor i nauczyciele byli w większości Włochami.

Włosi pracowali jako sekretarze, wychowawcy, nauczyciele fechtunku i muzyki,

tancerze, kanceliści, medycy, bibliotekarze, kaznodzieje, kopiści i lokaje. Poeci też byli Włochami. Czy istniała poezja wiedeńska? Nie. Kto potrzebował pieniędzy, nie musiał iść do Żydów, którzy na pewno by go oskubali, mógł je pożyczyć od Bieriego, Bolzy, Zangoniego czy Bren-tana. Najnowszy plan Wiednia i okolic wydali przed pięciu laty Włosi Anguissola i Marinoni.

W wiedeńskich orkiestrach skrzypce grały po wenecku, flety po toskańsku, cymbały dźwięczały po rzymsku, a śpiewaczka źle wymawiająca włoskie słowa arii była wygwizdywana. Dwaj Włosi, kompozytor Cesti i scenograf Burnacini, dokonali pierwszej w Wiedniu słynnej inscenizacji melodramatu *Złote jabłko*, przy której współpracował sam cesarz Leopold. Draghi, Bertali, Caldara, Bononcini (ulubieniec cesarza) byli autorami librett, muzykami, śpiewakami i kompozytorami. Skąd pochodziła Camilla de' Rossi oraz związani z nią muzycy: Ziani i Conti, sopran Lan-dini, tenor Costa, kastrat Orsini i wielu, wielu innych?

Włoscy aktorzy byli wszędzie. Teatry kukielkowe wzorowały się na Pulcinellim i Arlekinie\*[\* Postacie z włoskiej commedii delTarte (przyp. tłum.)]. Malarze, krawcy i jubilerzy ściągali do Wiednia z Mediolanu, Bolonii, Wenecji śladem słynnego Arcimbolda, sprowadzonego przed dwoma wiekami przez Maksymiliana II - Maksymiliana Tajemniczego, o którym opowiadał Simonis. Bezimienne Miejsce także było dziełem geniuszu włoskich architektów.

A kto zaprojektował, wybudował, wyrzeźbił, pomalował, ozdobił freskami, dekoracjami i sztukaterią wiedeńskie pałace, jeśli nie Włosi? Właściciele luksusowych, pałacowych rezydencji nosili nazwiska Liechtenstein, Mollard, Dietrichstein, Harrach, ale ich zachcianki spełniali Martinelli, Pacassi, Pozzo, Nobile, Gagnola, Dorigni, Bartoli, Allio, Ricci czy Corradini. Część pałacu cesarskiego wzniesiona przez cesarza Leopolda była dziełem mojego rodaka Luchesiego, na dziedziniec główny prowadziła szesnastowieczna brama, której twórcą był Piętro Ferrabosco. Można powiedzieć, że Wiedeń zbudowali moi rodacy.

Eugeniusz Sabaudzki, od ośmiu lat stojący na czele rady wojennej, najwaleczniejszy wódz armii cesarskiej, był potomkiem mężnych Picco-lominich i Montecuccolich. Uwolnienie miasta z rąk Turków w 1683 roku było zasługą polskiego króla i naczelnego wodza Jana III Sobieskiego oraz francuskiego dowódcy oddziałów cesarskich Karola Lotaryń-skiego, ale także dwóch Włochów: papieża Innocentego XI, który zorganizował i sfinansował antyturecką ligę książąt chrześcijańskich, oraz jego wiernego pomocnika, ojca kapucyna Marca d'Aviano.

Kiedy snułem rozważania o moich wspaniałych korzeniach, dostrzegłem w nogach łóżka słownik niemiecko-włoski, prezent od Atta Melanie-go. Książkę wydrukowano w

Wiedniu, ale jej autor, nauczyciel rodziny cesarskiej, Stefano Barnabę, był włoskim zakonnikiem. Niemieckie dzieła nadwornego kaznodziei, augustianina Abrahama a Sancta Clara, wydrukował Włoch Viviani. Mieliliśmy świętego Franciszka, Dantego i Kolumba, odkrywcę Ameryki. Byliśmy narodem świętych, poetów i żeglarzy. Nie powinno więc dziwić, że naszym dziełem była też pierwsza wiedeńska gazeta. Przystąpiłem do lektury.

Pierwsza korespondencja pochodziła z Lizbony i dotyczyła rozruchów w królestwie Portugalii. Mimo trwającej wojny informacje dotarły dość szybko. Artykuł był z 23 lutego, zaledwie sprzed półtora miesiąca. Po nim następował raport z zebrań londyńskiego Parlamentu i wiadomości o wojnie w Hiszpanii, gdzie brat Józefa I, Karol, rywalizował o tron z Francuzem Filipem Andegaweńskim, wnukiem Ludwika XIV. Na drugiej stronie widniały smutne wieści wojenne z Aslanu na Krymie i z Gdańska, po których znalazłem wreszcie coś ciekawego:

„Wtorek, 7 kwietnia, trzeci dzień świąt Wielkiejnocy. Najjaśniejsi Panujący z córkami arcyksiężniczkami i świtą udali się po obiedzie do kościoła Ojców Karmelitów Bosych na Wyspie św. Leopolda, gdzie wysłuchali nieszpórów i litanii.

Tego samego dnia przybył turecki aga z 20-osobowym orszakiem i został zakwaterowany na Wyspie Św. Leopolda na Dunaju. Onegdaj w południe udzielił mu audiencji Najjaśniejszy Książę Eugeniusz Sabaudzki, który wysłał po agę sześciokonną karete i cztery konie...”

Po tych słowach następował opis audiencji, którą widziałem na własne oczy, opowiadała mi też o niej Clordia. Anonimowy kronikarz przytoczył jeden nieznany mi dotąd fakt: „Mówi się, że wyżej wspomniany

Najjaśniejszy Książę Eugeniusz szykuje się do wyjazdu do Holandii, aby wziąć udział w kampanii wojennej przeciw Francji”.

Jak już wspominałem, powszechnie było wiadomo, że książę Eugeniusz nie mógł się doczekać wyjazdu na front. Teraz, jak się wydaje, po uroczystym przyjęciu agi, postanowił wyruszyć.

Na następnych stronach zamieszczono doniesienia z Madrytu, między innymi o awansach na generałów i brygadierów, jak również mniej istotne wiadomości z Paryża i Holandii.

Gdy odkładałem „Corriere Ordinario”, ze środka wysunęła się jakaś broszura. Clordia dbała o poziom mojego niemieckiego, kupując „Wien-nerisches Diarium”, „Dziennik Wiedeński”, który ukazywał się wprawdzie co trzy dni, ale rzetelnie informował o aktualnych wydarzeniach. Gazetę tę polecił mi poczciwy Ollendorf. Podobnie jak „Corriere Ordinario”,

numer „Wienerisches Diarium” był z tego samego dnia. Cloridia kupiła go zapewne w Rothes Igel, pałacyku pod Czerwonym Jeżozwie-rzem w Tuchlauben, w Portyku Sukienników, gdzie sprzedawano prasę.

Przystąpiłem do odszyfrowania pierwszej wiadomości. Wyteżając wzrok i opierając się na mojej nikłej znajomości niemieckiego, zrozumiałem tyle, że w środę przed trzema dniami cesarz powołał na członka tajnej rady hrabiego Schönborna, w życiu świeckim Hugona Damiana, pana na Reichelspergu i Hepenheimie, hrabiego Wiesenthaid i Biesen. Ucieszyłem się, że pojąłem przynajmniej istotę artykułu. Na drugiej stronie zamieszczono sprawozdanie z wizyty tureckiego agi. Aby nie zanudzać czytelników, ograniczono się do dziesięciu wersów, podczas gdy wiadomość o nominacji hrabiego Schönborna zajęła dwadzieścia pięć linijek.

Dalej znalazły się doniesienia z Węgier, Polski i Rosji (car przygotowywał się do wojny z Tatarami), z Neapolu (trzęsienie ziemi w Reggio), z Rzymu (kardynał Gozzadini pobłogosławił biskupa Perugii). Zapoznałem się też z wieściami wojennymi z Hiszpanii (francuski generał Ven-dôme z 4000 żołnierzy piechoty i 1500 kawalerzystami wycofał się do Delfinatu) i informacjami o innych krajach Europy. Na ostatniej stronie znajdowały się różnego rodzaju komunikaty, chętnie czytane przez wiedeńczyków: lista osobistości, które w tych dniach przybyły do Wiednia lub z niego wyjechały, wykaz ochrzczonych dzieci, zawartych ślubów i zgonów. Ja sam lubiłem przeglądać te rubryki, szukając znanych mi nazwisk, na przykład moich klientów, ale tym razem nie miałem już na to czasu. Właśnie miałem odłożyć „Wienerisches Diarium”, kiedy mój wzrok padł na wykaz osób przybyłych do Wiednia, a w szczególności na jedno nazwisko.

Wlepiłem wzrok w tekst. Jeszcze raz przeczytałem informację: „Herr Milan (czyli pan Milani), urzędnik poczty cesarskiej, pochodzący z Włoch, zatrzymał się w hotelu pocztowym”.

Pan Milani. Milani?

W mojej głowie zadźwięczał dzwonek alarmowy. Byłem zaskoczony i zarazem zawiedziony. Z taką dumą myślałem o sukcesach Włochów w Wiedniu, a tymczasem tę niezwykle istotną informację znalazłem nie w gazecie włoskiej, lecz wiedeńskiej.

Ubrałem się błyskawicznie i wybiegłem z pokoju, trzaskając drzwiami. W pośpiechu opuściłem klasztor. Gdzie znajdował się hotel pocztowy? Może przy Wollzeile, ulicy Welnianej? Przeklinając swoją słabą znajomość niemieckiego, ułożyłem sobie pytanie, jakie zadam pierwszemu napotkanemu przechodniowi. „Przepraszam, ja szukać hotel poczta”.

Pobiegłem jak strzała we wskazanym kierunku i skręciłem w prawo, w

Rauhensteingasse. Wiadomość zamieszczona na ostatniej stronie podziałała na mnie orzeźwiająco jak kubeł zimnej wody. Może dlatego przypomniałem sobie, że poprzedniego wieczoru w klasztorze natknąłem się na młodego arystokratę, który rozmawiał ze swoim sługą, cytując powiedzenie o orle i krukach. Jeszcze przedtem spotkałem dwóch tragarzy niosących wielki kufer pełen ubrań. Teraz okazało się, że klasztor Porta Coeli miał drugi budynek z pokojami gościnnymi przy Rauhensteingasse. Myślałem o informacji, którą przed chwilą wyczytałem w „Wienerisches Diarium”, a kiedy skręcałem w kolejną ulicę, zdawało mi się, że słyszę ten głos:

- ...a później pójdziemy poszukać chłopca.

Uśmiechnąłem się na myśl o tym „chłopcu”, którym już od dawna nie byłem. Nagle, z powodu pośpiechu lub zawrotu głowy spowodowanego nadmiarem przeżyć, potknąłem się, a gdy podniosłem głowę, najpierw ujrzałem ciemne okulary, potem duży nos grubo posmarowany bielidłem, i dopiero na końcu twarz, od dołu zasłoniętą kołnierzem zielonego płaszcza, od góry zacienioną rondem czarnego kapelusza. Nie poznałem go, ale wiedziałem, że to on.

Obok niego stał młodzieniec, którego widziałem poprzedniego wieczoru.

- To ja... panie opacie - wybełkotałem.

*Godzina 11: rzemieślnicy, sekretarze, nauczyciele języków, księża, sprzedawcy, lokaje i woźnice spożywają obiad*

Po niespodziewanym spotkaniu nastąpiły powitania i serdeczności.

- Pozwól, że cię uściskam, mój chłopcze - powiedział opat Melani, poklepując mnie po ramieniu i wodząc palcami po mojej twarzy. - Nie mogę wprost uwierzyć, że się spotkaliśmy.

- Podobnie jak ja, panie Atto - odparłem, tłumiąc łzy wzruszenia i radości.

Między naszym pierwszym a drugim spotkaniem upłynęło siedemnaście lat, a między drugim a tym teraz, w Wiedniu, jedenaście. Myślałem, że już go nie zobaczę. Tymczasem Atto Melani, księżę szpiegów, cichy sprawca połowy intryg w Europie, mój niezastąpiony nauczyciel życia i towarzysz przygody, znowu stał przede mną.

Za każdym razem to on przyjeżdżał do mnie i zawsze z daleka, z Paryża. Przed jedenastu laty zaskoczył mnie w Rzymie, ukazując się nagle, jakby wyrósł spod ziemi, kiedy pracowałem w ogrodzie willi Spada. Był wyraźnie zadowolony, że sprawił mi niespodziankę. Tym razem dołączył do mnie w dalekim Wiedniu, gdzie dzięki jego szczodrości rozpocząłem nowe życie.

- Powiedz szczerze - powiedział z uśmiechem, kryjąc wzruszenie - nie spodziewałeś

się mnie zobaczyć w tych stronach.

- Nie, panie Atto, choć wiem, że po panu można się wszystkiego spodziewać.

Powiedziałem opatowi, że teraz się śpieszę, jestem umówiony z klientami w dzielnicy Josephina, ale moglibyśmy się spotkać za kilka godzin, porozmawiać, odnowić znajomość.

Zdecydowaliśmy, że spotkamy się później, pod katedrą św. Szczepana.

Opat Melani doskonale wiedział, czym się zajmuję, bo sam mi załatwił tę pracę. Po dwóch godzinach spotkaliśmy się ponownie. Gdy tylko poczuł ostry zapach sadzy dobywający się z mojego ubrania, zasłonił nos chusteczką.

- Nie ma gorszych szpiegów od zakonnic - powiedział. - Trzymajmy się z dala od Porta Coeli. Poszukajmy jakiegoś ustronnego miejsca, gdzie moglibyśmy spokojnie zamienić kilka słów.

Wiedziałem, dokąd powinniśmy się udać. Znajac opata, przewidziałem, co zaproponuje. Wstąpiłem więc do klasztoru i zostawiłem Cloridii i Simonisowi wiadomość, że jestem w kawiarni Pod Niebieską Butelką przy Schlosserglass, czyli ulicy Ślusarzy. Nie wstępowali tam ani arystokraci, ani przedstawiciele państwa. W kawiarni zakazana była gra w karty i w kości - rozrywka ludzi prymitywnych. Spotykała się tu klasa średnia, zazwyczaj po obiedzie. Pod Niebieską Butelkę przychodzili zatem zarówno nadworny urzędnik, z wąsami ubrudzonymi jeszcze sosem z pieczonej dziczyzny, jak i guwernantka na schadzku z ukochanym. Do kawiarni nie chodziło się, by pokazywać się publicznie, ma się rozumieć! Stoliki stały w niszy lub zacisznym kąciuku, odseparowanym od reszty lokalu, gdzie w intymnej atmosferze można było pogawędzić z przyjaciółmi, wieść poufne rozmowy w interesach, flirtować albo po prostu poczytać w samotności. W wiedeńskich kawiarniach mówi się szeptem. Wiedeńczycy są bardzo dyskretni, nie podsłuchują niczyich rozmów ani nie wpatrują się w nikogo natrętnie, jak to się dzieje w Rzymie. Nawet najbardziej drażliwemu samotnikowi nie przeszkadza, jeśli przy stoliku obok siądą dwie lub trzy osoby. Mogę to powiedzieć z całą odpowiedzialnością: ktoś, kto nigdy nie był w wiedeńskiej kawiarni, nie wie, czym jest prawdziwy spokój.

Weszliśmy do kawiarni, o tej porze świecącej pustkami, i usiedliśmy przy stoliku. Od razu podeszła do nas wdzięczna kelnereczka o oliwkowej karnacji i czarnych włosach. Zamówiliśmy kawę, a gdy ją podała, na skutek nadmiaru wrażeń nie zdawałem sobie sprawy z tego, co piję. Opat Melani przedstawił mi swojego bratanka Domenica, młodzieńca, który mu towarzyszył.

- No, jak tam? Dobrze ci się mieszka w Wiedniu? - zapytał z lekkim grymasem, który mógł wyrażać wszystko: zdawkowe zainteresowanie, aluzję do mojego obecnego dobrobytu,

oczekiwanie na podziękowania za okazaną hojność i darowiznę, jak również skrytą chęć odrzucenia wyrazów wdzięczności.

Gdy zdjęliśmy wierzchnie okrycia, mogłem dostrzec zmiany, jakie zaszły w wyglądzie opata. Dawniej lubił nosić czerwone i żółte stroje z mnóstwem frędzli i kokardek. Dziś miał na sobie surowy, zielono-czar-ny strój. W ciągu tych jedenastu lat twarz mu wychudła, skóra obwisła, gruba warstwa bielidła nie tuszowała głębokich zmarszczek. Przed dwudziestu ośmiu laty w Rzymie, w gospodzie Donzello, poznałem opata w pełni sił, w willi Spada spotkałem żwawego staruszka, a teraz, w cesarskiej stolicy, zgrzybiałego starca. Jedynie dołek w podbródku pozostał taki sam. Twarz opata nie oparła się działaniu czasu, ale nie była zniszczona, raczej zwiędła, jak wysuszony owoc lub jesienny liść. Z powodu ciemnych okularów nie widziałem jego oczu. Pamiętałem, że miały trójkątny wykrój i były bystre.

Uśmiechnąłem się do niego z zakłopotaniem. Z całego serca pragnąłem mu podziękować, ale nie wiedziałem, od czego zacząć.

- Domenico, odłóż ją, proszę - powiedział Atto, podając bratankowi laskę.

Gdy wchodziliśmy do kawiarni, opat wziął pod rękę bratanka, żeby nie potknąć się o schody, a później, kiedy byliśmy już w środku, młodzieniec prowadził go powoli pomiędzy stolikami i krzesłami.

- Chciałem powiedzieć, panie Atto - zacząłem - że dzięki pańskiej wspinałomysłności żyje nam się doskonale.

Uświadomiłem sobie, że gdy zbliżaliśmy się do lokalu, Atto trzymał laskę nisko nad ziemią i poruszał nią w prawo i w lewo, badając drogę przed sobą.

- Miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że dzieci i małżonka cieszą się dobrym zdrowiem - odparł uprzejmie.

- Wszyscy mają się dobrze, zarówno synek, którego zabraliśmy ze sobą, jak i nasze dwie córki. Zostały w Rzymie, ale mamy nadzieję, że wkrótce... - Myśl o lasce nie dawała mi spokoju, lecz nie miałem odwagi pytać.

- Bogu niech będą dzięki! Spełniły się moje pragnienia. Gratuluję ci syna. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, nie było go jeszcze na świecie - przypomniał opat.

Do stolika znów podeszła wdzięczna kelnereczka i podała nam gazety. Zorientowała się, że jesteśmy Włochami.

- Proszę, panowie! Oto „Corriere Ordinario” i „Wienerisches Diarium”. Może macie ochotę poczytać - oznajmiła, starannie wymawiając tytuły gazet.

Domenico uprzejmie odmówił, a Atto powiedział półgłosem tylko jedno słowo:



- Niestety!

Teraz miałem pewność: Atto nie widział. Był ociemniały.

- Dajmy już pokój podziękowaniom! - dodał, zwracając się do mnie, choć nic nie powiedziałem. - Winien ci jestem wyjaśnienie.

- Wyjaśnienie? - powtórzyłem machinalnie, przejęty smutnym odkryciem.

- Zastanawiasz się zapewne, jakim cudem ten spryciarz Melani znalazł się w Wiedniu w okresie wojny z Francją, kiedy wszyscy Francuzi, razem z ich towarami, zostali wyrzuceni z cesarstwa.

- Prawdę mówiąc... domyślam się, jak pan to uczynił.

- Doprawdy?

- Pisali o tym w gazecie, w rubryce poświęconej podróżnym przybyłym do Wiednia. Pomogło panu włoskie pochodzenie. Podał się pan za intendenta poczty cesarskiej, podpisując się Milani, zamiast Melani, jak to pan czasem czyni. Myślę też, że dał pan do zrozumienia, iż przybywa z Włoch, pokazując włoski paszport, tyle że fałsz...

- Zgadłeś! Tak właśnie było! - wykrzyknął Atto, przerywając mi, abym nie wymówił kompromitującego słowa. - Poprosiłem poczciwą *Chormaisterin* z klasztoru Porta Coeli, żeby nikomu nie mówiła o moim przyjeździe. Chciałem ci zrobić niespodziankę. Widzę jednak, że wbrew starym nawykom w Wiedniu czytujesz gazety, a przynajmniej „Wieneri-sches Diarium”, bardzo rzetelne źródło. Austriacy lubią być dobrze poinformowani - dodał tonem, który wyrażał obawę przed wrogami Francji, uznanie dla ich zamiłowania do porządku oraz rozdrażnienie z powodu talentu do szpiegostwa.

- O ile dobrze rozumiem, zna pan tę rubrykę, skoro...

- Mój drogi Domenico zna niemiecki - powiedział opat, wskazując na milczącego bratanka - i czasem rozjaśnia ciemności, na które skazał mnie dobry Bóg - oznajmił Atto wzruszonym głosem, dając do zrozumienia, że Domenico jest jego lektorem.

Przyjazd Atta Melaniego, pomyślałem, rzeczywiście był zaskakujący. Udało mu się przedostać z wrogiego Paryża do stolicy cesarstwa mimo bardzo surowej kontroli! W Wiedniu od dawna istniał system sprawdzania mieszkańców i ludzi szczególnie niebezpiecznych: cudzoziemców, szpiegów, sabotażystów, nosicieli chorób, Cyganów, żebraków, łotrów, rozpustników, graczy i próżniaków. Odkąd miastu zaczęli zagrażać Turcy, zwłaszcza po oblężeniu w 1683 roku, cesarz Leopold I, ojciec obecnego władcy, zaostrzył środki kontroli. Osoby mieszkające w obrębie murów miejskich, z pominięciem żołnierzy i ich rodzin, były regularnie spisywane. Kontrolowano też ludzi mających bezpośrednią styczność z podróżnymi i przyjezdnymi. Właściciele mieszkań, hoteli, gospód, osoby

odnajmujące pokoje, woźnice nie mogli gościć, żywić czy przewozić kogokolwiek bez uprzedniego przekazania danych o gościu władzom dzielnicy, burmistrzowi, urzędnikom sądowym, zarządowi ulic, komisji bezpieczeństwa, wreszcie komisji inkwizytorskiej. Temu, kto po kryjomu gościł cudzoziemców, choćby przez jedną noc, groziły poważne kłopoty, których początkiem był mandat w wysokości sześciu cesarskich talarów. Aby uniemożliwić osobom z zewnątrz przesiadanie się z karety podróźnej do zwykłej dorożki, a tym samym swobodnego przekraczania bram Wiednia, poddano kontroli woźniców, dorożkarzy, pocztylionów. Na tym nie koniec. Aby zastraszyć wszystkich nieposłusznych, założono dwa punkty do składania donosów na podejrzanym podróżnych i ich współników: jeden w ratuszu przy ulicy Wipplinger, drugi przy Hoher Markt, Wysokim Targu.

Mimo tych zabezpieczeń opat Melani bez przeszkód dostał się do miasta.

- Niewiarygodne! W jaki sposób udało się panu uniknąć tych wszystkich kontroli?

- To proste: kazali mi podpisać *Zettl*, jak nazywają tę karteczkę do rejestracji danych, i pozwolili przejechać. W dodatku podpisałem się jak zwykle, nie zmieniłem nazwiska na Milani. Czasem piszę w pośpiechu, niewyraźnie, ale to oni źle przeczytali. W takich wypadkach nie należy się ukrywać, to najlepszy sposób.

- I niczego nie podejrzewali?

- Spójrz na mnie! Któż może się obawiać osiemdziesięcioletniego starca, ślepego, zmuszonego do korzystania z lektyki?

- Ale przecież osiemdziesięcioletni ślepiec nie może być intendentem poczty!

- Przeciwnie! Jeśli jest na emeryturze, ma się rozumieć. Nie wiedziałeś, że w cesarstwie tytuły są dożywotnie?

To powiedziawszy, zaczął dotykać mojej twarzy, jak przy powitaniu, aby sprawdzić, czy bardzo się zmieniłem.

- Masz za sobą ciężkie przejścia, chłopcze - stwierdził, wyczuwając bruzdy na moim czole i zmarszczki na policzkach.

Ujął moje dłonie, stwardniałe od odcisków i odmrożeń, których nabawiłem się jeszcze w Rzymie. Nie powiedział słowa.

- Przykro mi, panie opacie - zdołałem wykrztusić, nie odrywając oczu od twarzy Melaniego. Słowa wdzięczności i synowskiej miłości do tego zgrzybiałego starca utkwily mi w gardle na widok czarnych szkieł kryjących okrutną prawdę.

Atto przestał obmacywać moją twarz, zaciskając wargi, jakby pragnął powstrzymać grymas smutku i natychmiast ukrył się za filiżanką kawy, którą podniósł do ust, a jednocześnie szybkim ruchem drugiej dłoni poprawił sobie okulary na nosie.

- Zastanawiasz się zapewne nad przyczyną mojej wizyty w Wiedniu. Spotkanie z tobą sprawiło mi ogromną przyjemność, ma się rozumieć, ale nie był to wystarczający powód, by stary, schorowany człowiek decydował się na tak długą i ciężką podróż. Tym bardziej że zabraniali mi jej lekarze.

- Czyli... przyjechał pan w innym celu - stwierdziłem.

- Zgadza się, w innym... pokojowym.

Podczas gdy on mi wszystko wyjaśniał, kawa, osłodzona odrobiną pachnącego lokum (rodzaj galaretowatego tureckiego nektaru, który w przeciwieństwie do miodu nie zabija smaku napojów), spływała mi z wolna do żołądka, wypełniając go miłym ciepłem. Rozkoszowałem się myślą, że oto odnalazł się w końcu ten nicpoń, oszust, szpieg, a zapewne też zabójca, któremu zawdzięczam obecny dobrobyt i tysiące nauk. Z wielu z nich skorzystałem, inne odrzuciłem, nabierając życiowego doświadczenia.

Na początku swojej opowieści Melani przytoczył fakty sprzed dwóch lat, z roku 1709, kiedy sroga zima dała się we znaki nie tylko mieszkańcom Włoch, takim jak ja, ale także Francji. Był to najstraszliwszy rok w ciągu całego panowania Ludwika XIV.

W styczniu wszystkie drogi i wybrzeża były zamrożone. Wskutek mrozów zginęły setki podróżnych, przemieszczających się pieszo lub konno. Kościoły były pełne trupów. Król stracił więcej poddanych niż podczas wojny. Również spowiednik króla, ojciec La Chaise, zmarł z zimna na krótkim odcinku drogi z Paryża do Wersalu. Atto nabawił się silnego przeziębienia i przeleżał cały miesiąc w łóżku. Żołnierze byli źle opłacani, a oficerowie, którym wprawdzie pomagały rodziny, nie mieli siły walczyć. Bankierzy nie płacili złotymi czy srebrnymi monetami, lecz pieniędzmi papierowymi. Taką samą formę miały weksle i inne płatności, a jeśli ktoś chciał ich uniknąć bądź zamienić na gotówkę („prawdziwe pieniądze, a nie jakieś papierzyska!”, wykrzyknął Melani), to na podstawie królewskiego zarządzenia wypłacano mu jedynie połowę nominalnej wartości.

W kwietniu zaczął się głód. Miasta oblegały tłumy wynędzniałych wieśniaków. Na wsi brakowało żywności. Nikt nie mógł opuścić Paryża bez narażenia się na kradzież lub napad. Lud był wyczerpany, zrozpaczony, głodny. W ostatnich dniach kwietnia o mało nie doszło do powstania, gdy oddział łuczników zatrzymał pewnego żebraka proszącego o jałmużnę w kościele św. Rocha. Ponieważ stawiał opór (choć nie miał broni), załukli go na śmierć na oczach przerażonych wiernych. Oprawcy ledwo uniknęli linczu, chroniąc się w pobliskim domu. Tragiczne zdarzenie dało początek rozruchom. Z całego Paryża ściągali do Św. Rocha zastępy rozwścieczonych ludzi. Dopiero po wielu godzinach położono kres zamieszkom.

W maju niepokoje nasiliły się. Do jedzenia można było kupić jedynie czarny jak węgiel chleb, który kosztował ponad jednego Juliusza za funt. W targowe dni miastu groziły rozruchy. W czerwcu skarbiec Korony świecił pustkami. Zostały jedynie pieniądze na prowadzenie wojny, ale żołnierze i tak nie dostawali żołdu.

Późne przymrozki zwarzyły kwiaty na drzewkach oliwnych na południu Francji i w sadach w całym kraju. Zbiory przepadły, a magazyny były puste. Tanie zboże, sprowadzone ze Wschodu i z Afryki, zostało rozkradzione. Król zmuszony był sprzedać za czterysta tysięcy franków złotą zastawę, najzamożniejsi przetopili rodowe srebra na monety. W Wersalu na królewski stół podawano skromne pieczywo z mąki owsianej. Tymczasem w gazetach nie było ani jednej wzmianki o powszechnej nędzy, grzmiał Atto, same kłamstwa i bzdury.

- Zastanawiałeś się zapewne nad tym, co też porabia w Paryżu twój drogi opat Melani - powiedział smutnym głosem. - Otóż trzeba ci wiedzieć, że ja też głodowałem, jak wszyscy.

Król Słońce zrozumiał, że za wszelką cenę trzeba zawrzeć pokój z Holendrami, Anglikami, Niemcami i Austriakami. Droga dyplomatyczną przekazał Holendrom swoją propozycję, ale oni odrzucili ją z pogardą.

- Powiem ci w tajemnicy - wyszeptał opat Melani, pochylając się ku mnie - że nawet markiz Torcy upokorzył się, starając się o zawarcie pokoju.

Torcy, którego za granicą uważano za najważniejszego ministra Francji, wyjechał z Wersalu do Amsterdamu pod fałszywym nazwiskiem i przybył niespodziewanie do pałacu wielkiego pensjonariusza Holandii, który z wielkim zaskoczeniem przyjął wiadomość, że w przedpokoju czeka na niego zaciekły wróg, aby prosić o pokój. Odrzucił jednak propozycję Torcy'ego. Z taką samą prośbą markiz zwrócił się do księcia Eugeniusza, dowódcy wojsk cesarskich, oraz do księcia Marlborough, wodza armii angielskiej. Oni także odmówili. Król Słońce zmuszony był więc wysłać list do gubernatorów miast i całego ludu, usprawiedliwiając swoje postępowanie i powody straszliwej wojny, która pustoszyła kraj.

- Doprawdy? - zdziwiłem się, słyszałem bowiem, że Arcychrześcijański Król był wyjątkowo arogancki, pełen pogardy, nieustępliwy i okrutny.

- Ta wojna wiele zmieniła, mój chłopcze - odparł opat.

- Także „największego króla świata”? - zapytałem, cytując określenie, jakiego przed laty użył Atto.

- Tak, również *le plus grand roi du monde* - powiedział Atto tonem pełnym słodyczy.

- Któż jest największym królem świata? Dumne Słońce czy cierpliwy, powściągliwy Jowisz? Krwiożerczy, barbarzyńscy wodzowie czy najlepsi cesarze rzymskiego imperium? Któż nie podziwia walecznego zapału Cezara, sztuki rządzenia Augusta, głębokiego, nieod-gadnionego

umysłu Tyberiusza, zmysłu oszczędności Wespazjana, zalet Tytusa, dobroci Trajana? - mówił coraz bardziej pompatycznie opat Melani. - Kogo nie wprawia w zachwyt kultura Hadriana, łaskawość i sprawiedliwość Antoninusa Piusa, mądrość Marka Aureliusza, zdyscyplinowanie Pertynaksa, zdecydowanie i spryt Septymiusza Sewera? Cóż mogę powiedzieć o wzniosłym charakterze Dioklecjana, wspaniałomyślności i zwycięstwach Konstantyna Wielkiego, byстрым umyśle Juliana Apostaty, tolerancji, pobożności i powściągliwości Teodozjusza i niezliczonych cnotach innych rzymskich cesarzy? Zasłużyli sobie na dożgonną pamięć i wdzięczność rodzaju ludzkiego właśnie dzięki swym niezwykłym zaletom, a nie krwi przelanej w kampaniach wojennych!

Nie rozumiałem, do czego zmierza opat Melani.

- Długo by wyliczać. W starożytnym Rzymie rządził jeden człowiek i państwo było w kwitującym stanie. Sądy, urzędy publiczne, armia lądowa i morska - wszystko funkcjonowało bez zarzutu. Skarbiec był pełny. Z podbitych krajów Azji, Europy i Afryki spływały daniny. Rzymscy cesarze nie przelewali krwi na darmo, a panowali tysiąc lat, dzięki rozumnej polityce poszanowania wolności swych obywateli i nadaniu podbitym ludom pewnych praw.

Tymczasem Arcychrześcijański Król, myślałem, nie prowadził polityki zmierzającej do przyznania podległym ludom wolności i sprawiedliwych praw. Przeciwnie, stosował przemoc, jak w Palatynacie, mimo że były to rodzinne ziemie bratowej. Nigdy dotąd nie słyszałem, aby Atto Melani wychwalał zalety innych rządzących. Szukał raczej usprawiedliwienia dla postępowania Francuzów.

- Warto też przypomnieć, że Dejokes został wyniesiony do godności króla Medów - ciągnął opat - ponieważ prawością i sprawiedliwością budził powszechny szacunek. Podobnie Rzym, okrutny wówczas i dziki, powołał na swojego władcę Numę Pompiliusza, słynącego z surowości obyczajów i pobożności. A czegoż innego pragnęła starożytna republika, jeśli nie powszechnego pokoju oraz zniesienia barbarzyństwa i ślepej przemocy, odwiecznych źródeł zła, niweczających zgodę między ludźmi? Imperium zbudowane na rozumnych zasadach, prawdziwych wartościach, sprawiedliwości, dążeniu do pokoju między ludami, w którym każdy miał dostęp do godności i honorów, słusznie uznawano zatem za praworządne i święte, a jego władcę otaczano czcią. Prawowitym spadkobiercą rzymskiego imperium jest Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego z Najjaśniejszym Cesarzem Józefem I Zwycięskim.

- Dziwią mnie pańskie słowa, panie Atto, ale nie mogę się z panem nie zgodzić. Mądrość cesarzy z rodu Habsburgów uchroniła Wiedeń przed głodem, który zdziesiątkował ludność Europy - stwierdziłem.

- Pamiętaj, chłopcze, cnoty władcy ze wszech miar zasługują na pochwałę. Prawdziwie szlachetni ludzie nie rodzą się na kamieniu, lecz w rodzinie, gdzie od pokoleń kultywuje się pewne wartości - oświadczył uroczyście Melani. - Bez nich ród królewski skazany jest na wyginięcie, a wraz z nim całe królestwo. Habsburgowie będą zasiadać na tronie w Hofburgu o wiele dłużej niż ród Arcychrześcijańskiego Króla we Francji.

Zdziwiłem się, słysząc te słowa. Tym bardziej że mówił je Atto Melani, wierny sługa Jego Arcychrześcijańskiej Wysokości, tajny agent Korony francuskiej, który zawsze z najwyższym oddaniem służył swojemu królowi, nawet za cenę zniesławienia i splamienia rąk straszliwymi zbrodniami! I mówił to teraz, w czasie wojny!

- Dla Francuzów liczą się wyłącznie pozory, są w nich mistrzami - ciągnął Atto. - Jego Arcychrześcijańska Wysokość otoczył się niewyobrażalnym przepychem. Pod tym względem jego dwór nie ma sobie równych. Trąby Chwały i Sławy grały dla niego każdego dnia. Wytoczył armaty i zniszczył połowę Europy. Przekupił wszystkich zagranicznych ministrów. Macki Francji dotarły wszędzie, tylko po co? Dzisiaj jest ruiną człowieka, z obwisłym i gnijącym ciałem.

Atto poprawił okulary, przerywając na chwilę opowieść, ale najwyraźniej jeszcze nie skończył.

- Czy warto było? Ilu wieśniaków zmarło z głodu, żeby zapłacić za działa i balety króla? Francuski dwór trwoni dwieście pięćdziesiąt tysięcy srebrnych skudów, jedną trzecią dochodów państwa, podczas gdy w Austrii dwór wydaje najwyżej pięćdziesiąt tysięcy. Mój przyjaciel Fouquet został wyrzucony z ministerstwa finansów i oczerniony. Doszło wtedy do katastrofy finansów publicznych. Obecnie wydatki państwa są trzy razy wyższe niż za panowania Ludwika XIII. Królestwo się rozpada! Któż więc jest złodziejem?

Melani zamilkł. Otarł chusteczką pot nad górną wargą i niecierpliwym gestem włożył ją do kieszeni.

- Tak, mój drogi! Jakże chciałbym, żebyś zobaczył dzisiejszy Paryż! Ludzi umierających z głodu, powszechną rozpacz, piekarnie oblegane dla jednego bochenka chleba, krwawo tłumione rozruchy. Zobaczyłbyś rodziny wyprzedające się z dobytku, by przeżyć, kobiety, które straciły mężów na wojnie, prostytuują się, żeby utrzymać rodzinę, żebrzące dzieci, noworodki umierające z zimna. Czy tym jest chwała? Królestwo Ludwika upada. Spośród czterech jeźdźców Apokalipsy najszybciej galopuje jeździec Wojny na białym koniu. Pewnego dnia przyjedziesz do mnie, zobaczysz Paryż i Wersal. Dopiero wówczas zrozumiesz, na czym polega wielkość Wiednia.

- Wiednia?

- Francuzi uwielbiają pozory, a Wersal jest tego symbolem - westchnął Atto. - W tym zakłamanym świecie wszystko obraca się wokół Króla Słońce. Każdy śmiertelnik może swobodnie wejść do ogrodów, do pałacu, nawet do królewskich apartamentów. Zamknięta jest tylko prywatna jadalnia Jego Wysokości. Można zobaczyć go przy obiedzie, kolacji czy podczas porannego przebudzenia, kiedy otwiera oczy, a z jego ust dobywa się nieświeży zapach po zjedzeniu kuropatwy w sosie na kolację poprzedniego wieczoru. Kiedy król wychodzi z mszy, oczekują go nieprzeliczone tłumy, jak na jakimś paryskim placu. Między Tuileries a Luwrem panuje ruch jak na targu rybnym. Krążą karety, spieszą dokądś służący. Ze względu na aroganckie zachowanie ludzi wprowadzono karę śmierci dla śmiałków, którzy dokonaliby kradzieży w królewskiej kaplicy. Istna błazenada, zważywszy na to, że nikogo do tej pory nie stracono. W porze obiadu każdy darmozjad może wśliznąć się do salonów, porozmawiać z bratankiem Jego Wysokości, zasiąść przy stole rządcy, szambe-lana, nadwornego kaznodziei czy spowiednika króla. W miejscu gdzie rządzą plotki i rozrzutność, panuje nieopisany zamęt - ktoś oddaje pokłon złotej solniczce niesionej na stół Jego Wysokości, kto inny rozmawia o kochankach lub homoseksualnych skłonnościach jakiegoś dworzanina. Chory może się poddać królewskiemu *toucher*, dotykowi ręki monarchy, tej samej, którą pisał rozkazy napaści i wyniszczenia całych narodów. U boku wpływowego przyjaciela można wziąć udział w *de-botte*, zzuwaniu królowi butów. Bezsensowny rytuał, którym chełpi się Jego Wysokość, pochodzi sprzed wieków, z czasów Walezjuszy. Dworzanie wyklóczają się o bardziej prestiżowe miejsca, wyższą pensję. Szydzą z władcy, który to toleruje. Wydatki wojenne osłabiły Francję i dziś może ona już tylko śnić o dawnej potędze. Tymczasem w Wiedniu...

- W Wiedniu? - powtórzyłem, dziwiąc się, że Atto chwali wrogów Francji.

- Doprawdy nie widzisz tego? We Francji rządzi marnotrawstwo, w Austrii oszczędność. Tam każdy władca dopuszcza się cudzołóstwa, tu jest wierny małżonce. W sypialni cesarza przebywają tylko lokaje, a nie wszelkiego pokroju pochlebcy. Cesarz nie każe się portretować na wozie, w chwili gdy miażdży każdego, kto stawia mu opór, nie zleca melodramatów temu lizusowi Lully'emu, w których przebrany za Perseusza zabija smoki i uwalnia księżniczki. Leopold I, ojciec obecnego cesarza, kazał wyrzeźbić swój posąg, gdy oddaje pokłon Panu Bogu w podzięce za oddalenie epidemii dżumy.

Na starość przyszło Melanemu przeżyć gorycz porażki. Całe swoje życie służył Francji. Dziś, stojąc nad grobem, widział upadek ideałów, w które wierzył.

Francuzi, którzy widzieli cesarski skarbiec w Hofburgu, ciągnął Mela-ni, po powrocie ze śmiechem opowiadali Arcychrześcijańskiemu Królowi, jak mało warte są klejnoty

Habsburgów w porównaniu z bogactwem Wersalu.

- Śmiali się, że galeria i pięć gabinetów pełne są tandety. Wśród obrazów na uwagę zasługuje jedynie kilka dzieł Correggia. Śmieszny jest też gabinet klejnotów, z wyjątkiem wielkiego pucharu wykonanego z jednego kawałka szmaragdu. Cennego przedmiotu może dotykać tylko cesarz. W gabinecie zegarów jest tylko jeden oryginalny przedmiot: mechaniczny krab poruszający się jak prawdziwy. Gabinet kamieni mieści dość ciekawe okazy agatów i wazy z lazurytu. Gabinet monet jest niesłychanie ubogi. Nie ma w nim żadnej wartościowej monety i panuje nieporządek. W ostatnim gabinecie, jak słyszałem, wystawiono jakieś posążki z wosku i zabawki z kości słoniowej, które mogą zainteresować jedynie pięcioletnie dziecko! - wykrzyknął opat.

Francuzi, mówił dalej zmienionym głosem, nie powinni odnosić się do cesarskiego skarbcza z taką pogardą. Skromność panujących korzystnie odbija się na sytuacji ludu, podczas gdy we Francji przymiera on głodem.

- W Wiedniu nigdy nie było miejsca dla faworytów i hochsztaplerów, jak Concini, ludzi bez skrupułów, jak Richelieu, zdrajców, jak Conde, sprytnych konkubin, jak pani de Maintenon. Na dworze cesarskim rządzą ministrowie wybrani przez władcę. Arystokraci od wieków służą cesarzowi, nie są podstępными zmiłami. Nie tylko skarbiec, lecz cały pałac jest skromny, służących jest o połowę mniej niż w Wersalu. Przepych i wspaniałe pałace są domeną arystokratów, cesarzowi wystarczają dekoracje, tradycja, religia. Panowanie w regionach pozostawia on dużym rodom, które w zamian respektują jego zwierzchność. Tu nie ma spisków, otruc, rozpusty, tajemniczych obrządków i wszelkich nieprzyzwoitości hańbiących Wersal. Gdybym ci o nich opowiedział...

- Przed laty - wtrąciłem - mówił mi pan o kalumniach rzucanych na nieszczęsnego nadintendenta Fouqueta i o czarnych mszach pani Montes-pan, kochanki króla...

- Doprawdy? Opowiadałem ci o tym?

Opata Melaniego zawodziła pamięć. Nie było w tym nic dziwnego, miał już przecież osiemdziesiąt pięć lat!

- Tak, panie Atto, zarówno w gospodzie Donzello, jak i w willi Spada.

- Masz dobrą pamięć. Tym lepiej. Ja, niestety, do niczego się już nie nadaję.

- Ależ, stryju! Proszę tak nie mówić! - wtrącił po raz pierwszy bratanek Domenico. - Niech go pan nie słucha - dodał, zwracając się do mnie. - Lubi narzekać. Dzięki Bogu, ma się lepiej, niżby się mogło wydawać.

- Ach! Gdyby Arcychrześcijański Król pozwolił mi opuścić Paryż, natychmiast wróciłbym do domu, do Toskanii! - powiedział niepokieszony Atto. - W Pistoii czułbym się



znacznie lepiej, wśród krewnych, w moim majątku w Castel Nuovo. Kupiłem go przed trzema laty, lecz do tej pory nie widziałem. Urządziłem w nim galerię portretów: króla, pani konstablowej, obydwu kardynałów, delfina, delfiny, a pośrodku króla na koniu... Wysłałem tam też cztery niewielkie owale z Galateą, które wisiały w willi Okręt. Pozostawił mi je w spadku opat Benedetti. Kazałem je umieścić nad małymi oknami galerii. Dom znam z listów bratanków i na razie muszę się tym zadowolić. Jeśli pozostanę w Paryżu, grozi mi nędza.

Po mieście krążą bezwartościowe papierowe pieniądze, podobno aż sto pięćdziesiąt milionów funtów. W innych częściach królestwa nikt ich nie chce. Te papiery to dzieło szatana i ruina dla Francji. Przy wymianie na włoską walutę tracą połowę wartości, tak więc każdy drobiazg kupiony do domu w Pistoii kosztuje mnie fortunę... - skarżył się Atto. - Cała nadzieja w loterii królewskiej na świętego Jana! Wszystkie wygrane pieniądze przeznaczę na Castel Nuovo. Ale czy ja kiedykolwiek wyjadę? Król nie chce o tym słyszeć. Mówi, że wychował się pod moim okiem i nie może się beze mnie obejść, a jeśli będę nalegał, to się rozgniewa i odprawi mnie. Na próżno odbywam te okropne męczące podróże do Wersalu i proszę o pozwolenie na wyjazd do Włoch...

- Przeprowadzka z Paryża do Toskanii? W pańskim wieku? - zdziwiłem się.

- A nie mówiłem? - powiedział bratanek, puszczając do mnie oko. - Przyjechał z Francji aż tutaj, niczym dwudziestolatek.

- Nie przesadzaj, Domenico! - rozżłościł się Melani.

Nie wiem, czy bratanek rzeczywiście przesadzał, ale stary opat zaimponował mi. Siedział teraz spokojnie naprzeciw mnie, a przecież na przekór swemu sędziwemu wiekowi, mimo utraty wzroku, pokonał wietrzne równiny, zaśnieżone góry i przełęcz, skute lodem rzeki, dzielące Paryż od Wiednia. Co więcej, przekroczył granicę jako skromny urzędnik cesarskiej poczty. Aby nie wzbudzać podejrzeń, musiał zrezygnować z lektyki, wygod i luksusów. Umiejętność kamuflażu, pomyślałem z uśmiechem, nigdy nie zawiodła opata Melaniego...

Zdziwiłem się, słysząc o jego kłopotach finansowych. Sam musiał ponieść wyrzeczenia, żeby kupić mi dom i winnicę!

- Wykosztował się pan, żeby wyekspediować mnie do Wiednia. Nie miałem pojęcia, że...

- Daj spokój! Daj spokój! - zaprotestował Melani, podnosząc dłoń. - To nie jest temat naszej rozmowy. Jak już mówiłem, przybywam tu z misją pokojową, ale o tym cicho-sza! Zapłaćmy i wyjdźmy stąd! - Pokręcił głową, dając do zrozumienia, że w kawiarni nie omawia się spraw wagi państwowej. - Przejdziemy się - oznajmił. - Mam ci coś ważnego do

powiedzenia, a spacerując, będziemy pewni, że nikt nas nie podsłuchuje.

Domenico skinął na kelnerkę, która natychmiast przybiegła, pomogła Attowi się podnieść i założyć płaszcz, po czym wręczyła mu czekoladkę udekorowaną marcepanem, którą opat schrupał ze smakiem. Nie kazał się prosić.

- Wyrazy uznania, doskonała obsługa - pochwalił dziewczynę Melani, wspierając się na jej miękkim młodym ramieniu i rewanzując się za czekoladkę sowitym napiwkim.

Udaliśmy się w kierunku katedry św. Szczepana i Czerwonej Wieży.

Jedenastego września 1709 roku, zaczął swoją opowieść Atto, w krwawej bitwie pod Malplaquet zginęło osiem tysięcy Francuzów. Choć oddziały sojuszników pod dowództwem księcia Marlborough i Eugeniusza Sabaudzkiego straciły dwadzieścia jeden tysięcy żołnierzy, odniosły zwycięstwo. Zaraz potem alianci zdobyli twierdzę Mons i odparli atak na Tournai i Lille.

Rok później rozpoczęła się kolejna seria porażek Francji. Wróg wtargnął do centrum królestwa, linię frontu na południu w każdej chwili mogły przerwać oddziały marszałka Mercy'ego, wspomagane przez księcia sabaudzkiego, kuzyna księcia Eugeniusza i pana Piemontu. W czerwcu padły Douai, Bethune, Aire i Saint-Venant. Sojusznicy szykowali się do wyprawy na Paryż. Francja została pokonana na wszystkich frontach. W sierpniu Francuzi ponieśli klęskę pod Saragossą w Hiszpanii. Niemiecką Bawarię, pechową sojuszniczkę Francji, cesarz podzielił i oddał w lenno swoim krewnym. Elektorat Kolonii, kolejny sprzymierzeniec Ludwika XIV, przestał istnieć. Na Węgrzech Józef I rozgromił zbuntowanych magnatów, popieranym przez Francję w celu osłabienia cesarza na wschodzie. Rakoczy został zwyciężony, jego partia rozpadła się.

Dwie Korony, jak Atto nazywał Francję i Hiszpanię, były zrujnowane. Królestwo Francji nie miało pieniędzy, armii, żywności. Nieustannie zagrażały mu niszczycielskie najazdy. Sytuacja Hiszpanii, którą Ludwik XIV, na przekór całej Europie, pragnął utrzymać w rękach swojego wnuka Filipa Andegaweńskiego, była podobna. Upadły handel, rolnictwo, dziesiątkowana ludność była wycieńczona, cały kraj ogarnęła bratobójcza wojna między zwolennikami Francji a jej przeciwnikami.

- Ludwik XIV już nie prosił o pokój, ale błagał - powiedział Atto, kiedy skręcaliśmy w ulicę Wełnianą.

Arcychrześcijański Król rozpoczął tajne rokowania z wrogimi potęgami w holenderskim miasteczku Gertmidenberg, lecz jego wysłanników traktowano z pogardą. Warunki stawiane przez kraje sprzymierzone były absurdalne. Domagano się między innymi, by Ludwik XIV w ciągu dwóch miesięcy odebrał tron wnukowi Filipowi. Wojna trwała więc

nadal. Nadzieja na pokój nadeszła z Anglii. Walki o władzę pomiędzy ministrami a Koroną osłabiły partię księcia Marlborough, wzmocniły natomiast tych, którzy czuli się zmęczeni trwonieniem pieniędzy na wojnę i pragnęli pokoju.

- W styczniu, przed trzema miesiącami - powiedział Atto Melani, konspiracyjnie ścisząc głos - pewien nikomu nieznany ksiądz, niejaki Gautier, tajny wysłannik Anglików, stawiał się u markiza Torcy'ego, proponując mu podjęcie rokowań pokojowych. Rozpoczęły się więc poufne negocjacje z hrabią Oksfordu i sekretarzem stanu Saint Johnem.

- Mówił pan, że Anglicy prowadzili rokowania z Francją razem z cesarstwem i Holandią w tym miasteczku... w Gertruidenbergu?

- Pssst! Chcesz, żeby wszyscy usłyszeli? - uciszył mnie Atto, po czym mówił dalej ledwo słyszalnym szeptem: - Rozmowy pokojowe w Gertruidenbergu zerwano. Teraz Anglicy negocjują w tajemnicy przed cesarstwem i Holandią. Podczas wojny wszystkie chwytły są dozwolone. Ale to się na nic nie zda.

- Dlaczego?

Opat Melani zamilkł i popatrzył się na mnie swym niewidzącym wzrokiem.

- Ponieważ pewien człowiek w Wiedniu uniemożliwia zawarcie pokoju. Z osobistych pobudek pragnie za wszelką cenę kontynuować wojnę i znajduje posłuch u cesarza. Zrobię wszystko, żeby Jego Wysokość zmienił zdanie.

- Jego Wysokość księżę Eugeniusz Sabaudzki staje na drodze pokojowi?! - wykrzyknąłem zdumiony.

- Kim on będzie po zakończeniu wojny? Tym, kim był przedtem, czyli półkrwi Włochem urodzonym na ziemi francuskiej, gdzie tak z niego zakpiono, że musiał uciekać, w dodatku w kobiecym przebraniu. Przyjęto go w cesarstwie, ponieważ Austriacy są skończonymi osłami.

Byłem zaskoczony. Do tej pory słyszałem same pochwały o Eugeniuszu. W Austrii miał opinię bohatera narodowego, drugiego po naszym umiłowanym cesarzu Józefie Zwycięskim. Kontynuowaliśmy spacer.

- Szczęśliwym dniem był dla Eugeniusza jedenasty września. Wówczas jego matkę przyjęto na dwór paryski, gdzie poznała swojego przyszłego męża. Tego samego dnia miała miejsce bitwa pod Zentą, w której ksiądz odniósł swoje pierwsze wielkie zwycięstwo nad Turkami. Jedenastego września odbyła się też bitwa pod Malplaquet, gdzie nasz bohater rozgromił francuskie oddziały generała Villarsa.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Atto uparł się, żeby mówić o Eugeniuszu Sabaudzkim. Mimo że ksiądz był bohaterem czczonym w całym cesarstwie, niewiele o nim

wiedziałem. Atto opowiadał mi kiedyś, że matką Eugeniusza była Olimpia Mancini, siostrzenica kardynała Mazza-riniego, który wydał ją za bogatego kadeta piemonckich księząt Sabaudii. Ta podstępna kobieta spiskowała przeciwko własnej siostrze. Marię, pierwszą miłość Arcychrześcijańskiego Króla, miałem okazję poznać w Rzymie przed jedenastu laty.

Wiedziałem także, że Ludwik XIV gardził Eugeniuszem, dlatego też w młodym wieku księżę zbiegł z Paryża. Poza tym nie znałem innych faktów z życia człowieka, uznawanego w cesarstwie za największego generała wszech czasów, niezrównanego geniusza wojskowego, traktującego wojnę jako życiową misję, gotowego ponieść w niej śmierć.

- Ten naród tchórzy potrzebuje Eugeniusza jak stado owiec psa. Znajdź mi tu kogoś, poza cesarzem Józefem I, kto zasługuje na miano żołnierza! Kto przepędził Turków spod Wiednia w 1683 roku? - spytał Atto z ożywieniem. - Wielki polski król Jan III Sobieski, Bawarczyk Maksymilian Emanuel, Francuz Karol Lotaryński, Ludwik Badeński z Palatynatu i włoski papież. Był też on, Eugeniusz Sabaudzki, choć miał wówczas zaledwie dwadzieścia lat. Krótko mówiąc, wszyscy, z wyjątkiem pana domu, świętej pamięci cesarza Leopolda I...

Szliśmy ulicą Karynecką, zawróciwszy do kawiarni Pod Niebieską Butelką.

- Tak, wiem, panie Atto, opowiadał mi pan o tym na początku naszej znajomości. Cesarz opuścił Wiedeń.

- Opuścił? Raczej uciekł... Wracając do tematu - ciągnął Atto - jak już mówiłem, ta przekłeta wojna dawno już dobiegłaby końca, gdyby Eugeniusz Sabaudzki nie utrudniał rokowań pokojowych.

Nie wybuchłaby nawet, pomyślałem, gdyby ktoś nie sfałszował testamentu poprzedniego króla Hiszpanii... No, ale to stara historia, przeszłości nie da się zmienić.

- Naprawdę oskarża pan księcia Eugeniusza o tak niskie pobudki? - spytałem. - Sądzi pan, że niszczy on całą Europę i wystawia się na ciągle niebezpieczeństwo wyłącznie dla własnej chwały?

- Psi Nos... *pardon*, chciałem powiedzieć Eugeniusz, urodził się w 1663 roku, ma więc, podobnie jak ty, 48 lat. Przyglądałem się mu, kiedy wzrastał. Uwierz mi! On nie widzi niczego innego poza wojną, żyje wojną...

- Dlaczego nazwał go pan Psim Nosem?

- To żartobliwe przezwisko nadali mu towarzysze zabaw, źle wychowani młodzieńcy. Trzeba ci wiedzieć, że Eugeniusz, jak by to powiedzieć... - zakłopotał się Atto. - W bardzo młodym wieku obracał się w nieodpowiednim towarzystwie, służba w wojsku sprowadziła go na właściwą drogę. Rodzina chciała, żeby został księdzem, ale piętnastoletni Eugeniusz wybrał wojsko. Gdy Arcychrześcijański Król nie dał mu regimentu, uciekł z Francji w

kobiecym przebraniu do Austrii. Tu, w cesarstwie, urzeczywistnił swoje marzenia o wojnie.

Atto Melani mówił nieprzerwanie. Nie rozumiałem, dlaczego opowiada właśnie o Eugeniuszu, i słuchałem go coraz mniej uważnie. Rozmyślałem o wydarzeniach ostatnich dni. Kiedy Atto przyjechał do Wiednia? Przed dwoma dniami, ósmego kwietnia, gwoli ścisłości. A kiedy przybył turecki aga? Siódmego kwietnia. Co za dziwny zbieg okoliczności, zjawili się tu jeden po drugim! Atto Melani, tajny agent Arcychrześcijańskiego Króla i reprezentant Turków, tradycyjnych sojuszników Francji. Ciekawa kombinacja! Obaj ścignęli do Wiednia z powodu księcia Eugeniusza.

Znałem Melaniego od prawie trzydziestu lat. Spostrzegłem, że kiedy działo się coś ważnego, Atto zawsze był w pobliżu i maczał w tym palce. Czyżby za nieoczekiwanym poselstwem tureckiego agi kryła się jakaś intryga opata? Miałem prawie pięćdziesiąt lat, Atto natomiast osiemdziesiąt pięć. Nie byłem już taki naiwny, moje czujne ucho wychwytywało każdą fałszywą nutę.

Dlaczego Atto „nagle” przypomniał sobie o długu wobec mnie i wysłał mnie do Wiednia?

Ponieważ potrzebował mnie, biednego, bojaźliwego człowieka, a zarazem wiernego mu idealisty, abym pomógł mu w jego knowaniach. Jaki tam z niego dobroczyńca!

Miotaly mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony szczodrość opata Melaniego uczyniła mnie zamożnym człowiekiem. Mógł zniknąć z mojego życia, nie dopełniwszy obietnicy. Z drugiej strony, kierując się wyrachowaniem, wysłał mnie do Wiednia, zamiast podarować mi majątek w Toskanii, tak jak napisał w liście do notariusza. Córki miałyby już mężów i nie czekałyby na to, co przyniesie pobyt rodziców w stolicy cesarstwa. Gdyby jednak opat nie potrzebował mojej pomocy w Wiedniu, nadal gniłbym w Rzymie.

Pogrążony w rozmyślaniach, zwolniłem kroku. Spojrzałem na opata krzywym okiem. Melani powiedział właśnie coś, co mnie zaciekawiło:

- Dynastia sabaudzka to ród zdrajców.

- Zdrajców? - powtórzyłem zdziwiony.

- Rządzą niewielkim księstwem u podnóża Alp, bardzo ważnym ze strategicznego punktu widzenia. Dla dwóch Koron, francuskiej i hiszpańskiej, stanowi ono bramę otwierającą drogę do Włoch. Sabaudzcy książęta wykorzystują tę pozycję, stale zmieniając sojuszników. Ileż to razy w Paryżu nie otrzymałem listów z Włoch tylko dlatego, że książę Sabaudii miał kaprys i kazał aresztować wszystkich kurierów przejeżdżających przez jego ziemię! Nie było sposobu, by temu zaradzić. Książę nadużywał swojej władzy i szantażował pół Europy. W annałach historii zapisane są liczne zdrady, jakich dopuścił się ten ród.

Tymczasem stanęliśmy przed kawiarnią. Ponieważ opatowi zrobiło się zimno, zaproponował, by dokończyć rozmowę w środku. Weszliśmy więc i zajęliśmy miejsca.

Pradziadek Eugeniusza, ciągnął Atto Melani, księżę Karol Emanuel I Sabaudzki, podczas pięćdziesięcioletniego panowania trzykrotnie zmieniał chorągiew. Najpierw sprzymierzył się z Hiszpanią przez małżeństwo z córką Filipa II, później przeszedł na stronę Francuzów, a gdy nadzieja powiększenia z ich pomocą terytorium kosztem Włoch okazała się płonna, ponownie związał się z Hiszpanami. Jego syn, Wiktor Amadeusz I, poślubił francuską księżniczkę Krystynę. Po śmierci Karola Emanuela I jego żona musiała walczyć o władzę nie z obcą potęgą, ale z braćmi męża, którzy chcieli ją wydziedziczyć.

Tomasz Franciszek, jeden z tych braci, był dziadkiem walecznego Eugeniusza. On także poślubił francuską księżniczkę i wydawało się, że stoi po stronie Francji, tym bardziej że na jakiś czas przeniósł się do Paryża.

- Wkrótce jednak zmienił front i wyjechał do Flandrii, zaczął służyć Hiszpanom, a swoim krewnym oznajmił, że z całej duszy pragnie walczyć z Francuzami. - W głosie Atto ironia mieszała się z niesmakiem.

Także inni krewni Eugeniusza nie wyróżniali się zaletami moralnymi ani fizycznymi. Wuj Emanuel Filibert, pierworodny syn, a więc spadkobierca księstwa, był głuchoniemy. Ciotka Luiza Krystyna, poślubiona w Paryżu margrabiemu Ludwikowi Ferdynandowi Badeńskiemu, nieoczekiwanie sprzeciwiła się mężowi i nie chciała wyjechać z nim do Niemiec, tłumacząc się tym, że we Francji ich jedyny syn otrzyma lepsze wykształcenie (w odpowiedzi małżonek, kuzyn Eugeniusza, porwał dziecko i zabrał ze sobą do ojczyzny). Ojciec Eugeniusza nie był wprawdzie zdrajcą, dobrze słyszał i mówił, ale poślubił Olimpię Mancini, intrygantkę podejrzaną o trucicielstwo.

- Wspaniały ród z tych Sabaudów - podsumował ironicznie Atto. - Ambitni, zdradzieccy, głuchoniemi i truciele.

- I z takiej rodziny wywodzi się księżę Eugeniusz? - zdziwiłem się. - Ma nieposzlakowaną opinię, uchodzi za niestrudzonego kondotiera i wiernego poddanego cesarza.

- Tak mówią, ale nie wiedzą tego, co ja wiem i co pozwoli mi powstrzymać wojnę. - Poruszył odruchowo głową, jakby się rozglądał. - Domenico, jest tu jakaś wścibska osoba? - zwrócił się do bratanka.

- Myślę, że nie, stryju - odparł młodzieniec, rzuciwszy okiem na siedzących przy sąsiednich stolikach.

- To dobrze. A teraz posłuchaj mnie uważnie - powiedział Atto, ponownie zwracając

się do mnie. - O tym, co teraz usłyszysz, nie wolno nikomu mówić! Rozumiesz? Ni-ko-mu!

Choć byłem nieco zaskoczony tą nagłą zmianą tonu, zgodziłem się. Atto wyjął z kieszeni zakietu kartkę złożoną na cztery, wewnątrz której ukryty był list. Otworzył go i podał mi. Tekst był napisany po włosku.

Spiesząc wyrazić Waszej Wysokości moje najszczerze oddanie i żywe pragnienie przysłużenia się sprawie zakończenia wojny, która od długiego już czasu ciężko doświadcza całą Europę, przekazuję przez zaufaną osobę ten oto list, aby Wasza Wysokość zapoznał się z moją propozycją i podjął wszelkie stosowne i konieczne decyzje.

Jak powszechnie wiadomo, hiszpańska Flandria od lat nękana jest sporami i wojnami. Ponieważ ziemie te potrzebują prawdziwego władcy, uważamy, że przyznanie ich rodowi sabaudzkiemu w naszej osobie byłoby najwłaściwszym sposobem uwolnienia Flandrii i jej mieszkańców od ogromu cierpień.

Takie rozwiązanie przyspieszyłoby zakończenie wojny, zgodnie z pragnieniem Waszej Wysokości i Arcychrześcijańskiego Króla Francji i spotkałoby się z wdzięcznością.

Pozostaję najwierniejszym, najpokorniejszym sługą Waszej Wysokości i gorąco pragnę przyczynić się do zawarcia pokoju.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

Eugeniusz von Savoy

- To oczywiście kopia, oryginał jest w rękach króla Hiszpanii Filipa V, do którego list był adresowany - wyszeptał Atto. Złożył list i szybko schował go do kieszeni, uśmiechając się do mnie. Choć mnie nie widział, z pewnością domyślał się mojej zdziwionej miny. - Na początku roku - ciągnął ledwie słyszalnym głosem - pewien anonimowy oficer udał się na hiszpański dwór Filipa Andegaweńskiego, wnuka Króla Słońce. Przekazał list Filipowi i zniknął. Zapoznawszy się z treścią pisma, młody król Hiszpanii osłupiał ze zdziwienia.

- O ile dobrze zrozumiałem - powiedziałem - w tym liście Eugeniusz proponuje układ. Jeśli Hiszpania odda mu swoje posiadłości we Flandrii...

- Nazywasz to układem - przerwał mi Atto - tymczasem chodzi o zdradę. Eugeniusz mówi: jeśli Hiszpania odda mi dziedzictwo i władzę na swoich terenach we Flandrii, ja z wdzięczności opuszczę cesarstwo i jego wojsko. Cesarz, pozbawiony najlepszego wodza, z pewnością zgodzi się na zawieszenie broni, którego pragnie Francja, otwierając tym samym drogę do rokowań pokojowych.

Milczałem, zaskoczony. Nie podobał mi się ten nieoczekiwany zwrot w rozmowie.

Filip, mówił Atto, niezwłocznie przekazał kopię listu do Wersalu, gdzie przeczytały ją tylko dwie osoby: Król Słońce i pierwszy minister Torcy.

- Trzeba ci wiedzieć, że moja skromna osoba ma zaszczyt przekazywać Torcy'emu wszystkie wiadomości, nawet tajne, o których obcy dyplomaci nie chcą mówić Jego Wysokości podczas oficjalnych audiencji. Krótko mówiąc, na dworze bardzo cenią sobie moje usługi. Tak więc Jego Wysokość i minister Torcy postanowili zlecić mi tę misję.

- Misję pokojową?

- Zgadza się. Młody katolicki król Hiszpanii i jego dziadek, Arcy-chrześcijański Król Francji, nie mogą przystać na tak zuchwałą propozycję. Mogą natomiast wykorzystać sytuację i osiągnąć ten sam cel, czyli pokój. Przysłali mnie do Wiednia, abym doniósł komu trzeba o zdradzie Eugeniusza. Armia cesarska straci wodza, droga do zawieszenia broni zostanie otwarta.

- Donieść komu trzeba? - wydusiłem, domyślając się, do czego zmierza.

- Oczywiście cesarzowi. I ty mi w tym pomożesz.

Ogarnęło mnie takie przerażenie, że nie mogłem nad nim zapanować. Widząc to, bratanek Atta zapytał, czy nie chcę napić się wody. Stało się jasne, dlaczego opat Melani tak szeroko rozwodził się o Eugeniuszu Sabaudzkim. Otarłem z czoła krople potu, zimne jak skute lodem wody Dunaju. Czuję zamęt w głowie. Przed oczami wirowały mi postacie tureckiego agi, opata i Sabaudczyka. Uzmysłowiłem sobie, że Melani ponownie wciągnął mnie w swoje intrygi.

Nie wiedziałem, co czynić. Od razu odmówić współpracy? Wówczas z pewnością rozżłościłbym opata, który zapewne cofnąłby darowiznę lub popełnił jakąś nieostrożność, zdradzając, że jestem jego współnikiem. Czy może zaryzykować i przyjąć propozycję w nadziei, że Atto szybko wyjedzie z Wiednia?

Co do jednego miałem pewność: darowizna, dzięki której stałem się zamożnym człowiekiem, nie stanowiła rekompensaty za pomoc udzieloną opatowi w przeszłości, ale była zapłatą za to, co miałem dla niego uczynić w najbliższych dniach.

- Boże święty! - westchnąłem ze ściśniętym gardłem. - W jaki sposób miałbym panu pomóc?

- To proste. Podałem się za intendenta poczty cesarskiej, ale prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Gdybym dostał się na dwór, z pewnością rozpoznano by we mnie francuskiego wroga i pokrojono w plasterki. Aby dotrzeć do cesarza, musimy pójść na skróty.

- Pochylił się do przodu i wyszeptał: - Niedaleko klasztoru Porta Coeli mieszka pewna osoba, na której bardzo zależy cesarzowi. Nazywa się Marianna Palffy, ma dwadzieścia lat, jest córką węgierskiego arystokraty wiernego cesarstwu oraz kochanką Józefa.

- Kochanką? Nie wiedziałem... - odparłem zmieszany.



- To rozumiałe. Wiedeńczycy nie opowiadają cudzoziemcom takich pikantnych historyjek, ale francuscy agenci dbają o to, by dotarły do Paryża. Cesarz Józef znalazł jej lokum przy ulicy Porta Coeli za radą Eugeniusza, który ma w pobliżu pałac. Dziewczyna mieszka w pałacyku będącym własnością jednej z zakonnicek, siostry Anny Eleonory Strassoldo, arystokratki włoskiego pochodzenia i dyrektorki przyklasztornej szkoły. Dzięki niej możemy dotrzeć do Palffy - oświadczył opat najspokojniej w świecie.

Opadły mi ręce: oto dlaczego Atto znalazł mieszkanie dla mnie i dla siebie w Porta Coeli! Klasztor znajdował się pomiędzy pałacem Eugeniusza a domem kochanki Józefa 1 Zwycięskiego. Już miałem powiedzieć Melanemu, że przejrzałem jego grę, lecz zanim otworzyłem usta, Atto poprosił bratanka o laskę i wstał.

- Idziemy. Nie wyjdziemy razem, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Zostań tu, proszę, i ogrzej się. Dam ci znać, kiedy będę cię potrzebował.

Atto z bratankiem kierowali się do wyjścia, zostawiwszy mnie samego przy stoliku, kiedy drzwi kawiarni otworzyły się i ukazała się w nich Clordia.

- Przeczytałam twoją wiadomość - powiedziała, zwracając się do mnie. Po chwili zorientowała się, w czym byłem towarzystwie. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. - Opat Melani! Pan tutaj?...

Dawniej na widok opata Clordia zaciskała usta. Teraz uśmiechnęła się wdzięcznie i uprzejmie podziękowała za darowiznę, dzięki której nasze życie zmieniło się na lepsze. Opat wydawał się szczerze wzruszony, kiedy wyraziła mu swoje współczucie z powodu utraty wzroku. Czas zmienił nie tylko ich twarze, ale także złagodził charaktery. Clordia miała przed sobą wychudłego staruszka, Melani natomiast dojrzałą kobietę. Już się zegnali, gdy drzwi kawiarni ponownie się otworzyły i stanął w nich Simonis. Przywitał się uprzejmie z Clordią, Attem i Domenikiem. Czując przykrą woń sadzy, opat przyłożył do nosa chusteczkę.

- Musimy się pośpieszyć - oznajmiła moja małżonka. - Za chwilę opuści pałac księcia Eugeniusza. Pójdziemy za nim!

- Za kim?

- Za Ciezeberem, tym derwiszem. Dzisiaj w pałacu działy się dziwne rzeczy. Pamiętasz, co aga powiedział Eugeniuszowi? Trzeba dokładnie zbadać sytuację.

- Co powiedział? - wtrącił Atto.

- Dzwonne zdanie - odparła Clordia. - Powiedział, że Turcy przybyli sami *dopomum aureum*...

- To skomplikowana historia - powiedziałem, próbując przerwać Clordii, która

jeszcze nie wiedziała o moich podejrzeniach co do Atta i Turków. - Później panu o tym opowiem.

- *Pomum aureum*! - powtórzył opat z ożywieniem. - Co to znaczy?

- Wiedeń, a może całe cesarstwo - odparła Clordia, mimo że dawałem jej znaki, żeby nic nie mówiła.

- Bardzo interesujące - skomentował Melani. - Chyba nieczęsto turecki ambasador używa tak wyszukanych zwrotów. Najprawdopodobniej chodzi o jakąś zaszyfowaną wiadomość.

- Otóż to! - zgodziła się Clordia. - *Pomum aureum* z całą pewnością oznacza Wiedeń, ale po co podkreślać, że Turcy przybyli tu sami? Kto miałby im towarzyszyć? Aby to zrozumieć, należy dowiedzieć się, skąd pochodzi określenie *złote jabłko*.

- Mogę wam w tym pomóc - wtrącił Simonis.

- W jaki sposób?

- Poproszę przyjaciół, żeby to sprawdzili. Wszyscy są bystrymi młodzieńcami, jak miał pan okazję się przekonać - oświadczył Simonis, zwracając się do mnie. - Wystarczy im zapłacić. Zadowolą się niewielką sumką.

- Doskonale! Świetny pomysł - ucieszyła się Clordia.

Nie sprzeciwiałem się. Pieniądzy nam nie brakowało. Sytuacja wymknęła mi się ostatecznie spod kontroli.

- Pośpieszmy się! - ponaglała moja żona. - W przeciwnym razie derwisz nam ucieknie.

W pośpiechu wyszliśmy z kawiarni, pozostawiając w niej Atta Mela-niego i Domenica, choć wcześniej to oni pierwsi mieli opuścić lokal. Rzuciłem im ostatnie spojrzenie. Wyglądali na zaskoczonych i zdezorientowanych.

Na zewnątrz poczuliśmy mroźny powiew wiatru, więc przyspieszyliśmy kroku. Kiedy dochodziliśmy do ulicy, przy której znajdował się klasztor, Clordia nagle zatrzymała się:

- Otóż i on! Wygląda na to, że przed chwilą wyszedł z pałacu - powiedziała, wskazując na mężczyznę o dziwnym wyglądzie.

- Idź do domu, Simonisie! Tego popołudnia pójdziecie do pracy we dwóch, bo nie wiem, kiedy wrócę.

Razem z Clordia zaczęliśmy śledzić derwisza.

Ciezeber był okryty kozią skórą, miał długą brodę, szpakowatą i zaniedbaną, na głowie zielony turban. Dzikiego i groźnego wyglądu dopełniały róg myśliwski, sakwa na plecach i laska w rękę, zakończona żelaznym hakiem. Gdybym go spotkał w jakimś odosobnionym miejscu, z pewnością przeraziłbym się nie na żarty. W bladej, pooranej

zmarszczkami wychudzonej twarzy nienaturalnie błyszcząły oczy. Sprawiał wrażenie ni to kapłana, ni to włóczęgi. Wydawał się nie zauważać zaciekawionych spojrzeń przechodniów. Szybkim krokiem, pomagając sobie laską, zmierzał w kierunku kościoła Augustianów.

- Po jakiego czorta - powiedziałem do Cloridii, kiedy szliśmy za derwiszem - mówiłaś o Turkach i adze w obecności Atta? Nie przyszło ci do głowy, że przyjechał tu dla jakichś ciemnych interesów, jak zwykle?

Wyjaśniłem żonie, że opat Melani przybył do Wiednia niemal w tym samym dniu co Turcy i że prawdopodobnie nie był to przypadek.

- Masz rację - przyznała. - Powinam była uważać.

Po raz pierwszy w życiu moja mądra i bystra małżonka, która zawsze wszystko potrafiła przewidzieć, oszacować i wyważyć, jak również przeanalizować i wytłumaczyć każde zdarzenie, przyznała się do błędu. Czyżby z wiekiem jej przezorność osłabła?

- Wiesz co? - powiedziała wesoło. - Odkąd skończyła się nasza bieda i korzystamy z darowizny opata Melaniego, mogę sobie wreszcie pozwolić na roztargnienie.

Tymczasem Ciezeber przemierzył całą ulicę Karynecką i zmierzał do bramy wychodzącej na południe, tej samej, którą pamiętnego dnia wjechaliśmy do Wiednia.

Śledzenie derwisza nie było łatwe. Z jednej strony, dzięki białemu okryciu i charakterystycznemu nakryciu głowy mogliśmy bez trudu go dostrzec, z drugiej natomiast, płaski teren wiedeńskiego przedmieścia narażał nas na to, że mężczyzna mógł się zorientować, iż jest śledzony.

Mijając Bramę Karynecką, derwisz ściągnął na siebie uwagę i dowcipne komentarze przechodniów oraz kupców przewożących towary. Nie zareagował jednak, tylko szedł dalej.

- Róg służy derwiszom do wzywania na modlitwę, a laska - do treningu duchowego - wyjaśniła Cloridia. - Derwisze opierają podbródek o hak na końcu laski, zamykają oczy, i w ten sposób odpoczywają. Pozwalają sobie jedynie na drzemkę. Jeśli derwisz zaśnie, głowa mu opada, laska przewraca się i go budzi.

- Jest więc coś w rodzaju narzędzia tortur.

- Zależy od punktu widzenia - powiedziała Cloridia z uśmiechem. - Matka opowiadała mi, że derwisze zdolni są do dziwnych rzeczy.

Przeszliśmy przez Bramę Karynecką, a następnie pokonaliśmy piaszczystą równinę o nazwie Glacis, rozciągającą się wokół Wiednia, oraz małą rzekę Wienn, od której zapewne wzięło nazwę miasto. Derwisz maszerował szybkim krokiem, zmierzając ku przedmieściom. Za nimi rozciągały się bezkresne obszary zielonych winnic. Pozostawiwszy za sobą Nieldsdorf i Matzelsdorf, dostrzegliśmy pas fortyfikacji zewnętrznych, tak zwany Linienwall,

wzniesiony przed kilku laty przez włoskich budowniczych.

Idąc za derwiszem, przeszliśmy przez bramę w murach obronnych i znaleźliśmy się za miastem, pośród pól, na drodze łączącej Wiedeń z Neustadt. Wokół nas rozciągały się zaorane pola i nieliczne zabudowania. Szliśmy już ponad godzinę, chwilami obawiając się, że stracimy Ciezebera z oczu. Ponieważ znajdowaliśmy się na otwartym terenie, musieliśmy zachować odpowiedni dystans, żeby nas nie dostrzegł. Jak już mówiłem, był doskonale widoczny nawet z daleka, ze względu na wysoki wzrost i zielony turban. Na szczęście dobrze znałem drogę: prowadziła ona bowiem do Bezimiennego Miejsca.

Clordia opowiedziała mi, co widziała tego dnia w pałacu Eugeniusza.

- Dziś rano Cizeber przyjął tajemniczego gościa. Chodzi o jakąś podejrzaną sprawę.

- Tajemniczy gość?

- Nikt go nie widział. Wszedł i wyszedł bocznym wejściem. Ale mnie dopisało szczęście. Nie tylko go widziałam, ale także podsłuchałam ich rozmowę. W każdym razie nie był to wiedeńczyk ani chrześcijanin.

Rzecz miała się następująco: Clordia przyprowadziła do pałacu pewną służącą, od której dwaj ludzie ze świty agi chcieli kupić tkaniny. Transakcja odbyła się w sali na pierwszym piętrze. Przez półotwarte drzwi zobaczyła na schodach jakiegoś dziwnego osobnika, owiniętego w brudny, cuchnący płaszcz z kapturem, który zakrywał mu twarz. Prowadził go turecki żołnierz, zwykle towarzyszący derwiszowi. Ponieważ służąca dobrze sobie radziła z Turkami (jeden z nich znał trochę niemiecki, przede wszystkim zaś umiał liczyć i znał wartość monet), Clordia wyszła z sali pod jakimś pretekstem i zlokalizowała pomieszczenie, do którego zaprowadzono tajemniczą osobę. Moja sprytna małżonka podeszła pod drzwi i nadstawiła ucha.

- Bez trudu poznałam głos Cizebera. Oprócz niego było tam co najmniej dwóch Turków, którzy oczywiście mówili w swoim języku. Był też ten dziwny cuchnący typ. Używał nieznanego mi języka, europejskiego czy azjatyckiego, nie mam pojęcia. Miał głęboki głos i jakoś tak dziwnie bełkotał, nie wiem, czy ze starości, czy z powodu wady wymowy. Najdziwniejsze jest to, że choć nie rozumiałam poszczególnych słów, ogólny sens zdań był dla mnie jasny.

- O czym rozmawiali?

- O jakiejś głowie. Głowie człowieka. Derwisz chce ją mieć za wszelką cenę.

- Wielkie nieba! - wykrzyknąłem. - Planują morderstwo. Ale kogo chcą zabić?

- Niestety nie zrozumiałam, może mówili o tym, zanim przyszłam. Prawdopodobnie chodzi o jakąś ważną osobę, takie odniosłam wrażenie, słuchając derwisza i jego towarzyszy.

- A kiedy chcą mieć... tę głowę?

- Właśnie o to Cizeber pytał tajemniczego przybysza, który obiecał, że dołoży starań i powiadomi derwisza dziś wieczorem albo jutro.

Świadomość, że kolejny raz stałem się pionkiem w grze opata Mela-niego, popsuła mi humor, a opowieść Cloridii podziałała na mnie przygnębiająco. Oboje domyśliliśmy się, że tureckie poselstwo nie przybyło do Wiednia w celach dyplomatycznych.

Szliśmy dalej, nie tracąc Cizebera z oczu. Dawno już minęliśmy Ma-tzelsdorf z malowniczymi domkami i wspaniałymi gospodami oraz Li-nienwall. Idąc w stronę równiny Simmering, od czasu do czasu dostrzegaliśmy w oddali, pomiędzy wzniesieniami, miasto opasane potężnymi murami.

Derwisz szedł miarowym, pewnym krokiem, bez wahania mijając rozdroża. Najwyraźniej zmierzał prosto do celu.

Wspomniałaś, że wiesz, dokąd idzie - przypomniałem Cloridii.

- Pod koniec rozmowy z tajemniczym gościem Cizeber powiedział, że wybiera się do odludnego miejsca. Myślę, że chodzi o las, bo jest ich tu pod dostatkiem.

Wymieniliśmy spojrzenia. Las taki jak w pobliżu Bezimiennego Miejsca, dokąd właśnie zmierzaliśmy.

Wkrótce pola ustąpiły miejsca dębom, modrzewiom, jodłom i bukom. Weszliśmy na ścieżkę prowadzącą do posiadłości Maksymiliana, skąd dobrze ją było widać. Roślinność stawała się coraz bardziej gęsta i zielona.

Trudno sobie wyobrazić, jak bujny i piękny jest las wiedeński, jeśli się go nigdy nie widziało. Zostawiwszy za sobą wzgórza pokryte winnicami i ogrodami, zanurzyliśmy się w bujną, leśną gęstwinę, która przyjęła nas jak dobra matka swoje zagubione dzieci. Szum liści i śpiew ptaków koi troski, miękki dywan z mchu wycisza kroki.

Wczesną wiosną, tak jak teraz, leśna ściółka w wiedeńskim lesie przyciąga wzrok swoją szmaragdowozieloną barwą, a dziwny aromat pieści zmysły i pobudza fantazję. Wydaje go pewna roślina, o nieznanym mi wówczas nazwie. Ostra woń kuchennej przyprawy natychmiast przywodzi na myśl pstrąga pieczonego w ziołach lub faszerowaną golonkę wieprzową.

Derwisz nadal nie domyślał się, że jest śledzony. Po półgodzinnym marszu wśród zieleni, znalazłszy się pośrodku lasu, Cizeber zatrzymał się. Między drzewami widać było w oddali potężną białą sylwetę Bezimiennego Miejsca. Zupełnie jakby derwisz wybrał tę część lasu, aby znaleźć się bliżej dzieła Maksymiliana. Czyż Neugebau nie było drogą Turkom? Ukryliśmy się za grubym pniem powalonego drzewa.

Ciezeber położył sakwę na trawie, wyjął z niej kilka dziwnych przedmiotów, które rozmięścił na dywaniku. Pewien, że nikt go nie widzi, nawet się nie rozejrzył. Był poważny i skupiony. Ukląkł przed dywanikiem, pokłonił się na wschód, tak nisko jakby całował ziemię, potem wstał, wysunął ręce przed siebie i trzymając dłonie nad przedmiotami, błogosławił je, mamrocząc coś pod nosem. Na koniec zrzucił z ramion kozią skórę. Stał tak z nagim torsem, obojętny na chłód.

Następnie wyjął z sakwy dwie bransolety z dzwoneczkami i zacisnął je na kostkach u nóg. Z długim sztyletem w dłoni, z dzwoneczkami u rękojeści, stanął bosymi stopami na dywaniku. Początkowo spokojny i skoncentrowany, stopniowo zaczął się ożywiać, jakby skutkiem jakiejś wewnętrznej energii. Wypiął pierś, rozdał nozdrza i przewracał oczami.

Dziwnie przemieniony, śpiewał i tańczył. Początkowo monotony re-cytatyw, coraz głośniejszy, przeszedł w donośne miarowe okrzyki. Jednocześnie stopami wybijał rytm, wzmocniony dźwiękiem dzwoneczków przy bransoletach i sztylcie.

Derwisz podnosił i opuszczał rękę ze sztyletem, kierowany jakąś wewnętrzną siłą, jakby nieświadomy własnych ruchów. Jego ciałem wstrząsnął silny dreszcz. Krzyczał tak głośno, że prawie nie było słyhać dzwoneczków. Następnie zaczął podskakiwać. Skakał bardzo wysoko, nie przerywając donośnego śpiewu. Jego pierś była mokra od potu.

Po szaleńczym tańcu Ciezeber rzucił pełne uniesienia spojrzenie w kierunku białej sylwety Neugebau. Wywijając sztyletem, którego dzwoneczki przy najmniejszym poruszeniu wydawały głośne dźwięki, wyciągnął ramię w przód. Następnie zgiął je energicznie i wbił sztylet w policzek. Ostrze przeszło przez ciało i ukazało się wewnątrz otwartych ust. Z rany trysnęła krew. Przejęty grozą, odruchowo zasłoniłem ręką oczy. Gdy spojrzałem znowu, derwisz właśnie wyciągnął ostrze z policzka, na-pluł na dłoń i przemył śliną ranę, która w ciągu zaledwie kilku sekund zablizniła się bez śladu.

Po chwili ponownie usiadł i zamknął oczy, po czym podniósł się i odprawił ten sam rytuał. Tym razem zranił się w ramię i wyleczył w ten sam sposób. Rana zniknęła, tak jak poprzednio.

Trzeci obrządek był jeszcze bardziej przerażający. Ciezeber pochylił się nad przedmiotami leżącymi na dywaniku i wybrał dużą, sierpowato zakrzywioną szablę. Schwycił za rękojeść, przyłożył ostrze do brzucha i przeciągnął go po ciemnej, błyszczącej skórze. Natychmiast pojawiła się czerwona strużka krwi, spłynęła po nogach, aż do bransoletek z dzwoneczkami u kostek. Mimo zadawanych sobie cierpień derwisz uśmiechał się. Oszołomieni, wymieniliśmy z Cloridią spojrzenia.

Chwiejąc się na nogach, derwisz pochylił się nad przyrządami. Wziął do ręki

niewielką szkatułkę z ozdobnym wieczkiem i otworzył ją. W dłoni miał kawałek czarnej materii, podobnej do skórki chleba. Następnie ze stosu przyborów wyciągnął mały spiczasty nożyk, jednocześnie półgłosem odmawiał dziwną modlitwę.

- Zupełnie jakby recytował psalmy - szepnąłem.

- Tyle że hinduskie - odparła Cloridią.

Psalmodia trwała dość długo. Co pewien czas Ciezeber przerywał modlitwę, otwierał oczy i z czułością patrzył na dwa przedmioty, które trzymał w dłoni, po czym ponownie intonował psalm.

Wreszcie dziwny rytuał dobiegł końca. Derwisz przemył śliną długą ranę na brzuchu. Z jego twarzy i ciała zniknęły wszelkie ślady cierpienia, rana zagoiła się w jednej chwili. Ciezeber odłożył sztylet i bransolety na miejsce, zwinął dywanik, zarzucił na siebie kozią skórę i udał się w drogę powrotną do miasta.

Wyszliśmy z ukrycia. Podeszedłem do miejsca, gdzie derwisz odbywał swoje przerażające obrządki. Na trawie widać było krople świeżej krwi. Dla pewności dotknąłem ich palcem i polizałem go. Tak, to była prawdziwa krew.

Zastanawiałem się, czym był ten dziwny rytuał. Widziałem go na własne oczy, podobnie jak rany i krew. Spróbowałem jej nawet. Pomyślałem o występach słynnych iluzjonistów, którzy podczas jarmarków tłumnie ściągali do Wiednia, ale w niczym nie przypominały one tego, co ujrzałem przed chwilą. Dokonując niezwykłego obrządku, derwisz był przekonany, że jest sam, nie stosował więc żadnych sztuczek.

Byłem tak zaskoczony tym, co zobaczyłem, że bez entuzjazmu wysłuchałem opowieści Cloridii o niezwykłych derwiszach.

- Matka mówiła mi, że rany, które sobie sami zadają, nawet na głowie, zablizniają się bez śladu. Zdaje się, że mają jakąś nadprzyrodzoną moc, wywodzącą się od kapłanów starożytnego Egiptu.

- Dlaczego aga zabrał ze sobą derwisza Hindusa?

- Nie wiem. Może powierzono mu jakieś ważne zadanie, do którego nie nadawał się derwisz turecki.

- Derwisze tureccy nie są wystarczająco dobrzy?

- Kim według ciebie jest derwisz? - spytała Cloridią z uśmiechem.

- Z książek o Wysokiej Porcie i panujących w niej obyczajach wywnioskowałem, że derwisz jest mnichem, który ślubował ubóstwo, pobożnym muzułmańskim żebrakiem, kimś w rodzaju świętego przestrzegającego reguły, bardziej lub mniej surowej, i podporządkowanego wysokiej rangi kapłanom. Poza tym ma obowiązek kochać bliźnich i poświęcać się dla nich.

- Turecki derwisz zupełnie nie pasuje do tego opisu - odparła sarkastycznie moja małżonka. - Trzeba ci wiedzieć, że u nich każdy, kto zawiesi sobie na szyi jakiś talizman, na przykład kamyk znaleziony w pobliżu Mekki albo suchy liść opadły z drzewa rosnącego przy grobie świętego, założy na głowę spiczastą czapkę z koziej skóry, sądzi, że ma prawo do tytułu derwisza i domaga się szacunku.

Tureccy derwisze, ciągnęła moja małżonka, żyją z jałmużny, ale gdy obywatele nie są dość hojni, zmieniają się w złodziei. Jak każdy porządny Turek, derwisz ma żonę, ale gdy wyrusza w niekończącą się pielgrzymkę, zostawiają w rodzinnej wiosce. Jeśli samotność w drodze staje się trudna do zniesienia, bierze sobie drugą żonę, którą porzuca, gdy przyjdzie mu ochota powędrować dalej. Zdarza się, że po kilku latach derwisz wraca do pierwszej żony. Słodkie wspomnienia mają wielką moc. Jeśli na niego czekała, ponownie tworzą małżeństwo. Jeśli znalazła sobie drugiego męża, porzuca go dla derwisza, który mimo wszystko nie okazuje jej niechęci.

- Taki właśnie jest turecki derwisz - podsumowała Clordia. - Leń, szalbierz, a przy sprzyjających okolicznościach bandyta. Zupełnie inni są derwisze godni tej nazwy, tacy jak Hindus Cizeber.

Prawdziwi derwisze - mówiła Clordia, idąc ze mną pod rękę w stronę Wiednia - potrafią cudownie uzdrawiać ludzi i zwierzęta, leczyć bezpłodność kobiet, klaczy i krów, znajdować skarby ukryte w ziemi i przepędzać złe duchy, nękające stada lub młode dziewczęta. Wszystko, co ma charakter magiczny, nie jest im obce.

Zdolni są do takich cudów, jakie przed chwilą widzieliśmy - stwierdziła Clordia. - Nie mają jednak nic wspólnego z wiarą w proroka. Przeciwnie, posądzani są o obojętność wobec Koranu.

Byłem tak oszołomiony występem Cizebera i zdezorientowany opowieścią mojej małżonki, że stać mnie było tylko na pytanie:

- Co to były za przedmioty, które trzymał w dłoni podczas psalmodii? Jak sądzisz, w jaki sposób dokonywał tych wszystkich cudów?

- Mój skarbie - odparła spokojnie Clordia. - Mimo że wiem coś niecoś o derwiszach, nie potrafię tego wyjaśnić.

- Nie rozumiem, co te rytuały mają wspólnego z głową, którą Cizeber pragnie za wszelką cenę zdobyć, ani z przybyciem agi. Zastanawia mnie też, po co przybył pod Neugebau, świętego miejsca Turków - powiedziałem, powracając myślą do opowieści Simonisa o namiocie Sulejmana.

- Nie mam zdania na ten temat. Czasami jest to jedyna metoda, by nie popełnić błędu -



ucięła Cloridia, kiedy szliśmy przez las, otoczeni czosnkową wonią ziół.

*Godzina 17: koniec pracy. Zamykane są warsztaty i kancelarie. Rzemieślnicy, sekretarze, nauczyciele języków, księża, sprzedawcy, lokaje i woźnice zasiadają do kolacji (podczas gdy w Rzymie jest pora podwieczorku)*

Kiedy dotarliśmy do ulicy Porta Coeli, Cloridia udała się do pałacu księcia Eugeniusza, by dokończyć pracę, którą przerwała, by śledzić ze mną derwisza. W klasztorze Simonis umył już z sadzy mojego synka i właśnie wybierali się na kolację do pobliskiej gospody. Dołączyłem do nich i podczas posiłku opowiedziałem pomocnikowi o przerażających obrządkach Cizebera. Ponieważ Simonis nie rozumiał, o czym mówię, i zadawał mi głupie pytania, pożałowałem, że się w ogóle odezwałem. Zastanawiałem się, jak to się dzieje, że Grek czasem bywa bystry, a czasem, jak w tej chwili, wyjątkowo tępy.

- Jutro będziemy kontynuować pracę w Neugebau - oznajmiłem, zmieniając temat.

Za pozwoleniem pana majstra, jutro jest niedziela. Skoro pan sobie tego życzy, mogę pracować, ale to *Weisser Sonntag*, czyli *dominica in al-bis*. Jeśli złapią nas strażę...

Simonis miał rację. Nazajutrz była tak zwana biała niedziela. Zgodnie z prawem osoba przylapana na wykonywaniu *opera servilia et mercenaria* ponosiła karę pieniężną lub cielesną, włącznie z zajęciem mienia. Jak bowiem głosiło zarządzenie cesarza, praca w dzień świąteczny wywoływała gniew Boga, a tym samym narażała całą ludność na niebezpieczeństwo plag, wojen, głodu i epidemii.

- Dziękuję ci, zupełnie o tym zapomniałem. A więc w poniedziałek.

- Przykro mi, panie majstrze. W poniedziałek zaczynają się zajęcia na uniwersytecie po wielkanocnej przerwie.

- Ach tak, prawda! Pewnie i tym razem masz kogoś, kto będzie za ciebie chodził na wykłady.

- Zgadza się, panie majstrze. Pismak.

- Kto?... Ach tak, ten kandydat na studenta - powiedziałem, przypomniawszy sobie ceremonię otrzęsin.

- Właśnie on, panie majstrze. Jestem jego cyrulikiem, musi mi być całkowicie posłuszny. Obawiam się jednak, że obecność studentów podczas inauguracji jest obowiązkowa. Uroczystość zwykle trwa krótko. Poradzi sobie pan beze mnie, panie majstrze.

Doprawdy miałem szczęście, że moim pomocnikiem był właśnie Si-monis. Pracował od rana do wieczora, w świątek i piątek, nie zważając na przepisy.

Osiedlwszy się w Wiedniu, ze zdziwieniem stwierdziłem, że w stolicy cesarstwa pracuje się najwyżej 250 dni w roku. Pozostałe dni są wolne od zajęć obowiązkowych. Należą

do nich tak zwane niebieskie poniedziałki, wypadające po święcie religijnym. Od pracy zwalniamy również doroczne jarmarki i pielgrzymki, trwające często kilka tygodni. Co więcej, nieobecność w pracy nie wpływa na wysokość wynagrodzenia!

Świąteczne przerwy rozбивały rytm pracy. Zaczęte roboty ślimaczyły się bez końca, powodując nerwowość i kłótnie między majstrem a jego pomocnikami. Punktualność była zaletą prawie niespotykaną. Utał się zwyczaj, że majster osobiście budził pracowników, żeby nie spóźnili się do pracy. Na szczęście poczciwy Simonis oszczędził mi tych niedogodności. W przeciwieństwie do moich kolegów po fachu nie miałem powodów do narzekań na mojego pomocnika. Nie musiałem mobilizować go do pracy ani wypłacać dodatkowego wynagrodzenia. W Wiedniu bowiem miesięczną pensję dostawało się jedynie za lekką pracę, którą w Rzymie uznano by za wakacyjną.

Sytuację pogarszały zarządzenia o charakterze religijnym. Cechy rzemieślnicze wymagały udziału pracowników w pogrzebach zmarłych kolegów. Zgodnie z wiedeńskim zwyczajem po smutnej ceremonii rozpoczynała się stypa. Nie był to jednak skromny poczęstunek, ale prawdziwa hulanka, trwająca do późnej nocy. Nasz cech próbował ukrócić ten godny pożałowania proceder i w specjalnym okólniku nakazywał delegować na pogrzeb „część” pomocników. Ponieważ pojęcie to było mało precyzyjne, na pogrzeby nadal chodzili prawie wszyscy. Jedynie nieliczni oddawali cześć zmarłemu koledze pracą w pocie czoła zamiast obżarstwa.

Nie lepiej od pomocników w warsztatach zachowywali się służący. Ojciec Abraham a Sancta Clara wielokrotnie pisał w książkach i grzmiał z ambony, upominając leniwych służących: „Pocą się dopiero po pracy... przy jedzeniu! W godzinach służby natomiast robią wszystko, żeby się nie przemęczyć”. Służba miała prawo zwolnić się z pracy, żeby wziąć udział w mszy. Przysłowiowym nożem w plecy dla pana domu była *Fruhmesse*, to znaczy pierwsza msza, o piątej trzydzieści. Stanowiła doskonały pretekst, żeby rozpocząć pracę później... Pani domu czyniąca wymówki służącej za to, że każdego dnia rano chodzi na mszę, zrażała do siebie całe sąsiedztwo! Prawdę powiedziawszy, służące brały udział w mszy tylko po to, żeby się pokazać. Później, kiedy kościół się wypełnił, wychodziły ukradkiem i spotykały się z aktualnym ukochanym, szły do kawiarni albo w krzaki w Augarten. Spóźniwszy się do pracy, zrzucały winę na księdza. Oto dlaczego wjeżdżając po raz pierwszy do Wiednia, widzieliśmy tyle służących wałęsających się po ulicach jak w świąteczny dzień! Poranne zakupy były kolejną okazją do rozrywki. Kucharki, na przykład, miały zwyczaj zatrzymywać się na plotki u piekarza lub mleczarza. Spotkania te nazywano porannymi zebraniem.

Ojciec Abraham a Sancta Clara ubolewał, że łatwo zarobione pieniądze są trwonione przy pierwszej nadarzającej się okazji, w weekend lub podczas jakiegoś święta. Dzień świąteczny stał się zatem dniem wszetecznym. Od dwóch stuleci wydawano rozporządzenia, które miały przywrócić niedzielom ich odświętny charakter, ukrócić uczty i libacje. W niedzielę zabroniono chodzić do karczmy i grać w kule, ale nikt tego zakazu nie respektował. Procesje i pielgrzymki stały się okazją do nieprzyzwoitych zachowań. Mężczyźni i kobiety tańczyli, bawili się i oddawali bezbożnym rozrywkom. Próbowano więc, bez powodzenia, organizować oddzielne pielgrzymki dla kobiet i mężczyzn. Wprawdzie ojciec Abraham upominał, aby nie spędzać zbyt dużo czasu na modlitwach (wystarczy godzina dziennie), ale chodziło mu o to, żeby wierni dłużej pracowali. „Modlitwa powinna występować na przemian z pracą, jak Słońce i Księżyc na niebie. Powinna być dla pracy tym, czym motyka jest dla trzonka, za który się chwyta”. Rad ojca prawie nikt nie słuchał. Dni wolnych od pracy było bardzo dużo; samych świąt religijnych trzydzieści sześć, w każdym miesiącu po kilka. Oprócz Bożego Narodzenia, Trzech Króli i Wielkanocy w styczniu wypadało święto Obrzezania Jezusa i Nawrócenia św. Pawła, w lutym Matki Boskiej Gromnicznej i św. Mateusza, w marcu św. Józefa i Zwiastowania, nie mówiąc o tym, że nie pracowało się zarówno w poniedziałek, jak i we wtorek po Wielkiejnocy. W kwietniu świętowano św. Jerzego i św. Marka; w maju świętych Filipa i Jakuba, Wniebowstąpienie Jezusa, Zesłanie Ducha Świętego; w czerwcu Boże Ciało, Św. Jana Chrzciciela, świętych Piotra i Pawła; w lipcu Nawiedzenie Marii, św. Marii Magdaleny i św. Joachima; w sierpniu św. Wawrzyńca, Wniebowzięcie Matki Boskiej i św. Bartłomieja; we wrześniu Narodziny Marii, św. Mateusza Ewangelisty i św. Michała; w październiku świętych Szymona i Tadeusza Judy, w listopadzie Wszystkich Świętych, św. Marcina, św. Katarzyny i św. Andrzeja; w grudniu św. Mikołaja, Niepokalane Poczęcie Marii, Boże Narodzenie, św. Szczepana i św. Jana Ewangelisty, przypadające 27 grudnia. Taka była właśnie *pietas austriaca*...

Zaraz po przybyciu do Wiednia doliczyłem się zaledwie pięciu dni pracy w ciągu całego miesiąca. W pozostałe dni zawsze znalazła się okazja do świętowania.

Osobny temat w kwestii marnotrawienia czasu to bractwa religijne, niezwykle liczne i wpływowe. Na przykład do Bractwa Świętej Trójcy przy kościele św. Piotra należało około osiemdziesięciu tysięcy adeptów. W samym Wiedniu działało blisko czterdzieści różnych bractw. Ich członkowie mieli wiele przywilejów. Oprócz bezpłatnej opieki lekarskiej, pieniężnego legatu *post mortem* przysługującego wdowie oraz pięćdziesięciu mszy gratis mieli prawo do zwolnienia się z pracy, aby wziąć udział w niezliczonych zebraniach kongregacji. Choć spotkania te odbywały się głównie w niedzielę, nierzadko przeciągały się

na cały następny tydzień. Z okazji tak zwanych niedziel kwartalnych przez pięć kolejnych dni odprawiano mszę o ósmej rano, w intencji dobroczyńców. Zdarzało się też, że po zakończeniu procesji przez dziewięć dni celebrowano mszę, jak zwykle o ósmej rano, w intencji „fundatorów”. Pod koniec roku każde bractwo miało na swoim koncju od stu pięćdziesięciu do dwustu mszy, około sześćdziesięciu różańcowych - w tym dwadzieścia w intencji żyjących i zwykłych zmarłych członków kongregacji. Nie licząc oczywiście pogrzebów i dni przeznaczonych na wybór rektora, konsultacje oraz inne nieprzewidziane okoliczności. Z moich obliczeń wynikało, że z okazji różnego rodzaju świąt nie pracowano przez miesiąc w ciągu całego roku. Tym samym liczba dni roboczych spadała z dwustu pięćdziesięciu do dwustu dwudziestu.

Klasa średnia, urzędnicy i adwokaci, pracowali jeszcze mniej niż rzemieślnicy i służba. Przysługiwały jej bowiem dodatkowe święta między 18 lipca a 2 sierpnia (nazywane, nie wiedzieć czemu, feriami ciętymi) oraz od 1 do 15 listopada (ferie winne). Na tym nie koniec. Z okazji minionej Wielkanocy mieli aż 14 dni wakacji! Mimo to domagali się, żeby niedzielę *in albis*, będącą dniem świątecznym, liczyć oddzielnie, co dawało dodatkowych 15 dni świątecznych. Powodowało to zamieszanie w urzędach, przede wszystkim w sądach, gdzie w poniedziałek po białej niedzieli nikt nie stawił się do pracy. Interweniował sam cesarz, wydając ustawę, na mocy której raz na zawsze ustalono, że *dominica in albis* jest dniem świątecznym.

- Pragnę ci powiedzieć, Simonisie, że jestem zadowolony z ciebie i z twojej pracy - powiedziałem do Greka, przerywając rozmyślenia.

Dziękuję, panie majstrze! To dla mnie zaszczyt - odparł poważnym tonem, przeżuując pieczeń z dziczyzny w sosie cebulowym.

Byłem doprawdy wdzięczny mojemu pomocnikowi. W zamieszaniu spowodowanym świętami dni wolne od zajęć Simonis przeznaczał na pracę u mnie. Bardzo rzadko się zwalniał. Ostatnio w miniony Wielki Czwartek, 2 kwietnia, kiedy „panowie studenci” (takie sformułowanie widniało na zaproszeniu) uczestniczyli w rytualnym obmyciu nóg w kaplicy szkoły cesarskiej, i 25 kwietnia, na św. Marka, kiedy brali udział w procesji od katedry św. Szczepana do św. Marka i z powrotem.

Ferie studenckie wypadały dość często, w sumie doliczyłem się stu czternastu dni wolnych od zajęć. Istniały też ferie poszczególnych fakultetów, każdy z nich miał bowiem swojego patrona, któremu poświęcony był określony dzień w roku. Święto artystów, na przykład, wypadało w listopadzie. Obchodzono również święta czterech narodowości (austriackiej, reńskiej, węgierskiej i saskiej), tworzących bractwo studencką Wiednia, i rocznic

ważnych wydarzeń. Dzień Wszystkich Świętych poświęcony był zmarłym wykładowcom i studentom. Zajęcia odwoływano, gdy wybitni przedstawiciele Alma Mater Rudolphina udawali się na audiencję u cesarza lub byli przyjmowani na dworze z innych powodów. Studenci mieli wolne z okazji koronacji i ślubu cesarza, uroczystych powitań ambasadorów, żon cesarzy lub ich krewnych. Podczas święta Odnowienia odnawiano przywileje cesarskie, nadane przed laty uniwersytetowi.

Jeszcze większą gratkę mieli uczniowie szkół niższych. Każdego roku, oprócz ustawowych stu siedemdziesięciu ośmiu dni świątecznych, przysługiwało im tyle „wakacji ponadprogramowych” (zarządzonych przez biskupów lub książąt celem uczczenia ważnego wydarzenia), że jak wyliczyłem, uczniowie chodzili do szkoły raz na trzy dni! Mój synek, którego wieczorami często uczyłem czytać, pisać i liczyć, umiał więcej niż jego wiedeńscy rówieśnicy.

Wielka jest mądrość Wiednia! - pomyślałem, patrząc na synka, mojego małego ucznia, który wylizywał talerz po smacznym daniu. To miasto znało drogę wiodącą do zdrowia, szczęścia i zadowolenia z życia. Początkowo sądziłem, że święta i lenistwo wiedeńczyków są godne potępienia, ale myliłem się.

W Rzymie studenci byli przeciążeni nauką, robotnicy pracą, opuszczone rodziny (przede wszystkim żony) usychały z tęsknoty w domach za ojcami i mężami, którzy od świtu do nocy trudzili się na ulicy lub w warsztatach. Tymczasem w Wiedniu ledwo rozpoczęła się praca lub nauka, a już bicie dzwonów wzywało do odpoczynku lub oznajmiało rozpoczęcie jarmarku, uroczystości, mszy lub procesji. Czy trud przynosi lepsze wyniki? Ależ skąd! Choć dawniej w cesarstwie pracy poświęcano się w nikłym stopniu, wszystko doskonale funkcjonowało (no, może na wolniejszych obrotach). W mieście papieży wszyscy trudzili się ponad miarę, a mimo to nic nie działało jak należy. W Wiedniu nie przeciążano się pracą, nikt jednak nie głodował, rodziny były zamożne, przestępstwa niezwykle rzadkie, ulice czyste. W Rzymie pracowało się od rana do wieczora, a mimo to panował głód, na porządku dziennym były kradzieże i zabójstwa, na ulicach walały się śmieci.

Gdy powiedziałem znajomym, że wyjeżdżamy do Wiednia, popatrzyli na mnie jak na wariata: „Że też chce ci się jechać w to zimno, do tych szwabskich głupków!” - Po kilku miesiącach miałem pewność, że głupkami jesteśmy my, rzymianie.

- Panie majstrze! - Głos Simonisa przywrócił mnie do rzeczywistości. - Rozmawiałem z przyjaciółmi o interesującej pana kwestii złotego jabłka. Pozwoliłem sobie wyznaczyć im spotkanie tutaj, aby mógł im pan dokładnie powiedzieć, czego od nich oczekuje. Jakiś czas temu otrzymałem bilecik od Daniła Daniłowicza. Być może zdobył jakieś informacje.

Do gospody przyszła Cloridia. Właśnie skończyła pracę w pałacu księcia Eugeniusza. Z wyrazu jej twarzy odgadłem, że była zdenerwowana.

- Och, mój drogi mężu! Nawet nie wiesz, co mi się dziś przytrafiło! - oświadczyła, siadając przy stole i wychylając kieliszek wina.

Uśmiechnęła się do synka, który siedział naprzeciwko, patrząc na matkę z niepokojem. Cloridia pochyliła się nad stołem, ucałowała go i pogładziła po włosach. Poprosiła Simonisa, żeby odprowadził chłopca do klasztoru na lekcję niemieckiego. My zamierzaliśmy wrócić trochę później.

Małżonka moja chciała powiedzieć mi o jakiejś ważnej sprawie, ale obawiała się reakcji naszego synka. Kiedy obaj z Simonisem wyszli z gospody, z twarzy Cloridii zniknął matczyzny uśmiech. Gdy ścisnęła mnie za rękę, poczułem, że jej dłonie są zimne i spocone.

- O co chodzi? - zapytałem przejęty.

- Dziękujmy Bogu, że poniedziałek jest moim ostatnim dniem służby w pałacu. Turecki aga ponownie będzie na audiencji u księcia Eugeniusza, po czym wróci do swojego lokum na Wyspie Leopolda. We wtorek Eugeniusz wyrusza w drogę do Hagi. Nie będzie pracy, nie będzie zarobku, ale trudno. Gdyby jeszcze raz doszło do tego, co dziś, mogłoby się to dla mnie źle skończyć.

- O czym ty mówisz? Co się stało?

- Ten cuchnący osobnik... Ten, który obiecał derwiszowi głowę...

- Co z nim?

Znowu był w pałacu. Spotkałam go dwukrotnie. Za pierwszym razem na schodach kuchennych, kiedy był w towarzystwie swoich tureckich kompanów. Gdybyś widział, jak na mnie spojrzął! Udało mi się wreszcie dostrzec jego twarz poraną głębokimi bruzdami. Popatrzył na mnie przekrwionymi oczami, jakby chciał prześwidrować mnie na wylot. Czym prędzej stamtąd uciekłam, ale odniosłam wrażenie, że śledził mnie wzrokiem. Obawiam się, że się czegoś domyśla. Mam nadzieję, że kiedy spotkałam go po raz drugi, nie zorientował się, że go szpiegowałam.

- Z jakiego powodu go szpiegowałaś?! - wykrzyknąłem przerażony myślą, że moja słodka małżonka mogła paść ofiarą mordercy.

Tego samego zakapturzonego mężczyznę Cloridia dostrzegła kątem oka, w chwili gdy tłumaczyła rozmowę majordomusa agi z pałacowym kucharzem. Zapewne prześliznęły się niezauważony, gdyby nie uchylone drzwi pokoju, w którym przebywała. Właśnie wtedy podejrzany osobnik wspinał się ukradkiem po schodach na drugie piętro. Zaintrygowana, zaczęła go śledzić.

- Bałam się, ale warto było zaryzykować. Domyśliłam się, że zakapturzony człowiek zmierza na spotkanie z Ciezeberem - wyjaśniła moja nieustraszona małżonka.

Tymczasem nieznany osobnik krążył swobodnie po pałacu. Był dobrze poinformowany, że na nikogo się nie natknie. O tej porze cały personel znajdował się bowiem na parterze, w kuchni i w pokojach służbowych. Tajemniczy typ zajrzał do wszystkich pokoi na drugim piętrze, po czym zszedł niżej.

- Na pierwszym piętrze - mówiła Clordia - w pokoju od ulicy Porta Coeli, mieści się biblioteka. Podobno Eugeniusz zamierza ją powiększyć. Sprowadza całe skrzynie książek i manuskryptów.

W tych dniach stolarze zamontowali nowe regały. Pod pustymi półkami stały drewniane skrzynie, których zawartości nie znał nikt poza Eugeniuszem i jego najbliższymi współpracownikami. Zakapturzony osobnik z kocią zręcznością wśliznął się do biblioteki.

Ponieważ Clordia nie mogła (a właściwie bała się) wejść, przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Najpierw usłyszała szuranie po lewej stronie pomieszczenia, potem brzęk monet, jakby ktoś zbierał je garściami i wrzucał do worka, na koniec kroki zbliżające się do drzwi.

Gdy tajemniczy typ opuścił bibliotekę księcia Eugeniusza i zniknął w pałacowych korytarzach, szukając zapewne wyjścia dla służby, ośmieliła się tam wejść. Wśród drewnianych skrzyń różnej wielkości tylko jedna miała niedomknięte wieko. Otworzyła ją. W środku były zakurzone stare gazety, stery planów wojskowych i listów - z pozoru bezwartościowe papierzyska, oczekujące na swoje miejsce na półce. Przekładając je, wyczuła pod palcami dziwne metalowe przedmioty. Zabrzęczały jak monety.

- Wzięłam jedną z nich. Popatrz!

Clordia zawahała się, zanim wykradła metalowy przedmiot podobny do monety, należący bądź co bądź do Najjaśniejszego Księcia, ale było ich tak dużo, że chwilowe „wypożyczenie” jednego z nich nie było w jej przekonaniu niczym nagannym. Z pewnością nieraz nadarzy się okazja, by go zwrócić. Do tego czasu dowiemy się, co to jest i dlaczego tajemniczy osobnik dokonał kradzieży.

Wziąłem do ręki metalowy przedmiot i uważnie go obejrzałem.

- Jest poczerniały, ale to z pewnością srebro - oznajmiłem.

- Zgadza się. Przyjrzyj się górnej krawędzi! Przypomina brzeg talerza. Srebrnego talerza.

Pośrodku widniał okrągły ryt, przedstawiający herb rodowy: lwią łapę i pole w paski, a nad nim napis:

## LANDAY 1702 IV LIYRE

W czterech miejscach odcisnięte były lilie Francji.

- Co to może być? - spytałem zdumiony.

- Nie mam pojęcia.

- Wszystko wskazuje na to, że chodzi o monetę. Popatrz, tu jest napis *4 liwry*, czyli francuskie liry. Nie bez powodu obok widnieją lilie. Wydaje się jednak, że monety nie wybito w mennicy, ale w jakiejś prymitywnej manufakturze.

- Może jest fałszywa? - zasugerowała Cloridia.

- Mało kto dałby się na coś takiego nabrać.

- Landavia, czyli Landau, to niemieckie miasto. O ile się nie mylę, cesarz Józef odniósł tam dwukrotnie zwycięstwo - powiedziała Cloridia.

- Tak, masz rację, w 1702 i w 1704 roku. Nie jest to jednak moneta konsekracyjna. Po pierwsze dlatego, że tego rodzaju monety nie mają tak skromnego wyglądu, po drugie, wybito na niej lilie, symbol Francji, a nie cesarstwa.

Gdy mówiłem te słowa, przyszedł Simonis. Pokazaliśmy mu dziwną monetę w nadziei, że udzieli nam jakichś informacji.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Wiem, że Landavia jest ważną niemiecką twierdzą w Palatynacie, którą nasz umiłowany cesarz zdobył dwukrotnie. Nie mam jednak pojęcia, czym jest ten kawałek srebra.

Nasza rozmowa nie trwała długo, dołączyli do nas bowiem przyjaciele Simonisa. Przyszli wszyscy: „baron” Koloman Szupan z Varaždinu, rumuński „książe” Dragomir Populescu, Polak Jan Janicki vel hrabia Opaliński, Bułgar Christo Christów Hadzi-Tanjov oraz bean, a właściwie już pismak po ceremonii otrzęsin, Czech Peniček, który kuśtykając, podszedł do cyrulika vel Simonisa.

- Dziękuję, że zgodziliście się nam pomóc - powiedziałem na powitanie, zapraszając gestem, by usiedli przy naszym stole.

- Zawsze do usług - odparł Christo Christów.

- Zapewniam pana - oświadczył Grek - że może pan na nas liczyć. Prawda, Christo?

- Oczywiście, drogi Simonisie - potwierdził Christo, nabierając powietrza przed wypowiedzeniem dłuższej kwestii. - Studenci są najwspanialszą odmianą rodzaju ludzkiego! Jesteśmy najcenniejszym skarbem, kwintesencją ludzkości, złotym kruszczem, klejnotem oprawionym w srebro. Jesteśmy tym, czym mędrzec pośród głupców, człowiek pośród bezrozumnych zwierząt. Jesteśmy ozdobą miasta, wieńcem laurowym naszych rodziców, błogosławionymi synami bogów, umiłowanymi potomkami i filarami mądrości, podporą



kraju!

Po tych słowach nastąpiły długie oklaski i gwizdy aprobaty.

- Jedynie temu zboczonemu Populescu brakuje filara - oświadczył Koloman Szupan, wywołując salwy śmiechu.

- Za to ty masz aż dwa: jeden w środku, drugi na zewnątrz - odciął się Populescu.

- Nie świntuszcie w obecności damy! - upomniał ich Simonis, wskazując uprzejmie na Cloridię, która wydawała się przednio bawić.

Christo mówił dalej:

- Cóż można dodać? Jesteśmy księżętami i gwiazdami świata, a te słowa powinny was zadziwić. Nie wątpię, że nie spodoba się to naszym wrogom. Znawcy anatomii twierdzą, że fizycznie wszyscy ludzie są tacy sami, ale prawdziwe szlachectwo kryje się nie w tak zwanej błękitnej krwi, ale w umyśle. W starożytnym Egipcie jedynie erudyci mieli tytuły arystokratyczne. Rzymski cesarz Antoninus Pius, bardzo wykształcony i skromny, wolał wydać córkę za biednego jak mysz kościelna filozofa niż za zamożnego bęcwała.

- Mógł wydać ją za Kolomana, który jest i biedakiem, i bęcwałem - zażartował Populescu.

- Albo za ciebie, pederastę i bałwana - odciął się Koloman.

- Nie denerwuj się, Dragomirku! Zachowaj spokój! - zamruczał pod nosem Populescu.

- Cisza, przyjaciele! Pozwólcie mi dokończyć! Studenci są dla miasta tym, czym kciuk dla dłoni. Ze względu na naszą serdeczność zasługujemy na miano aniołów, albowiem jest to cnota istic anielska. Gdzież rozkwitają cywilizacja i ludzkość, jeśli nie na uniwersytetach? Właśnie tam, a nie na dworach, gdzie uprzejmość ignorantów przyprawiona jest hipokryzją. To my, studenci, jesteśmy prawdziwymi rubinami, świecimy silniejszym blaskiem niż inne szlachetne kamienie. Jesteśmy szmaragdami, szafirami miasta, których żywe barwy pieczą oczy mieszkańców. Jakież to wspaniałe uczucie patrzeć na synów muz przechadzających się po mieście! To prawdziwa uczta dla oczu, w odróżnieniu od przyglądania się nadętym, zwykłym przechodniom! Przemilczę nieopisane przeciwności losu, na jakie narażony jest nieszczęsny student od młodości po kres życia! Napawają nie tylko przerażeniem, ale także przyprawiają o ból głowy. Innymi słowy studenci są najwspanialszą arystokracją, koroną *contextam splendidissimis virtutibus, gemmis longepretiosioribus*

- A prościej? - wtrącił Opaliński.

- Powiedziałem, że w koronie cnót jesteśmy najcenniejszymi klejnotami! W porządku, nieuku? - odparł Christo. - Skończyłem.

Towarzysze nagrodzili brawami przemowę i ciętą odpowiedź Bułgara. My również się

przyłączyliśmy. Patrząc na rozbawionych żaków, nie traciłem nadziei, że pomogą mi znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania.

Opowiedziałem im krótko o tym, jak na audiencji u księcia Eugeniusza turecki aga wypowiedział zdanie *Soli soli soli adpomum venimus au-reuml*. Obiecałem też studentom odpowiednią zapłatę. Za radą Simonisa nie wspominałem o tym, że Cloridia podsłuchiwała rozmowę derwisza, w której była mowa o ucięciu komuś głowy. Mój pomocnik twierdził, że gdybym im o tym powiedział, natychmiast by uciekli i nie zatrzymałbym ich za żadne pieniądze. Przemilczałem także to, że Najjaśniejszy Książę zachował karteczkę ze zdaniem agi, wkładając ją między kartki dziennika. Wstydzilem się przyznać, że Cloridia grzebała w osobistych rzeczach księcia. Jak wynikało z listu, który pokazał mi opat Melani, Sabaudczyk był zdrajcą i zasługiwał na coś o wiele gorszego. Nie mogłem jednak zdradzić tego sekretu całej gromadzie studentów!

Energetyczni młodzieńcy pochodzili z krajów położonych na wschód od Wiednia, cierpiących w przeszłości pod jarzmem otomańskiej niewoli.

- Turcy to bestie w ludzkiej skórze - wyszeptał z niesmakiem Popu-lescu.

- Pismaku! Udaj Turka! - rozkazał Simonis.

Biedny Peniłek przybrał głupi, a jednocześnie groźny wyraz twarzy.

- Nie, to jest Janicki vel hrabia Opaliński - zaśmiał się Christo.

- Idź kopulować z Turkami, Christo - bronił się Opaliński. - Lubią eunuchów takich jak ty.

Żarty i drwiny pod adresem Wysokiej Porty i jej nieokrzesanych poddanych trwały jeszcze jakiś czas. Zauważyłem, że Cloridia sposepniała. Towarzysze Simonisa nie wiedzieli, że jest pół-Turczynką. Po powrocie z pracy w pałacu Eugeniusza nieraz opowiadała mi o podłości Osmanów. Nikt jednak nie lubi, kiedy cudzoziemcy obrażają jego nację.

Pragnąc zmienić temat, opowiedziałem studentom o tajemniczym za-kapturzonym osobniku, który groźnie popatrzył na Cloridię.

- Pewnie też był Turkiem! - wykrzyknął Dragomir. - Ich kobiety ubierają się tak brzydko, że pani strój dosłownie go oślepił.

Komplement sprawił, że twarz Cloridi nieco się wypogodziła.

- Jak to? Przecież tyle się mówi o ich haremach... - zaproponował Pe-nicek, który nie miał zbyt wielu doświadczeń z kobietami.

- Głównie sami Turcy opowiadają o nich niestworzone rzeczy. Byłeś kiedyś w haremie?

- Nnno, jeszcze nie...

- No to wyobraź sobie ciemną norę pełną dymu, rozpusty i zamętu, osmalone, popękane ściany pokryte kurzem i pajęczynami, zniszczone drewniane sufity, brudne, poplamione sofy, podarte zasłony, wszędzie ślady wosku i plamy oleju.

Tureckie kobiety, ciągnął Dragomir, obwieszają się świecidelkami. Nie widzą, jak śmiesznie wyglądają, ponieważ w Turcji lustra są rzadkością. Nadużywają kolorowych proszków. Niebieskie cienie nakładają nie tylko na powieki, ale także pod nosem. Malując się, pomagają sobie nawzajem i jak to rywalki - robią to z przesadą. Nakładają tyle czernidła na brwi, że tworzą one łuki od nasady nosa aż po skronie, albo, co gorsza, malują długą czarną linię przez całe czoło.

- Zapewniam cię, że taki makijaż w połączeniu z lenistwem i niechlujstwem kobiet tureckich tworzy odrażającą całość - podsumował Po-pulescu.

- Od kiedy to jesteś ekspertem od tureckich haremów? - zdziwił się Koloman Szupan.

Jakby tego było mało, ciągnął Populescu, pozostawiając pytanie Kolo-mana bez odpowiedzi, twarze Turczynek pomalowane są w tak skomplikowany sposób, że traktuje się je jak dzieła sztuki, trudne do odtworzenia. To samo dotyczy dłoni i stóp, malowanych na pomarańczowo. Wobec powyższego tureckie kobiety w ogóle się nie myją w obawie, że woda zniszczy makijaż. W haremach mieszkają dzieci i służące, które często są, niestety, Murzynkami.

- Czarne kobiety odpoczywają na sofach swoich pań, chodzą po ich dywanach i opierają plecy o te same ściany. Ohyda! - wykrzyknął Dragomir.

- Czyżbyś brzydził się Murzynkami? - zakpił Koloman. - Nie sądziłem, że masz taki wybredny gust...

- W przeciwieństwie do ciebie! Zadowolilibyś się nawet małpą - odciął się Rumun.

W Azji, dodał Populescu, szkło jest jeszcze rzadkością, dlatego też w oknach zamiast szyb jest natłuszczony papier albo nie ma ich wcale. Światło dnia wpada jedynie przez komin. Kobietom to w zupełności wystarcza. Codzienne czynności, takie jak palenie tytoniu, picie i bicie bezbronnych dzieci, wykonują w półmroku.

- Krótko mówiąc, haremy to sztuczne, hermetycznie zamknięte, duszne jaskinie, ogrzewane żeliwnymi piecykami, pełne zaniedbanych kobiet i źle wychowanych dzieci! - podsumował Populescu ze śmiechem i schwyił się za szyję, obrazując atak duszności.

- To wcale nie jest śmieszne - wtrąciła nieoczekiwanie Clordia. - W haremach brakuje powietrza, to prawda, ale nieszczęsne kobiety nie mają wyjścia. Biedaczki, zmuszone przebywać w zamknięciu, bez ruchu, przesiadują przed piecykiem, bo jest im zawsze zimno. Moja matka była Turczynką - oznajmiła spokojnie.

Nieoczekiwana wiadomość zmroziła całe towarzystwo.

- W każdym razie głęboko panu współczuję, nie wiedziałam, że jest pan eunuchem - dodała moja małżonka z uśmiechem, zwracając się do Dragomira. - Jak panu zapewne wiadomo, mężczyznom, przynajmniej tym, którzy zasługują na to miano, surowo zakazuje się wstępu do haremu.

To powiedziawszy, wstała i szybkim krokiem wyszła z gospody. Przyjaciele Simonisa zaniemówili.

Dogoniłem Cloridię i razem wróciliśmy do klasztoru. Wszyscy troje poddaliśmy się torturom nauczyciela niemieckiego. Mimo że głowy mieliśmy zaprzątnięte innymi sprawami, radziliśmy sobie całkiem nieźle. Tego wieczoru przerabialiśmy jeden temat.

- Mój panie, pragnę pana przeprosić, że nie poprosiłem waszmości o pozwolenie oddalenia się.

- Mój panie, gdzie nie ma obrazy, tam też nie ma potrzeby wybaczenia.

- Jestem panu szczerze zobowiązany za ten honor.

I tak dalej. Ollendorf w kółko kazał nam powtarzać eleganckie formułki grzecznościowe, zupełnie nieprzydatne dla skromnego kominiarza i jego rodziny.

*Godzina 20: zamykane są gospody*

Orkiestra zaintonowała wstęp do arii Aleksego. Grę rozpoczął lutnista Francesco Conti, dobry znajomy Camilli de' Rossi, którego arpeggio rozbrzmiało na tle smutnych, nastrojowych dźwięków instrumentów smyczkowych.

Znajdowaliśmy się w kaplicy cesarskiej w Hofburgu, na próbie *Świętego Aleksego*. Słuchając muzyki, moja słodka małżonka mogła w końcu odprężyć się i zapomnieć o przerażającym spotkaniu w pałacu księcia Eugeniusza.

*Chormasterin* wymownymi ruchami przedramienia sprawowała kontrolę nad kontrabasem, uspokajała natrętne skrzypce, torowała drogę nieśmiałej lutni. Po chwili rozległ się śpiew Aleksego, pocieszającego swoją dawną narzeczoną, porzuconą przed wielu laty, która teraz, kiedy się spotkali, nie poznała go:

*Duol sofferto per amore*

*Perde U nome di dolor Cangia in rosę le sue spine.*

*Piu non ha tante ruinę, Piu non ha tanto dolor...*

*Ból wycierpiany z miłości*

*Traci swoje imię*

*Kolce w róże przemienia*

*Nie czyni spustoszenia.*

*Nie przynosi więcej cierpienia...*

Nastrojowa muzyka kołała moją duszę i zmysły. Odkąd do miasta przybył Atto Melani - zanim jeszcze go spotkałem czy dowiedziałem się o jego obecności - w moim spokojnym życiu wydarzyły się dziwne rzeczy: przeżyłem przygodę z lwem w Bezimiennym Miejscu, widziałem latający statek, byłem świadkiem przybycia tureckiego poselstwa, którego zamiary były podejrzane (mam na myśli plan Cizebera, pragnącego uciąć głowę jakiemuś nieszczęśnikowi). Z rozmowy z Attem wywnioskowałem, że chce mnie wciągnąć w międzynarodowy spisek szpiegowski wymierzony przeciw Eugeniuszowi Sabaudzkiemu (Najjaśniejszemu Księżciu, który wspaniałomyślnie zatrudnił moją żonę Cloridię!). Nie wiedziałem, czy nazywać go księciem Eugeniuszem, czy Psim Nosem. Opat Melani użył tego przezwiska przez przypadek czy specjalnie?

*Duol sofferto per amore Perde U nome di dolor...*

Wspólnie z Cloridią odkryliśmy, że Cizeber używa swoich magicznych umiejętności do tajemniczych, krwawych rytuałów. Jakby tego było mało, podejrzany typ, który przeraził Cloridię, miał dostarczyć derwiszowi czyjaś głowę. W mojej rodzinie także pojawiła się pewna nowość. Otóż małżonka niespodziewanie zaczęła mówić o swojej przeszłości i matce Turczynce. Zastanawiało mnie także, skąd tyle wiedziała o derwiszach.

Tymczasem Landina, narzeczona Aleksego (sopran, żona Contiego) odpowiedziała ukochanemu, nie wiedząc, że to on:

*Se dar voglio all 'Oblio  
La memoria di lui, cresce l 'affetto  
E se cerco bandir dal cor l 'oggetto  
Di rivederlopiii cresce ii desio...  
Im bardziej chcę o nim zapomnieć  
Tym mocniejsze jest moje uczucie.  
Im bardziej chcę go z serca wyrzucić.  
Tym silniej pragnę go ujrzeć...*

Co by się stało, rozmyślałem, gdyby w lesie na Łysej Górze Cizeber zorientował się, że go śledzimy? Biorąc pod uwagę jego magiczne zdolności, mogłem sobie wyobrazić tragiczny, przejmujący grozą finał. Gdybym nawet nie stracił głowy w wyniku jakiegoś czaru derwisza, to z pewnością ścięto by mi ją za udział w spisku przeciw Eugeniuszowi, naczelnemu dowódcy cesarskich wojsk, jak również za współpracę z tajnym agentem wrogiej Francji, ślepym wprawdzie i starym. Na dobrą sprawę nie było żadnej pewności, że list, w którym Eugeniusz sprzedawał się Francuzom, odniesie jakiś skutek. Czyż Ilsung i Ungnad,

dwaj zdradzieccy doradcy Maksymiliana II, nie pozostali na swoich posadach, gdy cesarz zdemaskował ich kłamstwa? Krótko mówiąc, spotkanie z Mustafą, starym lwem w Neugebau, było jedynie zapowiedzią śmiertelnych niebezpieczeństw, na jakie byłem narażony w następnych dniach.

- Mistrzu kominiarzu, widzę, że jest pan błady i zamyślony.

- Kto to? Co się dzieje?! - wykrzyknąłem przestraszony, rozglądając się dokoła.

Głos, który niespodziewanie przerwał moje zamyślenie, należał do Gaetana Orsiniego, dobrodusznego kastrata i przyjaciela Camilli, wykonującego partię Aleksego.

*Chormaisterin* zarządziła przerwę w próbie, więc Orsini podszedł do nas, żeby chwilę porozmawiać. Byłem tak zajęty roztrząsaniem ostatnich wydarzeń, że nie zauważyłem go.

- Ach, to pan! - powiedziałem, odetchnąwszy z ulgą.

- Nie tylko błady i zamyślony, ale także podenerwowany - zażartował, klepiąc mnie po ramieniu.

- Proszę mi wybaczyć. Miałem ciężki dzień.

- Jak my wszyscy. Mieliśmy kilkugodzinną próbę także po południu i jesteśmy bardzo zmęczeni. Musimy zacisnąć zęby, bo w przeciwnym razie w dniu występu skompromitujemy się przed nuncjuszem. A wtedy cesarz każe wychłostać wszystkich członków orkiestry, cha, cha, cha!

- I nieszczęsną Camillę! - dodałem, starając się dostosować do dobrego humoru Orsiniego.

- Jej na pewno nie - odparł z dziwnym uśmiechem.

- Czyżby *Chormaisterin* z Porta Coeli cieszyła się specjalnymi względami?

- To pan nie wie? Nasza przyjaciółka jest zaufaną osobą Jego Cesarskiej Wysokości - oświadczył Orsini, ścisząc głos.

Zamilkłem, wymieniając z Cloridią pełne zdziwienia spojrzenie.

- Do tej pory Camilla komponowała dla cesarza jedno oratorium rocznie - ciągnął śpiewak. - W sumie stworzyła więc cztery oratoria. I nie chciała za nie zapłaty. Nie wiadomo dlaczego. Tym bardziej że Jego Cesarska Wysokość nie zważa na wydatki. Zatrzymał wszystkich siedemdziesięciu sześciu muzyków, a nawet zatrudnił dodatkowych, głównie skrzypków. Obecnie orkiestra liczy sto siedem osób i jest największa w Europie. Nie mówiąc o operze, zainaugurowanej przed trzema laty. Po oblężeniu tureckim sprzed dwudziestu ośmiu lat Wiedeń pozbawiony był teatru z prawdziwego zdarzenia.

Za panowania Józefa I, ciągnął Orsini, Wiedeń stał się stolicą włoskiej muzyki, zarówno lekkiej, jak i poważnej, a także fars, pantomimy, baletów, teatru cieni, marionetek,

akrobatów *et cetera*. Przede wszystkim jednak nastąpił rozkwit opery, najwspanialszej w całej Europie, z ponad czternastoma przedstawieniami rocznie, z udziałem najświetniejszych kompozytorów, śpiewaków i instrumentalistów.

- Wyłącznie Włochów, ma się rozumieć - uściślił z dumą Orsini. Dzięki wspaniałomyślności i wytrawnemu gustowi Jego Cesarskiej

Wysokości spektakle muzyczne w Wiedniu stały na bardzo wysokim poziomie. Sam cesarz miał talent do muzyki, podobnie jak do sztuki wojennej, i w wolnym czasie, kiedy nie załatwiał pilnych spraw państwowych, siadał do klawesynu lub brał do ręki flet. Niekiedy, dla rozrywki, komponował pełne uroku utwory, takie jak *Regina Coeli* na sopran solo, skrzypce i organy oraz przepiękne arie w stylu Włocha Alessandra Scarlattiego. Muzyczne zdolności naszego ukochanego młodego cesarza w połączeniu z mistrzostwem orkiestry zachęcały do wszelkiego rodzaju eksperymentów i stosowania instrumentów w nowy, zadziwiający sposób. Tak więc cesarska kaplica, nosząca imię cesarza Józefa, zyskała jedyny w swoim rodzaju nowatorski charakter, stając się wyjątkowym miejscem w Europie.

- Mimo to nasza tajemnicza *Chormaisterin* nie chciała od cesarza ani grosza. Zanim wstąpiła do klasztoru, żyła skromnie i godnie.

- Tak, to prawda - zgodziliśmy się, udając, że wiemy, o czym Orsini mówi.

- Zjeżdżała wszystkie miejscowości Dolnej Austrii, lecząc chorych. Nierzadko wzywali ją księża udzielający ostatniego namaszczenia. Ca-milla zalecała dietę świętej Hildegardy z Bingen, zwykle z użyciem orkiszu, jeśli się nie mylę. Po kilku dniach następował cud: konający człowiek jadł, wstawał i chodził o własnych siłach.

- Naszego synka też wykurowała orkiszem - przyznałem.

- Tu, w Wiedniu, bez dyplomu z medycyny nie wolno zajmować się chorymi. Camilla leczy więc wyłącznie znajomych i przyjaciół.

- Wiem coś o tym - przyznała moja małżonka, która mogła wykonywać zawód akuszerki jedynie po kryjomu.

- W każdym razie teraz nasza *Chormaisterin* ma zapewniony byt. Kiedy cesarz zaproponował jej, by zamieszkała w stolicy, wyraziła zgodę, ale powiedziała, że nie czuje się na siłach komponować i pragnie wstąpić do klasztoru. Jego Wysokość umieścił Camillę w Porta Coeli, najbogatszym i najbardziej liberalnym klasztorze w Wiedniu.

- Liberalnym? - zdziwiła się Cloridia. - Czyż nie jest to zakon klauzurowy?

- Teoretycznie tak - odparł Orsini. - W praktyce siostry mogą przyjmować wizyty kobiet, a w celach bawić się w cieniu, oczywiście za zgodą przeorowskiej. Objadają się przysmakami, zwłaszcza cukrowymi figurkami. Mają je zawsze pod ręką i chrupią, kiedy

tylko nadarzy się okazja.

- Przypomniałem sobie właśnie - powiedziałem - że krata w bramie klasztoru nie wygląda zbyt groźnie. Z łatwością można wsunąć przez nią głowę, a osoba drobnej budowy mogłaby się przez nią bez trudu przecisnąć.

- Widziałem, jak ludzie podchodzą do kraty, aby ucałować dłonie zakonnic, a one bez żadnego skrępowania wyciągały ku nim ręce! - dodał młody kastrat.

- Cieszę się, że życie *Chormaisterin* w Porta Coeli nie jest zbyt ciężkie - oznajmiła Cloridia.

- Cesarz umieścił ją tam głównie dlatego, by pocieszała tę małą Palffy... - podsumował Orsini ze znaczącym uśmiechem. Wyjął z kieszeni jabłko i odgryzł soczysty kęs.

Hrabianka Palffy! Kochanka Józefa I! Przez nią opat Melani chciał przekazać cesarzowi list, który był dowodem zdrady Eugeniusza. Nadstawiłem ucha, odwzajemniając uśmiech, aby zachęcić śpiewaka do dalszych zwierzeń.

- Tak więc kareta Jego Cesarskiej Wysokości przyjeżdża o dziwnych porach na ulicę Porta Coeli, zabiera kogoś i zawozi do Hofburga - powiedział Orsini beztróskim tonem, jakby mówił o czymś powszechnie znanym. - Ludzie myślą, że kareta przyjeżdża po Eugeniusza Sabaudzkiego, z którym Józef pragnie pilnie pomówić o wojnie. Tymczasem w środku jest Camilla, jeśli cesarz ma ochotę na zwierzenia, albo Marianna Palffy, jeśli ma ochotę na coś innego, chi, chi!

Już miałem się roześmiać, ale Cloridia ścisnęła mnie znacząco za rękę. Zbliżyła się Camilla. Choć wyglądała na zmęczoną i zmartwioną, przywitała się z nami jak zwykle uprzejmie.

- Widzę, że mimo późnej pory dopisuje panu apetyt - zażartowała, uśmiechając się do Orsiniego, który trzymał w dłoni nadgryzione jabłko.

- Zdecydowałem się w końcu spróbować owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego - odpowiedział śpiewak.

- Proszę tak nie mówić.

- Oszukuję! Próbowałem go już wielokrotnie - odparł Orsini, w dalszym ciągu żartując.

- Kawalerze Orsini! Prosiłam, żeby nie używał pan tych słów - oświadczyła Camilla kategorycznie.

Wymieniliśmy z Orsinim spojrzenia.

- To słowa z Pisma Świętego - dodała Camilla, widząc nasze zakłopotanie. - Proszę, by nie używał ich pan przy byle okazji.



- Nie przypuszczałem, że to panią obrazi - tłumaczył się Orsini.

- Nie obraża pan mnie, tylko Pismo Święte. Na przyszłość proszę być bardziej ostrożnym, a przypuszczenia zostawić mędrcom, którzy mają boski dar proroctwa... Przepraszam, ale muszę wracać do pracy - powiedziała wyraźnie zmieszana, po czym ze spuszczoną głową udała się na swoje miejsce przed orkiestrą.

Był to znak, że przerwa dobiegła końca.

Po próbie wróciliśmy do klasztoru. Byliśmy tak zmęczeni wydarzeniami minionego dnia, że czym prędzej położyliśmy się do łóżka. Cloridia od razu zasnęła w moich ramionach, ja natomiast nie mogłem zmrużyć oka.

Dręczyły mnie tysiące pytań, powiązanych ze sobą niczym ogniwa łańcuszka. Dlaczego Camilla de' Rossi nie powiedziała nam, że jest przyjaciółką cesarza? Być może kierowała nią dyskrecja. Dlaczego odmawiała przyjęcia pieniędzy za swoje utwory, co więcej, schroniła się w klasztorze? Wyglądała na zmartwioną. Z jakiego powodu? Nie chciała tracić czasu na rozmowę z nami, to rozumiałe, ale dlaczego w ogóle się do nas nie odezwała? A mieliśmy sobie tyle do powiedzenia! Zważywszy na to, że poprzedniego wieczoru do klasztoru przybył Atto Melani.

Camilla, wynikało ze słów Atta, od dawna wiedziała, że opat przyjedzie do Wiednia, ale na jego prośbę nikomu o tym nie mówiła. Jak zawsze dyskretna, powiedziała tylko tyle, że w najbliższych dniach czeka nas dużo radości. Czy Camilla знаła powód przyjazdu Atta do Wiednia? I czy wizyta starego opata, pochodzącego w dodatku z wrogiej Francji, nie wzbudzała jej podejrzeń? Czyżby *Chormaisterin* nie wiedziała, że Melani był zawodowym szpiegiem?

Nie, prawdopodobnie nie wiedziała, odpowiedziałem sobie w myśli. Atto podał jej zapewne jakiś zmyślony powód przyjazdu. Może powiedział, że przed śmiercią pragnie się ze mną spotkać. Jak zwykle użył teatralnego tonu, który stosował, gdy chciał osiągnąć swój cel... No i Camilla dała się zwieść.

Moje wątpliwości mnożyły się jak odbicia w grze luster. Dlaczego Atto nie przekazał listu Eugeniusza przez Camillę? Czyżby nie wiedział, że jest przyjaciółką Józefa? Chyba jednak nie wiedział. W przeciwnym razie nie szukałby Marianny Palffy, nie wspominając o niczym Camilli. Zresztą ja sam dowiedziałem się o przyjaźni Józefa z *Chormaisterin* przez przypadek, przy pogawędce z Gaetanem Orsinim.

Co miałem zrobić? Podzielić się z Attem cenną informacją czy milczeć? Camilla bez trudu przekazałaby cesarzowi list Sabaudczyka. A jeśli Atto, jak podejrzewałem, działa w porozumieniu z Turkami? Czy wówczas nie naraziłbym Jego Cesarskiej Wysokości na

niebezpieczeństwo? Mógłbym nawet zostać oskarżony o współudział w spisku!

Nie, lepiej będzie, jeśli nic nie powiem Melanieniu. Co więcej, muszę go mieć na oku (teraz, gdy był niewidomym staruszkiem, przyjdzie mi to łatwiej niż przed laty). Przede wszystkim jednak nie mówić mu, że osoba, która może skontaktować go z cesarzem, mieszka tuż za rogiem - w klasztorze, w którym się zatrzymał.

Gdyby Atto wiedział, z jaką łatwością może porozumieć się z Józefem! Z rozmów z kolegami po fachu, klientami i właścicielami gospód i kawiarni dowiedziałem się, że mimo młodego wieku cesarz dokonał znakomitych czynów. Dawne cierpienia i zranioną duszę ukrywał pod maską pozornej srogości. Gdyby opat Melani, z pomocą Camilli, zdołał wyjednać audiencję, cesarz z pewnością wysłuchałby go i Atto osiągnąłby to, na czym mu zależało. Cieszyłbym się, gdyby zamiary Melanie-go były rzeczywiście pokojowe, jak utrzymywał, a smucił, jeśli współpracował z Turkami.

Józef Zwycięski był człowiekiem energicznym, pełnym godności i wspaniałomyślnym, jak na monarchę przystało. Potrafił przekonać niezdecydowanych i wzruszyć nieczułych. Był niecierpliwy, porywczy, uparty, miał talent improwizatorski, ale umiał też wysłuchać skargi i nie potrafił odmówić pomocy potrzebującym. Niekiedy składał obietnice przekraczające jego możliwości.

Natura bywa przewrotna, cesarz bowiem był synem człowieka, który stanowił jego przeciwieństwo.

Podczas gdy Leopold I był pobożny i nieśmiały, Józef Zwycięski odznaczał się odwagą, swobodą i serdecznością w kontaktach z ludźmi. Leopold był ostrożny, powściągliwy, flegmatyczny, niezdecydowany i opanowany. Józef natomiast tryskał energią. W wieku dwudziestu czterech lat walczył z Francuzami i osobiście dowodził armią, zdobywając twierdzę Landau. Od tej pory nazywano go Józefem Zwycięskim. Leopold uciekł z miasta, gdy w 1683 roku Turcy stanęli pod Wiedniem.

Młody Józef, jako syn pierworodny, a więc spadkobierca tronu, czuł się powołany do przejęcia steru rządów. Kochał swój naród i był przezeń kochany. Ponieważ wymagał od poddanych posłuszeństwa, jako swoje motto wybrał łacińską dewizę *timore et amore*, bojaźń i miłość, zapowiadając, że podczas sprawowania władzy będzie mu przyświecała ta maksyma.

Tymczasem ojciec Józefa w młodości chciał być księdzem. Cesarzem został przez przypadek, gdy następcą tronu, jego starszy brat, zachorował i zmarł. Leopold traktował panowanie jak ciężki obowiązek, wymagający dużo cierpliwości. Jego hasłem było *consilio et industria*, z zapalem i mądrością. Wrażliwą duszą Leopolda zawładnęli jezuiti, którzy go wychowywali. Choć religia stała się dla niego życiową przewodniczką, całkowicie przesłoniła

mu oczy. Jako człowiek bojaźliwy i nieufny, wierzył w przesady i zabobony, bał się magii i złego uroku. Przyjmując na dworze żebraków, okazywał im nadmierną pobłażliwość i pozwalał się znieważać.

Józef również był pobożny, ale nienawidził jezuitów. Obiecał sobie, że gdy obejmie tron, przepędzi ich z dworu.

Jego opieszaly ojciec nie chciał stracić pochlebców i przez dziesięciolecia utrzymywał nadmiernie rozbudowany dwór i rząd, pełen niepotrzebnych ministrów próżniaków, przepłacanych i kłótliwych. Józef nie mógł się doczekać, żeby wyrzucić ich za drzwi i zastąpić zaufanymi ludźmi, młodymi, pracowitymi i kompetentnymi. Ministrowie o tym wiedzieli (Józef założył coś w rodzaju własnego dworu, zwanego Młodym) i nienawidzili cesarza.

Nieustanne wymówki ojca, który wypominał synowi nadmierną skłonność do miłosnych podbojów, pogorszyły sytuację. Doszło do tego, że Leopold zabronił Józefowi zajmować się sprawami państwa. Nie rozumiał syna i nie mógł ścierpieć, że w tak znacznym stopniu różnił się od niego. Józef przypominał mu zaciętego wroga cesarstwa, zwycięskiego Króla Słońce, wytrawnego kobieciarza. Leopold otaczał się ludźmi przeciętnymi, bystrych oddalał, od młodzieży wołał starców, od specjalistów osoby niekompetentne, od bohaterów - tchórzy. Jakże mógł więc kochać pierworodnego syna?

Całą ojcowską miłością obdarzył Karola, młodszego brata Józefa.

Karol ucieleśniał pospolite zalety, które Leopold tak cenił. Józef był impulsywny, Karol, wychowywany przez jezuitów, potrafił nad sobą zapanować. Starszy syn był atrakcyjny, młodszy niczym się nie wyróżniał. Józef miał własne zdanie i był elokwentny, Karol, niepewny swoich opinii, milczał. Józef lubił śmiać się i rozśmieszać innych, Karol obawiał się szyderstwa.

Obaj wyszli z tego samego łona, ale jeden urodził się po to, by panować, drugi - by podporządkować się innemu. Karol potrafiłby zapewne porozumieć się z bratem, ale ojciec rzucił między nich ziarno niezgody, nie kryjąc, że faworyzuje młodszego syna. Na łożu śmierci Leopold dołączył do testamentu klauzulę na korzyść Karola, ze szkodą dla Józefa, i to w chwili, gdy starszy syn wyłączony był z polityki.

Józef poczuł się urażony, a Karol, przekonany, że zasługuje na tron, znienawidził brata. Czyż ojciec nie mówił mu, że jest najlepszy? Młodszy syn, ponury i drażliwy, wychowany został na króla, a dokładniej - na króla Hiszpanii. Nie mógł więc pogodzić się z myślą, że pozostanie bez korony.

Bracia nie widzieli się od ośmiu lat. W 1703 roku Karol wyjechał do Hiszpanii

rywalizować o tron z Filipem Andegaweńskim, wnukiem Ar-cychrześcijańskiego Króla, i nigdy nie wrócił do Wiednia. Istniały jednak tysiące okazji do zatargu między braćmi: o wpływy w Mediolanie, o zarządzanie Lombardią, w Neapolu podburzali przeciw sobie swoich protegowanych. Choć Austrię dzieliły od Hiszpanii morza i góry, Karol nieustannie zazdrościł Józefowi. Piękne dziedzictwo, myślałem, pozostawił Józefowi ojciec: wrogość ministrów i brata rywala. Młodzieńcza naiwność mogła wystawić go na niebezpieczeństwa, takie jak intrygi Mela-niego.

Snując podobne rozważania, wstałem z łóżka i na palcach podszedłem do moich papierów. Ponieważ odechciało mi się spać, postanowiłem powrócić do lektury pism o umiłowanym cesarzu.

Tym razem jednak nie szukałem odpowiedzi na pytania związane z Bezimiennym Miejsmem. Teraz, kiedy opat Melani zamierzał z moją pomocą dostarczyć Józefowi dowody zdrady Sabaudczyka, zajmowała mnie głównie osoba cesarza.

Przeglądając artykuły napisane po niemiecku, zwróciłem uwagę na sprawozdanie z jego ślubu. Wydarzenie, zgodnie z germańskim zwyczajem, obfitowało w nudne szczegóły. Odłożyłem więc gazetę. Przypomniały mi się opowieści zasłyszane w mieście. Ileż było w zachowaniu Józefa niewinności, spontaniczności i subtelności! Opat Melani z łatwością zdobyłby zaufanie młodego władcy, o ile oczywiście mówiłby po włosku, ukrywając to, że jest wysłannikiem Francji. A jeśli Atto działał w porozumieniu z Turkami?

Kiedy Józef ożenił się (poślubił niemiecką księżniczkę Wilhelminę Amelię z dynastii brunszwicko-luneburskiej), Leopold pozwolił mu zająć się sprawami państwa. Ojcowscy ministrowie darzyli go jednak nienawiścią.

Piątego maja 1705 roku, po pięćdziesięciu latach panowania, Leopold I zmarł. Cesarstwo znajdowało się w trudnej sytuacji, trwała bowiem wojna z Francją i jej sojusznikami, całe armie gotowe były zaatakować Austrię. Skarb państwa był pusty, podatki nie do wyegzekwowania, kamera cesarska bliska bankructwa. W wojsku panował chaos, brakowało broni i żołnierskiej dyscypliny. Na cesarskich terytoriach (w zbuntowanych Węgrzech, niespokojnych rejonach Włoch i Czech) istniała groźba zamieszek.

Po uroczystym pogrzebie Leopolda I nadworny kaznodzieja, jezuita Wiedemann, ośmielił się oznajmić Józefowi, że rządzić powinien książę wychowany przez jezuitów. Józef nie dał się zastraszyć. Posłał jezuitę na wygnanie i kazał zniszczyć dwa tysiące egzemplarzy jego przemówienia. Nadwornym jezuitom nie pozwolił mieszać się do polityki, zwolnił ministrów oraz niekompetentnych urzędników i zastąpił ich nowymi ludźmi, gotowymi mu służyć. Jediną osobą, której nie odesłał do domu, był Eugeniusz Sabaudzki. Nowi

ministrowie Józefa nie byli łagodnymi barankami. Często kłócili się i rywalizowali ze sobą, ale cesarz, dzięki wrodzonej intuicji, wiedział, jak z nimi postępować i rozstrzygać spory.

Młody władca, pragnąc poprawić warunki życia swoich poddanych, głównie w Wiedniu, przystąpił do trudnego, obliczonego na wiele lat, dzieła unowocześniania państwa. Zarządził systematyczne sprzątnięcie ulic, budowę kanalizacji, rozciągnął na przedmieścia obowiązek codziennej rejestracji zgonów, obok Bramy Karynckiej kazał wznieść teatr ludowy, gdzie miały być wystawiane tradycyjne wiedeńskie komedie, nawiązujące do włoskiej commedii delParte. Zlecił także odrestaurowanie miejskiego arsenału, w którym mieściło się 180 armat tureckich, pozostałych jako łup wojenny po oblężeniu Wiednia w roku 1683. Działa zostały przetopione na dzwon do katedry Św. Szczepana. Dzwon, najpiękniejszy w całym Wiedniu, miał być ukończony i zainstalowany dwudziestego szóstego lipca 1711 roku, w dzień trzydziestych trzecich urodzin Józefa Zwycięskiego.

Sięgnąłem po kabalistyczny prognostyk, czyli horoskop Józefa, *Ho-roscopus gloriae, felicitatis, et perennitatis, Josephi Primi, Romanorum Imperatoris, semper Augusti, Germaniae, Bohemiae, Hungariae, &c. &c. Regis.*

Twórcą horoskopu, sporządzonego w 1709 roku na podstawie arytmetycznych obliczeń i Pisma Świętego, był Doctor saluberrimae Medicinae z Padwy, Joseph Wallich (olim Hertzwallich). Przepowiednia, napisana w językach hebrajskim, łacińskim, greckim, chaldejskim, syryjskim, kabalistycznym, rabińskim, jerozolimskim, polskim, włoskim, francuskim i niemieckim, brzmiała niezwykle wyraźnie:

*Józef Pierwszy Cesarz Rzymski, Zawsze Czcigodny Ojciec i Dziedzic.*

*Dla Pokoju Królestw i Państw, a wszystkie jego dni będą zwycięskie.*

Autor horoskopu nie pomylił się. W 1711 roku, po sześciu latach rządów, anatema z jezuity Wiedemanna została zdjęta. Sytuacja ekono-miczno-wojskowa uległa znacznej poprawie. Lud lękał się Józefa i kochał go, zgodnie z jego dewizą *timore et amore*. Teraz, kiedy postać ojca odeszła w zapomnienie, czuł się panem swojego królestwa. Pomyślny obrót spraw zakłócała jednak wrogość byłych ministrów, żądnych odwetu. Równie niepokojąca była rywalizacja młodszego brata Karola w dalekiej Hiszpanii, zaślepionego nienawiścią.

Otóż to, pomyślałem, nienawiść - to samo uczucie przesądziło o losie Neugebau i jego budowniczego, napawając trwogą poprzedników Najjaśniejszego Cesarza. Być może właśnie tu kryła się odpowiedź na moje pytania. Józef Zwycięski przywykł do przewycięzania przeszkód i uzurpował sobie prawo do wzbudzania strachu - *timore et amore...*

W pierwszych dniach 1711 almanach „Englischer Wahrsager”, inaczej mówiąc, „Angielski Wróżbita”, w rymowanych prognostykach na cały rok obwieścił, co następuje:

*Man hört von ungemeiner Plage:  
Am Kdyserhof grosse Klage.  
Kayserlicher schneller Fali  
Gibt weit und breit den Widerschall;  
Viel Böses wird dadurch gestift.  
So einenfelicem Staat betrifft.*

Tragiczne prorocstwo lotem błyskawicy rozeszło się po całym mieście. Czym prędzej zdobyłem włoską wersję publikacji:

*Wielkie nieszczęście nadchodzi:  
Pałac utonie we łzach powodzi.  
Upadek cesarstwa już bliski  
Zwiastują je grzmoty i błyski;  
Ogromne zło się dokona I państwo szczęśliwe pokona.*

Angielski jasnowidz mówił o „upadku cesarstwa” i złu, które zniszczy państwo. Jakże nie lękać się o los rodu Habsburgów i „szczęśliwą” Austrię, jak nazwał goszczący mnie kraj? Na bardziej optymistyczny prognostyk niż w „Angielskim Wróżbicie” natrafiłem w „Warschauer Calen-der”, „Almanachu Warszawskim”:

*Oesterreich Wird die Letzte aufder Welt seyn.*

Jej włoska wersja brzmiała następująco:

*Austria będzie Jedynym państwem na świecie, które przetrwa.*

W początkach kwietnia zdarzyło się coś dziwnego.

Cesarz przebywał właśnie w kościele, gdzie został pochowany jego dobry przyjaciel książę Lamberg, nieodłączny kompan polowań i kobieciarz. Józef I zapytał jednego z towarzyszących mu ministrów, gdzie znajduje się płyta nagrobna Lamberga. Minister odparł: „Wasza Wysokość, dokładnie pod Waszymi stopami”. Młody cesarz zinterpretował te słowa jako zapowiedź własnej śmierci.

Cały Wiedeń opowiadał o niefortunnym epizodzie. Niektórzy porównywali go z *Praesagium Josephi propriae mortis*, biblijnym epizodem z Księgi Rodzaju, w którym patriarcha Józef przewidział własną śmierć i los swoich najbliższych, mówiąc: „Ja niebawem umrę, ale Bóg będzie czuwał nad wami i sprawi, że wrócicie do kraju waszych przodków”[\* Księga Rodzaju, 48, 21, Pismo Święte, Wydawnictwo Pallottinum (przyp. tłum.)]. Wspominano też o przepowiedni związanej z postacią Jakuba, albowiem wszystkim było wiadomo, że cesarzowi Ferdynandowi I przyśniło się, iż umrze w dzień św. Jakuba. Po mieście krążyły też inne ponure opowieści i prorocstwa, zaczerpnięte z Biblii, historii i legend.

Wróciłem do łóżka, rozmyślając o słowach, które powiedziała tego wieczoru *Chormeisterin*: proroctwo jest boskim darem mędrców.

*Godzina 23: cały Wiedeń pogrążony jest we śnie (w Rzymie zaczyna się haniebny handel)*

W końcu udało mi się zasnąć. W pewnej chwili usłyszałem ciche pukanie do drzwi.

- Kto tam?! - wykrzyknąłem po niemiecku, zrywając się z łóżka. Śniło mi się, że miałem lekcję z Ollendorfem. Wyrwany ze snu, powtórzyłem pytanie, które poprzedniego wieczoru zadał mi nauczyciel.

- Panie majstrze, to ja.

To był głos Simonisa. Zupełnie zapomniałem, że o północy umówiliśmy się z Daniłem Daniłowiczem, kolegą Greka z Pontevedre.

Po kilku minutach szliśmy ulicą. Było mi zimno i miałem ochotę wrócić do ciepłego łóżka. Na szczęście czekała na nas karetka, a właściwie odkryta kolasa, *Fliegenschutz*. Tego skromnego pojazdu używa się do podróży za miasto.

- Nasz Peniłek pracuje jako woźnica i w ten sposób zarabia na chesne - wyjaśnił Simonis, widząc moje zdziwienie.

Przypomniał, że uchwałą rektora *Bettelstudenten* mogliby trafić do uniwersyteckiego więzienia, gdyby przyłapano ich na pracy bez odpowiedniego zezwolenia, które nawiasem mówiąc, było bardzo trudno zdobyć.

- Peniłek pracuje u kogoś, kto ma zezwolenie?

- Trudno znaleźć regularne zatrudnienie, jak to, które pan łaskawie zaproponował mnie. Powiedzmy, że Peniłek pracuje... na lewo.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma pozwolenia na przewożenie osób i towarów? - zapytałem lekko zaniepokojony.

- Nie, oficjalnie nie ma.

- A więc pracuje nielegalnie. Jak to możliwe? Przecież w Wiedniu przeprowadza się surowe kontrole woźniców, którzy w dodatku zobowiązani są spisywać dane przewożonych osób.

- Tak, to prawda - przyznał Peniłek. - Na szczęście zdarzają się inspektorzy powiedzmy... tolerancyjni - podsumował, odwracając się do nas i mrugając porozumiewawczo.

- Peniłek - dodał Simonis - jest tolerowany przez władze, podobnie jak ci, którzy zapłacą „obola”. Wy tłumacz to panu majstrowi.

- A więc tak, panie majstrze - zaczął Peniłek, podczas gdy stara kolasa ze

skrzypieniem przemierzała opustoszałe ulice miasta pogrążonego we śnie. - Przed wszystkim nie figuruję wśród Kleinfuhrleute, czyli drobnych przewoźników osób, ani wśród GroBfuhrwerker, którzy zajmują się ciężkimi przewozami. Nie płacę więc podatków, nie obawiam się konfiskaty kolasy z końmi do przewozu członków dworu, gdy podróżują do Linzu, a w razie wybuchu wojny - dział. Nie mam obowiązku wywożenia śmieci ani śniegu zimą, nie muszę zajmować się dostarczaniem węgla. Jeżdżę tam, gdzie chcę. Od jakiegoś czasu ci od transportu ciężkiego zobowiązani są trzymać osiem koni i dysponować czterema wozami. Od ubiegłego roku należą do cechu drobnych przewoźników. Należałoby zatem ustalić, czy obowiązują ich reguły jednych czy drugich. Wszystko się skomplikowało. Nie mam zamiaru mieszać się do tego. Mam konika, cztery kółka i miejsce w powozowni niedaleko Ros-sau. Włożyłem w to trochę pieniędzy, ale w każdej chwili mogę wszystko sprzedać. Muszę mieć się na baczności, bo jeśli spowoduję wypadek albo złapią mnie na powożeniu po pijanemu, wlepią mi mandat i mogę mieć poważne kłopoty.

Mimo że nieśmiały, pomyślałem, Peniłek był bardzo zaradny.

- Aby zarobić na chesne - zwróciłem się do Simonisa - zatrudniłeś się u mnie, Peniłek pracuje jako woźnica, a Daniłowicz? Jest hrabią, więc z pewnością utrzymuje go rodzina.

- Zgadza się, jest hrabią. Należy do jednego z najznamienitszych rodów w Pontevedro, niewielkim państewku na skraju bankructwa. Pragnąc pomóc ojczyźnie, Daniło chciał się ożenić z jakąś bogatą wiedeńską wdówką, ale nie udało mu się.

- Okropne bigotki! - wykrzyknął Peniłek, kręcąc głową. - Powinien wyjechać do Paryża. Tam roi się od wesołych wdówek...

- Niestety, przez tę przeklętą wojnę jest to niemożliwe - wyjaśnił Grek. - Tak więc, aby związać koniec z końcem, znalazł sobie niezbyt szaczone zajęcie, jakim jest szpiegostwo.

Zadrzałem. Jak to? Kolejny tajny agent?

- Proszę się nie obawiać! - dodał Simonis. - Jest legalnym szpiegiem, autoryzowanym.

Poprzedni cesarz, Leopold I, ojciec Józefa I, ciągnął Grek, był człowiekiem pobożnym, prawym i przyzwoitym. Unikał wszelkiej przesady, wysoko cenił rozwagę, cierpliwość i oszczędność. Austria to kraj zamożny. Nawet najskromniejszy poddany żyje jak król. Aby nie pomylić arystokraty z robotnikiem, księcia ze stolarzem, a damy ze służącą, Leopold podzielił społeczeństwo na pięć klas. Ustalił, na jakie luksusy mogą sobie pozwolić, a jakie są zakazane. Podział nie obejmował arystokratów i kawalerów cieszących się specjalnymi przywilejami.

- Słyszałem o tym - wtrąciłem - ale odkąd jestem w Wiedniu, nikt nie zapytał mnie, do



której klasy należą.

- Cudzoziemców to nie obowiązuje. Wiedeńczycy natomiast podchodzą do tego bardzo poważnie.

Podział na pięć klas był tak szczegółowy, że Simonis przedstawił mi go jedynie pobieżnie. Pierwsza klasa obejmowała wysokich urzędników cesarskich i książęcych: funkcjonariuszy nadwornych, skarbników, urzędników cesarskich kopalni soli, lasów, stalowni, pracowników biur najmu *et cetera*. Do klasy drugiej należeli nieco skromniejsi poddani: doradcy finansowi, nadworni muzycy, kontrolerzy, garderobiani, cyrulicy, pisarze. W skład klasy trzeciej wchodził księgowi, kanclerze, zarządcy piwnic, tapiczerzy. Do czwartej sokolnicy, myśliwi, tragarze, strażnicy, nauczyciele, kucharze i urzędnicy niskiej rangi. Do piątej i ostatniej terminatorzy i niewykwalifikowani robotnicy.

Osoby należące do poszczególnych kategorii musiały przestrzegać dokładnych zaleceń dotyczących kwoty, którą można wydać na ubranie, jedzenie, rozrywki, na ślub i wesele, a nawet na pogrzeb.

Obywatele należący do pierwszej klasy nie mogli, na przykład, nosić złotej i srebrnej biżuterii, prawdziwych ani sztucznych pereł, broszek, guzików, galonów, sprzączek, sztyletów ani szpad, brokatów, haftów, futer gronostajowych, bobrowych, z rysia, z lisów, strusich piór i peruk. Zakazane było używanie perfum. Rękawy - bez skrzydełek. Kobiety - żadnych loczków ani sukien czy spódnic o wyrafinowanym kroju. Zakazano im korzystania z eleganckich karet, a z sań, gdy były skromne, bez ozdobnej snyderki. Na ulicy jedynie mężczyznom wolno było pokazywać się w towarzystwie sługi, ale tylko jednego. Przedstawiciele pierwszej klasy nie mogli czuć się wolni nawet w domu, obowiązywał bowiem całkowity zakaz używania wytwornych sztućców, tapiserii, obrusów, krzeseł, kosztownych zasłon czy luksusowych mebli. Nawet baldachim strzegący intymności małżeńskiego łoża musiał być uszyty z niedrogiej tkaniny. Na ucztę weselną, wina, kwiaty i muzykę nie można było wydać więcej niż sto florenów, a w przypadku proszonego obiadu - najwyżej dwadzieścia. Surowe reguły obejmowały również nieboszczyków: przysługiwało im dwanaście lamp pogrzebowych z białymi świecami, a konie przy karawanie nie mogły mieć zbyt ozdobnych czapraków.

Klasy drugiej dotyczyło więcej zakazów, klasy trzeciej jeszcze więcej i tak dalej. To cud, że przedstawiciele klasy piątej mieli prawo swobodnie oddychać.

- Nie rozumiem tylko, kto pilnuje wypełniania zakazów.

- To oczywiście: sami wiedeńczycy! A przede wszystkim studenci. Leopold powołał rodzaj straży, formację szpiegów, którzy wkradali się na śluby, przyjęcia, a nawet do

prywatnych domów, by sprawdzić, czy żaden obywatel nie łamie prawa. Daniło Daniłowicz był jednym z nich.

- Studenci, którym zawsze brakuje pieniędzy, a przy tym są bardzo bystrzy, najlepiej nadają się na szpiegów - stwierdził Simonis.

Jedna trzecia grzywny przewidziana dla danego wykroczenia trafiała do kieszeni autoryzowanego szpiega. Miał do tego prawo. Można zatem założyć, że będzie dobrze wypełniał swoje obowiązki. Nie było to jednak łatwe. Skąd szpieg mógł wiedzieć, czy suknia kosztowała trzydzieści, pięćdziesiąt czy sto florenów? Obowiązek donoszenia (pod groźbą kary) na klientów zamawiających stroje niedozwolone dla danej klasy spadł więc na hafciarki, krawców i kuśnierzy. Kucharze i służący odpowiedzialni za spiżarnie (zwani wściubinosami) denuncjowali swoich zbyt łakomych panów. Stolarze informowali o zamówieniach na luksusowe meble, sukiennicy o zakupach kosztownych tkanin, malarze o zleceniach na duże portrety. Przesadną okazałość karet sygnalizowali woźnice i pocztylioni.

Po pewnym czasie nie było w Wiedniu miejsca, gdzie nie czaiłby się szpieg. Obserwowali przechodniów, czy ich buty nie mają za wysokich obcasów, czy nie używają francuskiego pudru, czy nie za dużo mają sztucznych pieprzyków na lewym policzku. Szpiegomania spowodowała, że w kuchniach, w pracowniach krawieckich, w karetach patrzono na siebie krzywym okiem. Osoby szpiegowane (które zarazem same były szpiegami) zmuszone były zamykać spiżarnię na klucz, aby ukryć nielegalnego prosiaka, chować w piwnicy miękkie fotele, zakopywać w ogrodzie złote pierścionki. Zakazów było tyle, że trudno je spamiętać. W dni świąteczne klejnoty i fryzury mogły kosztować najwyżej sześćset florenów dla pierwszej klasy, trzysta dla drugiej, od dwudziestu do trzydziestu dla trzeciej, od piętnastu do dwudziestu dla czwartej i cztery kreuzery dla piątej. Prosty robotnik analfabeta z piątej klasy miał prawo do ręczników za nie więcej niż jednego florena i trzydzieści kreuzerów, szalików i czapek za jednego florena. Nie mógł zamawiać obiadów i uczt za więcej niż piętnaście florenów, a dla dzieci za pięć. Kto przepłacił choćby jeden cent, miał poważne kłopoty. W praktyce należało stale kontrolować wydatki nie tylko swoje, ale także sąsiadów. W przypadku popełnienia przez nich wykroczenia trzeba ich było zadenuncjować.

Leopold nie spodziewał się, że tym zarządzeniem zamieni życie poddanych w piekło. Prości wiedeńscy zorientowali się, że zyski ze szpiegowania nie rekompensują utraconej wolności. Tym bardziej że arystokraci, ministrowie, hierarchowie kościoła nie respektowali zakazów Leopolda i nadal objadali się, hucznie świętowali, stroili się i nosili długie, kędzierzawe peruki. Duży brzuch (symbol dostatku i splendoru) nadawał ich sylwetkom charakterystyczny gruszkowaty kształt.

- Jak zatem wytłumaczyć to - zaproponowałem - że w domach wieśniaków na przedmieściach, gdzie czyścimy kominy, widzieliśmy sztuce z kości słoniowej, talerze z przepięknej ceramiki, koronkowe obrusy i serwety, kryształowe kielichy, wyściełane fotele i piece ozdobione wspaniałymi dekoracjami? Nawet na wsi spizarnie są zawsze pełne, a z kuchni dobywają się cudowne zapachy.

- Ostatnio sytuacja uległa zmianie - oświadczył Simonis. Wiedeńczycy, zmęczeni szpiegowaniem, zaczęli przymykać oczy na wykroczenia sąsiadów. Pierwsze rozporządzenie Leopold wydał w 1659 roku, następne w latach 1671, 1686 i 1687. Co sprytniejsi obywatele obchodzili prawo w taki sposób, że sprzedawali luksusowe przedmioty pod inną nazwą.

- Jak się pan zapewne domyśla, wiedeńczycy odetchnęli z ulgą, gdy po pięćdziesięciu latach panowania cesarz Leopold zmarł. Społeczeństwo stało się bardziej tolerancyjne. Szpiegzy tacy jak Daniłó zarabiają teraz mniej. Nie mówiąc o tym, że Józef jest całkowitym przeciwieństwem ojca: uwielbia luksus, piękno i przepych.

- Skąd wiesz, że Daniłó to szpieg? Czy nie jest to tajne zajęcie?

- Nic nie umknie doświadczonemu oku studenta, panie majstrze.

- Nie jest to z pewnością zajęcie przynoszące zaszczyt Daniłowiczowi, tym bardziej hrabiemu, nawet jeśli jest biedny jak mysz kościelna - zauważyłem sceptycznie.

- Zgoda, ale on jest hrabią z Pontevedro, państwa leżącego w Pół-Azji, zapomniał pan? - odparł Grek z uśmiechem. - Podobnie jak ten ignorant pismak. Prawda, Peniłek, że jesteś półazjatyckim ignorantem? Przyznaj się!

Nieszczęsny Peniłek odwrócił się do nas i skinął głową.

- Jeszcze raz! I pokaż nam swoją radość! - wołał Grek. Peniłek usłuchał i zaczął kiwać głową z głupim uśmiechem.

- Tak, przypominam sobie, mówiłeś mi o Pół-Azji podczas otrzęsin - odparłem, patrząc z zakłopotaniem na pismaka, ale wstrzymałem się od komentarza. Zwyczajnie studenckie rzecz święta. - Mówiłeś, że kraje na granicy z Azją, jak Pontevedro, bardzo się różnią od europejskich.

- Łączą kulturę Europy z barbarzyństwem Azji - powiedział Grek poważnym tonem - zachodnią ambicję ze wschodnią indolencją, europejski humanizm z dzikością i okrucieństwem na tle etniczno-religijnym, panie majstrze, co dla nas, Europejczyków, jest nie tylko obce, ale także niezrozumiałe. Ludziom z tamtych stron nie można ufać. No, dość tego gadania. Jesteśmy na miejscu.

Wysiedliśmy z kolasy, weszli po kamiennych schodach i znaleźli się na rozległym placu, ograniczonym murami górującymi nad równiną Glacis.

- Często się tutaj spotykamy... Dziwne, jeszcze go nie ma - powiedział Simonis, rozglądając się. - Na ogół Daniło jest bardzo punktualny. Zaczekajcie! Pójdę go poszukać.

Na miejsce spotkania Daniłowicz wybrał ustronne miejsce na murach obronnych. Nocami odbywał się tu nielegalny handel, żołnierze z miejskiego garnizonu pod osłoną ciemności upijali się tanim winem lub zabawiali z kobietami lekkich obyczajów. Tego wieczoru wiał lodowaty wiatr i nie było widać ani żołnierzy, ani prostytutek.

Minął kwadrans, a Simonis nie wracał. Cóż, do licha, mogło się stać? Już miałem zacząć go szukać, gdy usłyszałem zdławiony głos mojego pomocnika.

- Panie majstrze! Panie majstrze! Niech pan tu podojdzie, prędko! Podbiegłem.

- Och, mój Boże! - jęknąłem, gdy zorientowałem się, że ta ciemna plama nieokreślonego kształtu na tarasie bastionu to ciało człowieka. Po rysach twarzy rozpoznałem młodego Daniła Daniłowicza. - Co się stało? - zapytałem, drżąc na myśl, że wplątałem się w morderstwo.

- Został zasztyletowany, panie majstrze. Proszę spojrzeć! - powiedział Simonis, rozsuwając poły jego płaszcza. - Dostał co najmniej dwadzieścia ciosów.

Nie poruszyłem się. Simonis wyjął z kieszeni buteleczkę z jakimś płynem i zbliżył ją do nosa Daniłowicza.

- Sprawdzam, czy kichnie. To sok z ruty. Jeśli kichnie, rany nie są śmiertelne, jeśli nie zareaguje, nic nie da się zrobić.

Młodzieniec nie poruszył się.

- Mój Boże! - jęknąłem.

- Pssst! - uciszył mnie Grek.

Daniło coś mówił, a właściwie rzeził. W zimnym powietrzu jego oddech zamieniał się w parę, jakby z ust studenta uchodziła dusza.

- Zivio... Zivio...-bełkotał.

- To pontevedrowskie pozdrowienie - wyjaśnił Simonis. - Majaczy.

- Jabłko, złote jabłko... czterdzieści tysięcy Kasima - powiedział student.

- Kto ci to zrobił? - zapytałem.

- Pozwólmy mu mówić, panie majstrze - przerwał mi Simonis.

- ...krzyk czterdziestu tysięcy męczenników - wybełkotał Daniło. Wymieniłem spojrzenie z Simonisem. Daniłowicz umierał.

- Jabłko... Simonis, złote jabłko... Wiedeń i papież... Złote jabłko... Tam się zobaczymy...

Słowa te zabrzmiały jak pożegnanie.

Greki nie dali za wygraną i zaczął szarpać konającego:

- Daniło! Wytrzymaj! Kto mówił o złotym jabłku? Co to znaczy czterdzieści tysięcy Kasima?

Daniłowicz nie odpowiedział. Po chwili usłyszeliśmy:

- Krzyk... czterdziestu tysięcy, w każdy piątek... złote jabłko w Konstantynopolu... Wiedniu... Rzymie... Znalazł je Eyyub.

Po tych słowach przestał oddychać. Otworzył oczy, jakby ujrzał jakąś niebiańską wizję. Jego głowa, którą podtrzymywaliśmy przejęci współczuciem, opadła bezwładnie na bok. Simonis zamknął zmarłemu powieki.

- Mój Boże! - jęknąłem. - Jak go stąd wyniesiemy?

- Musimy go tu zostawić, panie majstrze. Jeśli go zabierzemy, zatrzymają nas strażnicy i będą kłopoty - oświadczył Simonis, wstając.

- Nie możemy... Pogrzeb... - zaprotestowałem głęboko poruszony.

- Jutro zajmą się nim żołnierze z garnizonu, panie majstrze. Nocami studenci upijają się, wszczynają bójkę. Zdarza się, że rano znajduje się ich martwych.

- Trzeba powiadomić rodzinę...

- Daniło nie miał nikogo, panie majstrze. Umarł i nic nie możemy na to poradzić - powiedział Simonis, popychając mnie przed sobą w dół po schodach bastionu.

Tymczasem wiatr wiał coraz silniej. Nad Wiedniem zaczął prószyć śnieg.

Niedziela

*12 kwietnia 1711 roku Dzień czwarty*

Pod śnieżnym całunem Bezimienne Miejsce wyglądało jak pogrążony we śnie olbrzym. Kiedy przemierzałem rozległy ogród otoczony murem z sześciobocznymi wieżami, wokół w wielkiej ciszy tańczyły miriady białych płatków. Wiatr ustał. Pinakle wież podobnych do minaretów zdobił biały puch i nadawał im fantastyczne formy.

Oślepiiony rażąco białą kamienia fasady pałacu, wzmocnioną blaskiem śniegu i mlecznego nieba, musiałem zasłonić oczy dłońmi. Skręciłem w prawo, minąłem *maior domus* i znalazłem się na dziedzińcu głównym. Następnie zszedłem po krętych schodach prowadzących do zagrody z dzikimi zwierzętami.

Śnieg ciągle padał, wszystko wokół błyszczało jak w raj. Nawet drzewa z bezlistnymi gałęziami przypominającymi pazury wydawały się drzemać zadowolone pod puchową pierzynką. Schodząc po schodach, spojrzałem przez okno na staw w ogrodzie, w północnej części Neu-gebau, pokryty cienką warstwą lodu, połyskującego jak masa migdałowa i kruchego jak biszkopt.

Stałem przy zagrodzie z lwami, gdzie czekał na mnie Frosch.

- Mustafa uciekł - oznajmił na mój widok. - Był na stadionie i nagle zniknął.

Byłem zaskoczony tą wiadomością. Poprosiłem Froscha, żeby zaprowadził mnie na stadion. Pomyślałem, że za dużo wypił i zapomniał, gdzie zostawił swojego ulubieńca.

- To tutaj.

Wskazał ręką latający statek, stojący pośrodku stadionu. W zamieszaniu kilku ostatnich godzin niemal zapomniałem o jego istnieniu.

Spojrzałem pytająco na Froscha. Przecież lew nie mógł tak po prostu zniknąć!

Strażnik Bezimiennego Miejsca bez słowa wskazywał palcem stary statek powietrzny (ciekawe, czy naprawdę kiedyś latał?). Postanowiłem się rozejrzeć.

Obszedłem statek dokoła, ale niczego nie znalazłem. Na śniegu rzeczywiście były ślady łap starego lwa. Znikały w miejscu, gdzie się znajdowałem - przy skrzydle. Wspiąłem się na nie, wszedłem na pokład i wtedy się zaczęło.

Najpierw poczułem lekkie kołysanie, potem narastające drgania. Ogon i skrzydła latającego statku zatrzęsły się, a cała drewniana struktura za-kołysała z głośnym skrzypieniem. Nieoczekiwanie vibracje ustały.

Frosch nie wydawał się zaskoczony, że statek unióśł się w powietrze.

Odruchowo przytrzymałem się drewnianej poręczy i spojrzałem w dół. Zobaczyłem oddalające się mury stadionu i dach Bezimiennego Miejsca. Nade mną otwierał się przestwór nieba, niczym bramy raj. Ze wszystkich stron otaczał mnie nieokreślony blask. Usłyszałem skrzypienie steru. Odwróciłem się i go ujrzałem. Czarny sternik patrzył przed siebie, pewną ręką prowadząc żaglowiec pośród obłoków. Po chwili porzucił ster, który poruszał się teraz sam, jakby kierował nim niewidoczny duch. Sternik pochylił się, a kiedy się wyprostował, w rękę miał skrzypce. Zręcznie poruszając smyczkiem, wydobył znane mi dźwięki. Rozpoznałem w nim skrzypka Albicastro, którego przed wielu laty poznałem w willi zwanej Okrętem. Grał swoją ulubioną folię zbliżoną charakterem do sarabandy.

A więc gazeta, którą dał mi Frosch, nie kłamała. Przed dwoma laty stary statek także latał, zahaczając o dzwonnice katedry św. Szczepana, a dokładniej pinakiel zwieńczony złotym jabłkiem. Tajemniczym sternikiem był Giovanni Henrico Albicastro, Latający Holender. Ten sam, którego ujrzeliśmy z Attem Melanim, gdy unosił się w czarnej pelerynie nad blankowymi murami rzymskiej willi.

Patrzyłem na ogrody Neugebau, zaśnieżoną równinę Simmering, dalekie dachy Wiednia i iglicę katedry, słuchając dźwięków folii. Albicastro uśmiechał się do mnie porozumiewawczo. Właśnie miałem go objąć, gdy poczułem silne drzenie i usłyszałem

głuchy, groźny pomruk. - Mogłem się tego spodziewać, że tutaj się ukrył - powiedziałem, wiedziony intuicją. Odwróciłem się i poczułem na twarzy gorący oddech. Mustafa ryknął raz, drugi i trzeci, machnął łapą i rozorał mi pazurami policzek. Krzyknąłem z przerażenia i obudziłem się.

Leżałem w mokrej od potu pościeli, z twarzą gorącą jak oddech Mustary, a dłońmi i stopami zimnymi jak lód. Bezimienne Miejsce absorbowało nie tylko moje myśli, ale także sny. Kryło w sobie tajemnice, których nie można objąć rozumem.

Cloridia z synkiem wstali wcześniej. Nie było ich w pokoju. Z pewnością czekali, aż się obudzę, abyśmy razem poszli na mszę. Bogu dzięki! Modlitwa i komunia ostatecznie uwolnią mnie od koszmarów.

*Godzina 5.30: pierwsza msza. Zaczynają bić dzwony. Przez cały dzień będą obwieszczwały msze, procesje, modlitwy. Otwierane są gospody i piwiarnie*

Kiedy szykowałem się do wyjścia, usłyszałem ciche pukanie i ktoś dyskretnie wsunął pod drzwi bilecik. Atto pilnie mnie wzywał na poranną mszę do kościoła Św. Agnieszki przy klasztorze Porta Coeli.

W wyniku niespodziewanego opadu śniegu (w Wiedniu rzadkie zjawisko) miasto przykrył biały miękki całun jak w moim śnie. Całą rodziną wyszliśmy z klasztoru i udali się w kierunku ulicy Rauhenstein, czyli Surowego Kamienia, przy której znajdował się kościół Św. Agnieszki. Atto i Domenico siedzieli w ławkach u wylotu nawy głównej. Zauważyłem, że choć opat ubrał się inaczej niż poprzedniego dnia, jego strój nadal był czarno-zielony. Widocznie cała garderoba Melaniego utrzymana była wyłącznie w tych dwóch kolorach.

Zziębnięci wskutek nagłego spadku temperatury, zajęliśmy miejsca w ławkach po lewej stronie.

- Dzisiaj obchodzimy pierwszą niedzielę po Wielkiejnocy, zwaną białą niedzielą lub *quasi modo geniti* - oznajmił kapłan. - Wysłuchamy fragmentu *Ewangelii według świętego Jana*, w którym jest mowa o niewiernym Tomaszu.

Nie mogłem przestać myśleć o śmierci Daniła. W nocy, po powrocie do klasztoru, wszystko dokładnie opowiedziałem Cloridii. Obydwoje bardzo przeżyliśmy to straszliwe zdarzenie. Ostatnie słowa studenta pozwalały przypuszczać, że morderstwa dokonali Turcy. Przemawiało za tym również to, że Daniłowicz miał nam dostarczyć wiadomość o tajemniczym złotym jabłku.

- Dzisiaj - ciągnął kapłan - kończą się obchody Męki Pańskiej, Śmierci na Krzyżu i Zmartwychwstania naszego Pana Jezusa Chrystusa, zainicjowane przed trzema tygodniami w czarną niedzielę, zwaną *judica*, kiedy, jak podaje *Ewangelia według świętego Jana* w ustępie

ósmym, Żydzi chcieli ukamienować cudzołożnicę. Następnie mieliśmy Niedzielę Palmową, kiedy, jak czytamy w dwudziestym pierwszym ustępie *Ewangelii według świętego Mateusza*, odbył się uroczysty wjazd Jezusa do Jerozolimy. W ubiegłą niedzielę natomiast, z okazji Wielkiejnocy, czytaliśmy opowieść o Zmartwychwstaniu Naszego Pana, którą pozostawił nam święty Marek. W poniedziałek wielkanocny czytaliśmy dwudziesty czwarty ustęp ze świętego Łukasza o uczniach z Emaus, a we wtorek kolejną radosną opowieść.

Co znaczyły słowa wypowiedziane przez Daniła w chwili śmierci? Czy były jedynie niejasnymi aluzjami do tego, co już wiedziałem? Czy jakąś tajemniczą klątwą, którą rzucili na niego zabójcy, zanim go zamordowali? Martwiliśmy się z Cloridią, że ktoś mógłby powiązać mnie i Si-monisa ze śmiercią Daniła, a wtedy groziłby nam proces.

- Nie bez powodu cztery przyszłe niedziele noszą nazwy wyrażające radość i nadzieję: Misericordia, Jubilate, Cantate i Rogate. Nie zapominajcie o cudzie przebaczenia i miłości, jaki przed wiekami wydarzył się w tym klasztorze i do którego nawiązuje nazwa Himmelpforte, Brama Niebios, po łacinie Porta Coeli. Kiedy siostra dozorczyńi zeszła na złą drogę i uciekła ze swoim spowiednikiem, jej miejsce zajęła Najświętsza Panienka, przyjmując jej wygląd. Przeorysza zauważyła zamianę dopiero wtedy, kiedy skruszona grzesznica wróciła. Najświętsza Panienka objawiła się, pobłogosławiła grzesznicę i zniknęła na oczach oszołomionych zakonnice. Radujcie się i pokładajcie ufność w miłosierdzie Najwyższego! - zakończył ksiądz.

Słusznie, nie należy tracić nadziei, pomyślałem, wsłuchany w słowa dobiegające z ambony. Jak do tej pory nikt nas nie poszukiwał. Jeśli dobrze pójdzie, jak zakładał mój pomocnik, śmierć Daniła Daniłowicza zostanie uznana za wynik bójki między pijanymi studentami lub porachunków przestępców. Pogrzebem zajmie się zapewne któreś z bractw miłosierdzia.

W czasie mszy Atto poprosił Domenica, by rozejrzał się dookoła. Najwyraźniej kogoś szukał, a ja doskonale wiedziałem kogo. W końcu zwrócił się do mnie.

- Przyszła?

- Kto? - odpowiedziałem pytaniem, udając, że nie wiem, kogo miał na myśli.

- Jak to kto? Palffy, do licha! Od jednej z zakonnice Domenico dowiedział się, jak wygląda. Powiedziała nam też, że często przychodzi do kościoła świętej Agnieszki na pierwszą mszę. Żadna z obecnych tu kobiet nie odpowiada jednak opisowi.

- Nie potrafię panu pomóc, panie Atto - odparłem, podczas gdy ktoś z tylnej ławki zaczął nas uciszać, narzekając na gadulstwo Włochów.

Spojrzałem w górę. W emporyze siedziały zakonnice, siostry laickie natomiast



znajdowały się na końcu nawy głównej. Dostrzegłem *Chormai-sterin*, która klęczała pogrążona w żarliwej modlitwie, spoglądając to na krucyfik, to na posąg Najświętszej Pani od Porta Coeli. Kiedy uważniej przyjrzałem się Camilli, zauważyłem, że jej ramiona drżą, jakby wstrząsane płaczem. Poprzedniego wieczoru była bardzo zdenerwowana. Cloridią również spostrzegła, że *Chormaisterin* płacze. Spojrzała na mnie pytająco, ale nie potrafiłem udzielić jej odpowiedzi. Nie miałem pojęcia, co mogło wytrącić z równowagi naszą przyjaciółkę.

Po mszy Atto z Domenikiem czekali jeszcze przez chwilę na kochankę cesarza, a raczej na młodą kobietę, która odpowiadałaby opisowi zakonnicy.

Domenico zasugerował, że być może Marianna Palffy weźmie udział we mszy o dziewiątej trzydzieści, przeznaczonej dla arystokratów, w katedrze świętego Szczepana. Postanowiliśmy udać się tam później, w nadziei, że dopisze nam szczęście.

Ponieważ mieliśmy sporo czasu, pozostaliśmy w kościele przyklasztornym. Oboje z Cloridią szukaliśmy wzrokiem Camilli, pragnąc z nią porozmawiać i dowiedzieć się, czym się martwi. Następnie z Attem i jego bratankiem poszliśmy do dyrektorki szkoły dyskretnie wypytać ją o Mariannę Palffy.

- Siostra Strassoldo? - zapytał Atto po włosku, jako że zakonnica miała włoskie nazwisko.

- Von Strassoldo - odparła cierpko zakonnica, kobieta w średnim wieku, chuda, z niebieskimi, zimnymi oczami.

Atto zmieszał się. Pominięcie patronimiku von, oznaczającego arystokratyczne pochodzenie, nie było dobrym początkiem rozmowy.

- Proszę o wybaczenie...

- Wybaczam panu i sama też o to proszę. Mam dużo pilnych spraw i nie mówię po włosku. Jestem pewna, że *Chormaisterin* we wszystkim panu pomoże - powiedziała krótko von Strassoldo i odeszła.

Atto i Domenico zaniemówili ze zdumienia. Poczuli się upokorzeni, rozmowie przysłuchiwało się bowiem kilka innych zakonnicy. Szorstkiej dyrektorki szkoły nie było stać na uprzejmość nawet w stosunku do ślepego.

- Panie opacie - szepnąłem Melaniemu do ucha, kiedy zakonnice oddaliły się. - Tutaj ludzie zachowują się inaczej niż we Włoszech czy Francji. Jeśli nie mają ochoty na rozmowę, stają się opryskliwi.

- Dajmy temu pokój! - przerwał mi poirytowany Atto. Doskonale zrozumiałem: Ta głupia gęś wstydzi się swojego włoskiego pochodzenia i nie chce mieć nic do czynienia z

rodakami. Ludzie jej pokroju nie przyznają się do swoich korzeni. Podobnie jak Habsburgowie i Pierleoni.

Drugie nazwisko było mi zupełnie nieznanne. Nie wiedziałem też, jaki miało związek ze słynnym cesarskim rodem Habsburgów.

- Nie słyszałeś o Pierleonich? - spytał Atto z szyderczym uśmiechem.

Według oficjalnej historiografii, wyjaśnił, cesarstwo Habsburgów powstało na gruzach imperium rzymskiego, zniszczonego w wyniku najazdów Gotów i Longobardów. Karol Wielki, obdarzony niezwykłą odwagą, przepędził Longobardów z Italii i został obwołany cesarzem rzymskim. Dzięki niezłomności Ottona Wielkiego nazwa, insygnia i posiadłości imperium rzymskiego przeszły na własność Germanów i od tej pory należą do austriackich Habsburgów, wskrzeszonego rodu starożytnych cesarzy.

Takie bzdury opowiadają historycy - syknął Atto, rzucając wrogie spojrzenie (a przynajmniej takie odniosłem wrażenie) w stronę Strassol-do - żeby nie mówić o prawdziwych początkach Habsburgów.

Dzieje habsburskich cesarzy sięgają panowania Rudolfa I, który zasiadł na tronie w roku pańskim 1273. Co do tego wszyscy są zgodni.

- Nikt nie wie jednak - powiedział opat Melani - co wydarzyło się przedtem.

Zdaniem niektórych uczonych ród Habsburgów wywodzi się od niejakiego Guntrama, którego syn w 1000 roku wznosił zamek o nazwie Has-burg, późniejszy Habsburg. Inni badacze wskazują na Ottoberta, panującego około 654 roku. Jeszcze inni na Aeganusa, majordomusa króla Francji, ożenionego z Gerberą, córką świętej Gertrudy.

Kolejni erudyci protestowali: ależ skąd! Habsburgowie wywodzą się z dynastii Merowingów. Książę Sigibert, syn Dietricha z Austrazji, w 630 roku otrzymał od króla Francji hrabstwo Alemanów, a następca Sigiberta II przypisał sobie tytuł hrabiego Habsburga. Od jego syna Paba z Alzacji, po dziewiętnastu pokoleniach, wywodził się Rudolf I.

To nedorzeczność, grzmią bardziej światli uczeni, Habsburgowie pochodzą od Adama.

Zdaniem badaczy ciąg dynastyczny (obejmujący królów Babilonii, Troi, Sugambrow, królów i hrabiów Franków, królów Galii i Austrazji, książąt Alzacji i Alemanii, hrabiów Habsburga i Ergau) był jasny i prosty jak słońce, choć trzeba było mieć dużo cierpliwości, by prześledzić go do końca: Adam, Set, Enosz, Kain, Mahalaleel, Jareb, Enoch, Matuzalem, Lamek, Noe, Hus, Nemrod, Kres, Koeliusz, Saturn, Jupiter, Dardan I, Erychtoniusz, Tros, Hus, Laomedont, Antenor I, Markomir I, Antenor II, Priam I, Helen, Diokles, Bassan,

Kladodiusz I, Nikanor, Markomir II, Klodiusz, Antenor III, Estomir II, Merodach, Kassander, Antariusz, Frank, Klodiusz, Markomir III, Chlodimir, Antenor IV, Rateriusz, Richi-mer, Odemar, Markomir IV, Chlodimir IV, Farabert, Hun, Hilderyk, Kwaterus, kolejny Klodiusz, Dagobert, Genebald, kolejny Dagobert, Fa-remond, jeszcze jeden Klodiusz, Meroweusz, Childeryk, Chlodoweusz Wielki, Chlotar, Sigibert lub Sigebert, Childebert, Teodebert, kolejny Si-gibert, jeszcze jeden Sigibert, Ottbert, Bebo, Robert, Hettopert, Rampert, Gunstram, Luithard, Luitfryd, Hunifryd, kolejny Gunstram lub Gun-thram, Belzos, Rapat, Werner, Otton, kolejny Werner, Albert Boski, Albert Mądry, wreszcie Rudolf I.

Niektóre imiona występowały kilkakrotnie, zapisane na różne sposoby (Bebo czy Pabo? Gunstram czy Gunthram? Sigibert czy Sigebert?). Zantagonizowani uczeni byli tak zmęczeni dociekaniem, że złożyli broń.

Niemniej kilku zawziętych historyków zaprotestowało. Czyż Rudolf I nie pochodził od Alberta Mądrego, potomka Alberta Pierleoniego, hrabiego Monte Aventino, przedstawiciela znakomitego rodu rzymskiego? Po przeniesieniu się z Rzymu do Szwajcarii Alberto Pierleoni poślubił córkę Wenera, ostatniego hrabiego Habsburga, tworząc nową linię dynastyczną habsbursko-pierleńską. Rzymski ród wywodził się od Leona Aniciusa Pierleoniego, zmarłego willi roku, w którego żyłach płynęła szlachetna krew, był bowiem potomkiem rzymskiego cesarza Flawiusza Aniciusa Olibriusza.

- Niestety, teoria pochodzenia od Pierleonich, niezwykle popularna za panowania Leopolda I, ojca Józefa I, nie była powodem do chluby - stwierdził szydlerczo Atto, który nadal czuł się dotknięty nieuprzejmością siostry Strassoldo.

Zamożny i wpływowy ród Pierleonich splamił się, jak zauważyli badacze, kilkoma niecnymi uczynkami. Należący do niego kardynałowie, biskupi, także zachłanni kupcy i pozbawieni skrupułów bankierzy sami finansowali Stolicę Apostolską, a potem zarzucali symonię\*[\* Symonia - kupowanie i sprzedawanie godności kościelnych; świętokupstwo (przyp. red.).] i szantażowali. Jeden z Pierleonich, papież o imieniu Grzegorz VI, w 1045 roku kupił urząd papieski od swojego poprzednika Benedykta IX. Powiadomiony o tym cesarz Fryderyk III przybył do Włoch, zmusił Grzegorza VI do dymisji i skazał go na wygnanie do Niemiec, gdzie był papież zmarł, otoczony powszechną pogardą.

W roku 1130 kolejny Pierleoni został papieżem o imieniu Anaklet II, ale w dniu jego elekcji intronizowano też innego kardynała jako papieża Innocentego II. Rezultatem podwójnej elekcji była schizma, która przez osiem lat dzieliła świat chrześcijański (Anaklet II skłócił się z pięcioma innymi papieżami). Co więcej, zdaniem niektórych badaczy Pierleoni (podobnie jak wiele średniowiecznych rodów rzymskich mieli prywatną armię,

ufortyfikowane zamki w miastach i prowadzili regularne wojny z rywalami) w rzeczywistości byli Żydami. Ich praszczur, niejaki Baruch, był Judejczykiem nawróconym na chrześcijaństwo. Legenda o tym, że niektórzy papieże byli Żydami, opiera się więc na prawdziwej historii rodu Pierleonich. Cesarz Leopold I nie lubił Żydów i zesłał ich do wiedeńskiego getta na drugim brzegu Dunaju, na Wyspę Leopolda, gdzie podczas oblężenia w 1683 roku Turcy stanęli obozem.

- Krótko mówiąc - podsumował Atto ze śmiechem, biorąc mnie pod ramię - ze znakomitego rzymskiego rodu wywodzą się nie tylko Habsburgowie, ale także papieże, których nigdy w Wiedniu nie lubiano, Żydzi, niechętnie widziani przez Leopolda I, oraz Włosi, niemili wszystkim, czego dowodem jest ta głupia Strassoldo.

Tymczasem przybyła Camilla de' Rossi. Cloridia podeszła do niej i obydwie wdały się w rozmowę z kilkoma uczennicami. Razem z Attem zbliżyliśmy się do nich w chwili, gdy moja małżonka odpowiadała na pytania nowicjuszek, żywo zainteresowanych nami, Włochami przybyłymi do Wiednia z dalekiego Rzymu. Camilla tłumaczyła z włoskiego na niemiecki i odwrotnie.

Dziewczęta (wszystkie z doskonałych rodzin i o nienaganych manierach) wypytywały o Rzym, zabytki, papieża i jego dwór, jak również o naszą przeszłość. Z lekkim niepokojem słuchałem Cloridii, która musiała ukryć hańbiące piętno zawodu uprawianego w młodości.

- Niewiele pamiętam z dzieciństwa - odparła. - Moja matka była Tur...

Atto drgnął i mocniej ścisnął mnie za ramię.

- Wystarczy, moje miłe! - powiedziała Camilla. - Czas wracać do obowiązków.

Gdy nowicjuszki odeszły, Camilla wzięła pod rękę Cloridię i wyjaśniła, dlaczego tak nagle ucięła rozmowę.

- Kilka lat temu kardynał Collonitz ochrzcił w pobliskim kościele świętej Urszuli przy Johannesgasse młodą turecką niewolnicę, należącą do hiszpańskiego porucznika Gerolama Giudiciego, po czym przysłał ją do naszej szkoły. Zakonnice ostro zaprotestowały, ponieważ przyjmowały do klasztoru wyłącznie dziewczęta z arystokratycznych rodów. Siostry obawiały się, że Porta Coeli straci dobre imię. Giudici nalegał. Sprawa dotarła do cesarza i członków konsystorza, którzy przyznali rację zakonnicom. Młoda Turczynka musiała opuścić szkołę.

W rzeczywistości nieszczęsna dziewczyna bardzo się bała, że zostanie zamknięta w klasztorze, ciągnęła Camilla. Obawiając się, że Giudici prędzej czy później dopnie swego, po prostu uciekła. Natychmiast wszczęto poszukiwania, ale do dziś nie wiadomo, gdzie się schroniła.

- Rozumiecie zatem, drodzy przyjaciele - zakończyła Camilla - że pewnych tematów nie należy poruszać.

Collonitz. To nazwisko nie było mi obce. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie je słyszałem. W każdym razie zrozumieliśmy jedno: gdyby w Porta Coeli dowiedziano się, że Clordia jest córką tureckiej niewolnicy, musielibyśmy opuścić klasztor.

Kwadrans później, kiedy Clordia była już w pałacu, udaliśmy się z Attem i Domenikiem do katedry świętego Szczepana, na poszukiwanie Palffy.

W katedrze panowała zupełnie inna atmosfera niż w kościele świętej Agnieszki. Warto zauważyć, że w zwykłych niesporach o trzeciej po południu brała udział garstka staruszek i kilku żebraków, natomiast podczas porannych mszy w niedzielę panował nieopisany tłok. Niekiedy trzeba było chodzić od kościoła do kościoła, żeby znaleźć miejsce.

Na placu przed katedrą, połyskującym od świeżego śniegu, stał jeden z typowych żebraków, których można codziennie spotkać przed każdym wiedeńskim kościołem. Miał na sobie błękitną sutannę, z przywiązany do pasa kubkiem na jałmużnę. Na widok przechodzącej osoby potrząsał nim, domagając się datków. Kiedy zbliżaliśmy się do katedry, podskoczył jak oszalały i zaczął głośno krzyczeć, ku przerażeniu Atta i Domenica:

- Zaraz będzie błogosławieństwo! Zaraz będzie błogosławieństwo! Przed chwilą zakończył się różaniec z godziny dziewiętej i ksiądz błogosławił wiernych. Rzeka ludzi ruszyła do katedry, ślizgając się na śniegu i porywając także nas. W jednej sekundzie posadzka kościoła zabrudziła się od śniegu i błota wniesionego na butach. Nieliczne osoby, które brnąc przez śnieg, minęły katedrę, żebrak obrzucił przekleństwami i obelgami.

- Jak widać, w Wiedniu rzeczywiście świętuje się niedziele - stwierdził Atto, kiedy znaleźliśmy się w środku. Otrzeptał buty ze śniegu, a bratanek poprawił mu kapelusz i pelerynę, potarmoszoną przez tłum.

- Nie tylko niedziele - uściśliłem z uśmiechem, doprowadzając do ładu własne ubranie. - Każdego dnia tylko w katedrze Świętego Szczepana odprawia się osiemdziesiąt mszy i trzy różańce. Franciszkanie celebrować trzydzieści trzy msze dziennie, a w kościele Świętego Michała jest jedna msza co kwadrans.

- Codziennie? - zdziwili się Atto i Domenico.

- Dla rozrywki dokonałem obliczeń - odparłem - z których wynika, że w ciągu roku u świętego Szczepana odprawia się czterysta nabożeństw pontyfikalnych, blisko sześćdziesiąt tysięcy mszy, ponad tysiąc różańców i udziela się około stu trzydziestu tysięcy komunii.

Nie licząc błogosławieństw - oznajmiłem zdumionym rozmówcom. - Ponieważ udzielano ich we wszystkich miejskich kościołach i kaplicach, władze zwróciły się do

duchownych z prośbą, by ustalili porządek błogosławieństw, żeby oszczędzić ludziom biegania od jednego kościoła do drugiego.

W katedrze celebrowano uroczystą mszę przed dwunastoma ołtarzami jednocześnie. Gdzie też ukryła się Marianna Palffy, zakładając, że w ogóle przyszła? Mieliśmy przed sobą niełatwe zadanie.

Idąc wzdłuż nawy głównej, rozglądałem się uważnie. Arystokraci i ministrowie w pudrowanych perukach odwracali się tyłem do ołtarza, częstowali tabaką, czytali listy, rozmawiali o wydarzeniach opisanych w prasie. Oparci o kolumny między nawami, przyglądali się innym, wymieniali opinie o modzie, spoglądali ukradkiem na piękne kobiety. W ogromnej katedrze mogli czuć się swobodnie. Słyszałem, jak umawiano się „przy ołtarzu ladacznic” albo „pod latarnią”, „przy placu Florenów, „uliczce panienek”, „bastionach”. Nieprzyzwoite aluzje wynikały z tego, że na msze przychodziły również kobiety lekkich obyczajów. Nieszczęśni księża, zakłopotani ich obecnością, próbowali zakazać im wstępu do świątyni, ale bez powodzenia.

Szczególnie ulubiły sobie nabożeństwo o wpół do jedenastej w kościele Kapucynów, nazywane „mszą dziwek”. W „mszy obiboków” u świętego Szczepana o jedenastej masowo uczestniczyły osoby, oględnie mówiąc, migające się od pracy.

Prostytutki nie były jedyną plagą katedry. Przychodzili tu także, jak tego ranka (choć była to niedziela *in albis*), wieśniacy i wieśniaczki z prosiętami pod pachą, z koszami pełnymi kurczaków, gęsi i kaczek. Leniwi szlachcice kazali się nieść pod ołtarz w lektykach i słuchali nabożeństwa rozparci w nich.

Uroczystości kościelne przypominały wielkie i hałaśliwe targowisko.

Jego Cesarska Wysokość powołał specjalnych komisarzy, którzy karali grzywną osoby zakłócające mszę rozmowami lub nieprzyzwoitym zachowaniem. Dochód z mandatów przeznaczony był na wspieranie najuboższych. Na niewiele się to zdało. Jak donosiły okólniki konsystorza, w katedrze świętego Szczepana ludzie nadal rozmawiali, dyskutowali, przeklinali, bluźnili, chodzili tam i z powrotem, pili alkohol, handlowali, kpili, lżyli i drwili z tych, którzy prosili o zachowanie ciszy.

Po mszy wyszliśmy na zewnątrz. Obserwowaliśmy strumień wiernych opuszczających kościół.

- Domenico - powiedział Atto - mimo zimna chciałbym...

- Chwileczkę, stryju.

Bratanek Atta Melaniego wspiał się na palce. Wyciągając szyję, przyglądał się grupce trzech dziewcząt, a w szczególności jednej z nich, bardzo wysokiej, z rudymi włosami

wystającymi spod kapelusza, zbyt lekkiego jak na tak chłodny dzień.

- To ona, stryju. Myślę, że to ona. Wraca do domu.

- Idźmy za nią, do licha! Chłopcze, chodź z nami! - powiedział Mela-ni, zwracając się do mnie.

Dziewczęta skierowały się ku ulicy Karynckiej i dołączyły do przechodniów zdążających do centrum Wiednia. Szliśmy za nimi w pewnej odległości, świadomi, że stanowimy dziwaczne trio: ślepy starzec, mężczyzna wzrostu karła i młody kawaler.

- Podejdz do niej, przedstaw się i daj jej list - nakazał bratankowi Atto.

- List? - zdziwiłem się, bo miałem na myśli list, w którym Eugeniusz informował Francuzów, że gotów jest zdradzić cesarza.

- Bilecik od dwóch włoskich kawalerów.

Po chwili nadarzyła się odpowiednia okazja, dziewczęta bowiem zatrzymały się, by przywitać się z jakąś starą zakonnica, która niebawem poszła dalej. Domenico podszedł do nich i złożył im uprzejmy ukłon. Był przystojnym młodzieńcem, o ujmującym sposobie bycia. Powiedział pewnie coś miłego, gdyż zatroskana twarz Palffy natychmiast rozpogodziła się. Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Domenico sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął bilecik Atta.

W pobliżu dał się słyszeć znajomy odgłos. Po chwili do dziewcząt i Domenica podjechała piękna dwukonna karetka. Hrabianka odpowiedziała skinieniem głowy na powitanie woźnicy, który zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki. Opowiedziałem Melaniem całą scenę.

- A bilecik? Dał jej bilecik? - pytał zniecierpliwiony Atto, pochylony do przodu, niczym rumak zrywający się do galopu.

Z karety wysiedli dwaj lokaje i podali kochance cesarza ramię. Kiedy Palffy weszła na stopień, Domenico wręczył jej bilecik. Hrabianka wzięła go bezwiednie do ręki, ale zaraz uprzejmym gestem zwróciła, nie czytając. Podprowadziłem Atta bliżej i relacjonowałem, co widzę. Zanim Palffy zniknęła we wnętrzu pojazdu, posmutniała i zaczęła cicho płakać. Karetka ruszyła, Domenico skłonił się nieśmiało, ale dama w karecie nie odpowiedziała na to dworne pożegnanie.

- Do licha! - syknął Melani przez zęby. - Te biedne dwudziestolatki zakochują się, a potem płaczą. Nic nie rozumieją. Szkoda, że nie przyjęła bileciku. Następną okazja nieprędko się zdarzy.

*Godzina 13: arystokraci spożywają obiad, klasa średnia udaje się do kawiarni, w teatrach rozpoczynają się spektakle*

Przy pożegnaniu opat Melani zaprosił mnie na obiad do lokalu. Wy tłumaczyłem mu, że powinniśmy spotkać się przed trzynastą, ponieważ w Wiedniu o tej porze jada wyłącznie arystokracja, a ceny zawrotnie rosną.

- Dobrze wiedzieć - odparł Atto. - Zobaczmy się więc nie wcześniej niż o trzynastej. Lubię jadać z ludźmi ze swojej sfery.

O wyznaczonej godzinie zaprowadziłem opata z bratanikiem do gospody w pobliżu Hofburga. Ledwo weszliśmy do środka, na zewnątrz rozpętała się zamięć.

Poprosiłem o stół w ustronnym miejscu. Właściciel gospody wyrecytował długą listę potraw dnia, spośród których nie brakowało dań styryjskich, polskich, węgierskich, czeskich, morawskich. Dodał, że egzotyczne przysmaki: pomarańcze, ostrygi, migdały, kasztany, pistacje, ryż, słodkie winogrona, hiszpańskie wino, ser holenderski, mortadelę z Cre-mony, weneckie drażetki, przyprawy indyjskie są dostępne za dodatkową opłatą.

Zamówiliśmy delikatne kotlety cielęce, różowego pstrąga z rusztu, a na deser racuszki. Jak zwykle porcje na talerzach były tak duże, że zjedzenie ich przekraczało możliwości ludzkiego żołądka. Atto i bratanek byli mile zaskoczeni smakiem potraw.

- Nie wiedziałem, że w Wiedniu tak dobrze się jada. Czy to jakiś specjalny lokal? - zapytał Domenico.

- Nie, zwykła gospoda. Trzeba jednak przyznać, że nawet w najgorszej wiedeńskiej knajpie można zjeść przepyszną zupę, chrupiący kotlet czy soczystą pieczeń - oznajmiłem, dumny z miasta, które mnie gościło. - Wszystkie potrawy, i to za niewygórowaną cenę, są przyrządzane tuż przed podaniem, ze świeżych składników najwyższej jakości.

- W Paryżu ciasta piecze się ze zjełczałego tłuszczu, chleb już z pieca wychodzi twardy jak kamień, a ryby pamiętają czasy Abrahama! - wykrzyknął opat z gorzkim uśmiechem.

Uradowany zaskoczeniem Atta Melaniego, poinformowałem go o specjałach kulinarnych ziemi, po której miał zaszczyt stąpać. W rzeczywistości chodziło mi o to, by uspić jego czujność i zaskoczyć wiadomością o śmierci Daniła Daniłowicza. Dobrze znałem Melaniego i gdybym od razu zaczął go wypytywać, udzieliłby mi odpowiedzi przebiegłych, fałszywych i mylących.

Jeśli bogactwo narodu mierzyć potrawami, oświadczyłem uroczystym tonem moim zdziwionym współbiednikom, Austrię można uznać za królestwo króla Midasa, który wszystko zamieniał w złoto. Przeciętna rodzina w tym kraju zjada pół kilograma mięsa dziennie, w Rzymie rzecz niespotykana. Biedacy otrzymują co tydzień kilogram wołowiny na głowę. Nawet przybysze z Niemiec, gdzie spożywa się dużo befsztyków, dziwią się, że w



Austrii rocznie zjada się tysiące wołów i byczków.

- Jeden tylko zakon augustianów bosych, tu niedaleko, w ciągu roku pochłania dwadzieścia byków, sto baranów i owiec, dwadzieścia pięć świń, sześćdziesiąt kaczek, ponad czterysta kur, kapłonów i kogucików - powiedziałem niedbale. - Bogacz i biedak mogą kupić takie samo mięso, ponieważ ustalono na nie średnią cenę, bez podziału na lepsze i gorsze części tuszy.

- I pomyśleć, że w Paryżu kilogram wołowiny kosztuje dwadzieścia rzymskich Juliuszy! Nawet król nie może sobie na to pozwolić! - zauważył z westchnieniem Domenico.

Kiedy byłem w służbie u kardynała Fabrizia Spady, sekretarza stanu w Watykanie, widziałem wiele wspaniałych uczt. W rzymskiej willi na wzgórzu Janikulum stoły ugięły się od wyszukanych dań, ale tam stać na to było nielicznych. Nie ma zatem porównania z Austriakami, którzy biesiadują przy byle okazji: urodzin, ślubu, pożegnania, powitania, podpisania umowy, wyroku sądu, podziału majątku. Przy jednym stole zasiadają przedstawiciele różnych grup społecznych: kupcy, kopiści, rzemieślnicy, lichwiarze, strażnicy, a nawet złodzieje. Przyjęcia organizuje się wszędzie: w domu, w pracy, w knajpie, na łonie natury, w szpitalu, w sądzie.

W każdym regionie Austrii jest podobnie. W Tyrolu doliczono się siedmiuset pięćdziesięciu karczm. W Wiedniu i jego okolicach gospoda stoi przy gospodzie. Słyszałem, że w Styrii podczas wesela w jeden wieczór zjada się 8 wołów, 100 baranów, 50 cieląt, 50 jagniąt, 100 tuczników, 80 prosiąt, 6 dzików, 100 bażantów, 160 kuropatw, 80 gęsi, 100 dzikich kaczek, 400 bekasów, 200 kapłonów, 800 kurczaków, 300 przepiórek, 400 gołębi, 200 kilogramów boczku, 1200 cytryn, 1200 pomarańczy, 100 granatów.

Nawet Arcychrześcijańskiemu Królowi, podsumowałem, smakowałyby kuchnia znienawidzonych Austriaków, zwłaszcza w okresie głodu.

Kiedy tak perorowałem, patrząc na zdziwione twarze Atta i Domenica, ich uwagę przyciągnęły odgłosy dochodzące od sąsiednich stołów. Chodziło o mniej poetycki wymiar kulinarnej pasji wiedeńczyków.

Domenico przyglądał się z zakłopotaniem gościom gospody. Jedni używali rogu obrusa do wytarcia nosa lub usunięcia potu z twarzy albo łysiny, inni przepłukiwali hałaśliwie gardło winem, jeszcze inni szturchali bezceremonialnie sąsiada w bok i zmuszali do wychylenia kielicha. Ktoś wbijał widelec w najlepszy kawałek pieczeni i przekładał na własny talerz, pozostawiając na obrusie tłuste krople sosu, ktoś inny wylizywał talerz lub zbierał resztki jedzenia palcami. Goście kasłali i kichali, nie zasłoniwszy ust, spluwali pod nogi, mlaskali, jedli z otwartymi ustami, cichaczem zawijali w serwetkę kawałki mięsa.

Na twarzy bratanka Atta malowało się przerażenie. Spojrzał na mnie pytająco, ale nie zareagowałem. Domenico nie wiedział, jak bardzo złe\* maniery wiedeńczyków denerwowały ojca Abrahama a Sancta Clara i innych wybitnych kaznodziejów, którzy surowo upominali wiernych, prosząc ich, by zachowywali się przy stole w sposób bardziej cywilizowany.

- Słyszę krzyki. Co się stało? - zapytał Atto, gdy przełknął kęs pstrąga. Przy stoliku pośrodku lokalu doszło do niezręcznej sytuacji. Kelner przyniósł gościom rożen z pieczenia przed chwilą wyjęty z pieca. Jeden z biesiadników, chcąc oczyścić z popiołu wieprzowy udziec, dmuchnął gorącym żarem prosto w twarz damy, siedzącej naprzeciwko. Jej mąż zażądał przeprosin. Ponieważ obaj panowie wypili zbyt dużo wina, doszło do awantury, którą z trudem uśmierzył personel lokalu. Mąż poszkodowanej damy zdążył jeszcze uderzyć przeciwnika gorącym rożnem w siedzenie.

- Nic takiego, zwykła kłótnia - odparł Domenico, przemilczając mniej szlachetną stronę gastronomicznej pasji wiedeńczyków, którą przed chwilą tak wychwalałem.

- Przyjacielska wymiana zdań - dodałem na poparcie słów Domenica, ale opat Melani nie dał się oszukać.

- Wiedeńczycy i ich miasto są tak pospolici, jak opisują ich w Paryżu - stwierdził z satysfakcją, nie kryjąc zadowolenia, że może poddać krytyce Wiedeń i jego mieszkańców. - Może i są zamożni, ale ulice w mieście są poplątane jak nici w kłębku wełny i tak wąskie, że godne największego podziwu fasady kamienic nie są widoczne... Właściwie mało mnie to obchodzi, bo straciłem wzrok. Wolę place Wiednia, mogę się po nich swobodnie poruszać. Tym bardziej że są wybrukowane, czyż nie?

- Istotnie, bruk jest bardzo twardy i nie niszczy się nawet pod kołami wiejskich wozów - przyznałem.

- Tak też myślałem. Najgorsze jest to, że większość kamienic zamieszkuje wiele rodzin. Wytworne damy, ministrowie dworu mieszkają przez ścianę z szewcem lub krawcem. Właściciele kamienic zajmują jedno piętro, drugie służba, resztę mieszkań odnajmują komu popadnie. Nie dbają o czystość, schody są zawsze brudne, podobnie jak ulica przed domem. Przez okna wpada niewiele światła, bo budynki są za wysokie, a ulice ciemne i wąskie. Wprawdzie nie mogę tego stwierdzić naocznie, ale słyszałem, że tak jest. Możesz to potwierdzić?

- Tak, panie Atto - zgodziłem się, przygnębiony jego słowami. - Trzeba jednak przyznać, że wnętrza mieszkań...

- Tak, wiem - przerwał mi opat Melani. - Słyszałem, że mieszkania zamożnych wiedeńczyków są zachwycające. Osiem czy dziesięć dużych pokoi, drzwi i okna zdobione

intarsjami i złoceniami, meble, jakich nie widuje się w książęcych pałacach w innych krajach Europy, brukselskie arras, ogromne lustra w srebrnych ramach, baldachimy nad łózkami z kosztownych adamaszków i atlasów, wielkie obrazy, japońska porcelana, kryształowe żyrandole...

Wsluchając się w słowa opata, myślałem o mieszkaniach bogaczy, które miałem okazję zobaczyć. Choć Atto był ślepy, odnosiłem wrażenie, że widział wszystko na własne oczy. Poprzedniego dnia wygłosił pochwałę Wiednia, cesarzy i ich umiarkowanego bogactwa, skrytykował arogancką rozrzutność Francuzów, która doprowadziła do ruiny państwa. Teraz jednak, z zazdrości o dobrobyt wiedeńczyków, rzucał pod ich adresem oszczerstwa i złośliwości. Ach, ten opat Melani, pomyślałem z uśmiechem, przeczy sam sobie! Chyba że... nie był wówczas szczery. Może wychwalał rozsądek cesarzy i wspaniałość ich stolicy, by oddalić od siebie podejrzenie, że przybył do Wiednia spiskować z Turkami? Postanowiłem zadać opatowi pierwsze z ważnych pytań:

- Panie Atto, co pan myśli o poselstwie agi? Co chce uzyskać od Jego Cesarskiej Wysokości?

- Sam chciałbym to wiedzieć. Pomogłoby to w mojej, a właściwie w naszej misji. Przedmieścia Wiednia - powiedział, podejmując poprzedni wątek i nadgryzając racuszek - jak twoja Josephina, są doprawdy urocze. Zapewne wielokrotnie zatrzymywałeś się, by podziwiać klejnot architektury, jakim jest letnia willa wicekanclerza Schönborna. Oglądaliśmy ją wczoraj przed pójściem do teatru. Mówią o niej nawet w Wersalu. Co za wspaniały ogród! Jakie piękne drzewa pomarańczowe i cytrynowe w połączonych donicach! Bratanek wszystko mi opisał.

Domenico uprzejmię przytaknął. Zaatakowałem mocniej, pragnąc sprowokować Atta do konkretnej odpowiedzi:

- Francja z pewnością ucieszyłaby się - powiedziałem - z nowej wojny cesarstwa z Turkami. Cesarz byłby zmuszony wysłać wojska na wschód. Arcychrześcijański Król odetchnąłby z ulgą.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe - odparł Atto bezbarwnym głosem. - Po pokoju karłowickim na Wschodzie panuje spokój. Tureckie poselstwo przybyło do Wiednia, by przypomnieć o sułtanie. Według mnie chodzi o czysto teatralny gest.

Melani sam sobie przeczył. Przed chwilą oznajmił, że nie ma pojęcia o zamiarach Turków.

- A propos - ciągnął, ponownie zmieniając temat rozmowy - jak już mówiłem, wczoraj byliśmy w teatrze. Słyszałem, że Marianna Palffy lubi komedie, miałem więc nadzieję, że ją

spotkam. Wybraliśmy czteroosobową łóż, bilet kosztował niedrogo, jednego dukata. W teatrze było ciemno, siedzieliśmy za wysoko, niemal pod sufitem, ale uśmiełem się do łez! Dzięki pomocy bratanka, ma się rozumieć.

Ponieważ nie odzywałem się, Atto mówił dalej niewzruszony:

- Była to komedia o Zeusie, który przybrał postać Amfitriona, żeby uwieść jego żonę Alkmenę. Przede wszystkim jednak zaciągnął mnóstwo długów w jego imieniu. Prawdziwy Amfitrion ucieka przed wierzycielami i to jest treścią sztuki. Okropna bzdura, takich wulgaryzmów, jakie padają ze sceny, w Paryżu nie wybaczone by nawet sprzedawcy ryb, cha, cha, cha!

Atto wyraźnie ignorował moje pytania o poselstwo agi. Czynił to tak ostentacyjnie, że stałem się nieufny.

- Moda też jest okropna, prawda, Domenico? - rozprawiał podekscytowany.

- Tak, stryju.

- Niestety nie widzę, jak się ubierają mieszkańcy Wiednia, ale chyba niewiele tracę. Z paryskich gazet, które czytuje mi Domenico, dowiedziałem się, że moda na cesarskim dworze jest o wiele brzydsza niż we Francji czy Anglii. Jedynie damy noszą piękne suknie. W Wiedniu kobieca moda stanowi całkowite zaprzeczenie zdrowego rozsądku, choćby w tym, że stroje z kosztownych złotych tkanin są dodatkowo zdobione haftem. Im droższe suknie, tym większy wzbudzą podziw. Dobry gust jest sprawą drugorzędną. Czasem wiedeńki wychodzą z domu ubrane byle jak, ukrywając codzienną suknię pod peleryną, prawda, drogi bratanku?

- Tak, stryju - powtórzył Domenico. Zaczynałem tracić cierpliwość.

- W Wiedniu szczególną uwagę zwraca się na fryzury. Szczytem elegancji są wysokie peruki wypełnione nakrochmaloną gązą, przymocowaną do głowy wstążkami.

- Panie Atto... - próbowałem mu przerwać.

- Następnie, żeby sztuczne włosy wyglądały jak prawdziwe - ciągnął niewzruszenie Melani - posypują je kilogramami pudru, oplatają trzema lub czterema sznurami pereł albo diamentów przytwierdzonych do peruki wielkimi szpilkami z czerwonym, zielonym lub żółtym szlachetnym kamieniem w główce. Z taką konstrukcją na głowie ledwo się poruszają! Ten dziwaczny sposób ubierania się podkreśla brzydotę tutejszych kobiet, które na dodatek są okropnie zgryźliwe. Mówiono mi w Paryżu, że w naddunajskiej stolicy nie ma ludzi żywiołowych, są sami flegmatycy, podniecający się jedynie podczas ceremonii. Ponoć wiedeńscy pasjonują się nimi. Czy to prawda?

- Nie sędzę - odparłem, urażony złośliwymi uwagami Atta. Miałem ochotę zapytać go, po co przybył do Wiednia, skoro ma taką złą opinię o tym mieście.

- Zaraz po przyjeździe słyszałem, że pewnej nocy zablokowały się w małej uliczce dwie karety. Żadna z podróżujących dam nie chciała się zgodzić, by woźnica cofnął karecę i ustąpił miejsca pojazdowi jadącemu z przeciwka. Obie panie należały do tego samego stanu. Przez całą noc wyliczały swoje przywileje, starając się nawzajem przekonać o własnej racji. Kłóciły się tak głośno, że ich krzyki, które słyhać było w całej dzielnicy, zwabiły straż miejską. Strażnicy rozwiązyali ten węzeł gordyjski w ten sposób, że nakazali obydwóm karetom wycofać się i pojechać innymi ulicami... - podsumował opat Melani z głośnym śmiechem.

Przypuściłem ostateczny atak:

- Panie Atto, dokonano morderstwa - oświadczyłem niespodziewanie.

Opat Melani przestał się śmiać.

- Morderstwo? O czym ty mówisz, chłopcze?

- Doszło do niego ubiegłej nocy. Zginął przyjaciel Simonisa, mojego pomocnika. Za jego radą zatrudniłem tego studenta, żeby dowiedział się czegoś więcej o tajemniczym złotym jabłku, o którym turecki aga wspominał na audiencji u księcia Eugeniusza.

- Tak, doskonale pamiętam. I co?

- Nazywał się Daniło, hrabia Daniło Daniłowicz. Wczorajszej nocy mieliśmy się z nim spotkać na murach obronnych. Kiedy go znaleźliśmy, był w agonii. Zasztyletowano go. Zmarł na rękach Simonisa.

Atto Melani pochylił głowę. Wyglądał na zmartwionego.

- To rzeczywiście smutne - stwierdził po chwili milczenia. - Miał rodzinę?

- Nie.

- Czy ktoś was widział?

- Myślę, że nie.

- To dobrze. Nie będziecie zamieszani w jego śmierć - powiedział z ulgą. Bał się, że podjęte śledztwo zaprowadziłoby do niego, szpiega wrogów. - Powiedziałeś, że nazywał się Daniłowicz. Czy to niemieckie nazwisko? Skąd pochodził?

- Z Pontevedro.

- To nie są cywilizowani ludzie. Jaki tam z niego hrabia! Pontevedro! Naród nieokrzesany... - Opat Melani myślał podobnie jak Simonis, który na określenie tego regionu Europy wymyślił pojęcie Pół-Azja. - Założę się, że zajmował się jakimiś podejrzanymi interesami - dodał.

- Był szpiegiem. Za pieniądze denuncjował osoby łamiące prawo dotyczące skromności obyczajów.

- Zawodowy szpieg! I dziwisz się, że człowiek tego pokroju, w dodatku z Pontevedro, został zasztyletowany? Choć to smutne, jego śmierć nie jest niczym zaskakującym, mój chłopcze. Zapomnij o tym i już! - uciał Melani, jakby zapomniał, że sam jest szpiegiem.

- A jeśli zabili go Turcy? Daniło zbierał informacje o złotym jabłku. Przed śmiercią wyszeptał coś dziwnego.

Atto nadstawił ucha, ciekaw, co powiedział umierający student.

- Krzyk czterdziestu tysięcy męczenników - powtórzył, kiedy skończyłem relację. - I ten tajemniczy Eyyub... Sądzę, że majaczył. Być może zdobył informacje o złotym jabłku, ale według mnie nie ma w tym nic podejrzanego. Turcy nie mają z tym związku. Wasz przyjaciel źle skończył, to prawda, ale czegoż mógł się spodziewać szpieg z Pontevedro?

Po obiedzie w towarzystwie Atta ogarnął mnie jeszcze silniejszy niepokój. Opat Melani unikał odpowiedzi na pytania dotyczące tureckiego poselstwa, jakby ta sprawa zupełnie go nie obchodziła. Co więcej, zasypał mnie swoimi spostrzeżeniami na temat obyczajów wieśniaków. Zachowywał spokój, myślałem, jak przystało na wytrawnego dyplomatę spragnionego intryg, zakulisowych plotek i nowinek politycznych. Zbagatelizował śmierć Daniła Daniłowicza, a zainteresował się słowami, które wypowiedział w ostatnich chwilach życia.

Atto powiedział mi, że po południu podejmie jeszcze jedną próbę nawiązania kontaktu z Palffy. Milczałem. Niech sobie radzi sam, pomyślałem.

Wybieraliśmy się z Simonisem na ważne spotkanie. Jego koledzy ze studiów mieli nam przekazać informacje o złotym jabłku.

Kilka minut później jechałem kolasą, siedząc obok Simonisa. Doceniałem pomoc opanowanego, zrównoważonego Penicka, w dodatku dysponującego środkiem transportu. Po otrzęsinach Simonis zyskał niewolnika, o czym mnie się nawet nie śniło, mimo że zapewniałem Grekowi byt.

Rozpoczęliśmy podróż w milczeniu. Wciąż wspominaliśmy tragiczną śmierć Daniła. Opat twierdził, że zabójstwo Daniłowicza było zemstą za jego denuncjatorską działalność. My skłanialiśmy się ku przypuszczeniu, że jego śmierć miała bezpośredni związek z tym, czego dowiedział się o złotym jabłku. Poczułem na sobie spojrzenie Simonisa.

- Nie mówiłem panu jeszcze - powiedział, zmuszając się do uśmiechu - czym zajmują się moi koledzy, żeby opłacić studia i uniknąć więzienia za nielegalne żebractwo.

Grek najwyraźniej pragnął przerwać nasze ponure milczenie.

- Istotnie, nic o nich nie wiem.

Pochłonięty wydarzeniami ostatnich dni, nie wypytywałem pomocnika o jego

przyjaciół ani o zajęcia, jakich się podejmują, żeby nie skończyć na ulicy i nie prosić o jałmużnę bez słynnego pozwolenia rektora. Biorąc pod uwagę podejrzone zajęcia Daniłowicza i nielegalną działalność Penicka, byłem ciekaw, w jaki sposób utrzymują się ich koledzy.

- Koloman Szupan jest najbogatszy ze wszystkich - oznajmił Simonis - ponieważ pracuje jako kelner. Jak już pan wie, obecny tu pismak jest woźnicą. Dragomir Populescu ma mało czasu na pracę zarobkową, ponieważ całą uwagę poświęca kobietom. Każdą próbuje zdobyć, ale rzadko mu się to udaje. Zazdrości Kolomanowi, który nie zabiega o względy kobiet, a nie może się od nich opędzić.

- Ach tak? Jak to możliwe?

- Ma... jak by to powiedzieć? Nadzwyczajną zaletę - powiedział Simonis z uśmiechem. - Wieść o tym rozeszła się wśród młodych wiedenek, które lubią konkrety, a Koloman potrafi je zadowolić. Przy odrobinie szczęścia, panie majstrze, za chwilę się o tym przekonamy.

- Czyżby?

- Jest trzecia po południu. O tej porze pełen wigoru Koloman przystępuje do akcji. Musi się wyładować, w przeciwnym razie ogarnia go smutek. Jeśli nie ma pod ręką jakiejś dzierlatki, potrafi wskoczyć przez okno, wspiąć się na gzyms czy dach, by dotrzeć do chętniej mu dziewczyny. Widziałem to na własne oczy.

Dotarliśmy do skromnego domku w pobliżu bastionów. Grek poprosił

Penicka, żeby na nas zaczekał, i zapukał do drzwi. Otworzył jakiś młodzieniec.

- Jest na górze. Bardzo zajęty - powiedział, puszczając oko. Simonis mrugnął do mnie porozumiewawczo. Weszliśmy do środka.

Otrzeptywałem płaszcz ze śniegu, gdy mój pomocnik powiedział, że cały dwukondygnacyjny dom wynajmują studenci. Każdy zna na pamięć przyzwyczajenia kolegów. Usiedliśmy na skrzyni w wąskim korytarzu, naprzeciw schodów prowadzących na pierwsze piętro.

- Tak, taaak... jeszcze, jeszcze...! - usłyszałem krzyk dochodzący z piętra.

- Musimy trochę poczekać, aż Koloman skończy te igraszki. Wie, że nie możemy się spóźnić - szepnął Simonis.

- Ależ z ciebie słodki brutal! Jeszcze... jeszcze... Proszę! - krzyczała dziewczyna.

Koloman zorientował się, że przyjechaliśmy, i kazał się panience wynosić. Doszło do sprzeczki. Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwiami i szybkie kroki na schodach. Z prędkością strzały przebiegła obok nas, turkocząc spódnicą, ładna dziewczyna, z jasnymi włosami

zebranych w kok. W drzwiach odwróciła się i wrzasnęła:

- Jesteś tylko nędznym węgierskim kelnerem, ty niewydarzeńcu! Trzasnęła drzwiami, aż dom zadrżał w posadach.

- Ot, obyczaj wiedeński - podsumował Simonis z uśmiechem.

Po chwili na schodach pojawił się Koloman, zapinając koszulę z zakłopotanym, a zarazem rozbawionym wyrazem twarzy.

- Mówiłem prawdę. Jestem baronem od dwudziestu siedmiu pokoleń. Pracuję jako kelner, żeby opłacić chesne - wyjaśniał, jakby dziewczyna mogła go słyszeć. - Wybaczenie tę niemłą scenę, ale wiedeńskie takie są. Kiedy musisz się śpieszyć, bo masz jakieś pilne zajęcie, wpadają w złość i stają się nieprzyjemne. We Włoszech natomiast...

- ...kobiety mają więcej cierpliwości? - rzuciłem, gdy Koloman zakładał płaszcz.

- We Włoszech nigdy się nie śpieszę - powiedział z uśmiechem Koloman. Klepnął po plecach Simonisa i skierował się ku wyjściu.

Peniłek zaciął konia i kolasa ruszyła. Jechaliśmy po zaśnieżonym bruku w kierunku domu, w którym przed dwoma dniami odbyły się otrzęsiny. Czekali tam na nas studenci, którzy zbierali informacje o złotym jabłku. Dałbym sobie głowę uciąć, że rozprawiają rozgorączkowani o tragicznej śmierci Daniłowicza. Wieść obiegła już cały uniwersytet, ale z pewnością najbardziej przeżywali ją przyjaciele zamordowanego studenta.

Koloman Szupan, jeszcze przed chwilą wesoły, teraz milczał zamyślony. Pragnąc rozładować smutny nastrój, postanowiłem nawiązać rozmowę, podobnie jak to uczynił Simonis, kiedy jechaliśmy do Kolomana. Zapytałem Węgra, czy jest zadowolony ze swojego zajęcia.

- Zadowolony? Dziękuję Bogu, że skończył się Wielki Post - odparł, czyniąc gest, jakby ocierał pot z czoła.

- Dlaczego? Sądziłem, że podczas Wielkiego Postu kelnerzy mają mniej pracy.

- Mniej pracy? - Koloman wybuchnął śmiechem. - Człowieku, nie wiesz, co mówisz! Mięsa się nie je, to prawda, ale za to przyrządza inne skomplikowane dania: węgorka smażonego na smalcu, szczupaka w kwaśnej śmietanie, kraby z pieca z natką pietruszki, duszone w oleju z sokiem z cytryny i ostrygami, pieczonego sztokfisa z rzodkwią, gorczycą i masłem... Wiedeńscy objadają się nim bez umiaru, że nie wspomnę o pieczeniu z bobra...

- Z bobra? Przecież to nie ryba!

- Wytłumacz to klientom! W dodatku trzeba jeszcze schwytać te przeklęte zwierzaki! Na szczęście istnieją też jajka Lutra.

- Co takiego?



- Luter nigdy ich nie jadł. To jajka wielkopostne. Nazwano je tak dla żartu, gdyż katolicy jadają je zamiast mięsa. Tymczasem protestanci śmieją się i jedzą to, na co mają ochotę.

W czasie Wielkiego Postu, wyjaśnił Koloman, w kuchniach wiedeńskich lokali przyrządza się niewyobrażalne ilości ryb rozmaitych gatunków, znacznie więcej niż we Włoszech. Mieszkający w Tyrolu słynny lekarz Guarinoni (Włoch) radził, by w ofercie oprócz ryb z lokalnych strumyków, rzek i stawów były również ryby żyjące w innych miejscach: w jeziorze Balaton, w Czechach, na Morawach, w Galicji, Bośni i u włoskich wybrzeży Triestu. Z Wenecji pochodziły sprowadzane w ogromnych skrzyniach ostrygi, morskie ślimaki, małże, kraby i jeżowce oraz żaby i żółwie. Świeże specjały docierały też z Holandii i dalekiego Morza Północnego.

- Choć przykrywają je kawałkami lodu, nigdy nie mogłem zrozumieć, jakim cudem nie psują się podczas podróży - dodał Koloman.

Zakaz jadań mięsa był trudny do wyegzekwowania. W wielkopostnym menu obok ryb i skorupiaków widniała więc, jak gdyby nigdy nic... pieczeń z wydry i bobra. Klienci chętnie zamawiali te dania.

Miał rację Abraham a Sancta Clara, kiedy twierdził, że w Wiedniu każde zwierzę żyjące na ziemi, w powietrzu lub w wodzie prędzej czy później skończy na talerzu w postaci dania.

- Wiedeńczycy - ciągnął Koloman - nie stracili apetytu nawet podczas tureckiego zagrożenia.

- Co do tego mają Turcy?

Koloman wyjaśnił mi, że podczas słynnego oblężenia w 1683 roku, które przeszło już do historii, wiedeńczykom dopisywał apetyt, nie osłabło też ich zamięłowanie do dobrej kuchni. Miastu groziło zrównanie z ziemią, a oni, z kobietami i dziećmi włącznie, z narażeniem życia opuszczali nocą twierdzę, żeby kupić chleb od Turków.

- Od Turków?

- W osmańskim obozie nigdy nie brakowało chleba, a wśród tureckich żołnierzy było wielu biedaków potrzebujących pieniędzy.

Osoby przyłapano na handlu były surowo karane, zarówno przez chrześcijan (trzysta batów), jak i przez Osmanów. Mimo to, mówił Koloman, nie było w stanie powstrzymać tego zjawiska. Poza tym wiedeńczykom chciało się pić.

- No, tak, brakowało wody - wtrąciłem.

- Nie, nie o tym mówię. Brakowało wina.

Wiedeńczycy są przede wszystkim smakoszami, a dopiero potem żołnierzami. Pod osłoną nocy wjeżdżały więc do miasta wozy załadowane beczkami z winem, wytwarzanym w pobliskich wsiach. Niekiedy dochodziło do rzeczy zupełnie niewyobrażalnych. Nikt nie wie, jak to było możliwe, że oblegani mieszkańcy, mimo trwających walk, zdołali sprowadzić zza tureckich linii stado liczące ponad sto wołów.

Kulisy historycznego oblężenia bardzo mnie rozczarowały. Ileż to razy myślałem z podziwem o heroicznym oporze wiedeńczyków! Okazało się, że wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

- Nie byli zatem nieustraszonymi bohaterami bez skazy - stwierdziłem.

- Z pewnością nie czuli strachu, ale skazy mieli, a właściwie plamy po winie i tłuszczu na ubraniu - zażartował Koloman.

Proszę sobie wyobrazić, ciągnął mój rozmówca, że podczas tego słynnego oblężenia w 1683 roku jeden z mieszkańców przesłał Turkom ważną wiadomość: wiedeńscy cywile już nie współpracują z żołnierzami. Ludność jest tak wyczerpana, że chce się poddać.

- Było to piątego września. Nikt o tym nie wie, choć zdarzenie to mogło zmienić bieg dziejów. Z niewyjaśnionych powodów Turcy nie zaatakowali. Na szczęście!

W odróżnieniu od Kolomana wiedziałem, dlaczego Turcy odstąpili od ataku. Odkryłem to razem z opatem Melanim w Rzymie, przed dwudziestoma ośmioma laty. Była to skomplikowana historia i gdybym opowiedział ją Kolomanowi, z pewnością by mi nie uwierzył.

Dojechaliśmy na miejsce. Przed wejściem do mieszkania otrzepaliśmy buty i płaszcze ze śniegu. Dragomir Populescu oczekiwał nas w towarzystwie Jana Janickiego vel Opalińskiego. Na ich twarzach malował się smutek i niepokój. Tym razem wszedł z nami także Peniłek, jak zwykle śmieszny i skrępowany, z małymi, rozbieganymi oczkami widocznymi zza okularów.

- Zdobyłem pewne informacje - oświadczył Opaliński.

- Ja też - dodał Populescu.

- Gdzie jest Christo? - zapytał Koloman.

- Miał coś do załatwienia. Powiedział, że przyjdzie trochę później - odparł Simonis. - Możemy zaczynać.

- Jak to się stało, Koloman, że dotarłeś na czas? Wiedenki dziś nie dopisały? - zaśmiał się Dragomir ze złośliwym błyskiem w oczach.

- Przeciwnie. Zostawiasz je tak rozpalone z tym twoim małym ptaszkiem, że wystarczy mi trzy minuty, żeby im dogodzić.

- Nie denerwuj się, Dragomirku! Zachowaj spokój! - mruzczał Populescu, zaciskając pięści.

- Dość żartów! - nakazał Simonis. - Daniło nie żyje. Uczcijmy jego pamięć minutą ciszy.

- Przyjaciele! - powiedziałem po upływie wyznaczonego czasu. - Dziękuję wam za pomoc w rozwiązaniu zagadki złotego jabłka. Teraz, po śmierci Daniłowicza, nie będę miał wam za złe, jeśli zechcecie się wycofać.

- Nie jest wykluczone, że ktoś wykończył Daniła, żeby zemścić się za szpiegowanie - stwierdził zamyślony Opaliński.

- Na przykład jakiś jego rodak - dodał Populescu. - Mieszkańcy Pon-tevedro są okrutni, nie to co Rumuni - uściślił.

- Z pewnością nie jest to pierwszy zamordowany student - dorzucił Koloman.

Zebrani na wypródkę zaczęli wyliczać smutne przypadki uczniów uniwersytetu wiedeńskiego, którzy zginęli nagłą śmiercią: w pojedynku, przyłapani na kradzieży, za nielegalny handel *et cetera*.

- Wszyscy pochodzili z Pół-Azji - szepnął mi do ucha Simonis z porozumiewawczym spojrzeniem, jakby dla podkreślenia naturalnej skłonności tych ludów do brutalnych czynów.

- A może Turcy nie mają nic do ukrycia - rzucił Opaliński.

- Istotnie, wydaje się dziwne, że aga publicznie wypowiedział to zdanie. Coś się za tym kryje - stwierdził Populescu.

- Może chcieli przekazać zaszyfrowaną wiadomość jakiejś wtajemniczonej osobie, pewni, że nie wzbudzą niczyich podejrzeń - wysunął przypuszczenie Koloman.

- Nie sądzę - odparł Populescu.

- Ale to Turcy - zaśmiał się Simonis.

Wszyscy mu zawtórowali. Miałem ochotę opowiedzieć studentom o krwawych obrzędach derwisza, o rozmowie, którą podsłuchała Clori-dia, i o interpretacji słów: *soli soli soli adpomum venimus aureum*, czyli przybyliśmy zupełnie sami do złotego jabłka, jako deklaracji pokojowych zamiarów. Wahałem się jednak.

Czułem, że chłopcy palą się do rozwikłania zagadki złotego jabłka z chęci zarobienia pieniędzy, które im za to obiecałem. Teraz, gdy Daniło został zamordowany, gra stawała się niebezpieczna i może nie powinienem ich w to wciągać. Simonis domyślił się mojego wahania i dał mi znak, bym milczał. Posłuchałem go tchórzliwie.

Temat tragicznej śmierci studenta z Pontevedro został zamknięty i zaczęliśmy rozmawiać o złotym jabłku.

Populescu poinformował, że poznał ładną brunetkę pracującą w kawiarni. Początkowo chciał japo prostu uwieść, ale dowiedziawszy się, że właściciel kawiarni pochodził ze Wschodu, wpadł na pomysł, by wypytać ją o złote jabłko.

- Sądziłem, że prowadziliście poszukiwania w archiwach i bibliotekach - powiedziałem zdziwiony.

Koledzy Simonisa wyjaśnili, że owszem, szukali tam, ale w książkach znaleźli jedynie wiadomości na temat jabłka cesarskiego.

- Jak zapewne wiecie - podjął temat Opaliński, człowiek wielkiej erudycji - jest to kula zwieńczona krzyżem Chrystusa. Kulę trzyma w dłoni archanioł Michał. Krzyżem, który trzyma w drugiej ręce, mierzy niczym szpadą w Lucyfera. Strąca go do piekieł za grzechy zazdrości, pychy i próżności wobec Najwyższego. Nie bez powodu imię Michał znaczy po hebrajsku „któż jest jak Bóg?”. Dlatego też cesarskie jabłko stało się godłem imperium, insygniami władzy Świętych Cesarzy Rzymskich, nadawanym podczas koronacji, jako symbol tego, którego Bóg wyznaczył do rządzenia i chronienia chrześcijańskiego ludu przed szatanem. Przedstawia kulę ziemską i niebo wokół niej. U Greków i Rzymian kula też była symbolem władzy i stanowiła atrybut Zeusa, króla bogów.

- Co ty pleciesz?! - wykrzyknął Populescu - Jaka kula ziemską? Przecież starożytni sądzili, że Ziemia jest płaska!

- Ależ z ciebie ignorant! - skarcił go Koloman Szupan, bliski przyjaciel Polaka. - To zwykła propaganda, żeby pokazać, że dzisiaj ludzie są bardziej postępowi i mądrzejsi niż dawniej. Dałeś się nabrać.

- Słusznie, Koloman - przyznał Opaliński. - Grecy i Rzymianie doskonale wiedzieli, że Ziemia jest okrągła. Wystarczy wspomnieć Parmenidesa lub mit o Atlasie dźwigającym kulę ziemską na barkach. W średniowieczu też o tym wiedzieli. Czyż święty Augustyn nie mówił, że Ziemia jest *moles globosa*, piłka? Oprócz Cośmy Indicopleuste i Severiana di Gabala jedynie Laktancjusz twierdził, że jest płaska. Później jakieś uniwersyteckie osły odnalazły urojenia Laktancjusza i uznały je za oficjalną doktrynę średniowiecza.

- Horrendalne bzdury! - powiedział Węgier z pogardą, spluwając na ziemię.

- Bez względu na to, jak się mają sprawy - powiedział Populescu - złote jabłko jest motywem wyłącznie tureckim, znanym z ustnych przekazów. Jak więc mówiłem, brunetka...

- Z ust do ust... - zachichotał Koloman. - Erudyta Dragormir zdobył wiadomości bezpośrednio z ust brunetki!

- Zazdrościsz mi, bo ty szukałeś ich u tych zboczonych zakonników - odciął się Rumun. - A propos, masz od nich pozdrowienia. Powiedzieli mi, że ciepło cię wspominają.

- Spokojnie, Dragomirku! Zachowaj spokój! - szepnął do siebie Populescu, poirytowany docinkami Kolomana i Opalińskiego.

Historia złotego jabłka, którą opowiedziała mu brunetka, brzmiała następująco:

- Koronacja sułtana w Konstantynopolu przebiega zgodnie ze ściśle ustalonym ceremoniałem. Władca wraz z całym orszakiem udaje się do sanktuarium za miastem, gdzie znajduje się grobowiec chorążego Mahometa, kondotiera, który uwolnił Konstantynopol z rąk chrześcijan. Tam zakłada pas ze świętym bułatem, wraca do miasta i przybywa konno pod koszary janczarów, wyborowej straży sułtana. Dowódca sześćdziesiątej pierwszej kompanii, jednej z czterech kompanii łuczników, podaje mu puchar z sorbetem. Sułtan wypija napój, a puchar wypełnia kawałkami złotego kruszcu i oddaje go dowódcy, mówiąc: *Kizil Elmada gorusii-riiz!* - spotkamy się w Złotym Jabłku. Słowa te są zaproszeniem do zdobycia chrześcijańskiego Zachodu, którego kościoły wieńczą cesarskie jabłka archanioła Michała, czyli połączane kule z krzyżem Chrystusa, takie jak złota kula na kopule Bazyliki Świętego Piotra. Dlatego Daniło przed śmiercią mówił o Rzymie.

- To już wiemy - wtrąciłem. - Chodzi nam o to, dlaczego Turcy mówili o złotym jabłku Eugeniuszowi Sabaudzkiemu i co to znaczy *solī solī solī*. W przeciwnym razie nie zdołamy pojąć sensu słów Daniła.

- Chwileczkę zaoponował Populescu. - Jeszcze nie skończyłem. Wszystko zaczęło się w roku 1529 - wyjaśnił - podczas pierwszego oblężenia Wiednia przez Turków. Dobrze znałem tę datę, ponieważ w tym właśnie roku kwatery główna wojsk Sulejmana Wspaniałego znajdowała się na równinie Simmering, gdzie Maksymilian II wznosił później Neu-gebau.

Jak wszystkim wiadomo - ciągnął Populescu - po długotrwałym oblężeniu, z powodu wyjątkowo mroźnej zimy, armia Sulejmana wycofała się i wróciła do ojczyzny.

Sulejman wskazał wówczas na dzwonnice św. Szczepana, doskonale widoczną z tureckiego obozu. Mógł kazać ją zburzyć, strzelając z dział, ale tego nie uczynił. Powiedział: „Tym razem musimy zrezygnować ze zdobycia Wiednia. Ale pewnego dnia tego dokonamy! Wówczas wieża, którą widzicie, stanie się tureckim minaretem, a obok niego wzniesiemy meczet. Dlatego też życzę sobie, by wieża nosiła mój znak!”

Sulejman polecił wykonać kulę z czystego złota, tak dużą, że zmieściłyby się w niej trzy korce pszenicy, po czym posłał ją wiedeńczykom, proponując wymianę: jeśli umieszczą kulę na dzwonnicy Św. Szczepana, Sulejman jej nie zburzy. Cesarz przystał na propozycję i kulę zatknęto.

- O tamtej pory nazywa się ją złotym jabłkiem Niemiec i Węgier - podsumował Populescu.

- Tymczasem ja dowiedziałem się czegoś więcej - wtrącił Opaliński. - Zwróciłem się o pomoc do stajennego z Ofen, czyli Budy na Węgrzech, który z kolei rozmawiał z tłumaczem ze świty agi Jussufem, także z Ofen.

Rozległ się szmer uznania dla Polaka, który zdołał uzyskać informacje prosto od napawających lękiem Turków.

- Miałem pewne trudności - uściślił Opaliński - ponieważ początkowo stajenny był nieufny. Poza tym nie znał włoskiego ani niemieckiego, rozumiał tylko *lingua franca*, czyli gwara osmańską wprowadzoną w Konstantynopolu przez kupców weneckich i genueńskich.

Opaliński podszedł stajennego, wymawiając kilkakrotnie imię Allaha, ale on nie dał się zwieść.

- Jesteś Turkiem czy raczej anabaptystą? - zapytał. - A może zwin-glianistą? Kofistą? Husytą? Kalwinistą? A może menonitą albo kwa-krem? Poganinem czy luteraninem? Purytaninem czy braminem?

- Jestem oczywiście mahometaninem. Muzułmaninem - odpowiedział Jan.

- Aha! - rzekł stajenny, wyraźnie podniesiony na duchu. - Na pewno?

- Przysięgam, że mówię prawdę.

- Przysięgasz jak Turek? - zapytał stajenny, podnosząc groźnie palec wskazujący prawej ręki.

Oczywiście - zapewnił Opaliński.

- A może tylko udajesz? Chcesz mnie przechytryć?

- Ależ skąd! Zapewniam cię, że nie.

Stajenny wyrecytował tradycyjne pozdrowienie w *lingua franca*, okazując tym samym całkowite zaufanie do rozmówcy. Od tej pory Opaliński mógł pytać, o co chciał.

- No, już dobrze! Zrozumieliśmy, że jesteś bardzo wykształcony i podziwiamy twoją wiedzę. Ale przejdź do sedna sprawy!

Jak wynikało z relacji Polaka, ledwo armia Sulejmana opuściła Wiedeń, Ferdynand, brat cesarza, kazał umieścić na złotej kuli krzyż. Kiedy sułtan dowiedział się o tym, rozgniewał się i zapowiedział kolejną zbrojną wyprawę. Kosztem bankierów (już prawie zrujnowanych w wyniku prowadzonych przez sułtana wojen) armia turecka w 1532 roku zajęła Styrię. Na szczęście tym razem nie dotarła do Wiednia. Załoga twierdzy Gun w Styrii i jej bohaterski dowódca Niklas Juricic bronili się do końca. Zapłacili własnym życiem, ale uratowali stolicę. Armia cesarska pod wodzą Karola V zmusiła wojska Sulejmana do odwrotu. Sułtan stracił wtedy dziesięć tysięcy ludzi.

- To był naprawdę pomyślny rok - oznajmił z westchnieniem Simonis, rozkoszując się

opowieścią o stratach nienawistnych Otomanów. - Wojska cesarskie, dowodzone przez Andrzeja Dorię z Genui, przepędziły Turków z Patrassos i innych miast południowej Grecji. Wspaniałe czasy! Ciesz się, Penicek!

Penicek, posłuszny rozkazom swojego cyrulika, zaczął się śmiać.

- Nie tak - skarcił go Simonis. - Z większą radością i satysfakcją. Penicek zrobił zadowoloną minę i wyrzucił patetycznym gestem ramiona w górę.

- Jeszcze więcej radości! - nakazał Grek.

Penicek wykonał te same gesty co przedtem. Opaliński, śmiejąc się szydlerczo, kopnął go w siedzenie. Nieszczęsny pismak upadł na podłogę.

- On też zna włoski - zauważyłem.

- Tak, ale nie studiował w Bolonii, tylko w Padwie. Dlatego jest osłem, co widać! - drwił Opaliński.

- Cesarz - ciągnął Polak - kiedy upokorzony Penicek usiadł na krześle, uznał, że rozsądniej będzie usunąć krzyż ze złotej kuli i zawrzeć z sułtanem pokój. Od tej pory złote jabłko stało się dla Turków symbolem Wiednia i ich celem.

- Chwileczkę, coś tu się nie zgadza - zauważyłem. - Simonis mówił, że złote jabłko jest nie tylko symbolem Wiednia, ale także Konstantynopola, Budy i Rzymu. O ile mnie pamięć nie myli, Turcy zdobyli Konstantynopol przed wieloma wiekami.

- W 1453 - powiedzieli jednocześnie Koloman i Dragomir. Najwidoczniej w przerwach między licznymi przygodami miłosnymi znaleźli trochę czasu, żeby nauczyć się kilku historycznych dat.

- Czyli na długo przed oblężeniem Wiednia w 1529 roku - stwierdziłem. - Simonis powiedział też, że złote jabłko oznacza cel tureckiego podboju. Dlaczego więc również Konstantynopol nazwano złotym jabłkiem, skoro nazwa ta powstała później, kiedy miasto było już w rękach Turków?

- To proste, bo w Konstantynopolu też była złota kula - wtrącił Koloman. - Rozmawiałem z zakonnikami, a oni zawsze wszystko wiedzą. W klasztorze Augustianów spotkałem włoskiego zakonnika, który ewangelizował i spowiadał tureckich jeńców wojennych, pragnących nawrócić się na prawdziwą wiarę.

Jak wynikało z jego słów, historia złotej kuli wiązała się z pewną starą bizantyńską legendą o posągu cesarza Konstantyna albo Justyniana, jak niektórzy twierdzą. Posąg, wykonany ze złota, umieszczony na potężnej kolumnie, znajdował się przed kościołem Hagia Sophia. Przedstawiał cesarza ze złotym jabłkiem w wyciągniętej dłoni, skierowanej na Wschód.

Był to rodzaj przestrogi dla narodów Wschodu, jabłko bowiem symbolizowało władzę cesarza, którego nikt nie był w stanie pokonać. Podobno na jabłku umieszczony był krzyż, chodziło więc o jabłko cesarskie.

Kilku tureckich jeńców, ciągnął Koloman, powiedziało zakonnikowi, że posąg nie przedstawiał ani Justyniana, ani Konstantyna, ale Najświętszą Panienkę. Umieszczono go na zielonej kolumnie, a Madonna trzymała w dłoni cudowny czerwony kamień granatu, wielkości gołębiego jaja. Ponoć jego blask rozświetlał cały kościół. Do Konstantynopola ścigali podróżnicy z całego świata, żeby podziwiać posąg, tym bardziej że u stóp kolumny pochowano święte szczątki Trzech Króli. W noc narodzin Proroka, jak Turcy nazywają Mahometa, kamienny wizerunek Madonny runął na ziemię.

- Co się stało z granatem? - zapytałem.

- Niektórzy twierdzą, że znajduje się w *Kizil Elmada*, czyli w Złotym Jabłku, zdaniem innych skradziono go i wywieziono do Hiszpanii. Jeszcze inni utrzymują, że cenny kamień wmurowano w fasadę kościoła Ha-gia Sophia, skierowaną w stronę Jerozolimy.

Spojrzeliliśmy po sobie zdziwieni.

- Nie przekonuje mnie ta historia - oznajmiłem. - W dalszym ciągu nie wiemy, kim są Eyyub i czterdzieści tysięcy męczenników, o których wspomniał nieszczęsny Daniłó Daniłowicz.

- Zapewne chodzi tu o jakąś sprawą związaną z Pontevedro, a nie ze Złotym Jabłkiem - rzucił Opaliński.

- Musimy zdobyć więcej informacji - stwierdził Populescu. - Jeszcze raz porozmawiam z brunetką z kawiarni. Wiecie co? Przepowiedziała mi przyszłość!

- Umie czytać z ręki? - zapytał Koloman.

- Nie, z fusów. Pierwszy raz widziałem, jak to się robi.

Kelnerka podała Populescu filiżankę kawy i poprosiła, żeby ją wypił, zostawiając na dnie trochę płynu. Nasz przyjaciel zastosował się do instrukcji: lewą ręką zakołysał filiżanką z resztką kawy i wylał ją na talerzyk. Podał naczynie kelnerce. Przyjrzała się plamom po kawie w filiżance i na podstawie ich kształtów wywróżyła Dragomirowi przyszłość.

- Wyszła trąbka, prostokąt i mysz - oznajmił podekscytowany Populescu.

- Co to znaczy? - zapytał Opaliński.

- Trąbka oznacza, że nowa miłość przyniesie w moim życiu zmiany.

- Istotnie, człowiek zmienia się, kiedy jest zakochany - powiedział Koloman. - Ale ty jesteś wciąż taki sam, nie rosną ci nawet paznokcie!

- Dobry dowcip! - odparł z krzywym uśmiechem Populescu. - Prostokąt oznacza



aktywność miłosną i tu z pewnością trafiła.

- A co? Ktoś cię zgwałcił? - zapytał Simonis.

- Kretyn! Żebyście widzieli, jak na mnie patrzyła, tłumacząc mi znaczenie prostokąta!

Jakby mówiła: „Przekonasz się”.

- W porządku, Nostradamusie - rzekł Koloman ze złośliwym uśmieszkiem. - A mysz?

- To niezbyt przychylny znak, ale biorąc pod uwagę głupoty, które mówicie, także jest trafny. Oznacza: strzeż się przyjaciół!

- Przecież ich nie masz! - wykrzyknął Koloman.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, co ostatecznie wyprowadziło z równowagi Populescu.

- Śmiecie się, śmiecie! Mam jednak nadzieję, że moja brunetka...

- Porzuć nadzieję, bo i tak nie pójdzie z tobą do łóżka - powiedział rozweselony Koloman.

- Ani z tobą. Nie cierpi odoru spod pach.

*Godzina 17: kończą się niedzielne spektakle w teatrach. Do kolacji zasiadają rzemieślnicy, sekretarze, nauczyciele języków, księża, sprzedawcy, lokaje i woźnice (w Rzymie jest pora podwieczorku)*

Zapłaciłem Kolomanowi i Opalińskiemu za usługę, pożegnałem się z nimi i razem z Penickiem i Dragomirem posiliłem w pobliskiej knajpie (zupa z kurczaka, smażone rybki, bułeczki, sztukamięs, pieczony kapłon i dziki kogucik). Już miałem wracać do klasztoru, kiedy Simonis powiedział:

- Musimy się pośpieszyć, panie majstrze, Christo już pewnie na nas czeka.

Wsiadliśmy do kolasy i Grek kazał Penickowi jechać do parku Prater.

- Prawda, Christo! Zupełnie o nim zapomniałem. Mówiłeś, że nie przyjdzie na spotkanie.

- Proszę mi wybaczyć małe kłamstewko, panie majstrze. Jak miał pan okazję się przekonać, nie pojawił się. Nie dlatego jednak, że nie mógł. Po prostu nie chciał mówić przy wszystkich.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem. Dzisiaj rano widziałem się z nim w przelocie i powiedział mi, że tak będzie lepiej, bo jego zdaniem coś jest nie tak.

- Co?

- Nie powiedział. Wspomniał tylko, że sens wypowiedzi agi zawiera się w słowach *solī solī solī*.

- Dlaczego?

- Mówił, że ma to coś wspólnego z szach-matem.

- Z szach-matem? - zdziwiłem się.

- Właśnie. Na pana miejscu zawierzyłbym jego intuicji. Christo jest prawdziwym filozofem gry w szachy.

Christo Christov, wyjaśnił Simonis, jest wielbicielem szachów. Szachowe pojedynki zawsze wygrywa i z tego się utrzymuje. Nocą Wiedeń był niepodzielnym królestwem gier hazardowych. Zawody z losem toczyły się w każdym zakątku miasta: w gospodach, kawiarniach, lokalach dla bogaczy, podrzędnych knajpach.

Kolasa nagle skręciła.

- Co się dzieje? - zapytał Simonis.

- Nic takiego, procesja.

Ulicą szli ojcowie oratorianie od Św. Filipa Neri, więc Penicek musiał ustąpić im drogi i raptownie skręcić w przecznicę. Gdyby tego nie uczynił, musielibyśmy zatrzymać się, uklęknąć i czekać cierpliwie na przejście procesji, skutkiem czego spóźnilibyśmy się na spotkanie z Bułgarem.

- Christo grywa zwykle w gospodzie Pod Zielonym Drzewem przy ulicy Wallner - poinformował Simonis. - Ładny lokal, ale zawsze zatłoczony.

Zachodzą tam - wyjaśnił - nie tylko rzemieślnicy, sprzedawcy i pospólstwo, ale także rodowodowi arystokraci i klerycy o kryształowej reputacji, gotowi dać się okraść przez zawodowych graczy w kości, karty, basetę, trzydzieści-czterdzieści, trik traka i szachy.

- Większość z nich pochodzi z Włoch. Są najlepsi, także szachiści. Christo wspominał mi o niejakiem Gioacchinie Greco z Kalabrii, który jego zdaniem jest najlepszym graczem wszech czasów. Wszyscy grają wyłącznie dla pieniędzy, i to dużych pieniędzy - dodał Simonis.

Penicek kolejny raz zwolnił.

- Co się dzieje tym razem?! - wykrzyknął surowym tonem mój pomocnik.

Druga procesja.

- Jeszcze jedna? Z jakiej to okazji?

- Nie mam pojęcia, panie cyruliku - odparł pismak z szacunkiem. - Bractwo Niepokalanego Poczęcia zmierza ku katedrze świętego Szczepana.

Zanim kolasa skręciła w przecznicę, zdołałem dostrzec smutne twarze uczestników procesji i usłyszeć ich żarliwy śpiew.

- Co noc - podjął swą opowieść Simonis - całe majątki zmieniały właścicieli. Włoscy

hazardziści przejmowali złoto, domy, klejnoty. Ci, którzy nie mieli nic do zaoferowania, tracili ręce albo oczy.

- Niesłychane! Naprawdę?

- Ludzie, którzy uczciwie pracują i w nocy śpią w swoim łóżku, nie mają pojęcia, do jakich tragedii dochodzi. Nierzadko zrozpaczeni przegrani odbierają sobie życie. Rozporządzenie władz miejskich z 1350 roku wyraźnie mówi, że stawką w grze nie mogą być oczy, dłonie, stopy czy nos. Ponieważ przepis nie był przestrzegany, piętnaście lat temu cesarz Leopold przywrócił karę za uprawianie hazardu.

Kiedy Grek odkrywał przede mną tajemnice nocnego życia w Wiedniu, kolasa ponownie zatrzymała się.

- Pismaku, co znowu, do licha? - spytał Simonis.

- Proszę o wybaczenie, panie cyruliku - odparł woźnica pokornie. - Tym razem nie udało mi się ominąć procesji.

- Co się dzisiaj dzieje? - zdziwiłem się. W niedzielę procesje były rzadkością.

- Właśnie przechodzą członkowie cechu ślusarzy. Oni też idą do katedry świętego Szczepana - poinformował Peniś.

- Zapewne będą się tam wspólnie modlić. Wiesz coś o tym, pismaku?

- Niestety nie, panie cyruliku.

Ulicą szła kolejna procesja, którą zwiastował głośnie dźwięk dzwonków. Dwaj zamiatacze ulic odgarniali łopatomi śnieg, torując drogę kapłanowi z Najświętszym Sakramentem. Zgodnie z wiedeńskim obyczajem uklękliśmy, przeżegnaliśmy się i uderzyliśmy w piersi. Podobnie uczynili przechodnie.

- A niech to! Spóźnimy się - narzekał Simonis, tak jak my przemarznięty do szpiku kości.

Tymczasem procesja sunęła do przodu, prowadzona przez księdza z Najświętszym Sakramentem. Zauważyłem, że wielu jej uczestników miało zapłakane twarze. Obok mnie dwaj młodzi ludzie schwycili za kark swojego rówieśnika i zmusili do uklęknienia. Przy takich okazjach wiedeńscy protestanci (nieszczęśnik był zapewne jednym z nich) mieli obowiązek zdjąć kapelusz i paść na kolana, w praktyce jednak byli do tego zmuszani siłą. Słyszałem, że podobnej przemocy doznał kiedyś ambasador Prus, za co dwór cesarski musiał później przeproszać.

Nasze spóźnienie rosło. Z powodu procesji zatrzymały się dwie inne karety. Podróżujące nimi osoby uklękły wewnątrz. Tłum rzucał im wrogie spojrzenia. Gdyby ta scena rozegrała się na przedmieściach, gdzie maniery są mniej wytworne niż w centrum, z

pewnością zostałyby zmuszone do opuszczenia karety i uklęknienia na ziemi.

Na dźwięk dzwonek mieszkańcy okolicznych domów przerwali zajęcia i przez kilka minut trwali w pozycji klęczącej, czyniąc znak krzyża i bijąc się w piersi.

Nawet teatrzyk marionetek, który jeszcze przed chwilą prezentował jakieś banalne przedstawienie, zastygł w bezruchu. Na widok procesji z Najświętszym Sakramentem aktorzy zmienili się w pobożnisiów.

Ledwo procesja przeszła, życie powróciło do normy.

- Rozumiem, że można przegrać w karty czy kości, doprowadzając się do ruiny - powiedziałem, kiedy kolasa ruszyła. - Ale w szachy? Kto daje się oskubać szachiście?

- Christo udzieliłby panu bardziej wyczerpującej odpowiedzi. Powszechnie wiadomo, że gra w szachy jest najbardziej wysublimowaną i wzniosłą rozrywką. Ze względu na niezwykłą subtelność najchętniej oddają się jej książęta. Słyszał pan zapewne, że wśród wiedeńskich arystokratów zapanowała moda na tę grę. Biorą lekcje i ćwiczą umiejętności pod okiem korepetytora, tak samo jakby zgłębiali tajniki muzyki, filozofii czy medycyny.

Istotnie, w domach zamożnych osób, gdzie czyściłem przewody kominowe, wielokrotnie widziałem w salonach wspaniałe szachownice z szlachetnego drewna, intarsjowanego lub wysadzanego drogimi kamieniami.

- Dzisiaj najlepsze szachownice wytwarza się w Lyonie, Paryżu i Monako - dodał mój pomocnik. - Najpiękniejsze z nich jeszcze przed wojną sprowadzano do Wiednia. Krótko mówiąc, szachy stają się grą bogaczy. Christo udziela lekcji wielu zamożnym uczniom. Kiedy gra dla pieniędzy, jego przeciwnikiem często jest bogaty młodzieniec. Dlatego też dość dobrze zarabia.

- Ale chyba zdarza mu się przegrać?

- Studentów chroni specjalne prawo. Na mocy przywileju wydanego w 1267 roku przez księcia Albrechta student może stracić w grze tylko te pieniądze, które ma przy sobie, ani centa więcej. Stawką nie mogą być książki ani ubranie. Poza tym zwycięstwo jest ważne w obecności poręczyciela, zarządzającego wpływami graczy. Ponieważ Christo gra bez poręczyciela, w razie przegranej przypomina o przepisie i nie płaci. Niektórzy czują się oszukani i mszczą się.

Dotarliśmy do Wyspy Leopolda na jednej z odnóg Dunaju, gdzie znajdował się dom, w którym nazajutrz miał zamieszkać turecki aga ze świtą. Przejechaliśmy wysadzaną drzewami aleją i wjechali na niewielki most nad kanałem, łączący Wyspę Leopolda z rozległym parkiem Prater, rajem dla myśliwych.

Christo ma dla nas bardzo ważne informacje, skoro wyznaczył spotkanie w tak

odległym miejscu.

Za mostem minęliśmy willę Hackelbergów po prawej stronie, rezydencję Lówenturmów po lewej. Kolasa zatrzymała się przed bramą do parku Prater. Ja i Simonis wysiedliśmy, Peniłek został na miejscu dla woźnicy. Grek polecił mu, żeby się stamtąd nie ruszał.

Niespodziewany atak zimy zatrzymał mieszkańców Wiednia w domach, ulice były puste. Dojmujący chłód zniechęcił nawet dzieci, które przez dziury w ogrodzeniu dostawały się do parku na Wyspie Leopolda, by pojeździć na saneczkach i pobawić się na śniegu.

- Chyba jest zamknięta - zauważyłem, wskazując na bramę.

- Oczywiście, panie majstrze, przecież to park cesarski. Proszę iść za mną - powiedział i ruszył wzdłuż palisady.

- Kiedyś z Cloridią spędziliśmy w tym parku prawie cały dzień - oznajmiłem.

- Strażnicy przymykają niekiedy oko, na ogół jednak zwykli ludzie nie mogą tu wchodzić. Wstęp do parku ma jedynie Jego Cesarska Wysokość, damy i kawalerowie, cesarscy doradcy, kanclerze i urzędnicy. Park powstał za panowania Maksymiliana II. Część gruntów należała między innymi do zakonu Porta Coeli. Siostry miały na własność niemal pół Wiednia.

- Istotnie, jeszcze dziś należy do nich winnica w Simmering, niedaleko Bezimiennego Miejsca.

- Tu, w Praterze - ciągnął Grek, jakby mnie nie słuchał - Maksymilian polecił urządzić dużą aleję wysadzaną drzewami. Z pewnością widział ją pan.

Ponownie szliśmy więc tropem Maksymiliana II, pomyślałem, pana Neugebau. Czyżby przeznaczenie?

Simonis zatrzymał się przed dziurą w ogrodzeniu, częściowo zasłoniętą krzakami.

- Dzieci przekradają się tędy do parku, żeby się pobawić, natomiast ja i moi przyjaciele z zupełnie innych powodów - oświadczył Simonis.

Gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie ogrodzenia, naszym oczom ukazał się bajeczny widok. Cały park pokryty był śnieżnym całunem. Wierzchołki drzew wtapiały się w mlecznobiałe niebo. Wszystko wokół było zasypane śniegiem. Ziemię i niebo zakryła wszechogarniająca, połyskująca biel. W fantastycznym krajobrazie kryły się bażanty, jelenie i daniele - przysze ofiary myśliwskiej pasji cesarza.

Dziwne - powiedział Grek, rozglądając się dokoła. - Christo powinien już tu być. Przez te procesje nie wiem, czy to my się spóźniliśmy, czy on.

Na śniegu dostrześliśmy świeże ślady butów. Białe płatki padały coraz gęściej.

- Jak sądzisz? Czy to on tędy szedł? - zapytałem.

- Tak myślę, panie majstrze.

Ruszyliśmy po śladach, wytężając wzrok. Wirujące śnieżynki przesłaniały nam widok. Szliśmy szybko, w obawie, że zasypią trop, który prowadził w stronę długiej alei wysadzonej drzewami, ciągnącej się przez cały park, aż po Dunaj. Na początku alei skręcały w lewo.

- Dziwne - zafrasował się Simonis. - Poszedł przez las. Czy zauważył pan, że odległość między śladami zwiększyła się?

- Co oznacza, że zaczął biec.

- Chyba tak, panie majstrze.

Urok zaśnieżonego Wiednia nie ma sobie równych. Drzewa, pagórki, krzewy, polany, omszałe skały - cały park Prater staje się jednolitym, nieskazitelnie białym obszarem. W oddali, poza zasięgiem naszego wzroku, płynęły spienione wody Dunaju.

Już w starożytności Dunaj uważany był za jedną z najważniejszych rzek Europy, a nawet świata. Owidiusz porównał go z egipskim Nilem. Warto zauważyć, że podobnie jak włoski Pad czy Tamiza w Anglii, Dunaj płynie na wschód, w przeciwieństwie do większości rzek na świecie. Jedyne na Węgrzech na krótkim odcinku kieruje się na zachód, a w My-zji skręca nieco na północ, utrudniając tym samym - dzięki Bogu! - marsz ludów osmańskich na zachód. Na Dunaju w pobliżu Wiednia zatrzymują się w przystaniach barki z winem i produktami żywnościowymi, a w niewielkich portach - stateczki pasażerskie i rybackie kutry. Jedna z takich przystani znajduje się przy kanale oddzielającym Prater od wyspy zwanej Groblą. Którejś niedzieli, podczas spaceru, zabłąkaliśmy się z Cloridią aż tam. Wdaliśmy się wtedy w pogawędkę z przewoźnikami.

Tymczasem wzmogła się zadyмка. Wydawało się, że śnieżny Jowisz z pomocą wszystkich wiatrów dokłada starań, by w kwietniu zapanowała taka pogoda jak w styczniu. Wiało tak silnie, że musieliśmy przysłaniać oczy i baczniej obserwować drogę.

- Widzisz coś?! - zawołałem, starając się przekrzyczeć wycie wiatru.

- Tam coś jest.

Spod śniegu wystawała stara płócienna torba. Gdy podnieśliśmy ją, okazała się dość ciężka. Wewnątrz mieścił się jakiś twardy przedmiot. Otrzepawszy torbę ze śniegu, zajrzeliśmy do środka. Naszym oczom ukazała się duża drewniana szachownica, owinięta w czerwone sukno, z wieczkiem wzmocnionym metalową, ozdobnie rżniętą płytą, oraz woreczek wypełniony figurami szachowymi.

- To szachownica Christa!

- Jesteś pewien?

Simonis wyjął z sakiewki czarny pionek i figurkę konia, powleczoną łuszczącą się białą farbą. Barwy przedmiotów zdawały się nawiązywać do bieli śniegu i czerni suchych krzewów. Cały park wyglądał jak przybrany dwukolorową koronką.

- To jego szachy. Używa ich do rozgrywek za pieniądze - oznajmił Simonis.

- Chodźmy dalej! - powiedziałem, zarzucając torbę Christa na plecy. Z niepokojem spojrzałem za siebie.

Ostatni odcinek drogi biegł ostro pod górę. Wspinaczka będzie wymagała wysiłku. Byliśmy skostniali z zimna. U stóp pagórka, za którym płynął Dunaj, dostrzeżliśmy przysypane śniegiem ślady Christa (o ile rzeczywiście do niego należały).

- Wracajmy! - zaproponowałem. - Nie chciałbym, żeby...

Słowa zamarły mi na ustach. W oddali dał się słyszeć stłumiony odgłos. Spojrzeliśmy po sobie. Simonis w milczeniu dał mi znak. Śnieżna zadymka ograniczała widoczność do kilku kroków. Wiatr wiał prosto w twarz. Z pochyloną głową, przygarbieni, zaczęliśmy się wspinać w górę. Na szczycie wiatr zmienił kierunek. Przed nami otworzył się cudowny widok na tysiące wysepek w zakolu Dunaju. Z książki, którą przeczytałem w Rzymie, zanim przyjechaliśmy z Cloridią do Wiednia, dowiedziałem się, że krystalicznie czyste, spokojne wody Dunaju biorą początek poniżej miasta Donaueschingen w Niemczech, na stokach Schwarzwald (przez starożytnych nazywany Sylva Martiana), w pobliżu cmentarza na terenie posiadłości hrabiów Furstenbergów. Kiedy obejmowałem spojrzeniem słynne wody, które dotarły do Wiednia, pokonawszy odcinek długości sześciuset czterdziestu kilometrów, niemal zapomniałem, z jakiego powodu znalazłem się na szczycie pagórka. Z zamyślenia wyrwał mnie krzyk Simonisa:

- Panie majstrze! Panie majstrze! Tutaj!

Ciało leżało na śniegu obok drzewa, z twarzą zwróconą ku ziemi. U nasady karku dostrzeżliśmy głęboką ranę od noża. Cios nożem zapewne nie wystarczył, morderca wcisnął głowę Christa w śnieg, żeby się udusił.

Odwróciliśmy go na wznak. Twarz Christa była sinobiała. Nie żył. Wszystko wskazywało na to, że zmarł przed kilkoma minutami.

- Mój Boże! Przyjacielu, kto ci to zrobił? - powiedział Simonis. Z jego głosu przebijał smutek, ból i bezsilna złość.

Christo Hadzi-Tanjov, student i szachista, zakończył swe młode życie na zaśnieżonych polach parku Prater, z dala od ukochanej Bułgarii.

Nieopodal dostrzeżłem trzy pary sanek. Były przywiązane do drzewa, jakby w oczekiwaniu na zimowy sezon. Pozostawiły je zapewne dzieci. Simonis modlił się po cichu.

Ja też się przeżegnałem i poleciłem duszę biednego Christa Bogu. Zastanawiające, że Pan zesłał nam sanki, symbol niewinnego dzieciństwa, jakby chciał nas pocieszyć.

- I co teraz? - zapytał Grek.

Christo był dwa razy wyższy i potężniejszy ode mnie. Nie dalibyśmy rady ułożyć go na sankach.

- Musimy go pochować - powiedziałem. - Chwileczkę! Coś sobie przypomniałem.

Zauważyłem, że lewa ręka Christa była odrzucona w bok. Prawą natomiast miał przyciśniętą do brzucha i coś trzymał w dłoni. Podeszedłem bliżej i, drżąc ze strachu, rozprostowałem palce prawej dłoni Christa. Był w niej jakiś przedmiot. Podałem go Simonisowi, który stał obok mnie.

- Biały król - stwierdził.

- Christo porzucił szachownicę z pozostałymi figurami. Zatrzymał tylko białego króla. Dlaczego?

- Nie wiem - odparł Simonis. - Pamiętam, że gdy Christo rozgrywał ważną partię i zastanawiał się nad kolejnym ruchem, miał zwyczaj obracać w palcach figurę, którą odebrał przeciwnikowi. Przyglądałem się wielu rozgrywkom. Niektórzy szachiści w zamyśleniu drapią się po głowie, inni kiwają nogą pod stolikiem, jeszcze inni pukają się po nosie. Christo bawił się wygranymi figurami. Pewnego razu, podczas partyjki za pieniądze, przez godzinę przekładał z ręki do ręki figurę konia.

- Trzymał w dłoni białego króla - podsumowałem - bo podczas ucieczki nie miał możliwości włożyć go do torby. Pytanie: dlaczego? Nie grał przecież w szachy.

W tej samej chwili usłyszeliśmy huk wystrzału. Pocisk przeleciał tuż obok i z sykiem spadł w śnieg. Wśród drzew przemknęły dwa cienie. Simonis rzucił się do ucieczki. Biegł w stronę Dunaju.

- Zaczekaj! - zawołałem za nim, a gdy się zatrzymał, wskazałem wymownym gestem saneczki.

Pojął w lot, o co mi chodzi.

Po kilku sekundach zjeżdżaliśmy z górki. Moje saneczki były niewielkie, jak zabawka, ale dzięki temu mknęły po śniegu z prędkością strzały. Cięższy ode mnie Simonis zjeżdżał jeszcze szybciej. Szusowałem w dół, wychylając się to w lewo, to w prawo, pomagając sobie przy tym nogami. Cudem omijałem drzewa, niekiedy dwa razy szersze od sanek. W pewnej chwili musiałem gwałtownie zahamować, żeby nie przewrócić się w śnieg.

Zanim ponownie nabrałem szybkości, odwróciłem się i spojrzałem do tyłu. Jeden z goniących nas ludzi nadal biegł za nami, ostrożnie omijając drzewa i ślizgając się na



zaśnieżonym, kamienistym stoku.

Nagle moje sanki zahaczyły o wystający kamień (kwietniowe opady śniegu nie są tak obfite jak w lutym). Zakląłem. Przywracając je do po-przedniego położenia, zorientowałem się, że tracę przewagę nad ścigającymi.

Nie ujechałem daleko. Sanki zatrzymały się na kamienistym podłożu. Warstwa śniegu była zbyt cienka. Zsiadłem i popędziłem przed siebie. Straciłem z oczu Simonisa. Biegł gdzieś daleko przede mną. Usłyszałem głosy ścigających nas ludzi. Odwróciłem się: myśliwi rozdzielili się-jeden gonił mnie, drugi pobiegł za Simonisem.

Modląc się, by nie znali włoskiego i Grek zdołał mnie usłyszeć, krzyknąłem:

- Simonis, w prawo, w stronę kanału!

Chciałem dołączyć do mojego pomocnika i również skręciłem w prawo. Zmieniłem jednak zdanie i nadal biegłem prosto w dół pochyłości, ale teraz miałem przewagę nad przeciwnikiem, już nie słyszałem odgłosu jego kroków za plecami. Nagle ciszę w parku Prater przerwał huk: Turek (jak się domyślałem) ponownie wystrzelił. Pocisk trafił w drzewo po mojej prawej stronie, rozcinając korę. Zapewne zmęczony pościgiem, nie zamierzał walczyć ze mną białą bronią, tylko mnie zastrzelić. Biegłem, klucząc. Skręcałem w prawo, to znów w lewo, tak aby na linii strzału znalazło się jak najwięcej drzew. Zastanawiałem się, jak długo wytrzymają moje buty. Straciłem czucie w palcach, stopy przemarzły mi aż do kostek, nie byłem pewny, czy w ogóle je mam.

Usłyszałem kolejny strzał i nad moją głową złamała się gałąź. Mój prześladowca niezwykle sprawnie ładował pistolet. Za każdym razem, kiedy wkładał pocisk, musiał się zatrzymać, ale szybko mnie doganiał. Mając krótkie nogi, nie mogłem uciec daleko.

Dotarłem do ścieżki prowadzącej na Wyspę Leopolda. Drzew było coraz mniej, w końcu znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. I ja, i mój prześladowca zaprzestaliśmy biegu. Padaliśmy z wyczerpania, nogi się pod nami ugiwały. Rozległ się odgłos czwartego, decydującego strzału. Poczułem ból w plecach i upadłem twarzą do ziemi. Stało się to w chwili, gdy skręciłem w ścieżkę. Gdybym miał dość sił, doczołgałbym się za ogrodzenie Prateru, ku ocaleniu.

Próbowałem się podnieść, ale zachęcony celnym strzałem, ścigający podbiegł do mnie, usiadł na mnie okrakiem, zablokował moje prawe ramię kolanem, a lewe - ręką. Wolną ręką wyciągnął z kieszeni nóż. Wiłem się jak piskorz i niewiele brakowało, abym się uwolnił. On był jednak bardzo szybki, a jego nóż ostry (kalkulowałem w głowie). Jeden ruch i będzie po mnie. W przebłysku świadomości, typowym dla decydujących chwil życia, przemknęła mi myśl, czy Simonisa czeka taki sam koniec po drugiej stronie Prateru. Kątem oka

dostrzegłem, że plama krwi na śniegu staje się coraz większa.

Zza chustki zasłaniającej pół twarzy wpatrywała się we mnie para ciemnych oczu. Nasze spojrzenia skrzyżowały się w chwili, gdy mężczyzna uniósł nóż, by pozbawić mnie życia.

W tym samym momencie usłyszałem, jakby we śnie, głos Penicka:

- Stój! Nie ruszaj się!

Mój prześladowca zawahał się, zwolnił uścisk, zerwał się i zaczął uciekać w tę stronę, skąd przybyliśmy.

Nawet nie próbowaliśmy go gonić. Zrezygnował z walki, gdy z odsieczą przybył Penick, ale gdyby wiedział, że nie mamy broni, i miał czas oraz sposobność załadować pistolet, moglibyśmy obaj zginąć.

- Wszystko w porządku? - zapytał wystraszony Penick i podszedł do mnie, kulejąc.

- Mam ranę na plecach - odparłem mechanicznie, podnosząc się z ziemi.

Penick obejrzał starannie moje plecy.

- Jaką ranę?

- Od postrzału. Strzelił do mnie z pistoletu!

Spojrzałem na ziemię. Czerwona plama, którą wziąłem za krew, okazała się czerwonym sukniem chroniącym szachownicę Christa Chadzi-Tanjova.

Cenne narzędzie pracy nieszczęsnego Bułgara wysunęło się z torby, gdy walczyłem z napastnikiem bez twarzy. Pomacałem się po plecach: były całe. Po chwili wszystkiego się domyśliłem. Zdjąłem torbę z pleców. Była w niej dziura po kuli, taka sama jak w suknie. Wyjąłem szachownicę. Metalowe wieczko było ledwie draśnięte. Kula odbiła się od metalu. Szachownica Christa ocaliła mi życie.

- Gdzie jest pan cyrulik? - spytał zaniepokojony Penick.

- Pobiegł w kierunku Dunaju - odpowiedziałem. - Musimy mu pomóc. Jego też ściga jakiś człowiek, nie wiem, czy Turek, czy chrześcijanin. Jak mnie znalazłeś?

- Usłyszałem strzał. Domyśliłem się, że grozi wam niebezpieczeństwo, i biegłem po waszych śladach - wyjaśnił. - Gdzie się podział Christo?

Usłyszawszy hiobową wieść, Penick zbladł jak ściana. Zbliżaliśmy się do miejsca, w którym rozbiegliśmy się z Simonisem w różne strony. Rozglądaliśmy się za nim, ale nigdzie nie było go widać. Zrezygnowaliśmy z dalszych poszukiwań. Czas naglił. Mordercy Christa byli na pewno gdzieś w pobliżu. Czułem, że zamarznię, jeśli natychmiast się nie rozgrzeję szybkim marszem. Modliłem się, żeby nie nabawić się odmrożeń.

W końcu dotarliśmy do niewielkiej przystani przy kanale łączącym park Prater z

wyspą zwaną Groblą. Na piasku, o kilka kroków od wód Dunaju, spoczywało kilka odwróconych do góry dnem łodzi, przeznaczonych do transportu ludzi i zwierząt. Simonisa ani śladu. Już mieliśmy zawrócić, kiedy usłyszeliśmy znajomy głos:

- Panie majstrze!

- Simonis! - zawołałem, biegnąc w jego stronę.

Greki ukrył się pod łodzią niczym żółw w skorupie.

- Ten nikczemnik gonił mnie aż tutaj - powiedział, dysząc ze strachu i zmęczenia. - Byłem pewien, że mnie dopadnie, ale na szczęście spłoszyliście go.

- Zapewne spotkali się w parku - wydedukował pismak - i uciekli przez dziurę w ogrodzeniu.

Opowiedziałem Grekowi, co się wydarzyło.

Pokazałem ślad po pocisku na metalowym wieczku szachownicy nieszczęsnego Christa, która ocaliła mi życie.

- Wracajmy, zanim nasi ciemżyciele zjawią się tu ponownie - powiedziałem na zakończenie mojej historii.

Przemierzaliśmy zaśnieżone polany parku Prater, zostawiając na nich nasze ślady. Trzeci ślad miał należeć do Christa, ale jego już dziobały kruki.

*Godzina 20: zamykane są gospody i piwiarnie*

- Aby docenić strategiczne znaczenie Landau, należy spojrzeć na mapę - oświadczył Atto, kreśląc w powietrzu kościstymi, starymi dłońmi wymyśloną mapę Europy.

Po powrocie do klasztoru Porta Coeli musiałem natychmiast porozmawiać z opatem Melanim. Chciałem mu o wszystkim opowiedzieć, podzielić się obawami i dręczącymi mnie wyrzutami sumienia, przede wszystkim zaś spojrzeć mu w oczy i odgadnąć, co czuje. Pragnąłem przekonać się, czy Atto miał coś wspólnego z zabójstwem Christa i Daniła.

Z twarzą brudną od błota, przemarznięty do szpiku kości, przejęty śmiercią młodego Bułgara, do czego się zapewne przyczyniłem, zapukałem do drzwi Atta. Otworzył mi bratanek. Był blady i niemal bez przerwy kichał. Najwidoczniej nabawił się przeziębienia. Widząc, w jakim jestem stanie, zrobił zakłopotaną minę. Oznajmił, że stryj nie spodziewał się mnie o tak późnej porze i leży już w łóżku.

- Proszę o wybaczenie, panie Atto - powiedziałem. - Nie sądziłem...

- Nic nie szkodzi. Położyłem się, bo sam rozumiesz, cóż ma począć osiemdziesięcioletni starzec, ślepy, w klasztorze... Nie pozostaje mu nic innego, jak chodzić spać z kurami.

- Jeśli chce pan odpocząć, pójdę już...

- Przeciwnie. Niedawno cię szukałem. Chodzi o tę przeklętą hrabiankę Palffy. Przez całe popołudnie mieliśmy na oku jej dom i nic. Choć jest kochanką cesarza, wiecie żywot zakonnicy. W odróżnieniu od pani de Montespan... Austriacy są bardzo cnotliwi, nawet kiedy cudzołożą. Cnotliwi i nudni.

- Panie Atto, mam ważną wiadomość. Christo Hadzi-Tanjov, jeden z przyjaciół Simonisa, nie żyje.

Opowiedziałem opatowi o zdarzeniu w parku Prater i o tym, jak sam ledwo uszedłem z życiem. Melani słuchał w milczeniu. Domenico zbladł jeszcze bardziej i przeżegnał się.

- Zastanawiam się, czy jesteśmy w Wiedniu, czy w piekle - powiedział.

- Jak miał na nazwisko ten Christo? - zapytał Atto.

- Hadzi-Tanjov. Już mówiłem.

- Ha... co?

- Hadzi-Tanjov.

Melani uniósł brwi, jakby mówił: „Tak myślałem”.

- Czyli pół Bułgar, pół Turek.

- Jak to? - zdziwiłem się.

- Widzę, że nie znasz geografii ani historii. Bułgaria od czterystu lat jest pod panowaniem Osmanów. Leży w Rumelii, jak Turcy nazywają europejską część swojego imperium.

Oniemiałem. Christo był poddanym Wysokiej Porty.

- Jak zarabiał na życie? On też lubił niebezpieczne zajęcia? Pytanie, sformułowane tendencyjnie, zmyliło mnie.

- Był szachistą. Grał na pieniądze. Atto milczał.

- Wiem, hazard to ryzykowne zajęcie - przyznałem. - Ale to już drugi student, którego zamordowano. Dziwnym trafem, zginął na krótko przed spotkaniem ze mną. Jego zabójcy strzelali też do mnie. Czy uczyniliby to, gdyby Christo nie był powiązany w jakiś sposób z tureckim agą?

- Dlaczego zadajesz mi takie głupie pytania? Wyjaśnienie jest proste. Wzięli cię za cesarskiego urzędnika ścigającego hazardzistów.

- Może pytanie jest głupie, ale dziwi mnie to, że nie wydaje się pan zmartwiony, iż ktoś do mnie strzelał.

- Posłuchaj! Nie mam wątpliwości, że młodzieniec z Pontevedro zginął w wyniku porachunków. Hadzi-Tanjov zrobił zapewne fałszywy krok, albo raczej ruch, zważywszy na jego zamiłowanie do szachów. Ty także musisz uważać, by nie popełnić błędu. Szczerze bym

cię oplakiwał. Każdy musi sam wypić piwo, którego sobie nawarzył.

- Naprawdę nie ma pan mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie. A jeśli szukasz winnego, spójrz w lustro. Giną ci, którzy umówili się z tobą na spotkanie - zawyrokował ze złośliwym uśmiechem.

Zrezygnowałem z zadawania dalszych pytań. Wiadomość, że Christo był Turkiem, oszołomiła mnie. Opat Melani nie potraktował poważnie śmierci studentów. Gdybym nalegał i domagał się wyjaśnień, po prostu uciąłby rozmowę i wyprosił mnie z pokoju. Jeśli chciałem dowiedzieć się czegoś od starego, kapryśnego kastrata, musiałem znaleźć inny sposób. Byłem jednak zbyt zmęczony, by o tym myśleć.

Domenico pomógł Melanemu usiąść na łóżku. Razem z chusteczką, którą wyjmowałem z kieszeni, żeby wytrzeć sobie twarz, wypadł z brzękiem kawałek czerniałego srebra, który Clordia przyniosła z pałacu księcia Eugeniusza.

- Co to jest? - zapytał Atto, unosząc brew i patrząc w moim kierunku. Spojrzałem na niego zdziwiony.

- Nocą widzę co nieco - powiedział, uprzedzając moje pytanie. - Stosuję kurację z powideł śliwkowych z dodatkiem aloesu, cynamonu, szafranu, miodu i soku z jabłek. Leczenie przyniosło skutek także dzięki temu, że sypiam z gołymi stopami. Wracając do rzeczy - co tak brzęknęło?

Po omacku zaczął szukać swoich ciemnych okularów na nocnej szafce. Domenico podał mu je usłużnie. Wyjaśniłem, w jakich okolicznościach Clordia weszła w posiadanie dziwnej monety.

- Ciekawe - mruknął. Położył okrągły przedmiot na dłoni i obmacał go dokładnie.

- Usiądź obok mnie na łóżku i powiedz, proszę, co widzisz - poprosił. Opisałem obie strony srebrnego przedmiotu i przeczytałem napis.

- Landau 1702, cztery liwry, powiadasz? - powtórzył. - I Sabaudczyk miał to w rękę podczas audiencji agi? No, taaak.

- To jest chyba moneta konsekracyjna, wybita prymitywnym sposobem z okazji zdobycia twierdzy Landau przez Najjaśniejszego Cesarza w 1702 roku - powiedziałem.

- To coś więcej, mój chłopcze.

Miasto Landau, powiedział Atto, było newralgicznym punktem Europy, położone dokładnie pośrodku kontynentu, w równej odległości od

Berlina, Hamburga, Wiednia, Mediolanu i Paryża. Znajduje się w Palatynie, w południowo-zachodniej części Niemiec, tuż nad granicą z Włochami, obok Austrii, ale od dziesięcioleci należało do Króla Słońce. Było czymś w rodzaju ostrza wymierzonego w

brzuch Niemiec i bok Austrii.

Ze względu na duże znaczenie strategiczne Landau dwadzieścia lat wcześniej Ludwik XIV zlecił najzdolniejszemu ze swoich inżynierów, słynnemu Vaubanowi, umocnienie fortyfikacji. Dziwnym trafem w mieście wybuchł pożar, który strawił trzy czwarte domów. Vauban mógł więc swobodnie zmienić Landau w potężną, niezwyciężoną twierdzę.

W początkach 1702 roku we Włoszech północnych toczyła się hiszpańska wojna sukcesyjna. Wszystko wskazywało na to, że przeniesie się ona także na grunt niemiecki.

Istotnie, w ostatnich dniach kwietnia oddziały cesarskie otoczyły Landau, zajmując wszystkie drogi wjazdowe do miasta. Dziewiętnastego lipca żołnierze cesarza okopali się. Osiem dni później, dwudziestego siódmego lipca, dał się słyszeć głośny huk: wojsko cesarza powitało wystrzałami z broni dwudziestoczteroletniego Józefa, króla rzymskiego i następcę tronu imperium.

Melac, francuski dowódca twierdzy, niezwłocznie wysłał do obozu wroga herolda, przed którym kroczył trębacz, z wiadomością dla króla rzymskiego. Po pełnych szacunku słowach powitania zapytał Józefa, gdzie zamierza rozbić swój namiot, ponieważ nie chciałby w niego trafić, strzelając z dział.

- Jak to? - zapytałem zdziwiony. - Francuzi gotowi byli oszczędzić dowódcę wojsk nieprzyjacielskich?

- Umiesz grać w szachy?

- Nie.

- Trzeba ci zatem wiedzieć, że w grze w szachy nigdy nie zbija się króla, naczelnego wodza armii. Kiedy nie ma on możliwości obrony, gdyż otaczają go figury przeciwnika, mówi się szach-mat i partia jest skończona. Pokonany król kapituluje, ale nie ginie. Podobnie rzecz się ma w przypadku prawdziwych władców.

Józef, ciągnął opat Melani, odrzucił propozycję Melaca, mówiąc: „Mój namiot jest wszędzie, strzelajcie, gdzie chcecie. Oszczędź sobie trudu, miły heroldzie, i nie przychodź tu więcej. Powiedz swojemu dowódcy, że to jest moja ostateczna odpowiedź”.

Następnie zwrócił się do swoich żołnierzy: „Gdy dosiadam konia, unoszę się w powietrzu jak sokół. Koń mój jest powietrzem i ogniem, niestraszne mu są żywioły ziemi i wody. Nikomu, nawet francuskim psom, nie wolno strzelać do sokoła”.

Kilka dni później Józef, mimo nieprzyjacielskiego ostrzału, odwiedził żołnierzy w okopach. Gdy adiutant radził mu, by nie narażał na niebezpieczeństwo swojej cennej osoby, odparł krótko: „Kto się boi, niech wraca do domu”.

Dwudziestego ósmego lipca Józef kazał żołnierzom szykować się do walki. W nocy z

16 na 17 sierpnia przypuszczono atak na twierdzę. Francuzi trzykrotnie dali zdecydowany odpór. Ponieważ kasa garnizonu Lan-dau świeciła pustkami, Melac wypłacił żołd z własnej kieszeni.

- Doprawdy?

Atto wyciągnął dłoń z dziwnym kawałkiem srebra od Cloridii.

- Tak kaže dobry obyczaj. Dowódca z prawdziwego zdarzenia nie dopuści do tego, by jego ludzie walczyli bez zapłaty. Domenico! Czy mógłbyś podłożyć mi pod plecy poduszkę?

- Oczywiście, stryju!

Melac polecił więc przetopić swoją srebrną zastawę i naprędcie wybić monety. Niezgrabne, żalosne kawałki srebra o przeróżnych kształtach: prostokątnym, trójkątnym, kwadratowym przypominały raczej pieniądze do dziecinnnej zabawy w sklep niż prawdziwą walutę.

- Nawet dziurki, wykonane przez złotników francuskiego i niemieckiego, nie były jednakowe. Jednak każda z tych nietypowych monet była cenniejsza niż złoto, chłopcze - powiedział Atto poważnym tonem.

- Zatem te dziwne monety pełniły rolę pieniędzy! Fragmenty srebrnej zastawy Melaca! - powiedziałem zaskoczony. - A więc dlatego są takie krzywe! To pamiątka wojenna. Księżę Eugeniusz ma ich całą kolekcję. Jest chyba do nich bardzo przywiązany, skoro nosi w kieszeni jedną z nich.

Podczas oblężenia w 1702 roku Józef brał udział w najbardziej niebezpiecznych akcjach, dawał wszystkim przykład, narażał życie. Niósł pomoc rannym, współczuł wdowom, pocieszał sieroty po zabitych. Żołnierze z niedowierzaniem patrzyli, jak jego pełna blasku sylwetka, z podniesioną szpadą, włosami koloru rdzy, ginie w dymie wystrzałów, w obłokach bitewnego kurzu, a on, król rzymski, nie bacząc na zmęczenie, niebezpieczeństwo i rany, posuwa się naprzód.

Ruchy wojsk cesarskich koordynował margrabia Ludwik Badeński. Jego podwładnym był włoski hrabia Marsili.

- Hrabia Luigi Ferdinando Marsili? Znam to nazwisko - powiedziałem. - Jakiś czas temu kupiłem jego dwa traktaty: jeden o kawie, drugi o fosforze, o ile się nie mylę.

- Tak, to on. Wielki Włoch - stwierdził Atto.

Margrabia kierował ludźmi niezdarnie i powoli, w przeciwieństwie do Marsilego nie znał się na subtelnościach wojny pozycyjnej, zastosowaniu ładunków wybuchowych, technice saperskiej. Przez dwa miesiące nie uczyniono żadnych postępów, straty w ludziach były bardzo duże. Francuzi skutecznie odpierali ataki. Do Landau nadciągały francuskie posiłki

pod wodzą generała Catinata, armia cesarza musiała więc jak najszybciej zdobyć twierdzę, w przeciwnym razie zostałaaby pokonana. Marsili, nie mogąc znieść widoku ginących żołnierzy, powiadomił Józefa o błędach margrabiego. Przede wszystkim należało wzmocnić armaty i moździerze, stwierdził, i celniej strzelać. Józef osobiście dokonał przeglądu linii bojowych i postanowił posłuchać rady Marsilego. Ludwik Badeński był wściekły. Z kolei Marsili obiecał, że twierdza zostanie zdobyta w ciągu tygodnia.

Józef zauważył to, czego żaden z generałów nie miał odwagi mu powiedzieć: żołnierze byli zmęczeni, wystraszeni, zniechęceni. Zdobycie twierdzy stało się pod znakiem zapytania. Z chwilą przybycia armii Catinata doszłoby do przegranej. „Potrzebne są posiłki - mówił podobno Józef. - Jest nas za mało”.

Na dzień przed decydującą walką król rzymski wmieszał się sam, bez świty generałów, w szeregi zwykłej piechoty. Usłyszał, jak jeden z żołnierzy narzekał, że aby zwyciężyć Francuzów, potrzeba więcej ludzi. Wtedy Józef stanął na lawecie armaty i powiedział:

- Żołnierze, poddani cesarza, posłuchajcie! Jeśli naszym przeznaczeniem jest śmierć, to jest nas za dużo. A jeśli mamy żyć, tym większa będzie nasza chwała. Proszę was w imię Boga, abyście nie domagali się zwiększenia szeregów. Powiem więcej, kto nie ma ochoty walczyć, niech wraca do domu. Dostanie przepustkę, a nawet pieniądze na podróż. Nie chcemy ginąć u boku ludzi lękających się śmierci. Jutro przystąpimy do walki o twierdzę Landau. Ci, którzy przeżyją, będą z dumą wspominać ten dzień i do późnej starości czcić rocznicę bitwy o Landau. Blizny po ranach zadanych w dniu naszego zwycięstwa staną się waszą chlubą. Starzejąc się, ludzie tracą pamięć, wy także zapomnicie o wszystkim, z wyjątkiem czynów wojennych i imion dowódców: króla rzymskiego Józefa, Furstemberga, Bibry'ego, Marsilego. Opowiecie tę historię swoim synom. Pamięć o Landau nigdy nie przeminie, będzie trwała do końca świata, podobnie jak pamięć o garstce szczęśliwych ludzi - o nas, bracia. Ci bowiem, którzy razem ze mną przelewają krew, stają się moimi braćmi, nawet jeśli są skromnego pochodzenia. Hańbą okryją się ludzie wyższego stanu, którzy śpią teraz w ojczyźnie w wygodnych łózkach. Niech się wstydzą, że nie byli tu w dniu zwycięstwa i nie zachowali się w sposób godny mężczyzny, walcząc o Landau!

Józef mówił coraz głośniej. Kiedy ludzie zgromadzeni wokół rzymskiego króla, dzierżącego nagą szablę, klaskali, śmiali się i płakali ze wzruszenia, on zwrócił się do żołnierza domagającego się posiłków:

- No, jak, żołnierzu, nadal uważasz, że potrzebne są dodatkowe oddziały?

- Do licha, Wasza Wysokość! - odparł ów człowiek ze łzami w oczach, unosząc w



górze zaciśniętą pięść. - Chciałbym walczyć u boku Waszej Wysokości z tymi psami Francuzami! Tylko my dwaj!

- Był tam książę Eugeniusz? - zapytałem, podniecony słowami opata. Melani poczuł się zmęczony, przerwał na chwilę opowieść i napił się wody. Odstawił szklankę na nocną szafkę i, nie udzieliwszy mi odpowiedzi, mówił dalej:

- W noc poprzedzającą ostateczną bitwę nikt nie mógł spać, ani żołnierze cesarza, ani Francuzi. Aby lepiej zrozumieć panujący wówczas nastrój, wyobraź sobie posępne szmery w ciemnościach ogromnej czeluści wszechświata.

W obydwu obozach zapadła taka cisza, że strażnicy pełniący wartę słyszeli dochodzące z nich szepty, a w blasku ognia dostrzegali twarze żołnierzy. Od czasu do czasu dało się słyszeć budzące grozę rzenie koni. W namiotach zbrojmistrze pracowicie naprawiali broń, postukując młotkami. Pewni siebie Francuzi, dumni z przewagi liczebnej, spokojnie grali w kości o zwycięstwo nad znieawidzonymi żołnierzami cesarza.

Józef także nie mógł spać. Odprawił oficerów, którzy chcieli dotrzymać mu towarzystwa.

- Muszę być sam na sam z własnym sumieniem - powiedział. Przed świtem pożyczył od adiutanta płaszcz z kapturem zasłaniającym twarz i podając się za zwykłego kapitana, podchodził do żołnierzy przy ogniskach, zaglądał do namiotów. Żołnierze byli u kresu sił. Smutni, z zapadniętymi policzkami, w zniszczonych mundurach przypominali widma. Wódz tych wycieńczonych ludzi, którego wkrótce nazwano Józefem Zwycięskim, niósł słowa otuchy, uśmiechał się do nich, nazywał braćmi, przyjaciółmi, patriotami. W swojej wspaniałomyślności nikogo nie pominął, każdemu pomagał przezwyciężyć strach. Wszyscy doświadczyli dobroci młodego króla, nie wiedząc, z kim rozmawiają.

Z twarzą niewidoczną pod kapturem podszedł do grupki żołnierzy piechoty. Usłyszał, jak jeden z nich mówił:

- Jutro zapewne zginiemy, ale król rzymski nie musi się niczego obawiać. Teraz na pewno spokojnie śpi. Choć sam rusza do walki, nie jest taki jak my.

A Józef na to:

- Moim zdaniem król jest jednym z nas. Fiołek ma dla niego taki sam zapach jak dla nas, podobnie jak my odczuwa strach. Różni go jedynie elegancki mundur.

O świcie Józef został sam.

- Cięży na mnie wielka odpowiedzialność za powierzonych mi ludzi - mówił do siebie - za ich dusze, winy, grzechy, zmartwione żony i dzieci. Tylko głupcy marzą o władzy, bliźniaczej siostrze odpowiedzialności. Królowie żyją w zbytku, ale dużo by dali za to, żeby

cieszyć się spokojem. Czymże jest królewski przepych? Idolem, któremu zamiast szczerego hołdu składa się puste pochlebstwa? Boże, dodaj hartu ducha moim żołnierzom! Oddal od nich strach, pozbaw ich zdolności liczenia, jeśli przewaga wroga napawa ich lękiem! Błagam Cię, Panie, zapomnij o szalbierstwie, którym splamił się mój przodek Karol V, kupując świętą koronę cesarza! Zapłacił już za popełnione zło. Abdykował i wstąpił do zakonu. Codzienne zamawiam mszę za jego duszę. Mój ojciec i ja wznosimy kościoły i klasztory, żeby oczyścić Koronę od zarzutu korupcji! Dlaczego jeszcze nie świta? Moi przyjaciele żołnierze czekają na znak. Zostawimy za sobą drogę wybrukowaną ciałami Francuzów.

Głos opata Melaniego drżał z emocji.

Nadszedł świt, rozpoczęła się walka. Pierwszy atak na twierdzę został odparty. Pewne było jednak, że Landau padnie. Morale żołnierzy było niskie, siły fizyczne na wyczerpaniu. Marzyli jedynie o zakończeniu bitwy. Jak podczas każdej wojny, ludzie zamieniają się w potwory. Jedni polują na drugich, zabijają, gwałcą kobiety, łupią i podpalają domy.

Józef podjechał konno do murów twierdzy. Zatrzymał się w miejscu, gdzie nie dosięgały go strzały, wyjął szablę z pochwy i zawołał:

- Obróćcie Landau! Miejcie litość nad waszym miastem i jego obywatelami. Poddajcie się, zanim wydam rozkaz do ataku. Unikniecie okrutnej rzezi, grabieży i innych potworności. W przeciwnym razie już za chwilę żądni krwi żołnierze cesarza schwycają za włosy wasze przerażone córki, będą szarpać za siwe brody waszych ojców, roztrzaskiwać o mury ich czcigodne głowy, na oczach zrozpaczonych matek wołających o pomstę do nieba nadziewać na piki nagie ciała waszych dzieci!

Gubernator Melac w milczeniu wysłuchał słów Józefa. Na jego twarzy odmalował się strach.

- Co wy na to? - zapytał na koniec król rzymski. - Poddacie się i unikniecie tych okropności czy też nadal chcecie się bronić i narażać na śmierć?

Dziewiątego września Melac kazał wywiesić białą flagę, nazajutrz doszło do kapitulacji i wymiany jeńców. Jedenastego września było po wszystkim.

Zgodnie z obietnicą Józef dopilnował, by mieszkańcom Landau nie spadł włos z głowy. Żołnierza, który z jednego z kościołów ukradł cyborium, z rozkazu króla powieszono. Józef przyglądał się egzekucji, mimo że skazaniec był jednym z jego ulubionych żołnierzy. Matki z niemowlętami przy piersi, pomne słów króla rzymskiego, klękały przed nim i całowały ziemię. Następnego dnia Francuzi na czele z Melakiem opuścili Landau. Pokonani przedefilowali przed królem rzymskim. Podobno Melac nazwał Józefa „wielkim władcą” i był wdzięczny za to, że nie dopuścił do aktów przemocy w zdobytym mieście.

Marsili przewidywał, że Landau padnie w niespełna tydzień. Jednak dzięki geniuszowi Włocha do zdobycia miasta wystarczyły cztery dni.

Atto zamilkł. Był bardzo zmęczony. Wśród pism na temat cesarza Józefa I, będących w moim posiadaniu, znajdowały się relacje i panegiryki, wszystkie, niestety, w wersji niemieckiej. Obfitowały w nudne szczegóły i były zupełnie pozbawione anegdotycznych smaczków. Opowieść opata Melanigo przybliżyła mi gorącą atmosferę walki i postać mojego władcy.

Byłem zdziwiony, że ze słów starego opata przebijały uwielbienie i miłość do młodego cesarza. Jak do tej pory Atto wychwalał jedynie Króla Słońce!

- Stryju, o tej porze powinieneś już spać - powiedział Domenico.

Po powrocie do Wiednia, ciągnął Melani, nie zważając na upomnienia bratanka, uroczystie uczczono triumf armii cesarskiej. W wypełnionej po brzegi katedrze świętego Szczepana odśpiewano *Te Deum*. Na placu Nowego Targu stanęła kolumna świętego Józefa, patrona Austrii. Leopold i jego małżonka, czcigodni rodzice Józefa, mimo że nigdy nie łączyły ich dobre stosunki, promienieli radością.

Przed zdobyciem twierdzy Landau Józef był jedynie następcą tronu, po zwycięstwie, dzięki pomocy Marsilego, stał się bohaterem.

- Wcześniej był już jeden bohater - zauważył Atto. - Nazywał się Eugeniusz Sabaudzki, zwycięzca w bitwie pod Zentą i pogromca Turków. Teraz w zawodach o sławę pojawił się godniejszy przeciwnik, przystojny, z koroną na głowie.

Ministrowie Leopolda byli rozwścieczeni. Dobrze wiedzieli, że Józef nie może się doczekać, by przepędzić ich z dworu i zastąpić nowymi, zaufanymi ludźmi. Jedynym sposobem, żeby go powstrzymać, było wywarcie presji na Leopolda. Rok później, w 1703 roku, Leopold nie zgodził się na udział Józefa w wojnie. Naciski ministrów dały oczekiwany wynik. Również Eugeniusz, który po bohaterskich czynach Józefa został usunięty w cień, podjął dyskretne działania, by król rzymski nie wrócił do walki. Nad Renem wzmagaly się działania wojenne i wkrótce nadeszła zła wiadomość: Francuzi przypuścili atak na twierdzę Landau i ponownie ją zdobyli.

- Eugeniusz był w to zamieszany? To absurd! - zawołałem. - Czyż nie obawiał się, że przegrana bitwa będzie gorsza od przyznania chwały i zaszczytów Józefowi?

- Moźni tego świata gotowi są go zniszczyć, byle tylko utrzymać się przy władzy - odparł Atto. - Za panowania słabego Leopolda największe wpływy mieli jego ministrowie i Sabaudczyk.

Nadszedł rok 1704. Trwała wojna, zbliżała się jesień. Cesarz wraz z sojusznikami za

wszelką cenę pragnęli zamknąć rok ważnym zwycięstwem i odbić twierdzę Landau z rąk Francuzów. Pierwszego września na pole bitwy przybył młody król rzymski. Po długich dyskusjach Leopold w końcu ugiął się. Wraz z pojawieniem się bohatera sprzed dwóch lat Eugeniusz Sabaudzki i jego dobry przyjaciel, dowódca oddziałów angielsko-holenderskich, słynny Marlborough, musieli usunąć się w cień. Zostali wysłani nad rzekę Lauter do osłony atakujących wojsk. Margrabia badeński przyjął Józefa dwudziestoma siedmioma batalionami i czterdziestoma czterema szwadronami.

Sytuacja powtórzyła się. Laubanie, dowódca francuskiego garnizonu, powiadomił Józefa, że nie będzie celował z dział w jego namiot. Młody król ponownie odpowiedział, że wszędzie czuje się bezpieczny i będzie przebywał tam, gdzie mu się podoba.

Rozpoczęła się bitwa, cięższa i bardziej krwawa od dwóch poprzednich. Tego roku zima przyszła wcześniej, żołnierze musieli zmagać się z mrozem, deszczem i błotem. Dwudziestego siódmego września Francuzi spróbowali dokonać wypadu, ale bez powodzenia. Po czterech dniach cesarska ciężka artyleria (dostarczona na miejsce kosztem wielu strat w ludziach) wzięła na cel twierdzę. Na Landau spadł grad pocisków. Francuzi odparli atak. Eugeniusz Sabaudzki wpadł we wściekłość. Należało zdobyć Landau w pięć-sześć tygodni, napisał do Wiednia. Tymczasem sprawa się przeciągała.

- Prawdziwym powodem złości Eugeniusza było zapewne to - powiedział Atto - że Józef odsunął jego i Marlborough. Stracili honorowe miejsca.

Doszło do rozlewu krwi. Po dziewięciu tygodniach ostrzału i ataków twierdza Landau padła. Dowódca Laudanie stracił wzrok, dwa lata później zmarł z powodu odniesionych wówczas ran. Francuski garnizon poddał się, kolejny raz rzucając broń do stóp Józefa. Młody następca tronu udowodnił, że potrafi zmienić bieg wojny. Po pierwszym zwycięstwie zyskał miano bohatera, po drugim stał się wzorem dla żołnierzy. Nadeszła zima. Kampanię wojenną 1704 roku zwieńczyło ważne zwycięstwo, Anglicy i holenderscy sojusznicy mieli powód do zadowolenia i mogli wracać do domu. Gdy w Wiedniu rozbrzmiały radośnie dzwony, w Sabaudii zapanował ponury nastrój. Józef, nowa gwiazda na wojennym firmamencie, zagrażał legendzie księcia Eugeniusza. W rok po odzyskaniu twierdzy Landau sytuacja uległa zmianie. Zmarł cesarz Leopold, ojciec Józefa. Rozsądek nakazywał, by wobec braku męskich potomków (jego syn Leopold Józef zmarł, będąc dzieckiem) młody władca nie brał udziału w wojnie. Eugeniusz nadal dowodził więc operacjami wojskowymi, kierując losami wojny przez trzy kolejne lata.

Milczące współzawodnictwo między władcą a jego generałem rozpoczęło się w roku 1708. Królowa Anglii zażądała, by wysłać Eugeniusza do Hiszpanii, gdzie Karol, brat Józefa,

nie radził sobie z francuskimi oddziałami Filipa Andegaweńskiego, wnuka arcychrześcijańskiego króla, zasiadającego na tronie hiszpańskim. Armią cesarską na Półwyspie Iberyjskim dowodził Guido Starhemberg, do którego los nie zawsze się uśmiechał. Eugeniusz zaciskał zęby, gdyż wiedział, że mając większe doświadczenie od Starhemberga, mógłby okryć się chwałą i honorami.

Rozpoczęły się gorączkowe pertraktacje z sojusznikami angielskimi, ale stanowisko Wiednia było niewzruszone: sabaudzki książę nie powinien opuszczać Austrii. Eugeniusz musiał się pogodzić z tą decyzją.

Cicha wojna powtórzyła się w roku 1710. Kolejny raz powstał pomysł, by wysłać Eugeniusza do Hiszpanii, lecz Jego Cesarska Wysokość był temu przeciwny i nic z tego nie wyszło. Eugeniusz żalił się przyjaciółom, czyniąc wyraźne aluzje. „Czyż Starhemberg nie zrobił już wszystkiego, czego się po nim spodziewano?” - pytał cynicznie. Powiedział też, że widział na własne oczy, jak Józef przybył na naradę ministrów z kartką z wypisaną na niej kandydaturą Eugeniusza na dowódcę w Hiszpanii, ale odrzucił ją, nie mówiąc nikomu ani słowa. Jego jedynym celem było bezpieczeństwo cesarstwa.

Józef podeptał dumę Eugeniusza Sabaudzkiego. Jako wielki przegrany milczał, okazując posłuszeństwo. Nic innego mu nie pozostało. Co by się stało, gdyby w cichym współzawodnictwie, o którym wiedzieli jedynie sami rywale, zwyciężył jeden z nich? Czy miało to jakiś związek z dziwną monetą, którą Cloridia znalazła w pałacu Eugeniusza?

- Ta moneta jest symbolem Landau - stwierdził Atto - pierwszej poważnej porażki, jaką musiał przełknąć Eugeniusz. Dowodzi, że książę sabaudzki nie zapomniał o zniewagach doznanych od Józefa. O żadnej z nich.

Opat z uśmiechem bawił się monetą. Kiedy Józef przeczytał zdradziecki list Eugeniusza, zawarcie pokoju stanie się pewne.

- Dostarczy go ta mała Palffy - mruknął pod nosem. Ziewnął, nakrył się kołdrą i wpadł w objęcia Morfeusza.

Wróciłem do domu. Drzwi otworzyła mi Cloridia.

- Najdroższy! - powiedziała, wyciągając do mnie rękę. - Miałam okropny dzień.

- Podobnie jak ja.

- Dlaczego?

Opowiedziałem żonie o wszystkim, co się wydarzyło. Obydwoje byliśmy przerażeni śmiercią dwóch studentów, zamordowanych w okrutny sposób. Na koniec powiedziałem Cloridii, czego dowiedziałem się o monecie Landau.

- A propos monety, mam ci coś do powiedzenia.

- Co takiego?

- Dzisiaj w pałacu śledził mnie pewien człowiek.

- Kto taki?

- Ten odrażający typ, który ukradł monety. Chodził za mną krok w krok. Szłam do kuchni, on za mną. Wracalam na pierwsze piętro, on tkwił już w jakimś kącie. Kiedy byłam pewna, że mu uciekłam, pojawiał się nagle tuż za mną. Nie mogłam się od niego uwolnić, czułam się jak w pułapce. Gdybyś go widział! W którymś momencie podszedł bardzo blisko i uśmiechnął się do mnie szeroko, pokazując spiczaste, brunatne zęby, brrr! To było straszne! Czym prędzej uciekłam.

- Ciekawe, kim on jest i czego chce - powiedziałem zaniepokojony. - Obiecuje uciąć głowę derwiszowi, później ci się przygląda, śledzi cię, kradnie monety księcia Eugeniusza... O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie wiem, ale moim zdaniem człowiek z taką twarzą jest zdolny do wszystkiego, także do tego, co zrobiono Hadzi-Tanjovowi.

Najgorszą wiadomość mieliśmy dopiero usłyszeć.

Pragnąc nieco się odprężyć, poszliśmy popatrzeć na naszego synka bawiącego się w krążanku, po czym udaliśmy się do przyklasztornego kościoła. Chcieliśmy pomodlić się do Najwyższego, poprosić Go o łaskę i opiekę przed złem, krążącym wokół nas.

W zimnym, ciemnym wnętrzu kościoła, wypełnionym zapachem kadziła, były obecne wszystkie zakonnice z Porta Coeli. Odmawiały różaniec. Byliśmy zaskoczeni, że modlą się o tak późnej porze. Przeżegnaliśmy się i zajęli miejsca w głębi kościoła. Przyłączyliśmy się do wspólnej modlitwy, błagając Boga o pomoc. Modliliśmy się też za dusze zamordowanych studentów.

Po różańcu przyszła kolej na litanie do Najświętszej Pani. Modlitwę zakonnice zakłócał cichy, przytłumiony odgłos, jakby szloch. Wodząc spojrzeniem dookoła w poszukiwaniu źródła tego dźwięku, dostrzegliśmy *Chormaisterin*. Klęczała u stóp posągu Najświętszej Pani, po lewej stronie ołtarza. To ona tak szlochała. Wymieniliśmy z Cloridią spojrzenia, nie wierząc własnym oczom.

- *Pro vita nostri agerrimi Cesaris, oramus* - powiedziała zakonnica prowadząca modlitwę.

Zamarliśmy z przerażenia. Siostra bowiem powiedziała: „Módlmy się za naszego ciężko chorego cesarza”. Miałem nadzieję, że źle zrozumiałem, lecz smutek malujący się na twarzy Cloridii potwierdził to, co usłyszałem. A więc cesarz zachorował? Najjaśniejszemu Cesarzowi, naszemu umiłowanemu Józefowi I groziła śmierć? Dlaczego nic o tym nie

wiedzieliśmy? Musieliśmy czekać na koniec modlitwy, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Chwile dzielące nas od poznania szczegółów wydawały się wiecznością. W końcu kościół opustoszał. Camilla, podniósłszy się z klęczek, podeszła do nas. Cloridia wstała z ławki i ucałowała *Chor-maisterin*.

- Camillo... - wyszeptała moja małżonka na widok jej zapłakanej twarzy.

Na mokrych od łez policzkach Camilli de' Rossi odbijało się światło świec. Trzymając Cloridię za rękę, na próżno próbowała powstrzymać szloch. Gdy się opanowała, dała nam znak, byśmy towarzyszyli jej podczas gaszenia świec.

W mieście już od rana wszyscy mówili o chorobie cesarza. Najpierw nieśmiało, później coraz głośniej. Niczym grom z jasnego nieba padł rozkaz, by co godzinę odmawiać publiczne modlitwy i wystawiać Najświętszy Sakrament zarówno w kaplicy cesarskiej, jak i w katedrze świętego Szczepana. Do kaplicy cesarskiej przybywali członkowie dworu: sędziowie, ministrowie, grandowie, kawalerzy, damy i inne wybitne osobistości. W katedrze odbywały się modlitwy z udziałem samego monsiniora księcia biskupa oraz kapituły. Przybywały procesje zakonników, kongregacji, bractw, cechów i wraz z tłumem pogrążonych w smutku wiernych zanosili prośby do Boga o wstawiennictwo.

Modlono się we wszystkich parafiach w mieście i poza murami. Do całego arcyksięstwa Austrii, na północ i południe od Anizy wysłano specjalnych kurierów, aby ogłosili czterdziestogodzinne modlitwy o to, żeby Bóg dał długie życie naszemu władcy, i w tych ciężkich czasach, podczas wojny, która ogarnęła całą Europę, pozwoliło mu rządzić, ku radości poddanych i z korzyścią dla całego świata chrześcijańskiego.

Nawet Turcy i Żydzi mieszkający w stolicy cesarstwa zarządzili dni modłów i postu, rozdając hojne jałmużny.

Cesarz miał się źle. Od kilku dni leżał w łóżku, odizolowany od otoczenia. Nikomu nie pozwolono go odwiedzać. Nie dlatego, że Józef Zwycięski nie był w stanie rozmawiać czy przewodniczyć naradzie ministrów, ale dlatego, że jego choroba była zakaźna. I śmiertelna. Diagnoza lekarska brzmiała jednogłośnie: ospa.

- Jak Ferdynand IV, dokładnie jak on - szlochała Camilla.

Ogarnęły mnie złe przeczucia. Pomyślałem o Ferdynandzie IV, młodym królu rzymskim, zmarłym na ospę przed pięćdziesięciu laty. Pierworodny syn Ferdynanda III i starszy brat Leopolda odszedł nagle z tego świata w wieku dwudziestu jeden lat. Z książek, które kupiłem po przyjeździe do Wiednia, dowiedziałem się, że był cudownym dzieckiem, wyróżniał się niezwykłą inteligencją. Ojciec wierzył, że gdy dorośnie, podźwignie kraj z ruiny po wojnie trzydziestoletniej. Tragedia nastąpiła w trudnym dla Habsburgów momencie,

kiedy groziła im utrata korony cesarskiej. Francja natychmiast wykorzystała sytuację, nie chcąc dopuścić, by cesarzem został Leopold. Kandydat do cesarskiego tronu zapłacił ogromne sumy księżętom protestanckim, by go wybrali, ale także musiał obiecać im, że nie wesprze Habsburgów hiszpańskich w wojnie przeciw Francji. Wojna francusko-hiszpańska zakończyła się więc porażką Hiszpanii i król Filip IV zmuszony był oddać rękę córki Marii Teresy Ludwikowi XIV, a nie Leopoldowi. Mariaż ten stał się przyczyną wojny o sukcesję. Gdyby Ferdynand IV nie umarł - przedwcześnie i nieoczekiwanie - francuscy Burbonowie nie spokrewniliby się z hiszpańskimi Habsburgami i wojna o tron hiszpański by nie wybuchła.

Ferdynand IV, zdrowy młody mężczyzna, zmarł nagle z powodu ospy. Najstarsi Austriacy drżeli na wspomnienie żałoby w domu cesarskim, który przeżył wiele innych bolesnych strat. Obawy były uzasadnione, Józef nie był *geblattert* - nie chorował jeszcze na ospę.

A teraz stało się.

- Pierwsze objawy wystąpiły pięć dni temu. Do dziś wszystko ukrywano w tajemnicy, ja sama usłyszałam o tym wczoraj wieczorem - powiedziała *Chormaisterin*, tłumiąc łkanie.

Dowiedzieliśmy się więc, że we wtorek siódmego kwietnia Józef Zwycięski zjadł kolację z matką. Dokuczał mu jedynie lekki ból głowy. Następnego dnia dolegliwość minęła. W środę rano młody cesarz czuł się na tyle dobrze, że postanowił udać się na polowanie. Po powrocie skarżył się na silny ucisk w piersiach, trudności w oddychaniu i ból w całym ciele. Niespodziewanie dostał torsji, zwracając dużą ilość płynnej substancji. Wezwano lekarza, który tłumaczył złe samopoczucie nadmiernym objadaniem się podczas świąt wielkanocnych i przepisał proszek hiacyntowy z kilkoma rodzajami gemm.

Noc minęła spokojnie. Następnego dnia rano, w czwartek dziewiątego kwietnia, Józef dostał silnych wymiotów, zwracając kleistą, źle strawioną substancję i dużo żółci. Powrócił lekki ból głowy, przede wszystkim jednak męczył go silny ból brzucha i w klatce piersiowej, który później zszedł do lędźwi. Słyszano, jak Józef Zwycięski, krzepki młodzieniec i odważny żołnierz, krzyczał jak małe dziecko. Na szczęście mocz i puls były w normie, zaaplikowano więc lewatywę z wody z solą, która przyniosła oczekiwany skutek. Bóle trwały jednak aż do wieczora. Powtórzono lewatywę, wywołując trzykrotne obfite wydaliny żółciowe, zalecono też proszek ze szlachetnych kamieni (zgodnie ze znanymi instrukcjami Arystotelesa) i cynobru. Wieczorem puls stał się przyspieszony, a o pierwszej w nocy wskazywał na wysoką gorączkę.

Kiedy słuchałem słów Camilli, do głowy cisnęła mi się uporczywa myśl: 7 kwietnia. Tego dnia, gdy Józef zaczął chorować, ściągnął do Wiednia turecki aga. Dzień później



przyjechał opat Melani...

- Czy to na pewno ospa? - zapytałem.

- Zdaniem lekarzy, tak - odparła Camilla.

- Jak on się teraz czuje?

- Nie wiem. Od trzech dni stan zdrowia cesarza objęty jest ścisłą tajemnicą. Ale... chwileczkę, dokąd pan biegnie?

- Co? Co powiedziałeś? - bąknął zaspany opat Melani spod kołdry.

- Udaje pan głupiego! Mogłem się tego spodziewać! - zawołałem rozwścieczony.

Wpadłem jak burza do mieszkania Atta. Głośno zapukałem do drzwi (na szczęście cele zakonnice były dość daleko). Przerażony Domenico czym prędzej wstał z łóżka, żeby mi otworzyć. Był pewien, że miasto stanęło w ogniu lub wydarzyło się inne wielkie nieszczęście.

- Turecki aga przybył do Wiednia dzień przed panem i prosił nie udawać, że nic pan o tym nie wiedział! Doskonale pan wszystko zaplanował, jak zwykle! Pan i derwisz!

- Jaki derwisz? Nie wiem, o czym mówisz - rzekł Atto, siadając na łóżku.

- Stryju!... - próbował wtrącić Domenico.

- Derwisz ze świty agi, Cizeber, który podczas odrażających rytuałów kroi się w plasterki, a potem zdrowieje, jak gdyby nigdy nic. Nie ma co, piękne ma pan towarzystwo! Spiskuje pan z derwiszem, żeby dostać głowę cesarza. Co, zdziwił się pan? Nie spodziewał się pan, że wszystkiego się domyśle?

Stryj i bratanek milczeli. Zebrałem się więc na odwagę i mówiłem dalej:

- Twierdzi pan, że przyjechał do Wiednia, żeby nakłonić cesarza do zawarcia pokoju. Na dowód podsunął mi pan pod nos zdradziecki list księcia Eugeniusza, który pragnie sprzedać się Francji. Nie wziął pan jednak pod uwagę, że Jego Cesarska Wysokość nie ma męskich potomków. W razie jego śmierci rządy przejąłby książę Karol, który od dziesięciu lat rywalizuje z Filipem Andegaweńskim, wnukiem Króla Słońce, o tron Hiszpanii. Zatem gdyby Józef zmarł, Karol musiałby natychmiast wrócić do Wiednia i... żegnaj, wojno! Eugeniusz zdradził. Mimo najlepszych chęci cesarstwo nie ma już ani króla do obsadzenia tronu w Hiszpanii, ani generała. Na madryckim tronie pozostałby na zawsze wnuk pańskiego władcy. Doskonały plan! Oto dlaczego cesarz zachorował. Jaka tam ospa! To wy, Francuzi, w porozumieniu z Turkami kazaliście go otruć!

- Cesarz choruje? Ospa? Co ty pleciesz, chłopcze?

- Dziwnym zrzędzeniem losu choroba zaczęła się od głowy... O nią zapewne zabiega derwisz. Przypadek? Nikt się na to nie nabierze! A już na pewno nie ja. Dobrze pana znam, niestety! Jak pan mógł? W pańskim wieku? Nie boi się pan Boga? - pytałem łamiącym się

głosem.

- Nie rozumiem, skąd... - zaproponował Atto i z grymasem bólu położył rękę na brzuchu.

- Dobrze pamiętam, że Filip Andegaweński został królem Hiszpanii dzięki sfalszowanemu testamentowi... I to pan go sfalszował przed jedenastu laty w Rzymie, tuż pod moim nosem!

- Stryju, nie pozwól, by... - wtrącił Domenico, ale nie dałem mu skończyć.

- Jaka tam wspaniałomyślność! - ciągnąłem ze złością. - Znalazł mi pan pracę tu, w Wiedniu, żeby kolejny raz skorzystać z mojej pomocy, a potem czmychnąć, jak już dwukrotnie przedtem! Tym razem musi pan wykonać brudną robotę: zlecić zabójstwo cesarza, który ma zaledwie trzydzieści trzy lata! W tym celu uczynił mnie pan bogatym. Chciał mnie pan kupić. Ale to się panu nie uda! Nie tym razem! Życie mojego króla jest bezcenne! Wrócę do Rzymu głodować, ale najpierw uczynię wszystko, by nie powiodły się pańskie nieczne plany. Po moim trupie!

- Wielkie nieba! Chłopcze, chyba nie... Domenico, pomóż mi! - poprosił Atto z twarzą ściągniętą bólem, po czym przyłożył dłoń do brzucha i dał znak, że chce wstać.

- Oczywiście, stryju! - odparł ze współczuciem bratanek. Pomógł mu się podnieść i dojść za parawan.

Opat Melaniego chwyciła ostra kolka, a zaraz potem rozwolnienie, któremu towarzyszyło krwawienie hemoroidów. Niespodziewanie zostałem pozbawiony przeciwnika. Zakłopotany, zaofiarowałem pomoc, ale Domenico odrzucił ją niewyraźnym burknięciem zza parawanu.

- Cesarz... trucizna... - rzęził Atto.

- Silnie stryj krwawi. Zaraz przygotuję sok z cytronu.

- Tak, tak, przynieś mi go, proszę.

Domenico wyszedł zza parawanu i dał mi znak, bym przytrzymał opata. Po raz pierwszy zobaczyłem narządy płciowe kastrata. Nie zwracając na mnie uwagi, Atto popłakiwał z bólu, podczas gdy jego podrażnione jelita nie chciały się uspokoić, a hemoroidy przestać krwawić. Bratanek nalał z małej buteleczki kilka kropli płynu do szklanki z wodą i czym prędzej podał ją stryjowi.

- Myślę, że lepiej będzie... - wybelkotałem. Chciałem się pożegnać i jak najszybciej wrócić do siebie.

Tymczasem Domenico myślał, że pragnę postawić opatowi kolejne zarzuty:

- Nie ma pan litości nad biednym starcem! - krzyknął. - Chce go pan zabić? Dość

tego! Proszę stąd wyjść!

Zamknąłem za sobą drzwi celi opata i ostatkiem sił dotarłem do naszego pokoju. Clordia spała na siedząco. Czekwała na mnie, ale była tak zmęczona, że zmorzył ją sen.

Zostałem więc sam ze swoją rozpaczą i wątpliwościami. Usiadłem przy stole i podparłem głowę rękami. Odkąd w kościele usłyszeliśmy smutną nowinę, nie miałem chwili, by spokojnie pomyśleć. A więc życie cesarza było zagrożone? Miałem wrażenie, że to jakiś koszmar, ale zbyt wiele wskazywało na to, że nie śniłem. Gdy jechaliśmy kolasą Penicka na spotkanie z nieszczęsnym Hadzi-Tanjovem, widzieliśmy aż trzy procesje zmierzające w stronę katedry św. Szczepana.

Na stole leżała szachownica Christa, która uratowała mi życie. Przesunąłem palcami po rysie po kuli.

Poprzedniego wieczoru wszyscy zauważyliśmy, że *Chormaisterin* była bardzo zdenerwowana i podczas próby *Świętego Aleksego* nieuprzejmie potraktowała biednego Gaetana Orsiniego. Camilla postanowiła przeciwzyć melancholijną, mroczną arię. Mówiła też o prorokowaniu. Teraz zrozumiałem, że nie dawało jej spokoju przecucie śmierci. Myślała o cesarzu, który zatrzymał się nad grobem swojego przyjaciela Lamberga, o ponurej przepowiedni angielskiego wróżbity, o anatemie przewrotnego jezuitę Wiedemanna i zapewne o wielu innych ludziach, którzy życzyli sobie śmierci Jego Cesarskiej Wysokości. Jak nie przyznać jej racji? Przed dwudziestoma ośmioma laty, kiedy pracowałem jako pomocnik w gospodzie Donzello, w jednej z astrologicznych gazet na własne oczy widziałem trafną przepowiednię śmierci królowej, nieszczęśliwej małżonki Arcychrześcijańskiego Króla.

Nie, to nie był zły sen, pomyślałem, otwierając szachownicę. Chciałbym znać odpowiedź na pytanie, co tak naprawdę czuł i myślał opat Melani. Przybył do Wiednia w tym samym dniu, w którym zachorował cesarz, nazajutrz po przybyciu tureckiego agi. Najwidoczniej szykował się do rozegrania partii na dwóch stołach. Jedna partia toczyłaby się o ujawnienie zdrady Eugeniusza, co wyłączyłoby go raz na zawsze z gry i pozbawiło Holandii. Melani szczerze mi to wyznał. W drugiej rozgrywce chodziło o bardziej radykalne rozwiązanie, jakim było zabójstwo Józefa I. Nie wiedziałem, czy istniał jakiś związek między tymi dwiema sprawami, ale nie obchodziło mnie to. Opat nauczył mnie bowiem, że nie trzeba wiedzieć wszystkiego, wystarczy pojąć sens wydarzeń. A ja doskonale go rozumiałem. U boku intryganta nabyłem takiego doświadczenia, że wszystko stawało się jasne i proste, a bieg wydarzeń przewidywalny. Nie odkryłem gry Melaniego po jego wyjeździe z Wiednia, ale po dwudziestu czterech godzinach od naszego pierwszego spotkania. Niewątpliwie czyniłem

postępy, pomyślałem z sarkazmem.

Dlaczego Atto zdenerwował się, słysząc moje oskarżenia? „Nie daj się zwieść pozorom - myślałem - zawsze cię okłamywał, nawet w najbardziej dramatycznych chwilach”. Widziałem, jak szlochał na wieść o śmierci swoich najlepszych przyjaciół, po czym okazywało się, że był w nią zamieszany. Nie zapominaj, mówiłem do siebie, że Atto przyjechał do Wiednia tego samego dnia, kiedy u cesarza stwierdzono pierwsze objawy choroby. Do podobnego zbiegu okoliczności doszło przed dwudziestu ośmiu laty: tego samego dnia, gdy Melani zatrzymał się w gospodzie Donzello, zmarł nagle gość z Francji...

Zawsze byłem tylko pionkiem w rękach kastrata, jak ten, który trzymałem teraz w dłoni, bezbronną ofiarą przebiegłego, czarnego laufra, jakim był ten szubrawiec opat.

O, ja nieszczęsny! Zostałem majstrem kominiarskim i właścicielem domu z winnicą w dzielnicy Josephina dzięki Melanieniu! Gdyby jego spisek został odkryty, skończyłbym na szubienicy razem z nim. Stary ka-strat narażał na niebezpieczeństwo życie moje i mojej rodziny. Wciągał mnie w otchłań śmierci! Wykonywał swoje zadanie sprawnie i szybko, mimo że był osiemdziesięcioletnim starcem, a ja mężczyzną w sile wieku! Z przejęcia zakręciło mi się w głowie, drżałem na całym ciele.

Zacisnąłem drugą dłoń, w której trzymałem czarnego laufra, wyobrażając sobie, że oto duszę opata Melaniego, miażdżę go, jakimś magicznym sposobem usuwam z mojego życia.

Spojrzałem na śpiącego synka i słodką twarz Cloridii. Przeklinałem opata. Jego intrygi mogły zakłócić sen drogich mi osób. Pomyślałem o naszych córkach, niecierpliwie oczekujących przyjazdu do Wiednia. Co by się z nimi stało, gdyby ich ojciec został skazany za zdradę i powieszony niczym pospolity przestępca, albo ścięto mu głowę lub, co gorsza (w tym momencie przeszły mnie zimne dreszcze), rozpruto brzuch albo łamano kołem?

Dręczony wyrzutami sumienia, przyznałem, że sam nadstawiłem głowę pod topór. Jakże podłym byłem mężem i ojcem! I do tego zwykłym głupcem, niewiele mądrzejszym od białego pionka, który trzymałem w dłoni. Ze złości chciałem odgryźć mu głowę.

Ach, moja Clordia! Przed dwudziestu ośmiu laty na widok bezwstydney, czarującej, uczonej kurtyzany pod małym posługaczem, jakim wówczas byłem, uginały się kolana! Jaki los zgotowałem mojej pięknej żonie o smagłej cerze kontrastującej z jasnymi gęstymi lokami, z dużymi, czarnymi oczami, zębami jak perły, lekko zadartym noskiem, pełnymi ustami z odrobiną szminki kryjącej ich bladość, o drobnej, zgrabnej sylwetce ze śnieżnobiałymi jędrnymi piersiami i ramionami godnymi dłuta Berninie-go? Kiedy ją poznałem, wydawała mi się wspanialsza od *Madonny* Rafaela, bardziej natchniona niż myśl Teresy z Avila, bardziej zadziwiająca niż wersy kawalera Marino, śpiewniej sza od madrygału

Monteverdigo, bardziej zmysłowa niż dystychy Owidiusza i bardziej pociągająca niż cały tom Fracastora.

Uczyliem z niej wdowę po łotrze! Na początku nie byłem złym mężem, myślałem. Dla mnie zerwała z nierządem, do którego zmusiły ją ponure, tajemnicze wydarzenia. Dowiedziałem się o nich, gdy się poznaliśmy w rzymskiej gospodzie Donzello. No, dobrze, a później? Mieszkaliśmy w małym domku kupionym przez teścia, nie przeze mnie. Jeszcze przed dwoma laty utrzymywaliśmy się z niewielkiego gospodarstwa, które zapisał nam w testamencie jej ojciec. Pracowałem w willi Spada, i to ciężko. Clordia natomiast jako akuszerka, i to doskonała.

Przez prawie trzydzieści lat trwania naszego małżeństwa nie potrafiłem zapewnić Clordii dobrobytu. Przeciwnie, z powodu mojej niezaradności straciliśmy majątek odziedziczony po ojcu i wpadliśmy w nędzę. W przeciwieństwie do mnie ona dała z siebie wszystko. Była czułą, wierną żoną i kochającą matką trojga dzieci, które wykarmiła własną piersią.

Moje rozważania przypominały proces wytoczony samemu sobie. Na koniec uznałem się za winnego.

Spojrzałem na czarnego laufra. Musiałem przyznać, że gdyby nie opat Melani, do tej pory tkwilibyśmy w Rzymie, w otchłani nędzy. Synek zapewne nie przeżyłby mrozów, a ja zginąłbym, spadając z dachu lub komina, albo, co gorsza, spłonął żywcem w przewodzie kominowym. Kto mógł przewidzieć, że w 1709 roku dotknie nas klęska głodu i upadnie ród Spada, dla którego pracowałem? Dzięki Bogu, Atto wywiązał się z obietnicy.

Wiedeń i Rzym, Rzym i Wiedeń - nagle pojąłem, że między tymi miastami istniał ukryty związek. Przed dwudziestoma ośmioma laty, kiedy w Wiedniu rozstrzygała się przyszłość Europy, w niewielkiej gospodzie w centrum Rzymu, o dwa kroki od Piazza Navona, poznałem opata Melaniego. Spotkanie to odmieniło moje życie. Atto odsłonił przede mną tajniki i fortele polityki, intrygi mężów stanu, a także ciemną stronę ludzkiej natury. Otworzył mi oczy na zło świata i pozbawił naiwności (choć nie było to jego zamiarem). Pod wpływem opata porzuciłem młodzieńcze marzenie o zawodzie kronikarza. Wybrałem inną drogę. Stworzyliśmy z Clordia kochającą się rodzinę, wiedliśmy skromne, cnotliwe życie wbojaźnibożej.

Z czasem jednak, pragnąc osiągnąć swój cel, opat zaczął mnie oszukiwać, zwodzić, wykorzystywać. Stałem się bezwolnym, posłusznym narzędziem w jego ręku. Nie wiedząc o tym, pomagałem mu w machinacjach na korzyść króla Francji. Dałem mu to, czego ode mnie oczekiwał: pomoc, radę, nawet miłość.

Teraz sprawy przybrały inny obrót. Nie byłem już niewinnym chłopcem jak dawniej ani młodym żonkosiem i ojcem, którego spotkał po powrocie do Rzymu. W Wiedniu, który odegrał ważną rolę na początku naszej życiowej drogi, po trzydziestu latach, jako dojrzały, czterdziesto-ośmioletni mężczyzna, zniszczony trudami życia, doczekałem się gorzkiej rekompensaty za wszystko, co uczyniłem dla Atta Melaniego. Mój Boże! Czy możliwe, że skończę teraz na szubienicy?

Kiedy dałem już upust oburzeniu, złości, wyrzutom sumienia i goryczy, otrząsnąłem się z przygnębienia, jak ptak, który strząsa z siebie krople wody po kąpieli, i zacząłem rozmyślać o terażniejszości. Nagła niedyspozycja Melaniego nie była udawana. Na własne oczy widziałem (i poczułem), że wieść o chorobie Najjaśniejszego Cesarza, wywołała u opata ostry atak kolki. Nieco wcześniej z niezwykłym przejęciem opowiadał mi o bohaterstwie Józefa Zwycięskiego. A jeszcze wcześniej, kiedy byliśmy w kawiarni Pod Niebieską Butelką, ponurym głosem mówił o upadku Francji i dumnego Ludwika XIV, wychwalając pod niebiosa Wiedeń i Habsburgów. Z pewnością nie były to słowa wroga imperium. Chyba że...

Chyba że mówił o tym celowo, żeby mnie zwieść i uspić moje ewentualne podejrzenia.

Omam nie zemdląłem z wrażenia, gdy opuściwszy szachownicę Christa na ziemię, zobaczyłem, że z podwójnego dna pudełka wysunęła się mała karteczka. Widniały na niej następujące słowa:

## SZACH-MAT KRÓL JEST W PUŁAPCE

Poniedziałek

*13 kwietnia 1711 roku Dzień piąty*

Biła północ, gdy jak strzała pobiegłem do Simonisa.

- Musimy odszukać twoich kolegów! - wykrzyknąłem, wpadając do pokoju i wrywając go ze snu. - Jak najszybciej! Zapłacę im i powiem, żeby dali sobie spokój z poszukiwaniami. To zbyt niebezpieczne.

Opowiedziałem Simonisowi o chorobie cesarza i o moich podejrzeniach (przemilczałem prawdopodobny udział Atta w otruciu) i pokazałem karteczkę ze słowami Hadziego-Tanjova.

- Król jest w pułapce - przeczytał powoli, z namysłem.

- Pojmujesz, Simonisie? - zapytałem, nie wiedząc, czy rozmawiam z półgłówkiem, czy z bystrym, roztroptym studentem. - Christo powiedział, że sens całego zdania kryje się w słowach *solī solī solī*. Słowa szach-mat na tej karteczce są kluczem do zrozumienia, co miał na myśli. Szachy, jeśli się nie mylę, wymyślono w Persji.

- W przekładzie dosłownym *shah matt* znaczy „król jest zamknięty” - podsumował Grek.

- Otóż to! Według mnie Christo, rozgrywając partię szachów, doznał olśnienia i zrozumiał, że zdanie agi wiąże się w jakiś sposób z cesarzem.

- Chyba się pan zbyt rozpuścił. Skąd pewność, że „król jest zamknięty” dotyczy właśnie Jego Cesarskiej Wysokości?

- Pomyśl! - odparłem, tracąc cierpliwość. - Kogóż innego mogłoby dotyczyć? Aga przybył do Wiednia, powiedział to dziwne zdanie, derwisz domaga się czyjejs głowy, a Józef I, dziwnym zbiegiem okoliczności, zachorował...

- Skąd pan wie, że cesarz został otruty? A jeśli to naprawdę ospa?

- Możesz mi zaufać - odparłem, a miałem na myśli: „Kiedy pojawia się opat Melani, nic nie wydarza się przez przypadek i nikt nie umiera śmiercią naturalną”.

- Ale w jaki sposób *soli soli soli* wiąże się z „król jest zamknięty”?

- Tego jeszcze nie wiem - przyznałem - ale wiem wystarczająco dużo. Nie chcę mieć na sumieniu kolejnych studentów. Opowiem twoim kolegom o rozmowie Ciezebera, którą podsłuchiwała Cloridia. Chcę mieć pewność, że wycofają się z tej sprawy i nikt nie będzie się nią zajmował, choćby ze zwykłej ciekawości.

Simonis zamyślił się.

- Zgoda, panie majstrze - powiedział w końcu - uczynimy, jak pan sobie życzy. Cała ta sprawa dotyczy pana. Jutro odszukam przyjaciół i powiem im, że pan...

- Nie! Poszukamy ich już teraz, natychmiast! Grozi im, że skończą tak jak Daniło i Christo, choć o tym nie wiedzą. Kogo powiadomimy najpierw?

- Dragomira Populescu - odparł mój pomocnik po zastanowieniu. - Noc jest jego żywiołem.

Przeczesał wszystkie lokale na podmiejskich terenach, w których odbywały się tańce: St. Ulrich, Neustift, Jagerzeile, Lichenthal i obszary należące do katedralnej kapituły. Simonis ściągnął z łóżka Penicka i zmusił do wożenia nas swoją kolasą. Za miasto wyjechaliśmy po zapłaceniu strażnikom jednego „obola”, jak go nazywał nasz woźnica.

Grek wspominał kiedyś, że Populescu cudem wiąże koniec z końcem. Tej nocy wyjawiał mi więcej szczegółów.

- Oszukuje w grze w karty i w bilard, specjalizuje się w trefnych zakładach w kości, w kule i tym podobne. W wolnym czasie nielegalnie gra na skrzypcach.

- Jak to: nielegalnie?

Grek wyjaśnił, że w stolicy cesarstwa taniec i muzyka nie są niewinną rozrywką, jak

mogłoby się wydawać. Ojciec Abraham a Sancta Clara grzmiał z ambony: „To nie nowość, że struny mogą się zerwać, a dobre obyczaje popsuć, głównie podczas tańców, gdzie, chcąc nie chcąc, honor nierzadko narażony bywa na szwank”.

Od dziesięciu lat, w trosce o moralne zachowanie i porządek publiczny, władze starały się ograniczyć liczbę urządzanych balów. Przed dwoma laty rada miejska wystąpiła do cesarza z prośbą o całkowity zakaz ich organizowania. Podczas wesel można było grać na skrzypcach do dziewiątej-dziesiątej wieczorem. Zarządzeń jednak nie przestrzegano, przeciwnie, zapanowało, głównie na przedmieściach, prawdziwe szaleństwo *Geigen und Tanzen*, czyli balów przy wesółych dźwiękach skrzypiec.

Odwiedziliśmy około dziesięciu lokali z orkiestrą i tancerzami - Populescu ani śladu.

W piwiarniach, ciągnął Simonis, kiedy zbliżaliśmy się do kolejnej gospody, rada miejska wprowadziła całkowity zakaz tańców. Tłumaczono to tym, że kobzy, lutnie, mandole, na których gra się w tych lokalach, nie zasługują na miano instrumentów muzycznych. Ponadto klienci, osoby *vilioris conditionis*, czyli niskiego stanu, pośród piwa, muzyki i tańców pozwalali sobie na zbytnią swobodę i odrażające zachowanie.

W końcu jednak, zważywszy na to, że zakazy niewiele dały (nawet cesarz był za większym pobłażaniem dla właścicieli lokali, tancerzy i muzyków), wprowadzono podatek od balu. Mądrzy Austriacy wymyślili, że to, czego nie można zabronić, należy opodatkować.

Podatkiem zostali obciążeni wszyscy, z wyjątkiem arystokratów organizujących bale na cele charytatywne. Opodatkowane były wesela, chrzty, zabawy dzielnicowe *et cetera*. Właściciele karczm, piwiarni i tym podobnych płacili pięć florenów rocznie; w lokalach w obrębie murów miejskich trzydzieści kreuzerów od muzyka, a w domach prywatnych - jednego florena. Rezultat był taki, że grano i tańczono po kryjomu lub deklarowano mniej muzyków, niż było ich naprawdę. Urząd finansowy wysyłał w teren kontrolerów, ale właściciele lokali ich nie wpuszczali, a nawet im grozili. Muzycy również musieli płacić. Za granie bez odpowiedniego zezwolenia kara wynosiła sześć florenów.

- Jednym z tysięcy zajęć naszego Dragomira jest granie na skrzypcach bez pozwolenia.

Kiedy Simonis odsłaniał przede mną tajniki nocnego życia Populescu, opuszczaliśmy kolejną gospodę, gdzie na próżno rozpytywaliśmy o niego. Nikt go nie widział. Na progu lokalu, w którym przy dźwiękach małej orkiestry tańczyło około dwudziestu osób, właściciel rozmawiał z dwoma mężczyznami o wyglądzie urzędników lub sekretarzy. W pewnym momencie właściciel (korpulentny, srogi jegomość) plunął w twarz jednemu z nich i wymierzył siarczasty policzek. Na widok dwóch młodych osiłków, przywołanych przez



karczmarza, kontrolerzy czym prędzej czmychnęli.

- Inspekcja zakończyła się niepowodzeniem - stwierdził Simonis z uśmiechem.

Obeszliśmy wszystkie lokale taneczne w okolicy, ale w żadnym z nich nie znaleźliśmy Populescu.

- Dziwne - zasępił się Simonis - byłem prawie pewien, że go spotkamy w którymś z tych miejsc...

Nagle klepnął się w czoło.

- Ale ze mnie gapa! O tej porze powinien być Pod Trzema Prostkami. Pismaku, ruszamy!

- Jedziemy do Trzech Prostków? Na przedmieściu Neubau? - upewnił się Penicek.

- Właśnie tam - odparł Grek.

- Co to takiego?

- Miejsce do gry w kule.

- O tej porze? - zdziwiłem się. - Nie da się grać w kule w nocy!

- Ma pan rację, panie majstrze, ale w ciemnościach łatwiej szachrować - oznajmił beztróska swój pomocnik. - Tak więc nasz Dragomir, albo dżentelmen, który zlecił mu pracę, pojawi się tam dziś lub jutro i na pewno wygra.

- W środowisku graczy, zwłaszcza tych, którzy oszukują, Dragomir jest dobrze znany, cha, cha, cha! - powiedział Penicek, uśmiechając się do nas, w chwili gdy kolasa wjeżdżała na mostek.

- Milcz, pismaku! Kto pozwolił ci mówić? - uciszył go Grek. Upokorzony Penicek odwrócił się na kozle w kierunku jazdy i wpatrywał w ciemną drogę.

- Zastanawiam się, ile można na tym zarobić - powiedziałem. - Widziałem pola do gry w kule także w ogrodach arystokratów, ale, jeśli się nie mylę, tę grę uważa się powszechnie za rozrywkę prostych ludzi. Gra na skrzypcach na weselach pospółstwa też nie daje, jak sądzę, dużego zysku.

- Otóż to! Dlatego Dragomir dorabia, donosząc strażnikom, kto tańczy i gra bez pozwolenia albo nie płaci podatku.

- Donosi na kolegów? - zdziwiłem się.

- Tak, ale tylko wtedy, gdy sam nie gra na skrzypcach i nie organizuje zakładów... - odparł Simonis, mrugając do mnie.

- Ponieważ publiczne domy gry były zabronione - tłumaczył Grek - rozrywki podzielono na legalne i nielegalne. Gry zręcznościowe, takie jak szachy, były przeważnie dozwolone, ścisły zakaz dotyczył gier hazardowych.

- Nie ma to nic wspólnego z moralnością, służy jedynie utrzymaniu podziału na klasy społeczne - oznajmił Simonis z ironią. - Tym bardziej że na hazardzie nikt się jeszcze nie wzbogacił. Szczęście w grze to za mało, trzeba urodzić się bogatym. Arystokraci nie płacą podatków od gry.

Zabroniona była gra w kości, z grą w kule czy w karty bywało różnie. Najtrudniejsze w egzekwowaniu zakazów było to, że aby uniknąć kontroli, hazardziści nieustannie zmieniali nazwy gier, a niekiedy zasady. W ten sposób gry dozwolone, czyli nie na pieniądze, zmieniały się w gry na pieniądze. W niekończącym się sporze między strażnikami prawa a przebiegłymi graczami lista gier zakazanych to wydłużała się, to skracała

Podobnie jak w przypadku zabaw tanecznych władze dały w końcu za wygraną i zamiast zakazywać, postanowiły na grach zarabiać. Czterdzieści lat temu wprowadzono powszechny podatek od rozrywki, z którego dochód przeznaczono na utrzymanie więzień miejskich.

- Najłatwiej opodatkować grę w kule - oznajmił Simonis - ponieważ pola do jej uprawiania są widoczne. Dragomir musi bardzo uważać, bo jak pan widział, właściciele tych miejsc brutalnie traktują donosicieli.

Podatek nałożony na grę w karty był niemal niemożliwy do ściągnięcia.

- W tym roku podjęto kolejną próbę opodatkowania wszystkich gier.

Po dokonaniu licznych ekspertyz, wyjaśniał Simonis, władze postanowiły wprowadzić pewną zasadę. Organizator gry musiał wykupić w Obe-rant, urzędzie miasta, tabliczki do gry z kości słoniowej. Zwycięzca zamieniał je na gotówkę, z odtrąceniem jednej dziesiątej wygranej, i ta część była przelewana do kasy państwowej. W nagrodę połowę tej kwoty urząd miasta zwracał organizatorowi gry.

- Po kilku miesiącach skomplikowana procedura upadła. Wiedeńczycy żartowali: „W karty, w przeciwieństwie do muzyki, można grać w ciszy!”

Powrócono więc do szpiegowania.

- Jest to najbardziej dochodowe zajęcie Dragomira - stwierdził mój pomocnik. - Od czasu do czasu Populescu organizuje nielegalne rozgrywki, sfałszowane zakłady, zakazane bale, skoki do Dunaju, po czym donosi o tym i dostaje nagrodę.

- Skoki do wody?

- Tak. Jest pan tu od kilku miesięcy i nie miał okazji poznać uroków wiedeńskiego lata.

Kąpiele w Dunaju - ciągnął Grek - w ubiegłym stuleciu zakazane, od dziesięciu lat stały się bardzo modne. Niemal codziennie dzieci i dorośli obu płci kąpią się nago w

odnogach Dunaju i w Wiedniu, drugiej rzece

Wiednia. Miłośnicy kąpiei nie wybierają ustronnych miejsc, plażują w centrum miasta. Na zatłoczonej ulicy ktoś się rozbiera i beztrąsko wskakuje do wody. Za jego przykładem idą spragnieni chłodu przechodnie. Wszystko odbywa się pośród okrzyków oburzenia pań i panów z towarzystwa. Świadcami tych gorszących scen są niewinne dzieci.

- Latem Dragomir idzie nad Dunaj, rozbiera się i wskakuje do wody, wołając: „Ach, jak cudownie!”. Potem szybko wychodzi na brzeg i biegnie donieść na tych, którzy poszli w jego ślady. Za każde powiadomienie strażników dostaje zapłatę.

- Kolejny szpieg, jak Daniło, albo jeszcze gorszy - stwierdziłem.

- Pół-Azja - szepnął mi do ucha Simonis.

- Wykonując podobne zajęcie Populescu nie ma chyba zbyt wielu przyjaciół.

- Przeciwnie, ma ich bardzo wielu. Są nimi ci, którzy nie wiedzą, że Dragomir prowadzi podwójną grę, krótko mówiąc: naiwniaki.

Tymczasem dotarliśmy do gospody Pod Trzema Prostkami na przedmieściach Neubau. Peniś pozostał na miejscu dla woźnicy, a my podeszliśmy pod drzwi.

Wewnątrz było ciemno.

- Zamknięte - powiedziałem.

- To oczywiście. Dragomir pracuje... nieoficjalnie. Przeskoczmy przez ogrodzenie.

W dużym ogrodzie na tyłach gospody wytyczone były dwa długie pola do gry w kule. Były puste. Ani żywego ducha. Grek zmarszczył brwi.

- Do Siedmiu Klepisk! - polecił Peniśkowi, kiedy ponownie wsiedliśmy do kolasy. - To miejski poligon, wzdłuż Alsu, tuż za zachodnimi bastionami - powiedział, zwracając się do mnie.

- Nie tak łatwo znaleźć Populescu. Grek przemilczał moją uwagę.

W Siedmiu Klepiskach też nie było Dragomira.

- Poszukamy go gdzie indziej - oznajmił Simonis, kiedy jechaliśmy kolasą. - Sprawdzimy wszystkie pola do gry w kule.

- Skąd pewność, że go tam znajdziemy? - zapytałem z powątpiewaniem.

- Ostatnio pogoda się poprawiła. Za kilka dni się ociepli i wiedeńscy, zmęczeni zimnem, zaczną wychodzić na spacer w słońcu i grywać w kule. Dragomir już na nich czeka - odparł ze śmiechem.

Greki nie mylił się. W ciepłe dni w wielu krajach gra w kule jest ulubioną rozrywką pospólstwa. Ojciec Abraham a Sancta Clara narzekał: „Latem prości ludzie ściągają gromadnie do ogrodów i na pola do gry w kule, gdzie na porządku dziennym są przekleństwa,

oszustwa, a także kłótnie i bójki”.

- Ile pól do gry w kule znajduje się w Wiedniu i okolicach? - zapytałem, żeby wiedzieć, jak długo będziemy jeździć.

Byłem bardzo zmęczony i żałowałem, że nie odłożyłem poszukiwań do następnego dnia, jak radził Simonis.

- Sześćset pięćdziesiąt osiem krótkich i czterdzieści trzy długie.

- Boże! I ty twierdzisz, że go znajdziemy?! - zawołałem, obawiając się, czy Grek nie doznał przypadkiem pomieszania zmysłów.

- Proszę się nie martwić, panie majstrze. Oprócz dwóch pól, które już widzieliśmy, Populescu bywa na jeszcze jednym. Tam na pewno go znajdziemy. Ale jeśli ma pan dość, pojedziemy tam jutro.

- Nie. Jedźmy!

- Pismaku! Zatnij konia batem i ruszaj do Złotego... Jak to się nazywa? Aha, do Złotego Anioła.

- Złotego Anioła? Tego na wschodzie, przy Landstrasse, w pobliżu Bramy Piecyków, gdzie zatrzymują się Commorrer, Stullweissenburger, Neuheubler, Brugger i Altenburger? - Peniłek wymienił nazwiska woźniców, którzy trudnią się przewozem osób z różnych miast arcyksięstwa Austrii i cesarstwa do Wiednia i kończą trasę przed wspomnianą gospodą.

- Nie, do drugiego Złotego Anioła, tego na północy, na przedmieściu Währing.

- Tak, wiem, przy Alstergasse.

- Właśnie.

Sprawdziliśmy czternaście pól krótkich i jedno długie przy Złotym Aniele, ale nikogo tam nie było. Okolica pogrążona była w nocnej ciszy.

- Byłem pewien, że go tu znajdziemy - zachmurzył się mój pomocnik, kiedy przeskoczyliśmy przez ogrodzenie i wróciliśmy do kolasy.

- Mój Boże! - zawołałem zmartwiony. - Najpierw znaleźliśmy martwego Daniła, później Christa, a teraz... mam nadzieję, że...

- Chwileczkę! Chyba się pomyliłem - przerwał mi Simonis, zajmując miejsce w kolasie. - Może powinniśmy jechać do Złotego Księżycy albo czegoś podobnego. Pismaku!

- Pan cyrulik ma zapewne na myśli Blask Złotego Księżycy - sprostował uprzejmie Peniłek.

- Słusznie, właśnie o to mi chodziło! - wykrzyknął mój pomocnik. Biedny strudzony koń ciągnął kolasę coraz wolniej. Od siedemnastu pól krótkich przy Blasku Złotego Księżycy zawiózł nas do piętnastu pól krótkich i jednego długiego przy Złotym Jeleniu na Wyspie

Leopolda, za mostem Bitwy, gdzie wysiadali podróżni z Lipska i Norymbergi, następnie do Złotego Wołu, gdzie zatrzymywali się Scitilackwalter, Planner i Neuhauser, później do Złotego Orła, ostatniego przystanku woźniców ze Śląska, do Złotego Strusia, gdzie kończyli trasę Neuserowie i Iglau-rowie, woźnice z Wrocławia, następnie do Złotego Pawia, zajazdu Polaków, i do Złotego Baranka, gdzie wysiadali rodacy pismaka, czyli podróżni z Pragi. Nie zliczę, do ilu lokali ze złotem w nazwie dotarliśmy. Peniłek spisał się znakomicie jako woźnica. Na południowych przedmieściach Wiednia, w okolicy Bramy Karyńskiej, zajrzeliśmy do Złotego Kapłona, gdzie zatrzymywały się pojazdy z Wenecji, i do zajazdu Pod Złocistym Bursztynem, gdzie wysiadali podróżni z Villaco. Nasze wysiłki były daremne, Simonis bowiem nie mógł sobie przypomnieć właściwej nazwy gospody.

Wpadłem w ponury nastrój, drżałem o życie Populescu. Jeśli został zamordowany, liczba ofiar, które miałem na sumieniu, wzrosłaby do trzech. Byłem pewien, że Danił Danilowicz i Christo Hadzi-Tanjov zginęli, ponieważ rozpytywali o złote jabłko.

W końcu zmęczenie wzięło górę nad czarnymi myślami. Zamknąłem oczy. Na szczęście w drodze od jednego zajazdu do drugiego mogłem się trochę zdrzemnąć. Odwiedziliśmy wszystkie znane nam gospody ze złotem w nazwie. Za radą Peniłka udaliśmy się też do zajazdów, w których zatrzymują się przyjezdni spoza Wiednia i innych dużych miast. Prowincjusze są bowiem smacznym kąskiem dla takich kombinatorów jak Populescu. Następnie zawróciliśmy, żeby zajrzeć do Kosza z Węgłem, gdzie kończą trasę woźnice z Grazu, Marburga i Neustadt, do Czarnego Kozła przy Landstrasse - miejsca spotykań handlarzy bydła z Węgier. Udaliśmy się też na przedmieście Rossau. Za Bramą Szkotów, gdzie Peniłek miał powozownię, szukaliśmy Dragomira w Czarnym Bursztynie wśród podróżnych z Dolnej Austrii, z Passau, Krems, Wachau, i w Białym Baranku wśród marynarzy z San Giovanni, Greifenstein *et cetera*. Podczas ostatnich postojów kontynuowałem drzemkę w kolonie, a poszukiwania prowadził Simonis.

- Nie chce ci się spać? - zapytałem mojego pomocnika, wskazując na śpiącego na koźle Peniłka.

- Mam przy sobie nietoperza, panie majstrze - odparł Simonis i poklepał znacząco płócienną torbę.

- Co? Aha, no tak - powiedziałem, przypomniawszy sobie dziwną miksturę, którą mój pomocnik zaaplikował beanowi w noc otrzęsin.

- Nie udusi się?

- Jest przyzwyczajony. A poza tym teraz śpi.

- Aha!

- O wilku mowa! - zawołał Dragomir na nasz widok. Odetchnąłem z ulgą. Rumuna znaleźliśmy w końcu w zajezdzie Pod

Złotą Koroną na Wyspie Leopolda. Po naznaczeniu kul i dokonaniu zmian na polu do gry szykował się do odejścia. Już miałem powiedzieć o grożącym mu niebezpieczeństwie, ale uprzedził mnie, oznajmiając, że ma dla mnie dobrą wiadomość. Wskoczył do kolasy i zaproponował, żebyśmy pojechali do Hetzhaus, gdzie prawdopodobnie przebywa jego znajomy, który coś wie o złotym jabłku.

- Pismaku! Pośpiesz się, na Boga! - zakrzyknął, a zwracając się do nas, powiedział: - Proszę się nie obawiać, poprzednim razem znalazłem go bez trudu. To Rumun, jak ja, tyle że pochodzi z ubogich terenów w górach, jeszcze biedniejszych od moich stron - uściślił, unosząc dłoń, jakby dla podkreślenia, że pochodzi z bardziej cywilizowanych obszarów. - Jest Rumunia i Rumunia, ja urodziłem się nad Morzem Czarnym i w porównaniu z moim informatorem jestem księciem.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - powiedział rozbawiony Simonis, mrugając do mnie porozumiewawczo.

- Jego ojciec był w niewoli tureckiej - ciągnął Populescu - i zna dużo tureckich legend. Obiecał, że udzieli nam kilku przydatnych informacji.

- Jakich?

- Twierdzi, że wie, skąd pochodzi złote jabłko i gdzie go szukać.

- Posłuchaj, Dragomir! - wtrąciłem. - Muszę z tobą porozmawiać. Nie powinienes...

- Chwileczkę! - przerwał mi Populescu.

Byliśmy na miejscu. Rumun wysiadł z kolasy i dał nam znak, żebyśmy zaczekali na niego.

- Ośmielam się zaproponować, panie majstrze, żeby przed rozmową z Dragomirem wysłuchał pan jego informatora. Jesteśmy prawie u celu. Nie chciałbym, żeby mój przyjaciel, na wieść o spisku agi, czmychnął właśnie teraz.

Zamilkłem na chwilę.

- Masz rację - zgodziłem się.

Simonis spojrział na mnie pytająco, oczekując definitywnej odpowiedzi.

- W porządku. Porozmawiam z nim później. Mój pomocnik sprawiał wrażenie zadowolonego.

Był środek nocy. Znajdowaliśmy się na Wyspie Leopolda przed dziwnym budynkiem, o nazwie Hetzhaus, czyli Dom Szczucia. Nigdy o nim nie słyszałem. Była to wysoka, drewniana budowla na planie koła. Z wnętrza, mimo późnej pory, dochodził hałas.

- Co tu się mieści? - spytałem Greka.

- Nigdy nie słyszał pan o Hetzhausie? - odpowiedział pytaniem.

- Nie.

W tym samym momencie wrócił Populescu.

- Dzisiaj jest tu pełno ludzi. Chodźcie ze mną, będzie mi różnie. Pismak, jak zwykle, został na koźle. Przy wejściu zatrzymał nas człowiek o wyglądzie potwora.

- Widzowie czy panowie?

- Nie poznajesz mnie, Helmucie? - zapytał Populescu. - Szukam Cypriana.

Potwór odparł, że widział go przed godziną. Nie wiedział, czy jest jeszcze w środku, ale pozwolił nam wejść. Spojrzałem pytająco na Si-monisa.

- Za chwilę wszystko pan zrozumie, panie majstrze.

Gdy szliśmy niskim, wąskim korytarzem, hałas stawał się coraz głośniejszy. Dały się odróżnić dwa rodzaje odgłosów: okrzyki mężczyzn i zgiełk drobiu. Na koniec znaleźliśmy się w wielkim amfiteatrze, oświetlonym pochodniami. Pod pierwszym rzędem krzeseł znajdowały się klatki dla zwierząt, odgródzone od areny kratą.

Pośrodku areny zgromadził się tłum rozwrzeszczanych, gestykujących mężczyzn. Ogłuszającemu hałasowi towarzyszył silny fetor zwierząt, potu i moczu. Zbita ludzka ciżba składała się z korpulentnych, nieokrzesanych, prymitywnych osobników.

- Witajcie w Hetzhausie! - powiedział Simonis, wskazując na środek amfiteatru.

Podeszliśmy bliżej. Przed nami przemaszerowała grupka mężczyzn o wyglądzie zawadiaków, wesoło pozdrawiając Dragomira, który pytał o coś człowieka stojącego obok niego.

Uwagę tłumy przyciągnęły walczące ze sobą dwa koguty. Wrzaski widzów rozlegające się w amfiteatrze wzmacniało echo. Większy kogut przycisnął mniejszego do ziemi i z całych sił dziobał go po głowie. Rozszalały tłum bił brawo i okrzykami zagrzewał ptaki do boju.

- Jaka jest różnica między „wiedzami” a „panami”? - spytałem Simo-nisa.

- „Widzowie” to ci, którzy dokonują zakładów - odparł Grek, kiedy z przerażeniem patrzyłem na okrutny spektakl. - „Panowie” to właściciele zwierząt.

W tym momencie podszedł do nas Populescu.

- Niestety nie udało mi się dowiedzieć, czy mój znajomy jeszcze tu jest - powiedział. - Musimy go poszukać. Łatwo go znaleźć, bo ma tylko jedno oko, na drugim nosi przepaskę. To trzynastoletni chłopiec mojego wzrostu, chudy jak patyk.

Kiedy Populescu oddalił się, witając z nieznanymi nam ludźmi, zapytałem Simonisa:

- Czym zajmuje się tutaj Populescu?

- Zarabia pieniądze, nabierając głupków na nieuczciwe zakłady. Hetzhaus, założony przed kilkoma laty przez dwóch Holendrów, cieszy się dużą popularnością. Walki zwierząt modne są od ponad wieku, sporo osób utrzymuje się z zakładów. Choć Populescu tego nie powiedział, chłopiec, którego szukamy, z pewnością też do nich należy. Teraz rozdzielimy się, ale nie traćmy się z oczu. Ten, kto pierwszy znajdzie jednookiego, da znak pozostałym.

Kiedy zostałem sam, rozejrzałem się uważnie dokoła. W klatkach więziono różne gatunki zwierząt: koguty, psy, byki, woły, wilki, dziki i hieny, których przeciągłe wycie zmieniało amfiteatr w rodzaj piekielnego kręgu. Z promieniście ustawionych klatek w każdej chwili można było uwolnić zwierzę i zaprowadzić prosto na miejsce masakry, jakby jakiś okrutny czarownik zmienił arkę Noego w statek śmierci. Przed wejściem do budynku, mimo smrodu, krwi, krzyków i skowytów, jakiś beztroski człowiek sprzedawał chleb, kielbaski i wino Schwechat.

Tymczasem większy kogut zadziobał rywala. Właściciel zwycięzcy wziął go w ręce i podniósł w górę, co publiczność przyjęła okrzykami radości. Dostrzegłem, jak z rąk do rąk przekazywano sobie złote i srebrne monety, ku uciesze zwycięzców i złości pokonanych.

W tej samej chwili usłyszałem donośny okrzyk, głośniejszy od hałasu panującego w amfiteatrze:

- To on!

Dragomir wskazywał palcem postać, która szybko przemieszczała się w gęstym tłumie. Widziałem go wyraźnie, bladego, mizernego chłopca z przepaską na oku. Starłem się go dogonić, ale był szybszy. Pobiegliśmy za nim w stronę wyjścia, roztrzając wszystkich dokoła, i po kilku sekundach znaleźliśmy się na ulicy. Jak można się było spodziewać, chłopiec rozpląnął się w ciemnościach. Olbrzymi Helmut, pilnujący wejścia, nie zdążył go zatrzymać.

- Do licha! - syknął przez zęby Populescu, dysząc ze zmęczenia.

- Co teraz?

- Cyprian mieszka daleko, na przedmieściu - odparł. - Nie dotrze do domu przed świtem. Na pewno zechce gdzieś przenocować. Wiem, że bywa też w innym miejscu, niedaleko stąd, gdzie czasem dorabia jako stręczyciel. Mówiła mi o tym jedna z prostytutek. Pismaku! Na co czekasz? Ruszaj!

Ten lokal wyglądał zupełnie inaczej. Znajdował się przy eleganckim placu Neuer Markt, z pomnikiem Józefa I, zdobywcy Landau, pośrodku. Z okien luksusowego domu rozrywki na ulicę padało światło. Na murze obok wejścia namalowany był naturalnej



wielkości Turek w turbanie. Zgodnie z panującą modą trzymał w dłoni filiżankę dymiącej kawy i szerokim gestem wolnej ręki zapraszał do środka. W pobliżu stały karety, których właściciele, arystokraci i urzędnicy wysokiego szczebla, zabawiali się w lokalu.

- To Mehlgrube, najelegantszy nocny dom rozrywki w Wiedniu - powiedział Populescu. - Ma najlepsze stoły bilardowe, najlepszych graczy w karty, najlepszą muzykę i najlepsze dziwki w mieście. Mimo obowiązujących zakazów pije się tu i tańczy do białego rana. Miejsce cieszy się dużą popularnością, bywają tu znane osobistości. Przekupieni sędziowie przymykają oko na łamanie przepisów prawa grodzkiego.

Dźwięki orkiestry grającej na piętrze ginęły w gwarze rozbawionych tancerzy. Muzycy właśnie skończyli grać utwór w rytmie trzy czwarte, który nagrodzono gromkimi brawami.

- Słyszał pan? - zapytał Populescu. - Od jakiegoś czasu ludzie nie chcą tańczyć lendlera czy langausa, coraz częściej domagają się tego dziwnego tańca niewiadomego pochodzenia, zwanego walcem. Lekarze twierdzą, że jest on zbyt szybki, niemoralny i w wyniku nadmiernego rozgrzania organizmu może doprowadzić do choroby, a nawet śmierci. Moim zdaniem za dwa lata moda na ten taniec przeminie.

To powiedziawszy, poszedł szukać Cypriana, a Simonis kontynuował opowieść o zajęciach Populescu.

- Dragomir pomaga zawodowym oszustom: zagląda niepostrzeżenie w karty i oskubuje naiwniaków. W grze w bilard podsuwa ofierze krzywy kij albo wadliwe kule, wskutek czego strzały uszkodowanego są zawsze nieudane.

W tej samej chwili wrócił uradowany Dragomir.

- Znalazłem go. Tym razem nam nie ucieknie.

Zaprowadził nas do małych drzwiczek, za którymi znajdowały się schody do piwnicy. Zeszliśmy na dół, do niewielkiego, słabo oświetlonego pomieszczenia, pełnego beczek z winem i piwem. Przy stole siedział jednooki chłopiec. Pilnował go brzuchaty, groźnie wyglądający osobnik, z otępiałymi, półprzymkniętymi oczami. Był jeszcze potężniejszy od Helmuta, który zatrzymał nas przy wejściu do Hetzhausu. Jego ramiona, jak oszacowałem, były grubsze od moich ud.

- Pomaga mi wygzekwować pieniądze od klientów - wyjaśnił Populescu z porozumiewawczym uśmiechem, sącząc z kufla piwo, pochodzące zapewne z jednej z beczek.

Młodziutki Cyprian wyglądał bardziej na rozwścieczonego niż przestraszonego. Spoglądał na nas spode łba.

- Twierdzi, że nic nie wie i nie pamięta, żeby składał jakieś obietnice - oznajmił Populescu, wychylając piwo do końca. - Obiecał mi pomoc, a teraz zaczyna kręcić. Mówi, że pewne rzeczy są dla Turków święte i jeśli będziemy zadawać za dużo pytań, to ich Bóg pogniewa się i nas ukarze. Uświadomiłem mu, że słowa należy dotrzymywać, w przeciwnym razie będzie miał do czynienia z Klausem - powiedział, wskazując na osiłka siedzącego obok Cypriana.

- Mieszkańcy Pół-Azji są wyjątkowo okrutni - szepnął mi do ucha Simonis.

Cyprian z pogardą splunął na ziemię. Populescu dał znak Klausowi, który wymierzył chłopcu siarczysty policzek. Cios był tak silny, że Cyprian zachwiał się na krześle.

- Idź do diabła! - syknął po niemiecku.

- Nie denerwuj się, Dragomirku! Zachowaj spokój! - upomniał samego siebie Populescu. - Klaus! Jeszcze raz! - rozkazał.

Tym razem padły trzy uderzenia. Po pierwszym ofiara zadrżała, po drugim straciła równowagę, po trzecim runęła na ziemię. Klaus bił bez stylu, ale skutecznie. Jednak Cyprian nadal nie chciał mówić.

- Oddalcie się na chwilę - zaproponował Dragomir. - Jesteśmy zmuszeni zastosować bardziej radykalne środki.

Zdrętwiałem ze strachu. Spojrzałem na Simonisa, który skinął głową na znak, że powinniśmy posłuchać rady Dragomira. Usiedliśmy opodal. Po kilku sekundach usłyszeliśmy krzyki Cypriana i przeciągłe beknienie Populescu po wypiciu kolejnego kufła piwa.

- Pół-Azja - mruknął pod nosem Grek, kiwając głową.

- Nie sądzę, żeby odznaczali się jakimś wyjątkowym okrucieństwem - zaprotestowałem. - Mówisz tak, jakby chodziło o jakichś wyrzutków zamieszkujących obydwie Ameryki, którzy rzeczywiście są dzikusami.

- Ale ci nie są lepsi, panie majstrze. W Pontevedro opowiada się taki dowcip: pewnemu wieśniakowi stojącemu u bram raju zaproponowano spełnienie jednego życzenia, pod warunkiem że jego sąsiad, który jeszcze nie umarł, otrzyma dwa razy więcej. „Zabierzcie mi jedno oko”, odparł wieśniak ze złośliwym uśmiechem. Oto jak odnoszą się do siebie mieszkańcy Pół-Azji.

Z krzyków Cypriana należało wnioskować, że Populescu kazał mu podbić także drugie oko.

- Niech mi pan wierzy, panie majstrze, w tamtych stronach żyją ludzie na pozór tacy sami jak my - ciągnął Grek z przejęciem - ale to tylko złudzenie. Pontevedro nie ma nic wspólnego z sielanką czy rajem. To stan głębokich ciemności, prymitywizmu, wiecznej

nieprzeniknionej nocy, przez którą nie przebija najmniejszy promień cywilizacji, najsłabsze technienie ludzkiej miłości. Nie panuje tam ani blask dnia, ani ciemność nocy, tylko pewien osobliwy półmrok pozbawiony zarówno naszej kultury, jak i barbarzyństwa Turanu, innymi słowy: Pół-Azja!

- Dość! Wystarczy! - rozkazał Dragomir Populescu osiłkowi, który przycisnął brzuch chłopca kolanem, szykując się do kolejnego ciosu.

Podeszliśmy do nich. Byłem oszołomiony obojętnością, z jaką Dragomir, podejrzany student prowadzący podwójne życie, wydawał polecenia Klausowi. Najwyraźniej nie pierwszy raz kazał kogoś pobić. Jedyne osoby należące do świata przestępczego, pomyślałem, używają siły i przemocy z równą swobodą. Oszuści, kanciarze, stręczyciele, szpiedzy, cudzołóżnicy. Simonis miał rację, twierdząc, że jego koledzy, choć nazywali siebie studentami, w rzeczywistości nie mieli nic wspólnego z miłośnikami literatury i nauk.

Cyprian nie stawiał już oporu. Leżał na ziemi, z górnej wargi sączyła mu się strużka krwi, oko zaczęło szybko puchnąć. W pewnej chwili mruknął coś pod nosem.

- Głośniej! - nakazał Populescu, wylewając mu na głowę piwo. Cyprian milczał. Na znak Dragomira Klaus wymierzył mu kopniaka w zębra. Chłopiec jęknął i przewrócił się na bok.

- Nie przesadzacie? - wtrąciłem.

- Pst! - uciszył mnie Populescu. - Cyprian! Co powiesz nam o złotym jabłku? Moi przyjaciele chcieliby się dowiedzieć czegoś na ten temat.

Cyprian powiedział coś w swoim języku, tym razem nieco głośniej. Dragomir tłumaczył jego słowa na włoski. Od czasu do czasu przerywał chłopcu i prosił o powtórzenie wyrazów, które z powodu spuchniętej wargi zabrzmiały niewyraźnie.

- Wszyscy mówią o złotym jabłku, sekrecie wszelkiej władzy. Wszyscy go szukają, ale nikt nie wie, gdzie się podziało. Szejk Aksemeddin wykorzystał swoje wizjonerskie zdolności i wskazał miejsce, w którym miał być pochowany Eyyub, chorąży Mahometa, poległy podczas zwycięskiego oblężenia Konstantynopola.

- Eyyub! - wykrzyknął Populescu, patrząc na nas triumfująco. - To samo imię wypowiedział przed śmiercią Danił! A więc to jego miała na myśli brunetka z kawiarni, mówiąc o chorążym Mahometa!

- Razem z sułtanem Mehmedem i trzema innymi ludźmi - ciągnął swą opowieść Cyprian - Aksemeddin przez trzy dni kopał w ziemi. W końcu, na głębokości trzech łokci, znaleziono olbrzymi zielony kamień, na którym widniał kuficki napis, głoszący, że był to grób Ebu Eyyuba El-Ensariego. Pod kamieniem znaleziono ciało Eyyuba, owinięte w

szafirowy całun. Sprawiał wrażenie, jakby umarł przed kilkoma minutami. W swej błogosławionej dłoni trzymał *miihre*.

- Co? - zapytał Simonis.

- Dla ciemnych ludzi - mówił dalej Cyprian - jest to tylko kula, podobna do tych, jakich używa się jako przycisku do papieru. Ale dla ludzi oświeconych jest magiczną kulą pochodzącą od Boga.

- Zatem *miihre* i złote jabłko to jedno? - wtrąciłem.

- *Miihre* powstaje w głowie węża królewskiego rodu - ciągnął chłopiec. - W rzeczywistości jest materią słoneczną. Chroni ją siedem warstw, które kolejno odpadają. Dlatego też pokryta jest złotem i przechowywana w ciemnym grobowcu, gdzie nie docierają promienia słońca. Jeśli choćby jeden promień dostanie się do wnętrza komory grobowej, *miihre* umyka w stronę sfer niebieskich, ku pokrewnej jej materii.

Na tym nie koniec. Pobity chłopiec powiedział też, że korony dawnych cesarzy Bizancjum, czyli Konstantynopola, wieńczył błyszczący kamień wykradzony ze skarbcza Nabuchodonozora, założyciela Babilonii. Król otrzymał go od Trzech Króli. Pragnąc chronić kamień, Nabuchodonozor kazał umieścić w całym królestwie niezliczoną liczbę rysunków z przedstawieniem węża.

- A to dlatego, że wszechświat otaczał wąż, naśladujący węża otaczającego Ziemię - wyjaśnił Cyprian.

Powiedział też, że kiedy Aleksander Wielki poszukiwał źródła życia w krainie wiecznego mroku, do końca swojej włóczni przymocował lśniący kamień. Na Zachodzie mówiono, że otrzymał go u wrót ziemskiego raju, tymczasem wschodni mędracy twierdzili, że Aleksander ze swoim wezyrem Surim przybyli do miasta Rama, wybudowanego przez Salomona. Kamień ten stał się później złotym jabłkiem.

- Chwileczkę, Dragomir, nic nie rozumiem - zaprotestowałem, przecierając oczy, jak wtedy gdy bardzo boli mnie głowa.

- Nie zmieniłem ani przecinka w tym, co powiedział ten żółtodziób - odparł Populescu, wychylając kolejny kufel piwa.

Chłopiec opowiadał dalej. Powiedział, że rajski ptak Hiima wyjawiał Salomonowi pochodzenie cennego kamienia *miihre*.

- W czwartym niebie znajduje się góra złocistego piasku, na jej szczycie wznosi się wspaniały pałac. Kopusza pałacu została zbudowana z kamiennych pierścieni wszystkich władców świata, którzy panowali przed Adamem. Kiedy podporządkowali sobie świat, zapragnęli zdobyć niebiosy i stać się bogami. Wtedy zjawił się anioł śmierci i zażądał zwrotu

pierścieni. W kopule niebiańskiego pałacu brakuje ostatniego, zamykającego ją pierścienia. Z niego powstał *miihre*.

Wymieniliśmy z Simonisem zdziwione spojrzenia. Zawiała opowieść Cypriana obfitowała w sprzeczne informacje.

- Moim zdaniem *miihre* to kamień granatu z posągu Madonny przed kościołem Hagia Sophia, o którym opowiadał nam Koloman - zauważył Simonis.

- Równie dobrze może chodzić o złotą kulę Sulejmana na dzwonnicy katedry świętego Szczepana, wspomnianą przez Jana Janickiego - dodał Populescu.

- Zapytaj chłopca, skąd Eyyub wziął *miihre* - powiedziałem.

- Kamień ten znajdował się w samym środku świata. Eyyub ukradł go, aby przekazać przysłemu, zwycięskiemu sułtanowi - brzmiała odpowiedź Cypriana.

- Środek świata to zapewne Konstantynopol - wyjaśnił Populescu.

- Gdzie jest teraz *miihrel* - zapytałem.

- Nie wiadomo.

- A czterdzieści tysięcy Kasima? Zapytaj go, czy coś wie o czterdziestu tysiącach męczenników.

Przesłuchiwany niechętnie bąknął kilka słów.

- Powiedział, że czterdzieści tysięcy męczenników krzyczy każdego piątku - przetłumaczył Dragomir.

- Mówił nam o tym umierający Daniło - stwierdziłem. Populescu zadał kolejne pytanie Cyprianowi.

- Gwoli ścisłości, krzyczą w piątek wieczorem. Nic więcej nie wie. Ostatnia odpowiedź chłopca zupełnie nas załamała.

- Zapytaj go, czy mówią mu coś słowa *solī solī solī* - poprosiłem. Cyprian usiadł i otarł krew z wargi. Usłyszawszy pytanie, pokręcił głową i splunął na ziemię. Klaus zacisnął pięść i spojrzał pytająco na Dragomira, który dał znak, by zostawił chłopca w spokoju.

- Nic już nie rozumiem - oświadczył Simonis, kiedy wyszliśmy z piwnicy, kierując się ku kolonie Penicka. - Wiele informacji ma ze sobą związek, ale wszystko razem wzięte nie ma sensu. Nie wiadomo, czy złote jabłko to *muhre* i czy *muhre* to kula z posągu Madonny, Justyniana lub Konstantyna, czy może z dzwonnicy świętego Szczepana. Cyprian twierdzi, że kamień pochodzi ze środka Ziemi, od Aleksandra Wielkiego, z czwartego nieba i pierścienia Salomona. Jeśli kula słonecznej materii, jak ją nazywa, znajdowała się w grobowcu Eyyuba, to zdanie „przyszliśmy do Złotego Jabłka zupełnie sami” traci sens.

- Ja też nie rozumiem - przyznał Populescu przepitym głosem. - Z jakiegoś jednak

powodu Turcy wspomnieli księciu Eugeniuszowi o Złotym Jabłku.

- Sądzę, że należy dowiedzieć się czegoś więcej o Eyyubie, chorącym Mahometa. Nieprzypadkowo Daniło wspomniał o nim na krótko przed śmiercią - oznajmił Grek, wsiadając do kolasy.

- Nie, Dragomir niczego nie będzie się dowiadywał - powiedziałem, rzucając mojemu pomocnikowi groźne spojrzenie i wyciągając z kieszeni pieniądze, żeby zapłacić Populescu. - Ani inni wasi koledzy, ponieważ...

- Dobrze powiedziane! - wykrzyknął Rumun, uśmiechając się szeroko na widok monet. - Zgadzam się. Dowiedzieliśmy się aż nadto. Dzisiaj wieczorem mam spotkanie z dziewczyną na Andacht, przy Kalvarien-berg, i te pieniądze bardzo mi się przydadzą, dziękuję!

- Uważaj, Dragomirze! - powiedziałem, wręczając mu pieniądze. - Muszę cię przestrzec, że...

- Będę bardzo uważał! Twierdzi, że jest dziewicą, ale mam zamiar użyć sposobu, żeby to sprawdzić.

Populescu był pijany. Nie był w stanie słuchać, a tym bardziej rozumieć moich słów. Pomogliśmy mu wsiąść do kolasy.

- W porządku! Posłuchaj mnie uważnie! Derwisz agi... - ponowiłem próbę ostrzeżenia.

- Derwisz? Ten wirujący bąk w białej spódniczce? - zaśmiał się Populescu i głośno czknął. - Nie pod taką spódniczkę chcę dziś zajrzeć! Nic mnie nie obchodzi, czy derwisz jest dziewicą, cha, cha, cha! Mojej dzierlatce z kawiarni, he, he, dam do wypicia trochę źródlanej wody z solą *armoniacum*. Jeśli nie jest dziewicą, to się posusia, cha, cha, cha! Mam też proszek z korzeni *ephen*, które dam jej do powąchania. Jeśli nie jest dziewicą, znowu się posusia, cha, cha, cha! Pełna kompromitacja! Cha, cha, cha!

Zmartwiłem się, tym bardziej że do zaśmiewającego się Dragomira dołączył mój pomocnik, a po chwili wybuchnął śmiechem także Penicek.

- Szkoda by było, gdyby okazało się, że nie jest dziewicą - oznajmił Dragomir, ściągając usta w ciup. - Ale jestem pewien, że prędzej czy później prześpi się ze mną, bez zbędnych ceregieli, cha, cha, cha!

Kolasa zatrzymała się przed domem Populescu. Zanim zdążyłem otworzyć usta, Dragomir otworzył drzwiczki i wysiadł.

- Chwileczkę, Dragomirze! Muszę ci coś powiedzieć...

- Stokrotne dzięki, panie majstrze! - powiedział ze śmiechem kompletnie pijany Rumun, bijąc pokłony i wymachując sakiewką z pieniędzmi, zanim zniknął w bramie.

- Ruszaj, pismaku! - rozkazał Simonis.

- Nie, zaczekaj! - zaprotestowałem. - Nie zdołałem mu niczego powiedzieć!

- Za dużo wypił. I tak by nie zrozumiał. Jeśli pan chce, może pan porozmawiać z nim dzisiejszego wieczoru. Powiedział, że spotka się z dziewczyną na Andacht przy Kalvarienberg.

- Nie mam wyboru - zgodziłem się. - Mam dość. W dodatku nie udało nam się uprzedzić żadnego z twoich przyjaciół. Zastanawiam się, czy nie lepiej było poszukać najpierw Kolomana lub Opalińskiego zamiast Dragomira.

- Obaj byli w domu. Spali już.

- Co takiego? Dlaczego więc doradziłeś mi, żeby zacząć od Populescu?

- Nie byłoby uprzejmie ich budzić. Przecież nie są na moje rozkazy jak pismak.

Zaniemówiłem ze zdziwienia. Czyż mogłem spodziewać się mądrzejszej odpowiedzi po półgłówku?

*Godzina 5.30: odprawiana jest pierwsza msza. Od tej pory przez cały dzień będą bić dzwony, zapowiadające msze, procesje i modlitwy. Otwierane są gospody i piwiarnie*

Gdy wracaliśmy do klasztoru Porta Coeli, ulice powoli zapełniały się ludźmi. Z piekarń, zajazdów i ciastkarni dobywał się słodki zapach czekolady, rozchodził się po zaułkach, ogrodach, zatłoczonych alejach, łechcąc nozdrza przechodniów niczym jakaś tajemnicza woń nie z tego świata. Wśród bladych mleczarek, rumianych piekarzy, podśpiewujących muzyków, pogwizdujących lokajów i prostych robotników na próżno by szukać osób z wyższych sfer. Arystokraci oraz mieszczaństwo jeszcze spali, znużeni nocnymi uciechami.

Penicek powoli torował sobie drogę, bacząc, by kogoś nie potrącić. Skręciliśmy z ulicy Karynckiej w ulicę Porta Coeli. Przed bramą klasztoru czekała na mnie Cloridia, zdenerwowana moją długą nieobecnością.

Nagle wydarzyło się coś dziwnego.

Właśnie podniosłem się z siedziska i pomachałem do niej ręką, gdy u jej boku pojawił się nieoczekiwanie jakiś człowiek i ścisnął ją mocno za ramię. Przeżona Cloridia krzyknęła.

Niezbyt dobrze pamiętam, co dokładnie się wydarzyło, bo wszyscy byliśmy bardzo zdenerwowani. Spróbuję jednak choć częściowo przybliżyć całe zdarzenie.

Znajdowaliśmy się o jakieś dwadzieścia kroków od klasztoru. Simonis wyskoczył z kolasy i ruszył na pomoc mojej małżonce. Chciałem uczynić to samo, choć wiedziałem, że nie będę szybszy od niego, biegnąc na moich krótkich nogach. W tej samej chwili koń Penicka wystraszył się, wyczuwając niebezpieczeństwo, i szarpnął kolasą. Straciłem równowagę i

spadłem na ziemię. Kiedy się podnosiłem, zorientowałem się, że człowiek, który zaatakował Cloridię, a teraz wycofywał się chyłkiem, to ten sam zakapturzony osobnik z pałacu księcia Eugeniusza. Domyśliłem się, o kogo chodzi, po tym, jak był ubrany.

Simonis był tuż-tuż, ale napastnik rzucił się do ucieczki i rozpląnął się w szarości poranka. Clordia siedziała na ziemi i płakała. Simonis pochylił się nad nią, upewnił się, że nic się jej nie stało, i kontynuował pościg. Kuśtykając, pobiegłem za nim. Zakapturzony człowiek nie mógł nam uciec.

Przechodnie ze zdziwieniem patrzyli na polowanie na człowieka o świcie. Z okien dochodziły krzyki „Łapać złodzieja!” (choć nim nie był). Do pościgu dołączyło kilku młodzieńców, ale prawie natychmiast zrezygnowali. Goniliśmy go przez całą ulicę Porta Coeli. Przy murach miejskich skręcił w lewo, w ulicę Seilerstatte, a potem w zaułek za klasztorem Augustianek od świętego Jakuba. Simonis deptał mu po piętach, ja tymczasem wpadłem na lepszy pomysł. Obrąłem równoległą ulicę Rie-mergasse, która w przeciwieństwie do krętego zaułka biegła prosto. Dzięki temu, choć nie byłem tak szybki jak Simonis, dotarłem do zbiegu arterii równo z zakapturzonym mężczyzną. Wpadł wprost na mnie.

Jakież było moje zaskoczenie, gdy dostrzegłem jego wystraszoną twarz. Zorientowałem się, że znam napastnika mojej żony. Osobnik, trochę podobny do kreta, trochę do kuny, też mnie rozpoznał. Po chwili zaskoczenia uśmiechnął się i otworzył szeroko ramiona na powitanie.

Rozpędzony Simonis wpadł na niego od tyłu, skutkiem czego wszyscy trzej runęliśmy na stojący obok wózek, przewracając go razem z właścicielem. Jabłka, rzepy i inne warzywa rozsypały się na wszystkie strony, niczym krople rtęci, które wyciekły z probówki szalonego alchemika. Podskakując wesoło, utworzyły fantazyjny wzór na jezdni. Całą ulicę wypełniły krzyki gapiów i głośnie narzekania poszkodowanego sprzedawcy.

Omaliem nie zemdlałem z wrażenia, gdy zakapturzony osobnik pochylił się nade mną, przytrzymywany przez trzech czy czterech silnych mężczyzn, i ujrzałem jego szare, podstępne oczy i żółtawe zęby. Nadal uśmiechając się do mnie, powiedział:

- Wielce się zdumiałem, widząc waszą mość całą i zdrową tu, w Vindobonie\*[\* Antyczna, rzymska nazwa Wiednia (przyp. tłum.).].

- Ugonio?! - wykrzyknąłem i straciłem przytomność.

Łowca relikwii, zbir w służbie sekt żebraczych, oszust, dla którego przestępstwa w Wiecznym Mieście były chlebem powszednim, kolejny raz nieoczekiwanie pojawił się w moim życiu.

Spotkaliśmy się w podziemiach Rzymu przed dwudziestu ośmiu laty, kiedy poznałem



opata Melaniego. Ugonio zajmował się wówczas poszukiwaniem relikwii, czyli szczątków świętych. Ponownie natknąłem się na niego przed jedenastu laty, przy okazji powrotu Atta do Rzymu. Łowca relikwii pracował wtedy dla tajnych kongregacji żebraczych. Między nim a Melanim nie było żadnego bezpośredniego związku, lecz podejrzane intrygi opata nieuchronnie łączyły się z podziemnym, brudnym światem Ugonia.

Ale ze mnie głupiec! Powinienem był się domyślić, stwierdziłem, kiedy odzyskałem przytomność. Przecież Ugonio urodził się w Wiedniu.

Łowca relikwii istotnie pochodził z Wiednia, dlatego mówił tak dziwnie po włosku.

Straciłem na chwilę świadomość, gdy wózek, przewracając się, uderzył mnie w głowę. Jak przez mgłę słyszałem głosy mężczyzn, którzy pomogli mi wstać, wzięli pod ramiona i prowadzili w stronę klasztoru Porta Coeli. Przejściu naszego dziwnego orszaku przyglądali się zgromadzeni po obu stronach ulicy gapie. Szedłem za Simonisem i grupką ludzi skupionych wokół łowcy relikwii. Nie szczędzili mu szturchańców i obelg.

Niechlujny wygląd mojego niegdysiejszego znajomego zgadzał się z opisem Cloridii. Ugonio miał taką samą jak przed laty pomarszczoną twarz, szare, przekrwione oczy, szponiaste dłonie i mięsisty nos. Choć trudno było określić jego wiek, wyraźnie się postarzał. Odrażający jak dawniej, teraz jeszcze osiwał. Był jednak w dobrej formie: żeby go schwytać, musieliśmy gonić we dwóch, w dodatku co sił w nogach.

Przed jedenastu laty łowca relikwii, chcąc pomóc opatowi i mnie, poróżnił się z bractwem żebraczym i musiał uciekać z Rzymu i z Włoch. Dobrze pamiętałem jego zakrwawioną twarz i zabandażowaną dłoń, kiedy przyszedł do willi Spada, żeby się z nami pożegnać. Powiedział wtedy, że schroni się w swoim rodzinnym mieście.

Podziękowałem podtrzymującym mnie ludziom i szedłem dalej o własnych siłach. Zawołałem Simonisa, a kiedy mój pomocnik upewnił się, że mam się dobrze, wyjaśniłem mu, że znam tego osobnika i że z pewnością nie miał on złych zamiarów wobec Cloridii.

- Jest pan pewien, panie majstrze?

- Oczywiście. A teraz pozbądź się, proszę, tych ludzi. Dobrze znasz niemiecki, więc powiedz im, że pokłóciłem się z tym człowiekiem, ale wszystko sobie wyjaśniliśmy. Nie mam zamiaru wnosić przeciw niemu oskarżenia.

- Na pańskim miejscu... W porządku, jak pan sobie życzy.

Simonis miał dar przekonywania. W końcu zdołaliśmy się pozbyć niepożądanego towarzystwa i zapobiec interwencji żandarmów. Czekało mnie najtrudniejsze zadanie: wyjaśnić wszystko mojej żonie.

- Jeszcze tu jest? Dlaczego nie zaprowadziliście go do więzienia? Znajdowaliśmy się

w naszym mieszkaniu w klasztorze Porta Coeli.

Clordia z przerażeniem patrzyła, jak Ugonio tuli do siebie naszego synka.

- Problem polega na tym, że ty go nie znasz, ale on zna ciebie - powiedziałem do żony, zapraszając Simonisa i Ugonia, by usiedli.

Greki przyglądał się łowcy relikwii z niedowierzaniem, odrazą i nieufnością. Usiadł na krześle jak najdalej od niego. Co pewien czas pociągał nosem, obserwując jednocześnie Ugonia, jakby starał się zrozumieć, czy zapach stęchlizny, który wypełnił pokój, pochodzi od jego płaszcza (w rzeczywistości tak właśnie było).

- Zna mnie? Od kiedy? - zapytała moja słodka małżonka. Powiedziałem jej więc, kim jest Ugonio. Łotrem, tak, na pewno, ale w potrzebie okazał się człowiekiem godnym zaufania i dał dowód największej lojalności.

Przed jedenastu laty, kiedy razem z Clordia pracowaliśmy w willi kardynała Spady w Rzymie, wielokrotnie zakradał się do pałacu. Wiedział więc, że Clordia jest moją żoną, ona zaś nie miała pojęcia o jego istnieniu. W pałacu księcia Eugeniusza przyglądał się jej kilka razy, dość natarczywie, to prawda, ale po prostu nie był pewien, czy to ona. W końcu nabrał pewności. Tego ranka postanowił zaczekać na Cloridię przed klasztorem. Gdy przytrzymał ją za ramię, moja małżonka przestraszyła się, co przypadkowi przechodnie oraz ja wzięliśmy za napaść.

- Teraz rozumiem - powiedziała Clordia, zmuszając się do uśmiechu.

- Ugonio jest osobą godną zaufania - powtórzyłem. - Jeśli dobrze się go traktuje.

- To dlaczego handluje ludzkimi głowami? I dlaczego ukradł monety wybite w Landau z biblioteki księcia Eugeniusza? - zapytała.

- Sam nam o tym powie, jeśli nie chce, żebym na niego doniósł władzom - odparłem, patrząc znacząco na Ugonia.

Ugonio wystraszył się.

- Czy monety, które ukradłeś, posłużyły ci w twoich podejrzanym interesach? - zapytałem.

Pośród niezliczonych zmarszczek na twarzy Ugonia dostrzegłem jego żółtawe, ostre zęby, które odsłoniły się w uśmiechu wyrażającym zaskoczenie, zawód, a zarazem dziecinną satysfakcję, że w tak sprytny, podstępny sposób dokonał kradzieży.

- Nie dyskutuję z oskarżeniem waszej waszmości - odparł nosowym, matowym głosem. - Ale zmniejszywszy skrupuły, żeby nie powiększać wątpliwości, pragnę zapewnić tu obecną panią małżonkę, połowicę waszej czcigodności, że niżej podpisany, czyli ja, nigdy, przenigdy, nawet gdyby przyszło mi żyć całe stulecie, nie wyrządziłbym jej krzywdy.

- Co on gada? - zapytał zdziwiony Simonis. Nie znał włoskiego na tyle, żeby zrozumieć językowe zawilości w przemowie Ugonia.

- Kradzież monet, zgoda, przyznaję się, ale pani Cloridii nie tknąłem i nie zamierzałem tego uczynić - przełożył szybko łowca religii na swój ojczysty język, czyli niemiecki.

- Tak, to rozumiałem - przyznałem. - Chciałeś się tylko przedstawić Cloridii, choć można było to zrobić w bardziej elegancki sposób. Powiedz mi: pracujesz dla opata Melaniego?

Ugonio wydawał się zaskoczony moim pytaniem.

- Nie wiedziałem, że opat Melani przybywszy do Vindobony - odparł po chwili milczenia. - Ale bardziej jako ojciec niż ojczobójca muszę przyznać, że nie uczyniwszy tego, co wasza pompatyczność mi amputuje.

Simonis zmarszczył brwi, zakłopotany.

- O Melanim nic nie wiem - przetłumaczył Ugonio, chrząkając.

- Doprawdy? - powiedziałem z przekąsem. - To dlaczego spiskowałeś z derwiszem agi, żeby pozbawić głowy jakiegoś niewinnego człowieka? Kim on jest? Może to ktoś tam, na górze, bardzo wysoko?

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Wkrótce miałem się dowiedzieć, czy moje podejrzenia co do opata były słuszne. Ugonio milczał. Ponowiłem atak:

- Cesarz jest chory, bardzo chory. Wszyscy mówią, że to ospa. Ja natomiast podejrzewam, że coś się za tym kryje. Nie bez powodu choroba zaczęła się od głowy, od głowy powtarzam. Wiesz coś o tym? - zapytałem groźnym tonem.

Ugonio wstał. Jego twarz o ziemistej cerze stała się purpurowa.

- Pragnę zapewnić waszą afektację o moim najgłębszym oddaniu. Więcej, o wielkiej, niezwyklej, anielskiej dobroci serca. Oświadczam waszej stanowczości, że nic, absolutnie nic nie wiedziawszy o niedyspozycyjności Jego Cesarskiej Majestatyczności. O derwiszu nie mogę nic powiedzieć, bo... - przerwał.

Wymieniliśmy z Simonisem spojrzenia. Tym razem mój pomocnik wszystko zrozumiał. Twarz Ugonia nadal była czerwona. Łowca relikwii przełknął ślinę i dokończył zdanie po niemiecku:

- ...bo mnie wykończą.

- Nie sądzisz chyba, że kupię tę bajeczkę - odparłem stanowczo. Twarz Ugonia stała się jeszcze bardziej purpurowa. Poznaliśmy się w Rzymie, kiedy pracowałem jako skromny posługacz w podrzędnej gospodzie. Teraz byłem dojrzałym mężczyzną, znałem życie i jego

trudy. Stary łowca relikwii, który podczas wcześniejszego pościgu udowodnił, że jest jeszcze w pełni sił, nie spodziewał się, że będę go zamęczać pytaniami.

- O czyjej głowie rozmawiałeś z Ciezeberem? - zapytałem groźnym tonem, zbliżając się do Ugonia.

Nie udzielwszy odpowiedzi, łowca relikwii z krzykiem rzucił się do drzwi, próbując uciec. Simonis złapał go z tyłu za płaszcz i przytrzymał (z wyraźnym obrzydzeniem). Poły podartego odzienia rozsunęły się i ukazało się dobrze mi znane metalowe kółko z zawieszonymi na nim dziesiątkami, a właściwie setkami starych kluczy różnego kształtu i wielkości. Był to tajemny, niezwykle cenny arsenał Ugonia.

W poszukiwaniu relikwii często zapuszczał się do podziemi, dostając się do nich przez piwnice i magazyny, zamykane na zamek lub kłódkę. Aby ułatwić sobie zadanie (i „zmniejszyć skrupuły, żeby nie powiększać wątpliwości”), niekiedy przekupywał służbę, pokojówki oraz lokajów i dostawał oryginalny klucz. W zamian dostarczał im cenne relikwie. Oczywiście z pominięciem tych najcenniejszych, choć czasem zmuszony był poświęcić jakiś wyjątkowy egzemplarz, jak na przykład obojczyk świętego Piotra. Z czasem wszedł w posiadanie kluczy do piwnic i podziemi większości rzymskich pałaców. Potrafił otworzyć nimi nawet te zamki, do których nie miał klucza.

Na kółku pobrękiwało dwa razy więcej narzędzi niż dawniej, do kluczy rzymskich dołączyły bowiem klucze do piwnic wiedeńskich. Było ich naprawdę dużo, ponieważ - jak zauważył kardynał Piccolomini trzysta lat temu - piwnice Wiednia są tak głębokie i przestronne, że można powiedzieć, iż pod ziemią jest prawie tyle samo pomieszczeń, co na powierzchni.

- Jeśli mi nie odpowiesz, zabiorę ci twoje ukochane klucze i wyrzucę je! - zagroziłem.

Ugonio zaczął popłakiwać i powiedział, że ponieważ tak się mają sprawy, powie mi coś na ten temat, ale dopiero nazajutrz. Kilkakrotnie powtórzył, że wolałby pójść prosto do piekła albo gnić w podziemnym cesarskim więzieniu, gdzie - dobrze o tym wiedział - groziły mu tortury i obcięcie którejś z kończyn, niż mrozący krew w żyłach los, jaki go z pewnością czekał, gdyby powiedział nam o swoich tajnych układach z derwiszem.

Przerażenie Ugonia było właściwie wyznaniem. Nie miałem wątpliwości, że Melani odszukał i najał Ugonia, który pośredniczył między opatem a tureckim poselstwem. Atto znał łowcę relikwii od trzydziestu lat, wiedział, że był on niezastąpiony w ciemnych machinacjach. Wiedział też, jak go wykorzystać i nie zostać przy tym oszukanym. Czyż stary Ugonio, pomyślałem, naprawdę łudził się, że się tego nie domyśle?

- Zgoda. Spotkamy się jutro rano, o dziewiątej. Muszę przeczyścić komin w pobliżu

klasztoru, potem możemy się zobaczyć. Dla pewności, zatrzymam je - oznajmiłem, zabierając Ugoniowi kółko z kluczami jako gwarancję dopełnienia umowy. - Oddam ci je, gdy się spotkamy.

Zrozpaczony Ugonio wyciągnął ręce w stronę kluczy i zrezygnowany opuścił głowę na piersi. Jeśli nawet zaświtała mu myśl o ucieczce, wiedział, że kosztowałyby go to utratę cennych narzędzi.

- Posłuchaj, Ugonio! Widzieliśmy, jak Ciezeber dokonywał w lesie dziwnego obrządku - rzekłem, rzucając porozumiewawcze spojrzenie Cloridii.

Moja małżonka, głaszcząc po głowie naszego wystraszonego synka, wyprowadziła go z pokoju na krużganek, żeby nie słuchał tych poważnych, napawających lękiem rozmów.

Opowiedziałem Ugoniowi o rytuałach derwisza oraz o tym, że w pewnym momencie ze stosu różnych przedmiotów wyjął mały nóż i niewielką ilość czarnej materii. Po zakończeniu opowieści spojrzałem pytająco na Ugonia. Zdenerwowany utratą kluczy, bębnił po stole palcami o żółtych, połamanych paznokciach. Po chwili powiedział:

- Nie mogę udzielić waszej wyniosłości wyjaśnień. Z derwiszem złączywszy mnie wyłącznie interesy i legalne kombinacje. Widziawszy jednak nożyk i czarną przedmiotowość, którą Ciezeber wyciągnął w zadrzewionym lesie i o której wasza myśl wspomniał.

- A więc wiesz, o czym mówię? - ożywiłem się.

- Oczywiście. Zauważywszy dziwność derwiszowych przyrządów.

- Wiesz, do czego służą?

- Przyjrzawszy się im dokładnie, mogę zapewnić waszą dobroć, że chodzi o żelastwa związane z leczeniem.

- Narzędzia medyczne - bąknąłem rozczarowany.

- Potwierdzam.

Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Clordia mówiła, że niektórzy derwisze są także uzdrowicielami. Tak więc rytuał oglądany przez nas w lesie w pobliżu Bezmiennego Miejsca był zapewne tajemniczym obrzędem zwiększającym moc kuracji. W czynnościach derwisza doszukiwałem się czegoś złego, co miało wpływ na stan zdrowia cesarza, tymczasem chodziło o coś zupełnie innego.

Miałem wrażenie, że osiadłem na mieliźnie. Nie udało mi się znaleźć żadnego dowodu potwierdzającego moje podejrzenia w stosunku do Atta, tureckiego poselstwa i otrucia Józefa I. Musiałem jednak coś znaleźć, coś uczynić, do licha! Patrząc na Ugonia, zastanawiałem się, co robić. Jeśli ktoś dowiedziałby się o opacie Melanim, agencie wroga, obaj skończylibyśmy na szubienicy. Pozostawała tajemnica ściętej głowy, która najwyraźniej stanowiła klucz do

wszystkiego. Musiałem znaleźć sposób, żeby zmusić łowcę relikwii do wyjawienia mi prawdy, choć prowadziła do niej także inna droga:

- Ugonio! Słyszałeś o złotym jabłku?

Łowca relikwii wstrzymał oddech, zaskoczony moim pytaniem.

- To skomplikowana i straszna historia - rzekł po chwili.

Jak wynikało ze słów Ugonia, wszystko zaczęło się przed trzema laty. W 1708 roku siostra Józefa Zwycięskiego, Anna Maria, poślubiła króla Portugalii Jana V. Po kilku miesiącach młoda królowa dowiedziała się o dziwnym przesądzie. Otóż wierzono, że cesarstwo zwycięży w hiszpańskiej wojnie sukcesyjnej, która rozgorzała w całej Europie, gdy na najwyższej iglicy najważniejszego kościoła stolicy cesarstwa, czyli na dzwonnicy katedry świętego Szczepana, w miejsce barbarzyńskiego jabłka Sulej mana zostanie zatknięte złote jabłko Justyniana, zapewniające władzę na chrześcijańskim Zachodzie. Tymczasem w niewiadomy sposób jabłko Justyniana trafiło do Hiszpanii, a stamtąd do Portugalii. Poza tym cesarz Ferdynand I kazał umieścić na jabłku Sulejmana krzyż, a stało się to na drugi dzień po następującym epizodzie: zaledwie sułtan zakończył oblężenie Wiednia, na niebie, w biały dzień, ukazał się ni mniej, ni więcej tylko sam archanioł Michał i na szczycie iglicy, na podstawie krzyża, końcem swego lśniącego miecza wypisał ognistymi literami tajemnicze przesłanie.

- Zgodnie z tradycją archanioł Michał dzierży w jednej dłoni cesarską kulę, a w drugiej miecz w formie krzyża, którym wypędza Lucyfera - przyznałem zdumiony, mając w pamięci opowieść Kolomana Szupana.

- Otóż to - zgodził się Ugonio.

Łowca relikwii opowiadał dalej. Archanioł Michał siedem razy dotknął mieczem piedestału, wypisując siedem słów. Tłum wiernych zgromadzonych na placu przed katedrą widział iskry syjące się z miecza. Ponieważ wierni bez wahania zaświadczyli o prawdziwości cudownego zdarzenia, cesarz posłał na iglicę dwóch robotników, aby przepisali na kartkę słowa archanioła. Obaj byli analfabetami, cesarz bowiem nie chciał, aby ktoś poza nim poznał tajemnicę. Przepisane zdanie niezmiernie poruszyło władcę. Przez całą noc modlił się, leżąc krzyżem w cesarskiej kaplicy. Następnego dnia kazał umieścić na jabłku Sulejmana Najświętszy Krzyż Odkupiciela, zmieniając tym samym złotą kulę w cesarskie jabłko archanioła Michała. Ferdynand I nikomu nie zdradził treści napisu archanioła i zabrał sekret do grobu. Po śmierci cesarza kilkakrotnie wysyłano kogoś na iglicę, żeby przeczytał przesłanie, ale próby te udaremniały niespodziewane wypadki. Jeden człowiek spadł na ziemię, innego oślepił nagły błysk z nieba i również spadł w dół *et cetera, et cetera*.

Opowiadano, że zadania podjęto się kilku zakonników z katedralnej kapituły, ale bez powodzenia. Wieść niesła, że przesłanie archanioła kończył wyraźny nakaz milczenia.

Podobne opowiadania o złotym jabłku i archaniele Michale doszły do uszu siostry Józefa I, młodej żony króla Portugalii. Wówczas z Lizbony wyruszył latający statek, wyposażony w sekretny układ napędowy. Kierował nim nikomu nieznany, tajemniczy osobnik, który miał za zadanie umieścić na iglicy św. Szczepana prawdziwe złote jabłko i przeczytać przesłanie archanioła.

Wymieniliśmy z Simonisem spojrzenia: opowieść Ugonia zgadzała się z relacjami studentów. Także Christo, Populescu, Koloman i ich przyjaciele twierdzili, że zgodnie z legendą złote jabłko było symbolem (a może nawet czymś więcej) władzy na Zachodzie. Dowiedzieliśmy się, że kula pochodziła z czasów Justyniana i umieszczona została w Konstantynopolu, w grobowcu Eyyuba, chorążego Mahometa. Później trafiła do Hiszpanii. Podczas pierwszego oblężenia Wiednia Sulejman polecił wykonać drugie jabłko, na którym Ferdynand I kazał umieścić krzyż, ku oburzeniu sułtana. W gazecie Froscha przeczytaliśmy, że w 1709 roku z Portugalii wyruszył latający statek z nieznanym osobnikiem u steru. Dziwnym zbiegiem okoliczności statek uderzył właśnie w dzwonnice katedry świętego Szczepana. Z pewnością nie był to przypadek.

Istniał jeszcze jeden zaskakujący element, znany tylko mnie. Otóż tajemniczy pilot do złudzenia przypominał skrzypka Albicastra, którego przed jedenastu laty poznałem w Rzymie, podczas drugiej przygody z Attem Melanim. Skrzypek stale grał melodię zwaną folią, stary portugalski taniec zbliżony do sarabandy.

- Podsumujmy zatem - powiedziałem. - Podczas gdy w Portugalii dochodzi do tych dziwnych rzeczy, aga zostaje przyjęty przez księcia EUN geniusza i mówi: *solī solī solī ad pomum venimus aureum*, tymczasem twój Ciezeber planuje obciąć głowę...

- Chwileczkę - przerwał mi Ugonio i poprosił o powtórzenie zdania, które turecki ambasador powiedział Eugeniuszowi Sabaudzkiemu.

- Frazeologia ta jest znacząca, tendencyjna i prawdopodobnościowa.

- Co takiego? - zdumiał się Simonis.

- Mówi, że przesłanie Turków jest jasne - przetłumaczyłem.

Nie było wątpliwości, stwierdził łowca relikwi, że Osmanie przybyli do Wiednia, żeby odebrać złote jabłko. W tym sensie przybyli *ad pomum aureum*, jak głosi zdanie po łacinie.

- Być może - zgodziłem się. - Ale dlaczego powiedzieli o tym Eugeniuszowi?

- Nie wiedziawszy - odparł krótko Ugonio, wzruszając ramionami.

- Gdzie jest teraz złote jabłko?

- Szukawszy go z należytą dokładnością, pilnością i uporem. Niektórzy sugerują, że zanim umieściwszy sternika w więzieniu, on ukrywszy kulę w latającym statku. Ale tam nie miałem dostępu. Strażnik i jego koty dobrze pilnują.

- Gdzie zatem jest?

- Nie wiedziawszy, ale będę szukać dalej. Umówiwszy się nawet z diakonem katedry, wielkim kolekcjonerem świętościowych szczątków. Jutro w zamian za *corpus santus* poznam może zdanie napisane przez archanioła.

- Wspaniale! Podaruj mu ogryzek jabłka zjedzonego przez Adama - zażartował Simonis.

Nie mieliśmy czasu skomentować spotkania z łowcą relikwii, gdyż chwilę po jego wyjściu do drzwi zapukała *Chormaisterin*. Wiedziała o całym zdarzeniu, siostry bowiem poinformowały ją o napaści na Clori-dię, pościgu i zatrzymaniu Ugonia. Wyjaśniłem Camilli, jak się mają sprawy, ale zbagatelizowałem znajomość z łowcą relikwii. Powiedziałem tylko, że jest to złodziejasek, którego przed laty poznałem w Rzymie, i że postanowiłem go ocalić przed aresztowaniem, gdyż jest moim rodakiem. O wiele ważniejsze wieści miała dla nas Camilla:

- Dzięki Bogu - oznajmiła z westchnieniem ulgi - cesarz ma się lepiej. Choroba przebiega dość łagodnie. Zdaniem lekarzy za kilka dni nastąpi przesilenie i Jego Wysokość zacznie powracać do zdrowia.

Publiczne modlitwy, rozpoczęte poprzedniego dnia w całym mieście, zwłaszcza w katedrze świętego Szczepana, dały pomyślny efekt. Dlatego też jeszcze przez sześć dni poddani cesarza mieli prosić Boga, by wysłuchał ich prośb. Przede wszystkim jednak rozpoczęto modlitwę czterdziestogodzinną, wprowadzoną z dobrym skutkiem przed kilku laty podczas choroby arcyksięcia Karola, młodszego brata Józefa. Modlitwę odmawiają wyłącznie mężczyźni, przez tydzień, sześć godzin dziennie, na zmianę, w zależności od stanu społecznego. Pierwszego dnia, czyli w minioną niedzielę, modliła się rodzina cesarza, dziś przyszła kolej na arystokrację, później miało się modlić pięć klas społecznych (w godzinach pracy, ma się rozumieć), od ósmej do jedenastej oraz od piętnastej do osiemnastej. Modlitwy mieliśmy zakończyć siódmego dnia my, rzemieślnicy i kupcy, razem z naszymi pracownikami. Przez cały ten czas usilnie zachęcano do modlitw kobiety.

Ucieszyły nas wspaniałe wieści. Uściskaliśmy Camillę, która bardzo przeżywała chorobę cesarza i szykowałą się do tygodniowego czuwania modlitewnego. Nie spaliśmy tej nocy i byliśmy bez śniadania, ale dzięki dobrej nowinie nabraliśmy sił.

- Dzisiaj poniedziałek - rzekłem do Simonisa.



- A zatem do pracy, panie majstrze - odparł mój pomocnik z głupawym uśmiechem, który zawsze wzbudzał we mnie nadzieję.

Praca, oczywiście, ale obaj wiedzieliśmy, że teraz najważniejsza była dla nas tajemnica złotego jabłka. Klucz do zagadki znajdował się w Neu-gebau, w Bezimiennym Miejscu.

*Godzina 7: bije dzwon Turków, zwany także dzwonem Modlitwy*

Droga na szczęście nie była zaśnieżona. Wieść o poprawie stanu zdrowia cesarza napawała optymizmem, ale czarne chmury, które w tych dniach gromadziły się nad naszymi głowami, gęstniały. Zbliżając się do Bezimiennego Miejsca, rozmyślałem o straszliwej śmierci Christa i Dani-ła Daniłowicza, podejrzanej chorobie Józefa Zwycięskiego, jak również o zaskakującej wieści, że Hadzi-Tanjov był poddanym tureckim. Zastanawiałem się też nad tajemniczym związkiem słów *solī solī solī* z szach-matem, który zasugerował nam nieszczęsny bułgarski student.

Nocna kłótnia z opatem Melanim nie odniosła żadnego skutku, nadal dręczyło mnie wiele wątpliwości. Prędzej czy później ponownie się z nim spotkam. Może wtedy uda mi się zrozumieć jego postępowanie. Gdy oskarżyłem Atta o spiskowanie przeciwko cesarzowi, nagle źle się poczuł. Niedyspozycja mogła równie dobrze wynikać ze zdenerwowania, że został przyłapany na gorącym uczynku. A może tylko zręcznie udawał, żeby pokonać zakłopotanie i odegrać rolę niewiniątka? Dobrze wiedziałem, do czego był zdolny ten obłudnik, hipokryta i oszust.

W Neugebau czekało na nas nie tylko rozwiązanie zagadki złotego jabłka, ale także dużo pracy. Obawiałem się, że Simonis niewiele mi pomoże, ponieważ musiał wracać do miasta i wziąć udział w uroczystym rozpoczęciu zajęć po przerwie wielkanocnej.

- Proszę się nie martwić, panie majstrze - uspokoił mnie pomocnik. - Inauguracja jest dopiero po południu.

- Po południu? A zajęcia?

- Zaczynają się jutro. W przeciwnym razie nieobecnych byłoby więcej niż obecnych.

- Dlaczego?

- Studenci wykorzystują wakacje do ostatniej chwili. Przez całą noc bawili się. Dziś odsypiają pijaństwo i inne szaleństwa. Z tego właśnie powodu przesunięto uroczyste rozpoczęcie zajęć na poniedziałkowe popołudnie, a wykłady zaczynają się we wtorek.

Zrobiliśmy sobie postój pośród winnic na równinie Simmering, należących do klasztoru Porta Coeli. Znaleźliśmy piwnicę i przeczyścili przewód kominowy, tak jak obiecaliśmy *Chormaisterin*. Pomieszczenie było przestronne. Nie mogliśmy oprzeć się

pokusie, więc ściągnąłem trochę wina z beczki. Wypiliśmy je w przytulnej salce z kominkiem.

Gdy ruszyliśmy w drogę, uświadomiłem sobie, że podczas poprzednich wizyt w Bezimiennym Miejscu, w pałacu i ogrodach, nie spotkałem żadnych pracowników, robotników czy architektów. Frosch, gburowaty strażnik Neugebau, także o nikim takim nie wspominał. Co więcej, nic nie wiedział o remoncie zleconym przez cesarza. Być może, pomyślałem, architekci i cieśle czekają na ocieplenie. Może za kilka dni w końcu się pojawią. Postanowiłem wypytać o wszystko Froscha.

Śnieg, który niespodziewanie spadł przed kilkoma dniami, stopniał i w powietrzu zapachniało wiosną. Mroźne powietrze i gęste poranne mgły ustąpią pod wpływem cieplejszych promieni słońca. Chłodna, krystaliczna aura o tej porze roku była typowa dla Wiednia.

Dotarliśmy do Bezimiennego Miejsca w chwili, gdy łagodne światło poranka rozjaśniło śnieżnobiałe mury pałacu. Słoneczne promienie, niczym pędzel niewidocznego malarza, barwiły wieże na złoto-czerwono, dodając im porannego blasku. Zaledwie na horyzoncie opadła ostatnia mgielka, ciepłe, radosne promienie słońca rozświetliły dachy pałacu, iglice wieżyczek na murach obronnych i szczyty ogromnych sześciobocznych wież, wywołując tysiączne refleksy miedzianej powierzchni. Jasne światło słońca, odbite od dachów Bezimiennego Miejsca, zalało całą równinę Simmering. Oniemiali z zachwytu, zasłoniliśmy oczy przed oślepiającym blaskiem. Każdy krzew, każde źdźbło trawy, każdy kamień był skąpany w tej cudownej, choć trudnej do zniesienia jasności. Pałac zdawał się płonąć w słonecznym ogniu. W ciszy bezkresnej równiny pożar zapalał się i gasł. Jakże osobliwy kontrast, pomyślałem, tworzyło to cudowne miejsce z mroczną postacią Ciebebera, którego śledziliśmy w ciemnym lesie...

Wspaniałe widowisko oślepiało nas i zarazem zachwycało. Kiedy zwolniliśmy kroku, prowadząc wózek z narzędziami, w oddali usłyszeliśmy powitanie. Dochodziło zza wież, zza muru otaczającego ogród i pałac Bezimiennego Miejsca, jakby z zaświatów. W niezmaconej ciszy poranka dał się słyszeć głośny, ponury ryk lwów.

Tym razem weszliśmy przez bramę zachodnią, tę samą, którą wyszliśmy ostatnim razem. Mijając dziedziniec główny, przed fasadą pałacu, rozejrzałem się ostrożnie dokoła. Na wspomnienie spotkania z Mustafą zadrżałem ze strachu.

W centrum naszej uwagi znajdował się, oczywiście, latający statek. Ledwo dotarliśmy do stadionu gry w piłkę, natknęliśmy się, niestety, na Froscha, który niósł pokarm do klatek z ptakami, umieszczonych przed stadionem. Od czasu do czasu rzucał kawałki mięsa do fos ze

zwierzętami. Strażnik wskazał nam otwór w dole, w murze fosy. Był to niewielki tunel, zamykany na zwykłe drzwiczki, pozostałość po podziemnych korytarzach, które dawniej, w razie konieczności, służyły do ucieczki z Bezimiennego Miejsca i prowadziły na pobliskie pola.

Kiedy Frosch wyjaśniał nam tajniki tunelu, wymieniliśmy z Simoni-sem porozumiewawcze spojrzenia. Postanowiliśmy odłożyć na później przeszukiwanie latającego statku i zabrać się do pracy.

Zdjęliśmy z wózka potrzebne nam narzędzia. Podeszedłem do Froscha i zapytałem go, tak jak planowałem w drodze z miasta, czy rzeczywiście jesteśmy jedynymi pracownikami, którzy stawili się w Neugebau, by przeprowadzić remont.

- Oczywiście, że tak. Komu przyszłoby do głowy tu pracować?

Odparłem, że kamera cesarska bardzo dobrze płaci za te prace i nie rozumieniu, dlaczego cieśle, malarze, murarze czy dekoratorzy nie przyjmują propozycji zatrudnienia w tym zabytkowym i chlubnym miejscu.

- O, tak, chętnie przyjęliby propozycję - oznajmił Frosch ze śmiechem - gdyby się nie bali.

- Czego mieliby się bać? Lwów? - zdumiałem się.

Frosch wybuchnął gromkim śmiechem i zapytał, czy znam kogoś, kto przestraszyłby się starego Mustafy, jedynego dzikiego zwierzęcia w Neugebau wypuszczanego czasem z klatki. Zaczerwieniłem się ze złości, Mustafa bowiem napędził mi strachu, gdy go zobaczyłem. Jego łapy i kły nie były błahą rzeczą. Frosch spoważniał i powiedział niemal niesłyszalnym głosem:

- Nie, nie lwów, boją się czegoś zupełnie innego: duchów. Uśmiechnąłem się z powątpiewaniem. Frosch nie zwrócił na to uwagi i poważnym tonem poinformował, że jak wieść niesie, w Neugebau pojawiają się dziwne istoty. O tym miejscu mówi się, że jest groźne i niegościnne.

- Wszyscy wiedzą o duchach w Neugebau - dodał - ale zapytani o nie wzruszają ramionami.

Strażnik odszedł, żeby przynieść prosa dla ptaków. Z klatek stojących za dawnymi stajniami dało się słyszeć radosne trzepotanie ptasich skrzydeł.

Przypomniałem sobie, że żaden z kolegów kominiarzy nie chciał mi towarzyszyć do Bezimiennego Miejsca. Wmawiali mi, że nie znają starego pałacu, mimo iż był dobrze znany wszystkim wiedeńcykom.

W mojej pamięci odżyło jeszcze jedno, bardziej odległe wspomnienie. Przed jedenastu

laty w Rzymie, podczas poprzedniej przygody z opatem Melanim, w opuszczonej willi Okręt sam doświadczyłem obecności niematerialnych istot, których natura była mi obca. Myślałem o nich, słuchając opowieści Ugonia. Czyż tajemniczy sternik latającego statku, w ubraniu zakonnika, pochodzący z Portugalii, o którym dowiedziałem się z gazety Froscha, nie przypominał skrzypka imieniem Albicastro? Ubrany w czarny strój wydawał się unosić nad blankami willi, grając portugalską melodię zwaną folią.

Zapomniany zespół pałacowy Neugebau przywodził na myśl willę Okręt. Jakim sposobem istniało tak wiele odniesień i aluzji między miejscami i doświadczeniami odległymi w czasie i przestrzeni?

Po chwili wrócił Frosch. Nie powiedziałem mu, o czym myślałem. Poprosiłem tylko, by podał mi więcej szczegółów na temat duchów z Bezimiennego Miejsca.

Wówczas strażnik wyjawiał, że syn i następca Maksymiliana II, nieszczęśliwy cesarz Rudolf II, był fanatycznym okultystą. Otaczał się astrologami i alchemikami, przez całe lata wydawał ogromne sumy na zakup różnych materiałów - retort i pojemników. Zatrudniał też czarowników, w nadziei (którą daremnie żywiły całe pokolenia alchemików) znalezienia słynnego kamienia filozoficznego.

Zapytałem, dlaczego Rudolfa nazwał „nieszczęśliwym”.

- Wszyscy to wiedzą! - zawołał Frosch. - Był nieszczęśliwy z powodu śmierci ojca.

Ze względu na spokój panujący na równinie Simmering i dyskrecję, jaką zapewniał leżący na uboczu pałac, syn Maksymiliana urządził w Bezimiennym Miejscu swój tajny gabinet alchemiczny, doskonale wyposażony.

- Mieścił się tam, częściowo zakopany w ziemi - oznajmił Frosch, wskazując wejście do okrągłej baszty we wschodniej części zespołu pałacowego, gdzie weszliśmy podczas pierwszej wizyty i gdzie znalazłem barani ochłap.

Strażnik powiedział też, że kiedy Rudolf przeprowadzał swoje nocne doświadczenia, w oknach laboratorium połyskiwały płomyki aparatów destylacyjnych, za pomocą których następca Maksymiliana II zmagał się z siłami czterech żywiołów.

- Miejsce to nazwano „kuchnią czarownic” i podobno w nim straszy - uściślił Frosch z uśmiechem, dając do zrozumienia, że lęk, jaki wzbudzał gabinet alchemiczny, był tak samo nieprawdziwy jak zamieszkujące go duchy.

- Panie majstrze, jesteśmy gotowi do pracy - przerwał nam Simonis, przygotowawszy wszystkie potrzebne narzędzia.

Dla synka miałem zadanie specjalne. Poleciałem mu, by miał na oku Froscha i powiadomił nas, gdyby strażnik się zbliżał. Chcieliśmy wykorzystać jego nieobecność i

ponownie wejść na pokład latającego statku.

Nie mogłem się doczekać chwili, by jeszcze raz dokładnie obejrzeć statek. Jak wynikało z rozmowy z Froschem, z Bezimiennym Miejscem związana była jeszcze jedna tajemnica. Kiedy czyściliśmy przewody kominowe w kuchniach Neugebau, kończąc rozpoczętą pracę, w uszach dźwięczały mi słowa Froscha.

Strażnik lwów napomknął o śmierci Maksymiliana, a także o jego następcy, nieszczęśliwym Rudolffie II. Dziwnym zbiegiem okoliczności podczas ostatniej wizyty w pałacu Simonis przerwał swoją opowieść właśnie w chwili śmierci Maksymiliana, przypomniał sobie bowiem nagle, że musimy szybko wracać do miasta, żeby zdążyć przed zamknięciem bram Wiednia.

Powtórzyłem więc Grekowi to, co usłyszałem od Froscha. Mój pomocnik milczał, zajęty zdrapywaniem zabrudzeń na tynku. Wkrótce odłożył narzędzie i wytarł wierzchem dłoni policzki i czoło, usuwając z twarzy warstwę węglowego pyłu. W tej samej chwili Simonis, ubogi młodzieniec o nieco głupawym uśmiechu, a zarazem student pozbawiony chęci do nauki, ponownie zmienił się w znawcę historii cesarstwa, jakim był przed kilkoma dniami.

- Strażnik lwów nie kłamał. Wiedeńczycy naprawdę są przekonani, że tu straszy. Prawdą jest też, że Rudolf, syn Maksymiliana, był alchemikiem, okultystą i nieszczęśliwym człowiekiem. Frosch nie wyjaśnił panu jednak dlaczego. Jak panu wiadomo, to miejsce nie ma nazwy.

- Właśnie dlatego określa sieje jako Bezimienne Miejsce.

- Otóż to! Nazywane też bywa Neugebau, nowy budynek.

- Tak, wiem.

- Nie sądzi pan, że to dziwne? Taki olbrzymi zespół pałacowy i dwa określenia: „Bezimienne Miejsce” i „nowy budynek”?

- Wydawało mi się, że Maksymilian zmarł, zanim wymyślił jego ostateczną nazwę - odparłem.

- Nie, panie majstrze. Istnieją rezydencje, takie jak Schönbrunn, czyli „piękne źródło”, którym nadano nazwę jeszcze przed przystąpieniem do budowy. Tymczasem w wypadku Neugebau należało odgadnąć jego prawdziwą nazwę.

- Odgadnąć? Jak to?

Budowa Bezimiennego Miejsca, wyjaśnił Simonis, długotrwała i skomplikowana, była zagadką, którą należało rozstrzygnąć w miarę postępowania prac. Dopiero po ich ukończeniu miał się objawić ostateczny kształt pałacu i ogrodów. Nazwa budowli miała powstać

spontanicznie, wymyślona przez tych, którzy pojmą zawartą w niej metaforę.

Pałac miał się nazywać „Namiot Sulejmana”, „Kres Turków”, „Odwet Maksymiliana”, „Triumf Chrystusa”, w zależności od przekonań i emocji osób, które go widziały.

Maksymilian zmarł jednak przedwcześnie. Dzieło jego życia pozostało nieukończone, a zatem anonimowe, po prostu „nowy budynek”, „Bezimienne Miejsce”.

- Wszystko zaczęło się z chwilą śmierci Maksymiliana, panie majstrze.

W 1576, roku śmierci cesarza, Neugebau był nieukończony. Brakowało wyposażenia w głównej części pałacu, jaką była długa galeria przeznaczona na Antiquarium, galerię cudowności. Miała ona zadziwić cały świat. Planowano umieścić w niej posągi, kolekcję broni, obrazy, arras, monety, przedmioty ze złota i kosztowne naczynia. Maksymilian zlecił zebranie cennych przedmiotów słynnemu Jacopowi Stradzie, genialnemu włoskiemu antykwariuszowi, który zajmował się urządzeniem największych pałaców w Monachium. Po ukończeniu wnętrza galerii Neugebau miał być otwarty dla zwiedzających.

Na skutek nieprzychylności IIsunga i Haga, opowiadał Simonis, cesarz z trudem znajdował pieniądze na ukończenie budowy.

Rok wcześniej, po dwuletnim pobycie w Konstantynopolu, wrócił do Wiednia Ungnad. Niedługo potem dziwnym zrządzeniem losu u granic cesarstwa stanęli Turcy. Należało czym prędzej zwołać sejm w Ratyzbonie, czyli zgromadzenie wszystkich książąt cesarstwa. Pierwszego czerwca Maksymilian II wyjechał z Wiednia, by przewodniczyć obradom. Miały one ogromne znaczenie, podobnie jak przed dziesięciu laty. Wszyscy książęta, katolicy i protestanci, musieli być jednomyślni, w przeciwnym razie Turcy mogli zdobyć przewagę.

Maksymilian wyznał znajomym, że za wszelką cenę pragnie uczestniczyć w obradach, choć obawiał się, że mogło go to drogo kosztować. Nie mylił się. Cesarski orszak przekroczył Dunaj, pogoda była brzydka, Maksymilian nie miał humoru. Oznajmił doradcom, że gdyby w tych dniach nie miał dość sił, by wyruszyć w podróż, być może w ogóle by nie wyjechał. Zaczął niedomagać, czuł się słaby. Dwudziestego piątego czerwca otworzył obrady sejmu. Po wstępnych przemowach sam zabrał głos. W przekonujący sposób opisał tureckie zagrożenie, wywierając silne wrażenie na słuchaczach. Należało osiągnąć porozumienie, aby uniknąć wojny wszystkich krajów chrześcijańskich. Zaraz potem rozpoczęły się rozmowy książąt protestanckich, katolickich i propapieskich. Dyskusje były długie i wyczerpujące. Maksymilian czuł się zmęczony. Stwierdził, że klimat Ratyzbony mu nie służy i pragnie wrócić do Wiednia.

W ostatnich dniach lipca cesarzowi zaczęły dokuczać hemoroidy. Przez cały sierpień miał się dobrze, ale w nocy z 29 na 30 dostał silnego ataku kamicy w połączeniu z częstoskurczem, co trwało do 5 września. Tego dnia w silnych bólach wydalil kamień wielkości pestki oliwki.

- Piąty września był dla Maksymiliana dniem proroczym. Jak pan zapewne pamięta, tego samego dnia przed dziesięciu laty zmarł Sulejman, o czym Maksymilian nie wiedział. Później nastąpiła militarna porażka, która naraziła na szwank sławę i prestiż cesarza.

Poczawszy od 5 września stan zdrowia Maksymiliana stale się pogarszał. Częstoskurcz nie mijał, cesarz z trudem oddychał, stracił apetyt. Dostał kołatania serca, które trwało dziewięćdziesiąt godzin. Wszystkim, z wyjątkiem lekarzy i cesarskich doradców, zabroniono zbliżać się do domu biskupa Ratyzbony, goszczącego Maksymiliana. Zakazano też bić w dzwony. Cesarz miał pięćdziesiąt lat, zdaniem lekarzy to wiek krytyczny. Przez kilka dni miał kolki, trudności w oddychaniu i bóle żołądka. Kiepsko sypiał, co dodatkowo go męczyło.

Posłano po osobistego lekarza cesarza, Giulia Alessandrina, który z powodu podeszłego wieku zrezygnował z zawodu i zamieszkał na stałe we Włoszech. Jednocześnie osoby z otoczenia cesarza zaczęły napomykać o Magdalenie Streicher - dziwnej kobiecie z Ulm.

- Przez niektórych była uznawana za uzdrowicielkę, przez innych za oszustkę - wyjaśnił Simonis. - Nikt nie sprzeciwiał się, gdy padła propozycja sprowadzenia jej na dwór. Być może dlatego, że wysunął ją Georg Ilsung, niezwykle wpływowy człowiek.

- Ilsung? Ten zdrajca?

- Tak, ten sam. Zapewniał, że kobieta z Ulm potrafi zaradzić najbardziej skomplikowanym przypadkom, co do których oficjalna medycyna była bezradna. Książęta i nadworni dostojnicy też słyszeli wiele dobrego o Magdalenie Streicher. Ktoś powiedział, że go kiedyś wyleczyła.

Skończyliśmy czyścić przewody kominowe w kuchniach. Simonis przeprosił mnie za niezręczność, gdy szpachelka, która wysunęła mu się z ręki, spadła prosto na moją stopę. Zebraliśmy narzędzia, gotowi podjąć pracę w komnatach pałacu. Kolejny raz przyjrzałem się Simonisowi. Znowu mnie zaskoczył. Ten człowiek składał się z samych sprzeczności. Przed chwilą niezdamy, w nocy poruszał się ze zwinnością kota. Czasem robił wrażenie niezguły, innym razem, jak teraz, snuł pasjonujące opowieści i popisywał się erudycją.

Właściwie istnieje trzech Simonisów, myślałem, gdy wchodziliśmy do pałacu. Pierwszy to Simonis student o tępym wyrazie twarzy, głupim uśmiechu, lekko zezowaty,

niezręczny w ruchach. Drugi - Simonis przygłup z przebłyskami inteligencji (zwłaszcza kiedy opowiadał o czasach panowania Maksymiliana). Trzeci to Simonis zdecydowany, odważny, okrutny nawet, który znęcał się nad nieszczęsnym pismakiem i towarzyszył mi w nocnych przejażdżkach po Wiedniu, narażając się na niebezpieczeństwo. Wtedy z jego twarzy znikał głupkowaty uśmiech. Drżałem jeszcze na myśl o kuli, która zostawiła rysę na szachownicy Christa. Zastanawiałem się, jakie wspomnienia tych strasznych chwil, śmierci Da-niła i Christa, zachował mój pomocnik. Nie udało mi się tego wyczytać z jego twarzy.

Nie miałem jeszcze zdania co do prawdziwego Simonisa, który udawał głupiego i niczym lalkarz pociągający za sznurki kukiełek w ułamku sekundy przemieniał się w jednego z trzech Simonisów. Wydawało mi się, że przez chwilę widziałem go poprzedniej nocy, po rozstaniu z Popule-scu. Jego zachowanie było dla mnie niezrozumiałe, porzuciłem więc te rozważania.

Opuściwszy kuchnię, znajdujące się poza głównym korpusem budowli, skierowaliśmy się ku pałacowi. Zbliżając się do niego, poddaliśmy się ponurej atmosferze murów, silnie kontrastującej z białym kamieniem budowli, przestronnymi ogrodami, smukłymi, strzelistymi wieżami.

Kiedy przemierzaliśmy dziedziniec po stronie wschodniej, mijając po lewej dom zarządcy, Simonis kontynuował swoją opowieść.

Zaledwie tajemnicza uzdrowicielka Magdalena Streicher dotarła do Ratzbony, udała się na rozmowę z Maksymilianem, który nie zgodził się, by go leczyła. Cesarz czekał na przyjazd swojego zaufanego lekarza, Giulia Alessandrina.

Czternastego września stan zdrowia chorego nieco się polepszył. Wkrótce jednak ujawniły się skutki nieodpowiedniej diety, cesarz bowiem przez kilka tygodni jadł niedojrzałe owoce i pił zimne wino. Zaczęło dokuczać mu serce i długotrwałe ataki kaszlu. Tętno było słabe, nieregularne.

Maksymilian nie udzielał audiencji, ale miał dość sił, by pracować. Codziennie zwoływał tajną radę cesarską i zajmował się najpilniejszymi sprawami. Dwudziestego szóstego września przybył Giulio Alessandrino - w nim wszyscy pokładali nadzieję na wyleczenie cesarza. Tuż przed przybyciem lekarza uzdrowicielka otrzymała zgodę na rozpoczęcie kuracji. Chory przeszedł następnie pod opiekę Giulia Alessandrina, po czym, z nieznanых powodów, kolejny raz zajęła się nim Magdalena Streicher. Przyniosło to fatalne skutki. Odkąd z początkiem października oszustka rozpoczęła terapię, stan zdrowia Maksymiliana pogorszył się do tego stopnia, że wszyscy byli przekonani o jego rychłej śmierci. Leżąc na łóżku, cesarz szeptał przejmujące słowa: „Boże, tylko Ty wiesz, jak cierpię.



Proszę Cię, Panie, spraw, by wybiła moja godzina!”

Szóstego października po południu Maksymilian stracił przytomność, przez chwilę wydawało się, że nie żyje. Odzyskawszy świadomość, zwrócił dużą ilość żółci. Potem zasnął i spał kilka godzin. Jednocześnie wezwano z Pragi syna Rudolfa, który miał zastąpić ojca podczas końcowej narady sejmu.

Po spokojnej nocy z 6 na 7 października, dzięki opiece Giulia Alessandrina, Maksymilian nabrał sił. Przyjął ambasadorów wielkiego księcia Toskanii i Republiki Weneckiej. Ich zdaniem stan zdrowia cesarza znacznie się poprawił, bo mówił długo i głośno. Jedynie od czasu do czasu brakowało mu tchu, pokasływał i dokuczał mu częstoskurcz.

Poprawa stanu zdrowia zdawała się utrzymywać. Postanowiono, że cesarz powróci do Austrii 20 października. Dziesiątego października nastąpiło jednak pogorszenie i w nocy, mimo protestów Alessandrina, II-sung ponownie posłał po uzdrowicielkę. Cesarz miał bóle po lewej stronie brzucha. Streicher uznała, że to zapalenie opłucnej. Konsekwencje zastosowanych zabiegów wkrótce dały o sobie znać. Zwrócono się więc do dawnego osobistego lekarza Maksymiliana, Crata von Crafftthei-ma, zwolnionego ze służby ze względu na wiek, przede wszystkim zaś dlatego, że był protestantem. „Jak do tej pory uczyniono bardzo wiele - stwierdził Crato, wskazując na kobietę z Ulm - ale nic, co byłoby wskazane”.

O drugiej w nocy posłano po Rudolfa, nadwornych dostojników i urzędników. Stało się jasne, że zbliża się koniec. O piątej rano księżna Bawarii, siostra Maksymiliana, zastąpiła cesarzową, która przez cały czas czuwała przy łóżku męża. Żona Maksymiliana wybierała się na mszę. Zawróciła jednak spod drzwi i zapłakana objęła małżonka, który, jak się okazało, miał kolejny atak serca. Zrozpaczona cesarzowa straciła przytomność i wyniesiono ją z komnaty sypialnej. Ponownie poproszono Crata, by zbadał Maksymiliana. „Nie mam już tętna” - powiedział cesarz, gdy lekarz przyłożył palce do przegubu jego dłoni. Puls był bardzo słaby, serce biło nierówno. Von Crafftheim oddalił się od łóżka chorego. Do zebranych pod drzwiami osób powiedział: „Pomoc ludzka tu się kończy. Możemy liczyć tylko na pomoc Boga”. Uzdrowicielka gdzieś zniknęła i słuch o niej zaginął.

- Chcesz powiedzieć - przerwałem Simonisowi - że Streicher otruła cesarza na polecenie Ilsunga?

- Nie, nie otruła. Żeby zabić chorego, wystarczy poddać go nieodpowiedniemu leczeniu - odparł Grek z drwiącym uśmiechem.

Maksymilian umierał. Pozostawało pytanie, czy Maksymilian Tajemniczy, który nigdy nie dokonał wyraźnego wyboru pomiędzy Kościołem rzymskim a luterańskim, umierał jako katolik czy jako protestant.

- Bez względu na preferencje wyznaniowe - wyjaśnił Simonis - skazywał na śmierć swoją wymarzoną jedność chrześcijan.

W ostatnich godzinach życia cesarza przy jego łóżku zgromadzili się krewni, duchowni, ambasadorowie. Męczyli go do ostatniej chwili, zaklinając, by przyjął katolickie sakramenty spowiedzi i ostatniego namaszczenia. A może pragnął opowiedzieć się za protestantyzmem?

Maksymilian, coraz słabszy, nie dał się przekonać i nie udzielił żadnych wyjaśnień. Sprowadzono biskupa Neustadt. Duchowny nalegał, zapalił się, podniósł głos. „Nie tak głośno! Słyszę” - powiedział konający. Biskup nie rezygnował, zaczął nawet krzyczeć.

„Nie tak głośno” - powtórzył Maksymilian, unosząc głowę. Opadł na poduszki i wydał ostatnie tchnienie. Była za kwadrans dziewiąta rano, dwunastego października, dzień imienin cesarza.

- Zmarł, ale odniósł zwycięstwo w swojej ostatniej bitwie. Odmawiając katolickich sakramentów, a zarazem nie uznając się za protestanta, pokonał ludzi pragnących manipulować jego śmiercią. Maksymilian nie popierał ani skorumpowanego Kościoła rzymskiego, ani protestantów, którzy sprzyjali Turkom i chcieli, by cesarstwo na zawsze zerwało z religią katolicką. Jego luterkańscy wrogowie, popierani przez zdrajców IIsun-ga, Haga i Ungnada, nic nie wskórali.

- Dlaczego więc zabili cesarza?

- Ponieważ zrozumieli, że Maksymilian nie będzie marionetką w ich rękach. Nie wyrzekł się wiary katolickiej i walczył z Turkami. Nie pasował do ich planów. Sądzieli, że łatwiej im będzie kierować następcą cesarza. Podróż Maksymiliana do ziemi protestantów stanowiła wspianą okazję, by go skrycie zamordować.

Przystąpiliśmy do liczenia przewodów kominowych w dużych salach na parterze pałacu. Weszliśmy od strony bramy głównej, którą otworzył nam Frosch. Znaleźliśmy się w wielkiej sali z wysokim sufitem, gdzie nasze głosy rozbrzmiewały jak w kościelnej nawie. Tu Maksymilian Tajemniczy pobrudził podłogę błotem naniesionym na butach, tu zadrżało z radości jego serce, kiedy po długim oczekiwaniu ujrzał wreszcie wzniesioną kolumnę, gzyms przymocowany do ściany, otynkowany mur.

Przez okno w przeciwległej ścianie widać było ogrody po stronie północnej. Po obu stronach sali znajdowały się duże drzwi prowadzące do innych pomieszczeń. Ogromne wnętrza było zupełnie puste. Maksymilian zamierzał ozdobić je wspianymi malowidłami, trofeami, posągami i arrasami.

- Jak pan widzi, nic tu nie ma. Wszystkie plany, nadzieje, pragnienia przepadły

wskutek spisku Ilsunga, Ungnada i Haga.

Kiedy odwróciliśmy się do tyłu, przez otwarte drzwi ujrzeliśmy iglice sześciobocznych wież, wznoszące się ponad murem, który oddzielał dziedziniec pałacu od ogrodów. Z tego samego miejsca Maksymilian przyglądał się swojej wspaniałej posiadłości i robotnikom zatrudnionym przy budowie. Simonis kontynuował swoją opowieść.

Kiedy umierał cesarz Maksymilian, jego syn Rudolf wygłaszał mowę zamykającą obrady sejm w Ratyzbonie. Tekst przemowy z trudem przygotował jego konający ojciec. W ostatnich latach syn Maksymiliana stopniowo ulegał wpływom wychowawców wybranych przez wrogów. W rękach Ilsunga i jego zwolenników następcą cesarskiego tronu stał się bezwolną istotą.

W pewnej chwili do Rudolfa, stojącego z kartką w dłoni naprzeciw książąt cesarskich i papieskich, podszedł posłaniec. Szepnął mu do ucha, że Maksymilian zmarł. Rudolf wysłuchał go ze spokojem, jakby chodziło o jakąś błahą wiadomość. Następnie, wiedząc już, że został cesarzem, czytał dalej pewnym głosem. Gdyby stracił panowanie nad zgromadzeniem, wrogo nastawieni książęta wszczęliby zamęt i podważyli jego prawo do tronu cesarskiego.

Obrady sejm zakończyły się bez zakłóceń, Rudolf nie zdradził swych uczuć. Ale wzburzenie, które przeżywał w tym momencie, jak również późniejsze przeżycia nie pozostały bez wpływu na jego psychikę.

Rudolf zwrócił się do książąt z prośbą, by nie wyjeżdżali z Ratyzbony i stawili się w siedzibie sejm następnego dnia. Pragnął poinformować ich o śmierci ojca. Do tej chwili dwór miał utrzymać ją w tajemnicy. Przeprowadzono autopsję, po czym narządy wewnętrzne zmarłego cesarza zostały umieszczone w miedzianej skrzyni, którą złożono w podziemiach katedry w Ratyzbonie.

David Ungnad udał się do Konstantynopola, gdzie pozostał przez dwa lata. W chwili jego wyjazdu rozpoczęła się ostatnia, najtragiczniejsza, najbardziej mroczna podróż Maksymiliana.

Po śmierci cesarza zastanawiano się, gdzie złożyć jego ciało na wieczny spoczynek. Mimo że Maksymilian pragnął być pochowany w Wiedniu, wybrano Pragę.

- Dlaczego? - zdziwiłem się.

- Cesarz dwukrotnie nie wpuścił do Wiednia Sulejmana, a z nim wrogów Chrystusa. Dlatego też postanowiono się na nim zemścić i pochować go z dala od ukochanej ziemi, którą uchronił przed Turkami.

- Zemsta *post mortem*?

- Nienawiść nie zna granic. Przeszedł mnie dreszcz zgrozy.

Kondukt pogrzebowy prowadzony przez Rudolfa przewiózł ciało Maksymiliana z Ratyzbony do Pragi, pokonując setki kilometrów przez zamrożone ziemie cesarstwa. Na każdym postoju trumnę cesarza przyjmowały z honorami lokalne władze. W skład imponującego orszaku pogrzebowego wchodziła rodzina cesarza, dworzanie, paziowie, lokaje, trębacze, organiści, dobosze, urzędnicy, kucharze, kwatermistrzowie, doradcy, kanclerze oraz wyznaczeni przewoźnicy przydzieleni do transportu konduktu. Wszyscy ci ludzie mieli poważne twarze, na szyjach białe kryzy i okryci byli ciemnymi płaszczami z czarnymi ozdobami. Żałobne stroje sprowadzono w pośpiechu z Augsburga i Norymbergi, podobnie jak gromnice, sztuce, pledy, cesarskie sztandary, chorągwie, konie, a także księża i chórzystów.

Już na początku podróży pojawiły się trudności. Rada miejska złożona z protestantów odmówiła eskortowania procesji poza mury miasta i oświetlania drogi lampami. Ich wróg nie żył. Niech sam idzie do diabła!

W końcu kondukt pogrzebowy wyruszył. Był początek zimy. Ludzie i konie z trudem posuwali się naprzód. W kolejnych miastach coraz mniej poddanych wychodziło z domów, żeby złożyć cześć zmarłemu cesarzowi.

Z powodu srogiej niemieckiej zimy orszak błędził, zbaczał z drogi, spowalniał marsz. Maksymilian Mądry był teraz ciałem pozbawionym miłości, schronienia, spokoju, zmarłym bez ojczyzny, zamkniętym w zimnej trumnie złożonej na skrzypiącym wozie, który pośród burzy śnieżnej z trudem ciągnęły zmęczone konie. Odmrożone ręce przewoźników przekładały go z miejsca na miejsce niczym pakunek.

Po trzech miesiącach, w styczniu 1577 roku, kondukt pogrzebowy dotarł do Linzu w Austrii. Po ośmiu dniach miał znaleźć się w Pradze. Jednak na skutek kolejnej burzy śnieżnej drogi zostały zasypane i trasa przemarszu wydłużyła się, tym bardziej że przewoźnicy błędzili. Noclegi wypadały w położonych na odludziu zamkach.

W Czechach kondukt powitało tak niewiele osób, że nie starczyło ramion, by przenieść trumnę. W końcu, szóstego lutego, po czterech miesiącach od śmierci Maksymiliana, orszak wkroczył do Pragi. Nie był to jednak koniec niepowodzeń. *Castrum doloris*, dekoracyjny katafalk w kościele św. Wita, nie był gotowy. Termin pogrzebu został przesunięty. W tej sytuacji wielu dostojników, między innymi dwaj arcyksiężęta z dynastii Habsburgów, odwołało swój udział w uroczystości pożegnania cesarza.

Po ceremonii żałobnej skromny orszak przemaszerował ulicami Pragi. Na jego czele szli: papieski legat, ambasador Hiszpanii, ambasador króla Francji, węgierscy magnaci,

ambasador Ferdynanda, arcyksiążę Tyrolu, brat Maksymiliana, za nimi cesarscy książęta, duchowni i świeccy wysłannicy Austrii, Śląska, Moraw, kawalerzyści, biskupi, opaci. Nie zawiedli jezuici, którzy tłumnie zjechali z różnych okolic.

Za trumną wykonaną z sękatego, ciemnego drewna, z połyskującymi na szkarłatno-złotym całunie żałobnym cesarskimi herbami, szedł Rudolf. Twarz miał bladą, okryty był długim czarnym płaszczem, dłoń nerwowo zaciskał na gardzie szpady. Za nim kroczyli bracia: Maciej i Maksymilian w podobnych płaszczach i także ze szpadą u boku. Następny w orszaku był papieski legat. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem i zielonymi frędzlami, a na dłoniach, w których trzymał gromnicę, rękawiczki ozdobione perłami. Na końcu orszaku szli książęta również ze świecami (nieliczni mieli twarze mokre od łez), których migotliwe płomyki znaczyły drogę przemarszu, oraz arystokraci z błyszczącymi niczym gwiazdy w zimową noc koronami cesarstwa, Węgier i innych państw. Za konduktem szły konie: na pierwszym miejscu koń Maksymiliana okryty czarnym czaprakiem z cesarskimi herbami, za nim koń cesarstwa w ozdobnej uprzęży, otoczony chorągwiami i sztandarami, na końcu konie berberyjskie ze Śląska, Hiszpanii, Tyrolu i Francji. Wierzchowce miały spuszczone oczy, położone po sobie uszy i niepewny krok, jakby pragnęły złożyć swoją daninę łez.

Kondukt żałobny dotarł do kościoła św. Jakuba w starej części Pragi, tuż za ratuszem. Przeszedł ulicą pomiędzy dwiema aptekami, którą zwykle przemierzają wierni pragnący zobaczyć relikwie św. Chryzostoma. Ktoś z tłumu rzucił monety, aby wywołać zamieszanie wśród ludzi przyglądających się orszakowi. Akcja zakończyła się powodzeniem: pospólstwo z krzykiem rzuciło się zbierać pieniądze. Żołnierze z eskorty pobiegli bocznymi uliczkami, żeby w tym rozgardiaszu dotrzeć na czoło procesji. Wśród zamieszania i szczęku broni rozległy się okrzyki: „Zdrada! Zdrada! To drugi Augsburg!”, nawiązujące do niedawnej rzezi katolików w krajach protestanckich.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się ogromna, odrażająca świnia. Osoby niosące trumnę uległy panice i omal jej nie upuściły. Wielka maciora nie dała się odpędzić płonącymi pochodniami. Gdy zniknęła tak samo nagle, jak się pojawiła, wszyscy byli przekonani, że chodzi o jakąś diabelską sztuczkę.

Rudolf, blady i drżący z emocji, został sam przy trumnie ojca. Właśnie sięgał po szpadę, kiedy coś, może duch, przytrzymało go za ramię. Rudolf odwrócił się, lecz nikogo nie dostrzegł. Był pewien, że zaraz zostanie zdradziecko zasztyletowany. Po chwili nadjechali łucznicy na koniach.

Ludzie z żałobnego orszaku rozpierzchli się w popłochu. Na ulicach i w zaułkach

pokrytych śniegiem i błotem zapanowała przemoc. Miasto ogarnęło szaleństwo. Nienawiść do kleru zaślepiła prażan. Każdy, kto miał na sobie habit, był tropiony jak dzikie zwierzę. Najbardziej narażeni biskupi, opaci i jezuita skakali z mostów i tonęli w lodowatych nurtach rzeki. Inni kryli się w swoich domach, skąd byli wywlekani na ulicę. Dziekan Hradczan wpadł do piwnicy i złamał nogę. W tej samej kamienicy schronili się jeden kanonik i dwóch opatów, ale mieszkańcy wypędzili ich, okładając kijami. Jakiś zakonnik szukał ratunku w szynku tuż obok, lecz został wypchnięty na zewnątrz i obrzucony obelgami. W zamieszaniu duchowni przewracali się, tratowali, wpadali w błoto, w końskie odchody, a na koniec byli zabijani.

- Zdrajcy wszędzie zastawili swoje sieci - oświadczył Simonis. - Szaleństwo w Pradze było trucizną wstrzykniętą w ciało cesarstwa. Stanowiło próbkę tego, co wydarzyło się później. Było też oznaką przekleństwa, które rzucili na Maksymiliana.

Duchowni uciekający ulicami Pragi zrzucali ze strachu przed protestantami habit i biegli dalej półnaczy. Przełożony klasztoru Matki Boskiej został trafiony halabardą w twarz, a jednego z wiedeńskich jezuitów znaleziono z roztrzaskaną czaszką. Biskup Ołomuńca, pobity, w podartym ubraniu, wśliznął się do małego sklepiku i na kolanach prosił właścicielkę, by go nie wydała. Zaproponował jej nawet sto guldenów, ale został wyrzucony za drzwi. Pewien żołnierz napadł na biskupa Wiednia, ukradł mu cenny pastorał wysadzany perłami i drogimi kamieniami, pobił do krwi jego sługę. Biskup salwował się ucieczką, porzucając święte ozdoby. Nawet arcybiskup Pragi, który miał trudności w chodzeniu, dostał jakby skrzydeł i uciekał co tchu.

Po dwóch godzinach zapanował spokój. Żałobnicy wyszli z ukrycia i dołączyli do konduktu pogrzebowego, brudni, obdarci, drżący ze strachu, szarzy jak ołowiane niebo nad miastem. Zniknęły kosztowne stuły i rękawiczki ozdobione perłami. Birety wyszywane złotą i srebrną nitką znalazły się w błocie lub w kieszeniach złodziei. Duchownych było o połowę mniej, niektórzy kuleli i lękliwie rozglądali się na boki. Chórzyści zniknęli, procesja kroczyła w całkowitym milczeniu. Nikt nie miał odwagi komentować haniebnego zdarzenia. Przyczyna rozpętania się tego piekła, które skończyło się równie szybko, jak zaczęło, pozostała nieznana. Kazanie w kościele św. Wita na Hradczanach trwało zaledwie pół godziny. Po mszy młody Rudolf, z dużą białą gromnicą w dłoniach, podszedł do ołtarza, by złożyć ofiarę.

Wszyscy patrzyli na niego. Co czuł po wydarzeniach w Ratyzbonie i Pradze? Nikt nie przypuszczał, że niedawny koszmar tak silnie odbije się na jego psychice, już osłabionej na skutek wychowania przez wrogich ojcu jezuitów, iż niebawem zmieni się on w mizantropa,

władcę nieudolnego, szalonego.

Po pierwszych latach panowania Rudolfa - ciągnął Simonis - stało się jasne, że jego umysł jest zaćmiony magicznymi praktykami i alchemią, dręczony lękami i fobiami. Po pewnym czasie cesarz zamknął się w tajnych laboratoriach, gdzie uprawiał nekromancję z pomocą najbardziej prymitywnych i nikczemnych ze swoich sług. W końcu przeniósł te swoje dziwactwa także w to miejsce.

- Miał tu gabinet alchemiczny? Simonis ze smutkiem skinął głową.

- Rudolf był szalony, ale przede wszystkim śmieszny, co w jeszcze większej mierze zaszkodziło jego wizerunkowi. W młodości widział zbyt wiele okropności. Dlatego też wolął spędzać wieczory, patrząc w gwiazdy zamiast na ludzi.

Wbrew woli ojca Rudol przeniósł stolicę cesarstwa z Wiednia do magicznej, tajemniczej, szatańskiej Pragi, gdzie w atmosferze skandalu odbył się pogrzeb Maksymiliana, a jego syn postradał zmysły.

W sierpniu 1584 roku do Pragi przyjechali dwaj angielscy czarownicy: Jan Devus (który przybrał przydomek John Dee) oraz Eduard Kelley. Devus, astrolog królowej Elżbiety, cieszył się sławą wielkiego uczonego. Rozmawiał z duchami wywołanymi za pomocą magicznego lustra, czyli kwarcowej kuli, którą miał otrzymać od archanioła Uriela. Nie wiadomo, czy był zwykłym hochsztaplerem, czy szaleńcem. Kelley przybrał nazwisko Engländer (naprawdę nazywał się Talbot) i był pospolitym szalbierzem. Miał obcięte uszy (w ten sposób karze się w Anglii oszustów), długie, przetłuszczone włosy, haczykowany nos, małe oczy i nieprzyjazne spojrzenie.

Obaj czarownicy wzbudzali ciekawość, mamili, robili interesy, wyłudzając pieniądze za stawianie horoskopów, za medykamenty na wszelkie choroby, za obietnicę znalezienia kamienia filozoficznego. Rozeszła się wieść, że byli szpiegami i podżegaczami nasłanymi przez królową Elżbietę, aby szerzyli zamęt na ziemiach Habsburgów. Inni twierdzili, że tylko prawdziwi czarownicy mają tak odrażająco brzydkie twarze jak oni.

Devus i Engländer niczym magnesy przyciągali do siebie całe zastępy czarodziei, nekromantów, czarnoksiężników, alchemików, uzdrowicieli. Praga otworzyła swe bramy dla sił ciemności, a słaby umysł cesarza poddał się urokowi magii.

Lud poczuł się zagubiony, arystokraci dali się oszukać, tymczasem dwaj podstępni Anglicy szybko się wzbogacili, wkradając się w łaski Rudolfa. Cesarz pasjonował się astrologią i każdego, kto składał mu wizytę, prosił, by przyniósł własny horoskop. Jeśli werdykt astrologów był nieprzychylny, gościa wyrzucano. Rudolf wydawał ogromne sumy na talizmany, eliksiry, amulety i panacea. Unikał ludzi, w tym także kobiet, urodzonych pod złą

gwiazdą. Wszyscy go wykorzystywali, przekupując doradców. Właściwie każdy mógł oszukać i zdrwić sobie z cesarza.

Syn pobożnego Maksymiliana polubił Devusa, ale później go przepędził, gdy nuncjusz papieski wyczuł od niego zapach czarnej magii. Pozostał mu ten gorszy, Engländer, który spędzał czas na hulankach i pijatykach. Kupił sobie dom obok posiadłości niejakiego doktora Fausta, specjalisty w dziedzinie czarnej magii i druku. Opowiadano, że doktor latał nad Pragą na skrzydlatym koniu, a potem z rodzinnego miasteczka Kutna Hora (po niemiecku Gutenberg) wyruszył do Niemiec, gdzie wynalazł druk. Engländer był człowiekiem porywczym. Gdy w pojedynku zabił arystokratę, Rudolf kazał osadzić go w wieży. Miał nadzieję, że uwięziony Anglik zdradzi mu za cenę wolności tajemnicę kamienia filozoficznego. Engländer odmówił. Podczas próby ucieczki wpadł do fosy i złamał sobie nogę, którą zastąpiono protezą. Człowiek bez uszu zyskał przydomek Drewniana Noga. Cały jego majątek przejęli wierzyciele. Rudolf nie chciał go trzymać na dworze, choć nadal wierzył, że Anglik zna wiele tajemnic. Cesarz kochał go i nienawidził, na koniec zesłał do więzienia. Engländer ponownie próbował uciec, złamał sobie drugą nogę, po czym popełnił samobójstwo.

W szatańskim mieście Pradze dokonała się zemsta Ilsunga i jego towarzyszy. Rudolf zaczął miewać halucynacje i napady złości, wszędzie wietrzył spisek i zdradę, wielokrotnie próbował popełnić samobójstwo. Najgorsze było to, że szaleństwo Rudolfa przetrwało. Jego nieślubny syn, okrutny Juliusz, miłośnik polowań, zawsze w otoczeniu sfory psów, prawdziwe zwierzę pośród zwierząt, często pijany i cuchnący skórami, które sam garbował, od zamiłowania do polowań przeszedł do znęcania się nad żywymi stworzeniami, także mężczyznami i kobietami. Kiedy po upojonej nocy miłości zabił i pociął na kawałki swoją kochankę, bezbronną córkę cyrulika z małego miasteczka, uznano go za szalonego i osadzono w zamku Krumau. Tam też zakończył życie, prawdopodobnie zamordowany.

Milczałem, przejęty straszliwą opowieścią. Z najwyższą uwagą słuchałem słów Simonisa. Spojrzałem przez okno na rozległe ogrody Bezimiennego Miejsca.

- Jak pan zapewne się domyśla, po śmierci Maksymiliana nastąpił koniec nie tylko jego syna, ale także Neugebau. Od tamtej pory nikt nie dbał o ogrody, willę, pałac. Zaniebane rośliny umierają, mury rozsypują się, giną zwierzęta. Jak długo to jeszcze potrwa? Józef I jest pierwszym cesarzem, który postanowił uratować to miejsce. Oby Bóg mu sprzyjał!

Z dużej sali przy wejściu przeszliśmy do sali po lewej stronie. Tu ściany też były zupełnie puste, podłoga zniszczona. Duże okna, przez które widać było niebo oraz wysokie



sklepienie ponad naszymi głowami, gdzie rozchodziło się echo naszych głosów, zdawały się przypominać wielkość i chwałę Bezimiennego Miejsca, nadal oczekującego odwetu.

Kiedy przemierzaliśmy salę w poszukiwaniu przewodów kominowych, nie dawała mi spokoju myśl o 5 września, kiedy zaczęła się śmiertelna choroba Maksymiliana II. W drodze na zebranie studentów Ko-loman Szupan opowiadał, że tego samego dnia, podczas oblężenia tureckiego w 1683 roku, pewien zdrajca powiadomił Osmanów, że osłabiony Wiedeń jest łatwą zdobyczą. Dzień ten wiązał się też z moim pierwszym spotkaniem z Attem przed dwudziestu ośmiu laty. Piątego września 1661 roku w rzymskiej gospodzie, gdzie pracowałem i gdzie poznałem opata, aresztowano Nicolasa Fouqueta, francuskiego ministra finansów i przyjaciela Atta Melaniego. Był to także dzień urodzin Króla Słońce, największego, najbardziej wpływowego władcy Europy, i dzień śmierci Sulejmana.

Piąty dzień dziewiątego miesiąca roku był więc pechowy nie tylko dla Europy, ale także dla mnie. Król Słońce, cesarz Maksymilian, sułtan Sulejman, Fouquet, Wiedeń, Paryż - wszystkie te imiona i nazwy miast zdawały się krążyć wokół mnie, małej drobinki w wielkim teatrze świata, jakby mój los był z nimi w jakiś tajemniczy sposób związany. A może było to tylko wrażenie biednego kominiarza?

Po zakończeniu pracy w dużej sali po lewej stronie, jak również identycznego pomieszczenia po prawej, skierowaliśmy się do drzwi prowadzących na zewnątrz. Gdy je otworzyliśmy, owiało nas zimne, czyste powietrze. Znaleźliśmy się w obszernej arkadowej loggi wychodzącej na ogród północny. Naszym oczom ukazała się rozległa, przepiękna równina Simmering, pola uprawne, dalekie mury Wiednia, a w głębi zielone szczyty Kahlenbergu. Arkadowa loggia wspierała się na potężnych kolumnach zbudowanych z dużych bloków kamienia, stanowiących arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej. Sklepienie nad naszymi głowami miały zdobić freski, zaprojektowane zapewne przez Maksymiliana i jego włoskich artystów włoskich. Malowideł tych nigdy jednak nie wykonano.

Ściany loggi obiegał u góry pas pięknie wykonanych kamiennych bu-kranionów. Okazałe, a zarazem straszne czaszki byków obudziły w mojej pamięci pewne wspomnienie. Przed dwudziestu ośmiu laty, podczas wyprawy z opatem Melanim do podziemi Wiecznego Miasta, natrafiliśmy na dziwną wyspę, na której znajdowały się fragmenty zabytkowej rzymskiej budowli. Atto, wybitny znawca starożytności, rozpoznał w nich ołtarz boga Mitry, którego atrybutami były skorpion i byk. Rząd bukranionów stanowił więc kolejny element, pomyślałem, łączący teraźniejszość z przeszłością. Bezimienne Miejsce nieustannie odkrywało przede mną delikatne aluzje, które należało rozszyfrować.

Ponownie spojrzałem na arkadowy korytarz i roztaczający się przede mną krajobraz.

- Wszystko jest tu okazałe - stwierdziłem - i ogromne. Jak w willi Medyceuszy w Rzymie, trochę też jak w willi weneckiej... albo w Wersalu - dodałem, mając na myśli ogrody i fontanny po północnej i południowej stronie zespołu pałacowego, czyli przed i za nami.

- Nigdy nie byłem w Wersalu - odparł Simonis - ale jestem pewien, że Neugebau, dziś skazany na zapomnienie, w przeszłości był klejnotem architektury.

W tej samej chwili w zachodnim skrzydle pałacu dał się słyszeć dziwny hałas, przypominający zarazem dźwięk rogu i dudnienie. Trudno powiedzieć, czy był to ludzki głos czy odgłos mechaniczny, czy dochodził z góry czy z dołu. Odruchowo odwróciłem się do Simonisa, ale mój pomocnik był już w środku i nic nie słyszał. Z dużej sali pośrodku pałacu zawołał mnie mój synek. Wszędzie nas szukał, przemierzając ogromne pomieszczenia. Widział Froscha wychodzącego przez bramę wschodnią.

Stary strażnik zmierzał zapewne do swojego odległego o kilka kilometrów domu na wsi. Należało wykorzystać okazję.

Latający statek, spoczywający leniwie na zamarznętej jeszcze ziemi, wydawał się cierpliwie oczekiwać nadejścia wiosny. Wspiąłem się na duże skrzydło ptaka, rozejrzałem się dookoła i zszedłem.

- Trzeba działać metodycznie - oznajmiłem. - Ja sprawdzę kil, a ty pokład - nakazałem Simonisowi.

Kiedy Simonis przeszukiwał kabinę na pokładzie, ja oglądałem statek od zewnątrz. Po pracy w pałacu czułem się zmęczony, obawiałem się też, że za chwilę wróci Frosch. Nie byłem w najlepszym nastroju do poszukiwania złotego jabłka. Poselstwo tureckiego agi, podejrzana postawa Eugeniusza, wojna, śmierć Daniła i Christa, przyjazd opata Melaniego, derwisz Ciezeber, choroba cesarza, dziwne postępowanie Ugonia, latający statek - wszystko wiązało się z tajemnicą złotego jabłka. Trzeba dokładnie zbadać całą sprawę, myślałem, odkryć sekret, żeby wszystko stało się jasne i żeby nie dał się uwikłać w machinacje Melaniego. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy znaleźć złote jabłko albo przynajmniej dowiedzieć się, co się z nim stało.

Czarnymi od sadzy palcami badałem zimne drewno statku w poszukiwaniu jakiegoś otworu, półki czy szufladki, która mogłaby mieścić symbol władzy nad Zachodem.

- Gdzie może być ta przeklęta kula? - szepnąłem, zastanawiając się, czy prosić o pomoc Najwyższego, czy poprzestać na złorzeczeniach.

W tej samej chwili latający statek lekko zadrżał, po czym nastąpił słaby wstrząs, jakby dziwny drewniany ptak nagle się zakołysał. Pomyślałem, że przyczyną tego kołysania był Simonis, energicznie przeszukujący kabinę. Spojrzałem w górę. Grek zajęty był

sprawdzaniem, czy siedziska nie mają podwójnego dna. Gdybym nie wiedział, że jest to tylko maszyna latająca, z chęcią przyjrzałbym się oczom ptaka, aby się przekonać, czy nimi porusza.

Wszedłem na pokład. Ledwo znalazłem się na górze, znowu poczułem dziwne kołysanie.

- Panie majstrze! Czuje pan to samo co ja? - zapytał Simonis, kiedy znalazłem się na dziobie statku.

Milczałem, zaintrygowany. Odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak.

Wyrzałem z kabiny. Ziemia oddalała się... coraz szybciej. Gdybym teraz wyskoczył, złamałbym nogę. Co się dzieje?

Owiał mnie zimny wiatr znad równiny Simmering. Nagle jakby ogromna fala gorącego powietrza wyparła latający statek w górę.

- Co się dzieje? - powiedziałem na głos.

Nagle wszystko nabrało przyśpieszenia: wrażenie rozpalonego wulkanu pod nami, rozgrzane powietrze owiewające zimne policzki, oddalająca się ziemia. Serce biło mi mocno. Przypomniał mi się szalony sen sprzed kilku dni, w którym o mało nie pożarł mnie Mustafa i wydarzyło się to samo, co teraz: latający statek wzniósł się w górę.

W jaki sposób opiszę te chwile moim wnukom? Czułem wyraźnie, że unosimy się nad ziemią, jakby prawa natury, podległe jakiemuś dobremu czarownikowi, chciały zadośćuczynić naszemu pragnieniu odnalezienia złotego jabłka, jakby potężne, starodawne siły, zdolne zburzyć cały świat, odżyły tylko dla nas i ustawiły się wokół latającego statku, niczym mistyczne służebnice, wznosząc go coraz wyżej i wyżej. Z dołu patrzył na nas przerażony synek. Zastanawiał się zapewne, czy to możliwe, że jego ojciec wzlatuje w niebo.

- Kiedy byłem tu pierwszy raz i uciekałem przed Mustafą, czułem, że statek się porusza, ale nie mogłem w to uwierzyć! - krzyknąłem do Simonisa, jakby moje słowa miały wszystko wyjaśnić.

Kiedy wznosiliśmy się w górę, wydawało się nam, że loggia Bezimiennego Miejsca zapada się w przepaść. Mój synek śmiał się i płakał na przemian. Coś do nas wołał. Simonis milczał. Już wykrzyczał swoje zaskoczenie i strach. Spojrzałem w dół. Jeśli spadniemy, czeka nas pewna śmierć. Zacząłem się modlić.

Nie spadliśmy jednak. Potężna, tajemnicza siła wsysała nas w górę. Minęliśmy taras na dachu Neugebau, wznosząc się coraz wyżej. Zdawało się nam, że jesteśmy najwyższym punktem świata, wyższym niż wzgórza, szczyty gór, a nawet chmury. Stare drewno statku, lekkie i suche jak wiór, skrzypiało pod naszymi nogami. Zaczęło kręcić mi się w głowie, że

strachu i emocji brakowało mi tchu. Złożyłem dłonie do modlitwy, jako że *Deus caritas est* (i w cudowny sposób nas chroni). Jeśli Bóg z miłości stworzył świat, to dzięki pradawnym boskim siłom mogliśmy upajać się lotem i na kilka chwil uwolnić się od panowania materii, zdając się na Jego opiekę.

- Panie majstrze! My... lecimy! Jak ptaki, a raczej anioły - powiedział Simonis zdławionym głosem, czyniąc znak krzyża.

Podczas gdy wiatr rozwiewał mi włosy, rozkoszowałem się widokiem równiny Simmering. W dali rysowały się, niczym na stole architekta, przedmieścia Wiednia, Dunaj, Wyspa Leopolda, nawet odległa dzielnica Josephina z jej niewidocznymi mieszkańcami. Cieszyłem się i płakałem na przemian, z lęku i radości. Być może ogarnęło mnie szaleństwo, które podobno przydarza się wysoko w górach, w rozrzedzonym powietrzu.

Odmówiwszy modlitwę, wyszeptalem słynne wersy Dantego, mówiące o magicznym statku. Uczyniłem to z myślą o Cloridii i naszych dzieciach. Kiedy ogrody Bezmiennego Miejsca stały się całkiem malutkie, wieże upodobiły się do dziecinnych zabawek, olbrzymie stawy do niewielkich kałuży, a lwy Froscha do myszy, zwróciłem się o pomoc do wielkiego poety, recytując półgłosem:

*Guido, i 'vorrei che tu e Łapo ed io  
Fossimo presi per incantamento  
E messi in un vassel, eh 'ad ogni vento  
Per marę andasse al voler vostro e mio;  
Si che fortuna od altro tempo rio  
Non ci potesse dare impedimento.  
Anzi, vivendo sempre in un talento  
Di stare insieme crescesse 7 disio.  
Guido, chciałbym, żebyśmy ty, Łapo i ja  
Ulegli czarowi  
I znaleźli się na statku, który pchany wiatrem  
Płynąłby po morzu tam, gdzie zechcemy.  
I żeby los ani zła pogoda  
Nie stanowiły przeszkody.  
Przeciwnie, żebyśmy coraz silniej odczuwali  
Pragnienie bycia razem.*

Kiedy znaleźliśmy się ponad chmurami, zapragnąłem, podobnie jak Dante, żeby drogie mi osoby, żona i dzieci, były razem ze mną na latającym statku...

*...e quivi ragionar sempre d'amore.*

*I rozprawiali zawsze o miłości.*

- Proszę spojrzeć, panie majstrze! To Wiedeń!

Stolica cesarstwa, bastiony, wieże, dzwonnice, iglica katedry Świętego Szczepana wydawały się jakby rozpląszczone na ziemi. Simonis, blady jak ściana, nie mógł się zdecydować, czy wychylić się i podziwiać panoramę, czy cofnąć na środek pokładu, by nie wypaść za burtę.

W pewnej chwili statek przestał się wznosić.

- Zaraz zaczniemy opadać - powiedziałem ochrypłym głosem, rozpaczliwie uczepony fotela awiatora.

Mylilem się. Zaledwie wymówiłem te słowa, poczułem na twarzy silny podmuch zimnego powietrza. Nasz statek leciał teraz, jakby powiedział marynarz, na pełnym żaglu.

- Zmierzamy w stronę Wiednia! - zawołałem przestraszony, a zarazem urzeczony. Uświadomiłem sobie, że drzę na całym ciele.

Unosiliśmy się nad sadami, domami i winnicami coraz wyżej i wyżej. Zrobiło się bardzo zimno. Silne podmuchy wiatru smagały nasze ciała w kominiarskich kombinezonach. Skrzypiący i rozkołysany statek nie dawał żadnej osłony.

- Jak to możliwe, panie majstrze? Co utrzymuje nas w powietrzu? - zapytał Simonis.

Odpowiedziałem niemym zdziwieniem.

Gdy opadły szalone emocje pierwszych minut lotu, zauważyliśmy dziwne zjawisko. W górnej części statku umieszczone były cztery liny - te same, które dostrzegłem podczas pierwszej wizyty na pokładzie, z przymocowanymi do nich kawałkami bursztynu. Teraz jednak żółte kamienie nie zwieszały się na nitkach nieruchomo, ale wibrowały, jakby wprowadzone w ruch przez jakąś niewidzialną siłę, wydając przy tym delikatny szelest, podobny do cichej muzyki.

Ująłem w dłoń jeden z nich. Na krótką chwilę przestał wibrować, ale zaraz ponownie zaczął drgać. Dotknąłem liny. Była całkowicie nieruchoma, nie drżała. Odniosłem wrażenie, że lina przenosi niewidzialną energię pochodzącą z rufy statku na kawałki bursztynu, wprowadzając je w ruch. Wibrujące kamienie wydawały dźwięk przypominający niebiańską muzykę. Zastanawiałem się, czy ta sama siła unosi statek w powietrzu. Jeśli tak, to w jaki sposób? Jakież to wytrawny inżynier i muzyk potrafił posłużyć się ową tajemniczą energią? Człowiek ten był chyba genialniejszy od samego Leonarda, Berniniego czy Herona z Aleksandrii, który sprawił, że świątynne figurki pod działaniem powietrza ogrzewającego się od ognia na ołtarzu tańczyły i wylewały wino z dzbanów na ofiarę.

Dziwiły mnie także inne szczegóły statku. Jak już wspomniałem, latający statek zbudowany był nie z prostych, wyheblowanych desek, ale z gładkich rurek tworzących wiązkę, na rufie zakończonej ogonem, a na dziobie głową ptaka. Kiedy statek stał na ziemi, drewniane rurki były nieruchome, bierne, teraz natomiast wydawały się wypełnione jakby strumieniem powietrza, który rozchodził się, jak w wypadku bursztynów, od tylnej części statku ku dziobowi. Trudno powiedzieć, czy był to rzeczywiście strumień powietrza czy może jakiegoś płynu. Z rurek wydobywał się rodzaj buczenia, podobnego do dźwięku, jaki powstaje, gdy krzyczy się przez papierową tubę.

Zagadkowa, niewzruszona ptasia głowa na dziobie statku przecinała niebo nad Wiedniem niczym prawdziwy żywy ptak. Nad kabiną i linami z kawałkami bursztynów rozpięty był zaokrąglony żagiel, który nadawał statkowi kształt kuli. Na rufie powiewała flaga Portugalii.

- Dlaczego? - zapytałem głośno, dotykając poczerńiałych desek. - Dlaczego wybrałeś właśnie ten dzień? Z nami na pokładzie?

Ptasia głowa na dziobie niewzruszenie trzymała kurs.

- Może, panie majstrze, nie wiem!... ale!... - wołał Simonis, starając się przekrzyczeć dudnienie drewnianych rurek.

- Mów głośniej! Nie słyszę! - zawołałem wystraszony, statek bowiem nagle skręcił w prawo, jakby kierował się w stronę Dunaju, a po chwili gwałtownie w lewo, aż musieliśmy przytrzymać się burty, żeby nie stracić równowagi. Serce biło mi jak szalone.

- Być może statek wzbił się w powietrze, żeby spełnić nasze życzenie.

- Szczerze mówiąc, wolę być na ziemi! - krzyknąłem do Simonisa. Skłamałem. Choć czułem lęk, cieszyłem się na myśl, że byłem jednym z niewielu, bardzo niewielu ludzi (o ile tacy w ogóle istnieli), którym dane było latać.

- Miałem na myśli inne życzenie! - zawołał ponownie Simonis. - Chodziło mi o złote jabłko. Czy nie tego szukaliśmy, kiedy statek poszybował w górę?

Zamilkłem, spuszczać głowę, zarówno z powodu silnego wiatru, jak i zawstydzenia. Podzielałem nedorzeczne zdanie Simonisa, głupkowatego studenta (czy naprawdę taki był?). Mnie również zdawało się, a raczej byłem pewien, że statek wzbił się w przestworza ze względu na nas, na nasze pragnienie odkrycia sekretu złotego jabłka i odnalezienia go. Można było odnieść wrażenie, że siłą świadomości uruchomiliśmy jakiś nieznaną mechanizm, pradawną siłę skupioną w nieznanym miejscu, która oczekiwała, by ją obudzić i wykorzystać w określonym celu. Jak wynikało z opowieści Ugonia, latający statek powstał właśnie z powodu złotej kuli.

Poznanie tajemnicy jabłka pozwoliłoby zapewne znaleźć odpowiedź na inne związane z nią pytania, na przykład o wynik wojny czy los cesarza, a zarazem Europy i świata. Zakładając, że przedmioty obdarzone są wolą, czy latający statek naprawdę chciał spełnić nasze życzenie? Jeśli tak było, to lęk i niebezpieczeństwo, na które się narażaliśmy, miały czemuś służyć. Choć byłem wyczerpany nadmiarem wrażeń i wysmagany lodowatym wiatrem, złączyłem modlitewnie dłonie i powiedziałem półgłosem: „Majestatyczny żaglowcu przestwórz! Nie wiem, czy przeżyję ten lot, ale jeśli tak się stanie i jeśli rzeczywiście pragniesz tego, co my, użyj należycie swojej władzy i bądź dla nas arką prawdy, odwetu i sprawiedliwości. Spraw, by złote jabłko wyprowadziło nas z labiryntu, w którym utknęliśmy”.

Frunęliśmy nad zakolami Dunaju. Dostrzegłem park Prater (z bólem serca przypomniałem sobie siną twarz Christa wciśniętą w śnieg) oraz rząd błotnistych wysepek o ciekawych nazwach, takich jak: Kamienna Tablica (Grabstein), Chodnik (Durchlauff), Dolina Tabor (Tabor Au), Stary Piec (Alten Stube), Port Myśliwski (Jager Hauffen) oraz Grobla (Die Schiitt), niedaleko miejsca, gdzie życie uratowała mi szachownica Bułgara.

Pokazywaliśmy sobie z Simonisem domy i dzielnice, jakbyśmy pochylali się nad mapą. Bawiliśmy się w odszukiwanie klasztoru Porta Coeli, mojego domu w dzielnicy Josephina, murów pałacu cesarskiego, poszczególnych bastionów, bram miejskich, willi i ogrodów na przedmieściach, rozległej równiny Glacis i małej osady Spittelberg. Widzieliśmy wyraźnie daleką bramę Mariahilfe oraz drogę do Hietzing. Wysokie mury Linienwall były tak dobrze widoczne, że zdaniem Simonisa można je było dostrzec nawet z Księżycy.

- Arko odwetu i sprawiedliwości! - powtórzyłem ze łzami w oczach, patrząc na ogrody Lichtenthalu, willę Rossau, Bramę Währing. - Arko prawdy, jeśliś godna tego miana! Czy zasłużyłem sobie na ten cud, ja, marny człowiek i grzesznik?

Wzruszyłem się do łez. Simonis też miał wilgotne oczy. Jego głupekowata twarz z krzywo przyciętą grzywką i wystającymi zębami wyrażała głębokie zmieszanie. Pragnęliśmy pokłonić się tajemniczemu bogu powietrza.

- Panie majstrze, co by się stało, gdyby ktoś z dołu nas zobaczył?

- Miejmy nadzieję, że to nie nastąpi. Wsadziliby nas do więzienia, jak tego człowieka, który sprowadził statek z Portugalii. Jeśli rzeczywiście ktoś nas dostrzeże, to módlmy się, żeby wziął nas za stado kaczek albo pomyślał, że ma halucynacje.

- Jeśli wezmą nas za kaczki, to będą do nas strzelać. Potrawka z kaczki jest wiedeńskim przysmakiem - powiedział Simonis, zmuszając się do uśmiechu, i dodał: - Proszę spojrzeć, panie majstrze! Zaraz zderzymy się z chmurą.

Odruchowo zasłoniliśmy twarze, jakby obłok mógł nam wyrządzić krzywdę. Oczywiście nic się nie stało, po prostu zanurzyliśmy się w wilgotną, nierealną mgłę.

Niebo nad Rzymem ma barwę błękitu i prawie zawsze jest bezchmurne. Kolor i światło nieba wiedeńskiego wyraża typowe cechy Austriaków: prostotę rozumowania, szczerłość, zamiłowanie do rzeczy szlachetnych, dawnych. Chmury przeważnie wiszą nisko, firmament ma kolor liliowoniebieski.

Poczułem, że statek przechylił się nieco i zakreślił duży półokrąg w lewo.

- Okrążamy miasto - stwierdziłem.

Latający statek powoli zwracał się dziobem ku Bezimiennemu Miejscu.

Powrotny lot z miasta do Neugebau odbyliśmy w milczeniu. Gdy nad stadionem do gry w piłkę statek zaczął zniżać się, było nam nawet przykro, że nieznani bogowie postanowili rozstać się z nami. Podniebna podróż zakończyła się spokojnie i z największą precyzją, jakby niewidzialny pilot pragnął dać dowód swoich mistrzowskich umiejętności. Przyglądaliśmy się z wysoka, jak myszki z menażerii Froscha zmieniają się w tygrysy i lwy, kałuże w stawy, a domek dla lalek - w okazały pałac. Latający statek wylądował niemal w tym samym miejscu, skąd wzbił się w górę. Osiadł na ziemi z głuchym trzaskiem, jakby siła wprawiająca go w ruch nagle się wyczerpała. Gdy stanęliśmy twardo na ziemi, mój synek, który przyglądał się lądowaniu, nie posiadał się z radości. Wskoczyłem ze statku i omal nie upadłem. Ze zmęczenia i nerwowego napięcia nogi drżały mi jak po tygodniu postu. Objąłem synka.

- Zrobione - powiedziałem, jakbym odbył zwykłą przejażdżkę na osle. Frosch jeszcze nie wrócił z wypadu poza teren pałacu. Zastanawiałem się, czy widział lecący statek. Nie powinien się domyślić, że to my szybowaliśmy w przestworzach, należało więc jak najszybciej wracać do Wiednia.

- Nigdy nie wiadomo - stwierdziłem, popychając Simonisa i synka do najbliższego wyjścia z Neugebau. - Nie mamy żadnej pewności, czy Frosch nas nie obserwował. Już dwukrotnie narażałem tu życie: raz podczas spotkania z Mustafą, a teraz w czasie lotu żaglowcem. Nie chciałbym trafić do więzienia.

Szybko zebraliśmy narzędzia i ruszyliśmy w drogę powrotną do klasztoru Porta Coeli. Kiedy opuszczaliśmy Bezimienne Miejsce, byłem jeszcze oszołomiony tym, co się wydarzyło. Mimo że kręciło mi się w głowie, a synek zasypywał mnie pytaniami, do moich uszu dotarł ten sam dziwny dźwięk, który słyszałem w pałacowej loggii. Czuję się jednak zbyt zmęczony, żeby zastanawiać się, skąd pochodził.

*Godzina 17: koniec pracy. Zamykane są sklepy i kancelarie. Rzemieślnicy, sekretarze,*



*nauczyciele języków, księży, sprzedawcy, lokaje i woźnice zasiadają do kolacji (w Rzymie jest pora podwieczorku)*

Kiedy dotarliśmy do klasztoru, było już za późno, by Simonis mógł wziąć udział w uroczystej inauguracji zajęć na uniwersytecie.

- Trudno - powiedział Grek. - Wieczorem odbędzie się druga inauguracja, nieoficjalna, zorganizowana przez studentów. Tym razem postaram się zdążyć na czas.

- Czy mógłbym ci towarzyszyć? Chciałbym porozmawiać z Popu-lescu.

- Oczywiście, panie majstrze, jak pan sobie życzy.

Mimo nadmiaru wrażeń, jakie przyniósł ten dzień, pamiętałem o tym, że muszę ostrzec trzech towarzyszy Greka i zabronić im dalszych poszukiwań złotego jabłka. Poprzedniej nocy próbowałem porozmawiać z Dra-gomirem, ale Rumun był tak pijany, że nie rozumiał, co do niego mówię. Miałem nadzieję, że tym razem będzie trzeźwy oraz że uda mi się spotkać z Kolomanem Szupanem i Janem Janickim vel Opalińskim.

Podczas drogi powrotnej do klasztoru wolałem nie komentować przygody z latającym statkiem. Poprosiłem Simonisa, żeby zjadł kolację z moim synkiem, a sam, z żołądkiem ściśniętym jeszcze z nadmiaru emocji, pobiegłem do Cloridii.

Nie rozmawiałem z nią od poprzedniego wieczoru, kiedy w przyklasztornym kościele dowiedzieliśmy się o chorobie cesarza. Później pochłonęły mnie inne wydarzenia: kłótnia z Attem, wizyta u Simonisa, poszukiwania Populescu, spotkanie z Ugoniem, wieść o poprawie stanu zdrowia Józefa I, wreszcie absurdalny lot portugalskim żaglowcem. Cloridia udawała się wtedy do pracy. Pragnąłem zobaczyć się z nią jak najszybciej i o wszystkim opowiedzieć. Planowałem, że zaprowadzę Cloridię do Bezimiennego Miejsca, pokażę jej latający statek i zapytam, co o tym sądzi. Moja małżonka zawsze z całkowitym spokojem podchodziła do nadprzyrodzonych zjawisk. Z pewnością będzie potrafiła wyjaśnić i to.

Cieszyłem się na myśl, że za chwilę ją ujrzę. Tego ranka kończyła służbę w pałacu. Po audiencji u Eugeniusza turecki aga ze świtą przeniósł się do pałacyku wdowy Leixenring na Wyspie Leopolda. Sabaudczyk natomiast wyruszał nazajutrz na wojnę do Hagi w Holandii.

- Kochanie, jestem! - zawołałem, otwierając drzwi.

Cisza. Zajrzałem do sypialni. Nikogo tam nie było. Być może zatrzymano Cloridię w pałacu księcia, pomyślałem. Właśnie szedłem kruzgankiem, żeby zapytać dyżurną zakonnice, czy nie widziała Cloridii, kiedy usłyszałem:

- Od dawna nic mi nie dolegało, tylko nogi czasem odmawiają mi posłuszeństwa. Zdziwiłem się więc, gdy wczoraj dostałem kolki. Męczyła mnie kilka godzin. Ustąpiła, gdy napiłem się wody z dodatkiem soku z cytryny. To mój ulubiony medykament, stosuję go z

powodzeniem od trzydziestu lat. Nie ma nic gorszego niż ból nerek, spowodowany przesuwaniem się kamieni i zatrzymaniem moczu. Gdyby atak chwycił mnie w podróży, z pewnością skończyłbym marnie w jakimś zajeździe. Zwłaszcza że dostałem też rozwolnienia.

To był głos opata Melaniego. Opowiadał komuś o swoich dolegliwościach z poprzedniego wieczoru, kiedy wpadłem rozwścieczony do jego pokoju. Szedł w moim kierunku, odbywając zapewne spacer z bratankiem. Postanowiłem się ukryć. Nie chciałem, żeby znowu wciągał mnie w swoje machinacje. Schowałem się za kolumną.

- Przypuszczam - ciągnął Atto - że zaszkodziła mi czekolada, którą przysłała mi jakiś czas temu pani konstablowa z Madrytu. Napilem się jej dwa dni temu. Gdy pokazałem ją *Chormaisterin*, stwierdziła, że nie jest to czekolada dobrej jakości. Niestety, jestem ślepy, a w smaku nie była niedobra. Przysięgam, że do końca życia nie napiję się czekolady!

Oślupiałem ze zdumienia. A więc Atto nadal utrzymywał kontakt z konstablową Colonną! Dorze znałem to nazwisko. Była ciotką księcia Eugeniusza, siostrą jego matki, Olimpii Mancini. Miała na imię Maria. Przed jedenastu laty była współniczką Atta. Po wybuchu hiszpańskiej wojny sukcesyjnej oboje spiskowali na rzecz Francji.

Zauważyłem też, że w rozmowie z nieznaną osobą opat Melani przypisywał atak kolki nie wieści o chorobie cesarza, ale... filizance niedobrej czekolady! Nie było to dobre wytłumaczenie, nie powinien się bowiem wstydzić, że poczuł się źle po usłyszeniu tragicznej wiadomości, która wstrząsnęła całym Wiedniem. Upadł zatem ten argument na obronę opata. Oskarżenie o spiskowanie z Turkami w celu otrucia cesarza Józefa I nie wywołało w Melanim żadnej reakcji.

- Boli mnie jeszcze głowa, muszę więc dużo wypoczywać, zwłaszcza że nie doszedłem do siebie po podróży. Popełniłem błąd, wyruszając w podróż w marcu. W Wiedniu jest bardzo zimno, podczas gdy do innych cywilizowanych krajów dawno zawitała wiosna.

Osiemdziesięcioletni Atto narzekał na długą wiedeńską zimę.

- Cieszę się, moja droga, że przyjęła pani moją propozycję. Jestem ślepy, Domenico leży w łóżku z powodu silnego przeziębienia, więc w pani jedyna nadzieja.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność, panie opacie. Jeszcze raz dziękuję za hojną zapłatę.

Oślupiałem ze zdumienia po raz drugi. Rozpoznałem bowiem głos Cloridii.

Wszystko było jasne. Bratanek Atta rozchorował się, starzec pozostał więc bez opieki. Przebywał incognito na obcej, co gorsza - wrogiej ziemi. Do kogóż miał się zwrócić o pomoc jak nie do mojej małżonki? Szczęśliwym (dla niego) zbiegiem okoliczności Cloridia zakończyła właśnie służbę w pałacu księcia Eugeniusza i chętnie przyjęła propozycję opata,

który, jak właśnie usłyszałem, obiecał jej sowitą zapłatę.

Żegnajcie intymne chwile z żoną! Przeklęty Melani! Nie potrzebowaliśmy jego pieniędzy. Dobrze zarabiałem, stać mnie było na wysłanie pieniędzy córkom pozostającym w Rzymie. Pragnąłem żyć spokojnie z żoną, a stary opat zabierał mi ją. Nieprzyjemna niespodzianka tak mnie rozzłościła, że stałem się jeszcze bardziej podejrzliwy w stosunku do niego.

Udałem się na kolację do gospody, gdzie dołączyłem do Simonisa i mojego małego ucznia. Umówiłem się z Grekiem, że po zakończeniu próby do *Świętego Aleksego* wstąpię po niego i razem pójdziemy na uroczystość studencką.

Kiedy wracaliśmy do klasztoru, synkowi zachciało się siusiu. Nauczony doświadczeniem, nie kazałem mu czekać. Szybko skręciliśmy w małą ciemną przecznicę ulicy Porta Coeli. Podczas gdy synek załatwiał swoją potrzebę, usłyszałem:

- Jak poszło? - zapytał ktoś po włosku. Bez trudu rozpoznałem ten głos.

- Nie było to łatwe, *efendi* - odparł człowiek mówiący z obcym akcentem - ale udało się. Gdy zobaczyli pieniądze, od razu ustąpili.

- Ile im dałeś?

- Wszystko.

- Co takiego?!

- Sprzedali serce swojego pana. Taka rzecz nie ma ceny, *efendi* - powiedział człowiek w turbanie. Słowa te skierował do Atta Melaniego. Cloridii nie było. Wsparty na lasce, stał w bramie kamienicy w ciemnej uliczce. Ormianin wręczył mu małą szkatułkę. Opat otworzył ją, starannie pomacał wnętrze, po czym podał rozmówcy sakiewkę.

- Oto twoja zapłata. Żegnam cię - powiedział i oddalił się w stronę klasztoru.

- Niech pana Bóg błogosławi, *efendi* - odparł Ormianin, kłaniając się kilkakrotnie opatowi po uprzednim sprawdzeniu zawartości sakiewki.

Atto zmierzał powoli do klasztoru. Szedł wzdłuż muru, żeby się nie zgubić, badając drogę laską. Odważny ten opat Melani, pomyślałem. Zapуścił się w ślepy zaułek zupełnie sam, i to wieczorem! Sprawa, którą załatwiał z Ormianinem, musiała być bardzo ważna.

Serce pana: nie trzeba być geniuszem, żeby zrozumieć, co było przedmiotem tajnego handlu i o czyje serce chodziło! Wystarczyło połączyć pewne fakty i wszystko stawało się jasne. Atto Melani przybył do Wiednia w tym samym czasie co tureckie poselstwo, dokładnie wtedy, gdy zachorował cesarz. Teraz przyłapałem go na tajnym spotkaniu z Ormianinem, poddanym Wysokiej Porty! Człowiek ten z całą pewnością należał do świty agi, możliwe, że był siepaczem derwisza Cizebera, który domagał się głowy cesarza. Ormianin mówił o

sercu. Jakich pięknych metafor używają ludzie Wschodu, kiedy mówią o swoich zbrodniach! Po odjęciu poetyckich ozdobników ujawniała się cała prawda: chodziło o zamordowanie Jego Cesarskiej Wysokości.

Przez tego szaleńca Melaniego, pomyślałem wystraszony, obu nam grozi stryczek! I Ugoniowi. Musiałem jak najszybciej opowiedzieć Clo-ridii o tym, co widziałem i słyszałem. Powinna zrezygnować z pracy u opata.

Po kolacji wróciliśmy do domu. Moja małżonka już tam była.

- *Wohlan!* Nuże! - powiedział Ollendorf, gdy stanąłem w drzwiach. Tego wieczoru mieliśmy lekcję niemieckiego, Cloridia zaczęła bez nas. Bardzo ucieszyła się na nasz widok. Przeprosiła Ollendorfa i zaprowadziła mnie do drugiego pokoju.

- Mam dobre nowiny - szepnęła radośnie podniecona, gdy zostaliśmy sami.

Opowiedziała mi szczegółowo o swojej służbie u opata Melaniego.

- Czyż to nie wspaniałe? Będziemy spędzać więcej czasu razem - podsumowała.

Uśmiechnąłem się z przymusem. Biedna Cloridia! Za każdym razem, gdy w moim życiu pojawiał się opat Melani, zaniedbywałem ją, biorąc udział w intrygach i niebezpiecznych wyprawach. A teraz, kiedy to ona miała pracować u opata, musiałem powiedzieć, żeby trzymała się od niego z daleka. Poza tym na samą myśl, że żona będzie usługiwała staremu szpiegowi, dostawałem mdłości.

- Niestety, to niemożliwe - oznajmiłem, obejmując ją.

- Co jest niemożliwe? - spytała oschle.

Nie rozumiała powagi sytuacji. Zepsułem jej humor. Opowiedziałem Cloridii o swoich podejrzeniach co do choroby cesarza i osoby Melaniego, jak również o oskarżeniach, które wykrzyczałem opatowi poprzedniego wieczoru, i jego późniejszych dolegliwościach. Zakończyłem streszczeniem epizodu w zaułku.

- Z tych właśnie powodów, najdroższa, musisz dać sobie spokój z At-tem Melanim. Jutro powiesz mu, że nie będziesz dla niego pracować - oświadczyłem. - Szkoda, że przed rozmową z opatem nie zasięgnęłaś mojej rady. Wiedziałaś przecież, że jego nagły przyjazd do Wiednia wzbudził moje podejrzania.

- To wszystko? - zapytała zdumiona. - W świetle tego, co mi powiedziałeś, sądzę, że dobrze się stało, iż zgodziłam się pracować u opata. Dzięki temu będę go miała na oku i poznamy jego prawdziwe zamiary.

- Wciągnie nas w swoje intrygi... Poza tym - dodałem zniecierpliwiony - zawsze miałaś do mnie pretensje, że Melani naraża mnie na niebezpieczeństwo. A teraz sama się w to pakujesz.

- Zanim przenieśliśmy się do Wiednia, mówiłam ci, że opat na pewno coś szykuje, ale nie chciałeś mnie słuchać. Pod pewnym względem miałeś rację, bo teraz dobrze się nam powodzi. Za żadne skarby nie chciałabym wracać do Rzymu i klepać biedy. Co do machinacji opata, to niestety nie mamy wyjścia. Powinieneś się cieszyć, że cię zastąpię. Ty nigdy niczego nie dostrzegasz i zawsze wpadasz w jego sidła. Zaufaj mi!

Cloridia miała rację. Nie pozostawało mi nic innego, jak zdać się na przezorność małżonki. Musiałem przyznać, że nie brakowało jej odwagi.

- Słyszysz, jak dobrze sobie radzi nasz synek? - powiedziała, przystawiwszy ucho do ściany.

Mały uczeń starannie wymawiał słowa:

- *Nach dem ich defî Morgens aufgestanden bin, so legę ich mich an, campele, und wasche mich, und thue mich Gott dem Herm befehlen, und nach dem ich mein codziennej gebet verrichtet habe...* Kiedy rano wstaję, ubieram się, czeszę, myję i polecam Panu Bogu, a po odmówieniu codziennej modlitwy...

Cloridia ucałowała mnie. W jej objęciach poczułem, że opuszcza mnie nerwowe napięcie. Uspokoilem się i otworzyłem przed nią swoje serce, opowiadając o ostatnich wydarzeniach, zwłaszcza o locie na pokładzie latającego statku i złotym jabłku, które tajemniczy sternik miał przywieźć z Portugalii do Wiednia i zatknąć na wierzchołku iglicy katedry Świętego Szczepana.

Cloridia, usłyszawszy o nadprzyrodzonym, trudnym do wyjaśnienia zjawisku, zareagowała, jak zwykle w takich sytuacjach, w sposób naturalny i praktyczny:

- Czy nie myślałeś o tym, żeby wykorzystać latający statek?

- Do czego?

- Na przykład do szpiegowania Turków. Dzisiaj wynieśli się z pałacu księcia Eugeniusza i zamieszkali w domu wdowy Leixenring na Wyspie Leopolda. Można by rzucić okiem na to, co robią.

- Nie jestem marynarzem, nie potrafię kierować statkiem, a tym bardziej latającym żaglowcem - zaprotestowałem, choć propozycja Cloridii wydała mi się nęcąca. - A propos, zdaje się, że dzisiaj odbyła się pożegnalna audiencja agi?

- Zgadza się. Książę Eugeniusz wyrusza jutro do Hagi - przyznała małżonka.

- Czy aga powiedział coś dziwnego?

- Nie, a w jego zachowaniu nie zauważyłam nic podejrzanego. Natomiast derwisz gdzieś zniknął.

Miałem jeszcze trochę czasu do spotkania z Simonisem, który obiecał zaprowadzić

mnie na uroczystość studencką, gdzie chciałem zobaczyć się z jego przyjaciółmi. Zabrałem się więc do porządkowania papierów. Natrafiłem na dwa traktaty Luigiego Ferdinanda Marsilego. Włoski hrabia słyszał z tego, że sprowadził do Europy przepis na przyrządzanie kawy, a podczas pierwszego oblężenia twierdzy Landau na polecenie Józefa I zastąpił nieudolnego margrabiego badeńskiego, przyczyniając się do zdobycia cytadeli w cztery zaledwie dni. Zapomniałem już, gdzie kupiłem traktaty. Po wysłuchaniu przejmującej opowieści opata Melanie-go o twierdzy Landau postanowiłem przyjrzeć się dokładniej pismom walecznego rodaka, poprzedzonych obszerną biografią autora.

Z dumą odkryłem, że hrabia Marsili był człowiekiem subtelnym i wykształconym, gotowym sprostać najtrudniejszym wyzwaniom. Za młodu pilnie studiował matematykę, filozofię i nauki przyrodnicze. Był uczniem najwybitniejszych umysłów swojej epoki, między innymi Marcella Mal-pighiego. Wzbogacił umysł i zmysł estetyczny, odbywając podróże do Wenecji, Padwy, Florencji, Rzymu i Neapolu, na które mogli sobie pozwolić jedynie potomkowie najznakomitszych rodów. U boku ambasadora Najjaśniejszej Republiki Weneckiej zwiedził odległy słynny Konstantynopol, gdzie miał okazję przyjrzeć się armii tureckiej, a nieco później napisał o niej traktat. Podczas podróży na Wschód uważnie studiował wybrzeża przemierzanych ziem, jak również podwodną faunę i florę, co wkrótce zaowocowało kolejnymi wybitnymi publikacjami. Śmiałość hrabiego drogo go kosztowała, zachorował bowiem na dżumę i musiał wrócić do Wenecji na leczenie. Marsili senior zaraził się tą chorobą od syna i zmarł. W 1682 roku, w wieku dwudziestu czterech lat, hrabia był człowiekiem w pełni ukształtowanym. Postanowił rozpocząć karierę wojskową w służbie cesarstwa i przebyć wszystkie kolejne stopnie: od szeregowca i kaprała do sierżanta i kapitana.

Gdy w roku 1683 Turcy stanęli u bram Wiednia, Marsili był jednym z obrońców miasta. Zraniony i schwytyany przez Osmanów, uniknął stryczka, gdyż pozbył się munduru oraz dokumentów i podał za kupca weneckiego. Dzięki podróżom na Wschód znał trochę turecki, więc udało mu się wywieść w pole strażników więziennych. Rany wyleczono mu krowim łajnem i solą. Marsili trafił do niewoli w obozie tureckim pod Wiedniem, gdzie nie szczędzono mu tortur. Po pewnym czasie przydzielono go do sklepu z kawą, gdzie miał mieć i sprzedawać ziarna (w obozie tureckim znajdowały się różnego rodzaju dziwactwa, nawet sztuczne fontanny, które miały przydawać przepychu i luksusu). Jako jeniec został sprzedany dwóm bośniackim podróżnym. Zamierzali oni odsprzedać hrabiego za grube pieniądze włoskiemu kupcowi. Rozpoczęły się pertraktacje, w końcu krewni i bolońscy przyjaciele Marsilego zapłacili dwieście guldenów, uwalniając hrabiego.

Luigi Ferdinando pieszo wrócił do Bolonii. Dotarł do miasta o drugiej w nocy. Lewą część ciała miał sparaliżowaną, spuchnięte nogi, prawe ramię poranione, jedno oko podbite i łzawiące, skórę spaloną słońcem. Ponieważ wypadły mu włosy, ukrywał łysinę pod peruką. Ledwo odzyskał siły, udał się do Wiednia, do cesarza Leopolda, by zdać mu sprawę z tego, czego dowiedział się o armii tureckiej. Przydzielono go do kierowania cesarską odlewnią armat. Marsili oddał się studiowaniu inżynierii wojskowej. Wykonał mistrzowskie projekty fortyfikacji w Esztergom i Wyszehradzie. Następnie powrócił na pole walki. Wziął udział w oblężeniu Budy, gdzie dał dowód wybitnych uzdolnień wojskowych. Sporządził mapę miasta, zaplanował przebieg oblężenia, dokonał podziału materiałów budowlanych, osobiście wybrał oprzyrządowanie dla saperów. Po zdobyciu Budy żołnierze Marsilego splądrowali miasto, on natomiast, mimo że zraniony w ramię, krążył wśród dymiących gruzów w poszukiwaniu słynnej biblioteki króla Węgier, którą od dawna pragnął zobaczyć (niestety, znalazł zaledwie kilka ksiąg).

Marsili nie był zwykłym wojskowym. Według niego sztuka wojenna była wiedzą, sposobem myślenia. Wojnę uważał nie za przejaw przemocy, lecz okazję do obserwacji i zrozumienia mechanizmów nią rządzących. Hrabia przyglądał się biegowi Dunaju, odkrywając jego najdrobniejsze szczegóły, które posłużyły mu później do napisania traktatu. Odnalazł jeden z najstarszych mostów, wzniesiony z rozkazu cesarza Trajana, jak również wiele innych pozostałości z epoki rzymskiej. W chwilach wolnych od zajęć wojskowych zajmował się badaniem ruchu fal, dna morza, wiatrów. Obserwował i wykonywał dokładne rysunki różnych gatunków ryb, morskich ptaków, minerałów, sporządzał notatki, ilustrowane tablice i mapy. Zdawał sobie sprawę z tego, że sztuka wojenna stale się rozwija i że chcąc być na bieżąco, należy stale poszerzać wiedzę z dziedziny geografii, medycyny, inżynierii, polityki, dyplomacji, a nawet ekonomii. „Ciemni ludzie twierdzą - pisał - że żołnierze są niszczycielami sztuk pięknych i literatury, ludźmi, którzy uprawiają barbarzyńskie rzemiosło polegające wyłącznie na paleniu, plądrowaniu, zabijaniu, nie zastanawiając się nad tym, że sztuka i studia mogą przynieść pożytek, z którego czerpać będzie cała ludzkość. Wiele osób, mających syna lub brata zaniedbującego naukę, mówi: pošlemy go na wojnę. To błąd, na szkodę szlachetności wojny”.

W 1699 roku armia cesarska szykowała się do podpisania pokoju w Karłowicach. W rokowaniach uczestniczył hrabia Marsili. Jako jedyny potrafił wyznaczyć nowe granice, ujęte następnie w traktacie pokojowym. W czasie przerw w obradach przemierzał obszary Chorwacji i Węgier, przeznaczone do podziału z Turkami. Jednocześnie prowadził badania naukowe. Wydał swoim żołnierzom polecenie, by zbierali lokalne gatunki grzybów wraz z

grzybniami, i napisał później na ten temat kolejny traktat.

Po powrocie do Wiednia w dowód uznania otrzymał stopień generała. W tym samym czasie zmarł bezpotomnie Karol II i wybuchła wojna o sukcesję w Hiszpanii. Włoski hrabia został przydzielony do oblężenia twierdzy Landau, zakończonego zwycięstwem wojsk cesarskich.

- Dowiedziono, że student jest istotą szlachetną. Jednak im większa jest jego szlachetność, tym bardziej wystawia się go na trudności i niebezpieczeństwa.

Właśnie dotarliśmy na uroczystość wznowienia zajęć uniwersyteckich po przerwie wielkanocnej.

Jan Janicki Opaliński stał na prowizorycznym stole w pomieszczeniu przypominającym wilgotną piwnicę.

- Za młodu studenci muszą znosić poniżenie i silne ciosy zadawane przez tępych nauczycieli, którzy znęcają się nad tymi delikatnymi roślinkami, zamiast odnosić się do nich ze zrozumieniem i troskliwością. Tym samym uniemożliwiają im pełny rozkwit. Jak mawiał Horacy, jak również erudyta Dornavius Anitympanistas, traktują studentów jak oprawcy, przecząc wszelkim regułom dobrego nauczania.

Słowa te przyjęto gromkimi brawami.

- Zwykło się mówić, i słyszeliśmy to także z ust naszego rektora podczas wcześniejszej uroczystości, że studentowi zagraża pięć śmiertelnych niebezpieczeństw: pijaństwo, złość, lenistwo, seksualne podniecenie i chodzenie na dziwki, wskutek czego może nastąpić śmierć duszy, osłabienie koncentracji i pamięci, utrata wzroku, drżenie członków. Ostatnim z niebezpieczeństw jest popołudniowy sen, który ponoć zabija dobry humor. To wszystko kłamstwa! Fałsz! Ci, którzy tak twierdzą, nie kochają nas i nie potrafią pojąć naszej wrażliwej natury.

Znajdowaliśmy się w suterenie, wypełnionej po brzegi żakami. Byli to *Bettelstudenten*, ubodzy studenci. Kulawy stolik w rogu pomieszczenia, na którym leżały kromki czarnego chleba i stało kilka kieliszków, stanowił wyraźny dowód trudności finansowych, z jakimi musieli borykać się uczestnicy spotkania. Jediną rzeczą w nadmiarze była żakowska wesołość.

- Opaliński stoi na podium i przemawia, ale jak znajdziemy pozostałych? Straszny tu tłok! - powiedziałem do Simonisa.

- Musimy sobie jakoś poradzić. Podobnie jak świętej pamięci Christo, Jan Janicki Opaliński jest jednym z najlepszych studentów. Jest Polakiem, a Polska przedmurzem chrześcijaństwa, graniczącym z Pół-Azją. Jan jest najwspanialszym mówcą w całej Alma



Mater Rudolphina. Kiedy przemawia, wszyscy tłoczą się, by go posłuchać - wyjaśnił mój pomocnik. - Jak tylko skończy, porozmawiamy z nim. Zapytamy go również o dwóch pozostałych. Na pewno wie, gdzie jest Koloman, bo są dobrymi przyjaciółmi.

- Podstępne i zabójcze dla studentów - ciągnął polski student, kiedy przeciskaliśmy się przez tłum żaków - są zupełnie inne czynniki, niesłusznie uważane za cnoty. Przede wszystkim wielogodzinna nauka i medytacja wyniszczają ciało, wysuszają członki i organy, zdaniem Hipokratesa utrudniają trawienie. Ciało ulega wychudzeniu, zwanemu *marasmus*, oddech staje się krótszy, wdaje się gruźlica. Nadmierne myślenie szkodzi zdrowiu, zwłaszcza nocą, kiedy w pomieszczeniu unosi się gęsty dym z lampy oliwnej. Aby być dobrym studentem, nie trzeba dużo czytać, należy czytać lektury przydatne, nie bez przerwy, ale metodycznie, w sposób uporządkowany. W przeciwnym razie student blednie, swędzi go skóra, szczypią oczy, wzrok staje się otepiały, nieobecny.

- Spójrz tam! To Populescu! - zawołałem, dostrzegłszy Rumuna.

- Gdzie? - zapytał Simonis, stając przede mną, żeby lepiej widzieć. Kiedy się odsunął, Populescu już nie było.

- Do licha! Straciliśmy go z oczu! - burknąłem niezadowolony.

- Pójdę go poszukać, panie majstrze. Obejdę salę i wrócę.

Miał rację. Przy swoim wzroście niewiele widziałem, wysoki Grek mógł zobaczyć znacznie więcej. Usiadłem na schodach i czekałem na jego powrót.

- Fatalną rzeczą - ciągnął Opaliński - jest ciągle siedzenie, skutkiem czego blokują się żyły i arterie, ucisk jelit powoduje nadmierne wydzielanie żółci. W organizmie pojawia się nadmiar kwasów, w nerkach powstają kamienie, twarz staje się żółtoszara.

Zdaniem Opalińskiego brak jedzenia w czasie nauki również jest zabójczy dla delikatnego studenta. Żołądek staje się wówczas bardzo zachłanny i zjada sam siebie. Ciało ulega wyniszczeniu, pojawiają się zawroty głowy, omdlenia, osłabienie serca. Osoby obdarzone gorącym temperamentem, u których krew i żółć zbyt szybko się rozgrzewa, nie powinny pościć. Szczera rozmowa jest wręcz niezbędna. Jeśli bowiem student długo pozostaje sam, cierpi. Filantropia i miłość do ludzi to piękna cnota, ceniona przez wszystkich. Rozmowa pobudza wyobraźnię, przynosi ulgę, wzbogaca wewnętrznie, krótko mówiąc, odświeża. Samotność przeciwnie - przygnębia, wywołuje smutek i melancholię. Umysł i dusza męczą się, gdy zajęcia są monotonne.

Nadmiar ćwiczeń i zadań domowych powoduje poważne choroby i stanowi wstrząs dla całego organizmu.

- Zbyt gorliwe przykładanie się do nauki, panowie studenci, może was doprowadzić

do grobu. Degradacja zaczyna się od mózgu - pamięć staje się słaba i krótka. Ten pałac bogini mądrości nie jest przecież z kamienia, marmuru czy mocnego drewna jak egipskie świątynie, lecz delikatnym organem, siedzibą Minerwy, świętym mieszkaniem duszy. Tak delikatna materia łatwo ulega uszkodzeniu. Nie wolno zatem przesadzać z przyswajaniem wiedzy, zwłaszcza nocą, w samotności, w pozycji siedzącej. Umysł wyczerpuje się, myśli się mącą, tracą pierwotny porządek, a kiedy nadchodzi starość, człowiek ślepie i dziecinnieje. Student przemęczony nauką cierpi na zawroty głowy i bezsenność. Staje się blady, gorzej słyszy i widzi. Krótki oddech, kaszel, bóle w klatce piersiowej przeradzają się w gruźlicę płuc. Do tego dołączają kłopoty z trawieniem, *malum hypocondricum*, z oddawaniem moczu. Chroniczne zmęczenie prowadzi do innych przykrych dolegliwości, takich jak świąd skóry, gorączka.

Jak zapobiec przedwczesnej śmierci? - zastanawiał się Janicki. Jego zdaniem istniało kilka niezawodnych sposobów na uratowanie życia studenta. Nade wszystko taniec, dzięki któremu można było udowodnić nie tylko erudycję, ale także sprawność fizyczną. Nie należy jednak tańczyć zaraz po obfitym jedzeniu, gdyż można się nabawić niestrawności. Najlepszy sport dla studenta to szermierka i jazda konna, pod warunkiem że wierzchowiec jest czystej krwi arabskiej. Jazda saniami też jest dobra, jeśli odbywa się w objęciach młodej dziewczyny o gorącym temperamentem...

Wiwat życie studenta! - pomyślałem.

- Nader korzystne działanie mają też kąpiele rzeczne i skoki do wody - zakończył Jan - jak również palenie tytoniu, picie wina lub piwa. Stosowane z umiarem, nie szkodzą zdrowiu. Toasty wznosi się z trzech powodów - za zdrowie, za przyjaźń i za dobry sen.

Ostatnie słowa Opalińskiego nagrodzono brawami głośniejszymi niż poprzednio, okrzykami uznania, gwizdami, jak również beknięciami.

Jan Janicki vel Opaliński zeskoczył ze stołu, który pełnił funkcję mównicy, i podszedł do nas.

- Przyszlście sprawdzić, czy wasz kumpel Jan rozpracowuje sprawę złotego jabłka? - zapytał. - Bez obawy, nie zapomniałem, co więcej, zdobyłem ciekawe informacje.

- To znaczy?

- Dowiedziałem się, kim byli męczennicy Kasima, o których mówił nieszczęsny Daniło, zanim oddał duszę Bogu.

Kiedy sułtan Sulejman przypuścił atak na Wiedeń i został pokonany - opowiadał Janicki - dwie godziny później poniósł porażkę także szlachcic Kasim Beg. Pochodził z prowincji Wojwodina, przy granicy z Węgrami. Podobnie jak wielu innych buntowników

uznał, że najlepszym sposobem wyrażenia nienawiści do cesarstwa będzie nawrócenie się na religię Allaha. Zadaniem Kasima było odwrócenie uwagi armii chrześcijańskiej ścigającej sułtana. Sulejman wydał rozkaz, by zniszczyć ziemie po drugiej stronie Dunaju: wymordować całą ludność i spalić wszystkie wioski. Fortel powiódł się. Ratując życie kobiet i dzieci, które żołnierze Kasima w bestialski sposób zabijali, oddziały chrześcijan straciły z oczu Sulejmana. Sułtan wraz z resztą wojska zdołał uciec. Kasim natomiast drogo zapłacił za wypełnienie rozkazu. Chrześcijanie, rozwścieczeni barbarzyństwem niewiernych, wycięli w pień czterdzieści tysięcy jego żołnierzy, później uznanych za męczenników wiary.

- Ponoć w każdy piątek w nocy na miejscu rzezi daje się słyszeć bitewne zawołanie: „Biada wam! Allah! Allah!” - zakończył Opaliński. -

Zachowały się też ruiny pomników, upamiętniające młodych żołnierzy męczenników.

- Zatem ostatnie słowa Daniła Daniłowicza odnosiły się do tej historii - powiedziałem rozczarowany.

- Tak - przyznał Opaliński. - Sądzę, że nasz nieszczęsny przyjaciel powtórzył w agonii to, czego się właśnie dowiedział: Kasim, Eyyub i tak dalej. Nie ma w tym żadnej tajemnicy, przynajmniej z pozoru. Nie zakończyłem jednak poszukiwań, przeciwnie...

- Nie, Janie, dziękuję ci - przerwałem mu. - Daj spokój! Cała ta historia ze złotym jabłkiem staje się coraz bardziej niebezpieczna.

- Niebezpieczna? - powtórzył z powątpiewaniem. Opowiedziałem Janickiemu o dziwnym zachowaniu derwisza, ale moje słowa nie wydawały się robić na nim wrażenia.

- Oto zapłata za twoje usługi - oświadczyłem, wręczając mu sakiewkę. - Chciałbym jak najszybciej ostrzec twoich kolegów - dodałem. - Gdzie ich znajdę?

- Koloman dziś wieczorem pracuje jako kelner, ale nie wiem, w którym lokalu - odparł Opaliński, z zadowoleniem ważąc sakiewkę na dłoni. - Dragomir wyszedł jakiś czas temu i też nie wiem dokąd.

- A pismak?

- Nie widziałem go.

Odnaleziony Populescu powiedział, że wybiera się na randkę ze swoją brunetką na Kalvarienberg. Poszukiwania Kolomana Szupana odłożyliśmy na później.

Pożegnałem się z Simonisem. Umówiliśmy się na dziewiątą. Do tego czasu Grek miał się skontaktować z Penińkiem i poprosić go, by zawiózł nas kolasą we wskazane miejsce.

Mimo zamieszania ostatnich godzin nie przestałem myśleć o wcześniejszych wydarzeniach. Bezustannie wracałem myślą do lotu nad Wiedniem na pokładzie żaglowca. Nie dawał mi też spokoju pomysł Cloridii. Gdybym nauczył się sterować statkiem, mógłbym

go wykorzystać do obserwowania Turków w pałacyku na Wyspie Leopolda, jak sugerowała moja wojownicza małżonka. Moglibyśmy wznieść się z Simonisem nad Hofburgiem, gdzie leżał chory cesarz, ofiara ciemnych machinacji, i zajrzeć przez okno do jego pokoju... Nie, nie, pomyślałem, ponosi mnie wyobraźnia.

Nie zaszkodziłoby jednak dowiedzieć czegoś więcej o lataniu. Postanowiłem wykorzystać władzę Simonisa nad pismakiem. Niech zleci mu zebranie informacji na temat prób latania podejmowanych przez człowieka.

Nie zdradzilibyśmy Czechowi, do czego miały służyć nam te wiadomości, bo gdybyśmy powiedzieli mu, co nam się przytrafiło w Bezmien-nym Miejscu, z pewnością uznalby nas za szalonych.

- Dobrze, panie majstrze - zgodził się Simonis. - Nic mu nie powiem. Zlecę mu tylko, żeby jutro rano dostarczył nam wyniki poszukiwań na ten temat.

Rozstaliśmy się. Musiałem zająć się teraz czymś innym.

*Godzina 20: zamykane są gospody i piwiarnie*

Sklepienie cesarskiej kaplicy wypełniły dźwięki trąbek i bębnow. Basowy głos śpiewał melodyjne wersy:

*Sonori concenti  
Quell 'aurę animate.  
Spiegare, narrate  
Le gioie del cor.  
Wdzięczne dźwięki.  
Aurę tę ożywcie.  
Opowiedzcie, opiszcie  
Radość serca.*

Camilla de' Rossi dyrygowała orkiestrą ze skupieniem i powagą. Podczas kolejnej próby *Świętego Aleksego* siedziałem na swoim miejscu, rozmyślając o wydarzeniach ostatnich godzin: nocnej wyprawie śladami Populescu, przejmującej opowieści Simonisa o śmierci cesarza Maksymiliana, niezwyklej podróży latającym statkiem...

Nie miałem czasu na dłuższe medytacje, bo oto zbliżał się opat Melani, prowadzony pod rękę przez Cloridię.

Zgromiłem małżonkę spojrzeniem. Clordia wzniosła wzrok ku niebu, jakby chciała powiedzieć: „Nic nie mogłam poradzić”.

Odkąd Clordia opiekowała się opatem, stał się gderliwy i kapryśny jak dziecko. Zamiast pozostać w klasztorze Porta Coeli w towarzystwie chorego jeszcze Domenica,

zażądał, by przyprowadziła go na próbę oratorium. Domyśliłem się jednak, że prawdziwym powodem tego żądania była chęć rozmowy ze mną. Starzec, jak zwykle, zamierzał zapewne wymyślić jakąś historyjkę, aby odeprzeć zarzuty, które w przystępie gniewu wysunąłem pod jego adresem poprzedniego wieczoru. Dobrze znałem tę metodę. Przed laty zawsze tak postępował. Za każdym razem udawało mu się oczyścić od moich zarzutów, mimo że były słuszne. Wodził mnie za nos. Ciekawe, jak by zareagował, gdybym mu powiedział, że podsłuchałem jego rozmowę z Ormianinem? I że spotkałem Ugonia? Jakie kłamstwa wymyśliłby na swoje usprawiedliwienie?

Przebiegły opat przypominał syrenę, a ja Odyseusza. Tym razem jednak nie będę go słuchać. Tylko w ten sposób uniknę jego kłamstw i nie pozwolę się oszukać.

- Pan opat także jest muzykiem - oznajmiła Cloridia, jakby usprawiedliwiając przybycie Atta Melaniego. Miała na myśli jego dawną śpiewaczą karierę.

Melani, który mimo ślepoty nie stracił orientacji, zręcznie ominął Clo-ridię i usiadł obok mnie.

- Ostatnio bardzo dokuczały mi hemoroidy - wyszeptał z cierpiętniczą miną. - Przyzwyczałem się już, ale kiedy się załatwiam, czuję silny ból i krwawię. To bardzo osłabia.

Domagał się mojego współczucia. Udałem, że nie słyszę.

- Bardzo cierpiałem - ciągnął. - Od pięciu miesięcy nie miałem podobnych dolegliwości. Zrobiłem sobie okład z liści Junony, które złagodziły ból i, dzięki Bogu, doprowadziły do pęknięcia żyłaków. Do zatamowania krwawienia użyłem proszku z pięciornika.

Bas śpiewał przy akompaniamencie instrumentów dętych i perkusyjnych:

*Con gare innocenti Di voci erudite...*

*Pośród niewinnych zawodów Uczonych głosów...*

- Panie Atto, przeszkadza pan w próbie! - szepnąłem zniecierpliwiony.

- Niestety już mi się skończył - ciągnął Melani jak gdyby nigdy nic. -

Francuzi nazywają go srebrnikiem. Myślisz, że mógłbym go tu zdobyć? Pilnie go potrzebuję, Niestety. Gdy zaczynam się wypróżniać, hemoroidy wychodzą na wierzch, dwa lub trzy naraz, jak wiśnie, no, wiesz.

*...Cantate, ridete Le glorie d'Amor*

*...Śpiewajcie radośnie O blaskach miłości*

Kontrast pomiędzy anatomicznymi wywodami Melaniego a słodką muzyką Camilli de' Rossi był nie do zniesienia. Na szczęście nastąpiła przerwa w próbie. Skorzystałem z tego i wstałem z ławki. Atto także się podniósł, lecz powiedziałem oschle, żeby pozostał na

miejscu, a Cloridii rzuciłem porozumiewawcze spojrzenie.

Ledwo oddaliłem się od ławki, na której siedział Melani, natknąłem się na Gaetana Orsiniego. Na mój widok śpiewak rzucił wesoło:

- Jak się masz, drogi przyjacielu? Jak rodzina? Cieszę się, że cię widzę.

- Moje uszanowanie - odparłem z szacunkiem.

- Mój znajomy ma jakieś problemy z przewodem kominowym. Czy mogę cię prosić, żebyś zajrzał do niego w najbliższych dniach?

- Uczynię to z przyjemnością, jestem do pańskiej dyspozycji. Być może poprzednio kominiarz źle wykonał swoją pracę.

- To bardzo prawdopodobne. O ile wiem, za każdym razem gdy przychodził, był w sztok pijany. Pewnie niewiele pamięta, cha, cha, cha! - śmiał się Orsini.

Podał mi adres domu przy Hafhersteig, czyli ulicy Kotlarzy. Obiecałem, że udam się tam możliwie jak najszybciej.

- Dołóż wszelkich starań! - poprosił Orsini. - Mój przyjaciel pracował u świętej pamięci kardynała Collonitza, bohatera z czasów oblężenia Wiednia.

- Bohatera?

- Tak. W 1683 roku, podczas decydującej bitwy z Turkami, Collonitz zbierał pieniądze na żywność dla ludności i żołąd dla żołnierzy. Nie wiem, jak tego dokonał. Poza tym leczył dusze i ratował sieroty. W 1686 roku, w uznaniu za zasługi, otrzymał godność kardynała. Zmarł cztery lata temu.

W 1686 papieżem był Innocenty XI, czyli Benedetto Odescalchi, o którym wiele słyszałem. Mój świętej pamięci teść pracował dla rodu Odescalchich. Teraz sobie przypomniałem: nazwisko Collonitz słyszałem od teścia. Był jednym z zaufanych ludzi cesarza Leopolda.

- Proszę pozdrowić mojego przyjaciela. Nazywa się Anton de' Rossi. Cóż za zbieg okoliczności! - pomyślałem.

Orsini oddalił się, a do mnie podeszła Cloridia, prowadząc pod rękę opata Melaniego.

- Nie chciał siedzieć na ławce - szepnęła, wznosząc oczy ku niebu. Przekląłem w myśli opata i moją małżonkę.

- Panie Atto, dobrze, że pan przyszedł. Przedstawię panu Gaetana Orsiniego, sopran śpiewający rolę Aleksego. Proszę za mną - powiedziałem.

Liczyłem na to, że porozmawia sobie z Orsinim, który podobnie jak on był kastratem, i w ten sposób pozbędę się go. W przeciwnym razie będę go miał na karku przez cały wieczór.

- Ależ nie! Na miłość boską! - zaprotestował opat.

- Spokojnie! Przedstawię pana jako Milaniego, intendenta poczty cesarskiej - powiedziałem uspokajająco. - *Chormasterin* z pewnością pana nie wyda. Poza tym Orsini nie jest zbyt bystry...

~ Widzę, że przez trzydzieści lat niczego cię nie nauczyłem! Jak to możliwe, że nadal dajesz się zwieść pozorom? - syknął zniecierpliwiony Atto. - Zamiast mnie podejrzewać - rzucił oschle - powinieneś przyjrzeć się osobom z twojego otoczenia.

Camilla z pewnością dotrzyma tajemnicy, wyjaśnił Atto, ale czyż przed laty nie mówił mi, że muzycy często bywają szpiegami? Czyż w zapisie nutowym nie przekazywali zaszyfrowanych wiadomości? W tym środowisku nazwisko Melaniego, jednego z najsłynniejszych kastratów Europy, było dobrze znane. Przedstawienie go jako Milaniego nie uchroniłoby go zapewne przed podejrzeniami ze strony osób, dla których kłamstwo jest chlebem powszednim.

Czyż nie opowiadał mi niegdyś o gitarzyście Francescu Corbetcie, który jeździł z koncertami po całej Europie i jako tajny kurier przewoził wiadomości z Paryża do Londynu i z powrotem? Przed laty natknęliśmy się na zaszyfrowane partytury jezuita Athanasiusa Kirchera, który zapisywał na pięciolinii tajemnice państwowe najwyższej wagi. Sposób szyfrowania wiadomości za pomocą zapisu muzycznego przedstawił Giovan Battista Della Porta w traktacie *Defurtivis litterarum notis*.

Melani miał rację, mówił mi wówczas o tym. Opowiadał mi o muzykach specjalizujących się w szyfrowaniu informacji, między innymi o Johnie Dowlandzie, lutniście królowej Anglii Elżbiety, który ukrywał wiadomości w rękopisach swoich utworów. Podobnie czynił młody kastrat Atto Melani, podróżujący po całej Europie.

Do Camilli de' Rossi podchodziłem z sympatią i ufnością. Być może powinienem spojrzeć na nią inaczej, każdy bowiem muzyk w jej orkiestrze mógł być szpiegiem.

- Po co więc przyszedł pan na próbę? - zapytałem z wyrzutem. Rozejrzałem się dyskretnie, czy ktoś nie podsłuchuje naszej rozmowy.

- Jeśli zachowam milczenie, nic się nie stanie. Co się tyczy reszty, to z pewnością wiesz, o co chodzi. Musimy poważnie porozmawiać. Po tym, co się wydarzyło tamtego wieczoru, kiedy rzuciłeś mi w twarz te straszliwe oskarżenia, musimy sobie wszystko wyjaśnić. O ile mi na to pozwolisz.

- Teraz nie mam czasu - odparłem stanowczym tonem. Spojrzałem na Cloridię. W jej twarzy nie dostrzegłem ani uznania, ani nagany. Wzięła opata Melaniego pod ramię i oddaliła się. Podeszedłem do Camilli. Wyglądała na zmęczoną.

- Dobry wieczór, drogi przyjacielu - powiedziała uprzejmie. Po krótkiej rozmowie na błahe tematy zapytałem:

- Przed chwilą ktoś opowiadał mi o niejakim Antonie de' Rossim, który pracował u kardynała Collonitza. Czy nie jest on przypadkiem krewnym pani zmarłego męża?

- Moje nazwisko jest jednym z najpopularniejszych we Włoszech. Rossich jest pełno - odparła Camilla z łagodnym uśmiechem i klasnęła w ręce na znak, że przerwa dobiegła końca.

Miała rację, pomyślałem, wracając na swoje miejsce. Rossich jest na pęczki. Mimo wszystko zbieg okoliczności wydawał się dziwny.

Po próbie pożegnałem się z Cloridią. Otrzymałem bilecik od Simonisa, w którym wyznaczył mi spotkanie w kawiarni Pod Niebieską Butelką. Wyjaśniłem żonie, że wybieramy się na Kalvarienberg na poszukiwanie Populescu.

- Tego Rumuna, który chwalił się, że był w tureckich haremach? - zapytała, przypominawszy sobie, że ucieła przechwałki Dragomira, nazywając go eunuchem.

- Tak. Chciałem ci jeszcze powiedzieć...

- Idziesz do Niebieskiej Butelki, chłopcze? Bardzo dobrze. To dwa kroki stąd. Zaprowadzi mnie tam pani? Gorąca kawa dobrze mi zrobi.

Słowa te powiedział opat Melani. Wstał z ławki i stanął tuż za mną.

Nie miałem siły protestować. Zauważyłem, że kiedy mu na czymś zależało, ślepotą nie stanowiła żadnej przeszkody.

Clordia poprosiła *Chormaisterin*, by odprowadziła naszego synka do domu. Ruszyliśmy do kawiarni.

Po drodze wyjaśniłem Cloridii, że obawiam się o życie przyjaciół Simonisa i dlatego chcę, żeby zaprzestali poszukiwań złotego jabłka.

- Zatem wierzysz w to - wtrącił Atto z uśmiechem, kiedy wchodziliśmy do lokalu - że te słowiańskie lekkoduchy są w niebezpieczeństwie z powodu idiotycznych tureckich legend?

Simonis siedział przy stoliku i czekał na Penicka. Zdziwił się, gdy zobaczył, że mam towarzystwo. Wy tłumaczyłem mu, że opat tylko napije się kawy i wróci z Clordia do klasztoru. Atto nie zaprzeczył.

- Na Kalvarienbergu będzie też Koloman Szupan - powiadomił mnie Grek. - Spotkałem go, gdy wracał z pracy. Powiedziałem mu więc, że chce pan z nim porozmawiać i wręczyć mu zapłatę. Zapewniał, że przyjdzie.

Przed kilkoma dniami byłem w tej kawiarni z opatem Melanim i Do-menikiem. Wtedy było tu pusto. Teraz lokal był pełen ludzi. Przy stolikach siedzieli kawalerowie zajęci



rozmową i arystokraci w podeszłym wieku, z książką w ręku. Kelnerzy krążyli między salą a kuchnią, nakrywali do stołu i sprząтали po wyjściu klientów.

- Szczęściarz z pana, też chciałbym być silny i młody - powiedział Atto, siadając obok Simonisa. - Z moim zdrowiem bywa różnie, w zależności od pory roku.

- Przykro mi. Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się pan lepiej - odparł Simonis.

- Na starość - dodał Atto - dokuczają mi hemoroidy. Ostatniej nocy myślałem, że się wykrwawię na śmierć.

Biedny Simonis, pomyślałem, tym razem padło na niego, będzie musiał wysłuchać narzekań Atta. Miałem nadzieję, że wkrótce zjawi się Pe-niłek.

- Kilka lat temu - ciągnął Atto - na skutek zmiany pogody i odwilży bardzo źle się czułem. Wybrałem się w odwiedziny do przyjaciela, ale musiałem szybko wracać do domu i nawet się z nim nie zobaczyłem.

Gruba, opryskliwa kobieta, która zwykle siedziała przy kasie, podeszła do naszego stolika przyjąć zamówienie.

- Szkoda - szepnął Atto, kiedy sobie poszła. - Po głosie poznałem, że to nie ta sama uprzejma kelnerka co poprzednio, ta, która poczęstowała mnie czekoladką z marcepanem, prawda, chłopcze?

- Nie myli się pan, panie Atto, dziś jej chyba nie ma - odparłem, rozglądając się za czarnowłosą dziewczyną.

Starzy ludzie dziecinnieją, pomyślałem. Jeszcze przed dziesięciu laty Atto nie rozczuliłby się z powodu czekoladki, którą ofiarowała mu nieznajoma kelnerka.

Nieuprzejma kasjerka szybko wróciła. Krzywo na nas patrząc, podała nam kawę, śmietankę i tradycyjne wiedeńskie rożki.

- Hemoroidy tak mi dokuczały - ciągnął Melani, sącząc kawę, którą zapijał różowe słodkie lokum - że do wieczora siedziałem na klozecie. Gdy wróciłem do zdrowia, lekarz stwierdził, że to cud. Trzeba panu wiedzieć, że mam silny organizm, i choć nie mogę już czytać ani pisać, Bóg pozwolił mi dożyć sędziwego wieku. Trzydziestego ubiegłego miesiąca ukończyłem osiemdziesiąt pięć lat!

Słuchałem jednym uchem wywodów Atta na temat hemoroidów i długowieczności.

- Proszę cię, kochanie - szepnąłem Cloridii do ucha - postaraj się namówić opata, żeby jak najszybciej poszedł spać. Nie chcę, żeby mi się plątał pod nogami.

- Obawiasz się, że znowu zastawi na ciebie sidła? - zapytała z domyślnym uśmiechem.

- Spokojnie, tym razem do tego nie dojdzie, bo ja tu jestem! Nasz drogi opat mnie nie nabierze. Ważne, żebyś nie zostawał z nim sam na sam.

Zasepiłem się na myśl, że Cloridia we mnie nie wierzy. Nie znośm, gdy tym swoim macierzyńskim tonem wypominała mi niezaradność, choć musiałem przyznać, że miała ku temu powody. Zamknąłem się w sobie i zamilkłem.

- Co to jest? *Croissantl* - zapytał Atto, kładąc dłoń na talerzyku obok swojej filiżanki, na której leżał ciepły rozek.

- Tu, w arcyksięstwie Austrii, nosi nazwę *Kipfel* - rzekł Simonis. - Podobno właśnie tutaj, w Niebieskiej Butelce, wymyślił go przed trzydziestu laty cukiernik Kolschitzky\*[\* Georg Franz Kolschitzky (właśc. Jerzy Franciszek Kulczycki) - tłumacz, szpieg Jana III Sobieskiego. Urodził się w 1642 r. w Kulczycach koło Sambora, rodzinnej wsi atamana Sehaj-dacznego na koronnej Ukrainie. Za zasługi w czasie oblężenia Wiednia w 1683 r. został uznany za bohatera. Miasto ufundowało mu wysoką nagrodę pieniężną i podarowało dom. Powszechnie przypisuje mu się otwarcie pierwszej w Wiedniu kawiarni Pod Błękitną Butelką. Zmarł w 1694 r. (przyp. red.).]. Nadał mu kształt różka na cześć wyzwolenia Wiednia spod tureckiego półksiężycyca.

- Ta kawiarnia należy do Ormian? - zapytał opat.

- Jak wszystkie wiedeńskie kawiarnie - odparł Grek. - To oni sprowadzili kawę i upowszechnili zwyczaj picia napoju z parzonych zmielonych ziaren; mają więc wyłączność.

- Zna pan jakichś Ormian? - spytałem prowokująco Melaniego, nawiązując do jego tajnego spotkania z Ormianinem.

- Coś o nich słyszałem - odrzekł szybko, chowając nos w filiżance.

Ormianie i kawa. Patrzyłem na orli profil opata Melaniego (w ciemnych okularach wyglądał jak stara sowa w peruce) i dumałem o przeszłości.

Wróciłem myślami do Rzymu, do wydarzeń sprzed dwudziestu ośmiu lat, do młodości i gospody przy Piazza Navona, gdzie jako młody posługacz poznałem opata Melaniego i Cloridię. W gospodzie tej często zatrzymywali się Ormianie, towarzyszący swojemu biskupowi w podróży do Wiecznego Miasta. Jako człowiek nieśmiały, przyglądałem się owym egzotycznym dostojnikom kościelnym, nie ośmielając się o nic pytać, choć byłem bardzo ciekaw. Wiedziałem, że w drodze do Rzymu zatrzymywali się w Wiedniu. Pamiętałem ich długie czarne stroje, ostrożność i pobożność, oliwkową cerę, ciemne oczy, towarzyszący im dziwny zapach korzeni i kawy.

W Wiedniu odkryłem, że czarny azjatycki napój i lud ormiański to jedno. Od czasu do czasu zaglądałem do ciemnych, acz przytulnych lokali, gdzie goście czytali prasę, palili tytoń, grali w szachy lub bilard. Niekiedy ja także, wdzięczny Najwyższemu za dobrobyt, w jakim żyłem w Wiedniu, pozwalałem sobie na filiżankę gorącej kawy przy lekturze gazety

(włoskiej). Liczyłem na to, że nikt do mnie nie zagada. Mój niemiecki ciągle jeszcze był bardzo słaby. Od czasu do czasu podnosiłem wzrok znad lektury i z sympatią obserwowałem Ormian, ludzi o tureckich rysach twarzy, powściągliwych, pracowitych i małomównych. Byłem szczęśliwy, że stworzyli takie miejsca, od aromatycznego napoju nazywane kawiarniami - chlubę cesarskiej stolicy.

Peniłek nie pokazywał się. Czekanie stawało się trudne do zniesienia.

- Podobno ten mały pierścionek pomaga na hemoroidy - oznajmił opat Melani, wrywając mnie z zamyślenia. Właśnie pokazywał Simonisowi swoją upierścienioną dłoń. - Trzeba założyć go na mały palec prawej dłoni i ścisnąć drugą ręką. Przysłała mi go bratanica, mam nadzieję, że poskutkuje. Dobry jest też na ból zębów i głowy, ale wtedy należy włożyć go na mały palec lewej dłoni.

- Megalleh Tekuphot - powiedział mały zasuszony staruszek o nieprzytomnym wzroku, siedzący przy sąsiednim stoliku. - Megalleh Tekuphot, przeklęta krew - powtórzył, zwracając się do Melaniego. - Dotknęła pana choroba. Jest pan istotą przeklętą.

Spojrzeliliśmy na niego zdumieni. Atto zaniemówił z przerażenia. Patrzyliśmy na siebie porozumiewawczo. Nasz rozmówca był zapewne obłąkany.

- „Jego krew spadnie na nas i na nasze dzieci”, mówi ewangelista Mateusz. Jezus Chrystus został ukrzyżowany, przybito Go do krzyża czterema gwoździami. Tekuphot to krew z najświętszych ran Naszego Pana, która wypływa cztery razy w roku.

- Boże mój, on bluźni! - wykrzyknął opat Melani, czyniąc znak krzyża. Cloridia podała mu szklankę wody na uspokojenie. Odwróciliśmy się plecami do nawiedzonego staruszka. Milczeliśmy, nie wiedząc, co powiedzieć. Rozejrzałem się po sali w poszukiwaniu wolnego stolika, ale kawiarnia była zapełniona ludźmi.

- W roku odbywają się cztery Tekuphot - ciągnął niewzruszony staruszek - raz na trzy miesiące. Pierwsza przypada w miesiącu *tiszri*, kiedy Abraham z woli Boga miał złożyć ofiarę z Izaaka na górze Moria. Podniósł rękę, w której dzierżył nóż, gotów zabić syna, ale Bóg, widząc, że Abraham jest mu posłuszny, zesłał anioła, żeby go powstrzymał. Anioł powiedział: „Nie podnoś ręki na chłopca i nie czyn mu nic złego”. Abraham oszczędził syna, zranił go tylko lekko w szyję. Z rany wyciekło kilka kropli krwi.

W tym miesiącu, w którym pojawiły się krople krwi z rany Izaaka, na całym świecie nie wolno pić wody, jeśli nie zanurzy się w niej żelaznego gwoździa.

Druga Tekuphot przypada na miesiąc, w którym Jefta poświęcił swoją córkę Bogu. Tekuphot nie zamieni wody w krew, jeśli wrzuci się do wody żelazny gwóźdź. Trzecia Tekuphot przypada na miesiąc *nisan*, kiedy zgodnie z Pismem Świętym wody Egiptu

przemieniły się w krew. Aby woda nie stała się krwią, wkłada się do niej gwóźdź. Czwarta Tekuphot odbywa się w miesiącu *tamuz*, kiedy to Bóg nakazał Mojżeszowi, by przemówił do skały, aby dała wodę. Skała nie usłuchała, więc Mojżesz uderzył ją laską. Początkowo ze skały popłynęło kilka kropli krwi, ale gdy Mojżesz uderzył ją ponownie, trysnęła woda.

Co roku o tej porze woda przemienia się w krew - podsumował starzec. - Czwarta Tekuphot jest najbardziej niebezpieczna i nawet żelazny gwóźdź na niewiele się zdaje.

- Dość już! - przerwałem mu stanowczo, widząc bladą twarz opata i zaniepokojone spojrzenie Cloridii.

Rozejrzałem się za kelnerką, która nas obsługiwała, ale nie dostrzegłem jej. Zauważyłem właściciela kawiarni. Dawałem mu znaki, że starzec naprzykrza się nam, ale udał, że nie widzi.

- Nie zapomnijcie umieścić żelaznego gwoźdź w spiżarni i na talerzach, których używacie do posiłków! - grzmiał starzec. - Jeśli tego nie uczynicie, krew Tekuphot pojawi się na przykład w dzbanach ze smalcem, jak w Pradze u moich rodziców, albo w naczyniach na wodę czy masło. Z nich poleje się na was i wypłynie jako krew z hemoroidów!

- To ma być przekleństwo? Hemoroidy są dolegliwością naturalną - powiedział Atto z wymuszonym uśmiechem. Zauważyliśmy, że drżą mu ręce. - To skutek przejadania się w młodości.

- Jesteś w błędzie! - huknął starzec. - Żydzi odżywiają się zdrowo, unikają produktów powodujących krwawienie. Powołując się na boski nakaz, nie spożywają wieprzowiny. Mięso to bowiem osłabia serce i przyćmiewa umysł. Co nie przeszkadza, że ich najczęściej dotyka Tekuphot, ponieważ ukrzyżowali Jezusa i na nich spadła Jego krew. Mój ojciec krwawił co cztery tygodnie. Ja nie, ale tylko dlatego, że nawróciłem się na prawdziwą wiarę i zawsze mam przy sobie żelazny gwóźdź.

Wyjął gwóźdź ze stojącej przed nim filiżanki i zademonstrował zdumionemu audytorium.

Wreszcie, niczym zbawca, do kawiarni wszedł Peniłek.

- Straszliwa Tekuphot wkrótce na was spłynie i wasze oczy wypełnią się krwią - syknął starzec.

Zapłaciliśmy i wstaliśmy od stolika.

W rogu dziedzińca stał posąg świętego patrona siedzącego na tronie, ozdobiony zielonymi gałązkami. Oświetlały go niezliczone świece, stawiane przez wiernych: urzędników, matki z dziećmi, osoby w podeszłym wieku, okolicznych mieszkańców. Niektórzy śpiewali, inni machinalnie odmawiali różaniec. Spojrzeliśmy dokoła, ale nie

dostrzeżliśmy Drago-mira ani Kolomana.

Znaleźliśmy wolną ławką dla Cloridii i opata Melaniego, który nie doszedł jeszcze do siebie po przemowie szalonego starca i nie chciał słyszeć o powrocie do klasztoru. We trzech oddaliliśmy się od posagu świętego. W pozostałej części rozległego dziedzińca, gdzie nie docierało światło świec, także pełno było wiernych, ale świętowali w zupełnie inny sposób. Zamiast śpiewów i litanii dały się słyszeć jęki i ciche krzyki.

- Tu z pewnością ich znajdziemy - zaśmiał się szyderczo Simonis. Na naszych oczach rozgrywały się rzeczy nieprzyzwoite, niewiele mające wspólnego z wiarą i jeszcze mniej z religijnymi obrzędami.

Słyszałem, że tereny wokół kościoła na Kalvarienbergu, czyli Górze Kalwarii, w podmiejskiej dzielnicy Hernals, są ulubionym miejscem schadzek. Mężczyźni i kobiety oddają się tu rozpuście. W związku z tym kościół określano mianem „foyer”, nawiązując do foyer w teatrach, gdzie mogło się wydarzyć dosłownie wszystko. Podczas Wielkiego Postu na Kalvarienbergu dochodziło do gorszących scen, takich jak latem w Au-garten nad brzegiem Dunaju.

- Och, *pardon* - przeprosił Grek.

Szukając swoich kolegów, podszedł zbyt blisko półnagiej, bardzo zajętej sobą parki.

- Populescu powiedział, że przyjdzie tu z brunetką - odezwałem się - ale czy nie powinniśmy szukać Kolomana Szupana gdzieś dalej?

- Ktoś taki jak Koloman nie odmówi sobie schadzki na Kalvarienbergu - odparł z uśmiechem mój pomocnik.

Miał rację. Po chwili odnaleźliśmy węgierskiego studenta w krzakach, bardzo zaabsorbowanego.

- Aaaach! Tak! Taaak! Jeszcze... Jesteś jak zwierzę. Jeszcze raz, jeszcze! - jęczała dziewczyna.

- To on - stwierdził bez wahania Simonis. - Nie wiem, jak Koloman to robi, ale potrafi dogodzić każdej dziewczynie. W dodatku wszystkie krzyczą to samo.

- Dzięki temu mamy pewność, że to on - zażartowałem nieco zakłopotany.

- Nie, Dragomira tu nie ma - oznajmił Koloman, wkładając koszulę w spodnie. - Na pewno jest w którejś kapliczce drogi krzyżowej przy głównej ulicy. Tylko tam jest wystarczająco ciemno, żeby ukryć małego ptaszka, cha, cha, cha!

Poszliśmy po Cloridię i opata Melaniego. Po obu stronach Kalvarienbergstrasse wznosiły się kapliczki wyobrażające etapy Męki Pańskiej. Także w tych miejscach dawano upust niskim żądzom. U stóp Kalvarienbergu rozstawili stragany sprzedawcy gorących

kielbasek, cukrowych figurek, rozków z ciepłym budyniem. Po schadzce parki zapelniały pobliskie gospody lub zajazdy na przedmieściu Neulerchenfeld na południu Wiednia.

Pierwsze kapliczki, do których zajrzeliśmy, wyteżając wzrok w ciemnościach, były zajęte. W końcu znaleźliśmy Dragomira.

- Wasz przyjaciel jest bardzo religijny - zauważył Atto, wiedząc, że zaglądamy do wszystkich kapliczek, nieświadomy tego, co się w nich dzieje.

Clordia zatrzymała się z opatem w dole ulicy (która biegła pod górę), aby nie słyszał jęczenia kochanków. Zauważyłem, że wszedł do wolnej kaplicy i usiadł na ławeczce.

- No, nareszcie! - zawołał Koloman, wpatrując się w ciemne wnętrze stacji drogi krzyżowej.

Znaleźliśmy Populescu, i to w najmniej odpowiednim momencie. Na szczęście nie było przy nas Cloridii. Dragomir stał z opuszczonymi spodniami tyłem do wejścia i pochylony w przód, tulił do siebie swą miłosną zdobycz.

- Tutaj się schował! Żeby ukryć małego! Nic z tego, Dragomir, przyjaciółka i tak się zorientuje co do wielkości twojego ptaszka - kpił Koloman.

Usłyszeliśmy krzyki Cloridii. Wzywała pomocy. Czym prędzej tam pobiegliśmy. Opat Melani leżał na schodkach kapliczki, do której dopiero co wszedł.

- Panie Atto! Panie Atto! - zawołałem, próbując go podnieść.

- Przeklęta Tekuphot... - powiedział z trudem, kładąc rękę na piersi. Na szczęście żył. Kiedy nasze oczy przyzwyczyły się do ciemności, spostrzeżliśmy, że jego głowa i twarz są zakrwawione.

Wszyscy byliśmy bardzo zdenerwowani. Co się stało? Kto uderzył opata? Jak to się mogło stać? W dodatku w obecności Cloridii? Simonis i Koloman pomogli mi przenieść Atta do wnętrza kapliczki i ułożyć na podłodze. Moją małżonkę sparaliżował strach.

- Nic nie rozumiem... nagle... krew - powtarzała. Przypomniła nam się przepowiednia szaleńca z kawiarni.

Nagle przeszedł mnie dreszcz, jakby ciepłe mrowienie. Czyżbym miał zemdleć? Przesunąłem rękami po włosach. Były lepkie i wilgotne. Spojrzałem na dłonie: krew. Zrobiło mi się słabo.

- Chwileczkę - powiedział Grek.

Przesunął mnie i wyciągnął ręce w miejscu, gdzie przedtem stałem, jakby chciał sprawdzić, czy pada deszcz. W istocie, padało. Z sufitu kapliczki spadały gęste, ciemne krople.

- To krew. Kapie stamtąd - oznajmił Simonis, przyjrzawszy się swoim dłoniom.

Dał znak Kolomanowi, szczuplejszemu do niego, by wszedł mu na ramiona.

- Coś tu jest - oświadczył Węgier, macając w ciemnościach ozdobny gzyms nad naszymi głowami, biegnący wokół całego wnętrza kapliczki. - Jakby... klatka albo skrzyneczka.

Był to rodzaj pojemnika z dziurkowanego metalu. Otworzyliśmy go.

Wewnątrz, zanurzony w krwi, leżał zwiotczały, nieszczęsny strzęp ciała, doprowadzony do stanu, w jakim żaden mężczyzna nie chciałby go pokazać kobiecie. Jedyne dwie kulki, stworzone przez Boga do pro-kreacji, zachowały resztki godności. Reszta była zniekształconym nie do poznania kawałkiem gąbczastego, sinawego mięsa pokrytego postrzępioną skórą z włosami, jakby odciętego szablą.

Koloman odwrócił wzrok, z trudem przemagając obrzydzenie. Simonis i ja wpatrywaliśmy się jak zahipnotyzowani w ten dowód bezsensownego okrucieństwa. Komu przyszło do głowy tak potwornie okaleczyć jakiegoś mężczyznę?

Tymczasem opat Melani, któremu Clordia bezustannie powtarzała, że to nie jego krew i nic mu nie jest, powoli dochodził do siebie.

- Do licha! - powiedział Koloman, odzyskując poczucie humoru. - Wiedziałem, że z tutejszymi dziewczynami nie ma żartów. Dragomir musi to zobaczyć, koniecznie - dodał i udał się do kapliczki, gdzie Populescu, podobnie jak inni młodzieńcy, był zbyt zajęty, żeby usłyszeć rozpaczliwe krzyki Clordii.

Staliśmy wokół pojemnika z obrzydliwą zawartością. Byliśmy zbyt poruszeni, żeby rozmawiać. Clordia nie mogła oderwać wzroku od makabrycznego strzępka ludzkiego ciała.

W tej samej chwili wrócił Węgier. Był śmiertelnie blady, w jego oczach malowało się przerażenie.

- Musimy uciekać, natychmiast! Wszyscy! - powiedział stłumionym głosem.

- Co ci jest, Koloman? - zapytałem zaniepokojony.

- Dragomir nie... Myśleliśmy, że on... tam nie ma żadnej dziewczyny, nikogo, nikogo... - oznajmił, wybuchając płaczem.

Wizja lokalna trwała kilka sekund.

Clordia oczyściła nieco głowę opata Melaniego, który stał nieruchomo, wspierając się na lasce i na ramieniu mojej małżonki. Kiedy przyjrzałem się uważniej staremu opatowi, odniosłem wrażenie, że wie coś o tym zdarzeniu.

- Chodźmy stąd! Szybko! - ponagliłem.

Rozglądając się dokoła, złapałem za rękę Clordię i opata Melaniego. Simonis wziął pod ramię Kolomana. Drugą ręką zatkał mu usta, żeby ktoś nie usłyszał jego szlochu.

Ruszyliśmy w dół Kalvarienbergstrasse, dość wolno, ze względu na opata, mimo że z chęcią zerwalibyśmy się do biegu. Staraliśmy się nie pokazywać twarzy nielicznym o tej porze przechodniom.

Martwy Dragomir Populescu został w kapliczce, tak jak go zobaczyłem - z opuszczonymi spodniami, pochylonego w przód. Z pewnością niebawem znajdzie go jakaś rozpalona parka. Nie *tulił się do dziewczyny*, lecz trwał w tej dziwnej pozie, z piersią przebitą trzema spiczastymi świecznikami, w rodzaju tych, na które nabija się paschały. Serce nieszczęsnego rumuńskiego studenta znad Morza Czarnego przestało bić niemal natychmiast.

Wzdłuż jego ud i spodni ciekła krew, sącząca się z okaleczonego miejsca, w którym wcześniej były genitalia.

Penicek czekał na nas na końcu ulicy. Wsiedliśmy do kolasy. Po drodze Simonis opowiedział pismakowi o tym, co się stało.

- Pół-Azja! - syknął na zakończenie.

- A może zrobili to Turcy? - zapytałem.

- Azja czy Pół-Azja, wszystko jedno.

- Panie cyruliku, ośmielam się powiedzieć, że powinniśmy ukryć ciało Populescu - oznajmił Penicek. - W przeciwnym razie znajdą go strażnicy i zaczną się kłopoty. *Bettelstudenten* nie umierają w ten sposób.

- Masz rację, pismaku.

- Mówicie, jakbyście byli zabójcami - zauważyła Cloridia. Simonis milczał, patrząc na nas ciełym wzrokiem. Czyż to nie on namówił przyjaciół na poszukiwanie złotego jabłka? Czy Cloridia i ja nie zaczęliśmy całej sprawy, zaalarmowani dziwnym poselstwem tureckiego agi? Poza tym nie powiedzieliśmy przyjaciółom Simonisa o spisku Cizebera. Gdyby dowiedzieli się na czas, że Turcy domagali się czyjejs głowy i że chodziło prawdopodobnie o głowę cesarza, teraz by żyli.

Doszedłem do wniosku, że nadeszła pora opowiedzieć Kolomanowi Szupanowi o derwiszu. Przemilczałem oczywiście to, że wiem o tym od dawna. Węgier był przerażony. Wiedział, do czego są zdolni Turcy.

Naszą rozmowę przerwał Penicek. zaproponował, że ukryje ciało Populescu z pomocą dwóch innych, działających nielegalnie woźniców, których darzył zaufaniem.

- Nie zdążycie. Jakaś parka dotrze tam przed wami i podniesie alarm - powiedziałem, kręcąc głową.

- Moi znajomi mieszkają tuż obok - nalegał Penicek. - Zaufajcie mi! Nie czekając na naszą zgodę, zatrzymał kolasę, zeskoczył z kozła i zniknął w bramie na tyle szybko, na ile



pozwalala mu chroma noga. Po chwili pojawil sie w towarzystwie dwuch cieni, ktore skierowaly sie w strone Kalvarienbergu.

- Zachowaj spokój, Dragomirku! Spokój i zimną krew - zażartował makabrycznie Peniłek, patrząc w ślad za kolegami, którzy szli wypełnić smutne zadanie.

- Milcz, głupcze! - rozgniewał się Simonis i wymierzył pismakowi policzek.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Peniłek powoził w milczeniu. Zastanawialiśmy się, kto zabił Dragomira.

- Według mnie to jasne - oznajmił mój pomocnik. - Dziewczyna, z którą miał randkę, przyniosła mu pecha.

- Jeśli nawet wypytywał ją o złote jabłko, to nie ona go zabiła - zaprzeczył Koloman. - Nie miałyby siły przebić go świecznikami.

Spojrzałem na opata Melaniego. Siedział obok mnie z głową opartą o ściankę kolasy. Cloridia okryła go kocem. Rozmawiała z nim po cichu, chcąc podnieść go na duchu. Dopytywała się, jak się czuje, ale Melani milczał. Miał przymknięte oczy, jakby drzemał. Dobrze znałem tego szczwanego lisa, wiedziałem, że wszystko słyszy i spokojnie rozważa.

- Czy pańskim zdaniem ta śmierć to też tylko zbieg okoliczności? - szepnąłem mu do ucha.

Atto poruszył się, ale nadal milczał. Tymczasem Koloman mówił dalej:

- Sądzę, że zbrodni dokonali co najmniej dwaj mężczyźni. Żeby ukryć tak wysoko skrzynkę z...

- *Tandur* - wtrąciła Cloridia.

- Co? - zapytałem, zastanawiając się, skąd znam to słowo.

- Dobrze mu się przyjrzałam. Pojemnik z genitaliami waszego kolegi to ormiański *tandur*.

- Ormiański? - zdziwiłem się.

- Tak, to rodzaj piecyka.

Przypomniałem sobie, że Cloridia opowiadała mi o nim po powrocie z audiencji agi. Piecyk wypełniano rozżarzoną węglą i stawiano pod stołem nakrytym wełnianą tkaniną, sięgającą podłogi. Ormianie siadali przy stole i grzali się w jego ciepło.

- A więc zabójstwa dokonali Ormianie! - zawołałem. - Mówiłaś mi kiedyś, że zmarznięci Ormianie ze świty agi chcieli rozpalić *tandur* w komnatach pałacu, co groziło pożarem.

Małżonka potwierdziła. Pomyślałem o Ormianinie, z którym spotkał się opat Melani i wręczył sakiewkę z monetami.

- To byli Ormianie, panie Atto - powiedziałem cicho, tak żeby tylko on mnie usłyszał. Popatrzyłem na niego ze złością. - Ormianie agi, gwoli ścisłości. Co pan na to? Zapewne mają współnika, kogoś, kto dał im pieniądze, dużo pieniędzy, i zlecił zabójstwo.

Stary opat milczał.

- Mamy więc dowód, że to byli ci przekłęci Osmanie. Skoro wykończyli Dragomira, zabili też Daniła i Christa.

Melani nawet nie drgnął. Udawał, że śpi.

- Chciał pan ze mną porozmawiać i udowodnić swoją niewinność. Naprzykrzał mi się pan przez cały wieczór. Słucham, proszę mówić! Ciekaw jestem, co mi pan ma do powiedzenia.

Atto odwrócił się do mnie, marszcząc brwi, jakby zamierzał spalić mnie niewidzącym wzrokiem. Zaciśnął wargi, hamując zapewne słowa, które cisnęły mu się na usta.

Uparty starzec. Nie pogodził się z tym, że nie jestem już taki naiwny jak przed jedenastu laty w Rzymie. Nade wszystko jednak nie dopuszczał myśli, że stracił nade mną władzę i dziś nie tak łatwo wyprowadzić mnie w pole. Dlatego milczał.

- Populescu był Rumunem - powiedział wreszcie. - Gdybyś znał trochę lepiej historię i geografię, wiedziałbyś, że Rumunia także jest pod panowaniem Wysokiej Porty, ale to bez znaczenia. Turcy, Ormianie czy Rumuni - nie mam z tym nic wspólnego.

- Wszyscy zginiemy, wszyscy - jęczał Koloman, powtarzając wciąż te same słowa.

Z przerażenia miał szeroko otwarte oczy i trzymał się za przyrodzenie, jakby w obawie, że ktoś mu je odetnie i wrzuci do *tandura*.

- Chwileczkę - wtrąciła Cloridia. - Nie wiadomo, czy dokonali tego Ormianie ze świty agi. Dziewczyna Populescu też był Ormianką.

Uwaga małżonki, wypowiedziana stanowczym tonem, wyrwała mnie z zamyślenia i zdziwiła.

- Skąd o tym wiesz? - zapytałem.

- Bo Populescu chwalił się, że zna tureckie haremy.

- Istotnie, a ty nazwałaś go eunuchem - powiedziałem.

Słowa Cloridii okazały się prorocze. Dragomir został w okrutny sposób wykastrowany.

- Jeśli się dobrze zastanowić - ciągnęła Cloridia - o haremach opowiedziała mi Ormianką, a nie Turczynką.

Dragomir na pewno nigdy nie był w seraju, ponieważ, jak już mówiłam, mężczyźni nie mają tam wstępu, oczywiście z wyjątkiem eunuchów. Jego opowieść natomiast zawierała

szczegóły znane tylko komuś, kto tam mieszkał.

Ponadto - dodała Cloridia - Ormianie są ludem podbitym przez Turków, są ich sługami i nienawidzą swoich panów. Tak dokładnie o makijażu mogła mówić tylko odaliska, która widziała malujące się kobiety na własne oczy. Z pogardliwych uwag pod adresem Murzynek należy wnioskować, że była Ormianką. Ormianie nienawidzą Murzynów, uznają ich za podludzi i nie lubią z nimi pracować.

Genitalia Populescu - powiedziała na zakończenie Cloridia - umieszczone zostały w *tandurze* na znak ostrzeżenia, jakby ktoś chciał powiedzieć: zostawcie w spokoju Ormianki.

- Mój Boże - powiedziałem. - Daniło, Christo, a teraz Dragomir. Byli przyjaciółmi, zginęli jeden po drugim, w niewielkim odstępie czasu. To nie może być zwykły zbieg okoliczności.

- Jak zapewne pamiętacie - wtrącił Simonis - Dragomir pragnął sprawdzić, czy ta brunetka, z którą się umówił, była dziewicą.

- W jaki sposób? - zapytała Cloridia.

- Miał jej dać do wypicia wodę z solą *armoniacum* i jakiś proszek do powąchania. Gdyby nie była dziewicą, miała się posusiać.

- Wasz przyjaciel sam napisał sobie biedy - stwierdziła moja małżonka z oburzeniem.

- Panna miała wszelkie powody ku temu, by go wykastrować.

- Kolejny dowód na to, że nie była niewinna - dodał Penicek.

- Milcz, pismaku! - skarcił go poirytowany Simonis.

- Prawdziwy głupiec z tego Dragomira! Jak można ufać Ormiance? - powiedział Koloman.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałem zdziwiony.

- Z tymi ludźmi nie ma żartów, to rzecz powszechnie znana. Kawiarni należy unikać jak ognia. Wszystkich. Każdy głupiec wie, że Ormianie to podstępny i niegodziwy naród. Są ze wszystkimi i przeciw wszystkim, to synowie szatana, żmije w ludzkiej skórze.

Koloman przypomniał mi o czymś, o czym już kiedyś mi opowiadał. Podczas oblężenia Wiednia w 1683 roku, na tydzień przed ostateczną bitwą, ktoś dopuścił się zdrady - poinformował Osmanów, że obrońcy miasta są wycieńczeni, więc z łatwością można je zdobyć. Żołnierze, w liczbie pięciu tysięcy, nadal chcieli się bronić, mieszkańcy natomiast gotowi byli się poddać, byle dalej nie znosić trudów życia w oblężonym mieście, a w razie przegranej narazić się na pewną śmierć. Spór między żołnierzami i cywilami przeciągał się. Piąty września był dniem decydującym, czy górę wezmą racje jednej czy drugiej strony. W zamieszaniu rozluźniono obronę bastionów. Zdrajca wykorzystał ten moment i przekazał

Turkom ściśle tajny list z opisem nastrojów panujących wśród cywilów i żołnierzy, z którego Turcy mogli łatwo wywnioskować, że nadeszła odpowiednia chwila do ataku. Nikczemnik był służącym (nieznanym z imienia) kupca Johanna Diodato (naprawdę nazywał się Owanes Astouatzatur), choć zapewne występował także pod innymi nazwiskami. Na szczęście Turcy nie zdecydowali się na szturm. Tymczasem nadszły posiłki i armia chrześcijan odniosła zwycięstwo w końcowej bitwie, rozegranej 12 września.

- Do czego zmierzasz? - spytałem.

- Zdrajcy, szachin i jego bezimienny sługa, którzy wykorzystali osłabienie obrońców miasta, byli Ormianami.

Koloman dodał, że Ormianie pochodzili z odległego królestwa leżącego między Turcją i Persją, podbitego przez Osmanów. Na Zachód wyruszali z Krymu i z Konstantynopola, stolicy tureckiego imperium, docierając do Wiednia przez Polskę i Galicję. Nienawidzili Turków, którzy ciemnieżyli mieszkańców niewielkiego, starego królestwa. Pragnęli uwolnić się od osmańskiego jarzma. Z tego powodu wielu Ormian jeździło między Wiedniem a Wysoką Portą, szpiegując na rzecz cesarstwa. Gdy tylko nadarzyła się okazja, wykorzystywali zaufanie cesarskiej rady wojennej i działali na dwa fronty.

Podejmowali się najbardziej ryzykownych przedsięwzięć i największych trudów. Podając się za kupców, tłumaczy czy kurierów, uprawiali sabotaż, zniesławiali i mordowali na rozkaz swoich panów. Zdolni byli całymi tygodniami prowadzić przez pustynię karawany, nie zważając na pragnienie, głód, senność. Pracowali do późnej starości. Zнали się na ładunkach wybuchowych, medycynie, alchemii. Chętnie posługiwali się trucizną. W zamian za swoje usługi, na mocy cesarskiego dekretu otrzymywali zgodę na otwarcie kawiarni lub pracę w charakterze nadwornych kurierów, podróżując do woli po ziemiach cesarstwa i Wschodu. Na obszarze pomiędzy Polską a cesarstwem Ormianie zakładali wioski, gdzie rządzą się własnymi prawami i byli zwolnieni od opłat celnych. Kontrolowali przepływ towarów ze wschodu na zachód i z południa na północ. Bogacili się, handlując niemal wszystkim. Wspomniany Ormianin Johannes Diodato, zdrajca z 1683 roku, nazajutrz po oswobodzeniu Wiednia kazał zebrać porzuconą przez Turków broń i sprzedał ją. Po zdobyciu Ofen zajmował się handlem niewolnikami.

- Podczas tego samego oblężenia Wiednia Georg Kolschitzky, założyciel kawiarni Pod Niebieską Butelką - ciągnął Koloman - jeździł spokojnie między wrogimi obozami, wożąc listy. Był szpiegiem cesarstwa, ale niemal na pewno szpiegował też na rzecz Turków.

Na ziemiach Wysokiej Porty Ormianie kradli srebrne monety i przemycali je na teren cesarstwa. Przed trzydziestu laty, w wyniku protestu wiedeńskich kupców wydano z kraju

niemal wszystkich ormiańskich przemytników.

Ale wrócili, ponieważ są potrzebni radzie wojennej - wyjaśnił węgierski student.

- A kawiarnie? - spytałem.

- Kawiarnie są miejscem - odparł Szupan - gdzie nikczemni Ormianie przekazują tajne informacje, kwitnie donosicielstwo, korupcja i intrygi. Ormianie są nietykalni. Gdy wybucha jakiś skandal i zaczynają tracić grunt pod nogami, wyjeżdżają do Konstantynopola, a po pewnym czasie spokojnie wracają. Zawierają małżeństwa w obrębie swojej diaspory, aby wzmocnić więzy ekonomiczne. Jako ludzie bez skrupułów, niekiedy niszczą się nawzajem, donosząc cesarzowi o zdradach przyjaciół i krewnych.

Słuchałem Kolomana z największym zdumieniem. Piękne lokale, miła atmosfera, zapach kawy. Nigdy bym nie przypuszczał, że pod tym wszystkim kryje się fałsz i hańba.

- Nie ma żadnych wątpliwości - ciągnął Szupan - nic nie jest w stanie powstrzymać Ormian.

Byli nieuchwytni i trudno było ustalić ich prawdziwą tożsamość, bo ciągle zmieniali nazwiska albo znani byli tylko z imienia, jak ten Gabriel z Anatolii, który w 1686 roku wysadził w powietrze prochownię w zamku w Ofen, czyli Budzie, dzięki czemu oddziały cesarskie po stu latach uwolniły twierdzę z rąk tureckich.

- Popelniliśmy niewybaczalny błąd - stwierdził Koloman. - Drago-mir wspominał, że jego dziewczyna pracuje w kawiarni. Powinniśmy się byli domyślić, że skoro wszystkie kawiarnie należą do Ormian, ona także jest Ormianką, i ostrzec go.

- Istotnie, Populescu mówił, że jest brunetką - przyznał Simonis.

- Przyznał też, że o złotym jabłku opowiedział jej właściciel kawiarni - dodałem - który zapewne też jest Ormianinem.

Po tych słowach zamilkłem. W myśli powtarzałem mechanicznie dwa słowa: brunetka i kawa, jakby był w nich jakiś ukryty sens. Na koniec znalazłem go. Zdumiony spojrzałem na Cloridię.

- O czym myślisz? - zapytała.

- O Niebieskiej Butelce. Pamięta pan, panie Atto? Kiedy byliśmy tam za pierwszym razem, obsłużyła nas brunetka, ta sama, która poczęstowała pana czekoladką.

- Wszystkie kawiarnie w Wiedniu należą do Ormian, sam mi o tym mówiłeś - zauważył sceptycznie opat Melani. - Zapewne wszystkie kelnerki są brunetkami.

- Jeśli jest tak, jak myślę, jeśli kelnerka, która podała nam kawę, jest dziewczyną Populescu, to opowieść o Tekuphocie była groźbą skierowaną pod naszym adresem

- Być może - wtrącił Simonis - szalony starzec jest krewnym dziewczyny i wiedział,

kim jesteśmy.

- A ta gruba kobieta, która obsłużyła nas za drugim razem, krzywo na nas patrzyła - przypomniałem.

- Co? Bzdury opowiadane przez tego szaleńca miały być ostrzeżeniem? Nie wierzę w to - stwierdził Melani.

Atto tylko udawał obojętność. Widziałem jednak, że umierał ze strachu, przeklinając Tekuphot, czyli krew nieszczęsnego Populescu kapiącą mu na głowę. Teraz chciał uspić moje podejrzenia co do jego haniebnych interesów z Ormianami.

Po powrocie do klasztoru Porta Coeli pomogłem Cloridii ułożyć do snu opata Melaniego. Z sąsiedniego pokoju dochodziło pochrapywanie chorego Domenica.

Zanim pożegnałem się z Attem, życząc mu dobrej nocy, spytałem:

- Nadal sądzi pan, że śmierć Daniła, Christa i Dragomira, którzy zmarli jeden po drugim w tak krótkim czasie, to tylko zbieg okoliczności?

- Nie zmieniłem zdania. Nadal twierdzę, że nie zamordowano ich z powodu złotego jabłka. Nie powiedziałem jednak, że ich zabójstwa nie mają ze sobą związku.

Wtorek

*14 kwietnia 1711 roku Dzień szósty*

*Godzina 7: bije dzwon Turków, zwany dzwonem Modlitwy*

- Człowiek od zarania dziejów pragnął wzbić się w przestworza. Jako istota niedoskonała jedynie po śmierci mógł oderwać się od ziemi i poszybować ku niebu.

- Do rzeczy, pismaku! Nie mamy czasu. Prawda, panie majstrze? Chciałem iść na ulicę Kotlarzy naprawić przewody kominowe w domu

Antona de' Rossi, byłego pokojowca kardynała Collonitza i przyjaciela Gaetana Orsiniego, ale przedtem musiałem ukończyć prace zaczęte u innych klientów. Kiedy czyściłem kominy, wezwała mnie Clordia, abym zajął się opatem Melanim, ponieważ ona musi odwiedzić ciężarną żonę kamerdynera księcia Eugeniusza, która lada dzień miała rodzić i pilnie potrzebowała jej pomocy.

Tak więc tego ranka Simonis, ja i mój mały uczeń siedzieliśmy w towarzystwie Atta i Penicka w piwiarni Pod Żółtym Orłem, niedaleko klasztoru. Pismak prezentował nam wyniki swoich badań, o które poprosił go poprzedniego wieczoru Simonis. Czeski student rozpoczął poszukiwania jeszcze tej nocy. Pracował do świtu. Koledzy naznosili mu z bibliotek tomy książek poświęconych lataniu.

Simonis i ja byliśmy pewni, że nie śniliśmy. Latający statek rzeczywiście uniósł się w górę, w niebo nad Wiedniem. Pragnęliśmy się dowiedzieć, czy można się posłużyć

powietrznym żaglowcem do innych celów, jak sugerowała Clordia. Miałem nadzieję, że dzięki informacjom zebranych przez Peniicka znajdziemy odpowiedź na to pytanie.

Nie chcieliśmy opowiadać pismakowi i opatowi Melanemu o naszym locie nad miastem w obawie, że wezmą nas za szalonych. Poza tym nie ufałem Attowi.

Na miejsce rozmowy na ten niezwykle ciekawy temat Simonis wybrał piwiarnię Pod Żółtym Orłem, w dzielnicy greckiej, gdzie nie musieliśmy się obawiać, że ktoś nas podsłucha. Znajdowaliśmy się więc w pobliżu targu mięsnego i piwiarni zwanej tawerną Greków, odwiedzali ją bowiem głównie rodacy mojego pomocnika. Opat Melani, pomimo ślepoty, zorientował się, że przebywamy w lokalu nielicującym z jego szlacheckim stanem.

- Do piwiarni przychodzą wyłącznie prości ludzie - oznajmiłem.

- Dlaczego?

- Wiedeńscy przywiązują dużą wagę do podziałów społecznych. Nie bez powodu nie ma tu stołu do gry w bilard, w piwiarniach bowiem gra się tylko w kości i w niemieckie karty.

Wyjaśniłem opatowi, że uprawiany rodzaj gry, jak wszystko w Wiedniu, świadczy o statusie gracza. Bilard uważany jest za luksus, w domach bogaczy na stół do gry przeznaczają osobne pomieszczenie. Kawiarnie odwiedzane przez ludzi zamożnych wyposażone są w stoły bilardowe, ale zabrania się gry w karty i w kości, ulubione rozrywki pospólstwa. W tej piwiarni grywa się zarówno w karty, jak i w kości (co Atto mógł stwierdzić słuchem).

- W Paryżu nawet król grywa w karty - zaśmiał się opat Melani.

- Prawdę mówiąc, w Wiedniu też - oznajmił Simonis i dodał, że karty francuskie są zarezerwowane dla arystokracji i bogaczy, a karty niemieckie dla plebsu.

Karty francuskie pochodzą wyłącznie z importu. W Wiedniu nie wolno ich produkować, w przeciwieństwie do kart niemieckich wytwarzanych na miejscu. Z powodu wojny z Arcychrześcijańskim Królem karty francuskie są nad Dunajem rzadkością.

- Gdybym o tym wiedział, przywiózłbym z Paryża talię kart - zażartował Atto.

- W porządku, ale teraz przejdźmy do kwestii latania - powiedziałem, zwracając się do Peniicka.

- Nie rozumiem, po co prosiliście tego miłego młodzieńca o zebranie wiadomości na tak dziwny temat? - spytał Atto.

- To nic ważnego, panie opacie - odparł Simonis. - Potrzebuję tych informacji na egzamin. Możesz zabrać głos, pismaku.

- Będę się streszczał - zapowiedział skromnie Peniick.

O pragnieniu latania, zaczął Peniick, wspomina się już w epickich utworach

starożytnej Grecji. Któż nie zna mitu o Dedalu i jego synu Ikarze, którzy uciekając przed Minosem, posłużyli się skrzydłami z piór i wosku? Któż nie pamięta legendy o Szymonie Czarnoksiężniku, który w obecności cesarza Nerona zdołał wznieść się w powietrze? Niestety Ikar, szybując zbyt blisko słońca, spadł w dół, ponieważ wskutek ciepła rozpuścił się wosk skrzydeł. Szymon Czarnoksiężnik także rozbił się o ziemię niedługo po starcie.

W mrocznych czasach średniowiecza podejmowano kolejne próby latania. W hiszpańskim mieście Kordowie człowiek o imieniu Armen Firman skonstruował maszynę w formie skrzydła, pokrytego własnym płaszczem konstruktora i innymi materiałami. Wynalazek okazał się jednak zbyt prymitywny. Armen Firman skoczył z wieży i podczas upadku połamał sobie kości, ale jakimś cudem przeżył ten upadek.

Zapał zwolenników latania nie słabł. Kilka lat później, także w Kordowie, niejaki ibn Firnas, wybitny chemik, fizyk i astronom, zaprojektował i wykonał latającą maszynę zdolną wznieść się w górę z człowiekiem na pokładzie. Kandydat na lotnika, zbyt optymistą, postanowił przeprowadzić eksperyment na oczach mieszkańców Kordowy. Zaciekawieni ludzie wylegli na ulice i patrzyli, jak Firnas wzbił się do lotu, rozpędzając się z pobliskiego wzniesienia, i szybował kilka chwil. Szykując się do lądowania, stracił panowanie nad maszyną i spadł, łamiąc sobie żebra. Złośliwcom, którzy powtarzali: „Wiedziałem, że tak się skończy”, „To było do przewidzenia”, „Jeszcze jeden wariat”, oznajmił, że zapomniał o pewnym szczególe. Obiecał jednak, że niebawem skonstruuje lotnię z ogonem jak u ptaków. Nie zdążył - wskutek ran odniesionych podczas upadku opuścił ziemski padół.

- Czy naprawdę interesują cię te wszystkie historie, mój chłopcze? - wtrącił Melani.

- Tak, panie opacie. Jestem ciekaw, co jeszcze odkrył Peniścek. Mów dalej, pismaku!

Osiągnięcia w dziedzinie latania, ciągnął Peniścek, miało też imperium otomańskie. Przed kilkudziesięciu laty słynny Lagari Hasan Celebi jako pierwszy człowiek na świecie wystartował odważnie na pokładzie rakiety. Miała ona kształt dużej klatki ze stożkowym dachem, aby lepiej pokonywała opór powietrza, i pokryta była prochem strzelniczym. Eksperyment, przeprowadzony podczas zaślubin córki sułtana Murata IV, zakończył się niebywałym sukcesem. Lagari Hasan Celebi wylądował z wielkim hukiem w wodach Bosforu. Przerażeni widzowie rzucili się do ucieczki. Pilot cudem przeżył. Natomiast sułtan Murat IV był zachwycony, bił brawo i nagroził Lagariego Hasana dobrze płatnym stanowiskiem w wojsku osmańskim. Odważny pionier latania otrzymałby zapewne inne gratyfikacje, gdyby sułtan żył nieco dłużej. ~Niestety, wkrótce zmarł z przepicia (co tłumaczyłoby różnice w ocenie lądowania Hasana w oczach Murata IV i tysiąca poddanych przyglądających się temu wyczynowi).



Lataniem interesował się też słynny Toskańczyk Leonardo da Vinci, który rysował, projektował i obmyślał różne maszyny zdolne wzbić się w przestworza.

- Żadna z tych maszyn nie uniosła się jednak nad ziemię, dlatego też Leonardo, w przeciwieństwie do słynnych lotniarzy w osobach Cele-biego, ibn Firnasa i Armena Firmana z pewnością odepjdzie w niepamięć - zawyrokował Peniłek.

W początkach piętnastego wieku w tokańskim miasteczku Akwileja sławę i poklask zyskał inny pionier latania, Teobaldo Scapestri, ze względu na niebywały upór i twardą głowę zwany Testadura (Uparciuch).

Przez pewien czas współpracował z Leonardem, ale gdy dzięki spadkowi niespodziewanie się wzbogacił, wrócił do Akwilei i postanowił wykorzystać wiedzę zdobytą u boku Leonarda do skonstruowania maszyny latającej.

Pewnego pięknego poranka 1514 roku wspiął się na wieżę, zawołał: „Leeeęc!” i skoczył w dół, bijąc wściekle skrzydłami. Runął jak kamień między stragany na miejscowym targu, prosto na wózek z jajkami. Sprzedawca nie docenił naukowej wagi zdarzenia i zaciągnął Teobalda do sądu, domagając się odszkodowania za poniesione szkody. Testadura, niezrażony niepowodzeniem, wkrótce powtórzył eksperyment. Za pierwszym razem wylądował na workach ze zbożem, za drugim - na kupie gnoju. Mieszkańcy Akwilei podnieśli bunt. Burmistrz zabronił odważnemu Teobaldowi dalszych doświadczeń. Młodzieniec jednak nie rezygnował i poprosił o pozwolenie na prowadzenie eksperymentów nocą, w ciemnościach. Mieszkańcy i burmistrz zgodzili się, gdyż tym sposobem nikomu nie groziło, że śmiałek na niego runie. Od tej pory co noc w Akwilei dał się słyszeć okrzyk: „Leeeęc” i łoskot spadającego Teobalda.

Doświadczenia trwały kilka ładnych lat. Mieszkańcy miasteczka przyzwyczaili się do widoku Teobalda z zabandażowaną głową, za którym biegły dzieci, wyśmiewały się z niego i obrzucały kamieniami.

Pewnej nocy 1522 roku dało się słyszeć znajome: „Leeeęc”, a po nim głośny, oddalający się chichot. Od tej pory Teobaldo Scapestri zaginął bez śladu. Jedni twierdzili, że w końcu wzbił się w przestworza i odleciał, dzielny i dostoyny jak orzeł. Zdaniem innych natomiast, działający wbrew naturze Testadura, rozzłościł szatana, który go porwał. Jeszcze inni dali wiarę słowom pewnego pijaka, który owej nocy spał na głównym placu miasteczka. Obudził go okrzyk: „Leeeęc”. Stojący na wieży Teobaldo pokazał całemu miasteczku słynny gest, polegający na energicznym zaciśnięciu prawej dłoni na zgięciu lewego ramienia, zszedł na dół i odjechał na grzbiecie muła, śmiejąc się w głos.

- Jak chce legenda, nad Akwileją unosi się od czasu do czasu duch pioniera latania -

podsumował Peniłek. - Podobno daje się też słyszeć słynne: „Leeeęc” i łoskot ciała spadającego na ziemię. Przesądni nie zostawiają wozów pod wieżą w obawie, że następnego ranka będą połamane, jakby ktoś runął na nie z wysokości.

Peniłek, widząc nasze rozczarowane miny, czym prędzej dodał, że znalazł też coś bardziej aktualnego. Była to najciekawsza część sprawozdania, której główną postacią był kolejny Włoch, jezuita.

- Nazywał się Francesco Lana. Urodził się w 1631 roku w Brescii, w arystokratycznej rodzinie. W wieku 16 lat wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, poświęcając się studiom i badaniom w dziedzinie matematyki i nauk przyrodniczych. Obdarzony bystrym umysłem i wytrwałością, zyskał szacunek uczonych z wielu krajów. Mając 39 lat, opublikował w Brescii swoje arcydzieło, traktat zatytułowany *Prodromo, overo saggio di alcune inventioni*, w którym przedstawił między innymi projekt maszyny latającej.

Słowa te obudziły nas z letargu i zaciekawiły.

- Projekt Lany - wyjaśnił Peniłek - opierał się na prostym założeniu, że ciało lżejsze od powietrza unosi się w górę. A zatem, gdyby do dwóch dużych lekkich kul, wykonanych, na przykład, z cienkiej miedzianej blachy, podczepić niewielką konstrukcję, kule te jako lżejsze od powietrza uniosłyby się razem z nią.

- Jak latający statek - wtrąciłem.

- Jezuita tak właśnie nazwał swój wynalazek - oświadczył Peniłek, pokazując nam szkic statku Lany, przerysowany z traktatu.

- Czy ten statek... latał? - zapytał Simonis.

- Prawdę powiedziawszy - wyjaśniał Peniłek - wynalazek opisany w traktacie nigdy nie został skonstruowany. Niektórzy twierdzą, że jezuita świadomie z tego zrezygnował z obawy o życie pilota. Lana poprzestał na pokazie z małym modelem statku na dziedzińcu pałacu jezuitów we Florencji. Nikt jednak nie wie, czy model rzeczywiście latał. W każdym razie włoski duchowny nie chciał budować statku, ponieważ był pewien, że zostanie on użyty do działań wojennych. Nikomu nie udało się namówić Lany do zmiany stanowiska. Na skutek ogromnego wysiłku umysłowego jezuita zmarł w 1687 roku w wieku 56 lat. Jego wynalazek nigdy nie został zrealizowany.

Wymieniliśmy z Simonisem spojrzenia. Byliśmy zawiedzeni. Większa część opowieści Penicka składała się z mało zajmujących anegdot i dotyczyła odległych w czasie zdarzeń, natomiast o jedynej interesującej nas kwestii, czyli o latającym statku Francesca Lany, dowiedzieliśmy się niewiele.

- Że też musiałem trafić na tego głupka z Pragi! - burknął poirytowany Grek, łapiąc się

za głowę.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziałem, wymierzając mojemu pomocnikowi potężnego kuksańca, żeby zamilkł i przestał onieśmielać nieszczęsnego Penicka. - W jaki sposób statek w czasie lotu zmieniał kierunek?

- Traktat o tym nie mówi. Podobno Lana wymyślił w tym celu system lin i zastosował podczas pokazu na dziedzińcu pałacu jezuitów, ale to tylko plotki. Nic na ten temat nie wiadomo.

Greki zaklął pod nosem, złorzecząc samemu sobie, pismakowi, a nawet tradycyjnej ceremonii otrzęsin, podczas której przydzielono mu praskiego fajłapę.

Studenci pożegnali się. Simonis polecił Penickowi wysłuchać w Alma Mater Rudolphina wykładów i przynieść mu notatki, a sam z moim synkiem udał się na przedmieścia Wiednia, gdzie mieli przeczyścić kilka kominów.

- Czy moglibyśmy w końcu porozmawiać na poważniejsze tematy? - zaproponował Melani, gdy zostaliśmy sami.

Robiłem wszystko, żeby uniknąć tej rozmowy. Dwa razy mi się udało: poprzedniego wieczoru podczas próby *Świętego Aleksego* i później w Niebieskiej Butelce. Teraz jednak nie było sposobu, by wywinąć się opatowi.

Postanowiłem nie dać się oszukać. Tysiące razy opat Melani mnie wykorzystywał, podstępem zdobywał to, czego chciał, a na koniec odprawiał. Tym razem nie pozwolę sobą manipulować.

- Chłopcze, mam do spełnienia pewną misję - oświadczył.

- To pańska misja, nie moja. Zapłacił mi pan za usługi w Rzymie, zgodnie z obietnicą. Uregulowaliśmy rachunki. Nic nie jestem panu winien. Nie zamierzam mieszać się w sprawy polityczne. Pan jest poddanym Arcychrześcijańskiego Króla, a ja cesarza. Nie chcę mieć nic wspólnego z Francją, wrogą cesarstwu. Jeśli będę mógł zrobić coś dla Jego Cesarskiej Wysokości, uczynię to, ale nie z panem.

- Nie ufasz mi - odparł. - Zauważyłem to już dawno. Nie rozumiesz, że jesteś mi potrzebny? Nie tylko dlatego, że jestem stary i ślepy. Dzięki twojej pomocy mogłem w przeszłości dokonać wielkich rzeczy.

- Nie wątpię w to - powiedziałem z krzywym uśmiechem. - Oszukując mnie. Pan bez przerwy kłamie. Zawsze robił pan to, co chciał. Miał pan w głowie jakiś plan, ale nigdy nie mówił mi prawdy i wykorzystywał mnie jak niewolnika.

- Nieprawda, nigdy tego nie uczyniłem - zaprzeczył stanowczo.

- Fakty mówią za siebie, panie Atto. Kiedy się poznaliśmy, byłem bardzo młody, a

pan tym swoim gadaniem...

- Chcesz, żebym znowu dostał ataku? - przerwał mi, robiąc zboląłą minę.

- Niech pan da spokój z tymi patetycznymi scenami! - odparłem zirytowany. - Nie powinien pan pić czekolady, ot co!

- A więc mnie śledzisz?...

- Uciszcie się! - zawołała Clordia.

Stała przed nami zadyszana, z jakąś kartką w ręku.

- My tylko...

- Czytaj!

Rozprostowała kartkę i podała mi ją. Była to tak zwana ulotka, złożona we czworo gazeta, wydawana z okazji ważnych wydarzeń. Po zapoznaniu się z jej treścią zbladłem z wrażenia. Przetłumaczyłem tekst opatowi. Opadł ciężko na oparcie krzesła, jakby poczuł się jeszcze starszy i jeszcze bardziej zniedołężniały.

Wielki Delfin, pierworodny syn Arcychrześcijańskiego Króla, ciężko zachorował. Ulotka tego jasno nie mówiła, ale choroba mogła okazać się śmiertelna, podobnie jak w wypadku Józefa I.

Następca tronu Francji miał ospę.

Jakaś tajemna siła sprawiła, że głowy państw rywalizujących w wojnie o sukcesję w Hiszpanii, Francji i cesarstwa dotknęła ta sama śmiertelna choroba. W tym samym czasie zachorował młody panujący władca oraz następca starego króla, któremu pozostało niewiele lat życia.

Nazwa choroby była mało istotna, liczyło się to, że obu rywalom groziła śmierć. Czy był to zwykły zbieg okoliczności? Z pewnością nie. Teraz nabrałem jeszcze większej pewności, że trucizna dokonywała powolnego, podstępного dzieła.

Jaki w tym wszystkim był udział Melaniego?

Atto zjawił się w Wiedniu, aby spiskować z Turkami przeciw cesarzowi. Przyjechał nazajutrz po przybyciu agi i rozchorowaniu się Józefa I. To nie opat otruł delfina Francji. W wieku osiemdziesięciu pięciu lat nie zmienia się pana.

Spojrzałem na Atta, a on jakby to wyczuł i zwrócił głowę w moją stronę. Ujrzałem przed sobą pomarszczoną twarz starca, szaroblądą skórę obciągniętą na czaszce, jak u nieboszczyka, półotwarte usta, wystające zęby, zapadnięte policzki, sinawe wargi i cienie pod oczami. Królestwu Francji groziła utrata następcy tronu. Mogło skończyć się jak w Hiszpanii, którą rozszarpywali rywale ubiegający się o tron... Wszystkie te niebezpieczeństwa dostrzegłem na żółtym jak pergamin czole pokrytym bieleńcem.

Nagle moje podejrzania w stosunku do Atta rozsypały się jak domek z kart. Opat Melani nie miał zamiaru nikogo otruć. Dotarł do Wiednia w tym samym czasie co turecki aga jedynie przez przypadek, moje domysły były bezpodstawne... Bez względu na to, jaka tajemna siła decydowała o życiu i śmierci w Wiedniu i w Wersalu, z pewnością nie posłużyła się opatem Melanim.

Clordia spojrzała na mnie z powagą i pogłaskała po dłoni, odgadując moje myśli.

Wyszliśmy z piwiarni. Clordia powiedziała, że zaczeka na nas w klasztorze, a my z Melanim postanowiliśmy przespacerować się. Ulica była pełna ludzi, przejeżdżały karety.

Opat milczał. Szedł z trudem, jakby brakowało mu tchu, wsparty na moim ramieniu, pomagając sobie laską. Z żył pulsujących na szyi wywnioskowałem, że serce bije mu szybko. Bałem się, że zasłabnie.

- Panie Atto, może wrócimy do klasztoru?

Melani zatrzymał się. Sięgnął drżącą ręką pod okulary i przetarł powieki, jakby budził się ze złego snu. Wyprostował się i wziął głęboki oddech. Zmarszczył czoło, ale wyglądało na to, że nabrał sił.

- Pewnego dnia, dawno temu - rzekł smutnym głosem - powiedziałem, że istnieją dwa rodzaje fałszywych dokumentów. Pierwsze opowiadają bzdury i tyle. Te drugie natomiast mówią prawdę.

- Tak, pamiętam, panie Atto - przyznałem. - Sugeruje pan, że wiadomości w gazecie z Paryża były fałszywe?

- Dokumenty mówiące prawdę redagowane są w dobrej intencji, zawierają prawdziwe wiadomości, choć nie ma na to dowodów. Dokumenty pierwszego typu natomiast po prostu kłamią, mimo iż one również mogą powstawać w zbożnym celu.

Zdziwiły mnie te pokrętne wywody. Zastanawiałem się, do czego zmierza opat Melani.

- W tych dniach - ciągnął - natrafiłeś na ostatni ze wspomnianych przeze mnie dokumentów.

Spojrzałem na opata zdumiony.

- Czyli na sfalszowany dokument, któremu przyświeca zbożny cel - uściślił. - Sreparowany z powodów pokojowych.

Na te słowa osłupiałem ze zdziwienia. Zaczynałem rozumieć

- Że też musiałem ci o tym powiedzieć! - syknął Atto, uderzając laską o bruk.

- A więc list, w którym napisano, że Eugeniusz chciał zdradzić cesarstwo... ten, z którym wiąże się pańska misja, został... sfalszowany? Czy tak? - spytałem z niedowierzaniem.

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię - oznajmił, ściskając mnie mocniej za ramię.

Większą część opowieści Atta już znałem, ale bez sprzeciwu wysłuchałem ponownie.

W pierwszych dniach roku anonimowy urzędnik udał się na hiszpański dwór w Madrycie. Przekazał Filipowi Andegaweńskiemu, wnukowi Arcychrześcijańskiego Króla, list i zniknął. Eugeniusz Sabaudzki pisał, że gotów jest zaprzedać się Francuzom, oczywiście nie za darmo. Przeczytawszy list młody katolicki król Hiszpanii oniemiał ze zdziwienia.

Teraz Atto opowiedział mi dalszą część tej historii.

Filip wysłał kopię listu swojemu dziadkowi Królowi Słońce. Francuski monarcha był równie zaskoczony. Z listem zapoznał się też minister Tor-cy, ale zareagował zupełnie inaczej.

- Torcy twierdził, że Eugeniusz nie mógł napisać tego listu. Jego zdaniem sabaudzki książę nie naraziłby się na utratę tego, co z takim trudem zdobył w służbie cesarstwa: sławy, władzy, bogactwa...

Minister Arcychrześcijańskiego Króla był przekonany, że kryje się w tym fortel samego Eugeniusza, dobrze odzwierciedlający jego pokrętną mentalność. Gdyby Francuzi skontaktowali się z nim i przyjęli propozycję, oskarżyłby ich o spisek ukartowany w porozumieniu z Wiedniem.

- Torcy miał rację?

- I tak, i nie. List rzeczywiście został spreparowany, ale Eugeniusz o niczym nie wiedział.

- Kto to uczynił?

Zatrzymałem się, wstrzymując oddech. Zawisłem wzrokiem na ustach opata i z szeroko otwartymi oczami czekałem na odpowiedź. Długo milczał.

- Miałem nadzieję - powiedział wreszcie - że tajni agenci francuscy w Wiedniu dostarczą list cesarzowi. Byłem gotów przyjechać i wszystkiego dopilnować, tymczasem sprawa została zablokowana. Torcy zdołał przekonać Jego Wysokość, żeby nie podejmował żadnych kroków. Nigdy nie rozumieliśmy się z tym ministrem... Jest bardzo ostrożny.

Attowi nie pozostało nic innego, jak przyjechać do Wiednia i dostarczyć list Józefowi I, nie osobiście, ale przez pannę Palffy.

- Francja pragnie pokoju? Postaram się to załatwić - powiedział. - Jakoś sobie poradzę, mimo że nikt mi za to nie zapłaci.

Szliśmy w milczeniu, wsłuchując się w odgłos naszych kroków na bruku. Towarzyszyły im krzyki rozbieganej dzieciarni, stłumione śmiechy spacerujących pańienek, skrzypienie powozów. Milczenie opata było bardzo wymowne. Domyślałem się, że myśli o

swojej starości, o rozpaczliwej próbie oddziaływania na wydarzenia polityczne, o obojętności Króla Słońce (liczącego się ze zdaniem ministrów), o samotności jako starego doradcy Korony, o własnej niemocy i niemożności pogodzenia się z przegraną.

- Zagraniczni ministrowie przychodzą do mnie, gdy starają się o tajną audiencję u Jego Wysokości lub chcą porozmawiać o sprawach wagi państwowej. Niełatwo dziś o zaufanego, szanowanego pośrednika na dworze - oświadczył Melani z dumą. - Trudniej przekonać króla, by posłuchał dobrej rady.

Wszystko stało się dla mnie jasne: Atto, zaufany sługa króla Francji, nadal był władny załatwić audiencję u monarchy lub jego ministrów, ale na dworze nikt już nie liczył się z jego zdaniem. Wykorzystując sfalszowany list Eugeniusza, pragnął napisać kolejny rozdział historii Europy, jak to czynił w przeszłości. Tym razem musiał działać w pojedynkę, w Wersalu bowiem nikt nie chciał słuchać rad starego kastrata. Zlecił więc dobremu kaligrafowi (przed jedenastu laty miałem okazję poznać arcyzdolnego kopistę w służbie opata) spreparowanie listu Eugeniusza i wysłał swojego kuriera do Hiszpanii, aby dostarczył go królowi.

Metody opata Melaniego były mi dobrze znane. Tak samo postąpił przed jedenastu laty: polecił zręcznemu kopiście sfalszować testament umierającego króla Karola II, ostatniego z Habsburgów hiszpańskich. Dzięki temu na tronie w Madrycie zasiadł obecny król Hiszpanii, wywodzący się z dynastii Burbonów francuskich. Kto wtedy zawiózł do Hiszpanii dokument ze sfalszowanym podpisem? Miałem okazję poznać tę osobę. Była to dawna przyjaciółka Melaniego, konstablowa Maria Mancini, ciotka Eugeniusza Sabaudzkiego, dawna miłość Ludwika XIV i szpieg Francuzów na dworze hiszpańskim. Przyjrzałem się z bliska tajnym machinacjom Marii i Atta (nieświadomie będąc ich narzędziem) na rzecz Francji, jak również zawilej mieszaninie miłości, polityki i intryg, łączącej Marię Mancini, opata Melaniego i Arcychrześcijańskiego Króla. W fałszowaniu dokumentów Atto i jego przyjaciele osiągnęli wielką zręczność. Wczoraj podczas rozmowy na temat czekolady, która zaszkodziła Melaniewi, wywnioskowałem, że nadal utrzymuje kontakt z Marią Mancini.

Ironia losu. Przed jedenastu laty opat i konstablowa rękami kaligrafa sfalszowali testament króla Hiszpanii, dając początek wojnie sukcesyjnej. Teraz te same osoby pragnęły naprawić tamten błąd. Uciekając się do identycznego sposobu, polegającego na spreparowaniu i dostarczeniu do Hiszpanii sfalszowanego dokumentu, czyli listu Eugeniusza, zamierzali doprowadzić do zakończenia wojny wyniszczającej Europę, przede wszystkim zaś Francję.

Tym razem jednak nie poszło tak gładko. Wojna trwała nadal, a wydarzenia, następujące po sobie z niebywałą prędkością, nie zwolniły biegu. Tak więc stary, zgrzybiały opat zebrał siły i osobiście pośpieszył do Wiednia, aby doręczyć kopię fałszywego listu cesarzowi. Liczył na to, że skandal, który wybuchnie, zdyskredytuje Eugeniusza, wroga pokoju.

- Wybitni francuscy ministrowie, moi przyjaciele, dawno już poumierali, nawet ci młodszy ode mnie - oznajmił ze smutkiem, dając do zrozumienia, że dziś nikt na dworze go już nie słucha. - Nie żyje Pomponne, Chamillart, de Lionne, Le Tellier. Darzyliśmy się zaufaniem. Pozostał podejrzliwy Torcy, syn Colberta, „Węża”. Torcy nigdy nie przekazuje królowi moich wiadomości, nie mówiąc już o pamiętniku takim jak te, które Arcychrześcijański Król dostawał ode mnie przez całe życie. Dzisiaj każdy, kto chce uczynić coś dobrego dla Francji, musi liczyć na siebie. Podobnie jak ja, mój chłopcze. Według ciebie reputacja Sabaudczyka jest więcej warta niż pokój?

Pytanie miało charakter retoryczny, więc nie odpowiedziałem. Myślałem o czym innym.

Dawniej zawsze odkrywałem (poniewczasie) kłamstwa Atta i grę, jaką prowadził przy mojej pomocy.

Teraz, pierwszy raz od trzydziestu lat, sam przyznał się do swoich machinacji, co poczytywałem sobie za zaszczyt. Był to znak, że czasy się zmieniły, pomyślałem. Stary Atto należał do epoki, która odeszła. Długie życie, zamiast rekompensaty i odpoczynku, przyniosło mu gorzkie porażki i zapomnienia.

Los zakpił sobie z Melaniego. Na krótko przed jego przyjazdem do Wiednia przybyli Turcy, a cesarz rozchorował się na ospę. Zbieg okoliczności? Nie, raczej fatum. Nowe czasy odrzucały Atta. Z nim czy bez niego, wszystko jedno. Na wielkim fresku świata brakowało portretu Melaniego.

- Nauczyłem się na pamięć tych przeklętych Ordinari-Posten, czyli rozkładów jazdy ambulansów pocztowych, na wypadek gdyby mnie zatrzymano na granicy i przesłuchiowano - skarżył się Atto, czytając w moich myślach, i wyrecytował przenikliwym głosem: - Poniedziałki, wtorki i piątki przyjazdy, środy i soboty odjazdy...

Popatrzyłem ze współczuciem na starca, którego usług nikt już nie chciał. Odniosłem wrażenie, że jego twarz wyraża urażoną dumę, jakby niewidomy opat wyczuł moją litość.

- W poniedziałki rano przybywa zwykła poczta z Berlina, Breslau, NeuB, Glatz, Ollmutz i Brunn, a także z Polski - powiedział niespodziewanie. - Wieczorem z Brukseli, Holandii, co dwa tygodnie z Anglii i Hiszpanii, poza tym z Francji, Kolonii, Frankfurtu,



Wiirtzburga, Nurnbergu, Monachium, Augsburga, Inspruch, Trento, Mantui, Florencji, Rzymu, Mediolanu i Turynu, jak również z Salzburga, Passau i Linzu. We wtorki rano z Pragi, Drezna, Lipska, Hamburga, Dolnej Saksonii, Hildesheim, Brunszwiku, Hanoweru i Halberstadt, następnie z Edynburga, Warażdinu, Agram i z Chorwacji. Z tą samą pocztą przywożone są też paczki i listy z Peterwardeiner. Po południu przybywają listy zwykle z Grazu, Klagenfurtu, Villach oraz z Węgier i Siebenbiirgen. W piątki o świcie jest podobnie jak w poniedziałek rano, z dodatkiem Chorwacji. Wieczorem przybywają listy z miast cesarstwa tak jak w poniedziałki, z wyjątkiem Salzburga, Innsbrucku i Trydentu, oraz z Pragi, Węgier, i Siebenburgen, jak we wtorki. Co ty na to? Nieźle jak na osiemdziesięciopięciolatka! - podsumował z chępliwym uśmiechem.

Stary opat pragnął zaimponować mi pamięcią i bystrością umysłu, zaletami, których nikt na dworze Francji nie chciał (niesłusznie) wykorzystać. Wraziłem mu swoje uznanie, ale widocznie niezbyt przekonująco, gdyż mój rozmówca nagle posmutniał.

- Panie Atto, ja naprawdę... - próbowałem go pocieszyć, nie znalazłem jednak odpowiednich słów.

Melani powstrzymał mnie gestem ręki, jakby chciał powiedzieć: „Dajmy temu spokój!”. Szliśmy dalej w milczeniu. Prowadziłem opata pod rękę.

- Teraz, kiedy zachorował także delfin, wszystko staje się jasne - przerwał milczenie Melani. - Ktoś lub coś sprzysięgło się przeciw Francji i cesarstwu. Coś lub ktoś ponad Królem Słońcem i Józefem Zwycięskim, śmiertelnymi wrogami w wojnie wyniszczającej Europę.

- Wątpi pan, że delfin choruje na ospę?

- A czy ty wierzysz, że choruje na nią cesarz? - zapytał opat z sarkazmem.

Nie musiałem odpowiadać. Teraz, kiedy Wielki Delfin leżał złożony chorobą, Atto odgadywał jego myśli. Następcą tronu Francji nie wierzył, że Józef I też choruje na ospę.

- Zakaźna choroba przenosi się z dziecinną łatwością. Nadworny medyk, *monsieur* Fagon, i inni królewscy lekarze nie mają zbytniego doświadczenia w leczeniu tego typu chorób - wyjaśnił Atto. - Po prostu unikają kontaktu z chorymi na ospę lub inną zakaźną chorobę, aby nie przywlec jej na dwór książęcy. Zdrowy rozsądek nakazuje, by w takich wypadkach zasięgnąć rady lekarzy, którzy na co dzień mają do czynienia z takimi chorobami.

- Być może tak uczyniono.

- Nie, nigdy tego nie robią - powiedział opat ze znaczącym uśmiechem.

- Na dworze cesarza mogło być podobnie! - zawołałem z przejęciem. - Lekarze cesarza zapewne nie znają się na ospie.

Od samego początku podejrzewałem, że choroba Józefa I była skutkiem działania

trucizny. Przeszły mnie ciarki, gdy Atto potwierdził moje domysły.

Pomyślałem o ataku kolki u opata przed dwoma dniami. Dolegliwość wywołała nie czekolada konstablowej, ale wiadomość, że cesarz ma się źle. Stary, doświadczony szpieg domyślił się, że do gry weszły bliżej nieokreślone złe moce. Francja, nie będąc jedną z nich, została wystawiona na niebezpieczeństwo. Dobrze wiedziałem, że w pewnych sytuacjach kto nie jest po stronie morderców, na pewno jest wśród ofiar.

- Chłopcze! - szepnął Atto, zatrzymując się i przytrzymując mnie za ramię. - Chciałem doprowadzić w pojedynkę do zakończenia wojny trwającej już jedenaście lat, ale grupa dobrze zorganizowanych, zgranych konspiratorów może uczynić to łatwiej i lepiej.

- Turcy? - domyśliłem się i poinformowałem opata Melaniego o konszachtach derwisza z Ugoniem.

- Z Ugoniem?! - zdziwił się na dźwięk imienia poszukiwacza relikwii.

Opowiedziałem więc opatowi o okolicznościach naszego spotkania.

- Tak, teraz sobie przypominam. Ten brudas pochodzi z Wiednia. Świat jest naprawdę mały - podsumował, kiwając głową z niedowierzaniem. - Po tylu latach chętnie bym go zobaczył, a raczej spotkał się z nim - poprawił się, nawiązując do swojej ślepoty.

Ze zdziwienia opata wywnioskowałem, że nie miał o niczym pojęcia (nie było potrzeby, by sam mi to wyznał). Popęliłem duży błąd, Melani nie mógł wiedzieć o podejrzanych interesach Ugonia z Ciezeberem.

Powiedziałem Attowi, że Cloridia podsłuchiwała ich rozmowę o czyjejś głowie. Opat słuchał w milczeniu. Gdy opowiadałem o tym zdarzeniu, przyglądałem się jego twarzy, ale czarne szkła nie pozwoliły mi odgadnąć jego uczuć. Wspomniałem też o tajemniczym zdaniu, które aga zacytował podczas audiencji u księcia Eugeniusza, a na koniec przytoczyłem osmańskie legendy o złotym jabłku.

- Nie daje mi spokoju jedna rzecz - oznajmiłem. - Jaki związek mają Turcy z chorobą Wielkiego Delfina? Wysoka Porta zawsze była sojuszniczką Francji...

- To nie ma większego znaczenia. Liczy się sposób.

- Co ma pan na myśli?

- Sami Osmanie byliby niczym. Przez całe wieki stanowili zbrojne ramię Zachodu, wymierzone zresztą w ten sam Zachód. Dwieście lat temu król Francji Franciszek I namówił Sulejmana Wspaniałego, by zaatakował cesarstwo węgierskie. Tak też się stało, i to z powodzeniem. Włoskie miasto Florencja wezwało sułtana Mahmuda, by pomógł mu w wojnie z królem Neapolu Ferdynandem I. Wenecja, chcąc pozbyć się Portugalczyków, którzy przeszkadzali jej w interesach, posłużyła się siłami sułtana Egiptu. Wielu włoskich

inżynierów ofiarowało swoje usługi sułtanom, oczywiście za dobrą zapłatę. Kiedy król Hiszpanii Filip II ruszył na podbój Portugalii, chcąc udobruchać króla Maroka, podarował mu posiadłość ziemską, oddając tym samym ziemie chrześcijańskie w ręce niewiernych. Wszystko po to, by ogołocić katolickiego króla. Nawet papież: Paweł III, Aleksander VI i Juliusz II korzystali z pomocy Turków, o ile uznali to za opłacalne.

O większości tych niechlubnych przykładów opat Melani opowiadał mi przed dwudziestu ośmiu laty, w roku 1683. Brakowało tylko jednego epizodu, domyślałem się jednak, dlaczego Atto go pominął. Otóż w 1683 roku, kiedy Turcy zagrażali Wiedniowi, poparł ich potajemnie Arcy-chrześcijański Król.

- Osmanie są doskonałym narzędziem. W moim długim życiu widziałem ich bardzo wielu, także bandytów i złoczyńców.

Nietrudno było mi w to uwierzyć. Ciekawe, ile podejrzanych interesów, zastanawiałem się, załatwił Atto z Turkami na rozkaz swojego króla?...

- Wśród bandytów byli ludzie o hardym, a zarazem żywym spojrzeniu, silni i brutalni - ciągnął Melani. - Nie okazywali pokory. Nie wystarczy mieć duszę, trzeba jeszcze czuć boską obecność, by doświadczać wstydu, zmieszania, przygnębienia. Dzięki Bogu, na czołach przestępców chrześcijańskich malują się zazwyczaj ślady walki z przewrotnością. Czyż wyraz triumfu, który rozjaśnia czasem twarz zatwardziałego przestępcy, nie jest dowodem tej walki? Przestępca turecki natomiast niewiele różni się charakterem od mędrca. Bandyci osmańscy, których widziałem, mieli pewniejsze spojrzenie od mojego. Dostrzegłem w nich ludzi obdarzonych zupełnie inną naturą niż nasza, ludzi, którzy naprawdę nie wiedzą, czym są chrześcijańskie cnoty i przywary. Chrześcijanie dostrzegają różnicę między cnotą a przywarą. To jest poza chrześcijaństwem, a nawet poza prostą, ludzką naturą. Mając do czynienia z Osmanami, zorientowałem się, niestety, że w obrębie ich kultury, prawie tak starej jak chrześcijańska, ale opartej na zupełnie innych zasadach, istnieje fenomen człowieka bez sumienia!

Słowa Atta przeraziły mnie. Czuję paniczny lęk przed Turkami, jak przed huraganem, niszczącym ludzi i przedmioty, lecz niczego nieświadomym. Bez sumienia właśnie. Opat nie mylił się, Turcy od wieków byli narzędziem w rękach Zachodu. Przypominałem sobie opowieść Simonisa o nieszczęsnym Maksymilianie II, twórcy Bezimiennego Miejsca i ofiary książąt protestanckich, którzy podzegli wojska tureckie przeciw cesarstwu. Co więcej, doradca Maksymiliana, Ungnad, krążył między Wiedniem a Konstantynopolem, posługując się Osmanami w intrygach przeciw cesarzowi.

- Turcy są ludźmi okrutnymi, skorymi do podbojów - zauważyłem - i to tłumaczy ich

pragnienie zajęcia Europy.

- Okrutni i skorzy do podbojów, powiadasz? - zapytał retorycznie opat, podejmując spacer. - Mógłbym opowiedzieć ci o rzeczach, o których nawet filozofom się nie śniło. Skłoniłyby cię do zmiany zdania. Wiesz, kim są derebejowie?

- To zbuntowani, okrutni książęta. Ściągają podatki przeznaczone dla sułtana, lekceważą oficjalny pobór do wojska, tworzą niezależną armię, mają własny sztandar i mundury i często podejmują walkę z samym sułtanem.

Derebejowie podzielili między siebie obszar niemal całej Azji Mniejszej, jak również tereny góryste, których mieszkańcy lekceważyli obowiązek odbycia służby wojskowej.

- W Dżaur-Dahdzie nikt nie zakłada munduru, nie płaci też skarbowi sułtana ani jednej pary, czyli jednej czterdziestej piastra.

Kiedy sułtan próbował zmusić mieszkańców gór do posłuszeństwa, wysyłając przeciw nim swoje wojska, uciekali w niedostępne rejony, porzucając swoje ziemie, lub podejmowali walkę. Dwadzieścia pięć tysięcy górali przeciwko tysiącowi żołnierzy zazwyczaj wystarczało, by pokonać nieprzyjaciół i przywrócić pokój z Konstantynopolem, przynajmniej do kolejnego poboru lub terminu płatności podatków, kiedy ponownie dochodziło do walk.

W skład imperium osmańskiego wchodzi duża liczba podobnych ludów. Dlatego też absurdem jest twierdzić, że Turcy chętni są do podboju sąsiednich ziem. Przeciwnie, ze względu na problemy wewnętrzne nie kwapią się do wojen. Pragnienie podboju Europy, czego wielokrotnie dali dowód, zagrażając Wiedniowi, Wenecji czy Węgrom, podczas gdy trudno im utrzymać porządek we własnym imperium, oznacza, że ich głównym celem nie jest wzmocnienie własnego państwa, ale pokonanie chrześcijan i zniszczenie ich ziem.

- Nie sądzi pan, że to nieuniknione? Ci ludzie są zupełnie inni niż my i niezdolni do przyjęcia religii chrześcijańskiej.

- Nieprawda. W Konstantynopolu mieszka wielu chrześcijan zajmujących się handlem. Powiem więcej, Sulejman Wspaniały, podobnie jak jego poprzednicy, wybierał wysokich rangą żołnierzy z *devşirme*, czyli szkółki liczącej piętnaście tysięcy chrześcijańskich dzieci, które co roku kazał porywać w Rumelii, europejskiej części imperium, na przykład na Węgrzech, a później wychowywać w Konstantynopolu. Sułtan był przekonany, że są one znacznie mądrzejsze od dzieci tureckich.

Ze szkółki pochodzili przyszlisi janczarzy, żołnierze wyborowej piechoty sułtana, stojący na szczycie wojskowej hierarchii. Janczarzy byli więc z urodzenia chrześcijanami, nie mieli ani kropli krwi tureckiej, także dlatego, że początkowo był im narzucony celibat i nie mieli potomków. Co roku starych janczarów zastępowali nowi chrześcijańscy brańcy. Kiedy

dzieci przybywały na teren muzułmańskiego imperium, uważnie obserwowano ich fizjonomię. W zależności od rysów twarzy, świadczących o predyspozycjach, przeznaczano je na służbę w pałacu sułtana, do administracji państwowej lub do wojska, w szeregi janczarów.

- Ale najwyżsi dostojnicy państwowi, z bezpośredniego otoczenia sułtana, byli zapewne Turkami? - zauważyłem.

- Otóż nie. Wielki wezyr, czyli szef rządu, druga osoba po sułtanie, prawie nigdy nie był Turkiem ani nawet muzułmaninem. Wśród czterdziestu siedmiu wielkich wezyrów, którzy zarządzali administracją Wysokiej Porty w latach 1453-1623, tylko pięciu było pochodzenia tureckiego. Oprócz nich było jedenastu Albańczyków, sześciu Greków, jeden Czerkies, jeden Ormianin, jeden Gruzin, dziesięciu Chaldejczyków i jeden Włoch. Słynny Ibrahim Pasza, wielki wezyr Sulejmana Wspaniałego, nie był Turkiem, lecz Wenecjaninem.

- Wenecjaninem?

- Tak, urodził się na ziemiach Republiki Weneckiej. Dlatego też twierdzę, że niszczycielska siła Mahometa nie istnieje, jest wymysłem Zachodu skierowanym przeciw samemu Zachodowi.

Zamyśliłem się. Wyjaśnienia Melaniego potwierdzały opowieść Simona o Maksymilianie II i jego wojnie z Sulejmanem Wspaniałym, której zarzewie rozpalili niemieccy książęta protestanccy i ich tajni emisariusze: Ilsung, Ungnad i Hag. Kiedy nie udało się im namówić Maksymiliana, aby przeszedł na luteranizm, zemścili się, podżegając Turków do napaści na cesarstwo.

- Oblężenie Wiednia przez Sulejmana w 1529 roku finansował Konstantynopol - zauważyłem.

- Ścisłej mówiąc, europejskie rody kupieckie, które przenieśli się do Konstantynopola, gdzie była większa swoboda. Zamożni Turcy nigdy nie chcieli rujnować się na wojnę sułtana ze Świętym Cesarstwem Rzymskim.

Zdziwiłem się. Nigdy bym nie przypuszczał, że pod tureckimi turbanami, symbolem okrutnych potomków Mahometa, kryje się więcej Europejczyków niż Turków.

- Wracając do Józefa I i Wielkiego Delfina Francji - ciągnął Atto - mamy dwie próby zabójstwa, których ofiary na szczęście jeszcze żyją. Jest wielce prawdopodobne, że jakaś wysoko postawiona osoba manipuluje Turkami, usiłując pozbyć się obydwu władców. Pytanie kto?

Opat dał mi znak, że chce odpocząć. zaproponowałem powrót do piwiarni Pod Żółtym Orłem.

- Lepiej usiądźmy tutaj, na krawężniku - odparł.

Stary szpieg obawiał się, jak zwykle, że ktoś może podsłuchiwać, pomyślałem. Podprowadziłem opata do schodków niewielkiego domu, który wznosił się z dala od ulicy i wyglądał na opuszczony. Oczyszczyłem schodki z kurzu i pomogłem Attowi usiąść.

Bardzo wiele osób mogło chcieć śmierci cesarza i delfina, powiedział opat cichym głosem, każda z innego powodu.

- Potęgi morskie, takie jak Holandia i Anglia, są zainteresowane osłabieniem cesarstwa i Francji, nie chcą dopuścić, by któreś z tych mocarstw zdobyło przewagę w Europie. Gdyby wojnę wygrało przymierze antyfrancuskie, a na tronie Hiszpanii zasiadłby Karol, brat Józefa, Habsburgowie panowałiby niemal w całej Europie, od Wiednia po Madryt.

- Z tych samych powodów Anglicy i Holendrzy nie chcą zwycięstwa Francji.

- Otóż to! Po jedenastu latach wojny nie zmienili stanowiska. Ich cel, jakim było unieszkodliwienie Francji, został osiągnięty, kraj bowiem znajduje się w stanie ruiny ekonomicznej. Co więcej, wnuk Arcychrześci-jańskiego Króla nie okazał się tak uległy woli dziadka, jak się obawiano. Podobno gotów jest zrezygnować z tronu Francji, byle tylko doprowadzić do zakończenia konfliktu. Brakuje jedynie ostatniego elementu układanki, jakim jest pozbawienie Arcychrześcijańskiego Króla potomka, który pokrzyżowałby ich plany.

- W jaki sposób Wielki Delfin miałby im przeszkodzić? - zdziwiłem się. - Jak wynika z gazet, nie jest tak silny jak ojciec.

- To wszystko pozory, podobnie jak w przypadku matki, zmarłej królowej Marii Teresy Habsburskiej, Panie świeć nad jej duszą! Delfin jest osobą małomówną i nie chce mieszać się w sprawy polityczno-wojskowe. Nie z powodu braku doświadczenia, raczej ze względu na szacunek, jakim darzy Jego Wysokość. Śmierć Wielkiego Delfina byłaby niepowetowaną stratą dla Francji i całej Europy. Gdyby został królem, doprowadziłby do rozkwitu państwa i polepszenia warunków życia mieszkańców, ponieważ, w przeciwieństwie do ojca - opat zaczął cedzić słowa - nie uciekałby się do środków, które mogłyby zakłócić pokój publiczny, jako że jest księciem nader sprawiedliwym, przezornym, ludzkim i miłosiernym.

- Dlaczego tak dobry, miłujący pokój władca miałby być przeszkodą dla morskich potęg?

- Potęga Holandii i Anglii opiera się na handlu, na wymianie handlowej z krajami całego świata, które najczęściej zarabiają na wojnach.

- Myślałem, że wojna rujnuje.

- Drobnych kupców na pewno. Wielcy przedsiębiorcy natomiast bogacą się. Pan Bóg podarował człowiekowi urodzajną ziemię, zapewniającą mu byt. Kiedy jednak pola nie

przynoszą plonów z powodu najazdów, pożarów i zniszczeń wojennych, lud wpada w sidła spekulantów i zdzierców, którzy każą sobie płacić za towar pięćdziesiąt razy więcej, niż jest wart. Do przeżycia wieśniakom nie wystarcza już siła ramion i zręczność, muszą mieć pieniądze, by kupić za cenę złota to, co w czasach pokoju wytwarzali sami. Bez pieniędzy nie można nic zdziałać, nawet w najmniejszej wiosce. Nawet nie wiesz, ilu ludzi wzbogaciło się na wojnach! Na przykład na wojnie trzydziestoletniej, która toczyła się w ubiegłym stuleciu. Ówczesni lichwiarze są dziś mocarzami. A kiedy długi zaciągali królowie, te pijawki żądały w zamian tytułów szlacheckich.

Z przebiegłego, pozbawionego skrupułów kastrata można się zmienić w moralizującego staruszka, myślałem, słuchając Atta. Opat atakował teraz także arystokrację. Jego poglądy były zupełnie inne niż przed dwudziestu ośmiu laty, przypominały słowa mojego świętej pamięci teścia, który był jansenistą.

- Z królem takim jak Wielki Delfin - ciągnął opat Melani - Francja uwolniłaby się w końcu od spirali arogancji i zniszczenia, tymczasem

Anglia i Holandia chcą, by stało się inaczej. Pragną, by kraj popadł w jeszcze większą ruinę, a lud znienawidził dwór. Przeszkadza im to, że Arcychrześcijański Król ma synów i dorosłe wnuki. Najlepiej by było, żeby w ogóle nie miał potomka, a jeśli już to niemowlę, co na jedno wychodzi. Nie tak jak w przeszłości, kiedy Arcychrześcijański Król w wieku czterech lat zasiadł na tronie, a królowa matka Anna Austriaczka i pierwszy minister kardynał Richelieu (później kardynał Mazzarini) bronili Francji przed ingerencją innych władców. Teraz nie ma ani królowej, ani pierwszego ministra. Ludwik XIV skupił całą władzę w swoich rękach. Po jego śmierci wskutek regencji kraj stałby się dziurawy jak sito, zdany na łaskę pierwszego intryganta, który przybyłby z Anglii lub Holandii i dokonał ostatecznego zniszczenia. Na tym nie koniec, ciągnął Atto.

- Już w lutym mówiło się, że Józef I zamierza zaproponować Francji podział Hiszpanii, aby bratu Karolowi przypadła w udziale przynajmniej Katalonia i jej stolica Barcelona.

- Doprawdy? To oznaczałoby rozwiązanie kwestii hiszpańskiej.

- Otóż to! Ale wiesz, co to naprawdę znaczy? Że dwaj najwięksi rywale, Francja i cesarstwo, prowadziliby proces pokojowy, a losy Europy pozostałyby w ich rękach, jak od wieków. Temu właśnie przeciwne są Anglia i Holandia. Potęgi handlowe pragną zburzyć dawny porządek świata i zastąpić go nowym, pod własną egidą. Nie, Francja i cesarstwo nie powinny zawierać pokoju, powinny mu się poddać. Na warunkach Anglii i Holandii, ma się rozumieć.

- Pańskim zdaniem Anglia i Holandia niechętnie patrzą na Józefa I, bez względu na to, co czyni?

- Tak. Wojna czy pokój, wszystko jedno, cesarstwo, Francja i Hiszpania nie powinny dłużej decydować nawzajem o swoim losie. Anglicy i Holendrzy domagają się końca suwerenności państwowej. Z tego powodu przystąpili do wojny. Mają wielki apetyt na posiadłości Korony hiszpańskiej w Nowym Świecie, na dziewicze, bezkresne i bogate ziemie, bez praw i moralności. Jako przebiegli kupcy, którymi zawsze byli, doskonale wiedzą, że ten, kto je zdobędzie, będzie miał władzę nad światem. Nie mają zamiaru oddawać ich Hiszpanom, Francuzom czy Niemcom.

- Z tego właśnie powodu, pańskim zdaniem - wtrąciłem - obydwie morskie potęgi knują przeciw cesarstwu?

- Jest to jedna z możliwości, ale nie jedyna. Drugą hipotezą był czynnik wewnętrzny.

- Jak wiesz, Karol i Józef nienawidzą się - oznajmił Atto. - Zawsze się nienawidzili, odkąd ojciec skłócił ich ze sobą, przedkładając młodszego syna nad starszego. Natura sprawiła, że byli inni, rodzina - że stali się wrogami. Odkąd Józef został cesarzem, Karol nienawidzi go jeszcze bardziej, zmuszony bić się o tron hiszpański.

Gdyby Józef zmarł, Karol zamieniłby niepewną koronę Hiszpanii na pewną koronę cesarza w Wiedniu.

- Józef ma dwie córki, jego jedyny syn zmarł w dzieciństwie. Gdyby cesarz umarł, Karol byłby jego następcą. Czy to nie wystarczający powód do morderstwa?

Ale to nie wszystko. Za swojego krótkiego życia Józef wzbudził nienawiść i zazdrość wielu ludzi.

- Jezuici nienawidzą cesarza, z chwilą bowiem, gdy zasiadł na tronie, usunął ich z rządu, i to w sposób dość brutalny. Słyszałeś zapewne o pewnym jezuicie, który chciał zastraszyć Józefa tuż po objęciu tronu? Cesarz kazał go wyrzucić. Nienawidzą go też dawni ministrowie ojca. Józef zwalczał ich od najmłodszych lat, a kiedy został cesarzem, przepędził ich z dworu. Z wyjątkiem jednego. On też czuje nienawiść do Józefa.

Wiedziałem, o kim mówi opat Melani.

- List księcia Eugeniusza, który mi pan pokazał, był fałszywy.

- Tak, prawdą była natomiast moja opowieść o twierdzy Landau, Eugeniuszu, jego nienawiści do cesarza i obawie, że z końcem wojny zostanie usunięty w cień.

- Jeśli Józef I rzeczywiście ułoży się z Francją co do podziału Hiszpanii, pozostawiając bratu Katalonię, nastanie pokój.

- Tak. Zdaniem Eugeniusza nie ma sposobu, by namówić młodego, niezłomnego



cesarza do zmiany zdania. Tak więc nasz czterdziesto-ośmioletni Sabaudczyk musi podporządkować się władcy, który ma zaledwie trzydzieści trzy lata. Jeśli naprawdę zamieszany jest w otrucie Jego Cesarskiej Wysokości, trzeba przyznać, że dobrze wszystko wyliczył. Karol, w przeciwieństwie do Józefa, ma słaby charakter, nie zabroni Eugeniuszowi prowadzić wojny, nawet bez poparcia Anglii i Holandii. A kiedy wojna się skończy, poszuka następnej. Dla Sabaudczyka wszystkie wojny są tyle samo warte, pozwalają zbierać laury, dają władzę, przynajmniej do chwili, gdy się nie wycofa z powodu starości. Józef nigdy nie zgodziłby się na podobną grę.

- To prawda - przyznałem. - Cesarz pragnie pokoju ze wszystkimi, nawet z papieżem, zwolennikiem Francuzów.

- Otóż to! Może mi w końcu uwierzysz. Powiedziałem ci całą prawdę o liście Eugeniusza. Nadszedł moment, by wszyscy zagrali w otwarte karty.

- Ja zawsze byłem z panem szczerzy.

- Ty tak, ale Eugeniusz jest człowiekiem, który nie zna prostych dróg. Jest nieuczciwy, śliski, podstępny. Jak wszyscy ludzie jego pokroju.

- Czyli?

Opat podniósł oczy, jakby błagając Boga, by dodał mu sił.

- Nieważne - uciął. - Pragnę, żebyś zrozumiał, że żołnierska zawiść Eugeniusza, wynikająca z żądzy chwały i władzy, jest bardzo niedobrą cechą. Zrodziła się na długo przed nim i umrze wraz z ostatnim żołnierzem.

- Przecież nie zabija się z żołnierskiej zawiści, zwłaszcza swojego władcy! - zaprotestowałem.

- Widać, że nie znasz historii. Mógłbym dać ci setki przykładów, poczynawszy od starożytnych Aten, gdzie to niezdrowe podstępne uczucie spowodowało śmierć najlepszych dowódców floty greckiej - oznajmił opat, podnosząc prawą dłoń, jakby dla podkreślenia męstwa tych ludzi - i doprowadziło do porażki miasta w wojnie peloponeskiej, zburzenia murów Pireusu, wreszcie do całkowitej ruiny.

Grupka przechodniów, widząc wyciągniętą otwartą dłoń Atta, jego czarne okulary i mój przybrudzony strój kominiarza, wzięła nas za żebraków i rzuciła nam monetę.

- Co to było?

- Nic. Wypadły mi z kieszeni pieniądze - skłamałem zakłopotany.

- Co to ja mówiłem? Aha! Zważ, że pragniemy odgadnąć, kto z dużej liczby podejrzanych spiskuje przeciwko cesarzowi: Anglia, Holandia, a może Karol, jezuici, dawni ministrowie czy może Eugeniusz? Wracając do żołnierskiej zawiści, to chciałbym przytoczyć

ci pewien przykład z naszej epoki. Pamiętasz hrabiego Marsilego?

- Oczywiście. To Włoch, który powiadomił Józefa o błędach margrabiego Ludwika Badeńskiego, zaproponował zmianę taktyki i przyczynił się do zwycięstwa wojsk cesarskich.

- Otóż to! Nie pierwszy raz się to zdarzyło.

Kilka lat przed pierwszym oblężeniem twierdzy Landau, wyjaśnił Me-lani, Marsili brał udział w uwolnieniu Belgradu z rąk Turków.

Wtedy wydarzył się pierwszy wypadek. Generał Guido Starhemberg, chcąc narzucić swoją strategię walki, naraził oddziały cesarskie na duże straty w ludziach. Pięćdziesiąty dziewiąty regiment piechoty pod dowództwem Marsilego został zdziesiątkowany. Żołnierze cesarscy bezskutecznie od wielu dni usiłowali zdobyć twierdzę. Marsili otwarcie skrytykował Starhemberga, nie zważając na jego wysoki stopień. Również wobec podwładnych był surowy. Wymagał od nich dyscypliny, szybkości działania, oszczędności w wydatkach (niektórzy oficerowie korzystali z pieniędzy wojska jak z własnych). Kazał aresztować za niesubordynację swojego podpułkownika, który oskarżył Marsilego o znęcanie się i doprowadził do zwolnienia go ze służby. Dopiero pod koniec oblężenia doszedł sprawiedliwości.

- W walce Marsili wymagał od swoich żołnierzy lojalności, uczciwości i odwagi. Bezwzględnie donosił na przełożonych, którzy popełnili błąd przypłacony życiem wielu ludzi.

- Odważny - stwierdziłem.

- Ale nierozważny. Na szczęście wrogowie zdolnego oficera nie mogli mu zaszkodzić. Nikt lepiej od niego nie znał terenów, na których toczyły się walki z Turkami.

Dzięki zdobyciu twierdzy Landau Józef Zwycięski okrył się chwałą - ciągnął opat Melani. - To u jego stóp francuski garnizon złożył broń. Niemała część splendoru przypadła Marsilemu, który zyskał opinię największego cesarskiego specjalisty w dziedzinie fortyfikacji i działań oblężni-czych. Hrabia znał tajniki wszystkich szkół wojskowych: francuskiej, niemieckiej, włoskiej. Zyskał sympatię żołnierzy, mimo że traktował ich surowo, jak również oficerów, którzy cenili go za lojalność i bezinteresowność. Nieuczciwość, podobnie jak ciemnota, szkodzi szlachetności wojny.

Margrabia badeński, odsunięty w cień, kipiał ze złości. Marsili osobiście powiadomił króla rzymskiego o jego nieudolności. Co chciał osiągnąć ten wykształcony, uczciwy i prawy Włoch?

Ludwik Badeński wkrótce znalazł sposób, by się zemścić. W grudniu 1702 roku Francuzi zagrozili austriackiej twierdzy Brisach, ważnemu punktowi strategicznemu w

regionie Breisgau. Księżę polecił Marsilemu, by udał się do Brisach i udzielił pomocy innemu Włochowi, marszałkowi Dell'Arco, w razie gdyby ten zachorował (dziwnie podejrzone wytłumaczenie). Margrabia Badeński dobrze wiedział, że Marsili i Dell'Arco nie lubili się i razem niewiele mogli zdziałać.

Brisach oblegały dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy francuskich. Twierdzy bronił garnizon w sile zaledwie trzech i pół tysiąca ludzi, jak poinformowano Marsilego. W rzeczywistości było ich jeszcze mniej i źle uzbrojonych. Działa były zepsute, brakowało saperów (niezbędnych podczas obrony fortyfikacji), w fosie nie było wody, koniecznej do powstrzymania wroga. Hrabia natychmiast napisał do margrabiego badeńskiego, donosząc o rozpaczliwej sytuacji, nie otrzymał jednak odpowiedzi. Kazał więc wzmocnić fortyfikacje, co dało początek sporom z Dell'Arco. Marsilego aresztowano na sześć tygodni. Skończyły się pieniądze, żołnierze nie dostawali ani grosza, zaczęli narzekać. Hrabia próbował zaciągnąć pożyczkę w pobliskiej twierdzy Fryburg, ale bez powodzenia. Wobec tego polecił wybić ołowiane monety i rozdać je żołnierzom. Gwarancją był jego majątek.

- Podobnie uczynił Melac, francuski dowódca w twierdzy Landau - wtrąciłem.

- I tak powinien uczynić każdy prawdziwy dowódca w takiej sytuacji - zauważył Atto poważnym tonem. - Właśnie dlatego oficerowie powinni wywodzić się z zamożnych arystokratycznych rodów.

Była druga połowa sierpnia 1703 roku. Niewielki cesarski garnizon stawiał bohaterski opór, lecz Francuzi pod dowództwem księcia Burgundii brali górę, przede wszystkim jednak dzięki osobie marszałka Vau-bana, wybitnego inżyniera wojskowego w służbie Króla Słońce.

- Tego samego, który ufortyfikował Landau?

- Tak. Umocnił także twierdzę Brisach, gdy znajdowała się w rękach Francuzów. Znał ją jak własną kieszeń.

Oficerowie cesarscy stracili nadzieję. Tymczasem niestrudzony Marsili własnoręcznie naprawił działa, obmyślił miejsca na ładunki wybuchowe i przesieki, otoczył się żołnierzami, którzy mieli jeszcze chęć walczyć. Dell'Arco zwołał naradę wojenną. Oficerowie nie wierzyli już w nadejście posiłków i jednogłośnie postanowili poddać twierdzę. Jedyne hrabiemu Marsilemu zależało na ratowaniu honoru. Postawił warunek: Francuzi oddadzą garnizonowi honory wojskowe, oświadczył dobitnie, z werblastami i rozwiniętymi sztandarami. Ósmego września 1703 roku oddziały cesarskie, wyczerpane, brudne i zakrwawione, opuściły miasto z podniesioną głową. Francuzi nie wierzyli własnym oczom, że ta niewielka grupa oberwańców tak długo się broniła. Ktoś szepnął zwycięzcom, że duszą garnizonu był hrabia Marsili. Choć wycieńczony, w opłakanym stanie, w jego

zacerwienionych oczach można było wyczytać wściekłość z powodu porażki. Gdyby miał odpowiednich towarzyszy, z pewnością nie złożyłby broni, o nie! Ponieważ tchórzostwo, podobnie jak ciemnota, szkodzi szlachetności wojny.

Najgorsze miało dopiero nastąpić. Marsili, zwolniony wraz z innymi oficerami, wkrótce stanął przed sądem wojennym.

- Z jakiego powodu? - zdziwiłem się.

- DelParco, Marsili i inni oficerowie zostali postawieni w stan oskarżenia za to, że się poddali.

- Przecież nie miał wyjścia! Francuzów było dziesięć razy więcej!

- Posłuchaj dalej. Niedługo potem, 15 lutego następnego roku, wydano wyrok: DelFArco został skazany na śmierć, a Marsili - zdegradowany. Trzy dni później DelfArco został ścięty w Bregenz, na głównym placu, jak zwykły przestępca. Tam też publicznie złamano szpadę Marsi-lego. Żył, ale stracił honor. Żądza zemsty margrabiego badeńskiego została zaspokojona.

Wtedy to waleczny Marsili, ten, który przeżył piekło więzienia tureckiego i tortury, a potem poraniony i zakrwawiony dowlókl się do Bolonii i nade wszystko pragnął służyć cesarzowi, ten, który z podniesionym czołem znosił zawiść, biedę, małostkowość towarzyszy broni, ten, który zyskał szacunek i wdzięczność króla rzymskiego, przyszłego cesarza Józefa I, Marsili erudyta, uczony, bolończyk z arystokratycznym rodowodem, a mimo to zaprzyjaźniony z wojakami, ten, który co wieczór zamykał się w namiocie i opłakiwał poległych, podczas gdy inni oficerowie pili, śmiali się i grali w karty na pieniądze z funduszu garnizonu, ten, który przez długie miesiące trzymał w szachu Francuzów, zrozumiał, że zniszczyła go zawiść jednego człowieka - margrabiego badeńskiego.

Oto do czego jest zdolna żołnierska zazdrość! - zawołał opat z patosem. - Do jakże okrutnych prowadzi czynów! Oto jakich podłości dopuszcza się urażona duma oficera! Iluż niczego nieświadomych żołnierzy podstępnie posłała na śmierć! Iluż odważnych kapitanów osadziła w więzieniu, zastępując ich tchórzami i wałkoniami! Iluż sierżantów zamordowała zdradziecko w kanałach Lombardii, w śniegach Bawarii, w zimnych wodach węgierskich rzek, aby zawiesić na szyi ich wrogów order hańby! Prawdziwym przestępcą nie jest margrabia badenski, lecz ty, żołnierska zawiści, potworze bez twarzy, który złamałeś karierę i życie hrabiemu Luigiemu Ferdinandowi Marsilemu, odzierając go z honoru i czyniąc z niego zdrajcę! To ty zabijasz strzałem w plecy, zniesławiasz ludzi prawych, wywyższasz nieudaczników, pozbawiasz żołnierzy zapasów żywności, przekazujesz błędne informacje o wrogu, wysyłasz na front uszkodzoną broń, odmawiasz pomocy obłączonym, opowiadasz

kłamstwa dowództwu. W bitwach i wojnach uśmiercasz bohaterów, bezceńsz ich ciała, otaczasz opieką zawistników, tchórzów i nędzników, niszczysz ludzi dobrych i prawych.

Atto zamilkł. Stary opat nigdy nie brał udziału w walkach, ale w jego głosie dało się wyczuć gniew człowieka, który dobrze zna okrucieństwo wojny. Pytania cisnęły mi się na usta:

- Powiedział pan, że Marsili jest zdrajcą. Dlaczego?

- Nazwano go tak, ponieważ jako bolończyk i poddany papieża przyjął stanowisko dowódcy armii papieskiej, choć na procesie w Bregenz przysięgał, że nie będzie walczył z wrogami cesarstwa. Do złożenia tej przysięgi został zmuszony, uznał więc, że jest nieważna. Stanowisko generała proponowali mu również Francuzi i Holendrzy, ale nie chciał służyć pod sztandarami tych, którzy zabili jego towarzyszy broni. Mimo to Jego Arcychrześcijańska Wysokość zaprosił Marsilego do Paryża i z wszelkimi honorami przedstawił na dworze: „Hrabia Marsili, który wiernie służył Austrii i po upadku twierdzy Brisach został niesłusznie zdegradowany. Spotkała go wielka niesprawiedliwość”.

Opowieść o okrutnym, nedorzecznym losie hrabiego wzbudziła we mnie uczucie gniewu, żalu i współczucia. Oto jak odwdzięczono mu się za wierność cesarstwu!

Podał mi laskę i pomógł opatowi Melanemu podnieść się ze schodków, żeby rozprostował zdrętwiałe nogi.

- Krótko mówiąc - zagałem, gdy podjęliśmy spacer - pańskim zdaniem księciem sabaudzkim kierowały równie niskie pobudki jak margrabią badeńskim. Do tej pory jednak, nie licząc sfalszowanego listu, przedstawił mi pan jedynie hipotezy. Czego dowodzi moneta Landau, którą Eugeniusz trzymał w dłoni podczas audiencji u agi? Niczego. Może przypomina ona księciu nie o doznanej zniewadze, lecz o najwspanialszym zwycięstwie ukochanego władcy. Wierność Eugeniusza wobec cesarstwa jest powszechnie znana. Mimo że czuł się niedoceniony i zawiedziony po zwycięstwie pod Landau, a Józef I zabronił mu walczyć w Hiszpanii, trudno uwierzyć, by książę sabaudzki spiskował przeciw władcy przez zwykłą zawiść lub z obawy, że wskutek pokoju utraci swoją pozycję.

- Nie znasz ani historii starożytnej, ani ludzi pokroju Eugeniusza.

- Co pan ma na myśli? - zapytałem. - Już wcześniej użył pan tego określenia.

- Nie chciałem o tym mówić, ale skoro nalegasz... Tym bardziej że nie ma naszej winy w tym, że Eugeniusz jest... jak by to powiedzieć? - zawahał się Melani.

W milczeniu oczekiwałem właściwego słowa.

- Mężczyzno-kobietą - oznajmił z westchnieniem.

- Mężczyzno-kobietą? - wystraszyłem się. - Chce pan powiedzieć, że jemu też

obcięli... tego tam...?

- Nie, źle mnie zrozumiałeś! - wykrzyknął Atto. - Eugeniusz lubi... mężczyzn!

Opat, zniecierpliwiony moimi pytaniami, wyjaśnił mi to wprost.

- Minister wojny? Najodważniejszy generał armii cesarskiej?

- Tu, w Austrii, utrzymuje się to w tajemnicy - ciągnął opat. - Za to w Paryżu wszyscy o tym wiedzą.

- Nie wierzę! - zaprotestowałem. - Być może Eugeniusz Sabaudzki jest zbyt ambitny, jak pan twierdzi, zazdrosny o cesarza, ale na pewno nie jest...

Zawahałem się, podobnie jak przedtem opat. U mego boku siedł Atto Melani, słynny kastrat, nieszczęsna istota, pozbawiona męskości wskutek okrutnej decyzji rodziców. W latach wczesnej młodości był znanym, cenionym śpiewakiem. Jako homoseksualista poznał zapewne ból szyderstwa.

Atto wyczuł moje zakłopotanie. Wybawił mnie z opresji, kontynuując opowieść.

- W dzieciństwie Eugeniusz czuł się nieszczęśliwy. Wzrastał w Hotel de Soissons, paryskiej rodowej rezydencji, wspaniałym pałacu, gdzie nie brakowało zabaw i rozrywek. Rodzice otoczyli go guwernantkami i opiekunkami, nie dając mu swojej uwagi ani miłości. Matka Eugeniusza była znaną intrygantką, miała bzika na punkcie dworskich spisków i walki o władzę w Wersalu. Przypuszczalnie była też trucicieiką, skazaną w końcu na wygnanie. Nie miała czasu dla małego Eugeniusza, najmłodszego z licznych dzieci. Ojciec był człowiekiem słabego charakteru, nie potrafił zaradzić błędom żony. Zmarł przedwcześnie (podejrzewano nawet, że go otruła). Chłopiec podlegał wpływom starszych braci i młodych arystokratów, rozwiązanych, aroganckich i zepsutych. Synowie robili, co chcieli, nie obowiązywały ich żadne zakazy, nie mówiąc o dyscyplinie. Lokaje i majordomowie byli bezradni wobec rozpasania książąt. Rodzice nie dbali o wychowanie i wykształcenie swoich dzieci. Nie sprowadzili na dwór nauczycieli ani wychowawców. Chłopcy nie uczyli się pod okiem guwernerów jak inne dzieci z ich sfery. Czas upływał im na igraszkach, zabawach, psikusach. Nie znali granic ani bojaźni bożej.

Gdy opiekunowie ośmielali się zwracać im uwagę, że nie należy niszczyć sprzętów, że jakaś zabawa może być niebezpieczna, że nie wolno używać brzydkich wyrazów, nieliczących z godnością arystokratów, kwitowali to śmiechem, przekleństwami, żartami, a nawet pluciem - ciągnął Atto. - Po beztróskich latach Eugeniusz wszedł w okres dojrzewania. Chłopcy w tym wieku zaczynają interesować się dziewczętami - wyjaśnił opat Melani. - Z taką samą lekkomyślnością jak w dzieciństwie zabawom oddają się innym rozrywkom. Nie drżą już ze złości, kiedy ktoś odbierze im ulubioną zabawkę, uderzy drewnianym mieczem

czy wymierzy kopniaka. Drzenie wywołuje coś całkiem innego. Do tej pory usta służyły do plucia, śpiewania i mówienia, teraz do całowania. Próżniacze życie zbierało żniwo.

Przedtem uległe opiekunki, w obawie, żeby chłopcy nie wyrządzili sobie krzywdy, zabraniały im bliższej styczności z rówieśnikami. Teraz odwracały się zażenowane, nie znajdując odpowiednich słów (ani odwagi), by zabronić młodym księżętom uprawiania seksu grupowego.

Jedni patrzyli, jak zabawiają się pary, trójki i czworokąty, następnie zamieniano się miejscami. Dla urozmaicenia stosunki odbywano na różne sposoby, bez żadnych ograniczeń. Dni były długie, energia niespożyta, brakowało hamulców.

Nuda i bogactwo prowadzą niekiedy na dziwne tory, oszczędzę ci szczegółów. To rzeczy powszechnie znane, ze słyszenia oczywiście - uściślił opat poważnym tonem.

- W zimne dni zabawy odbywały się w pałacu. Za zasłonką, w ciemnym kącie, pod schodami dogadzały sobie pary lub więcej osób, jak popadło, bez zbędnych ceregieli. Z dziewczętami lub bez nich.

Francuzi nazywają to włoską skłonnością - oznajmił opat Melani z nagłym ożywieniem. - Z podobną hipokryzją Włosi nazywają syfilis chorobą francuską. Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku wynika to z chęci przypisania innym własnych błędów. Powiedzmy sobie jasno: czyż to nie Francja jest ojczyzną owej skłonności? Mężczyzno-kobiety zrodziły się na ziemiach Wercyngetoryksa. Czyż symbolem Francji nie jest kogut? Moim zdaniem ptak ten najlepiej odzwierciedla głupią, napuszoną arogancję francuskich pederastów.

Opat Melani rozżościł się na Francję i homoseksualistów, on, naturalizowany Francuz i pederasta (choć przez całe życie kochał jedną kobietę). Odniosłem wrażenie, że na starość znienawidził to, co niegdyś miało dla niego wartość: dzięki Ludwikowi XIV stał się bogaty i wpływowy, talent śpiewaka kastrata otworzył mu drzwi do wielkiego świata (Atto był synem ubogiego dzwonnika). Najgłośniejszą znieważają homoseksualistów osoby o takich samych skłonnościach.

Jakby od lat czekał na tę sposobność, opat zaczął sypać nazwiskami najśłynniejszych pederastów Francji.

- Henryk III Walezjusz, Ludwik XIII (ojciec Jego Arcychrześcijańskiej Wysokości), Gaston Orleański (wuj Jego Wysokości), Monsieur (brat Jego Wysokości) - wszyscy znajdowali upodobanie w *mignons*, chłopcach.

Zaniemówiłem ze zdumienia. Arcychrześcijańskiego Króla otaczali sami zбочeńcy.

Lista nazwisk doskonale znanych na ziemi francuskiej była równie długa: Wielki

Kondeusz, kawaler lotaryński, Guiche, d'Effiat, Mani-camp, Chatillon... Krewni Eugeniusza: starszy brat Filip, dwaj kuzyni Ludwik i Filip Vendôme, księżę Turenne i młody Francois Louis de la Roche-sur-Yon. Wymieniając te osoby, Atto dał mi do zrozumienia, że homoseksualizm łączył się niekiedy z kazirodstwem.

Wszystkie te postacie zdawały się wykonywać jakiś obsceniczny, miłosny taniec efebów i dojrzałych mężczyzn, wbrew naturze, religii, przyzwoitości. Paryscy rozpustnicy spędzali szalone orgiastyczne noce pachnące olejkami, którymi się nacierali, przebierali się w kobiece stroje, przymierzali przed lustrem spódnice, bransolety, kolczyki...

- Nazywają to włoską skłonnością! - powtórzył Melani, jakby urażony. - Na jakim włoskim dworze znajdziesz równie ohydne rozpasanie? Na którym z dworów Europy? W Anglii były tylko dwa powszechnie znane przypadki: Edward II Plantagenet i Wilhelm III Orański, ale on był Holendrem. Pierwszy pochodził w prostej linii od pięknej, rozpustnej Eleonory Akwitańskiej, babką drugiego była Henrietta, siostra króla Francji Ludwika XIII. Były to zatem pojedyncze przypadki, w żyłach tych panów przeważała krew francuska. Na dworze francuskim natomiast rozpustników było tylu, że trudno ich porachować. Ma rację księżna palatyńska, twierdząc, że we Francji po bożemu kocha się tylko plebs! W wyższych sferach mężczyźni nie dzielą się na zniewieściałych i homoseksualistów, gdyż w błocie nie da się odróżnić wody od ziemi.

Wsluchany w słowa Atta, odbierałem cios za ciosem. Nawet Wilhelm Orański, o którego czynach dowiedziałem się podczas pierwszego spotkania z opatem Melanim przed trzydziestu laty, był mężczyzno-kobietą!

- Czterdzieści lat temu - ciągnął opat - kawaler lotaryński oraz jego przyjaciele Tallard i Biran założyli w Paryżu tajną sektę, przeciwną naturze. Jej członkowie, niektórzy żonaci, przysięgali, że nigdy więcej nie tkną kobiety. Nowi adepci mieli obowiązek poddać się „badaniu” przeprowadzanemu przez czterech wielkich mistrzów, stojących na czele bractwa. Przysięgali też, że utrzymają w tajemnicy istnienie sekty i jej „obrzędki”.

Ugrupowanie cieszyło się wielkim powodzeniem. Codziennie napływali nowi kandydaci, w tym także znane osobistości. Na przykład hrabia de Vermandois, nieślubny syn Ludwika XIV i pani La Valliere, który miał zaszczyt osobiście wybrać wielkiego mistrza w celu przeprowadzenia „badania”.

Pozostałym trzem zrobiło się przykro, ponieważ hrabia był wyjątkowo pięknym mężczyzną - oznajmił Atto z zakłopotaniem, świadczącym zapewne o preferencjach opata w młodości.

Słuchając Melaniego, coraz lepiej go rozumiałem. Dostrzegłem ulgę, z jaką przeżywał



ostatni etap swojego długiego życia. Przestał myśleć o skutkach kastracji, która uniemożliwiła mu uprawianie miłości z kobietami. Starość ugasiła żądze i ukryła pod zmarszczkami ślady zniewie-ściałości, podobnie jak uspiła męskość jego rówieśników. Biel na twarzy, róż na policzkach i czarne pieprzyki nie raziły jak dawniej, gdyż opat nakładał je teraz z umiarem, niczym elegancki arystokrata. Nie przyozdabiał się też czerwonymi i żółtymi kokardkami i frędzlami. Nosił ciemne stroje, jak przystało osobom w podeszłym wieku.

W wieku osiemdziesięciu pięciu lat Atto był staruszką takim jak inni. Czerpał przyjemność z tego, że wreszcie może dać upust złości na mężczyzno-kobietę, którym był za młodu.

- Twierdzi pan zatem, że ojciec, wuj i brat Jego Wysokości króla Francji są homoseksualistami - powiedziałem z niedowierzaniem.

- Tak. Jego brat przez długie lata zmieniał chłopców jak rękawiczki, a król udawał, że tego nie widzi. Jakby to było zupełnie normalne.

Nie zdążyłem zadać kolejnego pytania, gdyż Atto mnie ubiegł.

- No cóż... - powiedział poważnie. - Do podobnych nikczemności nakłaniano samego króla, ale w jego przypadku próby „nawrócenia” go na szczęście spełżyły na niczym.

Pederastia - ciągnął Atto - zrodziła się w starożytnej Grecji. Antyczni filozofowie i artyści wyżej cenili piękne ciała młodzieńców niż dziewcząt. W tym wirze zakazanych zabaw, skrywanych namiętności i perwersyjnych eksperymentów, w który rzucił się cały Paryż, Eugeniusz czuł się osamotniony, ponieważ... był brzydki. Był w wieku, kiedy oczy nabierają wyrazu, wargi stają się nabrzmiałe, biodra i piersi dziewcząt krągłe, a ramiona chłopców mocne i szerokie. W tym wieku budzą się zmysły i świadomość własnej cielesności.

Eugeniusz już jako dziecko nieurodziny, gdy dorósł, stał się po prostu brzydki. Miał zadarty nos, opadłe kąciki ust, chudą szyję i wątłe ciało, przypominające stare wyschnięte ciastko. Ciemne oczy pozostały po dziecinnemu okrągłe. W przeciwieństwie do pięknych fryzur kolegów, jego czarne włosy były matowe, płasko przylegające do głowy. W dodatku był niskiego wzrostu, najmniejszy z całej paczki. Widziałeś Eugeniusza z bliska? - zapytał opat Melani.

- Nie, ale Cloridia opowiadała, że ma dziwną twarz, niezbyt ładną.

- Niezbyt ładną, powiadasz? Ma bardzo krótki nos i wystające przednie zęby, jak u królika. Oddycha przez usta. Przyjaciele nazwali go Psim Nosem.

Gardzili nim w dwójnasób. Wykorzystując słabość fizyczną Eugeniusza, gwałcili go w kuchni lub na schodach dla służby. Służące udawały, że tego nie widzą. Wszyscy

wyśmiewali się z niego, używając okropnego przydomka. Eugeniusz zasilił więc szeregi męzczyzno-kobiet.

Jeśli nadarzy się okazja, przyjrzyj się portretom księcia. Jest na nich piękniejszy niż w rzeczywistości. Ma inne oczy, podobnie jak nos i usta. Malarze i rytownicy nie wiedzieli o jego skłonnościach, dlatego też nie pomyśleli, by Eugeniusz nie wyglądał jak stara rozhisteryzowana kura z uniesionymi brwiami, mdłym wyrazem twarzy, przesadnie wypiętą pierśią, cechami typowymi dla homoseksualisty - powiedział Melani z obrzydzeniem.

- Podobnie jak inni pederasci, książę żył w ciągłym poczuciu winy i wstydu, stał się dwulicowy niczym kobieta. Opanował kobiecą sztukę udawania, dwuznaczne słówka, język aluzji. Jest ponury i długo nie zapomina o urazach. Miałeś tego dowód podczas audjencji agi, kiedy bawił się starą monetą z Landau. Dostał ją zapewne od któregoś z uczestników obłędnia, sam bowiem nie brał udziału w ostatecznym ataku, zmuszony oddać pole walki Józefowi. Strzeże jej jak zatrutego sztyletu. Moneta przypomina księciu o dniu, w którym młody Józef odebrał mu wojskowe laury. Zdarzenie odosobnione, ale świadczące o tym, że sława generała bywa krucha i uzależniona od kaprysu władcy.

Śluchając słów opata, rozmyślałem o Eugeniuszu pogromcy Turków pod Zentą, zdobywcy północnych Włoch, zwycięzcy w rzezi pod Hóch-stadt... Jeden z najwybitniejszych dowódców Europy wynurzał się z otchłani występku i zatracenia. Teraz rozumiałem, dlaczego kilka dni temu, w czasie naszej pierwszej rozmowy, Melaniem wymknął się przydomek wymyślony przez towarzyszy Eugeniusza. Opat doskonale znał ciemną stronę natury najjaśniejszego księcia sabaudzkiego.

- Jak już mówiłem, pragnąc odciągnąć naszego bohatera od złego towarzystwa, rodzice postanowili, że zostanie księdzem. Podczas podróży do Turynu matka kazała mu przyjąć tonsurę opata - ciągnął Melani. - Oficjalnie zerwał ze światem i ziemskimi rozkoszami, ale gdy wrócił do Paryża i spotkał się z przyjaciółmi, grzeszył jak dawniej. Zrezygnowano więc z myśli o karierze duchownego.

W tym czasie Eugeniusz zyskał nowe przydomki - powiedział Atto ze złośliwym uśmieszkiem. - Wszystkie bardzo dowcipne, na przykład *madame* Simone czy *madame* UAncienne, czyli stara. Zapewne dlatego, że kiedy ubierał się w damskie suknie, pomarszczona twarz nadawała mu wygląd staruszki.

- Nosił kobiece stroje? - zapytałem zaskoczony.

- Oczywiście! Nie pamiętasz, co ci opowiadałem przed kilkoma dniami? Eugeniusz uciekł z Francji, żeby służyć cesarzowi, przebrany za kobietę - powiedział ze śmiechem Atto.

- Z kolei jego matka i ciotka, które uciekły z Rzymu od mężów, przebrały się za

młodzieńców. Mimo wszystko kobieta w męskim stroju nie jest tak śmieszna i godna pożałowania jak mężczyzna w spódnicy.

- Nie rozumiem. Jeśli Eugeniusz rzeczywiście jest zniewieściał, jak to możliwe, że został wybitnym generałem? Wojna nie jest dla mięczaków. Księżę brał udział w najcięższych kampaniach, w oblężeniach, atakach kawalerii, krwawych walkach. Prowadził działania wojenne...

- Nic w tym niezwykłego - odparł Atto. - Wśród wielkich postaci armii francuskiej było bardzo wielu mężczyzno-kobiet: Turenne, Vendôme, Huxelle, Kondeusz. Mężczyzn traktowali niekiedy jak kobiety, tyle że szorstko, ponieważ w żołnierzach (z ich brodami, muskularni i zapachem) znajdowali potwierdzenie męskiej strony swojej natury. Marszałek Vendôme, potomek króla Francji Henryka IV i bohater wojenny, niechluj i samochwała, pił, palił, dopuszczał się przemocy, dzielił łóżko ze swoimi psami i sikał na nie. Bez żenady załatwiał się przy swoich poddanych do wiadra, jednocześnie z nimi rozmawiając lub wydając rozkazy. Podtykał je pod nos swojemu adiutantowi, a po opróżnieniu i napełnieniu wodą służyło mu podczas golenia. Trudy i okropności wojny były dla niego ukoronowaniem zwierzęcej natury. Tego rodzaju ludzie stawali się kochankami mężczyzn właśnie dlatego, że byli żołnierzami. Eugeniusz był zupełnie inny.

Psi Nos nie stał się homoseksualistą dlatego, że był żołnierzem. Przeciwnie, został żołnierzem dlatego, że był homoseksualistą.

Opat odchrząknął, jakby przeciwko podjęciu kontrowersyjnego tematu buntowały się jego struny głosowe.

- Należy do gatunku pederastów, którzy sami nie wybrali swojego nieszczęsnego położenia. Gdyby mógł, chętnie uniknąłby zniewieścienia. W dzieciństwie jednak, na skutek niezależnych od siebie okoliczności, znalazł się w szeregach mężczyzno-kobiet.

Niełatwo było opatowi mówić o tych sprawach. Dożywszy czcigodnego wieku osiemdziesięciu pięciu lat, pragnął zapomnieć, że on również należał do ludzi pokroju Eugeniusza. Teraz jednak, mówiąc o gwałtach popełnianych na księciu w dzieciństwie, nie mógł udawać, że historia Eugeniusza nie przypomina jego własnego losu. Bolesne wspomnienia sprawiły, że opatowi drżał głos, gdy podjął opowieść.

- W wieku niespełna dwudziestu lat Psi Nos czuł się nikomu niepotrzebny. Bracia i towarzysze zabaw wyśmiewali go, upokarzali, gwałcili, ponieważ był najmniejszy i najbrzydszy spośród nich. Aby uniknąć dalszych prześladowań, księżę postanowił radykalnie zmienić stan rzeczy i najgorszą perwersję zamienić w żołnierską cnotę. Przemiana niebezpieczna i trudna.

Odrzucił damskie fatalaszki i przywdział mundur. Miał zostać kimś innym, choć prawdopodobnie nie miał na to ochoty. Był zmuszony. Nie chciał być dłużej ani Pism Nosem, ani starą *madame*. Skoro nie przyjął święceń kapłańskich, złoży przysięgę wojskową i zostanie kapitanem.

Eugeniusz poprosił Ludwika XIV o powierzenie mu dowództwa nad regimentem. Król odmówił. Księżę uciekł z Francji i przeszedł na stronę wroga. Cesarz dał mu to, czego odmówił król: dowództwo i żołnierzy. Od tej pory jego jedyną religią była wojna.

Stał się bezlitosny, niewzruszony, okrutny, bardziej męski od prawdziwego mężczyzny. Nikt nie znał prawdziwej natury Eugeniusza. Nie pisywał prywatnych listów. Nigdy.

Jeśli komuś udało się przechwycić list księcia, był rozczarowany. Jego korespondencja dotyczyła wyłącznie spraw polityczno-wojskowych. Eugeniusz nie znał uczucia przyjaźni, koleżeństwa, nie targały nim żadne namiętności. Kierował się jedynie poczuciem obowiązku.

Dla Eugeniusza obowiązek był sprawą prostą i sprowadzał się do jednego: zabić jak najwięcej wrogów. Wyklócał się z cesarzem, najpierw z Leopoldem, później z jego synem Józefem Zwycięskim o oddelegowanie go na najcięższe odcinki frontu lub o żołd dla swoich żołnierzy.

Z czasem uległ kolejnemu przeobrażeniu. Kapelan zmienił się w kapitana śmierci. Kiedy dowodził, walczył do ostatniej kropli żołnierskiej krwi. Dzięki temu nikt, a przede wszystkim on sam, nie wiązał imienia Eugeniusza z pokojem i miłością. Poznał pokój w Hotel de Soissons i wiedział, że prowadzi do grzechu.

Nigdy nie miał kochanek płci przeciwnej. Jeśli się trafiały, zwodził je. Kapitan śmierci nie czuł wstrętu do kobiet, ale miał poważniejsze sprawy na głowie. Po pewnym czasie perwersyjna, młodzieńcza skłonność poszła w niepamięć, a z nią dawni towarzysze deprawacji.

Przez wiele lat spadały wokół niego armatnie pociski, żołnierze ginęli jak muchy, przegrywano kampanie, matki i ojcowie opłakiwali śmierć dzieci, przepadały całe nacje. Jeśli jednak pojawiała się możliwość zawarcia pokoju albo zawieszenia broni, stanowczo ją odrzucał. W błocie okopów kapitan śmierci pragnął pozbyć się resztek dawnej *madame*.

Zdarzało mu się czasem zwabić do namiotu młodego wartownika i rozkoszować intymnością. W takich chwilach nie wiedział, kim jest: kapitanem śmierci, kapelanem, Pism Nosem czy starą *madame*. Rankiem zakładał wyglansowane buty i wszystko było jak przedtem.

Teraz już wiesz, dlaczego Eugeniusz jest przeciwny zakończeniu wojny - podsumował Atto, zmęczony rozmową. - Próbowałem dać ci to do zrozumienia przed kilkoma dniami. Masz więc pełny obraz sytuacji. Eugeniusz nie wie, co mógłby robić w czasach pokoju, bez galonów na mundurze. Zapewne stałby się taki jak dawniej. Nienawidzi pokoju, bo się go boi. Nie walczy z Ludwikiem XIV, tylko z samym sobą. A wojna toczy się dalej.

- Nowa polityka Józefa I, czyli pokój z papieżem i zbuntowanymi Węgry, podział Hiszpanii...

- ...mogłyby pchnąć Eugeniusza do zbrodni - wtrącił opat. - Psi Nos mógłby zabić młodego cesarza, który w Landau pozbawił go chwały, a później przeszkodził mu w okryciu się sławą w Hiszpanii. Nie mówiąc o tym, że Józef mógłby go zmusić do powrotu do Wiednia. Wówczas, nie mogąc walczyć, księżę sabaudzki ponownie stałby się starą *madame*. Mordując cesarza, Eugeniusz uwolniłby się od wspomnień, od towarzyszy zabaw w Hotel de Soissons, którzy skradli mu niewinność.

- Nadal nie rozumiem jednego: kto zadał cios? Wśród podejrzanych jest Anglia, Holandia, brat Józefa Karol, jezuita, dawni ministrowie, Eugeniusz Sabaudzki - zapytałem.

- Niestety nie wiem. Śmierć delfina byłaby z pewnością na rękę Anglii i Holandii, ale nie rozumiem, jaką korzyść odnieśliby pozostali. Trzeba przyjrzeć się uważniej Turkom i poznać zamiary derwisza, który domaga się ludzkiej głowy.

- A propos! Pół godziny temu byłem umówiony z Ugoniem! - zawołałem, patrząc na fasadę pałacyku po przeciwnej stronie ulicy, u szczytu którego widniał piękny niebiesko-złoty zegar wskazujący godzinę dziewięć trzydzieści.

Siostrzyczka pukała do drzwi mojego mieszkania już o dziewiętej, gdy pytał o mnie dziwny osobnik. Nigdy przedtem go nie widziała. Zupełnie nie wiedziała, co robić. Cloridii nie było, musiała pilnie udać się do pałacu księcia Eugeniusza. Żona księżęcego pokój owca zaczęła rodzić. Zakonnica powiedziała więc gościowi, żeby przyszedł później.

Ponieważ nie przedstawił się (zgodnie ze zwyczajem), poprosiłem siostrzyczkę, by opisała mi jego wygląd. Wystarczyło kilka detali, bym miał pewność, o kogo chodzi.

Dukając po niemiecku, poprosiłem Simonisa, który właśnie wrócił z moim synkiem z pracy i oczekiwał nowych poleceń, by wyjaśnił zakonnicy, że nie musi się denerwować i spokojnie może wpuścić dziwnego osobnika, ponieważ go znam i zapewniam, że pomimo odrażającego wyglądu jest zupełnie niegroźny. Synkowi powiedziałem, żeby poszedł się pobawić w krużganku.

- Złożywszy waszej mości wyrazy najwyższego szacunku - zaczął uroczyście Ugonio nosowym głosem. Dostrzegłszy Atta, uklonił się. - Z radością stwierdziwszy, że wasza

opatowa mość dobrze się miewa. Wyrazy uznania dla wspaniałej formy.

Kiedy zorientował się, że Atto jest ślepy, złożył mu wyrazy współczucia, robiąc przesadnie zafrasowaną minę.

- Bez trudu cię poznałem - odparł Melani, zasłaniając nos chusteczką z powodu obrzydliwej woni, jaką wydawał płaszcz łowcy relikwii.

Ugonio miał na plecach wielki, stary worek z juty, który zawierał, jak można się było domyślić, same cuchnące obrzydliwości.

- Dość już tych uprzejmości! - powiedziałem. - Jakie nowiny przynosisz?

Wspaniałe i bardzo dobre, odparł Ugonio. Zgodnie z tym, co obiecał podczas poprzedniego spotkania, gotów był wyjawić mi prawdę o tajemniczych związkach z Ciezeberem.

- Mów zatem!

Łowca relikwii cicho chrząknął, jakby na znak zgody. Przytoczone przez niego fakty, które postaram się jak najwierniej odtworzyć poniżej, były doprawdy bardzo dziwne i nieprawdopodobne, ale moje późniejsze badania je potwierdziły.

Wszystko wydarzyło się w 1683 roku, podczas ostatniego oblężenia Wiednia.

Do ataku na miasto namówił sułtana wielki wezyr Kara Mustafa, który osobiście kierował armią turecką i poniósł dotkliwą porażkę. Na nim spoczywała odpowiedzialność za przegraną. Nazajutrz po klęsce Turków los wielkiego wezyra był przesądzony.

Przed rozpoczęciem konfliktu Kara Mustafa był tak pewny zwycięstwa, że obiecał sułtanowi głowę kardynała Collonitza, jednego z głównych zwolenników wojny z Turkami. Pragnąc zyskać boską pomoc Mahometa, przed wyruszeniem na Wiedeń wielki wezyr polecił wznieść w Belgradzie okazały meczet.

Po klęsce sułtan nie zapomniał o obietnicy i postanowił wyegzekwować ją z właściwym sobie okrucieństwem.

- Zrobiwszy wezyrowi żart bardzo podstępny i odrażający - opowiadał Ugonio ze śmiechem.

Dwudziestego piątego grudnia 1683 roku, w dzień narodzin Naszego Pana, a więc szczególnie drogi kardynałowi Collonitzowi (pierwszy żart sułtana), około pierwszej po południu do domu Kara Mustafy w Belgradzie przybyli trzej dworzcy dostojnicy w towarzystwie janczarskiego agi i kilku dobrze zbudowanych osobników. Wielki wezyr niezmiernie się zdziwił na ich widok i spytał, co ich sprowadza i czy coś się stało. Pośród dostojników dostrzegł poważną twarz Capigibachiego, sułtańskiego mistrza ceremonii. Domyślił się więc, że dostojnicy przynieśli rozkazy władcy. Aga oznajmił Kara Mustafie, że

sułtan wydał dekret, a kiedy go pokazywał, osiłki rzuciły się na wezyra.

Udusili wielkiego wezyra sznurem i obcięli mu głowę. Spotkała go zatem taka sama śmierć, jaką poprzysiągł kardynałowi Collonitzowi (drugi żart sułtana). Zgodnie z dawnym tureckim obyczajem, zdarto skórę z twarzy i głowy Kara Mustafy, wypchano ją watą oraz przyprawami korzennymi i przyniesiono sułtanowi na dowód, że wezyr nie żyje. Nagą czaszkę z ciałem i sznurem pochowano w belgradzkim meczecie wzniesionym przez wezyra (trzeci żart sułtana) jako ostrzeżenie dla poddanych Wysokiej Porty, którzy nie dotrzymują słowa.

- Później wydarzywszy się coś bardzo dziwnego - ciągnął cuchnący Ugonio.

Sułtan nie spodziewał się, że po pięciu latach, w 1688 roku, Belgrad znajdzie się w rękach chrześcijan. Po ciężkich walkach oddziały cesarskie pod dowództwem księcia elektora Bawarii i księcia lotaryńskiego wkroczyły triumfalnie do miasta i przejęły władzę. Ponieważ jezuici jako pierwsi zaintonowali *Te Deum*, oni przekształcili meczet Kara Mustafy w kościół katolicki. Uczynili to spowiednik księcia lotaryńskiego ojciec Aloisio Braun oraz ojciec misjonarz Franciszek Ksawery Beringshoffen.

Pewnej nocy dały się słyszeć w meczecie podejrzone hałasy, jakby uderzenia kilofa. Braun i Beringshoffen natychmiast wezwali kilku uzbrojonych ludzi i postanowili sprawdzić, kto o tej porze krąży po meczecie i czy przypadkiem nie chodzi o duchy. Weszli do środka z kropielnicą i lampą, a za nimi uzbrojeni ludzie. Okazało się, że ciszy nocnej nie zakłócały duchy, ale ludzie z krwi i kości - siedmiu muszkieterów z armii cesarskiej, która zdobyła Belgrad. Muszkieterzy, zaskoczeni i wystraszeni, wyznali otwarcie, że walczyli o zdobycie miasta, ale z jakichś powodów nie mogli wziąć udziału w podziale łupów. Nadchodziła zima, a oni nie mieli ciepłych ubrań. Dowiedzieli się, że w meczecie został pochowany Kara Mustafa razem z cennymi przedmiotami i zimowymi okryciami, które bardzo by im się przydały. Weszli do meczetu i sprofanowali grób wielkiego wezyra.

W obawie, że zakonnicy rozgniewają się na nich za znieważenie meczetu, który prawnie należał do Towarzystwa Jezusowego, muszkieterzy zaproponowali, że zwrócą jezuitom wszystko, co znaleźli w grobie Kara Mustafy, łącznie z jego głową.

To powiedziawszy, Ugonio zaczął szperać w brudnym jutowym worku i wyciągnął z niego przedmiot wielkości melona, zawinięty w kawałek szarego płótna. Kiedy go odwinął, cofnęliśmy się odruchowo, także opat.

Była to ludzka głowa pokryta warstwą srebra. Bez trudu można było dostrzec rysy twarzy wezyra, wysokie czoło, długi orli nos, jak u Żydów, małe oczy, ślady zarostu na policzkach i zmarszczone brwi. W wyniku gwałtownej śmierci twarz zmarłego przybrała

grymas bólu.

- A więc to jest... - zawahałem się.

- ...głowa Kara Mustafy - dokończył oszołomiony Atto.

- Głowa, o którą dopominał się Ciezeber! - zawołałem.

Ugonio pokazał mi znalezisko, któremu przyjrzałem się z ciekawością, wstrętem i szacunkiem. Wolałem jednak, żeby pozostało w rękach łowcy relikwii.

W posrebrzonej twarzy, w grymasie cierpienia, w gwałtownym kurczu streszczała się tragedia ostatniego oblężenia Wiednia: szalony pomysł Kara Mustafy, krwawa bitwa, klęska Osmanów, straszliwa śmierć wielkiego wezyra, który pragnął rzucić na kolana chrześcijaństwo. Ilu zabitych była warta jedna zmarszczka na tej twarzy, wykrzywionej wskutek uduszenia? Ilu maszerujących żołnierzy widziała? Ile łez wdów, rannych i sierot odpowiadało jednej łzie Kara Mustafy? Srebrna patyna, która miała chronić ludzką głowę przed rozkładem, była w istocie pomnikiem wystawionym marności tego świata.

Kątem oka obserwowałem Atta. Ukryty za ciemną zasłoną okularów, był równie przerażony jak ja. Ileż podobnych pytań stawiałem mu przed laty! Tym razem to ja kierowałem grą, byłem Człowiekiem dojrzałym, doświadczonym. Stary Atto, pomyślałem z mieszaniną dumy i współczucia, był w wieku, w którym nawet najwięksi śmiałkowie zmieniają się w zwykłych szeregowców.

Ocknąłem się z zamyślenia, powracając do teraźniejszości.

- Dlaczego bałeś się opowiedzieć nam tę historię? - zapytałem Ugo-nia. - Obawiasz się Ciezebera?

- Zmniejszając skrupuły, żeby nie powiększać wątpliwości, przysięgłszy, że nikomu nie powiem o robocie, którą zleciwszy mi derwisz. Osmanowie pilnie domagawszy się głowy wielkiego wizjonera. Wierzywszy, że oddała nieszczęścia i pomoże im stworzyć silną armię i zdobyć Wiedeń.

Turcy sądzili więc, że głowa zmarłego wezyra pomoże im osiągnąć to, czego jemu nie udało się dokonać za życia. Byłem zdeorientowany, w świetle opowieści Ugonia dotychczasowe wydarzenia wyglądały bowiem zupełnie inaczej. Okazało się, że kiedy Ciezeber domagał się czyjejs głowy, nie mówił o zabójstwie cesarza, lecz o głowie Kara Mustafy. Derwisz najął Ugonia nie po to, by zlecić mu morderstwo, ale ze względu na jego wieloletnie doświadczenie w handlu relikwiami i okradaniu grobów.

A ja myślałem, że w grę wchodzi życie cesarza!

Ugonio dokończył opowieść o obciętej głowie. Z Belgradu jezuici zawieźli głowę Kara Mustafy do Wiednia i wręczyli ją kardynałowi Collo-nitzowi. Tym samym wypełnił się



okrutny odwet sultana. Siedemnastego września 1689 roku kardynał złożył ją w miejskim arsenale. Od tamtej pory upłynęły dwadzieścia dwa lata.

- Jak, do licha, zdobyłeś tę głowę? Skąd wiedziałeś, gdzie była? - spytał Atto.

- Przeprowadziwszy dokładne śledztwo, po czym dokonawszy kradzieży - wyjaśnił Ugonio.

Łowca relikwii nie tylko zlokalizował głowę wezyra, ale także ją wykradł. Prawdę mówiąc, pomyślałem, w Rzymie wykonywał setki podobnych operacji.

Ugonio, jak sam powiedział z nieskrywaną dumą, cieszył się uznaniem kolekcjonerów relikwii. Podobnie jak w Wiecznym Mieście istniał duży popyt na szczątki świętych, tak w stolicy cesarstwa wzrastało zapotrzebowanie na wszystko, co wiązało się z oblężeniami Wiednia, zwłaszcza na pociski tureckich armat. Łowca relikwii wymienił całą serię najbardziej pożądanych przedmiotów, takich jak kamienna kula ważąca 40 kilogramów, którą wystrzelono z Wyspy Leopolda w 1683 roku. Kula utkwiała w fasadzie pobliskiego pałacu Neustadter Hof, położonego pomiędzy PreBgasse (ulicą Prasy) a Krebsgasse (ulicą Kraba), i można ją podziwiać do dziś, wraz z napisem upamiętniającym zdarzenie. Dużym zainteresowaniem cieszyły się też trzy pociski armatnie o średnicy około jednego metra, wmurowane w ściany domu Pod Trzema Kulami (i opatrzone kamienną tablicą) w miejscowości Sievering niedaleko Wiednia. Albo też słynna Złota Kula, wystrzelona przez Turków szóstego sierpnia 1683 roku i do dziś widoczna w fasadzie gospody przy placu Am Hof, należącej do radcy miejskiego Michaela Motza, który polecił pozłocić kulę, a gospodę nazwał Pod Złota Kulą. Albo turecka kula tkwiąca w ścianie piwiarni Pod Złotym Smokiem przy Steindlgasse. Piwnica Esterhazych przy Haarhof również obfitowała w święte tureckie relikwie, jako że obrońcy miasta z 1683 roku chętnie raczyli się tu wieczorami kieliszkiem dobrego wina. Nie mówiąc już o niezwykle rzadkich pamiątkach po królu Polski Janie III Sobieskim, który trzynastego września 1683 roku, nazajutrz po zwycięstwie nad Osmanami, w kaplicy loretańskiej osobiście odmówił *Te Deum*. Wreszcie, powiedział Ugonio, łykając ślinę, relikwia nad relikwiami! Otóż w romańskiej kaplicy Schottenkirche, kościoła

Szkotów, mieści się najstarszy posąg maryjny Wiednia, sprzed czterystu lat. Wierzono, że posąg w cudowny sposób ugasił pożar, który wybuchł w pierwszych dniach oblężenia 1683 roku.

Jak należało się domyślać, wyżej wymienione obiekty miały wkrótce paść ofiarą zachłanności Ugonia. Słuchając wyliczanki łowcy relikwii, zamyśliłem się.

Miałem mętlik w głowie. Tak więc głowa należała do Kara Mustafy, obrzędy Cizebera miały cel terapeutyczny, nieszczęsny staruszek opat Melani dopuścił się

haniebnego fałszerstwa, które nie przyniosło rezultatu. Tymczasem cesarz ciężko zachorował, podobnie jak delfin!

Sprawa dotyczyła głównie Atta, w znacznie mniejszym stopniu mnie. Teraz kiedy Atto wyznał, że władcy Europy przestali się z nim liczyć, mogłem odetchnąć z ulgą, gdyż nie groziło mi, że skończę na szubienicy za zdradę. Ale chwileczkę, pomyślałem z niepokojem, przecież ktoś zamordował Daniła, Christa i Dragomira, towarzyszy Simonisa! Bułgar i Rumun, jak zauważył opat, byli poddanymi Wysokiej Porty. W dodatku, zdaniem Atta, nie można było wykluczyć, że trzy zabójstwa były ze sobą powiązane.

Jedno było pewne: do tej pory nie udało nam się zrozumieć sensu słów, które aga powiedział po łacinie. Nie było to z pewnością niewinne zdanie, jak twierdziły osoby uczestniczące w audiencji w pałacu księcia Eugeniusza. Od tamtej pory zginęło trzech studentów prowadzących badania nad kwestią złotego jabłka. To nie wszystko. Christo przed śmiercią wyznał Simonisowi, że zagadka kryła się w słowach *solī solī solī*, które miały coś wspólnego z szach-matem. *Shah matt*, król jest zamknięty - tak było napisane na bileciku znalezionym w szachownicy Bułgara. Co znaczyło to zdanie? Żeby to wyjaśnić, powinniśmy chyba zacząć wszystko od początku, skupiając się na grze w szachy. Trzej studenci nie żyli, cesarz miał się źle, nie było czasu. Droga, którą wskazał nam Bułgar, wiodła w ślepy zaułek.

Choć opat twierdził, że dziwne opowieści o złotym jabłku były jedynie bezsensownymi legendami (jak nie przyznać mu racji?), stanowiły one jedyny ślad prowadzący do zrozumienia sensu słów agi. A może nie jedyny?

Wyjąłem z kieszeni kółko z kluczami Ugonia. Odruchowo wyciągnął po nie rękę, mrużąc coś pod nosem.

- Nie tak prędko - powiedziałem, chowając za plecami brzęczący metalowy pierścień.

Łowca relikwii przeszył mnie spojrzeniem swoich zaczerwienionych oczu.

- Najpierw opowiesz mi o swoich najbliższych planach - oznajmiłem stanowczo.

- Muszę dostawić się do pałacu Eugeniusza - odparł, patrząc na klucze - i przekazać derwiszowi głowę wielkiego wizjonera.

- Gdy dostarczysz głowę Kara Mustafy, nie będziesz się musiał niczego obawiać. Czy tak?

Ugonio milczał, dając mi do zrozumienia, że się nie myliłem.

- W porządku. Jeśli więc chcesz odzyskać klucze, musisz zrobić jedną rzecz. Zaszło pewne nieporozumienie i nasza poprzednia umowa się nie liczy. Sądziliśmy, że zanoszą się na morderstwo, tymczasem chodziło o misję... powiedzmy, archeologiczną, czyli poszukiwanie głowy Kara Mustafy. Rozumiesz zatem, że straciliśmy tylko czas, żeby dowiedzieć się, że nie

masz nam nic ważnego do powiedzenia. Musimy zatem zmienić umowę. Oddam ci klucze, jeśli dowiesz się, co głosi napis na iglicy katedry św. Szczepana, gdzie kiedyś było złote jabłko! - oświadczyłem, pamiętając o tym, że Ugonio starał się pozyskać diakona katedry i wydobyć od niego informacje na ten temat. - Przykro mi, ale dopiero wtedy uregulujemy rachunki.

Moje słowa wywołały zdecydowany sprzeciw Ugonia („To podstępne, haniebne, zdradzieckie oszukaństwo!” - krzyczał oburzony), ale wobec nieugiętej postawy mojej i Atta, jak również muskułów Simonisa, zaprzestał protestów i dał za wygraną, mruczając coś pod nosem. Nie miał wyboru. Trzymaliśmy go w szachu. Tak naprawdę nie mieliśmy najmniejszego zamiaru na niego donosić. Po zamordowaniu studentów woleliśmy trzymać się z dala od straży miejskiej, podobnie jak Ugonio, ale on o tym nie wiedział. Chciał wieść spokojne życie.

- Bardzo dobrze znawszy ten napis! - wykrzyknął Ugonio, wpatrując się w swoje ukochane klucze.

- Naprawdę? - zapytałem z powątpiewaniem.

- Mów więc! - ponaglił opat Melani. - Kto ci o nim powiedział?

- Poinformowawszy mnie... powiedziawszy mi o nim... sekretarz burmistrza.

- Sekretarz burmistrza? Jak, kiedy, na litość boską?

- Dokładnie dwa lata, sześć dni i trzynaście godzin temu - uściślił Ugonio, kładąc dłoń na piersi na znak przysięgi.

- Jak to? Jeszcze wczoraj go nie znałeś. Jak zatem brzmi to zdanie?

- Hm... ten tego... *Quispomum aureum* - wyrecytował łowca relikwii, podnosząc do góry palec prawej ręki, jakby skandował mowę Cycerona - *de multiis cognoravisti... etiam Viennam multorum turcarum... talis melamangiaturpaternosteramen.*

Zanim łowca relikwii powiedział niezrozumiałe słowo, długo się wahał, jakby nie mógł go sobie przypomnieć.

- Możesz powtórzyć? - zapytał opat Melani, zaskoczony. Ugonio wziął głęboki oddech, jakby szykował się do zanurkowania.

- *Quis pomum aureum, de multiis ignoravisti...* - zaczął.

- Przedtem powiedziałaś *cognoravisti*, a nie *ignoravisti*. Ugonio odsłonił żółte zęby w uśmiechu.

- Zbytnio się wysiliwszy i zapomniawszy.

- Zapomniałeś też, jak sądzę, że archanioł Michał napisał tylko siedem słów. Sam mi o tym mówiłeś, pamiętasz? - spytałem.

- Hm... tak, pamiętam...

- Dość tego, Ugonio! - przerwałem mu. - Widzę, że nie ma innego wyjścia.

Wstałem i podszedłem do szafki z narzędziami kominiarskimi. Wyjąłem duże obcęgi i udałem, że chcę nimi przeciąć metalowy pierścień z kluczami.

- Nieee! - wrzasnął łowca relikwii, rzucając się na mnie. Powstrzymały go silne ramiona Simonisa.

- Zatrzymaj dla siebie te śmieszne kłamstwa - upomniałem Ugonia. - Naprawdę muszę wiedzieć, co jest napisane w miejscu, gdzie dawniej było złote jabłko. Jeśli mi nie pomożesz, przetnę kółko i wrzucę te klucze do Dunaju, jeden po drugim.

- Wygrał pan. Spotkajmy się więc dziś wieczorem.

- Tak szybko? Uważaj, bo jeśli znowu mnie oszukasz...

Po dostarczeniu głowy derwisza Ugonio miał do załatwienia „coś pilnego i apetycznego”, jak oznajmił z uśmiechem. Zapewne chodziło o jakiś odrażający handelek. Potem zapowiedział, że dołoży wszelkich starań, by sprawdzić napis archanioła Michała. Był umówiony z diakonem katedry i miał nadzieję, że wkrótce przyniesie nam dobre wieści.

- O ile dobrze pamiętam, diakon jest kolekcjonerem relikwii. Nie wciskaj mu żadnych bubli, bo będziemy musieli pożegnać się z myślą o poznaniu objawienia archanioła.

- A ty z kluczami - dodał Simonis ze śmiechem.

Uzgodniliśmy, że spotkamy się w klasztorze w porze kolacji, czyli o godzinie siedemnastej. Wieczorem, wyjaśniłem Ugoniowi, będę zajęty, mam próbę oratorium w cesarskiej kaplicy.

Łowca relikwii przypomniał nam, żebyśmy stawili się na spotkanie z kluczami. Bez nich nie mógł prowadzić swoich „interesów” i jak zapewnił, groziło mu bankructwo. Był stary i zmęczony, musiał więc zgromadzić środki na ostatnie lata życia.

Ugonio uspokoił się nieco, kiedy przysiągłem uroczyście na Biblię, że będę strzegł jego kluczy, jakby były ze złota.

Po nieudanej próbie odzyskania kluczy twarz łowcy relikwii stała się jeszcze bardziej szara, obwisła i pomarszczona. Ugonio włożył do worka głowę derwisza i wyszedł, zostawiając po sobie odór stęchlizny, ten sam, jaki poczułem przed dwudziestu ośmiu laty, gdy w podziemiach Rzymu natknąłem się na jego zakapturzoną postać.

Gdy wkładałem klucze do szafy, na podłogę sfrunęła jakaś karteczka. Schyliłem się i podniosłem ją.

Był to niewielki bilecik, przymocowany dotąd do kółka z kluczami. Na skutek ciągłego poruszania metalowym pierścieniem karteczka oderwała się od niego i spadła do

moich stóp. Rozgiałem ją i przeczytałem.

- No, no - powiedziałem zaciekawiony treścią bileciku.

- Co to takiego? - zapytał Atto.

Na karteczce były notatki Ugonia, opisujące jego występki, najbardziej niegodziwe czyny jego życia. Pierwsze z nich dotyczyły minionych dni:

*Czwartek - obrabować sklep*

*Piątek - oszukać siostrzyczkę*

*Sobota - w sądzie: opowiadać brednie*

*Sobota - w sądzie: opowiadać brednie*

*Niedziela - puścić w obieg fałszywe monety*

*Poniedziałek - oddać łup skradziony ślepcowi; wymusić okup*

*Wtorek - kradzież w kościele; przekupić proboszcza*

Notatki dotyczyły więc rabunku, oszustwa na szkodę młodej zakonnicy, fałszywych zeznań, rozprowadzania fałszywych pieniędzy, wymuszenia okupu za rzeczy skradzione biednemu ślepcowi, wreszcie kradzieży w kościele. Krótko mówiąc, nic nowego, te same brudy i nikkzemności, jakimi zajmował się na co dzień znany nam osobnik ze świata przestępczego. Była też notatka odnosząca się do kolejnego dnia:

*Sroda - derwisz: głowa Husajna Paszy*

To było do przewidzenia! Głowa, którą Ugonio zamierzał dostarczyć Ciezeberowi, nie była cenną (przynajmniej dla Osmanów) głową Kara Mustafy, ale niejakiego Husajna Paszy. Bez względu na to, kim był ten człowiek, jego czaszka nie interesowała derwisza. Mimo swoich magicznych zdolności Ciezeber miał paść ofiarą szachrajstwa najzwyczajszego łowcy relikwii.

Kiedy przeczytałem bilecik opatowi, był równie zdziwiony jak ja. Jakież jednak było nasze zaskoczenie, gdy na końcu tego spisu podłości odkryliśmy dwa zapiski (jeden po łacinie), odnoszące się ponad wszelką wątpliwość do kogoś, kogo dobrze znaliśmy:

*Sroda po południu: Al. Ursinum. Dwaj powieszoni*

*Później - diakon od św. Szczepana*

Tego było za wiele. Rzuciłem bilecik Melanieniu, zapominając, że nie mógł go przeczytać (opat skwapliwie schwycił karteczkę, jakby chciał na nią spojrzeć).

Szybko wybiegłem z klasztoru.

Niestety, było już za późno. Rozglądałem się po ulicy Porta Coeli, ale po Ugoniu nie było śladu. Pobiegłem do ulicy Karynckiej, zawróciłem, przepatrzyłem przecznice, na próżno. Wróciłem do klasztoru.

- Al. Ursinum? Tak, to jasne - powiedział w zamyśleniu opat.

Łowca relikwii bardzo się zdenerwował, kiedy skonfiskowałem mu klucze. Teraz zrozumiałem dlaczego: była do nich przyczepiona karteczka, z której wynikało, że głowa przeznaczona dla derwisza nie należała do Kara Mustafy, ale do kogoś innego. Ciezeber zagroził Ugoniowi, że policzy się z nim, jeśli nie dotrzyma tajemnicy. Strach myśleć, co uczyni derwisz, gdy odkryje, że został oszukany.

Najbardziej zaniepokoiło mnie słowo „Ursinum”. Z pewnością było to zlatynizowane nazwisko Gaetana Orsiniego, głównego tenora w *Świętym Aleksym*. Skrót „Al.” to z pewnością Aleksy, imię tytułowego bohatera oratorium, którego partię śpiewał Orsini.

Co, do licha, łączyło Ugonia z Orsinim? Co mieli ze sobą wspólnego zwykły złodziejasek i słynny tenor, przyjaciel Camilli de' Rossi, człowiek z najbliższego otoczenia cesarza? Mieli się spotkać. Czyżby w sprawie jakiegoś tajnego porozumienia?

Może Orsini kolekcjonował relikwie, zastanawiałem się, a Ugonio miał mu sprzedać jeden ze

swoich „rzadkich okazów”? Mówiąc o swoim następnym zajęciu, po dostarczeniu głowy Ciezeberowi, użył słów „pilne i apetyczne”, ale gdyby nie miał nic do ukrycia, z pewnością powiedziałby nam, z kim był umówiony. Opowiadałem mu, że co wieczór chodzę do cesarskiej kaplicy na próby do *Świętego Aleksego*, wiedział więc, że znam Gaetana Orsiniego! Nie, Orsini i Ugonio coś ukrywali. Należało się tego spodziewać. Wśród muzyków było wielu szpiegów, a szpiegzy często zadają się z oszustami. No, dobrze, ale kim byli dwaj wisielcy? Zaledwie odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wyjaśniło się, o czyją głowę chodziło derwiszowi, aż tu nagle kolejne dwa trupy!

- Zatem Ugonio ma układy z Orsinim, tym od *Świętego Aleksego*] - zawołał Melani. -

A niech to diabli! I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą ten przeklęty łowca relikwii tu był!

- Na pewno przyjdzie po klucze, panie Atto - pocieszyłem go - i wtedy wypytamy go dokładnie o notatki.

Opat ze smutną miną zagłębił się w fotelu. Usiadłem i ja. Milczeliśmy, jakby sparaliżowani informacjami wyczytanymi z bilecika starego handlarza relikwiami, które odmieniły nasz dotychczasowy punkt widzenia.

Ugonio powiedział wyraźnie, że derwisza nie interesowała czyjaś śmierć, ale głowa Kara Mustafy. Jeśli więc nie istniał żaden turecki spisek, to kto wykończył Daniła, Christa i Populescu?

Nie było żadnych dowodów przeciwko Turkom. Pozostawały słowa wypowiedziane przez umierającego Daniła, który wspomniał o tajemniczym Eyyubie i czterdziestu tysiącach męczenników Kasima.

Możliwe było też, myślałem, że nieszczęsny Daniło po prostu majaczył, powtarzając słowa legendy. Dowiedział się zapewne, że złote jabłko zostało umieszczone w grobie Eyyuba, jak nam później powiedział Cyprian.

Podobnie jak kapryśny promień słońca roziskrza powierzchnię wody w tysiące błysków, tak każda zagadka miała wiele rozwiązań. Tropy prowadziły w różne strony, niektóre na manowce. Czy przybycie tureckiego poselstwa wiązało się w jakiś sposób z Orsinim i z Ugoniem? Czy miało coś wspólnego z chorobą cesarza? Zdaniem Atta wszyscy muzycy są szpiegami, sam jest tego najlepszym przykładem. Czy ta reguła odnosiła się też do *Chormaisterin!*

Do drzwi zapukał Peniłek. Siostry знаły czeskiego woźnicę i wpuściły go na teren klasztoru. Bąknął, że szuka Simonisa, żeby wręczyć mu notatki z wykładów. Pismakowi towarzyszył Opaliński.

- Panie majstrze, mogę na chwilę wyjść? - zapytał Grek. Zgodziłem się.

- Zaraz wracam, panie majstrze. Jeśli będzie mnie pan potrzebował, to jestem w swoim pokoju. Zdejmij kapelusz, głupcze! I pożegnaj się z panem majstrem! - huknął,

uderzając Peniicka kapeluszem w głowę. Nieszczęsny kaleka zrobił skruszoną minę i pokłonił mi się, z trudem utrzymując się na chromej nodze.

Gdy zaniknęły się za nimi drzwi, spojrzałem na Atta. Zmęczony zasnął w fotelu, z głową przechyloną na bok.

Szczęściarz z niego! Padł w objęcia Morfeusza, mnie pozostawiając zmartwienia. Dawniej zadreślałby się tak jak ja w tej chwili. Czułem się zagubiony. Miałem wrażenie, że z jednej strony wypadki toczyły się bez logicznego związku ze sobą, z drugiej jednak coś je łączyło. Nic nie powinno ujść mojej uwagi, w przeciwnym razie mogło mnie spotkać jakieś nieszczęście. Ledwo uniknąłem śmierci na szubienicy za szpiegostwo na rzecz Francji, a już groziło mi oskarżenie o współudział w zabójstwach lub w podejrzanych machinacjach przeciw księciu Eugeniuszowi i jego tureckim gościom...

Przyjechaliśmy z Cloridią do Wiednia, żeby odmienić nasze dotychczasowe życie. Rozstaliśmy się ze złudzeniami i miastem papieża Rzymem, fałszywym i nieczułym, które potraktowało nas po macoszemu. W stolicy cesarstwa wydało nam się, że oddychamy świeżym powietrzem. Teraz jednak coś ponownie wciągało nas w otchłań podejrzeń, dwuznaczności, kłamstwa. Nawet podstępny opat Melani, ukryty za ciemnymi okularami, nie potrafił sprostać trudnościom.

Och, latający statku, arko prawdy! Uniosłeś mnie do nieba tylko po to, żeby mnie zwieść iluzjami? Wyrwałem się z rzymskiego błota po to, żeby teraz stąpać po grząskim gruncie.

*Godzina U: do obiadu zasiadają rzemieślnicy, sekretarze, nauczyciele języków, księża, sprzedawcy, lokaje i woźnice*

- O trzeciej nad ranem zjadła zupę z trzema jajkami i przyprawami korzennymi, o piątej krem z trzech jaj i rosół z kurczaka, o siódmej dwa surowe jajka, o dziewiątej racuszki i popiła aromatycznym winem Ter-meno. W południe był kapłon, pieczony kogucik, wino i chleb, o pierwszej dwa ciasta i ponownie wino, o trzeciej podwieczorek: pieczony kapłon, smażone rybki, wino, chleb i bułeczki, o piątej ciasto i wino. Kolacja składała się z siedmiu gorących dań. O siódmej znowu podano rosół, o dziewiątej - ciasta, chleb, kanapki i wino, o północy ponownie zupa z żółtek z przyprawami. Wyobrażasz to sobie?! - zawołała Cloridia. Żona pierwszego pokojowca kardynała powiła ślicznego syna. Moja ukochana małżonka wróciła właśnie z pałacu księcia Eugeniusza, mogłem zatem zdać opiekę nad opatem Melanim na nią i zakończyć zastępstwo. Atto nadal spał, Cloridia opowiedziała mi, co się działo po porodzie. Zgodnie z wiedeńskim zwyczajem położnica od razu zaczęła objadać się przeróżnymi smakołykami.

- Mówię do niej: naprawdę masz zamiar tak się obżerać? Przecież nie karmisz piersią cielaka! Wiesz, co odpowiedziała? Że w jej rodzinnych stronach, w Dolnej Austrii, kobiety w połogu jedzą jeszcze więcej! Zaczynają tuż po porodzie i jedzą dwadzieścia godzin bez przerwy. Do przygotowania przyjęcia na cześć nowo narodzonego dziecka zużywa się tam co najmniej pięćdziesiąt kilogramów smalcu, trzydzieści kilogramów masła, od tysiąca do dwóch tysięcy jaj, sześćdziesiąt kilogramów tartej bułki. Goście wypijają beczkę wina Termeno. Mniej potraw na stole stanowiłoby dla nich obrazę.

Słuchałem trajkotania Cloridii, ale myślałem o czym innym. To właśnie żona pokojowca powiedziała Clordii, że księżę Eugeniusz przechowuje w swoim dzienniku kartkę z tajemniczym zdaniem agi.

Wszystko wskazywało na to, że Turcy mają niewiele wspólnego z chorobą cesarza. Aby zrozumieć, co, do licha, kryło się za tym zdaniem, powinniśmy chyba przyjrzeć się bliżej tej kartce. Byliśmy w ślepym zaułku, liczyła się każda próba rozwiązania zagadki.

Kiedy Clordia skończyła relację o porodzie, po cichu, żeby nie obudzić Atta, opowiedziałem jej o zdarzeniach z ostatnich chwil: o wyznaniach Melaniego, głowie Kara Mustafy i tak dalej.

- Jestem tego samego zdania - powiedziała moja małżonka. - Trzeba dokładnie przyjrzeć się tej kartce, bo może to jakiś szyfr.

- Myślisz, że żona pokojowca mogłaby ją dla nas zdobyć?

- Pomyślałam o tym - oznajmiła Clordia i wyjęła kartkę z kieszeni. Wołałem nie wiedzieć, w jaki sposób żona weszła w jej posiadanie.

Z pewnością użyła podstępu, narażając się na niebezpieczeństwo.

- Muszę ją oddać dziś wieczorem. Księżę Eugeniusz uzupełnia dziennik codziennie po obiedzie.

- Czy nie miał wyjechać dziś do Hagi?

- Przesunął wyjazd.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiadomo.

- Zapewne ze względu na chorobę cesarza - domyśliłem się.

- Być może. W każdym razie Jego Wysokość ma się lepiej. Mieliśmy szczęście, że Eugeniusz nie wyjechał, bo zabrałby dziennik ze sobą. Nie rozstaje się z nim nawet wtedy, gdy wyrusza na wojnę.

Clordia wręczyła mi kartkę. Pośrodku widniało słynne zdanie *soli soli soli ad pomum venimus aureum*, napisane niewprawną ręką Turka. I to wszystko.



- Mogę? - zapytał Simonis, wyjmując mi kartkę z ręki. Podeszedł do okna i przyjrzał się jej pod światło.

- Panie majstrze, jeśli nie ma dla mnie na dziś innych poleceń, spróbuję sprawdzić, co znaczą te słowa.

- Do Bezimiennego Miejsca wybierzemy się jutro. Ta sprawa jest pilniejsza. Co chcesz zrobić? - spytałem zaciekawiony.

- W moim pokoju mam wszystko, czego potrzebujemy.

Po chwili wszyscy znaleźliśmy się w pokoju Simonisa. Byli tam też Peniłek oraz Opaliński. Obaj zajęci przepisywaniem notatek. Jeden do brulionu Greka, drugi do własnego.

- Długo jeszcze, pismaku? - zapytał Simonis.

- Właśnie piszę ostatnie słowa, panie cyruliku - bąknął Peniłek. - Skończyłem, wszystko pięknie przepisane!

- W porządku - oznajmił mój pomocnik, rzuciwszy okiem na pracę czeskiego studenta. - Nigdy więcej nie przynoś mi brudnopisu, zrozumiano? - zbeształ pismaka.

- Oczywiście, panie cyruliku, proszę o wybaczenie - powiedział Czech z pochyloną głową.

- Że też musiał mi się przytrafić pismak z Pragi! - narzekał Simonis, szperając w kufrze z książkami.

Wyjął z niego małą książeczkę i podał mi ją, a sam poszedł po krzesło dla Cloridii. Na stronie tytułowej widniały słowa:

*Doctoris Henrici Casparis Abelii* Studenten-Kiinste

*Studenckie sposoby* doktora Henryka Kaspara Abeliusa. Brakowało miejsca i roku wydania oraz nazwiska drukarza. Książeczka liczyła około czterdziestu stron. Otworzyłem ją. Nie było wstępu ani noty od autora, ani dedykacji dla jakiejś czcigodnej osobistości. Dziełko podzielone było na kilka krótkich rozdziałów.

- „Sposób na rany postrzałowe” - przeczytałem powoli po niemiecku.

- Nie, to nie to - przerwał mi Simonis. Odebrał mi książeczkę i otworzył na innej stronie. - Interesuje nas ten rozdział: „Jak wykonywać i odczytywać niewidzialne napisy”.

- Cudownie! Tego nam właśnie trzeba! - wykrzyknęła Cloridia. - Jak to się robi?

- Co zamierzacie? - zapytał Opaliński, podnosząc głowę znad zeszytu. Simonis wyjaśnił mu, o co chodzi.

Obawiałem się, że Polak wystraszy się i ucieknie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Zauważyłem, że śmierć przyjaciół nie dotknęła go zbyt mocno.

- Wreszcie - oznajmił Simonis - dowiemy się, czy kartka zawiera jakiś sekret. Jeśli

nie, będzie to znaczyło, że Turcy nie mają nic wspólnego z zabójstwem naszych kolegów.

- Możecie liczyć na moją pomoc - odparł Opaliński.

- Tu jest napisane - wyjaśniał Grek - że aby ukryć napis, należy dodać do atramentu kwasu azotowego, co często powoduje powstawanie żółtych plam.

- Zdaniem doktora Abeliusa - ciągnął Simonis - można też pisać syropem z winogron z dodatkiem popiołu ze słomy. Przeczytał o tym w książce *Weckeri Secretis*.

- Jeśli będzie nam potrzebna, pošlemy po nią pismaka - dodał Grek.

- Co to za książka? - spytał nieśmiało Peniłek.

- *De secretis Alessia Pedemontana*, przetłumaczona z włoskiego na łacinę przez Jacoba Weckera, którego wszyscy oczywiście znają! - drwił Opaliński, odzyskawszy dobry humor.

- Ale głupek z tego prażanina! - rozgniewał się Simonis, klepiąc Czecha po głowie.

Polski student, jak powiedział mi Simonis i co mogłem osobiście stwierdzić, przysłuchując się przemówieniu Opalińskiego, był prawdziwym erudytą. Tymczasem nieszczęsny Peniłek przeciwnie, nie wydawał się zbyt odcytany.

Grek podjął lekturę książeczki:

- „Aby odczytać napis, weź narośl z dębu, rozgnieć na proszek, mace-ruj godzinę w syropie z winogron, odsącz, zamocz w płynie wacik i zwilż nim napis”.

- Wszystko jasne, możemy zaczynać - zapalił się Peniłek.

- Masz dębowe narośle, głupcze? - zapytał zniecierpliwiony Simonis.

- Nie, ale Koloman Szupan coś poradzi. Jest ekspertem w tych sprawach.

- Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówił - zdziwił się Opaliński, zaprzyjaźniony z Kolomanem.

- Szupan jest Węgrem, w jego żyłach płynie krew Attyli, króla Hunów, słynącego bardziej z umiejętności szyfrowania informacji za pomocą niewidzialnych napisów i temu podobnych, niż z cech, które przyniosły mu przydomek Bicza Bożego. Był wybitnym dyplomatą - podsumował Peniłek.

- Attyla? - powtórzyłem z niedowierzaniem.

- Attyla.

- Łacińska nazwa Węgier pochodzi od Hunów - wyjaśnił Peniłek - barbarzyńców, którzy bardzo dawno temu zajmowali te ziemie. W starożytności były one częścią prowincji Panonia, podporządkowanej Rzymowi za panowania cesarza Augusta i słynącej z nieustannych buntów. W Panonii, w pobliżu błotnistych obszarów Meocji, mieszkał pewien lud. Był dziki, szpetny, a zachowaniem bardziej przypominał zwierzęta niż ludzi. Zamiast

mowy posługiwał się chrząknięciami, zbliżonymi do dźwięku *unum*. Stąd nazwano ich Hunami, a później Węgrami.

- A propos, nie wiesz, gdzie podział się Koloman? - spytał Jana mój pomocnik

- Nie.

- Gdzieś zniknął - stwierdził Peniłek. - Szkoda, bo dobrze zna sztuczkę Balambra.

- Co to takiego? - zapytaliśmy chórem.

- Hunowie - powiedział Czech, patrząc w górę, jakby usiłował sobie coś przypomnieć - żyli odizolowani od świata aż do roku 370. Władzę nad Kościołem Chrystusa sprawował wówczas święty Damazy, nad cesarstwem Walens, a królem Scytów był Balamber. Podczas polowania na jelenia Balamber zapuścił się aż na ścięte lodem błota Meocji. Był pierwszym cudzoziemcem, który dotarł do Węgier, choć nie był tego świadomy. Patrząc na roztaczający się przed nim krajobraz, Balamber zapomniał o jeleniu i postanowił najechać te ziemie. Po powrocie opisał je z takim entuzjazmem, że jego ludzie też zapragnęli je podbić. Tak też się stało. Balamber przekroczył Tanais, czyli Don, zajął Chersones Taurydzki (Krym), podbił Gotów, którzy go zajmowali, a sprzymierzywszy się z Alanami, zajął rzymskie prowincje Mezję i Dację.

Balamber wysłał kurierów do króla Scytów z białymi karteczkami, które potrafił odczytać jedynie on.

Po śmierci Balambra władzę objął kapitan Mundsuch, który zajął ziemie węgierskie. Jego synami byli Attyla i Bieda.

- Bieda rządził krótko, zazdrosny Attyla kazał go bowiem zgładzić. Dzięki sekretowi (a nie dzięki swojej sile), odziedziczonemu po dziadku Balamberze, Attyla, ze względu na okrucieństwo nazywany Biczem Bożym, ze stu tysiącami ludzi najechał i spustoszył Italię. Później założył przepiękną Wenecję, królową szpiegostwa. Mówi się, że weneccy dożowie przekazują sobie sekret Balambra, pozostawiony przez Attyle. Wszystkim wiadomo o podejrzanych związkach, jakie łączą Najjaśniejszą Republikę Wenecką z Wysoką Porta Otomańską.

Peniłek miał rację. Przed dwudziestu ośmiu laty opat Melani opowiadał mi, że gdy papież wezwał państwa Europy do obrony Wiednia przed Turkami, na jego apel nie odpowiedziały Francja i Wenecja.

- A więc karteczka może zawierać tajną informację, zapisaną metodą Balambra! - zawołałem.

- To bardzo prawdopodobne - przyznał pismak. - W związku z tym Koloman jest naszą jedyną nadzieją.

- Przeczytajmy jednak, co jeszcze pisze doktor Abellius. - Może istnieją inne sposoby.

- Dobrze - zgodził się Grek. - Jeśli nam się nie powiedzie, poszukamy Kolomana.

Do ukrycia liter, czytaliśmy w książeczce, używa się soku z cytryny, *spiritu vini* i *sale armoniaco*. Napis pojawiał się ponownie po nałożeniu przedestylowanego *alumine piumoso*. Skromny pokój mojego pomocnika to nie laboratorium alchemiczne z aparatem destylacyjnym pod ręką i *alumine piumoso* w tygielku.

- Chwileczkę, chyba znalazłem! - wykrzyknął Simonis. - Tu jest mowa o tym, jak napisać tajną wiadomość za pomocą zwykłych słów.

Ważne słowa i litery, stwierdzał autor książki, zaznacza się znaczkami lub haczykami albo też stosuje się określoną liczbę słów lub podkreśla się niektóre słowa i litery. Ukryte i jawne znaczenie słów powinno być umiejętnie włączone w ogólny kontekst zdaniowy, aby postronne osoby niczego nie zauważyły, a osoba zainteresowana bez trudu zrozumiała.

Przyjrzelśmy się dokładnie zaprezentowanemu przykładowi, ale nie dostrzeżliśmy żadnych znaczków, nawet najmniejszych. Spróbowaliśmy odczytać zdanie w inny sposób, ale zawierało zbyt mało słów, żeby dało się ułożyć z nich logiczną całość.

- Wwwdzi, oodue, solaone... - dukaliśmy wszyscy razem, biorąc pod uwagę pierwszą, drugą lub trzecią literę. Nadaremnie.

Grek przekartkował osobliwą książeczkę.

- W niektórych wypadkach tekst pojawia się po zanurzeniu kartki w wodzie lub po zbliżeniu do ognia.

- Wykluczone! - zaprotestowała Clordia. - Kartka musi wrócić w niezmiennym stanie do pałacu!

- Pokaż! - powiedziałem i wyjąłem Simonisowi z ręki książeczkę. Czytałem na głos: „Weź trochę wiotriolu lub galangi, rozpuść w wodzie, wrzuć proszek z narośli dębowej i zamieszaj. Po dwudziestu czterech godzinach przefiltruj przez kawałek czystego płótna i używaj do pisania. Kiedy preparat wyschnie, na papierze nie będzie śladu”.

Aby przeczytać tekst napisany preparatem, należało zanurzyć kartkę w czystej wodzie. Po kilku minutach miały się ukazać białe litery. Jeśli natomiast tekst został napisany sokiem z cebuli i czosnku, należało zbliżyć kartkę do ognia. Litery miały wówczas czerwonawą barwę.

Inne metody, o których wspominał doktor Abellius, były, niestety, jeszcze bardziej radykalne. Jeśli do pisania użyto soku z cytryny, trzeba było zagotować w occie odrobinę *lithargyrium* i zanurzyć w nim kartkę - powinny pojawić się białe litery. W sytuacji gdy do pisania zastosowano rozpuszczony w wodzie wiotriol, należało rozkruszyć nieco dębowej narośli, zalać ją czystą wodą, zamieszać, odcedzić przez płótno i w otrzymanym płynie

zanurzyć kartkę - powinny pojawić się litery koloru czarnego.

Inny sposób pisania i odczytywania niewidocznych liter był bardziej czasochłonny. Najpierw należało sporządzić atrament z witrionu rozpuszczonego w syropie z winogron, precedzić go przez kawałek lnu, odczekać, aż zjaśnieje, i napisać nim tajną informację. Drugi rodzaj atramentu przygotowywano ze słomy z owsa startej na kolorowym kamieniu i rozpuszczonej w czystej wodzie. Następnie, gdy atrament z witrionu lub słomy owsianej wysechł, pisano między linijkami zwykły list, niezawie-rający żadnych sekretów. Do odczytania niewidocznego pisma służył płyn z narośli dębowej zagotowanej w winie. Osoba, do której była adresowana tajna przesyłka, zwilżała tym preparatem całą kartkę i linijki widoczne znikwały, a niewidzialne pojawiały się.

Krótko mówiąc, płyny, dzięki którym na liście agi miał się pojawić domniemany, ukryty napis, zawierały przeróżne składniki, dostępne jedynie w sklepie kolonialnym. Najgorsze jednak było to, że jeśli rzeczywiście napis wykonany był preparatem sporządzonym z *lithargyrium*, mocnego octu winnego i białka, aby go odczytać, musieliśmy zbliżyć list agi do płomienia i czekać, aż szernieje. Dopiero wtedy miały się pojawić białe litery.

- To czyste szaleństwo - powtarzała Clordia, słuchając przepisów na atramenty.

W końcu zgodziła się na wypróbowanie najmniej ryzykownego sposobu, jakim było zanurzenie kartki w wodzie. Nie chciała jednak przyglądać się eksperymentowi, który budził w niej niepokój. Skorzystała z okazji, by nas na chwilę opuścić i sprawdzić, jak miewają się opat Me-lani i synek.

Na szczęście papier był dobrej jakości, odporny na deszcz, śnieg i inne kaprysy aury. Miałem nadzieję, że nie ulegnie zniszczeniu.

Jakby szykując się do celebrowania świętego obrządku, Simonis przyniósł miskę wody i rozłożył na stole biały ręcznik, na którym mieliśmy położyć kartkę agi. Z silnie bijącym sercem zanurzyłem papier w wodzie, uważając, by nie zamoczyć zdania agi, w obawie, że atrament mógłby się rozmazać.

Kartka przeszła próbę bez żadnego uszczerbku. Zaczekaliśmy, aż wyschnie, następnie zbliżyliśmy ją do płomienia świecy. Wpatrywaliśmy się w nią jak zahipnotyzowani, ale ukryte litery nie pojawiły się.

Odrzuciwszy z wiadomych powodów bardziej drastyczne metody, jak podpalenie kartki, postanowiłem wypróbować inny sposób. Poleciałem Si-monisowi, by sporządził listę potrzebnych rzeczy, takich jak witrion, aparat destylacyjny, *lithargyrium* i tak dalej, i wręczyłem ją Penickowi.

- Masz tu pieniądze - powiedziałem. - Wsiądź do kolasy i kup to w sklepie kolonialnym Pod Czerwonym Krabem, obok starego targu.

- Szkoda, że nie ma Szupana - westchnął pismak, spoglądając na listę. - Na pewno wiedziałby, co należy uczynić, żeby ukazał się ukryty tekst.

- Ciekawe, gdzie on się podziewa? - zastanawiał się Simonis.

- Może Opaliński coś wie - wtrącił nieśmiało Peniłek.

- Nie mam pojęcia - odparł Polak.

- Szkoda - powtórzył Peniłek. - Może boi się i po tej strasznej śmierci Dragomira...

Opaliński spuścił wzrok.

- Jeśli zniknął dlatego, że się boi - ciągnął Czech, kuśtykając w stronę drzwi - z pewnością uspokoiłby się, gdyby się dowiedział, że derwisz nie zamierzał ścinać nikomu głowy. Szkoda, że nie możemy mu o tym powiedzieć.

- Poszukam go dziś wieczorem - obiecał Jan Janicki.

- Wieczorem będzie za późno - odparł Peniłek. - Pan cyrulik ma rację: nadarza się okazja, żeby sprawdzić, czy kartka agi zawiera jakąś tajemnicę. Jak słusznie pan zauważył, może się okazać, że Wysoka Porta nie ma nic wspólnego z tą historią, a zatem Daniło, Christo i Dragomir nie zginęli z powodu złotego jabłka.

- Brawo, pismaku! Wspaniale! Nareszcie ruszyłeś głową! - zawołał zadowolony Simonis, mile polechtany słowami uznania pod swoim adresem.

- Jeśli jednak Koloman się ukrył - stwierdziłem - będziemy krążyć po mieście na próżno.

- Jest w Zehnter Marie.

A więc Opaliński wiedział, gdzie zaszył się Węgier. Koloman zwierzył mu się, że przeniósł się na poddasze lokalu zwanego Zehnter Marie, w peryferyjnej dzielnicy Ottakring.

Peniłek nie mylił się: po śmierci Populescu Szupan obawiał się o swoje życie. Ukrył się więc i błagał przyjaciela, żeby nikomu nie wyjawiał tego miejsca.

Polak nie dotrzymał danego słowa, zachmurzył się i najwyraźniej żałował, że go wydał. Chodziło jednak o to, że Koloman powinien usłyszeć uspokajające wieści o derwiszu, no i pomóc w rozszyfrowaniu zdania z kartki.

- Chodźmy do niego! - zaproponowałem, niecierpliwiąc się.

- Czy nie lepiej będzie, jeśli pojedę po wszystkie konieczne składniki, zanim zamkną sklep? - wtrącił nieśmiało Czech. - Później po was wrócę i razem udamy się do Kolomana.

- Będzie szybciej, jeśli wszyscy pojedziemy do sklepu, a potem do Kolomana - powiedziałem.

- Za pozwoleniem, panie majstrze - ciągnął Peniłek. - Czy nie uważa pan, że to ryzykowne wynosić karteczkę agi poza mury klasztoru?

- Do licha, nie pomyślałem o tym! - przyznałem. - Chyba jestem zmęczony. Masz rację: sprowadzimy Kolomana tutaj!

- Prawdę mówiąc - wtrącił Opaliński - nie jestem przekonany, czy Koloman zechce nam pomóc. Nigdy nie mówił o Balamberze, Attyli, szyfrach i tym podobnych rzeczach. Powie, że nic go to nie obchodzi. Może się wykręcić i stracimy tylko czas.

Po długiej dyskusji postanowiliśmy, że najpierw spróbujemy sami, bez Kolomana. Opaliński poweselał: jeśli się nam powiedzie, Węgier nie dowie się, że przyjaciel zdradził jego kryjówkę. Wysłaliśmy pismaka po zakupy.

- Pośpiesz się! - ryknął Grek, aż nieszczęsny kaleka zadrżał na całym ciele.

Czech wrócił po godzinie, zdyszany i spocony. Pokłócił się ze sprzedawcą, który nie chciał sprzedać mu kilku silnie trujących preparatów. Dopytywał się, do czego mu są potrzebne, i kazał długo czekać na preparaty, których przygotowanie było dość pracochłonne.

W krótkim czasie pokój Simonisa zmienił się w laboratorium alchemiczne, z kociołkiem nad paleniskiem, wypełnionym po brzegi dymiącymi probówkami. W powietrzu unosiła się ostra woń.

- Nic z tego! A niech to diabli! - niecierpliwił się Simonis. Jedynym rezultatem całego zamieszania było to, że kartka pofałdowała się i miała nadpalone brzegi.

- Jak oddamy ją księciu w tym stanie? - martwiłem się. - Cloridia mnie zabije!

Była druga po południu. Od trzech godzin trudziliśmy się nad kartką, która z uporem strzegła swojej tajemnicy, o ile taka istniała. Ku wielkiemu niezadowoleniu Opalińskiego postanowiliśmy poprosić o pomoc Kolomana Szupana.

W drodze do Kolomana Polak sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Być może zastanawiał się, co Węgier powie na nasz widok.

Ja też byłem nie w humorze. Jeśli Koloman nic nie znajdzie, cała hipoteza o tajnym sprzysiężeniu Turków weźmie w łeb i nadal nie będziemy wiedzieć, kto i dlaczego zabił trzech studentów.

Spojrzałem na Simonisa. Siedział naprzeciw mnie i patrzył z roztargnieniem na rzędy winnic po bokach drogi. Wziął ze sobą torbę, którą przewiesił przez ramię i głaskał w zamyśleniu.

- Dlaczego Koloman ukrył się w Zehnter Marie? - zapytałem Janickiego.

- Zaprowadził go tam pewien włoski zakonnik. Koloman szukał najpierw schronienia w klasztorze, ale mu odmówili.

- Ten, u którego szukał informacji o złotym jabłku? - zapytałem.

- Tak - przyznał Simonis. - Augustianin, spowiednik tureckich jeńców, którzy chcieli się nawrócić na wiarę chrześcijańską.

- To prawda, ale nie ma pewności, czy był to ten sam zakonnik - odparł Opaliński.

- Co takiego?! - wykrzyknął wystraszony Penicek. - Czy Koloman oszalał?

- Dlaczego? - zapytaliśmy chórem.

- Jak to? Nie słyszeliście, że dziś rano aresztowano augustianina? Jest Włochem, oskarża się go o seryjne zabójstwa.

Zdrętwieliśmy z przerażenia. Tymczasem Penicek mówił gorączkowo:

- Zwrócił się do zakonnika? W dodatku Włocha? Sądziłem, że Koloman jest mądrzejszy! - powtarzał, kiwając głową w takt kołysania kolasy, która uwoziła nas za miasto, w kierunku dzielnicy Ottakring.

- Ty przekłety pismaku! Jak śmiesz? Przepróż i zamilcz! Prawdopodobnie wskutek wcześniejszych pochwał cyrulika, albo ze strachu, Penicek nie miał najmniejszego zamiaru milczeć. Przeciwnie, przybrawszy pokorną, skruszoną minę, mówił dalej:

- Czyżby Koloman nie wiedział, że zakonnicy są podstępni i niebezpieczni? A najgorsi są Włosi!

- Niby dlaczego? - zapytałem, urażony tonem, z jakim nieszczęsny kulawy pismak, będący służącym i igraszką dla swoich towarzyszy, wyrażał się o moich rodakach.

- Ty głupi Czechu! - zagrzmiął Simonis. Wstał i wałnął woźnicę w kark. - Co w ciebie wstąpiło? Natychmiast przepróż pana majstra!

- Daj spokój! - powiedziałem do mojego pomocnika. - Zadałem ci pytanie - zwróciłem się szorstko do pismaka. - Z jakiego powodu nie podobają ci się włoscy zakonnicy?

- W połowie siedemnastego wieku - odparł Penicek - który po reprimendzie Cyrulika stracił pewność siebie, Marcin Luter odsłonił owe pobielane groby i siedliska żmij, jakimi były klasztory. To, czego przedtem dokonywano w ukryciu, wyszło na światło dzienne. Wielu zakonników porzuciło habity, ożeniło się i przeszło na stronę luteran. Liczba mnichów katolickich zatrważająco spadła.

- Co ty pleciesz? - zaoponował Opaliński. - Czyżbyś sprzyjał tym heretykom luteranom?

- Czegóż innego można się spodziewać po prażaninie? - zapytał retorycznie Simonis.

- Mów dalej, pismaku - nakazałem.

- Dawnemu wiedeńskiemu zakonowi augustianów pustelników, znajdującemu się wówczas obok pałacu cesarskiego, groziło zamknięcie z powodu małej liczby powołań.



Augustianie zmuszeni byli zwrócić się o pomoc do współbraci z innych krajów. Posiłki nadeszły z zakonów włoskich, które nie uległy wpływowi reformacji.

- Reformacji-szmacji - uściślił Opaliński.

- Niestety, włoscy ojcowie (zwłaszcza wyższego stopnia), z powodu zażyłości z Rzymem, mieli o sobie bardzo wysokie mniemanie. Gardzili i znęcali się nad wiedeńskimi współbraćmi, konspirując z zagranicznymi ambasadorami w cesarskiej stolicy.

- Chcesz powiedzieć, że włoscy bracia byli szpiegami? - zapytałem.

- Cesarskie władze były o tym przekonane.

W wyniku wizytacji, czyli inspekcji w klasztorze, okazało się, że przebywają w nim podejrzani osobnicy, bandyci, rabusie i tym podobni. Mnichów oskarżono o to, że wykorzystywali bliskość cesarskiego pałacu i związki z dworem, żeby szpiegować na rzecz Francji lub innych obcych potęg. Skończyło się na tym, że Włochów wygnano, zakazując im powrotu. Postanowiono też, że w przyszłości przeorem może być tylko zakonnik narodowości niemieckiej.

Niemcy, z gruntu uczciwi, byli pozbawieni ciepłych uczuć, a przede wszystkim nieudolni. Brakowało im inspiracji i ludzkiego podejścia, które cechowało włoskich współbraci. Choć bracia z południa byli nieuczciwi, a niekiedy przewrotni, potrafili dbać o dusze wiernych i wzbudzać ich zaufanie. W razie potrzeby bywali chytry i przebiegli ponad miarę. Tymczasem Rzymowi i generałom zakonu augustianów zależało na tym, by mieć w stolicy cesarstwa zaufanych ludzi. Włochów ponownie sprowadzono do Wiednia, później ich przepędzono, sprowadzono ponownie, wypędzono, i tak w kółko. Zdumiona ludność przyglądała się poczynaniom władz zakonnych, zastanawiając się, czy przyczyną zamieszania jest nieuczciwość zakonników, czy niezdecydowanie przełożonych.

W tym samym czasie doszła do głosu katolicka kontrreformacja, której główne założenia dyktował Rzym. Ojcowie przełożeni wysłali do Wiednia kolejnych zaufanych rodaków. Dwór nie protestował, ponieważ przeor zakonu augustianów, który nie był Włochem, tuż przed wizytacją zbiegł do Pragi, gdzie został aresztowany. Dopuścił się poważnych malwersacji i sprowadził na zakon kłopoty finansowe. Naruszył cesarskie przepisy, które zabraniały zakonnikom sprzedaży dóbr klasztornych, handlowania winem, płodami rolnymi *et cetera, et cetera*.

Krótko mówiąc, wewnątrz świętych murów nie było spokoju. Po powrocie Włochów nasiliły się kłótnie i bójkі. Związki z dworem cesarskim otaczała atmosfera wzajemnej podejrzliwości i pogardy. Mnisi wyklócali się z władzami cywilnymi, a ojcowie przełożeni z podwładnymi i między sobą. Jeśli któryś z przełożonych kupował dla zakonu winnicę czy

kawałek ziemi, jego następca je sprzedawał, a potem oskarżali się wzajemnie o sprzeniewierzenie pieniędzy zakonu. Sprawa trafiała do sądu, który obwinał obydwie strony konfliktu i wszystkich braci. Ponieważ ojcowie przełożeni często się zmieniali, kłótnie nie ustawały.

Włosi wykorzystali to, że w klasztorze nikt nie był w porządku, i zaczęli się panoszyć. Ciągłe spory, obmowy, zawiść i oszczerstwa podsycaly nienawiść między braćmi niemieckimi i włoskimi. Kiedy nowy przeor próbował mediować, Niemcy wymyślali mu, a Włosi wciągali w intrygi. Wieczna niezgoda i zaciekle spory wszystkim bez wyjątku psuły nastrój.

- W końcu w sprawę wkroczyli jezuici, którzy na mocy bulli papieża Urbana VIII siłą i bez uprzedzenia usunęli augustianów pustelników - i włoskich, i niemieckich - z klasztoru. Zakonnicy przenieśli się do podmiejskiej dzielnicy Landstrasse, gdzie pozostają do dziś. Na ich miejsce sprowadzono z Pragi nader cnotliwych augustianów bosych.

- Zakon ojca Abrahama a Sancta Clara - dodałem.

- Ten sam. O ile wiem, nie ma w nim żadnych Włochów - zaśmiał się Peniłek.

- Widzę, że jesteś zadowolony, pismaku - burknął Simonis. - Czego chciałeś dowieść tą opowieścią? Że zakonnicy z Pragi są lepsi?

- Albo że jezuici są najsprytniejsi? - dodał Polak. - A poza tym historia wypędzenia augustianów jest stara jak świat.

- Ale wiadomość o augustianinie zabójcy...

- Do których augustianów należał: pustelników czy bosych? - zapytał mój pomocnik.

- Pustelników.

- Zakonnik zaprzyjaźniony z Kolomanem jest augustianinem bosym - oznajmił Simonis.

- Zatem nie musimy się martwić - podsumowałem z ulgą. Kolasa zatrzymała się przed furtką do winnicy.

Dotarliśmy do Zehnter Marie. Była to jedna z uroczych *Heurigen* - miejsce, gdzie degustuje się Heurige, młode wino wyprodukowane w winnicy za domem plantatora. Zehnter Marie uznawana była za jedną z najlepszych winiarni, choć wszystkie wina z gatunku Heurige były na ogół dobrej jakości. Białe czy czerwone, wino tłoczone w rodzinnej piwnicy jest zawsze smaczne, podobnie jak indyk przyrządzony przez żonę lub matkę właściciela gospody jest zawsze chrupiący, wieprzowina z kminkiem pachnąca i delikatna, a pieczony kurczak świeży i soczysty, jak policzki kelnerki z jasnymi warkoczami, która go podaje.

Na ogół przechodzi się przez furtkę i siada przy stole pod drzewami na wewnętrznym

podwórzu. Nawet najbardziej prostacki gość stara się mówić cicho (w podobnym miejscu w Rzymie trzeba zatykać uszy z powodu głośnych rozmów, śmiechów, hałasu talerzy, sztucców i przesuwanych krzeseł). Jeśli nie ma miejsca przy stole, można usiąść w przestronnej dziupli wiekowego drzewa albo na ławie za prowizoryczną ladą z desek podpartą ceglami, albo, jeśli pada deszcz, w starej ogromnej beczce po winie ze stolikiem, taboretami i serwetkami, jak w domku wiewiórki z bajki. Atmosfera jest niepowtarzalna. Nawet gdyby podano zocowane wino i wyschniętego na wiór indyka, to i tak zjadłoby się go ze smakiem. Urzeczeni goście rozkoszowali się szmerem liści, świergotem ptaków, i spokojem tego czarującego miejsca. A kiedy obraca się w ręku kieliszek z młodym winem o pięknej rubinowej barwie, nawet gdakanie ptactwa w pobliskim kurniku wydaje się śpiewem egejskich dziewczyc, a ryk osła w niedalekiej zagrodzie upodabnia się do wersetu Sofoklesa. I nie dziw, że na myśl przychodzi, jak mnie owego dnia, surowy opis Austrii pióra Enei Silvia Piccolominiego, który czytałem przed przybyciem do Wiednia, a który teraz wydał mi się poezją:

Arcyksięstwo Austrii, na północ i południe od Anizy, dostarcza wina - źródła bogactwa Austriaków - Bawarczykom, Czechom, Morawianom i Ślązakom. Winobranie trwa czterdzieści dni. Dwa lub trzy razy dziennie wjeżdża do Wiednia trzysta wozów pełnych beczek z winem. Przy winobranii każdego dnia pracuje tysiąc dwieście koni albo i więcej. Sprzedaż wina we własnym domu nie przynosi ujmę. Wielu obywateli prowadzi karczmę i wyśmienitą kuchnię przy niej...

Marzeniem moim i Cloridii było otwarcie gospody w winnicy, którą podarował nam opat Melani, rozmyślałem, siedząc samotnie na ławce w gospodzie. Peniłek czekał w kolasie, a dwaj pozostali studenci poszli szukać Kolomana. Do czasu aż zastąpiłby mnie synek, pracowałbym jako kominiarz. Clordia prowadziłaby winiarnię. Nasze córki, sprowadzone do Wiednia, pomagałyby matce w kuchni. Pewnego dnia dwaj silni młodzieńcy z tych stron poprosiliby mnie o rękę naszych córek i cała rodzina, z wnuczętami (jak Bóg da), żyłaby w...

- Panie majstrze! Panie majstrze! Prędko!

Głos dochodził z daleka, z góry. Spojrzałem w tamtym kierunku, ale niczego nie zauważyłem. Podniosłem się z ławki i przeszedłem kilka kroków. Simonis wołał do mnie z okna na poddaszu budynku gospodarczego, który z jednej strony ograniczał podwórze i połączony był pod kątem prostym z domem właściciela niską konstrukcją, zapewne stajnią. Wychylał się na zewnątrz, aż bałem się, że wypadnie, i machał rękami, żeby przyciągnąć moją uwagę. W jednej chwili ocknąłem się z przyjemnego odrętwienia, wywołanego sielankową atmosferą miejsca i kilkoma łykami czerwonego wina.

Nie było potrzeby wchodzić na poddasze. Obchodząc budynek w poszukiwaniu

wejścia, natknąłem się na grupkę ludzi. Byli to goście gospody (oto, gdzie się podziiali!), a razem z nimi właściciel z rodziną. Stali wokół zagrody z ptactwem domowym. Wtedy go zobaczyłem.

Początkowo wziąłem go za stracha na wróble, kukłę ze słomy odzianą w stare ubranie, odstrasżającą ptaki od obsianego pszenicą pola. Co też mógł robić strach na wróble w kurniku? Okazało się, że to Koloman. Niewiele różnił się od trupa Populescu, z tym że przeбитo go nie świecznikiem, lecz drewnianymi palikami.

Palisada zrobiona była z ostro zakończonych tyczek, głęboko zakopanych w ziemi, tak aby nie mogły go podkopać ani przeskoczyć lisy, kuny i rysie. Wbity na las drewnianych ostrzy, Koloman - wielki kochanek, ubogi węgierski kelner, rzekomy baron Varaždinu - twarz miał skierowaną na wschód, w stronę rozległych równin Węgier. Kurczaki, kury i indyki niczego nie zauważyły, spokojnie grzebały w ziemi. Nie przeszkadzał im strach na wróble z krwi i kości, ale raczej my.

- Mordercy, potwory! - bełkotał Opaliński, tłumiąc szloch.

Znajdowaliśmy się w pokoiku na poddaszu, skąd zawołał mnie Si-monis.

- Mordercy? - zapytał Simonis, nie odrywając wzroku od ciała.

- Tak, ci, którzy zabili Kolomana - wyjaśniłem. Obawiałem się, że Grek postradał rozum.

Simonis nie odpowiedział. Cały czas wyglądał przez okno na strychu. Patrzył w górę, na dach, i w dół, na Kolomana i płotek. Po chwili spojrział na stajnię łączącą budynek z domem gospodarza. Poszedłem za jego wzrokiem. W oknie naprzeciw nas dostrzegłem przerażone twarze dwóch młodych dziewcząt, zapewne córek właściciela. Obok nich, na fasadzie domu, widniał zegar wskazujący trzecią trzydzieści po południu. Simonis odwrócił się do nas i powiedział:

- A może był to nieszczęśliwy wypadek?

Nic z tego nie rozumieliśmy. Opuściliśmy na chwilę Zehnter Marie i udali się na pobliskie wzgórze zwane Mównicą. Z pagórka rozciągał się widok na Wiedeń, nad którym unosiły się ciemne deszczowe chmury. Tymczasem po naszej stronie świeciło słońce.

Po rozstaniu z nieszczęsnym Kolomanem wiele się wydarzyło, począwszy od niedoszłej bójki z Opalińskim. A rzeczy miały się następująco.

W zamian za szczodry napiwek właściciel gospody zgodził się wezwać strażę dopiero za pół godziny. Stał naprzeciw nas, wyraźnie zniecierpliwiony, czekając, aż sobie pójdziemy. Nawet nie zapytał, jak się nazywamy. Interesowały go jedynie pieniądze, za które kupiliśmy pół godziny spokoju, żeby pożegnać się z przyjacielem. Myślał, że jesteśmy krewnymi lub

przyjaciółmi Kolomana i że przyszedł go odwiedzić. Straży miejskiej miał powiedzieć, że spadł z dachu, a on go nie zna i nigdy przedtem nie widział. Naprawdę poznał Kolomana dzień wcześniej, przyprowadził go włoski zakonnik. Co było potem, gospodarz nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Wystarczyły mu pieniądze od zakonnika, powiedział, i nie pogardził też pieniędzmi od nas.

Nie mieliśmy zbyt wiele czasu przed nadejściem straży. Po śmierci Kolomana, czwartej z kolei, z grupki przyjaciół, których poznałem kilka dni temu podczas otrzęsin, przy życiu pozostali jedynie Simonis i Opaliński. Było oczywiste, że te zabójstwa były ze sobą powiązane i że byłem w nie w jakiś sposób zamieszany. Jak dotąd, nie udało nam się wykryć motywu zbrodni ani związku pomiędzy nimi i niżej podpisanym. Śledztwo w sprawie Turków zawiodło nas w ślepią uliczkę. Derwisz Cizeber nie miał nic od ukrycia, zdanie agi o złotym jabłku nie miało większego znaczenia, a kartka, na której zostało napisane, nie zawierała prawdopodobnie żadnej tajemnicy. Tak więc stwierdzenie Atta, że zarówno Chri-sto, jak i Dragomir byli poddanymi Osmanów, nie miało znaczenia. Czy każdy z czterech zabitych zasłużył sobie w jakiś sposób na śmierć? Być może Daniła i Christa zgubiło niebezpieczne zajęcie, Dragomira - Or-mianka, a Kolomana?

- Zginął o trzeciej, o tej porze był zwykle z kobietą.

- Zgadza się - przyznałem, przypominając sobie godzinę na zegarze. - W oknie naprzeciw stały córki gospodarza. Myślisz, że spadł, gdy próbował dostać się do nich?

- Koloman, jak już mówiłem, był specjalistą od wspinania się na gzymsy i dachy, zwłaszcza jeśli w grę wchodziła schadzka. Być może tym razem omsknęła mu się noga. Tylko że...

- Że co?

- Wydaje mi się mało prawdopodobne, że przyszła mu chętka na kobietę właśnie teraz, kiedy umierał ze strachu.

Trudno zgadnąć, czy Kolomana ktoś zabił, czy sam wypadł z okna. Z pokoiku, w którym Szupan spędził ostatnie chwile życia, przyjrzałem się dokładnie miejscu zdarzenia, ułożeniu ciała i doszedłem do takiego samego wniosku jak Simonis: jedyną pewną rzeczą było to, że Węgier spadł w dół. Bóg jeden wie, czy ktoś mu w tym pomógł.

Opaliński rozpaczał i czynił sobie wyrzuty, że zdradził miejsce kryjówki Kolomana, był przekonany, że jego przyjaciel został zamordowany i oskarżał Peniicka.

- Jaki tam augustianin! Ty praski potworze, wydrapię ci oczy! - ryczał, kiedy opuściwszy Zehnter Marie, wsiedliśmy do kolasy.

Z trudem zdołaliśmy ocalić nieszczęsnego kalekę od śmierci przez uduszenie, gdy

silny, dobrze zbudowany Opaliński chwycił go za gardło. Dowiedziawszy się o zdarzeniu, Peniłek powtórzył swoją gadkę o włoskim zakonniku, któremu Koloman nie powinien był ufać *et celera, et ce-tera*. Janicki nie pozwolił mu skończyć i rzucił się na pismaka. Ledwośmy z Simonisem oderwali go od niego.

- Zabiłeś go, ty diable wcielony! Wyrzuciłeś go przez okno! Wy, prażanie, macie w tym doświadczenie! - ryczał Jan.

Kiedy Opaliński uspokoił się w końcu, Simonis wyjaśnił, że w Pradze od wieków stosowano defenestrację. Pierwsza miała miejsce trzydziestego lipca 1419 roku, kiedy grupa niezadowolonych czeskich arystokratów wtargnęła do magistratu i wyrzuciła przez okno burmistrza i radców miejskich. Z czasem lista podobnych zdarzeń znacznie się wydłużyła. Przed stu laty delegacja protestantów dokonała defenestracji dwóch katolickich doradców cesarza. Szczęśliwie wylądowali na kupie obornika i uratowali się. Następstwem tego słynnego zdarzenia była wojna trzydziestoletnia.

- Doskonale wiedziałeś, gdzie znaleźć Kolomana! - mówił, szlochając, Opaliński. - Zrobiłeś wszystko, żeby to ode mnie wyciągnąć, a ja, głupiec, dałem się podejść!

Pismak wrócił ze sklepu po godzinie. Zdaniem Janickiego mógł w tym czasie pojechać do Zehnter Marie, wyrzucić przez okno Kolomana i wrócić do klasztoru.

- Historyjkę o kłótni ze sprzedawcą najzwyczajniej zmyśliłeś, przyznaj się!

Polak z rozżalenia plótł trzy po trzy. Peniłek uratował mi życie w parku Prater po śmierci Christa. Oskarżenia Janickiego były zupełnie bezpodstawne. Powiedziałem mu to, szukając poparcia w oczach Simonisa.

- Uspokój się, Janie! Mówisz bzdury! Powiedz mu to, Simonisie! Grek był ze mną w Praterze, wiedział, że zawdzięczałem pismakowi życie. Ale mój pomocnik, błądy, z czołem zroszonym potem, patrzył na mnie, jakby mnie nie widział. Nie potrafiłem odgadnąć, czy spojrzenie jest nieprzeniknione, czy po prostu puste.

Polak wysiadł z kolasy. Nie chciał zostać ani minuty dłużej w towarzystwie pismaka. Postanowił wrócić do miasta pieszo.

- Jedźcie do Czerwonego Kraba i porozmawiajcie ze sprzedawcą! - krzyknął na odchodnym. - Przekonamy się, czy potwierdzi kłamstwa tego czeskiego potwora!

Peniłek, purpurowy na twarzy, patrzył zatrwożonym wzrokiem to na mnie, to na swojego cyrulika.

- Do Czerwonego Kraba, pismaku! - rozkazał Simonis. Peniłek ani drgnął.

- Ruszaj! - ryknął Grek. Kolasa nadal stała w miejscu.

- Ja... ja... - wybąkał w końcu Peniłek. - Janicki ma rację, to prawda, nie byłem przez

cały czas w sklepie.

Spojrzałem na niego z przerażeniem.

- Ja... sądzę, że rozwiązałem zagadkę zdania agi - oznajmił. Pismak powiedział, że kiedy opuścił klasztor Porta Coeli i wyruszył do sklepu kolonialnego, przejeżdżał obok kamienicy zwanej Haidenschuss, Strzała Poganina.

- Patrzę i co widzę? Na fasadzie domu widnieje posązek Turka strzelającego z łuku.

- I co z tego? Wszyscy znają tę rzeźbę - zauważył Simonis.

- Tak, ja też ją widziałem - przyznałem.

- Zna...znacie historię tego posągu? - zapytał załęczony Peniłek.

- Nie-odparliśmy jednocześnie.

Simonis polecił pismakowi jechać na pobliskie wzgórze Mównicy, żeby stojąca kolasa nie wzbudzała podejrzeń przechodniów, i wtedy Peniłek rozpoczął swą opowieść.

- Jak głosi tradycja, ów Osman nazywał się Dayi Cerkes, lub Dayi Czerkies, i brał udział w pierwszym oblężeniu Wiednia. Ledwo bomby Sulejmana dokonały wyrwy w murze, Dayi dosiadł konia i wjechał do miasta. Gdyby inni Turcy poszli za nim, stolica Świętego Cesarstwa Rzymskiego padłaby. Zabrakło im jednak odwagi, by uczynić to co on. Dayi Cerkes, osamotniony, wpadł w ręce chrześcijan i zginął. Cesarz Ferdynand I uczcił odwagę poległego bohatera. Kazał zmumifikować Czerkiesia wraz z koniem i postawić przed jednym z wiedeńskich domów, a plac przed nim nazwać placem Czerkieskim. Po latach mumię zastąpiono posązką. Giaur, chrześcijanin, który zabił Turka, strzelając mu w plecy z rusznicy, z rozkazu cesarza został żywcem zamurowany w domu naprzeciwko i zmarł w strasznych cierpieniach. Ponoć cesarz miał powiedzieć: „Dlaczego strzeliłeś w plecy żołnierzowi uzbrojonemu jedynie w bułat? Powinieneś być zmierzyć się z nim twarzą w twarz, na miecze, a nie strzelać z ukrycia”.

- Co z tego wynika? - zapytał Simoni

- Dayi Cerkes wjechał zupełnie sam do Złotego Jabłka. Za odwagę czczony jest do dziś. Gdyby Wiedeń dostał się w ręce muzułmanów, z pewnością zostałby patronem miasta - podsumował Czech.

- Do licha! - wykrzyknąłem. - Więc to dlatego aga powiedział, że przybył do Złotego Jabłka zupełnie sam! Nawiązał do bohaterstwa Czerkiesia... Ale z jakiego powodu?

- Nnno... nie... - bąkał Peniłek. - Już wiem! Być może pragnął w ten sposób podkreślić swoją lojalność. Dayi Cerkes też wjechał do miasta za dnia, uzbrojony jedynie w bułat i łuk.

- Właśnie to odkrył Christo Hadzi-Tanjov! - przypomniałem sobie. - Powiedział, że

sens zdania agi zawiera się w słowach *solī solī solī*. Teraz wszystko jasne: poznał historię Czerkiesa. Krótko mówiąc, za zdaniem agi, głową Kara Mustafy i obrzędkiem derwisza nie kryje się żadna tajemnica - stwierdziłem zawiedziony.

- Ktoś jednak zamordował Daniła, Christa i Dragomira, a być może też Kolomana - zauważył Simonis.

- Na bileciku znalezionym w szachownicy Christa było napisane „król jest zamknięty”. Co to miało...

- Jesteśmy na miejscu - przerwał mi Simonis. Powiedział to tak donośnie, że aż Peniś się przestraszył.

Dotarliśmy na wzgórze. Podniosłem się, ale Grek powstrzymał mnie za ramię i nie pozwolił wsiąść.

- Teraz zrób okrążenie - rozkazał Peniśkowi.

- O czym myślisz? - zapytałem Greka.

- Zastanawiam się, skąd aga miał pewność, że księżę Eugeniusz zrozumie sens jego słów.

- No właśnie - powiedziałem. Zauważyłem, że mój nierozgarnięty pomocnik znajdował się w fazie zdumiewającej bystrości umysłu.

- Nnno... więc... - jękał się Peniś, rzucając ukradkowe spojrzenia na torbę Simonisa, po czym, jakby doznał olśnienia, dodał: - To proste, kamienica zwana Strzałą Poganina jest własnością Najjaśniejszego Księcia!

- Moglibyśmy się tam wybrać - zaproponowałem. - Może lokatorzy powiedzą nam coś więcej na temat Czerkiesa, coś, co pomoże zrozumieć tę historię.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparł czeski student, patrząc na rozległe zielone tereny wokół.

Opowieść, której przed chwilą wysłuchaliśmy, powiedział Peniś, wymyślili Turcy, żeby wytłumaczyć obecność posążka na fasadzie domu. Wersja wiedeńców jest zupełnie inna. Tunele wydrążone przez Osmanów z pomocą bomb sięgały pod mury miasta. Mieszkańcy Wiednia zainstalowali w piwnicach system ostrzegawczy: wiadra z wodą (po wybuchu bomb, nawet w dużej odległości, woda burzyła się gwałtownie) i bębny wypełnione groszkiem lub kostkami, które w razie wybuchu głośno grzechotały. Podczas pierwszego oblężenia w 1529 roku wspomniany dom zamieszkiwał piekarz. Pod domem była dwupoziomowa piwnica. Posługacz, który pilnował bębna na dolnym poziomie, niejaki Josef Schultz pochodzący z miasta Bolkenheim na Śląsku, odkrył turecki podkop dzięki kostkom grzechoczącym wewnątrz bębna po wybuchu bomby. Natychmiast doniósł o tym



komendantowi Wiednia i w ten sposób uratował stolicę. Cesarz Ferdynand, na pamiątkę tego wydarzenia, przyznał cechowi piekarzy przywilej organizowania dorocznej procesji wielkanocnej, ze sztandarami i muzyką turecką. Później w piwnicy urządzono winiarnię o nazwie Piwnica Turków. Posążek miałby zatem symbolizować Osmanów, których powstrzymał zaradny posługacz.

- Tydzień temu widziałem tę procesję. Teraz rozumiem... - powiedziałem.

- Mieszkańcy kamienicy nie znają tureckiej wersji historii, nie mogli ci jej opowiedzieć - zauważył Simonis. - Skąd ją znasz? I dlaczego tak długo wracałeś do klasztoru?

Pismak uśmiechnął się nieśmiało.

- Znałem tę legendę, ale dopiero dziś, kiedy spojrzałem na ten przekłety posążek, przypomniałem ją sobie. Wysiadłem z kolasy i zacząłem wypytywać mieszkańców domu, co zajęło mi trochę czasu. Ale oni wiedzieli tyle co ja. Że też nie wpadłem na to wcześniej! Nie musielibyśmy zajmować się tą absurdalną historią złotego jabłka!

To powiedziawszy, Peniłek rozpląkał się, dając upust napięciu i przerażeniu. Łkał jak dziecko, także w chwili, gdy Simonis kazał mu wracać do Porta Coeli.

W drodze powrotnej mój pomocnik przyglądał się pismakowi szklanym wzrokiem.

*Godzina 17: koniec pracy. Zamykane są sklepy i kancelarie. Rzemieślnicy, sekretarze, nauczyciele języków, księża, sprzedawcy, lokaje i woźnice zasiadają do kolacji (w Rzymie jest dopiero pora podwieczorku)*

Wróciłem do klasztoru bardzo zmęczony.

Synek bawił się w krużganku. Wysłałem go na kolację z Simonisem. Cloridię zastałem w pokoju opata Melaniego.

- No i co? - zapytała na mój widok.

Chciała wiedzieć, czy znaleźliśmy coś na kartce ze zdaniem agi. Powiedziałem jej, że Turcy pragnęli dać Eugeniuszowi do zrozumienia, że przybyli do Wiednia z taką samą lojalnością, z jaką wkroczył do miasta Dayi Cerkes, czyli zupełnie sami, nie używając podstępów. Księżę zapewne zrozumiał metaforę, kamienica z posązkami Czerkiesów jest bowiem jego własnością.

Opowiedziałem Cloridii i opatowi Melaniewi o Kolomanie, reakcji Opalińskiego i jego oskarżeniach pod adresem pismaka, a także o tym, jak Peniłek odkrył tajemnicę (choć nie istniała) zdania agi. Małżonka ciężko opadła na krzesło. Opat, pogrążony w zadumie, głaskał gałkę swojej laski.

- A jeśli to był nieszczęśliwy wypadek?

- A jeśli uczynił to zakonnik?

- A jeśli...?

Pytań było wiele. Ostatniego moja żona nie zadała, ale oboje wiedzieliśmy, że miała na myśli Penicka. Tylko jego osoba łączyła się ze śmiercią wszystkich czterech studentów. Pozostawało pytanie: dlaczego to zrobił.

- Turcy nie mają z tym nic wspólnego, tym lepiej. Koloman zginął prawdopodobnie wskutek nieszczęśliwego wypadku. Pozostałych trzech studentów ktoś jednak zamordował, jednego po drugim. Nie podoba mi się ten Peniłek - powiedziała ponurym głosem.

- Przecież uratował mi życie! - zaoponowałem.

- Nie przesadzajmy! Raczej znalazł się tam w odpowiedniej chwili. Mnie również Peniłek się nie podobał. Nie zastanawiałem się nad tym, ale zdarzało mi się odwracać wzrok od tego pokurcza o mysiej twarzy i przebiegłych oczkach. Miał w sobie coś śliskiego i podejznanego, mimo że w parku Prater uchronił mnie przed ciosem nożem. Simonis stale go szturchał i strofował. U Greków piękno łączy się z dobrocią, a brzydota kryje w sobie zło. A Peniłek nie był piękny i utykał na jedną nogę jak diabeł. Nie byłem z pewnością odpowiednią osobą do wydawania podobnych sądów, bo też miałem defekty urody, przede wszystkim niski wzrost (mój ośmioletni synek już mnie przerósł).

- Co Simonis myśli o tej historii? - zapytała Clordia. - O ile się nie mylę, Czech jest na jego rozkazy.

- Zgadza się. Początkowo Simonis trzymał go krótko, ale później, gdy Peniłek wyjawiał nam sens zdania... Wiesz, Simonis bywa czasem... jak to powiedzieć? Czasem trudno go zrozumieć.

- Tak, biedaczek - zgodziła się małżonka. Zawsze odnosiła się do Greka z czułością.

- To wygodne udawać idiotę - wtrącił Atto.

- Co pan ma na myśli? - spytałem.

- Nic. Przynajmniej na razie. Ale, jak słusznie zauważyła pani Clordia, Czech bez szemrania wykonuje polecenia Greka.

- I co z tego? To taki studencki obyczaj...

- Nie interesuje mnie przyczyna, liczą się fakty - uciął opat. - Clordia wspomniała o karteczce agi. Mogę ją zobaczyć?

- Zobaczyć? - zdziwiłem się.

- Chciałem powiedzieć, czy mogę ją wziąć do ręki? Jestem ciekaw. Może moje biedne oczy coś zobaczą?

Wyjąłem bilecik z kieszeni, mocno już zniszczony, i wręczyłem opatowi. Wziął go do

ręki i próbował obejrzeć w świetle świecy, która stała na szafce obok fotela, ale Cloridia, dostrzegłszy, do jakiego stanu doprowadziliśmy karteczkę eksperymentami opisanymi w książeczce doktora Abeliusa, odebrała mu ją:

- Boże mój! I co teraz? Nie mogę zwrócić kartki w takim stanie!

- Można wyrównać brzegi, wygładzić... - bąknąłem. Wsunąwszy bilecik do kieszeni fartucha, Cloridia wybiegła z pokoju jak strzała, zostawiając nas samych.

W tej samej chwili weszła siostra z kolacją dla Atta i Domenica, który nadal był chory. Atto nie chciał nigdzie wychodzić, gdyż czekał na Ugo-nia. Łowca relikwii spóźnił się.

Nie chciałem im przeszkadzać w posiłku, powiedziałem więc, że też zgłodniałem i wróciłem do siebie. Gdy wszedłem do pokoju, Cloridia z benedyktyńską cierpliwością wyrównywała nadpalone brzegi kartki. Następnie miała zamiar rozprasować żelazkiem fałdy, powstałe wskutek zanurzenia w wodzie.

Małżonka dowiedziała się od opata Melaniego o porannym spotkaniu z Ugoniem i o tym, że derwisz Cizeber domagał się głowy nie Jego Cesarskiej Wysokości, lecz czerepu Kara Mustafy. Opat wspominał też o podejrzanym spotkaniu łowcy relikwii z Gaetanem Orsinim, mającym jakiś związek z dwoma bliżej niezidentyfikowanymi wisielcami. Ja z kolei opowiedziałem Cloridii o tym, co wydarzyło się tego ranka, od chwili gdy przyniosła do piwiarni gazetę z wiadomością o chorobie Wielkiego Delfina: o wyznaniach Atta i o wszystkim, czego się od niego dowiedziałem o Eugeniuszu. Gdy dotknąłem delikatnego tematu skłonności najjaśniejszego księcia, małżonka nie wydawała się zaskoczona, co więcej, użyła niecenzuralnych słów, których nie będę tu przytaczał.

- Bez względu na wady Sabaudczyka - powiedziała z powątpiewaniem - nie sadzę, by pragnął śmierci cesarza. Co do reszty, to podejrzewałam, że jest przebiegły - dodała z uśmiechem. - Założę się, że to on umieścił pannę Palffy właśnie tutaj, przy ulicy Porta Coeli, niemal naprzeciwko swojego pałacu.

- Gaetano Orsini twierdzi, że to decyzja cesarza. Z powodu sąsiedztwa z klasztorem, w którym przebywa Camilla.

- Być może obaj tak postanowili. Nie ufałabym Orsiniemu, dopóki Ugonio nie wyjaśni ci, co go z nim łączy. A propos, która godzina? Miał być o piątej.

Dochodziła szósta po południu, a łowca relikwii nie przychodził. Cloridia nie mogła dłużej czekać, musiała zwrócić karteczkę agi. Poprosiła mnie, żebym czuwał nad opatem, i udała się do pałacu księcia Eugeniusza.

Niedługo potem z kolacji w gospodzie wrócili Simonis z moim synkiem. Słowa

Cloridii na temat Orsiniego dały mi do myślenia. Wpadłem na pewien pomysł. Wysłałem obydwu pomocników na ulicę Kotlarzy. Mieli zapukać do drzwi Antona de' Rossi, powiedzieć, że przysłała ich Gaetano Orsini, i oczyścić przewody pokojowe w jego domu. Czekałem na Ugonia, więc nie mogłem się ruszyć, ale Simonis z pewnością zdoła uzyskać informacje o młodym kastracie.

Pożegnałem się z pomocnikiem i uczniem, udzieliwszy im niezbędnych instrukcji. Właśnie miałem usiąść w fotelu, kiedy z kieszeni wysunęła mi się książeczka Abeliusa o sztuczkach studentów. Kiedy podnosiłem ją z podłogi, spojrzałem na stronę, na której się otworzyła. Nie był to rozdział poświęcony odczytywaniu ukrytego pisma. Na marginesach widniały notatki napisane ręką Simonisa. Niestety, Grek użył niemieckiej kursywy, przypominającej ni mniej, ni więcej tylko pismo arabskie. Zaciekawiony rzuciłem okiem na fragmenty, które wydawały się najbardziej zajmować mojego pomocnika:

Chcesz wiedzieć, czy ranny wyzdrowieje, czy umrze? Weź sok z ruty i posmaruj mu nim nos. Jeśli kichnie, wyzdrowieje, w przeciwnym razie będzie znaczyć, że został śmiertelnie zraniony.

Simonis zastosował tę metodę, gdy znaleźliśmy umierającego Daniła. Zatem zaczerpnął ją z książeczki doktora Abeliusa. Potem następował opis innej techniki, a dalej sposoby na kaca, jak na przykład wypicie octu czy przyłożenie mokrego płótna do przyrodzenia. O tym też słyszałem od Simonisa, jak również o metodzie zwalczania senności, polegającej na noszeniu przy sobie nietoperza, dokładnie jak uczynił to Grek w noc otrzęsin i później, gdy odwiedziliśmy wszystkie wiedeńskie pola do gry w kule w poszukiwaniu Populescu. Kiedy natrafiłem na sposoby sprawdzania dziewictwa, pomyślałem o nieszczęsnym Dragomirze... Zacząłem czytać od miejsca, które, jak sądziłem, szczególnie zainteresowało Si-monisa:

Jeśli chcesz, by ktoś spał przez trzy dni z rzędu, daj mu do wypicia wino z dodatkiem zajęczej żółci - zaśnie od razu. Jeśli chcesz go obudzić, wlej mu do ust octu albo mleka maciory. Albo weź żółć węgorza i dodaj do napoju - będzie spał przez trzy dni. Żeby go obudzić - wlej mu do ust wody różanej.

Jeśli chcesz zatrzymać przy sobie jakieś zwierzę, weź kawałek chleba i włóż pod pachy. Kiedy nasiąknie potem, daj zwierzęciu do zjedzenia.

Jeśli chcesz, by poszło za tobą, daj mu do zjedzenia serce kota.

Doktor Abelius napisał prawdziwą ewangelię studenta!

Co zrobić, aby daga, miecz czy nóż odbiły broń wroga? Weź trochę szlachetnego ziela o nazwie werbena, utrzyj je, zmieszaj z dziewanną i uryną, zagotuj i zanurz w tym płynie

broń.

Jeśli chcesz, żeby pistolet strzelał dalej i mocniej niż inny tego samego rodzaju, każ sobie zrobić cięższą kolbę. Z pozoru będzie taka sama jak w zwykłym pistolecie. We wnętrzu lufy każ ukryć cienką rurkę. Przez nią proch będzie wpadał do otworu zapłonowego. Załaduj jak zwykle i naciśnij spust. Pistolet wystrzeli silniej i dalej, z tej przyczyny, że spali się więcej prochu.

Następne rozdziały były wprost upstrzone uwagami i komentarzami napisanymi ręką Simonisa.

*Kamizelka, której nie da się przestrzelić, rozedrzeć ani przesyć sztyletem*

Weź dwa funty ryby *ichtiocolla*, pokrój ją na drobne kawałki i pozostaw przez noc w syropie z winogron. Odcedź z syropu, zalej czystą wodą i gotuj dotąd, aż ryba zmieni się w gęstą papkę. Dodaj pięć uncji drobno pokruszonej gumy arabskiej i zaczekaj, aż się rozpuści. Następnie dodaj cztery uncje sproszkowanego markasytu, uprzednio kilkakrotnie gotowanego w occie i ostudzonego, oraz dwie uncje starej terpentyny. Zagotuj ponownie. Gotowym preparatem posmaruj grube lniane płótno, rozłożone na gładkiej desce i przymocowane gwoździami. Na to połóż drugą warstwę grubego lnu i znowu posmaruj preparatem. Powtarzaj tę czynność aż do uzyskania dziesięciu-dwunastu warstw lnianego płótna. Wysusz (latem wystarczy osiem dni). Zanim warstwy płótna całkowicie wyschną, nadaj im pożądany kształt. Z tak przygotowanej tkaniny wykonano kamizelki, szyszaki i tym podobne dla barona K. z Labach oraz dla N., które można podziwiać w królewskiej Kunstkammer.

Miecze, pistolety, kamizelki ochronne - dlaczego mój pomocnik interesował się tym?

*Jeszcze jeden materiał odporny na cięcie sztyletem, rozdarcie i przebicie kulą pistoletu.*

Weź *ichtiocollę* i gotuj do uzyskania *consistentiam melleam*, czyli konsystencji miodu. Posmaruj tą papką lniane płótno, a kiedy będzie prawie suche, rozprowadź pędzelkiem drugą warstwę preparatu, wysusz, następnie ponownie posmaruj i wysusz, i tak kilka razy.

Drugi sposób: weź lniane płótno, posmaruj rybim klejem i wysusz na stole. Weź żółty воск, żywicę i mastyks, po dwie uncje każdego. Rozpuść wszystko w uncji terpentyny, dobrze wymieszaj i smaruj lniane płótno tyle razy, aż wchłonie cały preparat.

I dalej:

*Kołnierzyk odbijający kule muszkietu.*

Weź skórę z dopiero co zabitego wołu. Wytnij kawałek skóry dopasowany do obwodu twojej szyi i włóż na dobę do octu, a potem dokładnie wysusz.

Przypomniała mi się sceptyczna uwaga Atta na temat naiwności Simo-nisa. Było

jasne, że opat go podejrzewał. Czysty absurd! Poza tym Mela-ni nie chciał powiedzieć nic więcej. Być może brakowało mu dowodów i sam nie był niczego pewien.

Właściwie wszyscy mogli być podejrzani! Poruszałem się po omacku. Przed laty używaliśmy z opatem Melanim straszaków zamiast prawdziwych pistoletów, ale prędzej czy później prawda wychodziła na jaw. Tym razem jednak, porzuciwszy fałszywy trop, gubiłem się w gąszczu domysłów. Późniejsze ustalenia przeczyły początkowym przypuszczeniom. Najpierw podejrzewałem Atta i Cizebera, potem Penicka i Simonisa. Powiązania Ugonia z Orsinim należało jeszcze wyjaśnić. Pozostali nie żyli: Daniłó Daniłowicz, Christo Christov, Dragomir Populescu, Kolo-man Szupan. Wszyscy oprócz Opalińskiego. On też był podejrzany? Bez względu na to, jaka była prawda, pozostawało pytanie: dlaczego ktoś zamordował studentów.

Cesarzowi (i Wielkiemu Delfinowi) zagrażała śmiertelna choroba. Brakowało dowodów na to, że miało to jakiś związek z zabójstwem studentów.

Do kręgu podejrzanych nie zaliczyłem tylko Cloridii i siebie...

Nagle przyszło mi do głowy coś absurdalnego. Seria zabójstw zaczęła się w momencie, gdy kolegom Simonisa zleciłem poszukiwanie informacji na temat złotego jabłka, ale już ustaliliśmy, że badania te nie miały związku z zabójstwami.

Jedynym elementem łączącym nieszczęśliwe zdarzenia byłem ja, ale dopiero teraz uświadomiłem sobie, że tym samym jestem podejrzany. Ledwo studenci mnie poznali, zaczęli padać jak muchy, jeden po drugim, w odstępie kilku godzin.

Na tym nie koniec. Zostali zamordowani tuż przed spotkaniem ze mną i Simonisem albo kiedy ich szukaliśmy. Za każdym razem obaj znajdowaliśmy ciało. Grek od dawna znał swoich kolegów z uniwersytetu. To on mi ich przedstawił, a nawet zaproponował, bym ich zatrudnił. Dlaczego miałby pragnąć ich śmierci właśnie teraz?

Atto miał rację. Jeśli szukasz winnego, powiedział mi przed kilkoma dniami, spójrz w lustro: wszyscy, z którymi masz spotkanie, giną.

Ugonio nie nadchodził. Wszyscy, z którymi mam spotkanie, giną...

*Godzina 20: zamykane są gospody i piwiarnie*

Dając dowód swych niezwykłych umiejętności, orkiestra podążała za wokalnymi popisami sopranu. Zgodnie z treścią oratorium matka świętego Aleksego wyśpiewywała swój żal do okrutnego losu. *Chormaisterin* stworzyła cudowne wokalizy, które lepiej niż mistrzowskie malowidła czy poematy potrafiły odtworzyć uczucia zasmuconej matki:

*Un barbaro rigor*

*Fe ii misero mio cor*

*Gioco ai tormenti*  
*E U crudofato vuol*  
*Che un esempio di duol*  
*L'alma diventi...*  
*Okrutne przeciwności!*  
*Przez was ból w sercu gości*  
*I przeżywam męczarnie.*  
*Srogi los pragnie*  
*Aby moja dusza*  
*Znosiła katusze...*

Moje serce wypełniały podobne uczucia jak w śpiewie zrozpaczonej matki, rozbrzmiewającym w cesarskiej kaplicy.

Ugonio nie stawiał się na spotkanie. Czekaliśmy na niego od trzech godzin. Z pewnością coś mu się przytrafiło. Łowca relikwii, który usilnie domagał się zwrotu kluczy i błagał, by dobrze się z nimi obchodzić, jakby były ze złota, nie spóźniłby się na spotkanie bez ważnego powodu. Obawiając się najgorszego, udałem się na próbę *Świętego Aleksego*. Jaka tajemnicza nić łączyła Gaetana Orsiniego i Ugonia? Jaki sekret miał nam wyjawić łowca relikwii? Czy po tragicznej śmierci Daniła, Christa, Popu-lescu i Kolomana Szupana czekało nas kolejne nieszczęście?

*E ii crudofato vuol*  
*Che un esempio di duol*  
*L'alma diventi...*

Nie, nie mogliśmy czekać z założonymi rękami. Podniosła, porywająca muzyka Camilli de' Rossi rozpałała mi serce i umysł, pałałem żądzą zemsty. Przyjrzałem się uważnie włoskim muzykom. Zapragnąłem poznać prawdę o ich nikczemnych czynach. Dostrzegłem szczupłą twarz teorbanisty Francesca Contiego. Czyż nie były to rysy człowieka gotowego sprzedać honor za garść monet? Spojrzałem na jego żonę o zaokrąglonych policzkach, sopranistkę Marię Landini, zwaną Landina, i pomyślałem: czyż nie była to twarz osoby, której dobrze się powodzi dzięki podejrzanym interesom? Czyż tenor Carlo Costa ze spiczastą bródką nie sprawiał wrażenia człowieka bystrego, bezwstydnego i nieszczerzego, całkowicie zaprzędanego złu? A czy Gaetano Orsini ze swoją bezustanną paplaniną nie był przykładem hipokryty i pochlebcy? Obserwowałem twarz skrzypka o chytrych oczkach człowieka przebiegłego. Twarze wiolonczelistów o haczykowatych nosach świadczyły o zachłanności, flectistów o nienaturalnych gestach - o notorycznych kłamstwach. Powracały mi na myśl,

niczym źle strawiony posiłek, opowieści Atta o muzykach szpiegach, jak Dowland czy Corbetta, oraz muzyczno-szpiegowska działalność samego Melaniego. Myślałem: ty głupcze, naprawdę wierzysz, że możesz ścisnąć dłoń muzyka bez skalania własnej ręki potem szpiega? Myślałem też o okrutnym losie Euterpe i Erato, słodkich muz muzyki, którym zawsze deptał po piętach podstępny Hermes, bóg handlu i kradzieży. Poczułem wstyd, że szczyliłem się przyjaźnią z tego rodzaju ludźmi, którzy za plecami z pewnością ze mnie drwili.

Z ciężkim sercem rozmyślałem o *Chormaisterin*. Czy ona także uprawiała szpiegostwo? Zastanawiało mnie w Camilli wiele rzeczy. W jaki sposób odgadła, że moja żona świetnie zna turecki? Nie wiedziałem tego nawet ja, jej mąż! *Chormaisterin* poleciła Cloridię do pracy w pałacu Eugeniusza podczas pobytu agi, ponieważ wiedziała o jej znajomości tureckiego. Dziwiło mnie też jej zainteresowanie przeszłością Cloridii, matką Turczynką, potrawami z orkiszem, wreszcie znajomość z Attem Mela-nim. Odwiedziła Atta w Paryżu, tak powiedziała, razem z mężem Fran-zem de' Rossi, potomkiem (jak twierdziła) *seigneura* Luigiego, dawnego mistrza Atta. Czy miała na to dowody? Nigdy nie chciała mówić o swojej przeszłości, o życiu sprzed ślubu. Twierdziła, że jest rzymianką, w dodatku z Zatybrza, choć nie mówiła z rzymskim akcentem.

Anton de' Rossi, niegdyś pokojowiec kardynała Collonitza, był krewnym Franza. Simonis, po powrocie z ulicy Kotlarzy, powiedział mi, że nie zastał pana domu, a na temat Orsiniego dowiedział się tylko tyle, że młody kastrat przed wielu laty brał lekcje śpiewu u przedwcześnie zmarłego kuzyna Antona de' Rossi, nadwornego kompozytora o imieniu Franz... Dlaczego zatem Camilla temu przeczyła? Kiedy poinformowałem o wszystkim Cloridię, bardzo się zdziwiła, że na osobę, którą uważała za przyjaciółkę, padł cień podejrzenia. Moja małżonka zmarszczyła brwi. Wiedziałem, o czym myślała. Jakiś czas temu *Chormaisterin* zaprzeczyła, że jest krewną owej Camilli de' Rossi, którą Cloridia widziała przelotnie na Zatybrzu. Czy wtedy też kłamała?

Tego wieczoru po *Świętym Aleksym* przeprowadziła próbę jeszcze jednego utworu. Jego wykonanie miało nastąpić w najbliższych dniach.

Partię solową wykonywał chłopiec, którego niewinność, myślałem, kontrastowała z zakłamaniami muzyków. Dzieło skomponował teorbani-sta Francesco Conti. Łacińskie słowa stanowiły jakby komentarz do mojego pragnienia sprawiedliwości. Utwór otwierała smutna modlitwa do Zbawiciela:

*Languet anima mea  
Amore tuo, o benignissime Jesu.  
Aestulat et spirat*



*Et in amore deficit...*

„Z miłości do Ciebie, o słodki Jezu, moja dusza usycha, płonie i wzdycha, i cierpi”. No właśnie, pomyślałem z gorzką ironią, odpowiednie słowa dla zbieraniny szpiegów, jaką jest orkiestra. Jeszcze trafniejsza wydawała się kolejna strofa, otwierająca allegro moderato:

*O vulnera, vita coelestis.*

*Amantis, trophea regnantis.*

*Cor mihi aperite...*

„Rany, życie niebiańskie, symbole zwycięstwa Najwyższego Oblubieńca, otwórzcie przede mną serce!”

Chętnie zajrzałym do serca pięknej, niewinnej *Chormaisterin*, ale przedtem chciałym przeniknąć duszę Gaetana Orsiniego i odgadnąć jego tajemnicę (wkrótce miała się nadarzyć ku temu okazja).

- Zabito czterech studentów, a jeśli zginął też Ugonio, następny będziesz ty!

- Czterech zabitych? Ugonio? O czym wy mówicie?

Simonis, Peniścek i Opaliński dopadli Gaetana Orsiniego, gdy po próbie wracał do domu.

Z książeczką doktora Abeliusa w kieszeni, powiedziałem Simonisowi o zniknięciu Ugonia. W związku z tym należy przesłuchać Orsiniego.

Mój pomocnik pobiegł do Opalińskiego i namówił go do pogodzenia się z Peniśkiem: „Musimy trzymać się razem. Jeśli będziemy się nawzajem oskarżać, to koniec z naszą przyjaźnią”. Prawdę mówiąc, Polakowi przeszła już złość. Przyznał, że oskarżył pismaka zbyt pochopnie, z rozpaczy po śmierci, zapewne przypadkowej, Kolomana Szupana.

Tak więc studenci we trzech otoczyli Orsiniego. Młody kastrat przeraził się nie na żarty na widok muskularnego Polaka, wysokiego Simonisa i kuśtykającego okularnika Peniśka, który w nocy przypominał diabła.

Co do mnie, to ograniczyłem się do wskazania ofiary, po czym skryłem się za rogiem. W wieczornej ciszy doskonale słyszałem padające pytania i odpowiedzi.

- Nie chcesz wyjawić imion? To bez znaczenia, bo i tak je znamy. Jeśli chodzi o Kolomana, to jest już za późno, ale musisz nam wyśpiewać, gdzie jest łowca relikwii, w przeciwnym razie będzie z tobą źle! - groził Grek.

- Łowca relikwii? Zapewniam was, że się mylicie. Pomyliliście osoby, ja nic nie wiem! - popłakiwał Orsini.

Na znak Simonisa Opaliński uderzył śpiewaka w brzuch. Orsini zgiął się wpół. Polak wymierzył mu silny policzek, a Peniścek i mój pomocnik zaatakowali go od tyłu. Pismak

schwycił kastrata za włosy, a Simonis wykręcił mu rękę. Nieszczęsny śpiewak, nieprzywykły do brutalnego traktowania, wyjęczał:

- Oddam wam wszystkie pieniądze... Mam ich niewiele, ale też niemało! Nie zabijajcie mnie, proszę!

- Chyba się nie rozumiemy - powiedział Simonis. - Chcemy wiedzieć, gdzie jest Ugonio, łowca relikwii. Miał do ciebie przyjść? A może mieliście spotkanie gdzie indziej? Co wiesz o dwóch wisielcach?

- Nic nie wiem. Nienawidzę lasów, nigdy nie opuszczam murów miasta. Powtarzam, nic... - tłumaczył się płaczliwym głosem Orsini.

Opaliński wymierzył mu kolejny cios w brzuch.

- Dość tych bzdur! - syknął Grek, podczas gdy Jan szykował się do następnego uderzenia. - Ugonio, ten w cuchnącym płaszczu, łowca relikwii. Nie mów, że go nie pamiętasz.

Janicki uderzył śpiewaka trzy czy cztery razy w twarz. Orsini zaczął wzywać pomocy, ale ucichł, gdy dostał kilka ciosów w głowę. Był na przegranej pozycji.

- Mam przy sobie trochę pieniędzy, weźcie wszystko! - zaproponował kolejny raz.

- Przypomnij sobie - powtórzył Simonis, nie reagując na propozycję. - Ugonio, ten, który tak dziwnie mówi... No, rusz głową!

- Zaprowadzę was do domu, jeśli chcecie, tam mam więcej pieniędzy - nalegał kastrat, bity ciągle po głowie i twarzy.

- Zapytaj go, czy wie przynajmniej, gdzie mieszka Ugonio.

- Słusznie. Słyszałeś, co powiedział mój przyjaciel?

Cisza. Orsini płakał. Janicki, na wszelki wypadek, wymierzył mu kilka policzków, które odniosły skutek przeciwny od zamierzonego. Kastrat rozplakał się jeszcze bardziej i zaczął się głośno modlić. Jego reakcja wszystkich zaskoczyła.

- Tym razem pozwolimy ci odejść. Ale jeśli przekonamy się, że skłamałeś, albo opowiesz komuś o naszym spotkaniu, czeka cię niemiła niespodzianka.

Orsini osunął się na ziemię. Poczulem współczucie do nieszczęsnego muzyka, którego opór topniał jak masło krojone rozgrzanym nożem. Pomyślałem o zamordowanych studentach i Ugoniu - współczucie dla Orsi-niego minęło.

Młodzieńcy oddalili się od miejsca kaźni. Mijając mnie, dali znak, żebym do nich dołączył. Pobiegłem za nimi, starając się nie hałasować, żeby Orsini nie dowiedział się, że scenie pobicia przyglądała się czwarta osoba (dobrze mu znana).

- Jedno z dwojga: albo jest bardzo sprytny, albo pomyliliśmy się - stwierdził Jan

Janicki vel Opaliński, zanim się rozstaliśmy.

Pożegnaliśmy się też z Penickiem i razem z Simonisem wróciłem do klasztoru.

- Zaczekajmy do jutra - oznajmiłem. - Jeśli Ugonio nie da znaku życia, pójdziemy do katedry Świętego Szczepana i odszukamy diakona, z którym umówił się w sprawie przesłania archanioła Michała. Ugonio mówił, że on też kolekcjonuje relikwie. Może ma to jakieś znaczenie. - Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni książeczkę doktora Abeliusa. - Chwileczkę! Oddaję ci twoją własność, proszę.

Simonis wziął ją bez słowa, po czym rozstaliśmy się.

Środa

*15 kwietnia 1711 roku Dzień siódmy*

*Godzina 5.30: pora pierwszej mszy. Zaczynają bić po kolei wszystkie wiedeńskie dzwony, zapowiadając msze, procesje, modlitwy. Otwierane są gospody i piwiarnie*

- Jutro w nocy, rozumiesz? Zrobią to jutro w nocy - powiedziała Clo-ridia drżącym głosem.

- Zatem chyba nie ma powodu do obaw.

O świcie Cloridię pilnie wezwano do pałacu księcia sabaudzkiego. Miała się odbyć kolejna audyencja agi, ale nie w południe jak zwykle, tylko we wczesnych godzinach rannych. Moja małżonka wymknęła się, żeby donieść mi, czego się dowiedziała.

Dzień wcześniej, we wtorek, księżę miał wyruszyć na wojnę, czekał jednak, aż stan zdrowia Jego Cesarskiej Wysokości wyraźnie się poprawi. Ostatecznie postanowił wyjechać następnego dnia, czyli w czwartek 16 kwietnia. Wystosował do cesarza oficjalny list, w którym powiadomił go o swoim zamiarze opuszczenia Wiednia. Informacja ta pochodziła od kopisty i wydawała się więcej niż pewna. Nie to jednak niepokoiło Cloridię.

Przed wyjazdem Eugeniusz miał się ponownie spotkać z tureckim agą. To, co mieli sobie powiedzieć (w dodatku o tak wczesnej porze, kiedy arystokraci śpią), okryte było tajemnicą. Także audyencja nie była powodem obaw Cloridii.

Moja małżonka miała tego ranka dużo zajęć. Musiała zaprowadzić do kuchni dwóch żołnierzy ze świty agi i pomóc im kupić alkohol spod lady. Później udzieliła wyjaśnień innym dwóm żołnierzom tureckim, którzy widzieli dość swobodne zachowanie par kochanków podczas wieczornych schadzek. Oszołomieni pikantnymi scenkami, domagali się wyjaśnień na temat obyczajów wiedenek (Cloridia ostrzegła ich, żeby nie naprzykrzali się kobietom, gdyż może to doprowadzić do nieprzyjemnego incydentu o charakterze dyplomatycznym). Następnie wystarała się o papier i pióro dla jednego z Osmanów, smutnego młodzieńca o kontemplacyjnym charakterze, który chciał zawieźć do ojczyzny szkic pałacu Eugeniusza.

Załadziła kłótnię w sprawie cen pomiędzy dwoma wspomnianymi nabywcami alkoholu a jednym z kucharzy Najjaśniejszego Księcia. Wreszcie personel pałacu poprosił Cloridię o przypomnienie szanownym gościom (jeśli można tak nazwać wschodnie żołdactwo), że z pałacowych komnat nie wolno wynosić pamiątek w postaci bibelotów, zasłon, świeczników i innych przedmiotów, jak również zdzierać adamaszkowych obić z foteli i obtłukiwać stiuków zdobiących ściany. Mimo zaabsorbowania tymi wszystkimi sprawami spostrzegła, że do pałacu przybył aga w towarzystwie tłumaczy oraz najbliższych doradców i udał się prosto do księcia na prywatną audiencję.

Przechodząc korytarzem, Clordia usłyszała rozmowę kilku Turków (trudno powiedzieć, ilu ich było, trzech czy czterech) z osobą mówiącą po niemiecku. Jeden z uczestników rozmowy służył za tłumacza. Clordia zdziwiła się, że nie zlecono tego jej. Domyśliła się, że chodzi o rzecz ściśle tajną. Tak też było w istocie.

Przykładając ucho do drzwi, podsłuchiwała, że człowiek mówiący po niemiecku był lekarzem, ni mniej, ni więcej tylko jednym z osobistych medyków cesarza. Nazywał się Hóller i jak wywnioskowała z rozmowy, był absolwentem wydziału medycyny i filozofii, który ukończył w wieku zaledwie 23 lat. Szczycił się tym, że leczył wybitne osobistości, między innymi księcia lotaryńskiego wraz z małżonką, nieżyjącego już cesarza Leopolda oraz jego syna, miłościwie nam panującego cesarza Józefa I Zwycięskiego.

- Cesarski medyk! - wykrzyknąłem. - Co on robił z Turkami w pałacu Eugeniusza, w dodatku o świcie?

Nie była to pierwsza rozmowa Cizebera z lekarzem Józefa I, stwierdziła Clordia. Spotykali się już wcześniej.

- Podsłuchiwałam całą rozmowę, ale najważniejszą wiadomość usłyszałam już na początku. Jutro wieczorem derwisz będzie uzdrawiał Józefa.

- Uzdrawiał?

- Tak, podda go kuracji, tak powiedzieli.

- Zatem poprawą stanu zdrowia Józefa zawdzięczamy Cizeberowi! - zdziwiłem się.

- Jutro derwisz powtórzy terapię. Będzie ona decydująca. Hóller stwierdził, że Józef czuje się coraz lepiej, więc kuracja musi się jutro zakończyć. Gdyby lud dowiedział się, że niewierni współpracują z osobistym lekarzem cesarza, wybuchłby skandal.

Jak już wspomniałem, wyleczeniem cesarza miał się zająć Cizeber. Podczas spotkania w pałacu Eugeniusza rozmawiano o narzędziach derwisza, o jego sposobach uzdrawiania oraz o porze, w której najlepiej będzie przeprowadzić kurację.

- Czy medyk cesarza domyśla się, że ktoś nastaje na życie Józefa?

- Myślę, że tak, zważywszy na godzinę spotkania i jego poufny charakter. Lekarz powiedział, że na tym etapie choroby można polegać jedynie na Ciezeberze.

- Oto czemu służył obrządek, którego derwisz dokonał w lesie w pobliżu Bezimiennego Miejsca - przypomniałem. - Ugonio mówił, że miał on charakter terapeutyczny, ale nigdy bym nie przypuszczał, że służył uzdrowieniu cesarza! Prawdę powiedziawszy - dodałem w zamyśleniu - cała ta historia jest absurdalna. Na początku podejrzewaliśmy Turków o otrucie Józefa, a teraz okazuje się, że go leczą...

- To proste - odparła Clordia. - Gdyby cesarz zmarł, na tronie za-siadłby jego brat Karol i wojna by się skończyła. Choć wydaje się to bezsensowne, sułtan ma interes w tym, żeby cesarz miał się dobrze. Konflikt trwałby nadal, wyczerpując cesarstwo i inne potęgi chrześcijańskie. Czyż to nie jest korzystne dla Osmanów?

- Słyszałem od opata Melaniego, że Karol jest człowiekiem słabego charakteru i książę Eugeniusz namówi go do kontynuowania wojny, tymczasem Józef I zamierza ułożyć się z Francją i oddać jej Hiszpanię, zatrzymując dla brata Katalonię. Jeśli to prawda, bardziej prawdopodobne jest to, że wojna zakończy się za panowania Józefa, a nie Karola.

- Może Turcy tego nie wiedzą.

- To niemożliwe, znają pokojowe zamiary cesarza.

- Zatem nie wierzą, że pomysł Józefa się ziści. Wiadomo, jacy są Francuzi: żądają wszystkiego, w przeciwnym razie - wojna! - oznajmiła Clordia, podnosząc dłoń, jakby dla podkreślenia bezkompromisowości Francji.

- Możliwe - przyznałem. - Ale jeśli tak się mają sprawy, traci sens teoria Atta dotycząca księcia Eugeniusza, który ponoć spiskuje przeciw cesarzowi, żeby tron przejął Karol. Przy jego niezdecydowaniu wojna trwałaby nadal. Wydaje się dziwne, że właśnie w pałacu Sabaudczyka kryje się uzdrowiciel Józefa.

- Otóż to! Oznacza to, że Eugeniusz prawdopodobnie nie ma nic wspólnego z chorobą cesarza.

Clordia miała rację. Przyzwyczaiałem się, że hipotezy Atta zawsze się sprawdzają, tym razem jednak popełnił błąd. Nie potwierdziło się też przyp-uszczenie, iż Turcy są płatnymi mordercami w służbie wrogich państw.

Zanim Clordia wróciła do pałacu, na odchodnym poleciła mi, żebym zaopiekował się opatem. W klasztorze do moich drzwi zapukał Simonis, tak jak się umówiliśmy. Teraz, kiedy miałem pewność, że cesarz ma się dobrze, mogłem ze zdwojoną energią zająć się pracą, którą mi zlecił w Bezimiennym Miejscu.

Razem z synkiem i Simonisem siedzieliśmy przy stole w gospodzie, jedząc śniadanie.

Był z nami opat Melani. Nie przywykł wstawać tak wcześnie rano. Na pół śpiąc, dłużył widelcem w talerzu, na którym leżała duża porcja kielbasy z musztardą. Po śmierci Dragomira Populescu i opowieściach na temat Ormian woleliśmy unikać wiedeńskich kawiarni, gdzie z pewnością podano by mu śniadanie, do jakiego był przyzwyczajony.

Już miałem przekazać opatowi wieści zasłyszane od Cloridii, ale powstrzymałem się. Atto dowiedział, że nie ufa mojemu pomocnikowi, wołałem więc milczeć. Opowiedziałem mu natomiast o bezowocnym przesłuchaniu Gaetana Orsiniego.

- Czy mógłbyś poprosić gospodarza o gazetę? - zwrócił się Melani do Simonisa, wysłuchawszy mojej relacji.

- To nie jest kawiarnia, panie opacie. Nie mają tu gazet, ale mam przy sobie „Dziennik Wiedeński”, prosto spod prasy - odparł mój pomocnik i wyłożył na stół gazetę, którą kupił w domu Pod Czerwonym Jeżozwie-rzem. - Zawiera wiadomości z ostatnich trzech dni.

Po co ociemniałemu gazeta, w dodatku po niemiecku, zastanawiałem się, zamawiając wodę dla synka.

- Są w niej nekrologi, jak sądzę - powiedział Melani.

- Tak.

- Mógłbyś mi je przeczytać?

Greki spojrzeli na mnie pytającym wzrokiem.

- Zrób to, Simonisie!

Mój pomocnik otworzył gazetę na stronie z nekrologami i zaczął czytać.

- Spis osób zmarłych w obrębie murów miasta i poza nimi - przeczytał swoim nieco głupkowskim głosem. - Jedenastego kwietnia tysiąc siedemset jedenastego roku zmarła córka...

- Nie, nie, interesują mnie tylko mężczyźni.

- Zobaczmy... O, jest! Christof Lang i Matthias Koch, sześćdziesiąt pięć i siedemdziesiąt sześć lat, obaj zmarli w przytułku. Franz Zintel, trzydzieści dwa lata, browarnik ze Spittelbergu, Georg Schraub, czterdzieści osiem lat, krawiec z Wiatraka, Adam Kugler, czterdzieści lat, żołnierz straży z Neubau, Michael Wiflhoffer, czterdzieści lat, kamieniarz z Liechtenthalu.

- Jak widać, wiedeńscy lubią się obżerać - wtrącił Atto z obrzydzeniem. - Jedynie ci dwaj biedacy z przytułku byli nieco starsi. Wszyscy pozostali zmarli bardzo młodo, z pewnością z przejedzenia.

- Czytać dalej? - zapytał Simonis. Atto kiwnął głową.

- Dwunastego kwietnia zmarli Franz Johannes, siedemdziesiąt cztery lata, Kaspar

Wolff, czterdzieści lat i Johann GraBberger, pięćdziesiąt osiem lat, wszyscy trzej w szpitalu. Trzynastego kwietnia...

Ze zdziwieniem przyglądałem się opatowi, który słuchał tej wyliczanki z wielkim zainteresowaniem, z szyją wyciągniętą jak u psa myśliwskiego.

- ...Carl Dement, trzydzieści lat, student z Landstrasse, Andre Trebe-ritz, czterdzieści pięć lat, żołnierz rezerwy z Wiednia, Philipp Brixner, pięćdziesiąt osiem lat, sprzedawca ryb...

- Zmarł jakiś pański znajomy?

- Pst! - uciszył mnie Atto.

- Czternastego kwietnia - ciągnął Simonis - zmarł Melchior Plasch-ky, pięćdziesiąt cztery lata, z Wyspy Leopolda, Rietter Blasi, trzydzieści osiem lat, krawiec z bastionu monachijskiego, Leopold Lóffler, strażnik z bastionu karynckiego, Lorentz Kienast, trzydzieści sześć lat, farbiarz z Wyspy Leopolda...

- Tak jak podejrzewałem, nie ma nekrologu - stwierdził Melani, kiedy Grek skończył czytać.

- Czyjego? - zapytałem.

- Nie domyślasz się? Waszych zamordowanych przyjaciół. I nie jest to kwestia przeoczenia czy świadomego pominięcia. Jak świat światem, zawsze umiera dużo studentów, na ogół z braku umiaru.

- To prawda - przyznał Simonis. - Zamieszczono przecież nekrolog studenta Carla Dementa.

- Ciało Populescu ukryli koledzy waszego woźnicy, tego... jak on się nazywa, Penicka, ale Koloman i dwaj pozostali?

- Słusznie - przyznałem, otwierając usta ze zdziwienia. Simonis zmarszczył brwi.

- Ciało Kolomana przekazał strażom właściciel winiarni - powiedział. - Danił Danilowicz został zasztyletowany jedenastego kwietnia. Trup na murach obronnych nie mógł ujść uwagi żołnierzy. Dwa dni później, trzynastego kwietnia, w parku Prater zginął Christo Christov. Do tej pory śniegi z pewnością stopniały i straża na pewno go znalazły.

- Dlaczego więc nie ma nekrologów? - zdziwiłem się.

- To proste. Ktoś zadbał o to, by nie uwzględnić ich w księdze zgonów.

- Nie rozumiem. Strażnicy wezwali lekarza z urzędu i...

- No, właśnie - wtrącił szybko opat, dając mi do zrozumienia, że nie chce mówić w obecności Greka. - Muszę na chwilę wrócić do klasztoru, zapomniałem jednej rzeczy.

- Myśli pan, że...

- Myślę to, co ty - uciął. - Odprowadzisz mnie, czy mam iść sam?

Zostawiłem synka pod opieką Simonisa. Wstając od stołu, zauważyłem, że mój pomocnik ma ze sobą płócienną torbę, tę samą co poprzedniego dnia.

W drodze do Porta Coeli Atto podjął rozmowę:

- Ten, kto zlecił owe „porządki”, jest bardzo wpływowy. Ale też ludzie, którzy je wykonali, nie wypadli sroce spod ogona. Wiesz, jak należy to rozumieć?

Pokręciłem głową.

- Za śmiercią tych chłopców kryje się jakaś poważna sprawa, bardzo poważna.

- Dlaczego więc przerywał mi pan za każdym razem, kiedy chciałem o tym porozmawiać? - zapytałem urażony.

- Mówiłem to już wielokrotnie, ale jak widać muszę powtórzyć jeszcze raz: wątpię, żeby zginęli z powodu badań nad złotym jabłkiem, ale nigdy nie twierdziłem, że zabójstwa nie mają z tym związku.

- Niech się pan nie wykręca, panie opacie. Doskonale pamiętam: powiedział pan, że Christo był poddanym osmańskim, podobnie jak Rumun Dragomir Populescu, dając do zrozumienia, że ma to coś wspólnego z ich śmiercią.

- Dopuściłem się pewnej nieścistości, przyznaję. W rzeczywistości, odkąd Wysoka Porta podbiła ich ziemie, Bułgarzy zamieszkują niedostępne góry i nie utrzymują kontaktów z najeźdźcami. Co do Rumunii, to nie w całości podlega imperium Osmanów.

- Co takiego?! I dopiero teraz pan mi o tym mówi?! - zawołałem.

- Pst! Mów ciszej, do licha! - syknął Atto, odruchowo rozglądając się wokół, jakby szukając przyczajonego szpiega. - Byłeś mi potrzebny do nawiązania kontaktu z panną Palffy i nie chciałem, żebyś się rozpraszał, zamartwiając się śmiercią tych lekkoduchów - odparł stary kastrat z rozbijającą szczerością.

W klasztorze Atto zapukał do drzwi swojego pokoju gałką laski. Otworzył nam Domenico. Osłabiony wskutek gorączki i przeziębienia, pokaślując, wrócił do łóżka.

- Wybacz mi, chłopcze! - powiedział zaszepiony Atto, chwytając mnie za ramię. - Myślałem, że ta sprawa dotyczy wyłącznie cesarstwa, podczas gdy ja jestem tu, by służyć Francji. Miałem nadzieję, że gdyby mój list dotarł do Józefa, wszystko by się wyjaśniło. Pokonałbym każdego, tymczasem... - urwał.

No, tak, pomyślałem, wchodząc za Melanim do pokoju. Opat wierzył, że Francję i cesarstwo mogą połączyć wspólne interesy. Tymczasem cesarz i Wielki Delfin znaleźli się na ołtarzu ofiarnym, a sztylet wymierzony w ich serca dźrzyżyła jakaś nieznana dłoń. Serca?

- A propos, panie Atto - wtrąciłem. - Co pan robił poprzedniego wieczoru w zaułku za klasztorem z Ormianinem?



Melani spochmurniał.

- Śledzisz mnie?

- Ależ nie. Usłyszałem waszą rozmowę przez przypadek, kiedy wracałem z gospody. Ormianin mówił o jakichś ludziach, którzy sprzedali panu serce ich pana za wysoką cenę, jak się zdaje.

- Tak mówił? Nie wydaje mi się... - bąkał Atto.

- Doskonale pamiętam. Wręczył panu małą szkatułkę, a pan dał mu sakiewkę z pieniędzmi.

- To nic ważnego, tylko...

- Nie, panie Atto. Niech pan nie próbuje się wykręcać, jeśli nie chce pan stracić mojego zaufania. W przeciwnym razie odejdę. I do diabła z panem i z Wielkim Delfinem!

- W porządku, masz rację - ustąpił opat.

Podszedł do komody i wymacał klucz od szuflady. Otworzył ją i wyjął szkatułkę, którą dał mu Ormianin.

- Oto ona. Powierzam ci ją na dowód tego, że nadal możesz mi ufać - oświadczył pompatycznie.

Próbowałem otworzyć szkatułkę, ale na próżno: była zamknięta na klucz.

- Dam ci klucz przed wyjazdem. Przysięgam!

- Miałem okazję się przekonać, co są warte pańskie przysięgi - zauważyłem sceptycznie.

- Możesz otworzyć ją, kiedy zechcesz. Wystarczy wyłamać zamek. Proszę tylko, żebyś nie czynił tego teraz. Ufam ci - dodał uroczystym tonem - tak jak ty mnie.

W kwestii zaufania opat Melani był doprawdy wielkim mędrce. Musiałem jednak przyznać, że tym razem miałem w ręku coś konkretnego.

- Dobrze - powiedziałem. - Czego żąda pan w zamian za szkatułkę?

- Żebyś nie pytał mnie o Ormianina. Do momentu otwarcia szkatułki.

- Kiedy zamierza pan wyjechać? - zapytałem.

- Gdy się dowiem, kim jest człowiek cień.

- Człowiek cień?

- Człowiek, który pośredniczy między najemnymi mordercami jego Cesarskiej Wysokości i Wielkiego Delfina a zleceniodawcami.

- Tajny agent?

- Jest w Wiedniu ktoś, kto organizuje i nadzoruje poczynania wykonawców zlecenia.

Nie może być inaczej.

Człowiek cień: Atto Melani aż nazbyt dobrze znał tę rolę! Czyż nie zajmował się tym całe życie? Kto przed jedenastu laty zorganizował spisek, który doprowadził do wojny o sukcesję? Atto Melani nie był ani zleceniodawcą (Francja), ani wykonawcą (zwykły kopista), ale kierował diabelską machiną, która spowodowała sfałszowanie testamentu króla, wymusiła zdradę na trzech kardynałach i doprowadziła do wyboru jednego z nich na papieża.

Byłem świadkiem epokowego wydarzenia: opata zastąpił jakiś inny Atto Melani. W służbie innych potęg - Holandii, Anglii czy innego państwa - miejsce starego kastrata zajął ktoś znacznie młodszy i uruchomił mechanizm śmierci wymierzony przeciw cesarzowi.

- Być może ów człowiek cień - powiedziałem - obserwuje również nas i stoi za zabójstwem Daniła, Christa, Dragomira i Kolomana.

- Jeśli to prawda, trzeba będzie go zdemaskować, zanim dobierze się do nas.

Pozwoliliśmy sobie na luksus i do Neugebau pojechaliśmy kolaską z pismakiem na koźle. Synka zostawiłem w Porta Coeli, pod opieką Ca-milli, która chętnie zgodziła się nim zająć do powrotu Cloridii.

Kolasa, kołyszac się, wiozła nas do celu podróży, a ja przed oczami miałem ciała zabitych: konającego Daniła, obrzmiałą, siną twarz Christa, okaleczonego Dragomira, nieszczęsnego Kolomana nadzianego na drewnianą palisadę. Zaciśnąłem powieki i potrząsnąłem głową, próbując odpędzić ten obraz, napawający mnie przygnębieniem. Śmierć zebrała krwawe żniwo. Kto będzie następny? Peniłek? A może Simonis? Albo Opaliński? Spojrzałem na Greka siedzącego na wprost mnie. Patrzył obojętnym wzrokiem na okolicę, jakby nic nie zajmowało jego myśli. Ale to były tylko pozory. Doskonale wiedziałem, że nawet gdy głęboko coś przeżywał, nie dawał tego po sobie poznać. Peniłek siedział na koźle i milczał, zobowiązany służyć cyrulikowi przez rok, sześć miesięcy, sześć tygodni, sześć dni i sześć minut. Pomyślałem o Opalińskim. On też zadrżał na mrozący krew w żyłach widok ciała węgierskiego przyjaciela. Trudno uwierzyć, że jeszcze do niedawna nie okazywał lęku. W świetle późniejszych wydarzeń jego zachowanie było niezrozumiałe. Zapytałem o to Simonisa.

- To zależy od zajęcia, które wykonuje. W wolnych godzinach, ma się rozumieć.

- Jakiego zajęcia?

- To dość skomplikowane, panie majstrze. Czy słyszał pan kiedyś o wiedeńskim prawie kwaterunkowym?

Od dawien dawna, wyjaśnił Simonis, cesarz miał prawo wynajmowania nieruchomości dla siebie i członków dworu. Zwyczaj ten, zwany prawem kwaterunkowym, sięgał czasów starożytnych cesarzy. Podróżując po swoich ziemiach, zlecali marszałkowi

dworu wyszukanie miejsca na nocleg. Prawo to wprowadzono w Wiedniu, gdy stał się siedzibą jednego z najważniejszych dworów europejskich i zamieszkały w nim rzesze urzędników, kancelistów, muzyków, kopistów, tancerzy, żołnierzy, stolników, śpiewaków, poetów, służących, kucharzy, lokajów, posługaczy, pomocników, pomocników pomocników i wszelkiego rodzaju pasożytów.

- Wiele osób jest zdania, że bardzo pożądaną i elegancką rzeczą jest mieć jako lokatora cesarskiego urzędnika.

Wyglądało to następująco: pewnego pięknego dnia do drzwi pukał cesarski urzędnik, pokazywał nakaz i oświadczał, że od tej pory mieszkanie jest do jego dyspozycji. Właściciel musiał się na to zgodzić albo wyprowadzić. Jeśli protestował, rekwirovano mieszkanie, a nawet całą kamienicę, jeśli do niego należała. Cesarska kamera wyznaczała śmiesznie niski czynsz, niepodlegający pertraktacjom. Niezadowolony z mieszkania urzędnik podnajmował je.

- To dozwolone? - zapytał opat Melani.

- Oczywiście, że nie. Ale w cieniu cesarskiego dworu można robić wszystko - szydził Simonis.

Nieszczęsny właściciel mógł się tylko przyglądać, jak do jego mieszkania przychodzą nieznani osobnicy i wynoszą meble, wrywają okna i drzwi, a niekiedy podnajmują pokoje zwykłej hołocie. Z czasem mieszkanie stawało się śmierdzącą norą, w której prowadzono podejrzanе interesy, włącznie z sutenerstwem, a niekiedy dochodziło nawet do zabójstw. Zdarzało się też, że lokatorzy zamiast w kominku, rozpalali ogień wprost na drewnianej posadzce, w wyniku czego mieszkanie trawił pożar. Tymczasem kamera cesarska, wiecznie zadłużona, nie płaciła czynszu. A jeśli właściciel protestował, cesarski urzędnik mógł się uciec do dawnego zwyczaju i obrzucić go kamieniami.

- Podnajem tak się rozplenił - dodał Simonis - że niekiedy sam cesarz nakazuje eksmisję lokatorów. Ferdynand I kazał opróżnić całą kamienicę obok cesarskiego pałacu, ponieważ zamieszkujący ją urzędnicy byli bez przerwy pijani i tak głośno krzyczeli, że przeszkadzali w państwowych naradach. Poza tym nie mieli pojęcia o posługiwaniu się piecykami i kominkami, omal nie spalili i kamienicy, i pałacu.

- Jaki ma z tym związek Opaliński? - zapytał, wysłuchawszy wyjaśnień Simonisa.

- Pośredniczy w podnajmowaniu mieszkań.

- Przecież mówiłeś, że to nielegalne.

- Oczywiście. Może też być ryzykowne, na przykład wtedy, gdy właściciel mieszkania ma znajomego na dworze i za jego pośrednictwem zechce zemścić się na urzędniku, który go

eksmitował, lub na pośredniku. Opaliński przywykł do ryzyka i strachu. Trzeba przyznać, że jest naprawdę odważny. Dopiero teraz, po tym co przytrafiło się Kolomanowi, przeraził się nie na żarty.

Tymczasem dotarliśmy do Neugebau. Przywitał nas blask śnieżnobiałych murów. Niczym dobry syn opiekujący się starym ojcem pragnąłem pokazać Melanieniu okazały pałac Maksymiliana II, ogrody, stawy rybne, wieże, zagrodę z dzikimi zwierzętami, bezkresny widok rozpościerający się od strony północnej. Niestety było to niemożliwe. Po drodze opowiedziałem opatowi o Bezimiennym Miejscu, aby poznał dzieje i skarby zabytkowej budowli, zawieszanej między tragiczną przeszłością Maksymiliana a tajemniczą teraźniejszością młodego Józefa. Wspomniałem też o walkach Maksymiliana z Turkami, o tym, że Neugebau stanowi kopię namiotu Sulejmana, o tragicznej śmierci cesarza i spiskach przeciw niemu. Przemilczałem tylko jedną rzecz, w którą i tak nikt by nie uwierzył: nie wspominałem o latającym statku i jego nadprzyrodzonych właściwościach, znanych tylko mnie i Simonisowi.

Atto wysłuchał opowieści z najwyższą uwagą, kiwając głową, gdy wspominałem o znanych mu faktach. Kiedy natomiast dowiadywał się o rzeczach zupełnie nowych, słuchał w milczeniu.

Nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów, żeby oddać wspaniałość miejsca, którego ociemniałe oczy opata Melaniego nie mogły zobaczyć. Czułem, że cierpi z tego powodu, świadomy nieuchronnego kresu życia. Przed dwudziestu ośmiu laty był człowiekiem żądnym wiedzy, wszystkiego ciekawym, pragnącym zgłębić wszelkie tajemnice. Na podstawie sporządzonych wcześniej notatek napisał nawet przewodnik po Rzymie, dając dowód talentu pisarskiego. Teraz, kiedy ciało odmawiało posłuszeństwa, jego zdolności przygasły, ciekawość ustąpiła rezygnacji, pośpiech cierpliwości, inteligencja niewiedzy. Atto nigdy nie zobaczy Neugebau.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, pożegnaliśmy się z Penickiem (miał przyjechać po nas później) i przedstawiliśmy Froschowi naszego towarzysza. Strażnik Bezimiennego Miejsca, który z daleka widział nasz przyjazd, spojrzął na opata sceptycznie.

- To pański nowy uczeń? - zażartował, wskazując na Atta.

Frosch nie wypytywał nas o poprzedni dzień pracy w Neugebau. Jeśli nie udawał (pijacy na ogół nie symulują), oznaczało to, że nie widział startu ani tym bardziej lądowania latającego statku. Odetchnąłem z ulgą, nie miałem bowiem najmniejszego zamiaru dzielić się tajemnicą naszego lotu z cerberem pijakiem.

Gdy mijaliśmy stadion do gry w piłkę, rzuciłem okiem na latający statek. Był tam,

gdzie go zostawiliśmy i bezwolnie spoczywał na ziemi. Jego ptasie kształty, dziwaczne i śmieszne, nie wskazywały na to, że mógł unieść się w przestworza i lecieć swobodnie pośród chmur. Spojrzałem na Simonisa. Na widok statku oczy Greka, o nieco głupkowskim wyrazie, otworzyły się szerzej. Dostrzegłem w nich łyzy wzruszenia. Nawet opat Melani, niczego nieświadomy, pogrążony w ciemności z powodu ślepoty, przechodząc obok stadionu, odwrócił głowę w stronę latającego statku, jakby usłyszał jakieś ciche, magnetyzujące wołanie. „Potęga ślepoty!”, pomyślałem. Ociemniali ludzie potrafią dostrzec to, co niewidzialne dla nas.

Na stadionie do gry w piłkę zmienił się tylko jeden szczegół: w głębi zgromadzone były klatki na ptaki, wypełnione hałaśliwymi lokatorami. Atto również usłyszał głośne ptasie krzyki. Zapytałem Froscha, z jakiego powodu przeniósł klatki.

- Kuny. Dzisiejszej nocy porwały pół tuzina indyjskich kur. Strażnik wyjaśnił, że drzwi stajni zepsuły się i w nocy drapieżniki z tego skorzystały. Tej nocy ptaki z Bezimiennego Miejsca będą spały bezpiecznie. Brama na stadion była masywna, nie było więc żadnego ryzyka. Gdy drzwi stajni zostaną naprawione, klatki powrócą na swoje miejsce. Na razie ptaki mogły spać pod gołym niebem, było bowiem dość ciepło.

Atto bardzo się zdziwił, usłyszawszy ryki lwów, panter i innych stworzeń. Nadeszła pora posiłku, zwierzęta zgłodniały i dopominały się pokarmu. Opisałem opatowi wygląd i obyczaje drapieżników oraz sposób, w jaki chwytają i rozszarpywały mięso, które rzucał im strażnik. Melani zapytał, czy istniało niebezpieczeństwo, że zwierzęta uciekną z zagrody. Opowiedziałem mu więc o spotkaniu z Mustafą podczas pierwszej wizyty w Bezimiennym Miejscu.

- Lew dopadłby mnie z łatwością, bo jestem ślepy. Ale moje kości z pewnością utkwiłyby mu między zębami, cha, cha, cha! - zażartował Atto.

Przez pierwszą godzinę pracy wszystko szło gładko. Opat Melani siedział sobie na taborecie w pewnej odległości od nas. Bardzo uważał, żeby nie zabrudzić się sadzą. Kichał raz po raz i prosił, żebyśmy przenieśli taboret nieco dalej. To zadziwiające, pomyślałem, jak opat dba o swój wygląd, mimo że nie może zobaczyć się w lustrze.

Rozpoczęliśmy pracę w miejscu, w którym przerwaliśmy ją poprzednim razem. Weszliśmy do pałacu przez główną bramę i ponownie zajęli się pomieszczeniami na parterze. Poprzednio pracowaliśmy w przedsionku wejściowym i w dwóch przyległych do niego salach, po lewej i po prawej stronie. Poszliśmy na lewo i przemierzwszy arkadowy korytarz, dotarliśmy do baszty zachodniej, do której wchodziło się przez drzwi. Były zamknięte.

- Musimy poprosić Froscha o klucze - zauważyłem. - Spróbujmy od drugiej strony.

Opisałem opatowi cudowny widok rozciągający się z arkadowej loggii oraz pałac. Opowiedziałem mu też o udziale Maksymiliana w powstaniu i realizacji projektu.

Kiedy oddalaliśmy się od zamkniętych drzwi baszty, zdawało mi się, że słyszę dziwne dudnienie, takie samo jak poprzednim razem, tylko bardziej ciche i nie tak wyraźne. Przemierzywszy trzy sale, wyszliśmy na zewnątrz, minęliśmy arkadową loggię po przeciwnej stronie i dotarliśmy do baszty wschodniej. Tam drzwi były otwarte.

Znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu przypominającym kaplicę.

- Ja też sądzę, że miała to być sala przeznaczona do odprawiania nabożeństw - przyznał Simonis. - Mielibyśmy pewność, gdyby Maksymilian zdołał ją ukończyć.

Wzięliśmy się do pracy. Uwinęliśmy się dość szybko. Wyszliśmy z pałacu i powrócili do baszty wschodniej, skąd dostaliśmy się do piwnicy. W baszcie tej, zdaniem Froscha, Rudolf Szalony przeprowadzał doświadczenia alchemiczne, ale po pracowni nie było śladu - żadnych pieców, aparatów destylacyjnych i innych dziwactw. Jeśli nawet Rudolf odprawiał tu swoje szaleństwa, litościwy czas zatarł wszelkie ślady. Nie natknęliśmy się też na duchy, o których opowiadali wiedźmacy (a także kominiarze, moi rodacy).

Zbliżając się do środka pałacu, znaleźliśmy się w długim tunelu o łukowym sklepieniu. Światło wpadało do wewnątrz przez szerokie, niskie okna, wychodzące na elewację północną.

- Tutaj Maksymilian pragnął urządzić *antiquarium* z kolekcją cudowności. Ściany miały zdobić zabytkowe naczynia, zbroje, posągi, arrasy - wyjaśnił Simonis.

Przed nami ciągnął się korytarz z nagimi ścianami z kamienia, a jego jedyną ozdobą były eleganckie woluty u sufitu. Z każdego kamienia, myślałem, zdawał się emanować smutek niespełnionych nadziei cesarza. Z zadumy wyrwał mnie głos opata:

- Słyszeliście?

- Co takiego? - zapytał Grek.

- Cztery razy. Dało się słyszeć cztery razy.

- Mówi pan o tym dziwnym dźwięku? - zapytałem, mając na myśli dudnienie, które słyszałem z loggii.

- Nie dźwięk, ale jakby wibracja, wystrzał z armaty, tylko że głuchy. Wymieniliśmy z Simonisem spojrzenia. Nie było nic dziwnego w tym, że Atto usłyszał hałas, którego nie odbierały nasze uszy, ociemniali mają bowiem bardzo wyczulony słuch. Dziwny odgłos mógł być też wymysłem starca.

Znajdowaliśmy się zatem w piwnicy. Ponad naszymi głowami, na poziomie parteru, znajdowało się główne wejście do pałacu. Z miejsca, gdzie staliśmy, rozchodziły się dwa

rzędy schodów prowadzących do podziemi i na tyły Neugebau, skąd roztaczał się widok na ogrody, duży staw północny, a dalej na pola i lasy.

Po dokonaniu krótkiego zwiadu wróciliśmy do piwnicy, a stamtąd do skrzydła zachodniego. Właśnie zaczęliśmy badać mur od strony południowej, kiedy ponownie usłyszeliśmy dziwny odgłos.

- Słyszeliście? - zapytał zaniepokojony opat.

Tym razem ja też usłyszałem hałas, głucho dudnienie, jakby ktoś grał cicho na wielkim bębnie. Simonis natomiast niczego nie usłyszał.

- Musimy skończyć pracę - oznajmił poirytowany.

- Masz rację - przyznałem, mając nadzieję, że się myliłem i że praca w magiczny sposób pomoże mi zapomnieć o tajemniczym odgłosie.

Szukając w worku miotełki, natrafiłem na czworokątny przedmiot. Była to szachownica Christa Hadzi-Tanjova, w tej samej torbie, do której włożył ją pechowy właściciel.

Aby jej nie zgubić, włożyłem szachownicę do worka z narzędziami. Teraz ją wyjąłem i otarłem z kurzu. Przed trzema dniami uratowała mi życie, ale właścicielowi niestety nie. Wymieniliśmy z Simonisem pełne smutku spojrzenia.

- Biedny Christo.

- Wcześniej niż Peniłek zrozumiał sens zdania agi - westchnąłem.

- Co powiedziałeś? - ożywił się Atto.

Opowiedziałem Melaniemu, w jaki sposób szachownica trafiła w moje ręce i o tym, że zdaniem zabitego szachisty tajemnica zdania agi tkwiła w słowach *solī solī solī*. Kiedy znaleźliśmy ciało Christa, dodałem, biedaczek zaciskał w dłoni figurkę białego króla. W szachownicy natomiast znajdowała się karteczka, w której była mowa o szach-macie.

- Istotnie, Christo w dniu swojej śmierci wspominał o słowach *solī solī solī*, czyli „sami, zupełnie sami”. Jego zdaniem miały one coś wspólnego z szach-matem - uściślił Simonis.

- Chwileczką! - zawołał opat Melani. - Czy dobrze zrozumiałem? Podczas audiencji aga powiedział Eugeniuszowi, że Turcy przybyli *solī solī solī!*

- Tak. Wiemy o tym od dawna.

- Coooo? I nic mi nie powiedziałeś?

- O czym?

- Że zdanie agi zawiera słowa *solī solī solī!*

Atto mruknął pod nosem kilka niecenzuralnych wyrazów, jakby chciał mi oszczędzić

bezpośredniej obrazu.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? - powiedział. Obaj z Simonisem oniemieliśmy ze zdziwienia.

- Czy nie mówiłem panu, że aga powiedział „przybyliśmy do Złotego Jabłka zupełnie sami”? - zapytałem, gdy wróciła mi zdolność mówienia.

- Chwileczkę! Zdanie było po łacinie, prawda?

- Tak.

- Powtórz!

- *Soli soli soli adpomum venimus auream.*

- I ty, żaloszny ośle, przetłumaczyłeś *soli soli soli* jako „zupełnie sami”? Zdanie agi ma zupełnie inny sens.

Pomyliłem się i było mi wstyd.

Gdy skończyliśmy pierwszą część pracy i wracaliśmy w stronę stadionu do gry w piłkę, Melani wyjaśnił, na czym polegał mój błąd.

Podobnie jak Cloridia myślałem, że *soli solis soli* było jedynie powtórzeniem tego samego słowa, które znaczy „sam”. Nie dość, że podaliśmy opatowi tłumaczenie, to jeszcze rozwinięte: „sami, zupełnie sami” lub „naprawdę sami”, przemilczając łacińską wersję zdania.

Melani był wściekły. Klął pod nosem i od czasu do czasu spoglądał ze złością na niżej podpisanego.

- Wy, młodzi... Banda nieodpowiedzialnych głupców! Oto czym jesteście! Potraficie tylko rozrabiać i ściągać na siebie nieszczęścia. Och! Gdybyście mieli nieco więcej rozumu... A ciebie sprowadziłem do Wiednia, żebyś mi służył pomocą!

- Ostrożnie, panie Atto! - powiedziałem, troskliwie podtrzymując opata za ramię.

Zanim weszliśmy na kręte schodki prowadzące na stadion i do zagród ze zwierzętami, zauważyliśmy coś doprawdy dziwnego. Na rozległym wschodnim dziedzińcu leżała cuchnąca góra odchodów.

- Wielkie nieba! To chyba sprawka Mustafy - domyśliłem się i zatkałem nos.

- Nie sądziłem, że lwy robią takie wielkie kupy - skomentował rozbawiony Simonis.

Atto uspokoił się, choć dłonie drżały mu jeszcze z gniewu. Pomogliśmy mu usiąść na schodku.

- *Soli soli soli* nie jest bezsensownym powtórzeniem słowa *soli* - wyjaśnił - ale słynnym łacińskim cytatem.

Słuchałem opata ze zdziwieniem.

- Gdybyś powtórzył mi całe zdanie agi po łacinie - skarcił mnie Me-lani - zamiast



podawać to głupie tłumaczenie, oszczędzilibyśmy sobie czasu i niepotrzebnego trudu.

- Co zatem znaczy *soli soli soli* - zapytałem.

- Pierwsze *soli* to celownik przymiotnika *solus*, sam, w liczbie pojedynczej i znaczy „jedynemu”. Drugie to celownik rzeczownika *sol*, słońce, a trzecie to dopełniacz *solum*, ziemia, a więc ziemi.

- Czyli *soli soli soli* należy rozumieć jako „Jedynemu słońcu ziemi”.

- Otóż to! Albo też „Jedynemu słońcu gleby”. We Francji słowa te są powszechnie znane, ponieważ Jego Wysokość kazał zamieścić je na armatach. Król Słońce lubi przypominać wszystkim o swojej potędze. Nie on jednak jest autorem powiedzenia. Użył go między innymi Nostradamus w jednej ze swoich bredni. On z kolei zaczerpnął te słowa od starożytnych Rzymian.

- Z jakiego powodu?

- *Soli soli soli* często widnieje na zegarach słonecznych, wskazujących godzinę za pomocą cienia, który tworzy żelazny pręt. Był to zapewne dawny łaciński zwyczaj, ale jego pochodzenie nas nie interesuje. Istnieją tysiące podobnych powiedzeń, jak na przykład *sol solus solo salo*, co znaczy „tylko słońce rządzi na ziemi i na morzu”, albo *sol solus non soli*, „słońce jest jedno dla wszystkich”, lub też *sol solus soles solari*, „tylko słońce pociesza bez pozy”.

Udzielając nam wyjaśnień, Atto wstał i wszyscy zeszliśmy schodami w dół. Zaczęliśmy szukać Froscha, żeby zapytać go, czy ma do sprzedania trochę wina lub wody, opat bowiem po długiej przemowie był spragniony. Strażnik zniknął. Przed wejściem do stajni zostawił narzędzia i drewniane deski, których potrzebował do naprawy drzwi. Usłyszeliśmy jakiś hałas dochodzący od strony stadionu, gdzie znajdowały się klatki z ptakami. Po chwili ptaki ożywiły się i stadion wypełnił się ich głośnym krzykiem.

- A więc historia o Czerkiesie nie ma z tym nic wspólnego - stwierdziłem. - Ale dlaczego aga wybrał właśnie te słowa? - zapytałem.

- Być może w ten sposób pragnął złożyć hołd Eugeniuszowi - zastanawiał się głośno Simonis. - Może chciał po prostu powiedzieć: „Przybyliśmy do jedyne słońca ziemi”.

- Niemożliwe - odparł Atto. - Eugeniusz nie jest niczym słońcem. Jest wodzem armii cesarskiej i tyle. *Soli soli soli* odnosi się do władcy.

- A zatem do cesarza - wywnioskowałem. - Dlaczego jednak wypowiedział te słowa podczas audiencji u Eugeniusza, a nie w obecności Józefa I?

Atto zamyślił się.

- A może zdanie ma podwójne znaczenie? - zauważył Simonis.

- To znaczy?

- Zobaczmy... zamiast Jedyneemu słońcu ziemi”, można by przetłumaczyć Jednemu słońcu ziemi”.

- A to nie to samo?

- Nie. To drugie sformułowanie znaczyłoby „samemu słońcu ziemi”, czyli cesarzowi - wyjaśnił Simonis.

- Dlaczego cesarz miałby być sam? - zdziwiłem się.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Weszliśmy na teren stadionu do gry w piłkę. Wielka arena, otoczona wysokim murem, wypełniona była ptasim jazgotem. Papugi i papużki wrzeszczały na całe gardło.

- Dlaczego ptaki tak hałasują, mój chłopcze? - zapytał opat, usiłując je przekrzyczeć.

Usłyszeliśmy dwa czy trzy stuknięcia, jakby młotka o deskę. Wyjaśniłem Melanieniu, że Frosch, niewidoczny za klatkami, zbija zapewne nowe drzwi do stajni (choć nie wiadomo było, dlaczego czyni to właśnie tam).

Nieopisany harmider ptasich głosów stał się nie do zniesienia.

- Do licha! Przekłete ptaszyska! - powiedział opat Melani, zatykając uszy dłońmi.

Ja również to uczyniłem. Gdy podszedłem do klatek, okazało się, że są przystawione do ściany, a więc za nimi nic nie ma. To nie Frosch stanowił powód zamieszania wśród ptaków.

- Simonis! - zawołałem mojego pomocnika, idąc po Atta.

- Panie majstrze! Proszę spojrzeć!

Greki stał odwrócony w stronę wejścia na stadion, po drugiej stronie placu.

Nie byliśmy sami. Olbrzymi stwór stał na dwóch łapach i obnażając wielkie kły, głośno ryczał, choć z powodu panującej wrzawy nie słyszeliśmy tego. Po chwili opadł na cztery łapy i zaczął się do nas zbliżać.

Nie miałem bladego pojęcia o dzikich zwierzętach, ale instynkt podpowiadał mi, że zwierzę było głodne i dlatego rozdrażnione. Stanąłem jak wryty. Słyszałem walenie młotkiem niewidocznego kowala i krzyki zdenerwowanych ptaków. W ostatnim przeblysku świadomości odkryłem, że naprzeciwko głównego wejścia na stadion, za wysokimi klatkami, jest druga brama, i to zza niej dochodzi stukot młotka.

Odruchowo uskoczyłem w bok, ustępując z drogi idącemu wprost na mnie niedźwiedziowi. Straciłem z oczu Melaniego i Simonisa, ukrytych po drugiej stronie latającego statku.

- Panie majstrze! - usłyszałem głos Simonisa. W tej samej chwili rozległ się

ogłuszający huk.

Jak w sennym koszmarze brama za klatkami rozwarła się i na stadion wtargnęły pędzące z zawrotną szybkością trzymane dotąd w zamknięciu zwierzęta wszelkiego rodzaju i maści. Chaotyczna masa wypełniła go w jednej sekundzie. Zadrżała ziemia, gdy u wejścia na stadion pojawiło się ogromne zwierzę z trąbą, a za nim grzebiące kopytami byki, czarne pantery o lśniącej sierści, tygrysy ustawione w wachlarz niczym ramiona ośmiornicy, niemal unoszące się w powietrzu rysie.

Klatki z ptakami rozpadły się jak domek z kart. Nieszczęsne skrzydlate stworzenia, które nie zginęły wskutek eksplozji lub nie zostały zdeptane przez galopujące zwierzęta, w jednej chwili zerwały się do lotu, tworząc na tle nieba wielobarwną chmurę.

Skąd się wziął słoń? Dlaczego dzikie zwierzęta znalazły się na wolności? Jak dotarły pod tylną bramę stadionu? Egzotyczne stworzenia ruszyły wprost na mnie. Rzuciłem się do ucieczki.

- Simonis! - wrzasnąłem z całych sił, ale mój głos zagłuszył ryk słonia.

Wachlując wielkimi uszami, okrążał latający statek. Nad nim unosiły się stada ptaków. Lwy, z wściekłym rykiem, od którego drżały mury stadionu, szykowały się do walki z niedźwiedziami.

Nie umiem powiedzieć, jak się uratowałem. Przerazenie i panika zatarły ten moment w mojej pamięci. Od chwili wtargnięcia słonia i jego zwierzęcej świty krzychałem bez przerwy. Z małą zręcznością wspiałem się na pokład. Uspokoilem się nieco i odzyskałem trzeźwość myślenia dopiero na widok Simonisa, który pomagał opatowi Melanemu wejść na statek.

Niedaleko niedźwiedź rozszarpywał zębami bażanta. Po chwili przepędziły go dwa lwy i przejęły zdobycz.

- Jestem! - krzyknąłem, biegnąc na pomoc opatowi.

Simonis ostatkiem sił wciągał na pokład bezwładne ciało Atta. Na szczęście lwy były zajęte czym innym.

Zapach krwi bażanta upolowanego przez niedźwiedzia przyciągnął inne drapieżniki. Bardziej agresywne lwy rzuciły się na byka, powaliły go na ziemię, kłami i pazurami rozdarły mu brzuch i wyżerały pulsujące wnętrzności. Nieszczęsne zwierzę konało powoli i w męce, widocznej w jego oczach wzniesionych w górę.

Gdy purpurowi z wysiłku wciągnęliśmy opata na pokład, zauważyłem, że sine wargi Atta układają się do cichej modlitwy. Usłyszał bowiem groźny ryk lwicy, która już szykowała się do skoku, ale przeszkodził jej w tym rozwścieczony słoń, zataczający krąg dookoła

latającego statku.

Ledwo wszyscy trzej znaleźliśmy się na pokładzie, spadło na mnie stadko rozszalałych ptaków. Kanie, papużki i inne fruujące stworzenia nieznanego gatunku tłukły mnie dziobami po głowie. W kark i skronie wbijało mi się jakby tysiąc żadeł. Wymachując ramionami, z zamkniętymi oczami, żeby mi ich nie wydziobały, odgoniłem skrzydlatych gnębicieli.

Lwica była coraz bliżej i groźnie rycząc, pokazywała kły.

Nagle statek zakołysał się, jakby poruszony niewidzialną falą. Słoń zakończył szalone okrążenie i ocierał się o skrzydło, po przeciwnej stronie od nas. Obok lwica, zapewne ta sama, która wpatrywała się we mnie, zanim uciekłem na statek, szykowała się do skoku na rozkołysany pokład.

Przesunąłem dłonią po głowie i obejrzałem ją: była czerwona. Z tysiąca małych ran zadanych dziobami ptaków sączyła się krew i spływała na czoło i podbródek. Opat Melani drżał na całym ciele i był blady jak ściana. Bałem się, że się przewróci. Statkiem tak silnie kołysało, że z trudem utrzymaliśmy równowagę, przechodząc przez nadburcie.

Słoń... - wyrzęziłem, ciężko dysząc.

Simonis w lot zrozumiał, co było przyczyną kołysania.

Teraz ptaki przypuściły trąbę, i z głośnym rykiem atak na słonia. Kolos bronił się, wymachując znowu zaczął biegać dookoła statku. W powstałym zamieszaniu pierzchły lwy, pantery i rysie. Nawet lwica zrezygnowała ze skoku na pokład i dołączyła do grupy lwów, które rozszarpały byka..

- Boże Wszechmogący] ratuj nas! - powiedział drżącym głosem opat Melani.

Drapieżnik wskoczył na przeciwległe skrzydło statku i powoli sunął w naszym kierunku.

Nie było czasu na myślenie. Simonis wyjął z kabiny pilota kominiarską miotłę - jedyną brćń, jaką mieliśmy do dyspozycji.

- Zostawiłem ją tutaj poprzednim razem, panie majstrze.

Lwy porzuciły nadjedzonego byka leżącego w kałuży krwi. Opodal dwa byki stoczyły zwycięską walkę z pojedynczym lwem. Drapieżnik leżał na ziemi z brzuchem słabiej wymachiwał łapami przemoc, szaleństwo i lała się znaleźć wyjście i uciec, Tymczasem zapach krwi rozprutym rogami. Jeszcze ryczał, ale coraz jakby chciał się bronić. Wokół nas panowały się krew. Tylko nielicznym zwierzętom udało większość była uwięziona na arenie.

A podniecił panterę przyczajoną na skrzydle statku. Patrzyła na nas łakomym wzrokiem. Schroniliśmy się w kabinie, ciasno przytuleni jeden do lił ją miotłą przez łeb. Od:

oporu. drugiego. Gdy podeszła bliżej, Simonis zdzie-ziwiona pantera zupełnie nie spodziewała się Statek zakołysał się, ale było już takiego hałasu jak to tu, to tam, jeszcze inne inaczej niż przedtem. Ptasie krzyki cichły, nie na początku. Jedne odleciały, inne przysiadły skończyły w paszczach drapieżników. Teraz rozlegał się jedynie ryk zwierząt, które z braku innych zdobyczy (byk przypadł w udziale najsilniejszym osobnikom) skupiły się wokół latającego statku. Kiedy minę zaatakować nas. Nawet o pierwsze odurzenie wolnością, postanowiły oń zakończył bezsensowne bieganie w kółko, unosił trąbę i głośno ryczał. Oto czym był, pomyślałem, srebrzysty dźwięk trąby, który usłyszę lem dwa dni temu w Neugebau! Oto przyczyna owego dudnienia, podobnego do odgłosu trzęsienia ziemi, które przed kilkoma godzinami słyszeli Pantera jakby dla rozrywki chwyciła zębami i pazurami miotłę. Mój pomocnik wyrwał ją i ponownie dzielił zwierzę po głowie. Rozwścieczona pantera odskoczyła. Simonis ruszył do ataku. Chwycił miotłę za koniec trzonka i zaczął wymachiwał pękiem twardego włosia przed pyskiem zwierzęcia. Drapieżnik odskoczył jeszcze dalej, wydał ryk zdziwienia i zaczął przecierać łapą prawe oko, podrażnione zapewne przez sztywną szczecinę miotły. Po chwili zwierzę otrzepało się i rzuciło nam lodowate spojrzenie. Koniec zabawy! Pantera szykowała się do skoku. Najpierw rozszarpie Simonisa, bo ją rozdrażnił, później mnie, gdyż pachniałem krwią sączącą się z ran na głowie, a na koniec Atta.

Latający statek zachwiał się. Kiedy odwróciłem się do tyłu, na przeciwległym skrzydle żaglowca ujrzałem olbrzymiego lwa, większego od Mustafy. Zbliżał się do nas w jednoznacznych zamiarach. Znaleźliśmy się między dwoma drapieżnikami. Szykowałem się na najgorsze.

Kadłub statku zakołysał się ponownie. Lew był tuż-tuż, po przeciwnej stronie pantera napięła mięśnie, wyszczerzyła kły, groźnie zaryczała i szykowała się do skoku. Nie miałem nawet czasu odmówić modlitwy do Najświętszej Panienki. Krzyknąłem ze strachu i rozpacz. Simonis wyciągnął przed siebie miotłę, śmieszna i bezużyteczna.

O naszym losie przesądzili bogowie, ci sami co poprzednio. Statek silnie zadrzał, uniósł się nad ziemią, wykonując obrót wokół własnej osi.

Siła odśrodkowa rzuciła nas na burtę. Kątem oka dostrzegłem, jak czarna pantera skoczyła do przodu i uderzyła nosem o kil. Zwierzę wydało wściekły chrapliwy ryk. Latający statek wykonał kilka gwałtownych ruchów i strząsnął panterę. Uwolnił się też od lwa, niczym jałówka, która leniwie ogania się ogonem od natrętnych much.

- Co... co się stało? - wyszeptał opat Melani. Śmiertelnie wystraszony, leżał na pokładzie twarzą w dół.

Czuliśmy (byłem pewien, że nie tylko ja), że wielki statek unosi się lekko w górę, niczym wiosenny wiatr zarodniki dmuchawca, potężna, pierwotna siła natury. Wznoszeniu towarzyszył łagodny, cichy szelest bursztynów, umocowanych do lin nad naszymi głowami, zmieniając to miejsce w ogród przepięknych dźwięków. Wszystko stało się możliwe. Szelest był taki sam, a zarazem inny, był wszędzie i nigdzie, słyszałem go i nie. Był słodki jak dźwięki fletu i ostry jak dzwonięcie cymbałów. Gdybym był poetą, nazwałbym go „hymnem na cześć lotu”. Ludzką słabością jest bowiem wymyślanie barwnych nazw dla tego, co nieuchwytnie, i zanurzanie w nich złudnego pędzla pamięci, aby przenieść na płótno nieistniejący pejzaż. Podobnie czyni marzyciel, kiedy podnosi do ust pusty kielich, rozkoszując się smakiem wina, którego nie wypił.

Tak jak podczas poprzedniego lotu zaprzeczeniem niebiańskich dźwięków bursztynów był cichy świst powietrza przechodzącego przez rurki w burtach statku. Na rufie powiewał sztandar królestwa Portugalii.

- Simonis! - zawołałem, podnosząc się z pokładu, do którego przywarłem, umykając przed rozwścieczoną panterą.

- Panie majstrze! - odpowiedział Grek, wstając z rozpromienioną twarzą, pijany uniesieniem.

- Lecimy, Simonisie! Znowu lecimy! - zawołałem, obejmując mojego pomocnika.

Cieszyłem się, że uniknęliśmy niebezpieczeństwa. Wzbijając się w przestworza, zakpiliśmy z drapieżników, których groźne ryki jeszcze było słychać.

Spojrzałem na Atta. On także podniósł się już z podłogi. W zamieszaniu zgubił ciemne okulary. Lewe ucho zasłonił dłonią, jakby chronił się przed tym pierwotnym dźwiękiem, hymnem latającego statku. Drugą ręką trzymał się pionowych prętów, do których przymocowane były sznurki z bursztynami.

Twarz Melaniego pokryła się śmiertelną bladością, jakby jakiś szalony malarz pomalował ją białą farbą, a oczodoły i haczykowaty nos posypał popiołem, zmieniając opata w nowego Pulcinellę. Szeroko otwartymi oczami spoglądał w dół.

- Ależ ja... my... lecimy! - wyszeptał przerażony i zemdłał, osuwając się bezwładnie na pokład.

Wówczas nabrałem pewności. To, co od dawna podejrzewałem, było prawdą: opat udawał ślepeca.

Mój pomocnik, student medycyny, zbadał Melaniewi puls, obejrzał źrenice, wreszcie ocucił, wymierzając kilka policzków.

Opat, z przekrzywioną peruką i czterema włoskami na głowie powiewającymi na

wietrze, patrzył na mnie nieprzytomnie, wykrzywiając usta. Wydawał z siebie monotony, chrapliwy dźwięk „oooch”, wyrażający zdumienie. Z pomocą Simonisa podszedł do balustrady, wyjrzał, zawrócił i tak kilka razy. Nie mógł uwierzyć, że znalazł się tak wysoko nad ziemią i unosi się w powietrzu jak ptak.

Pod nami z bezsilną złością ryczały lwy, tygrysy i niedźwiedzie. Słoń podniósł trąbę, jakby rzucał na nas klątwę. Wokół statku fruwały podniecone ptaki, zaciekawione czymś, co z lekkością unosi się w przestworza, mimo że nie porusza skrzydłami. Być może był to wytwór mojej wyobraźni, ale wyteżając wzrok, dostrzegłem w oczach pantery, którą Simonis przepędził miotłą, dziką nienawiść.

- Tak, panie Atto, lecimy - przyznałem. - A pan, jak się zdaje, doskonale widzi.

- Tak, moje oczy widzą - zgodził się opat, wodząc wzrokiem po niebieskim firmamencie. Będąc pod wrażeniem cudownego widoku, nie zwracał uwagi na wypowiedane słowa.

Nos Atta Melaniego pruł powietrze niczym nieruchoma głowa drewnianego orła na dziobie latającego statku, dostojnie podana do przodu, w stronę bezkresnej przestrzeni.

- Czy nie można by lecieć trochę... niżej? - zapytał opat błagalnie. Wymieniliśmy z Simonisem spojrzenia.

- Niech mu pan to powie - zaproponowałem, wskazując na orlą głowę, i zacząłem się głośno śmiać, rozładowując napięcie, którego nie mogłem dłużej znieść. - Może pana usłucha.

Simonis również się roześmiał. Wyznaliśmy Attowi, że nie był to nasz pierwszy lot, przed dwoma dniami mieliśmy bowiem okazję wypróbować zagadkowe właściwości powietrznego żaglowca.

- I nie powiedziałaś mi o tym, chłopcze... - powiedział z wyrzutem.

- A pan ukrył przede mną, że widzi - odgryzłem się.

- Nie jest tak, jak myślisz. Uczyniłem to ze względu na własne bezpieczeństwo - stwierdził lakonicznie i wyjrzał za balustradę.

Przed nami roztaczał się cudowny widok na Łysą Górę, wieże i dzwonnice Wiednia, równinę Glacis, kręte zakola Dunaju, bezkresne tereny za rzeką, rozciągające się aż po królestwo Polski i państwo carów, a bliżej kamienice, mosty, aleje, ogrody, wzgórza z winnicami i polami uprawnymi, wiedeńskie ulice wiodące za miasto, ścieżki i strumyki, urwiska i wąwozy. Ludzie byli wielkości mrówek.

- W jaki sposób kieruje się statkiem? Jak utrzymuje się w powietrzu?

- Nie wiemy, panie Atto - odparł Simonis.

- Jak to? Czy to nie wy sprawiliście, że uniósł się w górę?! - zawołał, a na jego twarzy

odmalowało się śmiertelne przerażenie.

Biedny opat, myślał, że to dzięki nam statek wzbił się w przestworza i że sterujemy nim. Wyjaśniłem Melanemu, że także poprzednim razem statek wystartował, gdyż go do tego nakłoniliśmy. Wydawało się, że odgaduje nasze życzenia. Poprzednim razem było to pragnienie odnalezienia złotego jabłka, a teraz chęć ucieczki przed kłami lwów z Neugebau.

- Życzenie? Sama chęć nie wystarczy, by poruszyć widelec, a co dopiero latający statek. Powiedzcie mi, że śnię! - powiedział opat.

W tej samej chwili poczuliśmy lekkie szarpnięcie: podniebny żaglowiec zmienił kurs.

- Co się dzieje? - zapytał zaniepokojony opat. - Kto steruje statkiem?

- Trudno to pojąć, panie Atto, ale statek prowadzi się sam.

- Prowadzi się sam... - powtórzył opat Melani. Rzucił zaniepokojone spojrzenie w dół i lekko się zachwiał.

Simonis pośpieszył go podtrzymać.

- Wielki Boże! Jak tu zimno! - powiedział zdrętwiały Atto, podczas gdy Grek rozcierał mu ramiona i plecy. - Gorzej niż na szczycie góry. A co z lądowaniem? Czy nie roztrzaskamy się o ziemię?

- Poprzednim razem statek wrócił bezpiecznie na stadion do gry w piłkę.

- Nie możemy tam wrócić! - wybełkotał blady jak ściana opat. - Przecież tam są... Ratunku! Boże! Najświętsza Panienko!

Nagle statek zmienił kierunek lotu. Zataczając łagodny krąg, skręcił ze skrzypieniem w lewo. Wskutek siły odśrodkowej Atto o mało nie wypadł za burtę. Na szczęście Simonis, stojący obok, schwycił go za połę płaszcza. Ja sam, żeby zachować równowagę, musiałem ucześć się liny z bursztynami.

Ciszę zakłócało jedynie popłakiwanie starego opata i szelest bursztynów, wypełniający powietrze cudowną harmonią dźwięków. Atto z niedowierzaniem wpatrywał się w otchłań pod nami, szepcząc modlitwy do Najwyższego, błogosławionej Dziewicy i wszystkich świętych.

Tymczasem żaglowiec zataczał kręgi nad miastem. Podczas każdej poprawki kursu Simonis podtrzymywał przerażonego opata, który na przemian modlił się i komentował sytuację, w jakiej się znalazł.

- Całego życia, całego mojego życia... - mruczał pod nosem - było za mało, żeby zrozumieć świat. Dopiero teraz, kiedy stoję nad grobem, przytrafiło mi się to...

Tymczasem latający statek wykonał pełne okrążenie nad Wiedniem. I wtedy to usłyszałem. Harmonijny szelest bursztynów nasilił się i wzbogacił o zadziwiające wariacje,



stając się kontrapunktem szeptów i dzwonię w ciągłym crescendo. Na koniec lśniące kamienie, niczym powabni muzycy, wydały z siebie łagodnie dźwięczące tony Rozkoszne dźwięki przypominały cudowną symfonią, były obok nas i w nas. Byłem pewien, że Simonis i Atto dzielają mój zachwyty, nie musiałem ich nawet pytać: „Słyszycie?”.

- *Soli soli soli... Vae soli* - mamrotał pod nosem Atto. - Znam ten motyw... to sonata na bas solo Gregoria Strozziiego. Ale jak...

Zamilkł i zamyślił się. Po chwili, ku naszemu zdumieniu, wyprężył się jak struna i zawołał w uniesieniu:

- *Vae soli, quia cum ceciderit, non habet sublevantem se!* Odniosłem wrażenie, że zwraca się do bursztynów, które kreśliły na jego twarzy świetlne arabeski.

- O Boże! On zwariował! - krzyknąłem do mojego pomocnika.

- Eklezjastes, ten cytat pochodzi z Księgi Eklezjastesesa! - oznajmił Simonis, bardziej zaniepokojony słowami Atta niż jego stanem.

Położyliśmy opata na podłodze. Nie zemdlął, choć wyglądało na to, że stracił przytomność. Osuwając się na deski, dotknął kawałka bursztynu. Muzyka natychmiast ustała, ustępując miejsca początkowemu szelestowi. Simonis masował skronie, pierś i stopy starca.

- Jak on się czuje? - zapytałem zatroskany.

- Proszę się nie martwić, panie majstrze. Jest głęboko poruszony, ale już wraca do siebie.

Odetchnąłem z ulgą. Przeklinałem agę i Domenica, który ciągle nie zdrowiał. Szaleństwem było, pomyślałem, zabierać ze sobą opata. Gdybym wiedział, co nas czeka w Bezimiennym Miejscu, to na pewno...

- Wracamy - zauważył Grek. - Tracimy wysokość.

Latający statek opuszczał się coraz niżej. Orla głowa żaglowca, z drewnianymi, pustymi oczami patrzącymi przed siebie, zwróciła się dziobem w kierunku pól Ebersdorfu i równiny Simmering.

Czy wylądujemy na stadionie do gry w piłkę?

- Musimy zmienić kurs! - zawołałem.

Pierwsze próby spelzły na niczym. Wszyscy trzej przesunęliśmy się ostrożnie na lewą burtę statku, później na prawą, mając nadzieję, że dostrzeżemy zmianę kursu, ale na próżno.

- Spadamy prosto w dół - zauważył mój pomocnik.

Przechodzenie z dziobu na rufę również na niewiele się zdało - żaglowiec nie zmienił kierunku. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Co mówił Peniłek o eksperymentach jezuita Francesca Lany? Do nakierowania statku na odpowiedni kurs posługiwał się

systemem lin. Powinniśmy spróbować, a nuż się uda.

Podskoczyłem i złapałem za pierwszą lepszą linę z uczepionym do niej kawałkiem bursztynu. Żółtawe kamyki bezładnie podskoczyły, nie przestając wydawać cudownego niebiańskiego szmeru, a sznurek drżał jak struna lutni. W przypiływie olśnienia zrozumiałem, że kierunek lotu latającego statku i melodia bursztynów mają ze sobą związek. I rzeczywiście! Ku mojemu zdumieniu skręciliśmy w lewo, potem w prawo i ponownie w lewo.

- Jezu, ratuj! Co się dzieje? - wykrzyknął opat Melani, czepiając się ramienia Simonisa.

A więc to prawda, pomyślałem, kawałki bursztynu wiążą się w jakiś sposób z ruchem podniebnego żaglowca. Wprawdzie nie wiedziałem, w jaki (nie łudziłem się, że to odkryję), ale na razie wystarczyło mi, że znalazłem sposób na sterowanie statkiem.

Zauważyłem, że pogodne dotąd niebo pociemniało. W Wiedniu słońce i chmury następują po sobie inaczej niż w Rzymie. W mieście papieży jest to spokojny dialog dwóch uczonych, w Wiedniu przypomina kłótnię podejrzliwych kochanków. Sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie.

- Trzymajcie się mocno! - uprzedziłem towarzyszy podróży i ponowiłem próbę, tym razem nieco mocniej szarpiąc za linę.

Przesadziłem. Powietrzny żaglowiec zadrżał, dziób przesuwiał się to w lewo, to w prawo, jakby drapieżny ptak szukał kierunku. Z trudem utrzymywaliśmy się na nogach.

- Oj, niedobrze, panie majstrze - stwierdził zaniepokojony Simonis. Uprzedziwszy towarzyszy niedoli, wykonałem kilka innych prób, w sposób bardziej ostrożny i przemyślany. Starłem się zmniejszyć kołysanie statku, żebyśmy nie wypadli za burtę.

Zniżaliśmy się coraz bardziej. Bezimienne Miejsce rysowało się wyraźnie na tle rozległej równiny Simmering. Spadły pierwsze krople deszczu.

- Wracamy do bazy - zauważył Simonis.

Sprawdziłem: rzeczywiście statek żeglował w stronę stadionu. Byliśmy jeszcze za daleko, żeby dostrzec zwierzęta na arenie, ale było wielce prawdopodobne, że krążą tam wygłodniałe. Na nasz widok ucieszy się zwłaszcza czarna pantera, którą Simonis zranił w oko szczotką, pomyślałem z wisielczym humorem.

W tej samej chwili zaczęły padać duże, ciężkie krople deszczu. Nie było czasu do stracenia, musiałem działać.

- Co zamierzasz, chłopcze? - zapytał opat Melani ze strapioną miną.

- Nie chcę skończyć w paszczy któregoś z tych dużych kotów.

Atto i Simonis milczeli. Doskonale wiedzieli, że bezzwłocznie należy znaleźć jakieś wyjście z-tej niebezpiecznej sytuacji, traciliśmy bowiem wysokość. Schwyciłem trzy czy cztery sznurki i puściłem jak cięciwę łuku.

Statek gwałtownie podskoczył. Gdybym nie trzymał się z całych sił burty, z pewnością bym się przewrócił. Atto z Simonisem przezornie usiedli na podłodze. Nadal zmierzaliśmy w kierunku stadionu. Latający statek przemierzył tysiące mil, by przynieść cesarstwu zwycięstwo w wojnie i ukoronować najwyższą iglicę katedry Świętego Szczepana złotym jabłkiem, nie poddał się mojej śmiesznej próbie sterowania nim. Nie umiałem zmienić kierunku lotu podniebnego żaglowca i zmusić go do lądowania.

Przemoknięty do suchej nitki, pociągnąłem jeszcze raz, tym razem mocniej.

Statek zakołysał się tak gwałtownie, że przewróciłem się na pokład. Przeraziłem się, że za chwilę runiemy w dół. Atto z Simonisem głośno pomstowali. Nie miałem odwagi sprawdzić kursu. Żaglowiec zachowywał się nieprzewidywalnie. Obawiałem się, że nagle skręci i wypadnę za burtę. Podniosłem się, schwyciłem sznurki i szarpnąłem z całej siły. I stało się.

Szelest bursztynow ustatł. Spojrzałem w górę: żółtawe kamyki nie kołysały się już, jakby energia, która wprawiła je w ruch, wyczerpała się. Latający statek trząsał się niczym ranny ptak. Było to drzenie bolesne, a zarazem groźne, zapowiadało katastrofę.

- Matko moja! Zaraz wszyscy zginiemy! - szepnął opat Melani i przytulił się do Simonisa jak przerażone dziecko.

Wspiąłem się na palce i balansując ciałem jak podczas trzęsienia ziemi, wyrząłem na zewnątrz. Wreszcie zmieniliśmy kierunek. Statek najpierw nabrał wysokości, a potem obniżył lot i skręcił w lewo. Teraz leciał w stronę równiny Simmering, porośniętą zielenią obszaru na północny wschód od Bezimiennego Miejsca. Tam też, pomyślałem, osiadziemy na ziemi.

Gdy szykowaliśmy się do lądowania, zwykły deszcz zmienił się w burzę. Tym lepiej, przynajmniej nikt nas nie zobaczy. W świetle błyskawicy nasz statek stał się przez sekundę podobny do srebrnego półksiężyca, który opuścił swoje miejsce na nieboskłonie, by osiąść na gościnnym skrawku ziemi. Deszcz przybierał na sile.

- Trzymajcie się mocno! - krzyknąłem, gdy latający statek zaczął szorować brzuchem po krzakach, szykując się do zderzenia z ziemią.

Jednocześnie poczułem pod stopami silne uderzenie i usłyszałem huk pioruna. Przeżegnałem się.

- Do czego służą te bursztyny? Jak to się dzieje, że dzwonią? Czy któryś z was może mi to wytłumaczyć?

Wylądowaliśmy przemoczeni, wyczerpani, ale żywi. Ku naszemu zaskoczeniu manewr zakończył się szczęśliwie. Latający statek nie rozbił się ani nie przewrócił. Wystarczyło mocno się trzymać, żeby nie wypaść za burtę.

Ledwo wysiedliśmy, skrzydlaty pojazd wzniósł się w powietrze i poze-głował w stronę Bezimiennego Miejsca.

- Chyba wraca na stadion - powiedział Simonis.

Kiedy statek oddalał się w strugach deszczu, rzuciłem mu ostatnie spojrzenie. Czy jeszcze kiedyś go zobaczę?

Znajdowaliśmy się niedaleko piwnicy klasztoru Porta Coeli. Dotarliśmy tam, brnąc po kostki w błocie. Nie wiedzieliśmy, co działo się w Bezimiennym Miejscu po naszej ucieczce w przestworza. Zastanawialiśmy się, czy lwy i tygrysy nadal się tam kręcą.

Rozpaliliśmy w kominku i suszyli przy ogniu ubrania. Na szczęście nikogo nie spotkaliśmy po drodze. W przeciwnym razie zastanawiano by się, co też robią dwaj kominiarze pośród pól w towarzystwie zgrzybiałego, łysiego starca (Atto zgubił perukę) z bladą twarzą ze śladami różu. Opat, wstrząśnięty ostatnimi wydarzeniami, w podartym, brudnym ubraniu, przygarbiony, z trudem stawiający kroki, przypominał starego elfa wyrzuconego ze świata fantazji.

Teraz, siedząc przy ciepłym kominku, na którym rozwiesiliśmy ubrania, do połowy rozebrani, popijając grzane wino, podsumowywaliśmy wrażenia z podniebnej podróży. Opat Melani odzyskał trzeźwość myślenia i zasypywał nas pytaniami.

Do czego służą rurki w kadłubie statku? Czy to przez nie przepływa powietrze i utrzymuje statek w górze? Dlaczego na żaglowcu powiewa flaga Portugalii?

Nie potrafiliśmy udzielić odpowiedzi na żadne z tych pytań. Mogliśmy jedynie przypuszczać, że rurki są siłą napędową, ale nie mieliśmy na to żadnego dowodu. Flagą królestwa Portugalii wiązała się z pochodzeniem latającego statku. Jak przeczytaliśmy w gazecie sprzed dwóch lat, którą pokazał nam Frosch, powietrzny żaglowiec przybył z Portugalii. Zgadzało się to z informacjami od Ugonia. Statek został wysłany do Wiednia z woli królowej Portugalii, siostry cesarza Józefa I, z zadaniem zatknięcia złotego jabłka - przybyłego w niewyjaśniony sposób ze Wschodu - na iglicy katedry Świętego Szczepana, co gwarantowało cesarstwu zwycięstwo w wojnie z Francją Ludwika XIV.

Atta najbardziej zajmowało: jak to się, do licha, działo, że bursztyny wykonywały sonatę na bas solo Gregoria Strozziiego?

- Dlaczego to pana tak interesuje? - zapytał Simonis.

- Nie twoja sprawa - odciął się nieuprzejmie opat. Mój pomocnik wcale się nie

zmieszał.

- Bo już nie jest pan ociemniały? - drwił z głupawym wyrazem twarzy.

- Posłuchaj, chłopcze - powiedział Atto, zwracając się do mnie, starając się powściągnąć irytację - radzę ci posłać twojego pomocnika, żeby rzucił okiem, oczywiście z odpowiedniej odległości, na tę opuszczoną rudę, jak się ona nazywa? Aha, Neugebau. Musimy się dowiedzieć, czy sytuacja się uspokoiła.

Opat pragnął pozbyć się Simonisa, któremu nie ufał, jak również uniknąć jego natarczywych pytań.

- Leje jak z cebra, panie Atto - zauważyłem. - A propos, ja też chciałbym wiedzieć, co sprawiło, że w cudowny sposób odzyskał pan wzrok, i to na pokładzie latającego statku.

Atto spuścił oczy.

Zasypałem go gradem pytań. Dlaczego przez cały czas nosił ciemne okulary? Może po to, żeby łatwiej przekroczyć granicę i dostać się niezauważonym do Wiednia? Niedawno powiedział mi, że uczynił to dla własnego bezpieczeństwa.

- Cóż mam zrobić z tymi pijawkami, moimi krewnymi? - rzekł ze smutkiem opat.

- Pańskimi krewnymi? - zdziwiłem się.

- Tak, z bratankami. Jeśli myślisz, że dobrze widzę, jesteś w błędzie. Zaćma postępuje. Właśnie dlatego mój paryski medyk poradził mi, żebym ubierał się na czarno i na zielono. Jego zdaniem te dwa kolory leczą wzrok, podobnie jak sypianie zimą bez skarpetek.

Jak na jego szacowny wiek, uściślił Atto, dokuczały mu jedynie hemoroidy. Poza tym był zdrowy na ciele i umyśle. Największym problemem byli jego bratankowie z Pistoii. Nieustannie domagali się pieniędzy.

- Pieniądze, pieniądze, nic tylko pieniądze! Chcą, żebym im kupił dwie posiadłości w Pistoii, na które od dawna mają apetyt, a pieniądze na to wziął z banku Monte del Sale. Teraz, kiedy Niemcy stoją u bram, odsetki od pożyczki wyniosłyby około trzech procent! Chcą też, żebym w majątku Castelnuovo ufundował żelazne pierścienie na beczki. Żądają luksusów. Chyba im się wydaje, że znajdują pieniądze na ulicy.

Rozgniewany na bratanków Atto jakby zapomniał o latającym statku. Złościło go to, że nie potrafią docenić, jak bardzo - stary stryj dba o rodzinę. Każdy z nich chciał korzyści dla siebie.

- Mieli czelność prosić mnie o pieniądze na całą bibliotekę! Odparłem, że nie dam, bo sam będę ich wkrótce potrzebował. Rezultat? Odwrócili się ode mnie! Ładna mi wdzięczność za to, że przez cztery lata opłacałem pośrednika, który szukał żony dla Luigiego, brata Domenica, dorównującej mu pochodzeniem, z bogatym wianem! Odezwali się dopiero wtedy,

gdy znalazła się odpowiednia kandydatka. Luigi zażądał, żebym przysłał z Paryża suknię ślubną dla niej!

Odpisałem, że nie zdążę przysłać sukni na czas, i zaproponowałem, żeby zatrudnili krawcową księżnej Toskanii. W prezencie ślubnym dałem im diamenty, które trzymałem ukryte za portretem w mojej galerii, żeby zrobili z nich kolczyki albo oprawili w złoty krzyżyk. Zawieszony na szyi na czarnej jedwabnej wstążce będzie się pięknie prezentował. Ale nie! Uparli się na suknię z Paryża, choć oznaczałoby to wyrzucenie pieniędzy w błoto. Pewna dama wysłała z Paryża dwie suknie dla siostrzenicy papieża i co? Barki poławiaczy koralu z Oneglii i statki z Finale obrabowały galerę z kurierem z Lyonu do Genui na pokładzie i suknie diabli wzięli.

Obiecałem bratankowi, że gdy tylko będę miał pewność co do moich przychodów we Francji, przyjadę do Pistoii przed dniem świętego Jana i sam przywiozę suknię.

Panna młoda zgodziła się wziąć ślub w sukni od krawcowej księżnej toskańskiej, a gdy zaszła w ciążę i urodziła, ciągnął Atto, bratankowie ponowili atak.

Dzieciaczek, pisała konstablowa, która widziała niemowlę, jest naprawdę śliczny. Obiecałem więc, że wyślę położnicy naszyjnik z pereł i kilka klejnotów. Do tej pory bezskutecznie czekam na odpowiednią okazję. Przykro mi, że obecna koniunktura nie pozwala mi uczynić wszystkiego, co sobie zaplanowałem, ale, jak już mówiłem, w Paryżu krążą tylko banknoty zastępujące monety. Przy sprzedaży połowę się traci. Zapewniam cię, że te banknoty doprowadzą Francję do ruiny.

Kochani bratankowie tylko by wyciągali ode mnie pieniądze, irytował się Atto. Złość na krewniaków przyćmiło wspomnienie niedawnej opresji z dzikimi zwierzętami w tle. Są bogatsi ode mnie, ale ciągle im mało.

W zeszłym roku te chytrusy zataiły przede mną to, że Najjaśniejszy Wielki Książę umieścił naszą rodzinę na giełdzie drugiego stanu, a to oznacza, że po pięciu latach odczujemy znaczną poprawę sytuacji finansowej. Dowiedziałem się o tym od obcych ludzi.

Bratankowie z Pistoii bez przerwy narzekają i kłócą się - mówił dalej opat Melani. - Wysłali do Paryża Domenica, żeby miał na oku jego majątek.

Domenico jest adwokatem. Najjaśniejszy Wielki Książę Toskanii mianował go sekretarzem rady miejskiej Sieny. Nie chciałem, żeby przyjeżdżał do Paryża, nikogo nie potrzebuję. Powiedziałem, że czasy są ciężkie, panuje bieda, podróżni są okradani, a ponadto istnieje realne niebezpieczeństwo zarażenia się w drodze różnymi chorobami, takimi jak złośliwa gorączka czy ospa. Zostało nas tak mało, że powinniśmy o siebie dbać, napisałem do tych pijawek w nadziei, że zostawią mnie w spokoju. I co zrobili? Zwrócili się do Wielkiego

Księcia. Jego Wysokość napisał w liście do mnie, że jego zdaniem przyjazd Domenica, najmłodszego z rodziny, jest jak najbardziej uzasadniony, ponieważ dbanie o rodowe interesy należy do obowiązków najstarszego bratanka. Stanowisko sekretarza w Sienie zachowa przez cały czas pobytu we Francji. Domenico miał wrócić do Pistoii albo ze mną, albo sam. Przedtem jednak - słuchajcie! słuchajcie! - miał się dowiedzieć wszystkiego o moich interesach. Musiałem więc odpisać Najjaśniejszemu Wielkiemu Księżu i złożyć mu wyrazy wdzięczności za okazaną mi dobroć *et cetera, et cetera*.

Tak więc przed rokiem Domenico zamieszkał u stryja. Na nic się zdały prośby Atta, żeby bratanek nie zabierał ze sobą zbyt wielu rzeczy, gdyż „ubranie, które ma na sobie, i pół tuzina koszul w zupełności wystarczą na kilkudniową wizytę”. Domenico zabawił u opata kilka miesięcy. Stryj musiał mu kupić całą garderobę. Ale to nie wszystko! Przedtem Melani musiał mu wysłać pieniądze na podróż, ale trzydzieści dublonów wydało się krewnym za mało, wyprawili więc Domenica bez sługi.

- Miałem nadzieję, że przyjedzie ze sługą, który ugotuje nam czasem jakieś włoskie danie. Egoiści i sknery, oto jacy są. Wiem, co mówię, dochody rodu są naprawdę wysokie. Kiedy Domenico został mianowany sekretarzem rady miejskiej Sieny, Wielki Książę przysłał mi notę o jego poborach i przywilejach. Któregoś dnia stracę cierpliwość i napiszę do tych kruków, żeby przestali bawić się w chowanego ze starym stryjem.

Po pewnym czasie opat przywiązał się do bratanka do tego stopnia, że wystąpił o nadanie mu obywatelstwa francuskiego.

- I wtedy nastąpił prawdziwy koniec świata! Pozostali bratankowie zazdrościli mu, a mnie zarzucali, że bardziej dbam o Domenica niż o nich.

Słuchaliśmy Atta w milczeniu. Krewni powinni być mu wdzięczni za naturalizowanie Domenica, ponieważ z chwilą śmierci opata wszystkie jego dobra i willa pod Paryżem przeszłyby na własność każdego, kto by o nie wystąpił...

- ...zgodnie z obowiązującym prawem zwanym *aubaine*. Tak postępuje większość cudzoziemców: sprowadza do Francji kogoś z krewnych i występuje o jego naturalizację.

Domenico nie był jedynym bratankiem, którego opat Melani gościł u siebie.

- Trzy lata temu straciłem mojego ukochanego Leopolda. Był blondynem, bardzo przystojnym. Zmarł w wieku zaledwie trzydziestu czterech lat. Opuścił ten świat po dwudziestu dniach gorączki, bólu głowy i majaczeń. Dobry Bóg sprawił, że odszedł po otrzymaniu wszystkich świętych sakramentów. To moja jedyna pociecha. Był bardzo porządnym młodzieńcem, o anielskiej dobroci. Wszyscy go kochali i szanowali. Gdy zaczął chorować, rozchorowałem się i ja. Bóg w swoim miłosierdziu pozwolił mi żyć, aby nie

przepadły owoce mojego trudu.

Z powodu rodzinnych zawiści wraz z nadejściem pierwszych chłódów opat odesłał Domenica do domu. Po pewnym czasie bratanek wrócił, aby towarzyszyć opatowi w podróży do Wiednia, w zastępstwie sekretarza, któremu trzeba by było za to zapłacić.

- Chciałem trochę zaoszczędzić na tych sępach, moich krewnych. Gdy wyzdrowieje, odeślę go prosto do Pistoii, razem z mortadelą.

- Mortadelą? - zdziwiłem się.

- Przed wyjazdem do Wiednia poprosiłem bratanków, żeby wraz ze skrzynkami z winem od Wielkiego Księcia przysłali mi trochę kandyzowanych pomarańczy i dwie pistojskie mortadele najlepszego gatunku. Zmuszony do podróżowania w lektyce, chciałem mieć przy sobie kilka butelek dobrego wina do obiadu. Mortadela była twarda jak kamień, straszliwie pieprzna, kandyzowanych owoców w ogóle mi skrapiradła nie przysłały.

Dobrzy tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebują! - grzmiał Melani, zupełnie teraz niepodobny do trzęsącego się staruszka z latającego statku. Gdyby nie on, do tej pory byłiby tylko skromnymi wnukami dzwonnika, a nie krewnymi weneckiego szlachcica, oznajmił, mając na myśli swój tytuł arystokraty Najjaśniejszej Republiki Weneckiej.

- Prowadząc badania heraldyczne, odkryłem, że Machiavelli w historii republiki mówi o twierdzy Rocca del Melano, której panem był Biagio del Melano. Od niego pochodzi nasze nazwisko, którym te obiboki tak się szczycą!

Atto gadał jak nakręcony. Odniosłem wrażenie, że miał mi co innego do powiedzenia, ale nie chciał mówić przy Simonisie.

- Aby zostać kapitanem, najpierw trzeba być porucznikiem! Tak im napisałem w liście. Niech się wezmą do roboty tak jak ja i zarabiają na chleb w pocie czoła - podsumował uroczystym tonem, zapominając, że będąc kastratem, karierę zrobił jako śpiewak operowy i nie utrudził się zbytnio.

Nadal jednak zasypywali go żądaniami - oznajmił.

- Zacząłem udawać, że oślepiłem i nie mogę już służyć Jego Wysokości, ergo - żyję w niedostatku. Z czasem zaczęło mi się to podobać. Ślepego nikt o nic nie nagabuje, nawet Wielki Książę mnie oszczędza.

- Wielki Książę? - zdziwiłem się.

- Tak. Książę ma we Francji swoich pupilów, którzy nie nadają się ani na żołnierzy, ani na dworzan. Chciał, żebym ich wspierał finansowo. No tak, ale skąd pewność, że zwróci mi te pieniądze? W Europie toczy się wojna, szerzy się bandytyzm. A poza tym co mnie obchodzi pupile Wielkiego Księcia? Niech idą do klasztoru, skoro nie mają pieniędzy.



Ze słów Atta wynikało, że wszyscy chcą go wykorzystać.

- Pomysł, by udawać niewidomego, pozwolił mi, jak wiesz, wjechać bez przeszkód do Wiednia.

Wtrąciłem, że także Domenico wydaje się wierzyć w ślepotę starego wuja. Albo, pomyślałem, symulował równie dobrze jak Atto. Poprzedniego dnia opat wyznał mi, że list będący dowodem zdrady Eugeniusza został sfalszowany na jego polecenie (nie chciał o tym mówić w obecności Simonisa). Ale dlaczego nie powiedział, że tylko odgrywał rolę ociemniałego?

- Domenico wie, że widzę, ale słabo, co jest zresztą prawdą. Nie wyda mnie, bo nie ma w tym żadnego interesu. Tobie się przyznałem, bo mnie do tego zmusiłeś.

Po otrzymaniu wiadomości o domniemanej ospie Wielkiego Delfina Atto nie miał wyboru. Był zmuszony powiedzieć mi, że list Eugeniusza został sfalszowany, w przeciwnym razie nie mógłby liczyć na moją pomoc. Gdyby przyznał się też do udawanej ślepoty, bezpowrotnie straciłby moje zaufanie.

Tymczasem przestało padać. Simonis założył wilgotne jeszcze ubranie, przewiesił przez plecy worek, z którym się nie rozstawał, okrył się znalezioną w piwnicy ceratą i wyruszył do Bezimiennego Miejsca.

- Trzeba odkryć, co, do licha, sprawia, że ten statek lata! - oznajmił Atto, zmieniając temat rozmowy. Był wyraźnie zadowolony, że Grek w końcu wyszedł. - To największy wynalazek wszech czasów! Armia, która miałaby taki żaglowiec, wygrałaby każdą wojnę. Bomby zrzucone ze statku trafiałyby celu z większą precyzją niż kule armatnie. Można by śledzić pozycję wrogich oddziałów, poznać ich liczebność, ukształtowanie terenu, a nawet dowiedzieć się z wyprzedzeniem o nadchodzącej burzy czy wyschniętej rzece, słowem o wszystkim, co potrzebne do prowadzenia wojny.

Opata Melaniego interesowało wyłącznie militarne zastosowanie latającego statku. Przemawiała przez niego również ciekawość, tajemnicze latające urządzenie kwestionowało bowiem jego znajomość świata.

- Żebym tak mógł porozmawiać o tym z Arcychrześcijańskim Królem! - westchnął. - Byłby to mój wielki powrót! Wszyscy by mówili: opat Melani znów jest doradcą Jego Wysokości do spraw wojskowych.

- Naprawdę nie wiem, panie Atto, na jakiej zasadzie statek szybuje w przestworzach...  
- odparłem, kręcąc głową.

- Wrócimy do tego tematu - uciął opat. - Teraz, kiedy pozbyliśmy się tego fałszywego głupka, chciałbym powiedzieć ci o czymś ważnym.

Melani wyjaśnił mi, że na marginesach kopii sonaty Strozziiego, które krążyły w czasach powstania utworu, jakieś trzydzieści lat temu, widniało zdanie zaczerpnięte z Księgi Eklezjastesa: *Vae soli, quia cum ceci-derit, non habet sublevantem se.* „Biada słońcu, bo jeśli spadnie, nie będzie nikogo, kto by je podniósł”. Opatowi przyszedł na myśl ten cytat, gdy usłyszał kawałki bursztynu wygrywające sonatę Strozziiego.

- A wiec Simonis miał rację - stwierdziłem.

- To znaczy? - spytał Melani z podejrzliwością w głosie.

- Poczul się pan źle i nie słyszał, że Grek od razu rozpoznał, skąd pochodzą te słowa i wymienił Księgę Eklezjastesa.

- Kto by się spodziewał? - rzekł złośliwie Melani. - Erudycja godna znawcy Biblii!

Podobnie jak zdanie agi, także cytat z Eklezjastesa można tłumaczyć na różne sposoby.

- Nie „biada słońcu”, ale „biada temu, kto jest sam”, jak Józef, bo jeśli upadnie, nikt go nie podniesie - wyjaśnił opat.

- Zatem *soli soli soli* ze zdania agi może mieć podwójne znaczenie - wydedukowałem.

- Christo miał rację!

- Ten Bułgar? Powiedz mi - poprosił Melani - co dokładnie napisał na karteczce?

- Na bileciku schowanym w szachownicy? Napisał: „Szach-mat, król jest w pułapce”.

- No tak - odparł opat. Nagle spochmurniał i dodał: - Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego wcześniej...

Zapewne zrozumiał, że nie opowiedziałem mu o okolicznościach śmierci Christa dlatego, że zanim dowiedziałem się o chorobie Wielkiego Delfina, nie ufałem mu. Teraz, kiedy wszystko mi wyznał i wyzbyłem się podejrzeń, nie miałem ochoty wracać do tej sprawy.

- Opowiadałem ci o oblężeniu twierdzy Landau, pamiętasz?

- Ależ oczywiście, panie Atto.

- Mówiłem też o francuskim dowódcy Melacu, który uprzejmie powiadomił Józefa, że nie będzie do niego strzelał.

- Tak, przypominam sobie.

- To dobrze. Pamiętasz więc, jak wytłumaczyłem jego zachowanie: stare, dobre zwyczaje wojskowe przypominają zasady gry w szachy, w której król rywala nie może być zbity. „Szach-mat” znaczy „król jest zamknięty”, „król nie ma wyjścia”, ale nie „król nie żyje”. Wasz bułgarski przyjaciel najwyraźniej zadreślał się myślą o królu i jego przeznaczeniu, o czym przekonuje mnie to, że w chwili śmierci zaciskał w dłoni figurę króla.

- Jaki stąd wniosek?

- Taki, że słowa z karteczki i *sol* *sol* *sol* są... mają ze sobą związek.

- Jak to?

- W tym sensie, że *sol* *sol* *sol* można tłumaczyć na kilka sposobów - ciągnął Atto. - Załóżmy, że pierwsze i ostatnie *sol* mają takie samo znaczenie jak na armatach króla Francji, a drugie nie jest celownikiem *sol*, słońce, w liczbie pojedynczej, ale znaczy to samo co pierwsze *sol*: „człowiek samotny”, „sam”.

- Z tego wniosek, że całość można zrozumieć następująco: „Jedynemu, samotnemu człowiekowi na ziemi”.

- Otóż to!

- „Jedynemu, samotnemu człowiekowi na ziemi”... Brzmi trochę dziwnie - stwierdziłem.

- Jeśli to tłumaczenie jest prawidłowe, należy się domyślać, że wasz przyjaciel zrozumiał przed śmiercią prawdziwy sens tureckiego przesłania: „Przybywamy do Złotego Jabłka (czyli do Wiednia), do jedyne, samotnego człowieka na ziemi”. Człowiek samotny jak król w szachu, król zamknięty, sam.

- Dlaczego Józef I miałby dostać szacha?

- Wyjaśnienie znajdziesz w moich opowieściach sprzed paru dni - odparł opat.

Zamilkłem, rozważając słowa opata.

- Już rozumiem, co pan ma na myśli - oznajmiłem po chwili. - Cesarz Józef jest sam i wie o tym. Nie bez powodu pragnie zawrzeć pokój z dawnymi wrogami: na zachodzie z Francją, na wschodzie z Turkami i zbuntowanymi Węgrami, na południu z Włochami i papieżem, przeciw któremu przed trzema laty wysłał nawet wojsko. Teoretycznie sojusznikami cesarza są Holendrzy i Anglicy, w rzeczywistości pertraktują za jego plecami z Francją. Obawiają się, że Józef po zwycięskiej wojnie i zawarciu pokoju z Królem Słońce nie pozwoli im stać się potęgą jak dawniej. W Hiszpanii walczy z Francuzami jego brat Karol, który nienawidzi Józefa z powodu rywalizacji wznieconej przez ojca, zmarłego cesarza Leopolda. Eugeniusz, naczelny wódz wojsk cesarskich, nienawidzi Józefa od czasów Landau, gdy cesarz przyćmił jego zwycięstwo. Cesarz jest sam jak nikt inny na świecie.

- A w dodatku ciężko chory - zakończył Atto.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego Turcy powiedzieli Eugeniuszowi właśnie to zdanie.

- To jedyne pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć. Przynajmniej na razie.

Milczeliśmy, zapatrzeni w ogień w kominku. Od czasu do czasu dokładałem drew,

uważając, by iskry nie spadły na nasze ubrania wiszące w pobliżu. Atto drzemał. Wydarzenia ostatnich godzin były zbyt męczące jak dla osiemdziesięcioletniego starca. Dziwiłem się nawet, że nie zemdlął z wrażenia na widok dzikich zwierząt, które wtargnęły na stadion.

Uśmiechnąłem się na myśl o udawanej ślepotcie. Na starość opat Mela-ni stał się sprytnym skąpcem atakowanym przez krewnych. Ja też dałem się nabrać i uwierzyłem w jego rzekome ubóstwo. Pograżony w rozmyślaniach, zacząłem zapadać w sen. Myślałem o Chrście, o zdaniu agi i o jego nowym znaczeniu. Tuż przed zaśnięciem doznałem olśnienia. Wiedziałem już, dlaczego aga powiedział te słowa Eugeniuszowi.

Przypomniałem sobie słowa Cloridii: powiedziała, że Cizeber miał leczyć cesarza.

Turcy posłali pośpiesznie derwisza z Konstantynopola do Wiednia na ratunek Józefowi I. Ledwo zdążył, przybył tego samego dnia, kiedy cesarz się rozchorował. Ktoś nastawał na życie cesarza. Ktoś inny dowiedział się o tym. Poprosił o pomoc sułtana (dlaczego by nie?) potężnego imperium, skarbnicy sztuk medycznych, o których w Europie nikomu się nawet nie śniło. Sułtan miał interes w tym, żeby Józef I był zdrow (jak wynioskowała Clordia), przysłał więc Cizebera.

Kto wezwał Turków? Odpowiedź była oczywista: księżę Eugeniusz! Nieprzypadkowo poselstwo osmańskie gościło w jego pałacu, tam też miały miejsce tajne spotkania derwisza z osobistym lekarzem cesarza.

Clordia miała rację: Eugeniusza nie należy wliczać w poczet wrogów Józefa I, jak twierdzi Atto. Przeciwnie - to jeden z jego nielicznych przyjaciół, może nawet jedyne. Nie mogłem o tym powiedzieć Melanemu w obecności mojego pomocnika, ponieważ dał mi wyraźnie do zrozumienia, że mu nie ufa.

W tej samej chwili obudził nas odgłos kroków na zewnątrz. Simonis wrócił ze zwiadu.

- Sytuacja nie zmieniła się - oświadczył. Wysłuchaliśmy jego relacji.

Zwierzęta wtargnęły na stadion do gry w piłkę, zapędzone w ciasną przestrzeń z tyłu budynku, rodzaj wąskiej uliczki między murem stadionu i wschodnią wieżą pałacu. Drapieżniki dotarły tam podziemnym korytarzem ze swoich zagród.

- Skąd się wziął słoń? Nie widziałem go na wybiegu z innymi zwierzętami.

- W wieży zachodniej też są drzwi, panie majstrze - poinformował Simonis.

W myślach odtworzyłem ostatnie wydarzenia. Dwukrotnie słyszałem odgłos podobny do dźwięku rogu w korytarzu arkadowym na pierwszym piętrze pałacu i drugi raz w zachodniej części tunelu pod budynkiem. Zwierzę znajdowało się wówczas w wieży zachodniej, na krańcu loggii, dokładnie nad tunelem, bo słyszałem jego kroki. Nie mogliśmy dostać się do tej wieży, gdyż Frosch nie dał nam klucza. Słoń wydostał się ze swojej zagrody

w wieży wschodniej, przez arkadowy korytarz i salę wejściową, wtargnął do pałacu, wypadł na zewnątrz, skręcił w lewo, przeszedł obok domu zarządcy i na dziedzińcu wschodnim, tym przy wejściu głównym, wypróżnił się. Oto do kogo należała góra ekskrementów.

Nie znajdując innej drogi wyjścia, słoń wszedł do wieży wschodniej, przez drzwi od strony dziedzińca, które, jak sam mogłem stwierdzić, były zawsze otwarte. Znalazszy się w środku, skręcił w prawo i znalazł się w ciasnej uliczce za stadionem. Zablokował swoim cielskiem drogę zwierzętom wybiegającym z podziemnego korytarza. Zagęszczenie zwierząt różnych gatunków, głównie agresywnych, groźnych drapieżników, doprowadziło do niezwykle nerwowej sytuacji. Tygrys, lwy i niedźwiedzie stanęły na wprost słońia. Na niewielkiej przestrzeni zapanował trudny do zniesienia tłok, którego zupełnie się nie spodziewały. Panika zaćmiła ich zwierzęce umysły, uniemożliwiając znalezienie jedyne go rozsądnego wyjścia z tej sytuacji, jakim było przedostanie się do wieży wschodniej, skąd nadszedł słoń, a stamtąd na dziedzińiec główny. Słoń rozwiązał problem, wyważając bramę prowadzącą na stadion. Zwierzęta wypadły na arenę z latającym statkiem pośrodku. Rozszalała menażeria roztrzaskała klatki z ptakami; zapanował chaos nie do opisania.

Do tego momentu wszystko było jasne, ale kto wypuścił zwierzęta z wybiegów i słońia z wieży zachodniej? Gdzie się podziewał Frosch? Dlaczego nie powiedział nam o słońiu? Skąd, do licha, ten kolos znalazł się w jednej z wież Neugebau?

*Godzina 17: koniec pracy. Zamykane są sklepy i kancelarie. Rzemieślnicy, sekretarze, nauczyciele języków, księża, sprzedawcy, lokaje i woźnice zasiadają do kolacji (w Rzymie jest pora podwieczorku)*

Pół godziny później siedzieliśmy w kolasie Penicka. Wyszliśmy mu na spotkanie, kiedy po nas jechał. Nie chcieliśmy wracać do Bezimiennego

Miejsca. W kolasie czekała nas niespodzianka: Penicek rozpiął nad naszymi głowami grube płótno do ochrony przed deszczem. Trochę się zdziwił na nasz widok, a zwłaszcza zmęczonego opata bez peruki. Pomógł nam wsiąść i ruszył w drogę, nie zadając żadnych pytań. Słowa zamarły mu na ustach, gdy Simonis potraktował go jak zwykle nieuprzejmie i nie pozwolił się odzywać.

Kiedy ruszyliśmy, zastanawiałem się, gdzie jest Frosch. Spotkają go przykrości, jeśli nie będzie mógł usprawiedliwić swojej nieobecności w chwili wtargnięcia zwierząt na stadion.

- Muszę poinformować kamerę cesarską o całym zdarzeniu - powiedziałem do Simonisa. - Jutro do Bezimiennego Miejsca przybędą eksperci od przewodów kominowych. Jako majster muszę być obecny przy sprawdzaniu ich drożności. Będą mnie o wszystko

wypytywać, nie mogę niczego przemilczeć.

- Ja też przyjdę! - oznajmił pośpiesznie Atto.

Przed wyjazdem z Wiednia opat musiał się dowiedzieć czegoś więcej o latającym statku, aby opowiedzieć o nim Arcychrześcijańskiemu Królowi. Ekspedycja do Wiednia zakończyłaby się wówczas sukcesem. Nie sprzeciwiałem się, bo wiedziałem, że walka z upartym opatem jest skazana na niepowodzenie. Poza tym ociemniały starzec nie będzie wzbudzał podejrzeń. Skromnie ubrany, bez makijażu i peruki mógł uchodzić za mojego krewnego wymagającego opieki.

- Dobrze, panie Atto - odparłem.

Kolasa wolno toczyła się po błotnistej drodze. Burza rozpętała się na dobre. Zatrzymaliśmy się, by zabrać zmokniętego wieśniaka. Gdy tylko wsiadł do kolasy, zaczął gestykulować i opowiadać w trudnym do zrozumienia dialekcie o lwie krążącym po okolicy. Udaliśmy niedowierzanie. Lew? Tutaj? Toż to czyste szaleństwo! Wieśniak wyjaśnił, że w Neugebau główną atrakcją dla osób zwiedzających pałac są drapieżniki. Widocznie jeden z nich uciekł. Usłyszawszy, że w Neugebau jest nie jedno, ale wiele dzikich zwierząt, ponownie udaliśmy niedowierzanie. Wieśniakowi, który zapewne chciał dać upust lękowi wywołanemu spotkaniem z lwem, spodobało się, że wprawia nas w zdumienie, dodał więc, że w Neugebau jest nawet słoń.

Otworzyliśmy szeroko oczy i poprosiliśmy o wyjaśnienia. Cesarz Maksymilian II, założyciel Bezimiennego Miejsca - powiedział - otrzymał afrykańskiego słonia w darze. Do Wiednia sprowadził go drogą lądową z Hiszpanii. Kolos z trąbą zrobił tak wielkie wrażenie, że dziesięć zajazdów, w których się po drodze przez Niemcy i Austrię zatrzymał, przyjęło nazwę Gospoda Pod Słoniem.

Gdy słoń dotarł do Wiednia, nie tylko zadziwił mieszkańców, ale także wzruszył. Wśród podziwiających go osób była młoda matka. Na widok olbrzyma upuściła niemowlę, które trzymała przy piersi. Tłum wstrzymał oddech. Słoń chwycił dziecko trąbą i podał rodzicielce.

Początkowo zwierzę przebywało w specjalnie zbudowanej menażerii w Ebersdorfie, niedaleko Bezimiennego Miejsca. W grudniu 1553 roku zdechło. Zostało po nim jedynie krzesło, wykonane z kości lewej przedniej nogi. To wszystko? Nie, nie wszystko, sprostował wieśniak. Krótco przed śmiercią słonica wydała na świat parkę (rzadkość u tego gatunku) ślicznych słońątek. Opiekun słonicy był pradziadkiem obecnego strażnika Neugebau. Jego zdaniem słonica padła z przepracowania, nadmiernie wykorzystywana podczas dworskich ceremoniałów. Bardzo przejął się losem sierot. W obawie, że prędzej czy później ktoś

zabierze małe (umówmy się!) z wygodnej menażerii w Eberdorfie, narażając je na niebezpieczeństwo, nikomu nie powiedział o ich narodzinach. Z pomocą krewnych przeniósł słońtka do pałacowej stajni i pielęgnował je w wielkiej tajemnicy. Po śmierci Maksymiliana Neugebau popadało w ruinę. Słońtka żyły sobie spokojnie w cieniu zapomnianego Bezimiennego Miejsca. Matka natura w swym nieskończonym miłosierdziu dopuszcza miłość kazirodczą wśród zwierząt, więc kiedy słońtka, brat i siostra, podrosły, z ich związku zrodził się śliczny słoń. Obecnie zamieszkuje w Neugebau, jest zdrowy, ruchliwy, obdarzony wyjątkowo po-rywczą naturą. Ma już oczywiście swoje lata, ale z temperamentu przypomina niedorostka.

Już miałem powiedzieć: „Mieliśmy okazję się przekonać”, mając na myśli straszliwy łoskot, z jakim słoń wtargnął na stadion do gry w piłkę, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem.

- A jego rodzice? Nie żyją? - zapytał Simonis.

- Podczas wojny trzydziestoletniej zostały wykradzione i zjedzone. Panował głód - odparł lakonicznie wieśniak.

Przejął nas dreszcz zgrozy. Ojciec Abraham a Sancta Clara miał rację: wieńcyczycy mają taki apetyt, że żadne zwierzę nie może czuć się bezpieczne.

- Właśnie mi się przypomniało - powiedział z ożywieniem wieśniak. - Dzisiaj znaleziono w lesie trupa.

- Ach, tak? Gdzie?

- Pod Dwoma Wisielcami.

Wstrzymałem oddech ze zdumienia. Na widok mojego zaskoczenia wieśniak dodał:

- Nie znacie tego miejsca? To niedaleko Salmannsdorfu.

Zanim nasz pasażer wysiadł na rozwidleniu dróg, wyjaśnił, że tak nazywa się polana w lesie, na północ od Wiednia. Dawno temu powieszono tam dwóch bandytów.

Na miejsce w pobliżu uroczego miasteczka Salmannsdorf dotarliśmy po dwóch godzinach podróży, najpierw kolasą, później pieszo. Znaleźliśmy polanę, idąc za ciekawskimi. Po drodze odwieźliśmy opata Melanie-go do klasztoru Porta Coeli. Był zbyt zmęczony, żeby nam towarzyszyć.

Zwłoki spoczywały na trawie, mokrej od deszczu. Najpierw ujrzeliśmy szarą, pomarszczoną twarz. Nie wyglądał (byłoby to niemożliwe) gorzej niż za życia. Spod kaptura wyzierały cztery siwe kosmyki, jakie mu jeszcze pozostały na głowie, i czarna szyja. Z rękawów brudnego płaszcza wystawały szponiaste dłonie. Wydawał tę samą co zawsze przykrą woń nigdy niemytego ciała. Półprzymknięte, żółtawe powieki zakrywały zaropiałe,

przekrwione oczy. Na podbródku zastygła strużka zielonkawej śliny. Ugonio sprawiał wrażenie, jakby spał.

Przez chmury i korony drzew przedarł się promień słońca i spoczął na przewróconym koszu, który Ugonio miał ze sobą. Z kosza wystawały jakieś przedmioty. Gdy łowca relikwii osunął się na ziemię, wypadły z niego dwie buteleczki w wiklinowej plecionce. W jednej ampułce zabłysnął w słońcu płyn złocisty, w drugiej rubinowy.

Tłum bez emocji komentował mord dokonany na polanie. Nic tak nie różni Rzymu od Wiednia jak stosunek do śmierci. W Rzymie panuje przekonanie, że mówienie o śmierci przynosi pecha. W Wiedniu o śmierci i wszystkim co się z nią wiąże (powody i okoliczności zgonu, pogrzeb, podział majątku, stypa), mówi się swobodnie i bez obaw. Rzymianie drwią z wiedeńczyków: jak oni mogą z takim spokojem podchodzić do żałoby i nieboszczyków? Zapominają, że w mieście papieży o śmierci, zwłaszcza gwałtownej, nie mówi się, ale sieją zadaje.

Ugonio żył między Rzymem a Wiedniem i zginął w podwiedeńskim lesie z ręki Włocha. Podał nawet imię zabójcy. Było to oczywiste.

*Ali. ursinum*, jak przeczytaliśmy w notatkach Ugonia, czyli *Alessium Ursinum*, kastrat Gaetano Orsini, śpiewający partię świętego Aleksego. Żegnaj, Ugonio, żegnaj, przyjacielu! Bóg z tobą! Zabrałeś do grobu tajemnicę, która łączyła cię z Orsinim. Żegnajcie też słowa archanioła Michała! Teraz, kiedy obaj z Attem zrozumieliśmy wreszcie znaczenie zdania agi, nie było nam to do niczego potrzebne. Mimo to byłem ciekaw, jakie posłanie wypisał archanioł na szczycie katedry Świętego Szczepana, na postumencie, na którym spoczywało niegdyś świętokradcze jabłko Sulejmana Wspaniałego.

Obserwowałem twarz Simonisa, pobladłą ze strachu. Kolejne zabójstwo rozdzierało nasze serca, dodatkowo komplikując i tak już zagmatwane sprawy. Mając na uwadze tysiące zabójstw, których każdego roku dokonuje się w Wiecznym Mieście, spojrzałem na nieruchomą twarz Ugonia i pomyślałem o jego dziwnym losie. „W Rzymie nieustannie narażałeś się na niebezpieczeństwo, powiedziałem w myśli, a w Wiedniu dałeś się zabić”.

- Biedaczek! - oznajmił ze współczuciem jakiś staruszek. - Pomylił rośliny.

- Niestety! Nic na to nie poradzimy - dodał ktoś inny.

Pomylił rośliny? Nie zważając na zagniewane głosy gapiów (w większości ciekawskich, nudzących się osiemdziesięciolatków), przedarłem się przez tłum i podszedłem do martwego Ugonia. Wziąłem do ręki buteleczkę ze złocistym płynem i obejrzałem ją pod światło.

- Wygląda jak olej - stwierdził Simonis, który stanął obok mnie. Wyjąłem korek,



wylałem kroplę płynu na palec i posmakowałem. Grek miał rację.

Sprawdziliśmy zawartość drugiej buteleczki, która, jak się domyślałem, zawierała ocet winny. Koszyk był pełen zieleniny, a ściślej mówiąc, świeżo zerwanej sałaty.

W tej samej chwili do ciała podeszli trzej miejscy strażnicy. Wyrwali nam z rąk buteleczki i sałatę. Obejrzeni je dokładnie, kręcąc głowami, jakby dla podkreślenia, że nieszczęściu można było zapobiec.

- Ten też się pomylił - powiedział najwyższy ze strażników, przyglądając się uważnie listkom. - Konwalia zamiast niedźwiedziego czosnku.

- Niedźwiedzi czosnek? - zapytałem z niedowierzaniem. Strażnicy spojrzeli na mnie i zarechotali rubasznie.

- Uwważaj, Włochu! Sałata też może być trucizną - powiedział jeden z nich.

Simonis przetłumaczył mi na ludzki język wyjaśnienia żandarmów (w Wiedniu prawie wszyscy przedstawiciele miejskich instytucji używają, niestety, dialektu).

*Allium ursinum* to łacińska nazwa czosnku niedźwiedziego, zieleń o długich liściach i ostrym smaku. Kwitnie każdego roku na wiosnę, okrywając lśniącym, szmaragdowozielonym dywanem polany wiedeńskich lasów, rozsiewając wokół silną woń czosnku. Wiedeńczycy dodają je do sałaty i do innych potraw, obyczaj zupełnie nieznan w Rzymie. Oto, co oznaczała notatka *AU. ursinum* na karteczce Ugonia! Nie chodziło zatem o *Świętego Aleksego* i Gaetana Orsiniego, lecz o niedźwiedzi czosnek. To była ta „pilna, apetyczna” sprawa, o której napomknął łowca relikwii. Słowa „dwaj wisielcy” oznaczały nazwę miejsca Pod Dwoma Wisielcami, gdzie Ugonio miał nadzieję znaleźć dużo niedźwiedziego czosnku i doprawić nim sałatę z oliwą i octem. Niestety, zamiast zieleń znalazł śmierć. *Allium ursinum*, jak wyjaśnił jeden ze strażników, był łudząco podobny do konwalii, której liście zawierają silnie trującą substancję. Nawet doświadczonym zielarzom zdarzało się pomylić te rośliny, co przypłacił życiem, jak Ugonio. Jakże kruchą istotą jest człowiek, pomyślałem, skoro może paść ofiarą niepozornej, dzikiej roślinki!

Oto dlaczego Gaetano Orsini, gdy Simonis i jego towarzysze zapytali go o dwóch wisielców, powiedział, że prawie nigdy nie opuszcza miasta! Słyszał o tym miejscu, ale nigdy tu nie był.

Wszystkie nasze wysiłki były nadaremne. Ostatni trop, który wydawał się prowadzić do rozwiązania tajemnicy, zawiódł nas donikąd. Jeśli Ugonio nie spiskował z Orsinim, to nasze podejrzenia co do muzyków Camil-li de' Rossi były niczym nieopartym wytworem fantazji. Ugonio dostarczył Cizeberowi fałszywą głowę Kara Mustafy, bo taki był jego zawód: handlował podrabianymi relikwiami.

Śmierć łowcy relikwii wywołała we mnie bolesne wspomnienia. Spotkałem Ugonia przed dwudziestu ośmiu laty w Rzymie, gdy pracowałem jako niedoświadczony posługacz w skromnej gospodzie. Tam też poznałem Atta Melaniego, a wraz z nim kaprysy losu i fortuny.

Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się ze śmiercią, ale odejście Ugonia stanowiło jakby zamknięcie pewnego rozdziału w moim życiu. Poczucie spełnienia (ale nie doskonałości), którym wiedeńskie wydarzenia barwiły odległe wspomnienia, niczym malarze, którzy w milczeniu odnawiają stare freski, nabierało teraz nowego zabarwienia. Stawało się bardziej gorzkie, bezlitosne, smutne.

Jedyną pociechą było to, że Ugonio nie został zamordowany, ale zmarł podczas posiłku, najedzony. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na jego martwe ciało. Ciemne podziemia i fetor rzymskich kloak (w takich warunkach przyszło mu żyć) nadały jego twarzy rysy kreta i kuny. Po śmierci pieściły go litościwie wiedeński wietrzyk i kwietniowe słońce, którego drżące promienie połyskiwały wśród koron drzew, kładąc się z macierzyńską czułością na jego twarzy, jakby pragnęły odkryć boską cząstkę duszy tkwiącą w każdym człowieku. Nie była to zwykła śmierć starego, zniszczonego łowcy relikwii, ale raczej wyniesienie do nadludzkiego, niezemskiego wymiaru, pomyślałem, odchodząc. Przeżegnałem się i odmówiłem krótką modlitwę za osobliwą duszę Ugonia.

W drodze powrotnej udałem się do kamery cesarskiej, żeby donieść o ucieczce zwierząt z Bezimiennego Miejsca. Urzędnik odnotował to zdarzenie, nie mrugnawszy nawet okiem.

Gdy dotarłem do klasztoru, musiałem zrezygnować z rozmowy z At-tem, który leżał jak nieżywy na łóżku, wyczerpany ostatnimi wypadkami. Domenico, prawie zdrów, poprosił mnie, żebym pozwolił opatowi się wyspać.

- Tematem dzisiejszej lekcji jest kupowanie i sprzedawanie - powiedział na powitanie Ollendorf, z typowym niemieckim uśmiechem, który nas, Włochów, przejmuje dreszczem.

Myśląc o czym innym, biernie poddałem się lekcji. Na szczęście Clori-dia i synek słuchali słów nauczyciela z większą uwagą niż niżej podpisany.

- *Was fur Wahren wollen die Harren haben? Sie gehen herein in den Laden, und schawen, was Ihnen beiebet?* Jakie towary pragną waszmoście nabyć? Proszę wejść do sklepu i popatrzeć, co się waszmościom podoba - pilnie wyrecytowała moja małżonka.

Po chwili do drzwi zapukał Simonis. Znalazł w swoim pokoju bilecik od Opalińskiego, który chciał się z nami spotkać nazajutrz, o siódmej rano, w pobliżu południowych bastionów.

Wróciłem do lekcji z jeszcze mniejszą ochotą niż przedtem. Po wyjściu Ollendorfa

mogłem w końcu opowiedzieć Cloridii o tym, co się wydarzyło, przede wszystkim o śmierci Ugonia.

Smutna wiadomość bardzo ją zmartwiła, choć z pewnością nie tak jak mnie. Według Cloridii łowca relikwii stanowił ciągle zagrożenie, a nie istotę, którą można było darzyć sympatią. Niewiele mówiliśmy jednak o Ugoniu, aby nie niepokoić synka.

Po rozmowie z żoną przystąpiłem do lektury „Corriere Ordinario”. Odkąd zaczęły się kłopoty, czułem coraz większą niechęć do wiedeńskich obyczajów i coraz mniej mi się podobał niemiecki język.

- Mój malutki! - powiedziała Cloridia do synka, wchodząc do pokoju z tacą. - Przyniosłam kolację dla tatusia, pomóż mi nakryć do stołu.

W samą porę! Byłem głodny jak wilk.

- *Ich gehorsambe*, słucham! - odparł posłuszny mały uczeń, kładąc przede mną sztućce, serwetkę i szklanę.

Kolacja składała się głównie z orkiszu. Domyślałem się, oczywiście, kto ją przygotował. Czy mogłem się buntować? Cloridia całkowicie podzielała wiarę *Chormaisterin* w zbawienne działanie orkiszu, odziedziczoną po matce. W latach pobytu w Rzymie rzadko korzystała z matczynych przepisów, teraz, pod wpływem Camilli, stała się prawdziwą miłośniczką orkiszu. Początkowo nawet mi to odpowiadało, ponieważ ulubione ziarno starożytnych Rzymian wielokrotnie wyleczyło naszego synka. Z czasem orkisz mi się przejadł. Spożywając posiłek, czytałem gazetę, którą Cloridia zdobyła dla mnie jak zwykle w drukarni van Ghelena.

Depesze z Madrytu, wysłane 9 marca, donosiły o przygotowaniach Portugalii (gdzie królowa siostra Józefa) do wojny z księciem andegawęńskim. Pomyślałem o złotym jabłku i latającym statku, który królowa Portugalii wysłała do Wiednia. Następnie przeczytałem, że kłótnie księcia Vendôme z księżniczką Orsini „z każdym dniem się nasilają. Księżę twierdzi, że nie słucha rad kobiety w sprawach, o których ona nie ma żadnego pojęcia”. Nie dziwiłem się, że księżę Vendôme złościł się na słabą płęć. Czyż nie należał on do rodzaju mężczyzno-kobiet, jak mówił Atto? Księżniczka Orsini natomiast, znana intrygantka, przypomniała mi o mężczyźnie o tym samym nazwisku, kastracie, którego podejrzewałem o zamordowanie nieszczęsnego Ugonia...

Dziwny jest ten dzisiejszy numer gazety, pomyślałem poirytowany, nie podaje żadnych wiadomości nawiązujących do ostatnich wydarzeń. Czy w tym zbiegu okoliczności był jakiś ukryty sens? Przeszedłem do depesz z Rzymu, także niebyt aktualnych, z 28 marca. Mój wzrok przyciągnęło nazwisko konstabla Colonna. Wraz z Ojcem Świętym, papieżem

Klemensem XI Albanim, konstabl wziął udział z uroczystościami związanych ze świętem Matki Boskiej od Zwiastowania. Colonna był synem Marii Mancini. Krótko mówiąc, gdziekolwiek spojrziałem, w gazecie mówiło się o mnie.

Rozzłoszczony, rzuciłem ją na podłogę. Sięgnąłem po dodatek do gazety, który z kolei podawał informacje z dalekich, zupełnie mi nieznanymi miejsc, takich jak Mitawa, stolica niejakiego Księstwa Kurlandii. Na końcu znalazłem ostatnie doniesienia z Wiednia.

Najjaśniejszy Cesarz od ubiegłej środy leży zmorzon ospą i z tej przyczyny od niedzieli zarządzono modlitwy...

O tym wiedziałem, więc czytałem dalej:

Generalny sekretarz cesarza, hrabia Althan, w tych dniach wyjechał dyliżansem pocztowym do Holandii.

A więc hrabia Althan już wyjechał! Dziwiło mnie, że ksiązę Eugeniusz zwlekał. Ciekawe, kiedy wyruszy?

Wiadomości wiedeńskie skończyły się. Ponownie przebiegłem wzrokiem po doniesieniach. Coś się nie zgadzało, brakowało ważnej informacji, tylko jakiej? Ależ tak! Informacji o aresztowaniu augustianina oskarżonego o zabójstwa i gwałty! Włoski dziennik nie wspominał o tym.

- Cloridio! Gdzie jest „Dziennik Wiedeński”?! - zawołałem, podskakując na fotelu.

- Tam - odparła małżonka, wskazując stolik obok mnie, na którym zawsze kładła wiedeńską gazetę, kupioną jak zwykle pod Czerwonym Jeżozwierzem.

Wiadomości nie było także w gazecie niemieckojęzycznej.

Gazety przemilczały fakt, o którym Penicék mówił, że wszyscy go komentują, i dziwił się, że ja o niczym nie wiem. Zapytałem Cloridię, która czyściła mój kominiarski strój, czy słyszała coś na ten temat, ale pokręciła głową. Wyglądała na zaskoczoną, w pałacu Najjaśniejszego Księcia nawet o najbardziej błahych plotkach można było bowiem dowiedzieć się z wyprzedzeniem, a co dopiero o aresztowaniu zakonnika! Nie słyszała też o przestępstwach, których miał się dopuścić augustianin.

- Dziwne - stwierdziła żona. - Kto ci o tym powiedział?

- Penicék.

- Aha.

- Twoim zdaniem wszystko zmyślił, żeby...

W tej samej chwili z kieszeni spodni, które trzymała w ręku Clordia, wypadła szkatułka od opata Melaniego.

- Co to? - zapytała Clordia, podnosząc ją.

Powiedziałem, że jest w niej wyjaśnienie, po co Atto spotkał się z Ormianinem. Kazał mi jednak obiecać, że nie otworzę szkatułki przed jego wyjazdem z Wiednia.

- A jeśli jest pusta? - zastanawiała się Clordia.

Czułem, że blednę. Potrząsnąłem szkatułką. W środku coś zachrobo-tało. Odetchnąłem z ulgą.

- Rzeczywiście, opat coś do niej włożył - zgodziła się Clordia. - Jesteś pewien, że pomoże to odkryć tajemnicę ich spotkania? A może to tylko kamyczek?

Siedziałem jak na szpilkach.

- Jak myślisz? Otworzyć? - spytałem.

- Ale wtedy nie dotrzymasz słowa.

- Co mam uczynić?-jęknąłem rozdarty.

- Jestem prawie pewna, że tym razem opat był szczery. Prawie pewna. Jeśli zaczniesz coś podejrzewać, wyłamiesz zamek i sprawdzisz, co jest w środku.

*Godzina 20: zamykane są gospody i piwiarnie*

Siedziałem na swoim miejscu w cesarskiej kaplicy. Tego wieczoru muzycy grali z większym zaangażowaniem niż zwykle, gdyż zbliżał się dzień wystawienia oratorium.

Po tragikomicznej śmierci Ugonia - niech Bóg ma go w swojej opiece! - członkowie orkiestry stali się ponownie niewinnymi artystami, za jakich ich zawsze uważałem. Mimo to, kiedy patrzyłem na plecy Camilli de' Rossi, która machała rękami, domagając się silniejszych dźwięków skrzypiec i łagodniejszych tonów kontrabas, stawiałem sobie w myśli pytania.

Dlaczego nie powiedziała prawdy o Antonie de' Rossim? Nie wszyscy Rossi są spokrewnieni, ale w przypadku pokojowca kardynała Collonitza i jej zmarłego męża Franza było inaczej. Kardynał Collonitz przed wielu laty ochrzcił turecką dziewczynę, której nie przyjęto do klasztoru Porta Coeli. Opowiadała nam o tym sama Camilla. Franz i Anton de' Rossi,

Franz i Camilla, Anton de' Rossi i Collonitz, ale też CoUonitz i Porta Coeli, wreszcie Porta Coeli i Camilla. Czy istniał jakiś logiczny związek między tymi osobami?

Gaetano Orsini (jak się okazało, zupełnie niegroźny i godzien zaufania) powiedział mi, że *Chormaisterin* nigdy nie żądała zapłaty za pracę dla cesarza. Dlaczego? Ten, kto nie pracuje dla pieniędzy, rozmyślałem, otrzymuje zazwyczaj jakąś rekompensatę. Jaką otrzymywała Camilla? Cesarz Józef zaproponował jej, by zrezygnowała z leczenia orkiszem i zajęła się muzyką. Zamiast wynagrodzenia za komponowane utwory poprosiła Jego Cesarską Wysokość, by pozwolił jej zamieszkać w klasztorze Porta Coeli.

Przed wielu laty Camilla ze swoim mężem Franzem udali się do stolicy Francji, aby

spotkać się z... Attem Melanim. Odbyli tak daleką podróż, żeby poznać ucznia mistrza Luigiego czy szpiega Arcychrześci-jańskiego Króla? Czy to możliwe, że Camilla nie miała nic wspólnego z podejrzanymi interesami, którymi zajmował się Atto? Zauważyłem, że Cloridia patrzy na mnie ze smutkiem. Domyślała się, co chodzi mi po głowie i podzielała moje wątpliwości, ale jej serce wahało się między podejrzeniami a sympatią do *Chormaisterin*.

Sopran, korpulentna Maria Landini, którą dzień wcześniej podejrzewałem o najpodlejsze uczynki, jako narzeczona Aleksego śpiewała o urokach miłości:

*Basta col che casto sia Che diletta sempre amor...*

*Wystarczy, by miłość była czysta I zawsze rozkosz dawała...*

Nie, to niemożliwe, myślałem. Za kłamstwami Camilli coś się kryło. Przyglądałem się bacznie dyrygującej *Chormaisterin*.

*...efa 'poi che eterna sia Fiamma ascosa entro del cor.*

*...spraw, żeby trwał wiecznie Płomień, co w głębi serca pali.*

Słuchając sopranu śpiewającego o odwiecznym płomieniu uczuć, doszedłem do wniosku, że podejrzenie jest jak miłość, jak ogień, który płonie nieprzerwanie, przysparzając cierpień. Rozwiały się moje wątpliwości co do muzyków *Chormaisterin*, ale nie mogłem uwolnić się od podejrzeń co do niej. Porta Coeli i Camilla stanowiły punkt wyjścia mojego pobytu w Wiedniu. Teraz, po tysiącu krwawych zdarzeń, wszystko zdawało się ponownie prowadzić do klasztoru i zagadkowej dyrygentki.

Jeśli chodzi o śmierć studentów, nie mieliśmy żadnego tropu. Choroba cesarza natomiast budziła pytania, na które dotąd nie znaleźliśmy odpowiedzi. Co łączyło Camillę z Józefem Zwycięskim? Jakiej zapłaty oczekiwała *Chormaisterin* za służenie Jego Cesarskiej Wysokości?

Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale czułem, że kolejny dzień rozjaśni mój umysł i znajdę nić, która wyprowadzi mnie z labiryntu wydarzeń.

Czwartek

16 kwietnia 1711 roku Dzień ósmy

*Godzina 5.30: pora pierwszej mszy. Zaczynają bić po kolei wszystkie wiedeńskie dzwony, zapowiadając msze, procesje, modlitwy. Otwierane są gospody i piwiarnie*

Tego dnia również nie udało mi się porozmawiać z opatem Melanim. O świcie udałem się do jego pokoju, ale Domenico nie chciał mnie wpuścić, obawiając się o zdrowie stryja. Nie zrezygnowałem jednak i po krótkiej sprzeczce z młodzieńcem udało mi się wejść i stanąć przy łóżku śpiącego Atta.

Bratanek miał rację. Z powodu zmęczenia, przede wszystkim zaś z nadmiaru wrażeń, Atto znajdował się w stanie niemal kataleptycznym. Zdołałem na chwilę go ocucić i choć patrzył nieprzytomnie, streściłem mu moją ostatnią rozmowę z Cloridią. Powiedziałem, że prawdopodobnie Turcy przybyli do Wiednia w dobrych intencjach, co więcej, pragnęli zająć się leczeniem cesarza. Hipoteza opata była zatem niesłuszna, a jego podejrzenia co do osoby Eugeniusza bezzasadne. Niestety, po chwili Atto zamknął oczy i odwrócił się na bok. Domenico rozżłościł się na mnie za natręctwo i niemal siłą wyprosił za drzwi.

Po powrocie do pokoju zastałem wiadomość z kamery cesarskiej, że tego popołudnia oczekują nas w Bezimiennym Miejscu, w celu spisania protokołu wydarzeń i podpisania go.

W tym samym momencie wróciła Cloridią. Była bardzo podniecona.

- Karoca z Najjaśniejszym Księciem opuściła pałacowy dziedziniec. Eugeniusz wyruszył na front! - wykrzyknęła.

Człowiek, który od ponad tygodnia zajmował naszą uwagę, wracał do swoich zwykłych zajęć: walki z francuskim wrogiem i własnych zmagañ z powikłaną osobowością. Kim był: Psim Nosem, Starą *Madame* czy Kapitanem Śmierci?

Dochodziła siódma - godzina spotkania z Opalińskim.

Szliśmy szybkim krokiem, gdy niespodziewanie ktoś nas zatrzymał.

- Ej! Włoski kominiarzu! Zaczekaj! - usłyszałem znajomy głos.

W pierwszej chwili go nie poznałem. Miał zabandażowaną głowę i podpierał się laską. Kiedy się do nas zbliżał, myślałem, że to duch.

- Frosch! - wykrzyknąłem.

Strażnik Bezimiennego Miejsca nie był duchem, ale mało brakowało, żeby nim został.

Masując obandażowaną głowę, opowiedział, że niewiele pamięta z tego, co się wydarzyło. Doglądał zwierząt, gdy nagle ktoś (jeden człowiek czy kilku ludzi, trudno powiedzieć) go zaatakował. Uderzony w głowę grubym kijem, stracił przytomność. Nie wie, jak długo leżał bez czucia. Ocknął się dopiero wtedy, gdy Szczeniak spryskał mu twarz wodą z trąby.

- Szczeniak?

- Tak - odparł z prostotą Frosch, jakby to pieszczotliwe imię było w przypadku słonia najbardziej oczywiste pod słońcem.

Uszanowaliśmy tajemnicę, którą latami ukrywał, i nie zadawaliśmy więcej pytań.

Odzyskawszy przytomność, strażnik zdał sobie sprawę z nieszczęścia, spowodowanego z całą pewnością umyślnie. Z obolałą, zakrwawioną głową, w ulewnym deszczu, na pół przytomny zdołał zagrozić wszystkie wyjścia z Bezimiennego Miejsca.

Mimo jego wysiłków kilka zwierząt zdołało jednak uciec.

Frosch opowiadał o zdarzeniu ze wszystkimi szczegółami, powoli, od czasu do czasu rzucając przekleństwo. Najwyraźniej był jeszcze cierpiący, a poza tym na pewno napił się śliwownicy. Robiło się późno, ale nie było sposobu, żeby namówić Froscha, by wypowiadał się zwięźle.

Początkowo okoliczni wieśniacy nie chcieli mu pomóc, ciągnął strażnik, utrzymując, że do pałacu wrócił duch Rudolfa, budowla jest przeklęta i że niedawno widziano unoszący się nad nią statek. Zamilkł, patrząc na nas wyczekująco, ale ponieważ my nie dopytywaliśmy się o słońca, on zrezygnował z pytań na temat latającego statku.

W okolicy rozpoczęło się polowanie na zbiegłe drapieżniki, które jeszcze się nie zakończyło. Powiedziałem Froschowi, że my też nie mamy pojęcia, kto uwolnił zwierzęta ani kto go napadł. Uciekliśmy z Neu-gebau, oznajmiłem, gdy tylko spostrzegliśmy je na wolności. Po powrocie do Wiednia, dodałem, poinformowałem władzę o zdarzeniu i właśnie otrzymałem wezwanie w celu sporządzenia i podpisania protokołu na miejscu.

- Przez jakiś czas nie będę mógł się stąd ruszyć - powiedział Frosch, masując sobie głowę i wskazując budynek, z którego wyszedł przed chwilą na krótki spacer.

Był to Burgerspital, szpital miejski.

Następnie strażnik zaczął wyliczać tragiczne przypadki, które widział w szpitalu. Miał nadzieję, że nigdy więcej tu nie wróci. Jako człowiek wrażliwy na pewne rzeczy nie może patrzeć *et cetera, et cetera*. Nadmiar wypitej śliwownicy rozculił go do tego stopnia, że zakończył opowieść, płacząc jak dziecko. Dodawaliśmy mu otuchy i uspokajali, jak mogli. Słaniał się coraz bardziej na nogach, więc odprowadziliśmy go do szpitala i powierzyli troskliwej opiece młodej zakonnicy.

Dom był jednym z wielu budynków, ciągnących się wzdłuż południowego bastionu. Szukając miejsca spotkania, stosowaliśmy się do wskazówek Opalińskiego. Z powodu rozmowy z Froschem przybyliśmy z godzinnym opóźnieniem.

Ledwo skręciliśmy w jedną z ulic, Simonis zatrzymał mnie.

- Wracajmy!-powiedział.

- Dlaczego?

- Dotrzemy do domu od drugiej strony. Ostrożności nigdy za wiele.

- Ale Opaliński napisał, jak tam dotrzeć.

- I tak go znajdziemy, panie majstrze. Proszę mi zaufać.

Wreszcie trafiliśmy pod wskazany adres. Weszliśmy w bramę kamieniczki usytuowanej w jednej z przecznicy, przeszliśmy przez podwórko i byliśmy na miejscu.



- Puste mieszkanie? Mieści się na trzecim piętrze, mieszka tam rodzina Zwitkowitzów. A właściwie mieszkała - poinformowała nas cierpkim tonem starsza pani z parteru. - To jedyne mieszkanie, które przyznano jakiemuś urzędnikowi. Pozostałe są zamknięte, wszystkich eksmitowano.

Przyszedł przed chwilą, żeby zabrać rzeczy - powiedziała i zamknęła nam drzwi przed nosem.

W głosie staruszki pobrzmiewała nienawiść do cesarskich urzędników, którzy wyrzucili wszystkich mieszkańców kamienicy. Na własne oczy widziałem więc, jak działa prawo kwaterunkowe. Zgodnie z tym, co opowiadał mi Simonis, wszyscy lokatorzy musieli opuścić mieszkania, żeby mogli je zająć jacyś dworscy pasożyci. Wspomniany urzędnik nielegalnie podnajął mieszkanie rodziny Zwitkowitzów, a Opaliński inkasował komorne od nowego lokatora.

W pośpiechu weszliśmy po schodach, nie spotykając żywego ducha.

Drzwi do mieszkania były otwarte. Weszliśmy do środka. Lokal był prawie pusty. Na podłodze widniały ślady po meblach, a na ścianach białe plamy po obrazach, krucyfikach, zegarach.

Dobrze znałem wiedeńskie domy. Jako kominiarz widziałem całe setki podobnych mieszkań. Ich umeblowanie i rozkład spodobałyby się każdemu mieszkańcowi Rzymu. Skromna wiedeńska rodzina ma tyle sprzętów, ile pięć zamożnych rodzin rzymskich. Ściany są grube, mocne, okna duże, dach wysoki, pokryty dachówką, kominy porządnie wykonane. W mieszkaniach jest na ogół długi korytarz i dobrze wyposażona kuchnia. Drzwi wejściowe są szerokie, podobne do tych, przez które przed chwilą weszliśmy.

- Janie! Gdzie jesteś?! - zawołał Simonis. Żadnej odpowiedzi.

- Pewnie już poszedł - powiedziałem.

Z pierwszego pokoju można było pójść na lewo lub na prawo. Poszliśmy na prawo i trafiliśmy do kuchni. Zgodnie z wiedeńskim zwyczajem był w niej piękny piec i przeróżne naczynia, które w Rzymie znajdują się tylko w najbogatszych, najlepiej wyposażonych domach. W arcyksięstwie Austrii, na północ i południe od Anizy, garnki są zawsze w najlepszym gatunku, a widelce mają trzy, a nawet cztery zęby.

Rodzina Zwitkowitzów zabrała ze sobą trochę mebli, ale bez zawartości. Na podłodze wałały się miedziane sztuce, stały metalowe imbryki mosiężne patelnie, cynowe miski i kieliszki w rozmaitych kształtach i rozmiarach. Obok stosu talerzy w rogu pokoju zauważyłem kilka czerwonych kropli. Powiadomiłem o tym Simonisa.

- Krew - oświadczył matowym głosem.

W kredensach wiedeńskich domów znajdują się na ogół ścierki, ście-reczki i serwetki z materiału, w piękne, ozdobne desenie. Zwykle jest ich bardzo dużo, w kuchniach tego miasta tłuszcz bowiem leje się strumieniami.

Na stole dostrzegłem wspaniały haftowany obrus z serwetkami, starannie złożonymi jedna na drugiej. Coś mnie w nich uderzyło. Policzyłem serwetki i okazało się, że są tylko trzy, nie sześć czy dwanaście, jak zazwyczaj.

W Wiedniu kucharki używają do pieczenia mięs specjalnych rożnów, *Bratspiefle*. Wkładają je do pieca po trzy lub cztery, ułożone jeden nad drugim, tak aby wytapiający się tłuszcz spływał po nich. Ponieważ nikt nie lubi spędzać całych godzin na obracaniu rożna, wiedeńczycy wymyślili genialny system automatyczny, złożony, podobnie jak w zegarku, z ciężarków, kul i łańcuchów, zasilany gorącą parą, który obraca mięso co jakiś czas, dzięki czemu jest rumiane i dobrze wypieczone ze wszystkich stron. Na podłodze stał stojak na sześć *Bratspiefle*, najlepszej jakości ma się rozumieć. Rożna miały długie, ząbkowane ostrza, które przytrzymują mięso, aby nie spadło. Można je było demontować. Doliczyłem się czterech sztuk, dwóch brakowało.

- Opaliński! Gdzieś ty się, do licha, schował? - zapytał Simonis bez większego przekonania, że usłyszy odpowiedź.

Z kuchni przeszliśmy do pomieszczenia, bardzo popularnego w Austrii, zwanego *Stube*, które przypomina nieco naszą jadalnię. Spędza się tu dużo czasu, grzejąc przy specjalnym, zamkniętym piecu, występującym wyłącznie w krajach północnych. Piec wydziela przyjemne, umiarkowane ciepło, pomagając znieść zimowe mrozy lepiej niż kominek. W *Stube* wiedeńczycy trzymają klatki z ptakami śpiewającymi i gromadzą wszelkiego rodzaju ozdoby (drabinki do kwiatów, tapiserie, porcelanę, obrazki, krzesła, lustra, zegary, talerze). Nagromadzenie tych rzeczy jest tak duże, że łatwo o nie zawadzić, potrącić albo przewrócić. Wszystkie te przejawy luksusu i próżności słusznie potępiał ojciec Abraham a Sancta Clara.

- Tu też są plamy krwi - powiedziałem, starając się zachować spokój.

- Ale jest ich więcej - stwierdził Simonis z roztargnieniem, jakbyśmy rozmawiali o pęknięciu na suficie czy o wazonie na kwiaty.

Gdzieniedzie widać było wąskie pasma krwi, jakby ktoś się pośliznął.

Zawróciliśmy do wejścia. Tam również była krew. Nie zauważyliśmy jej, wchodząc do mieszkania, ponieważ znajdowała się na progu drzwi po lewej stronie, a my poszliśmy w prawo. Teraz postąpiliśmy odwrotnie i skierowali się do drzwi po lewej.

W Wiedniu, w zależności od liczebności rodziny, w każdym mieszkaniu jest co

najmniej jedna sypialnia. Znużony człowiek, kładąc się na łóżku, zapada się w miękki, puchowy materac (o ileż wygodniejszy od materaców rzymskich!), co ojciec Abraham a Sancta Clara słusznie potępia, jako że prędzej czy później prowadzi to do osłabienia ducha i ciała.

Weszliśmy do sypialni. Stały w niej modne, bogato ozdobione stylowe meble. Krzesła miały klasyczne oparcia i siedziska ze skóry, przymocowanej gwoździami tapicerskimi do drewnianej ramy. Po lewej stronie pokoju stał, oparty o ścianę, zgrabny, składany stolik. Po prawej znajdowała się trzydrzwiowa szafa. Obok niej stała niewielka zamykana szafka z zegarem w środku, zwieńczona dwoma posążkami. Na ścianach wisiały zegar wahadłowy i lustro.

Środek sypialni zajmowało duże, dwuosobowe łóże. W powietrzu unosił się dziwny zapach. Przed łóżkiem stał fotel, odwrócony tyłem do wejścia, na którym ktoś siedział. Nagle ten ktoś odwrócił się.

- To ty!?-wykrzyknął Simonis.

Z torby, którą w ostatnich dniach miał zawsze przy sobie, wyszarpnął pistolet i wycelował w osobę siedzącą na fotelu.

- Co cię napadło? Nie strzelaj! Jestem... ranny - powiedział drżącym głosem pismak na widok pistoletu.

Podniósłszy się z trudem, stał na drżących nogach. Lewą dłonią zaciskał prawe ramię, po którym spływała krew. Na lewej skroni również widniała strużka krwi. Zamurowało nas.

- To Opaliński - oznajmił Peniłek. - Wyznaczył mi tu spotkanie.

- Nam też - dodałem. - Przysłał bilecik.

- Kiedy się zjawiłem, był bardzo zdenerwowany. Czekał na was. Myślał, że już nie przyjdziecie. Powiedziałem mu, że na pewno macie dużo pracy w Neugebau.

- A ty skąd o tym wiedziałeś? - zapytał Simonis podejrzliwie, z pistoletem nadal wycelowanym w Peniłka.

- Mówiliście o tym wczoraj, w drodze powrotnej, nie pamiętasz? Ale lepiej by było, gdybym o niczym nie wiedział. To mnie zgubiło! Rzucił się na mnie ze sztyletem.

Zamilkł i przytrzymał się fotela.

- Jan zwabił nas tutaj, żeby nas zabić - ciągnął wstrząśnięty Peniłek. Chwiejąc się na nogach, patrzył na nas przerażonym wzrokiem. Oczekiwał naszej reakcji, ale my ani drgnęliśmy.

- W pewnym momencie zaatakował mnie. Bronilem się. Upadliśmy na podłogę, walczyliśmy, aż w końcu...

- W końcu? - podchwycił mój pomocnik.

- Uderzył mnie czymś w głowę - powiedział, pokazując ranę na skroni. - Myślał, że nie żyję i uciekł.

- Kiedy to się stało?

- Nie wiem, chyba... kilka minut temu - wystękał z trudem. Wylękniony spojrzał z niepokojem na drzwi. - Jeśli nas słyszał i wróci tu. Co... co z nami będzie, panie cyruliku? - pytał załamującym się głosem.

- Chodźmy stąd! Szybko! - powiedział Simonis.

- Dokąd? - Spojrzałem na niego zdziwiony.

- W jakieś spokojne miejsce. Musimy porozmawiać - oświadczył. Złapał pismaka za kołnierz i pociągnął do wyjścia, nie zważając na jego rany i chromą nogę.

Wiosna jakby o nas zapomniała. Dzień był zimny. Na ulicach, po których snuła się gęsta mgła, prawie nie było ludzi. Tylko jedna czarna karetka jechała powoli tuż za nami. Miejsce, które wybrał Simonis, było rzeczywiście bardzo spokojne i odosobnione. Grek zaprowadził nas na cmentarz przy Biirgerspital, szpitalu miejskim niedaleko ulicy Karynckiej, gdzie opatrzono Froscha. Bez przeszkód dostaliśmy się na teren szpitala, a następnie na cmentarz usytuowany między kościołem a bastionami. Padał drobny deszcz, pośród grobów nie było żywej duszy.

- Opaliński urządził zasadzkę, a ja w nią wpadłem - stwierdził Peniś, przykładając dłoń do rany na głowie. - Choć nie wiem, czy nadal powinienem go tak nazywać.

Urwał i spuścił wzrok. Małymi, brzydkimi oczkami wodził nerwowo wzrokiem po tablicach nagrobnych.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałem.

- Opaliński nie istnieje, nigdy nie istniał. Jego prawdziwe nazwisko brzmi... Gławari. Andreas Gławari, gwoli ścisłości - dodał po chwili milczenia. - Pochodzi z Pontevedro, a nie z Polski. Sam mi to wyznał, przekonany, że za chwilę umrę. Nie przypuszczał, że ocaleję. O wszystkim mi opowiedział, bo sądził, że się wykrwawię na śmierć i zabiorę jego tajemnicę do grobu.

Z Daniłem poszło gładko. Nierozważnie zdradził Gławariemu czas i miejsce spotkania. Wystarczyło więc przyjść nieco wcześniej. Ofiara nawet nie rozpoznała zabójcy. Sztylet wszedł w wątrobę jak gorące ostrze noża w masło.

- Konający Daniło zdążył wam powiedzieć o Eyyubie i czterdziestu tysiącach męczenników Kasima. Poznał tę jedną z tysiąca tureckich legend, gdy poszukiwał w bibliotece informacji o złotym jabłku. Sądził, że został zasztyletowany z powodu złotego

jabłka, więc próbował powiedzieć wam, czego się dowiedział. Tymczasem jego śmierć nie miała żadnego związku z jabłkiem.

Z Christem Christovem, szachistą, było nieco trudniej. Bułgar zaczął coś podejrzewać.

Zgadza się, pomyślałem, nieszczęsny Christo w tajemnicy wyznaczył spotkanie Simonisowi i mnie w parku Prater.

- Gławari kazał nas wszystkich śledzić, wiedział więc, że Christo nie przyjdzie na zebranie w domu Populescu. Jego zbiry poinformowały go, że Bułgar poszedł do Prateru. Gławari zrozumiał, że Christo nie ufa kolegom.

- I miał rację - wtrąciłem.

- Ponieważ Gławari musiał przyjść na spotkanie z nami, zlecił zabójstwo Bułgara dwóm Węgrom. Powiedział mi nawet, że nazywają się Bela i Tórek, choć nie wiadomo, czy to ich prawdziwe imiona. W każdym razie są jego szpiegami. Siepacze obawiali się, że mogą ich usłyszeć strażnicy parku lub bawiące się dzieci. Dlatego użyli sztyletu. Na szczęście, powiedział mi Gławari ze śmiechem, wszystko poszło jak po maśle. Mało brakowało, a jego ludzie narobiliby kłopotów, bo zaczęli do was strzelać. Nie spodziewali się, że tam będziecie. Gławari kazał im zabić każdego przypadkowego świadka, ale nie wiedział, że Christo miał spotkanie właśnie z wami. Gdy zobaczyli, z jaką uwagą oglądacie ciało Bułgara, postanowili was sprzątnąć. Na szczęście przeszkodziłem im w tym. I pomyśleć, że Gławari mi za to podziękował! Byliście mu potrzebni, tak powiedział. Kiedy mi o tym wszystkim opowiadał, śmiał się - wysapał Peniścek, szlochając. - Dokładnie opisał, jak zginął Christo. Siepacze wbili mu nóż w szyję, wcisnęli głowę w śnieg i trzymali dotąd, aż przestał się ruszać.

Następnie przyszła kolej na Dragomira Populescu. Jego zabójstwo sięgnęło szczytu wyrafinowania, opowiadał Gławari ze śmiechem. Wiedział, że Rumun był psem na kobiety, więc zapłacił pewnej Ormiance, żeby go podeszła. Bez trudu dał się nabrać. Zaprosiła go na kawę do lokalu Pod Niebieską Butelką, gdzie pracowała. Naiwny Dragomir niczego się nie domyślał.

Ładna brunetka, na imię miała Mariza. Na polecenie Gławariego wyznaczyła mu randkę na Łysej Górze.

- A więc to ta kelnerka, która przed kilkoma dniami podała kawę opatowi i mnie! Ale ze mnie głupiec! Zaprowadziłem opata Melaniego prosto w paszczę lwa! - wykrzyknąłem przejęty. W tej kawiarni Atto powierzył mi wiele sekretów. Na szczęście o rzeczach najwyższej wagi rozmawialiśmy podczas spacerów.

- Do Niebieskiej Butelki przychodzi bardzo wiele osób i tacy jak Gławari dobrze o tym wiedzą. Tam ściany mają uszy, a Ormianie szpiegują dla każdego, kto im dobrze zapłaci.

- Tego samego wieczoru, kiedy zamordowano Dragomira, w kawiarni był pewien staruszek, który wystraszył opata jakimś bzdurami o Mega-leh Tekuphot, przeklętej krwi...

- Wszystko było ukartowane. Populescu został zabity z wyjątkowym okrucieństwem. Umieszczenie jego odciętych genitaliów w *tandurze* miało wzbudzić w was podejrzenie, że Dragomir został zabity z zemsty za zalecanie się do Ormianki, i skierować na fałszywy, absurdalny trop. I to się Opalińskiemu vel Gławariemu w pełni udało.

Jęczący z bólu i bezsilnej złości pismak przerwał swoją opowieść.

- Konszachty Ormian - podjął po chwili - złote jabłko, Turcy, morderstwa popełniane na studentach... Wszystkie te sprawy próbowaliście wyjaśnić. Gławari podsuwał nowe wątki śledztwa i czekał, aż popełnicie fałszywy krok. Odkryłby wówczas, kto wydaje rozkazy.

- Rozkazy? Jakie rozkazy? - zdziwiłem się.

- Inaczej mówiąc, z czyjego polecenia mieszacie się w sprawy, które was nie dotyczą.

- Opaliński, to znaczy Gławari, myślał, że nie działamy sami? - zapytałem zdumiony.

- Otóż to! - odparł Czech.

Gławari sądził zatem, że nasze zainteresowanie nie zrodziło się spontanicznie, ale na polecenie kogoś bardzo ważnego. Pomylił się, gdyż cała sprawa wyszła ode mnie i Cloridii. Z pewnością skończyłoby się na podejrzeniach, gdyby Simonis nie zaproponował, że zleci poszukiwanie wiadomości na temat złotego jabłka swoim kolegom.

- Krótko mówiąc, morderstwa były... zaaranżowane po to, żebyście mieli zajęcie - podsumował Peniłek.

- Barbarzyńca! Zabijał kolegów, żeby zobaczyć naszą reakcję - powtórzyłem poruszony.

- Jak zabawa w kotka i myszkę - stwierdził Peniłek, ciężko dysząc. - Wreszcie Koloman, niespodziewany łut szczęścia...

- Chwileczkę! Opaliński nie mógł zamordować Kolomana, bo był z nami w Porta Coeli! - wtrącił Simonis. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie, zmieszanie i tłumiona złość.

- Racja, racja - zgodził się Peniłek, wyraźnie wystraszony ostrym tonem cyrulika. - Opaliński, czyli Gławari, zabił Kolomana, zanim przybył do klasztoru. Przyjechał razem ze mną, z zamiarem wrobienia mnie, Czecha. Nie bez powodu wyrzucił Kolomana przez okno na sposób praski. Jak już mówiłem, niespodziewanie dopisało mu szczęście, bo wysłaliście mnie po zakupy. Wówczas wyjawiał wam, gdzie się ukrywa Szu-pan. Opuszczając klasztor, straciłem alibi. Nie mógłbym dowieść swojej niewinności. Wszyscy jesteśmy studentami medycyny, ale Gławari jest zdolniejszy ode mnie. Przewidział, że będę musiał czekać na

przygotowanie niektórych preparatów i że wzbudzę podejrzenia aptekarza długą listą składników. Jaka szkoda, że się niczego nie domyśliłem! Wróciłbym w mgnieniu oka! A już na pewno nie traciłbym czasu na kłótnię w aptecce i rozmyślania o zdaniu agi przed posążkiem Czerkiesa!

- Czyli - szepnąłem - rozpacz Opalińskiego po śmierci Kolomana...

- ...była udawana - dokończył Penicek. - Ten diabeł wcielony z zimną krwią odegrał scenę rozpacz. Ale pewnego dnia spotka go kara! Serce znajduje spokój, o ile zechce tego Bóg.

- Teraz rozumiem, dlaczego Jan, czy Andreas, czy jak go tam zwał, nie był zdziwiony zabójstwami! - zawołałem w przyływie olśnienia. - I pomyśleć, że tłumaczyliśmy to jego odwagą!

- Gławari dobrze wiedział - dodał Penicek - że po czwartym morderstwie wasze podejrzenia padną na żyjących, czyli na nas dwóch: jego i mnie. Wszystko sobie zaplanował. Zrządzeniem losu ciało Kolomana znaleźliście po trzeciej po południu. Przypadkiem na wprost okna, z którego wypadł Koloman, stała urodziwa córka gospodarza. Pan cyrulik wysunął więc przypuszczenie, że Węgier zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku, gdy wychylił się przez parapet i wabił do siebie dziewczynę. Gławari stracił pewność siebie i zaczął mnie otwarcie oskarżać. A przecież tylko on wiedział, gdzie ukrywał się Koloman.

- Ale dlaczego, na Boga? Dlaczego? - zastanawiałem się.

- Już mówiłem, chciał wiedzieć, kto za wami stoi. Zabijał kolejno najlepszych przyjaciół pana cyrulika, licząc na to, że w ten czy inny sposób się zdradzicie. Obserwował, żeby sprawdzić, czy działacie na własną rękę, czy na czyjeś zlecenie. Christo przejrzał Gławariego i dlatego zginął. A także dlatego, że nie chciał mówić przy wszystkich - zaśmiał się historycznie Czech. - Och, Christo! Odszedłeś z naszego życia, ale na zawsze pozostaniesz w naszych sercach.

Wymieniliśmy z Simonisem zdumione, a zarazem podejrzliwe spojrzenia.

Penicek mówił dalej:

- Trop turecki był tylko stratą czasu. Za złotym jabłkiem nie kryje się absolutnie nic. Osmanie nazywają tak Wiedeń. Dochodzenie w sprawie zdania agi posłużyło Gławariemu do tego, by was zaniepokoić. Pragnął poznać nazwisko grubej ryby, która wydaje wam polecenia.

Na te słowa przeszedł mnie dreszcz. A więc miałem rację: rzeczywiście istniał związek pomiędzy mną a zabójstwami!

Złapałem się za głowę. Uświadomiłem sobie, że los bezlitośnie z nas zakpił. Serię

zabójstw zapoczątkował błąd w ocenie, popełniony przez Gławarię. Nie wierzył, że poszukiwania w sprawie złotego jabłka wynikały z niewinnego zainteresowania. Był przekonany, że wykonuję czyjś rozkaz. Na koniec Peniłek powiedział:

- Byłem też ja. Gławarię zostawił mnie na koniec, ponieważ żaden z was mnie nie lubi i nikt by po mnie nie płakał. Gardzicie mną. Nie należę do waszej kompanii. Tolerujecie mnie tylko dlatego, że jestem biednym pismakiem i waszym niewolnikiem. Byłem więc znacznie pożyteczniejszy jako winny niż jako ofiara. Moja śmierć nie zachęciłaby was do śledztwa ani do działania. A tego właśnie oczekiwał Gławarię, że przez nieuwagę odkryjecie swoją tajemnicę. Gdyby wskazał palcem na mnie, wszyscy bez wyjątku uwierzylibyście w moją winę.

Słowa te wywołały we mnie głęboko ukryte wyrzuty sumienia. Schowałem głowę w piasek i udawałem, że nie widzę, jak koledzy znęcają się nad pismakiem!

- Ponieważ nie zjawiliście się - ciągnął Peniłek - Gławarię zaczął się niecierpliwić. Pomyślał, że zwietryliście podstęp i uciekliście.

- Chwileczkę! Znowu nie rozumiem - przerwałem mu. - Opaliński, a raczej Gławarię, wszystko jedno, znał Simonisa od czasu studiów w Bolonii, podobnie jak pozostałych, a więc na długo przed moim przyjazdem do Wiednia. Czy to zbieg okoliczności, czy już wtedy zaczął śledzić Simonisa? A jeśli tak, to dlaczego?

Pismak przez chwilę milczał. Z trudem oddychał, wydawało się, że rana sprawia mu dotkliwy ból.

- Gławarię jest z pozoru zwyczajnym człowiekiem - powiedział - ale to nieprawda. Jako tajny agent, jeden z wielu, żyje w świecie kłamstw i podstępów. Przed laty powierzono mu pewną delikatną sprawę. Właśnie dlatego udał się do Bolonii i śledził Simonisa. Nie powiedział mi nic więcej. Pojechał za nim do Austrii.

Simonis milczał. Przez cały czas mierzył do Peniłka z pistoletu ukrytego pod połą płaszczem.

- Podobno Simonis przeniósł się do Wiednia z powodu klęski głodu, dwa lata temu! - zdziwiłem się. - Ja przyjechałem przed kilkoma miesiącami, więc jak to możliwe, że...

Peniłek rzucił na Simonisa zaniepokojone spojrzenie.

- ...że biedny student medycyny i pomocnik kominiarza Simonis może interesować tak wytrawnego szpiega jak Gławarię? To proste, bo Simonis także nie jest tym, za kogo się podaje. Wcale nie nazywa się Simonis Rimanopoulos, ale Szymon Rymanowicz. Jest Polakiem, jego matką była Greczynka.

- Co takiego?! - wykrzyknąłem.



- Niech pan nie myśli, że jest zwykłym szpiegiem - powiedział Peniłek. - Pan, panie cyruliku - zwrócił się do Simonisa - z pozoru roztrzepany młodzieniec, w rzeczywistości jest jednym z najlepiej wyszkolonych, najodważniejszych szpiegów Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Lojalny i szlachetny, czyż nie?

Simonis zbladł jak ściana. Milczał. Powoli opuścił pistolet. Patrzyłem na niego jak sparalizowany, jakby słowa Peniłka uniosły niewidzialną zasłonę prawdy, która uczyniła go bezbronnym.

- Proszę wybaczyć, panie cyruliku - zajęczał pismak. - Już nie mogę wytrzymać. Ktoś musi mi opatrzyć ranę. Jestem u kresu sił. Boże, przyjmij mnie do swojego królestwa!

Trzymając się za ramię, poszedł, kulejąc, w kierunku szpitala. Odprowadziłem go wzrokiem. Gdy zniknął za drzwiami, moją uwagę przykuł napis na tablicy nagrobnej:

Dotarłem do kresu sił Boże, przyjmij mnie do swojego królestwa

Andreas Gławari 1615-1687

Na płycie obok widniał następujący napis:

Odszedłeś z naszego życia, ale na zawsze pozostaniesz w naszych sercach

Bela lorek 1663-1707

Na kolejnej tablicy dostrzegłem słowa jeszcze zabawniejsze od poprzednich:

Serce znajduje spokój, jeśli chce tego Bóg

Żegnaj, babciu Marizo 1623-1701

Pobiegliśmy za Penińkiem, ale było już za późno. Zobaczyłem go w oddali, jak idzie szybkim krokiem (co się stało z chromą nogą?) i wsiada do czarnego powozu - tego samego, który jechał za nami. Zatrzasnął drzwiczki i wyrzucił coś przez okno karocy. Konie ruszyły z kopyta i wkrótce czarny pojazd zniknął nam z oczu. Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie na ziemi widoczne były jeszcze ślady kół. U naszych stóp leżały okulary, które Peniłek przed chwilą wyrzucił. Stało się jasne, że już nigdy nie zobaczymy nieśmiałego, zalęknionego pismaka.

Wróciliśmy do domu, w którym znaleźliśmy Penińka. W głębi mieszkania na trzecim piętrze znajdowały się drzwi do jeszcze jednego pomieszczenia, zapewne gabinetu. Woń żelaza, którą poczuliśmy za poprzedniej bytności, stała się silniejsza, ostrzejsza, jakby złowieszcza. Simonis podszedł do drzwi. Były zamknięte na klucz. Grek pchnął je ramieniem i oba skrzydła otworzyły się z trzaskiem. Odbiły się od ścian i zamknęły za naszymi plecami. Teraz było nas trzech.

Z dwoma czarnymi szpikulcami sterczącymi mu z twarzy, głową i tułowiem czerwonymi jak u krwiożerczej mrówki przypominał chrząszcza. Siedział na krześle. Na

podłogę kapala krew.

W gałkach ocznych tkwiły dwa kuchenne różna, wbite ze zręcznością cyrkowca ciskającego nożami. Brzuch rozpruty. W ustach knebel z trzech haftowanych serwetek. Ciało skrępowane sznurem, dwukrotnie okręconym wokół szyi. Nie wiadomo, czy zmarł z upływu krwi (naliczyłem kilkanaście ran klutych), czy udusił się wymiocinami. W tej chwili rozstrzygnięcie tej kwestii nie było najważniejsze. Obaj z Simonisem dostaliśmy torsji.

- Tym razem mamy kłopoty - powiedziałem, gdy przyszedłem do siebie. - Widziano nas wchodzących do kamienicy.

- To nie jest takie oczywiste - oznajmił oschle Simonis.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Motywem zabójstwa mogła być zemsta pana Zwitkowitza albo studenckie porachunki.

- To nie powód, żeby wbijać komuś szpikulce w oczy.

- Ale eksmisja - tak.

- Nie w Wiedniu - stwierdziłem.

- W mieście żyją ludzie z Pół-Azji, którzy uczyniliby to z bardziej błahego powodu.

- Nazwisko Zwitkowitz wskazuje chyba na pochodzenie tego człowieka z tamtych stron.

- Otóż to!

Opuściliśmy mieszkanie. Staruszki z parteru już nie było. Kiedy szliśmy ulicą, ugiwały się pode mną nogi. Zimny wiatr smagał nam twarze, przynosząc orzeźwienie. Wszystko wokół (ulica, kamienice, nawet niebo) wydawało się wyraźne i dalekie zarazem. W milczeniu dotarliśmy do klasztoru. Miałem nadzieję, że Simonis coś powie, wyjaśni albo przynajmniej spróbuje to zrobić. Tymczasem nie powiedział słowa. Bez względu na to, kim był Opaliński, jego straszliwa śmierć poruszyła nas do głębi. Miałem wrażenie, że znalazłem się w innym świecie. Wszystko przez tę przeklętą wojnę o sukcesję w Hiszpanii.

Czas człowieka dobiegł końca, zaczynała się długa agonია świata, ostatnie dni ludzkości.

- Służył wielkim potęgom, ludziom działającym z ukrycia, którzy mogli wszystko - nawet zamienić miejscami słońce i księżyc. Z tego właśnie powodu gazety nie publikowały nekrologów zmarłych studentów.

Atto Melani, wypoczęty i w czystym ubraniu, z ożywieniem komentował ucieczkę Penicka i późniejsze wydarzenia, o których opowiedziałem mu, wróciwszy śmiertelnie zmęczony do klasztoru. Pod jakimś pretekstem opat pozbył się Domenica. Byliśmy sami i

możliśmy rozmawiać zupełnie swobodnie.

- Nie bez powodu - ciągnął opat - Simonis prosił cię, abyś nie mówił studentom prowadzącym badania nad złotym jabłkiem, że derwisz domaga się czyjejś głowy. Nie chciał ich zbyt wcześnie odwozić od przedsięwzięcia, potrzebował ich. Peniłek nie kłamał: Simonis to szpieg. I wcale nie jest tak, jak myślałeś. Ostrzegałem cię. Pozostawał na usługach tajnego zleceniodawcy, ale sprytnie to ukrywał. Pomoc studentów była w tej mierze bezcenna.

- Boże święty! - wykrzyknąłem. - Czy już nikomu nie można ufać? Kim jest Simonis Rimanopoulos, a raczej Szymon Rymanowicz?

- A kim miałby być? - zdziwił się opat. - Może on sam tego nie wie. Zastanów się, kim był dla ciebie. Uczyń podobnie, kiedy myślisz o mnie. Ważne, kim jestem dla ciebie, reszta to spekulacje. Tylko Bóg zna całą prawdę.

Temat szpiegów był wodą na młyn opata. Byłby bardzo zadowolony, gdybym nie zastanawiał się nad jego prawdziwą tożsamością.

- Porozmawiam z nim. Jest mi winien wyjaśnienie - oznajmiłem, choć bez przekonania.

- Daj spokój! Sprawy są wystarczająco skomplikowane. Po co wiedzieć więcej? W sytuacjach takich jak ta, gdzie wszystko jest strasznie zagniatane, a nawet niebezpieczne, należy wyjaśnić tylko jedno: dla kogo pracuje osoba stojąca u twego boku? Dla Boga czy dla mamony? Reszta jest nieważna. Tylko utrudnia jasność widzenia. Simonisowi możesz zaufać.

Wysłuchawszy mojej opowieści, Atto zmienił zdanie o Greku. Melani swym czułym węchem wyczuł w Simonisie szpiega i zaczął traktować go nie jak przeciwnika, ale jak pokrewnego sobie druha. Podobnie jak my wszyscy, obaj dali się wywieść w pole Peniškowi. Wielkie potęgi, wspomniane przez Atta, w ten sam sposób zaatakowały królestwa, których poddanyimi byli Atto i Simonis: zarówno Józef I w Wiedniu, jak i delfin w Paryżu zachorowali na ospę.

Atto, krok po kroku, odtworzył wydarzenia.

W przeddzień przyjazdu agi do Wiednia tajemnicze siły, które wzięły udział w spisku przeciwko cesarzowi, ogłosiły alarm. Simonis, jako szpieg strony przeciwnej, został poddany kontroli. Do obserwowania Greka wyznaczono Peniška, który także studiował medycynę we Włoszech, tyle że w Padwie. Jako jedyny z całej grupy nie przybył do Wiednia z Bolonii, ale to nie miało znaczenia. Nieprzypadkowo Czech podczas otrzęsin wybrał Simonisa na swojego cyrulika.

Niekiedy trudno mu było poznać czy przewidzieć nasze ruchy, gdyż nie zawsze

podróżowaliśmy kolasą. Obserwował nas dzień po dniu, był na każde zawołanie, stawał się w każde miejsce i o każdej porze. Zamordował studentów, ale w wyrafinowany sposób czyny te przypisał Opalińskiemu; przypiął mu etykietkę groźnego szpiega, którym sam był, po czym też go zabił.

Nie zbiły go z tropu żadne nieprzewidziane okoliczności. W mieszkaniu, w którym w bestialski sposób zmasakrował nieszczęsnego Opalińskiego, zaskoczyliśmy go tylko dlatego, że nie wiedział, iż jego ofiara miała się tam z nami spotkać.

Opat prawidłowo zrekonstruował wydarzenia, tyle że Opalińskiego należało zastąpić Penicikiem. I to wszystko. To on, nie Opaliński, wyznaczył wszystkim spotkanie. Wybrał kamienicę zarekwirowaną przez władze, żebyśmy uwierzyli, iż to Jan zorganizował zasadzkę. Nie udało się, bo po pierwsze: spotkaliśmy Froscha i przybyliśmy z godzinnym opóźnieniem. Po drugie, weszliśmy od strony podwórza i płatni mordercy nas nie zauważyli, natomiast mój pomocnik zauważył czarną karocę stojącą przed kamienicą i to mu dało do myślenia. Czech, sądząc, że wszystko poszło po jego myśli i nikt nie dojdzie prawdy, zamordował Polaka w makabryczny sposób. Usłyszawszy, że wchodzimy po schodach, zamknął się w środku gabinetu w głębi mieszkania z ciałem zadźrężonego Janickiego, wyrzucił klucz, usiadł w fotelu i umazany krwią swojej ofiary, czekał na nas. Z zimną krwią wmówił nam, że Opaliński go pobił i uciekł. Pismak (w odniesieniu do oszusta i mordercy przydomek ten brzmi tragikomicznie) miał przy sobie pistolet, ale postanowił rozprawić się z nami w sposób bezkrwawy. Strasząc nas nadejściem przechodnia zaalarmowanego krzykami, skłonił do wyjścia w pośpiechu, zanim odkryjemy ciało Opalińskiego. W ten sposób uniknął pojedynku z Simoni-sem, który dla obydwu zakończyłby się śmiercią. Czarna karoca czekała na ulicy. Na dyskretny znak Penicka pojechała za nami.

Opowieść na cmentarzu była w istocie wyznaniem. Popełnione przez siebie zbrodnie Penicek przypisał Opalińskiemu. Fakty się zgadzały, zmyślone były niektóre osoby dramatu. Aby urozmaicić i uwiarygodnić narrację, zerkał na tablice nagrobne i stamtąd czerpał epitafia i nazwiska: Gławari, Mariza, Bela, Tórek.

Po scenie odegranej na cmentarzu wsiadł do czekającej w pobliżu karocy. Za miastem dołączył zapewne do innych osobników swojego pokroju, groźnych i bezwzględnych, marionetek kierowanych przez niewidzialną sieć, rozpostartą w całej Europie.

Czech (czy obywatel Pontevedro?) wyprowadził nas w pole. Teraz pasowały do siebie wszystkie elementy układanki. Kiedy Penicek wiozł nas kolasą na spotkanie z Christem, skorzystał z tego, że ulicą szła procesja, i powiózł nas okrężną drogą. Skręcał, zwalniał, zatrzymywał się nawet, byle tylko opóźnić przyjazd do parku Prater. Jak sam powiedział na

cmentarzu, obawiał się, że jego siepacze nas zabiją. Oto dlaczego zbior, który na mnie napadł, na widok Penićka, swojego szefa, wziął nogi za pas.

Nalegał, by ukryć ciało Dragomira Populescu, niemal nas do tego zmusił. Wiedział, że przy trzecim zabitym wcześniej czy później zaczęlibyśmy się zastanawiać, dlaczego władze nie podjęły śledztwa. Pod naszym nosem zlecił to zadanie swoim ludziom. Nie przyszło nam do głowy, że nie byli to zwykli woźnice.

Zabijając Kolomana, rzekomy prażanin dał popis swych diabelskich umiejętności. Sprytny wybieg z Balamberem był prawdziwym majstersztykiem, podobnie jak kryptograficzne umiejętności Attyli i zamiłowanie Szupana do tajnych szyfrów. Za pomocą niewinnych, a zarazem starannie przemyślanych pozorów, komentarzy stosownych do danej chwili i zmyślonych na poczekaniu historyjek skłonił nas do tego, żebyśmy myśleli i czynili, co chciał. A przecież, wymyślając te wszystkie bzdury, czasem się wahał, zamyślał, jakby w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu! Jak mogliśmy dać się nabrać? Trzeba przyznać, że Penićkowi nie brakowało inwencji ani bystrości umysłu. Najlepszym tego przykładem był nieistniejący zabójca augustianin czy kamienica z posążkiem Czerkiesa, która w rzeczywistości nie należała do księcia Eugeniusza (nie było nawet potrzeby tego sprawdzać).

Ja też miałem nowiny. Poprzedniego wieczoru chciałem powiedzieć o nich opatowi, ale leżał już w łóżku, wyczerpany trudami dnia. Clordia dowiedziała się, że Turcy, głównie derwisz, mieli zamiar podjąć się leczenia cesarza, współpracując z cesarskim medykiem Hóllerem. Moja małżonka widziała, jak lekarz udał się na spotkanie z Cizeberem. Tego samego dnia cesarz miał dostać lekarstwo, może już je wstrzyknięto.

- Co takiego?! I ty uwierzyłeś w te brednie?! - zawołał opat, mieniając się na twarzy.

- Panie Atto, to wielce prawdopodobne, że Osmanowie...

- Wcale nie! Jak mogło ci przyjść do głowy, że hinduski derwisz wyznania muzułmańskiego może zajmować się leczeniem cesarza prawdziwej wiary? Nawet głupiec nie uwierzyłby w tę nedorzecznosc! Dziwię się pani Clordii. Obydwoje nic nie zrozumieliście. Toż to pewna śmierć dla cesarza!

Nie było czasu do stracenia. Pół godziny później jechaliśmy wynajętą kolosą, podobną do pojazdu Penićka, w kierunku Bezimiennego Miejsca. Nie mogłem się spóźnić. Urzędnicy kamery apostolskiej oczekiwali mnie i Simonisa w celu spisania protokołu w sprawie ostatnich wydarzeń. Mogliśmy udać się do Neugebau naszą dwukółką, ale Atto uparł się nam towarzyszyć. Poprosiłem go, by ubrał się skromnie, nie nakładał peruki, nie malował fałszywych pieprzyków, nie smarował twarzy bielidłem i karminem. Zamierzałem go bowiem przedstawić jako starego, ociemniałego krewnego, którym chwilowo się zajmuję. Opat nie

protestował.

W kolasie byliśmy więc we trzech: opat Melani (wyglądał tak naturalnie, że trudno go było rozpoznać), Simonis i ja. Nie zabrałem synka. Został w klasztorze z matką. Mój pomocnik skierował spojrzenie (już nie głupawe) w stronę horyzontu. Wyczułem, że nie ma ochoty na rozmowę. Idąc za radą opata, nie zadawałem mu żadnych pytań. Atto był ponury i zamyślony. Wieść o tajnym zabiegu, któremu miał być poddany cesarz, wyraźnie popsuka mu humor, zupełnie jakby był w służbie Józefa I, a nie Arcychrześcijańskiego Króla Francji.

Wokół nas unosił się jeszcze przenikliwy, zatrważający zapach krwi. Nie mogłem się pogodzić z tym, co zobaczyłem na własne oczy. W głębi serca czułem, że to nie mogła być prawda. Dręczyły mnie obrazy i wydarzenia ostatnich godzin. Wszechobecność pismaka budziła we mnie niepokój i poczucie wyobcowania. Był pośród nas, ale nie jednym z nas. Miał wygląd człowieka, ale jakby z innej planety. Był woźnicą nowego porządku, ostatnich dni ludzkości. Wkradł się między nas pod pretekstem otrzęsin, wykorzystując uniwersyteckie obyczaje, i stał się cieniem Simonisa.

Jakże się pomyliłem co do Penicka! - pomyślałem kolejny raz tego dnia. Teraz miałem całkowitą pewność, że chcąc ocenić człowieka, trzeba spojrzeć mu w oczy. Jeśli są złe, przebiegłe, schowane za okularami, jak u pismaka, oznacza to, że nie można się po nim spodziewać niczego dobrego. Nie wolno dać się zwieść słowom ani zasugerować wyglądem, albowiem prowadzi to do złudnej oceny bliźniego. Oczy natomiast są zwierciadłem duszy i nigdy nie kłamią.

Simonis, pomyślałem, nie miał złych oczu. Nawet przez chwilę nie dostrzegłem w nich niespokojnego, przejmującego dreszczem błysku. W modrych oczach Greka, zarówno wtedy, kiedy udawał półgłówka, jak i wówczas, gdy opowiadał o Maksymilianie II, pływałem zawsze jak w czystym morzu. Cechy szpiega ukryte były w piaszczystych zakamarkach podwodnej otchłani. Dostrzegałem jedynie niebieski horyzont, pozbawiony szlamu, który powoduje, że wszystko staje się mętne. Przed sobą widziałem czystą, rozległą przestrzeń, ale zabronione mi było się w niej zanurzać.

Nagle poczułem niesmak. Fałszywy chromy student w okularach i fałszywy półgłówek, cóż za dobrana para! Przez cały czas uważałem, żeby nie dać się oszukać Melaniem, nie zważając na tych, których stali za moimi plecami. Jeden kłamał w dobrych intencjach, drugi w złych, ale czy mogłem mieć pewność, że gdyby zaszła potrzeba, Simonis nie zawahałby się złożyć mnie i mojego synka na ołtarzu ludzkiej aberracji zwanej „słuszną sprawą”?

- Nie ma sensu zadręczać się podejrzeniami i pytaniami - szepnął mi Atto do ucha,

jakby odgadując moje myśli. - Każdy odpowiada za swoje czyny. W dniu Sądu Ostatecznego wszyscy staniemy przed Bogiem. Nikt nie ukryje popełnionych zbrodni, zasłaniając się posłuszeństwem, ponieważ zostanie mu powiedziane: mogłeś nie usłuchać i stracić życie, a wtedy osiągnąłbyś królestwo niebieskie.

Opat mówił też w swoim imieniu. Nazbyt dobrze pamiętałem, że posłuszeństwo królowi doprowadziło go do popełnienia zbrodni.

- Pamiętaj jednak - dodał - że wszyscy pracujemy dla Boga, nawet ci, którzy go nie kochają. Bóg posługuje się nami na różne sposoby i w różnych okolicznościach. Także Penickiem, choć on myśli inaczej. Pamiętaj, chłopcze! Włos nam z głowy nie spadnie, jeśli tak zechce Nasz Pan. Jego zamysły są nieodgadnione, my, zwykli śmiertelnicy nie potrafimy ich pojąć.

Spojrzałem z niechęcią na opata Melaniego. Teraz, kiedy był u kresu życia, wygłaszał kazanie o posłuszeństwie Bogu. Czyżby zapomniał, że prowadząc swoje podejrzane interesy, wielokrotnie mnie wykorzystał i wystawił na śmiertelne niebezpieczeństwo?

Simonis, zaskoczony słowami Atta, spojrzał mu prosto w oczy. Nagle wszystko pojąłem.

Zrozumiałem, co dwaj szpiegowie powiedzieli sobie milcząco. Pierwszy i ostatni raz mówili ze sobą szczerze. W ich oczach dostrzegłem złudzenia, zniechęcenie, smutek, wolę walki, zimną krew, wewnętrzny ogień, wreszcie świadomość - wrodzoną u Greka, nabytą u kastrata - boskiego porządku rzeczy. Życie jednego z nich odbijało się w źrenicach drugiego. Trwało to zaledwie krótką chwilę, ale wystarczyło, bym wszystko pojął. Przed trzydziestu laty szpieg Króla Słońce i wierny poddany Świętego Cesarstwa Rzymskiego nie znaleźliby się z pewnością po tej samej stronie, ale walczyliby ze sobą. Teraz, kiedy obaj stali się świadkami pograżania się świata w ciemnościach bez Boga, byli sprzymierzeńcami. Właśnie dlatego opat powiedział te słowa w obecności Simonisa.

Nagle przed oczami stanął mi straszliwy, przyprawiający o mdłości obraz zamordowanego Opalińskiego.

- Dlaczego zabił go z takim okrucieństwem? - zastanawiałem się, kręcąc głową. - To niczemu nie służyło. Penicek przyszedł nas zabić, miał już dość naprowadzania nas na fałszywy trop i zmuszania do poszukiwań. *Tandur* z genitaliami Dragomira istotnie zmylił nas, ale po co wbijał szpikulce w oczy Jana i knebłował go serwetkami, skazując go tym samym na okrutną śmierć?

- To był jedyny sposób, który gwarantował wątlemu Penickowi pokonanie silnego, dobrze zbudowanego Opalińskiego - odparł Simonis. - Wynajęci mordercy nie nadchodzili,

bo czekali na nas. Zaatakował Jana sam. Walczyli i Penicek został zraniony. Zwyciężył, oślepiając przeciwnika. Ten potwór nieźle rzuca nożem. Gałki oczu są miękkie, przebił je z łatwością, ostrza wwierciły się w mózg, powodując niewyobrażalny ból. Nie mógł użyć pistoletu, żeby nie narobić hałasu. Mimo że ma wysoko postawionych protektorów, zbyt wiele osób mogło usłyszeć strzał i sytuacja wymknęłaby mu się spod kontroli. Z tego samego powodu zakneblował oślepionego Opalińskiego chusteczkami. Żeby nie krzyczał. Reszty dokonał sztyletem.

Szybkość i znanstwo, z jakimi mój pomocnik odtworzył przebieg zabójstwa, jeszcze bardziej mnie przygnębiły. Wprawdzie się postarzałem, stwierdziłem, ale byłem najbardziej niewinny z całej grupy. Co więcej, miałem przed sobą nie jednego, ale dwóch szpiegów!

- Przepraszam cię, chłopcze - powiedział Melani. - Co mówiłeś? Pe-nicek przyszedł was zabić...

- Tak, panie Atto, tak powiedziałem...

- Tak, tak, ale dopiero teraz przyszło mi do głowy... Boże! Że też wcześniej na to nie wpadłem!

Nie zdążyłem dowiedzieć się, co miał na myśli Melani, ponieważ w tej samej chwili dojechaliśmy do Bezimiennego Miejsca, gdzie czekał na nas niewielki oddział straży.

Wysiedliśmy z kolasy i strażnicy zaprowadzili nas do pałacu. Wokół panowała jakby nierealna atmosfera. Nie widać było ani jednego zwierzęcia, panowała głęboka cisza. Świadomość, że nie było też Froscha z nieodłączną butelczyną, ani starego Mustafy, napawała nas smutkiem.

- Wyłapaliście wszystkie lwy? - zapytałem, przerywając milczenie.

- Idziemy, idziemy! - powiedział jeden z strażników, który wydawał rozkazy, zapraszając opata Melaniego, by do nas dołączył.

- Prawdę powiedziawszy, nie mam nic wspólnego z wczorajszym zamieszaniami. To on zna szczegóły - zaprotestował Atto. - Nie mógłbym zostać na zewnątrz?

Strażnicy byli nieprzejednani. Zaprowadzili nas do pałacowej piwnicy. Jeden z eskortujących nas ludzi wyglądał znajomo. Zatrzymaliśmy się w podziemnym korytarzu od strony zachodniej, gdzie poprzedniego dnia słyszeliśmy kroki słonia ukrywanego w Neugebau.

Głos zabrał osobnik w stroju urzędnika państwowego, zapewne notariusz sądowy. Zaczął czytać jakiś dokument po niemiecku, z którego nic nie rozumiałem. Spojrzałem pytająco na Simonisa. Notariusz nie przerywał lektury.

- Ja też nic nie rozumiem - szepnął Grek, patrząc na mnie powątpiewająco.



Notariusz przerwał lekturę. Nagle sytuacja przyjęła niespodziewany obrót. Strażnik (o ile był nim rzeczywiście) o znajomym wyglądzie wyciągnął łańcuchy, a z tonu, którym domniemany notariusz krzyknął coś pod naszym adresem, wywnioskowałem, że przeznaczone były do skucia naszych nadgarstków. Byliśmy aresztowani. Ale operację przerwała kolejna niespodzianka.

W tej samej chwili doszło do czegoś absurdalnego. Niczym we śnie pijaka pojawił się Cizeber i przywitał się z nami uprzejmie po włosku.

- Derwisz! - szepnąłem z niedowierzaniem do Simonisa.

Cizeber nadal uśmiechał się uprzejmie. Przez chwilę w podziemiach pałacu panowała głucha cisza.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Zapewne zrozumieliście treść dokumentu, który przeczytał notariusz. Jest to dekret kamery cesarskiej. Jesteście aresztowani za spiskowanie przeciw cesarstwu oraz zamach na nietykalność ambasadora Wysokiej Porty Otomańskiej, tureckiego agi Cefulaha Capichiego Baszy.

- Spiskowanie? To pomyłka - zaproponował Atto. - Przyjechałem z Włoch i...

- Niech pan zamilknie, opacie Melani - przerwał mu derwisz. - Dobrze wiemy, w jaki sposób dostał się pan do Wiednia. I proszę nie udawać, że jest pan niewidomy!

Atto został zdemaskowany. Derwisz i rzekomi strażnicy wiedzieli, że Atto Melani nie był intendentem cesarskiej poczty Milanim. Nagle wszystko zrozumiałem.

Sprawy potoczyły się zbyt szybko, żebyśmy mogli się uratować. Atto doznał olśnienia kilka minut temu, kiedy dojechaliśmy do Neugebau, ale było już za późno.

Podczas opowieści na cmentarzu Peniłek zapomniał o jednym: zapytać nas o nazwisko naszego przywódcy, o którego istnieniu był przekonany. Chciał nas zabić, co oznaczało, że dowiedział się tego, czego chciał, czyli kto był tą grubą rybą wydającą rozkazy mnie i Simonisowi. Sądził, że wszystkiego się domyślił. Kogo innego mógł podejrzewać, jeśli nie Atta Melaniego? Poznał opata, gdy woził go swoją kolasą. Przeprowadzenie małego śledztwa w celu odkrycia tożsamości opata było dla niego dziecinną igraszką. W grupie, do której należeli Cloridia, Simonis, Atto i ja, była dwójka szpiegów. Gdyby wiedział, że początek całemu zamieszaniu dały podejrzenia moje i Cloridii i że to nie Melani zasugerował mi badania w sprawie zdania agi (jako że był zbyt zajęty fałszywym listem i dobijaniem się do panny Palffy), nigdy by w to nie uwierzył!

Peniłek popełnił błąd typowy dla marnych szpiegów, którzy są przekonani, że ich sposób myślenia odnosi się do całej ludzkości. Nie uznają spontanicznych inicjatyw ani

czynów zrodzonych ze zwykłego poczucia sprawiedliwości czy żądzy poznania. Innymi słowy, nie tolerują w bliźnim szczerych uczuć, które wyrzucili z własnego serca. Umbryjska zakonnica, zajmująca się w przeszłości moim wychowaniem, często powtarzała, że ludzie sądzą innych po sobie, a więc jeśli żyją nieuczciwie, są pewni, że wszyscy postępują podobnie. Ślepy przypadek kpi sobie z nich częściej, niż myślą.

Tym razem jednak błąd Peniicka miał dla nas fatalne skutki. Zaplanował sobie, że zabije nas i Opalińskiego, a później porwie Atta i podda go torturom, żeby wyciągnąć z niego informacje. Plan nie powiódł się, ale fałszywy kulas tak łatwo nie rezygnował. Podczas ostatniej podróży do Bezimiennego Miejsca usłyszał, że ja, Simonis i opat wybieramy się do Neugebau w celu spisania protokołu. Wiedział więc, kiedy i gdzie będzie mógł nas wszystkich sprzątnąć. Nie mógł zabić nas od razu, bo do Bezimiennego Miejsca przybyli także urzędnicy kamery cesarskiej. Rzecz musiała odbyć się zgodnie z regulaminem. Oskarżenie postawione przez tych zbirów było oczywiście fałszywe, niezręczne i zuchwałe, niczym wymysły szalbierza. Pod pozorem aresztowania kryła się starannie przygotowana zasadzka, pomyślałem, a jednocześnie uświadomiłem sobie, dlaczego jeden ze strażników wyglądał znajomo. Rozpoznałem jego ciemne, głęboko osadzone oczy. Należały do osobnika z twarzą zasłoniętą chusteczką, który zabiłby mnie w parku Prater, gdyby nie uratowała mnie szachownica Christa i przybycie Peniicka (ironia losu).

- Nie zrobiliśmy nic złego, nie możecie nas aresztować - powiedział spokojnie mój pomocnik po dokładnym przyjrzeniu się całej kompanii: dwóm urzędnikom, bladym i spiętym, derwiszowi i pięciu strażnikom, którzy bez wątpienia byli jego siepaczami.

W tej samej chwili cesarscy urzędnicy oddalili się, nie postawiwszy żadnych pytań na temat ucieczki zwierząt. W grę wchodziło coś innego.

- Milcz, psie! - odparł Cizeber z pogardą, jakby Simonis w szczególny sposób zasługiwał na nienawiść. - Żaden z moich ludzi nie rozumie twojego języka, a ja nie mam zamiaru wysłuchiwać tego zrobaczy-wiałego narzecza.

- Jak to możliwe - wtrącił szybko Atto, wystraszony, a zarazem zaciekawiony - że hinduski derwisz tak dobrze zna mój język?

Cizeber, który stał tyłem do Atta, odwrócił się do niego, rzucając mu złośliwe, rozbawione spojrzenie, jakby dopiero teraz usłyszał coś sensownego.

- Należę do tego gatunku ludzi, którzy znają wszystkie języki, są w różnym wieku i pochodzą ze wszystkich krajów na świecie - odparł, po czym dał znak swoim zbirom, żeby zakuli nas w łańcuchy i odebrali nam broń.

Próżność derwisza, który stracił cenne minuty na utarczki słowne, dała nam

wyśmienitą okazję do ucieczki. Jeszcze chwila i byłoby za późno i jedyne, co by nam zostało, to poddać się rozpaczy.

Kiedy Simonis ruszył do akcji, nasi przeciwnicy nie byli w stanie pojąć, co się dzieje. Grek kopnął w szczękę Ormianina stojącego najbliżej, jednocześnie rzucił mi pistolet, który sekundę wcześniej wyjął z torby. Jeden z wrogów strzelił do mnie, ale niecelnie. Poczulem ostry ból w lewym udzie, ale pomyślałem, że to nic wielkiego.

Chwilę później doszło do całej sekwencji wydarzeń: opat Melani zemdłał, strażnik zaatakowany przez Simonisa miał twarz już nie owalną, lecz kwadratową i zasłonił ją rękami, wypadając z gry, ja strzeliłem w twarz strażnikowi po lewej i nie wiedziałem, czy trafiłem, wreszcie mój pomocnik, wyprostowany jak struna, wykonał szybki obrót wokół własnej osi i rzucił nożem w kolejnego Ormianina. Ormianin nie zdążył wyciągnąć miecza, a chcąc uniknąć trafienia w brzuch, jak planował Simonis, dostał w szyję i należało się spodziewać, że wkrótce umrze.

Kilka sekund później nastąpiły kolejne ciekawe zdarzenia. Dwaj ludzie zasłonili derwisza, który cofnął się o krok, przerażony walką. Nie spodziewał się, że zaczniemy się bronić. Jeden z nich strzelił w pierś Simonisowi i nie chybił. Opat Melani gdzieś zniknął. Ja zaś podjąłem walkę z jednym z rannych przeciwników bez broni, podobnie jak ja. Był to ten sam człowiek, który strzelał do mnie w parku Prater. Rzuciłem się do ucieczki. Nikt mnie nie gonił.

Biegając, odwróciłem się i zobaczyłem Simonisa. Mimo że trafiony w klatkę piersiową, zdołał unieść w górę łańcuchy przeznaczone dla nas i kręcąc nimi młynka w powietrzu, uderzyć jednego czy dwóch przeciwników. Dokładnie nie widziałem, gdyż znajdowałem się już w pewnej odległości: Dwaj strażnicy (fałszywi) prawdopodobnie zostali wyeliminowani. Pozostało trzech i derwisz. Gdy mijałem wyjście z piwnicy i biegłem w kierunku domu zarządcy, wydało mi się, że słyszę kroki. Dostrzegłem idącego z trudem Atta. Zapewne udał omdlenie i w stosownej chwili czmychnął. Nie uszedł daleko, ale był bardzo zmęczony.

Doszły nas krzyki i huk wystrzału. Ktoś zdołał załadować pistolet, pomyślałem. Zabili Simonisa albo to on kogoś zabił, darując nam cenny czas. Gdy dotarliśmy na główny dziedziniec, zauważyliśmy, że brama (na ogół otwarta) była zamknięta i zaryglowana. Powrót i szukanie drogi ucieczki po drugiej stronie pałacu oznaczało wpadnięcie w ręce derwisza.

Niezbyt dobrze pamiętam, co wydarzyło się później. Zmęczenie, pogodzenie się z rychłą śmiercią i ostry ból w udzie zmały mi nieco świadomość i zmysły. Prawdopodobnie popchnąłem i wciągnąłem opata Melaniego po kręconych schodach (nie mogło być inaczej,

zważywszy na to, że brakowało mu sił), prowadzących do wybiegów dla zwierząt, a później w kierunku latającego statku, w oczekiwaniu, że ktoś, prędzej czy później, strzeli nam w plecy.

Przypominam sobie długie oczekiwanie. Atto tkwił na pokładzie statku (pomogłem mu wdrapać się tam), ja zaś przycupnąłem między klatkami na ptaki, połamanymi przez słonia i pozostawionymi w głębi stadionu do gry w piłkę.

Nadszedł wieczór. Nie wiem, ile czasu spędziliśmy w naszych kryjówkach. Od czasu do czasu dały się słyszeć wystrzały z pistoletu, z czego należało wnioskować, że Simonis i strażnicy polowali na siebie nawzajem w ogrodach Neugebau. Obie strony miały do dyspozycji co najmniej jeden sprawny pistolet, proch do ponownego załadowania i dostateczną chęć (lub potrzebę) zabijania. Prowadzili wojnę pozycyjną. Chodziło o to, by zabić przeciwnika bez narażania własnego życia. Simonis nie mógł uciec, z kolei nasi wrogowie wydawali się pozbawieni posiłków. Początkowa walka z bliska przerodziła się w strzelanie do celu w ciemnościach, w którym zwyciężał ten, kto lepiej potrafił się ukryć, naładować broń i atakować zniecałkowanego. Zastanawiałem się, jak Simonis znosił to wszystko z raną w piersi, zadaną w dodatku z bliskiej odległości.

Po każdym wystrzale rozlegały się leniwe ryki lwów i w gniewnej skardze unosiły się ku czarnej kopule nieba nad równiną Simmering. Zwierzęta, pomyślałem, wróciły do Bezmiennego Miejsca. Nie bałem się wystrzałów, dzięki nim wiedziałem, że Simonis żyje. Dwukrotnie usłyszałem rozwścieczone krzyki naszych prześladowców. Należało się domyślać, że mój pomocnik któregoś z nich trafił.

Od czasu do czasu Atto i ja wołaliśmy do siebie, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Byliśmy uwięzieni w ciemnościach Bezmiennego Miejsca, bez broni, niezdolni do walki wręcz (ja ze względu na niski wzrost, Atto z powodu podeszłego wieku). Było tak ciemno, że na wyciągnięcie ręki nic nie było widać. W tych warunkach próba ucieczki po uprzednim wspięciu się na mury Neugebau wydawała się z góry skazana na niepowodzenie. Zaryzykowałem i wyszedłem na dziedziniec, żeby sprawdzić, czy nie dałoby się otworzyć bramy. Obok mnie padły dwa strzały, co przekonało mnie do powrotu do kryjówki. Kiedy wróciłem na stadion do gry w piłkę i przechodziłem obok latającego statku, usłyszałem, że opat Melani szepcze *Ave Maria*, błagając o ocalenie.

Po chwili sytuacja uległa zmianie. Na odgłos dwóch strzałów tuż za mną gwałtownie podskoczyłem. Scena walki przesunęła się w kierunku wąskiego korytarza, którym poprzedniego dnia słoń i inne zwierzęta wtargnęły na stadion do gry w piłkę. Stamtąd przechodziło się do wybiegów dla drapieżników.

Przez kilka sekund panowała cisza. Wiedziałem, że Atto będzie tkwił nieruchomo na pokładzie statku. Wyszedłem więc sam na zewnątrz stadionu. Księżyc mi sprzyjał. Podczołgałem się bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje. Czułem lęk, uzasadniony, jak się okazało.

Simonis, błądzący jak tragiczny Pulcinella, zadyszany od biegu i zgięty wpół z bólu (znowu trafiony?), stał, chwiejąc się, na murku dzielącym dwa wybiegi. Przypominał cyrkowego akrobatę, który zorientował się, że wybrał zbyt trudne ćwiczenie i nie wiedział, jak wytłumaczyć się przed publicznością. U jego stóp ujrzałem dwie ogromne sylwetki drapieżników, rozwścieczonych jego śmiałym wtargnięciem. Słabe światło księżyca mogło zwodzić mój wzrok, ale słuch miałem dobry. Odniosłem wrażenie, że wśród groźnych ryków zwierząt na wybiegu słyszę wściekły głos czarnej pantery, której Simonis przyłożył miotłą podczas drugiego startu latającego statku.

Domyśliłem się, że mój odważny pomocnik, umykając przed strzałami prześladowców, pobiegł za stadion, a stamtąd wśliznął się do arkadowego korytarza usytuowanego wzdłuż wybiegów, który służył do obserwacji zwierząt. Tu miał rozegrać się decydujący akt. Siepacze Cizebera odcięli Simonisowi drogę, stając na przeciwnych krańcach korytarza. Grek wspinał się więc na murek dzielący zagrodę z lwami od wybiegu dla innych kotów. Miał nadzieję, że dotrze na drugą stronę. Zapomniał jednak o żelaznej kracie zamykającej przejście.

Ciemności rozświetlało słabe światło księżyca. Uświadomiłem sobie, że obie strony nie miały już czym strzelać. Siły były nierówne, Simonis został sam. Liczył zapewne na to, że jak linoskoczek zręcznie przejdzie po murku i dotrze za fosę. Tymczasem znalazł się w pułapce, na końcu murku czekał bowiem długi rząd żelaznych prętów, zabezpieczających przed wpadnięciem do wybiegów.

Podejście do zagród było nieostrożnością. Gdybym zaczął teraz wracać w kierunku stadionu, siepacze derwisza mogliby mnie usłyszeć. Zauważyłem, że Cizeber podszedł do końca murku, na którym chwiało się niebezpiecznie Simonis, i wychylił się do przodu, jakby chciał mu coś powiedzieć. W nocnych ciemnościach ledwo dostrzegałem czarną sylwetkę Simonisa. Przez chwilę sądziłem, że on mnie nie widzi, ale byłem w błędzie.

- Stój! - krzyknął derwisz.

- Jestem do tego zmuszony - odparł mój pomocnik ironicznie.

- Nie masz wyjścia.

- Wiem, Cizeberze.

- Znasz mnie jako Hindusa Cizebera - powiedział derwisz po chwili milczenia. - Dla

innych Palatyn Caldeorum lub Ammon, ale to nieważne. Jestem jeden, nikt i sto tysięcy. Niczego nie potrzebuję, nie szukam nikogo, pomagam biedakom i więźniom. Wyglądam na czterdzieści pięć lat, ale mam dziewięćdziesiąt. Podróżuję od pięćdziesięciu ośmiu. Potrafię odmłodzić, zmienić rysy twarzy, odzyskać zęby, które mi wypadły. Mój dom jest wszędzie. Przemierzyłem drogi Turcji i Persji, gościłem u Wielkiego Mogoła, w Syjamie, Peru, Kandaharze i w Chinach. Na pustyni Tatarów cierpiałem głód, zimno w Księstwie Moskiewskim, na morzu u wybrzeży Indii siedem razy byłem piratem. Cudem ocalałem z tonącego statku, osiem razy siedziałem w więzieniu, raz nawet więziony przez rzymską inkwizycję. Za każdym razem pomagali mi wyjść na wolność wpływowi protektorzy. Ale więzienie także jest mi obojętne. Z czystego kaprysu pomogłem w ucieczce wszystkim więźniom, a sam zostałem w celi.

Simonis milczał.

- Kiedy opuściłem rodzinne strony - mówił dalej derwisz - miałem trzydzieści lat. Wówczas nazywałem się Izaak Ammon. Byłem pierworodnym synem Abrahama Ammona, patriarchy chrześcijan nestoriańskich w Chaldei. Od pokoleń nasz ród z dumą przekazuje sobie godność patriarchy, ale dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Podziwiałem tylko jednego człowieka: brata mojej matki. Podobny do mnie, do nas, był czymś więcej niż zwykłym człowiekiem. Wybitny uczony i astrolog, wiódł pustelniczy żywot w górach. Traktował ludzi jak zwierzęta. Mnie wychował z pomocą bata, odkrywając przede mną właściwości ziół i związek gwiazd z kamieniami oraz ich wpływ na ludzi i zwierzęta.

Simonis nadal się nie odzywał. Cizeber nie wydawał się rozczarowany jego milczeniem.

- Pewnie chcesz powiedzieć: ucisz się, derwiszu! Po co mi to wszystko mówisz? Dlaczego mnie nie zabijesz? Ale ja nie mówię po to, żeby się chwalić. Ten, kto przegrywa, musi wiedzieć. I cierpieć. My, zwycięzcy, żywimy się waszym cierpieniem. Daje nam ono energię, jest racją bytu.

Cizeber (lub Palatyn, jak sam wyznał) rozwlekał opowieść, jakby nie powiedział jeszcze najważniejszego.

- Brat mojej matki odsłonił przede mną tajniki prawdziwej wiedzy. Jest ona niczym dla tego, kto ją posiada, wszystkim dla tego, kto jej nie zna. Dzięki niej zdrowy człowiek może żyć tysiąc lat, jak za czasów Abrahama i Noego. Wystarczy, by trzymał się z dala od kobiet i nałogów. Mój mistrz, mój wuj miał siedemset lat.

Słuchałem opowieści egzaltowanego człowieka. Simonis był chyba podobnego zdania.

- Nauczył cię z pewnością wielu rzeczy - powiedział mój pomocnik sarkastycznym tonem. - Domyślam się, że to on doradził ci, jakiej trucizny dodać do posiłku cesarza.

Derwiz nie wychwycił ironii.

- Co ty wiesz o truciznach? - odparł zupełnie niezmiyszany. - Istnieją siedemdziesiąt dwa rodzaje trucizn, a te najbardziej wyrafinowane działają przez rzeczy: buty, perukę, kwiat, zasłonę, drzwi, dłuto, list i tysiące innych przedmiotów. Na każdą truciznę jest w przyrodzie remedium. Niektóre trucizny działają w określonych godzinach, dniach, tygodniach czy miesiącach, ale wszystkie są niezawodne. Jesteś zdania, że w przypadku Józefa chodzi o truciznę, a nie o chorobę. Trzeba ci zatem wiedzieć, że choroba jest trucizną, a trucizna chorobą. Nie albo albo, ale jedno i to samo. Chorobę można sztucznie wywołać, wstrzykując zakażony preparat. Śmierć będzie wyglądała na naturalną.

Wstrzymałem oddech. Uzyskałem odpowiedź. Ospa, która dotknęła Jego Cesarską Wysokość, była wywołana za pomocą trucizny!

- Dlaczego? - spytał lakonicznie Simonis.

- Oto jest pytanie - odparł z emfazą derwiz. - Odpowiedź znają tylko tacy jak my. Dochodzenie, jak i kto to zrobił - to rozrywka dla plebsu. Być może pewnego dnia ktoś zacznie podejrzewać, że Józef Zwycięski został zamordowany, i będzie się zastanawiać, kto na tym zyskał. Kto miał możliwość, żeby wszystko zataić? Czy to była ospa, czy trucizna?... Roztrząsanie tego nic nie da. Należy zapytać: dlaczego?

- Prawdę powiedziawszy, nietrudno zgadnąć - oznajmił Simonis. - Po pierwsze, wojna. Józef ma zamiar podzielić się Hiszpanią z Francuzami i oddać Katalonię z Barceloną bratu Karolowi.

Zadrzałem na całym ciele. Simonis potwierdził przypuszczenia Atta. Los Półwyspu Iberyjskiego wydawał się przesądzony.

- W ten sposób kwestia hiszpańska zostanie zamknięta - ciągnął Simonis. - Wy natomiast chcielibyście, żeby wojna trwała nadal. Chcecie rzucić Europę na kolana, a następnie zawrzeć pokój na waszych warunkach. Róbcie, co się wam żywnie podoba. Ciezeber milczał, jakby na znak zgody.

- Po drugie, handel - mówił dalej Simonis. - Wojna odbija się niekorzystnie na gospodarce, ale nakręca koniunkturę: produkuje się i sprzedaje broń, buduje statki, projektuje twierdze. Zarabiacie na wojnie. I to dużo. W czasach pokoju źródło wysycha.

Ciezeber-Palatyn odpowiedział stłumionym śmiechem.

- Po trzecie, chcecie pozbyć się władców z prawdziwego zdarzenia i zastąpić ich bezwolnymi kukłami. To wasza strategia. Od wieków trudzicie się, by zniszczyć świat.

Manipulując niewiernymi, zdobyliście Jerozolimę. Później ruszyliście na północ, w 1453 roku zajęliście Konstantynopol, a następnie Budapeszt. W ciągu minionych stuleci dopuściliście się strasznych rzeczy: roztrwoniliście ogromne kwoty pieniędzy, wysłaliście na rzeź całe wojska, unicestwiliście całe narody. Tylko Wiedeń wam się oparł. Przegraliście w 1529 roku i w 1683. To było ostatnie święte miasto przed Rzymem, główny cel. Musieliście więc zmienić plany. Zamiast podbijać chrześcijańskie królestwa, zgładzacie monarchów, podporządkowujecie sobie ich dzieci, przyszłych władców, za pośrednictwem nadwornych nauczycieli, prześladowców dusz, zatrudnionych tylko po to, by wypaczyć charakter młodych książąt i zniszczyć ich zalety. Tę technikę stosujecie od wieków. W cesarstwie doświadczył jej już Rudolf, syn Maksymiliana II, i na tym nie koniec.

Przypomniałem sobie, że mój pomocnik opowiadał mi o Rudolfie Szalonym, synu budowniczego Neugebau, którego całkowicie podporządkowali sobie jego wychowawcy. Simonis i Cizeber nawiązywali do konfliktu, którego bohaterami byli Ilsung, Ungnad i Hag, spiskujący przeciw Maksymilianowi.

Simonis popatrzył w niebo, a później rzucił szybkie spojrzenie w moim kierunku. Na koniec spojrzął w dół, na lwy, które niecierpliwiły się i oblizywały na widok bliskiej, a zarazem nieosiągalnej zdobyczy.

- W porządku. Dużo wiesz i cierpisz, bo nie możesz temu zaradzić - rzekł derwisz. - Posłuchaj zatem: oświadczam ci, że król Francji Ludwik XIV zostanie otruty. Symptomy będą wskazywać na gangrenę, ale choroba zostanie wywołana sztucznie. Lekarze, najciemniejsi z ludzi, niczego się nie domyśla. Przed Królem Słońce zachorują: delfin, książę i księżna Burgundii, ich syn oraz książę de Berry. Wszyscy oni umrą, a przyczyna w każdym z tych przypadków będzie ta sama: zakażenie przez inokulację chorobotwórczym preparatem. Przed laty stojący nad grobem król Hiszpanii Karol II, o którego dziedzictwo bije się teraz cała Europa, został otruty w identyczny sposób. Teraz już wiesz: cesarz Józef Zwycięski umrze. Dzisiejszego wieczoru zostanie mu zaaplikowana trucizna.

Ponownie ogarnął mnie dreszcz przerażenia. Cizeber mówił o zabiegu, o którym Clordia dowiedziała się tego ranka w pałacu Eugeniusza. Zamiast wyleczyć cesarza, miał go zabić. Opat Melani miał rację.

- Cesarz umrze, jak by to powiedzieć, na ospę - ciągnął derwisz. - Będzie to śmierć, na jaką zasłużył sobie człowiek, który sądził, że jest na tyle potężny, iż może się bez nas obejść, jedyny samotny człowiek na ziemi.

- Słusznie, *solī soli soli* - zacytował Simonis.

- Otóż to! Tak aga powiedział Sabaudczykowi, jak wygląda sytuacja: albo z nami,



albo przeciw nam. Cesarz sądził, że może zrobić, co chce, a więc zakończyć wojnę po swoim i podzielić się Hiszpanią z Francuzami, jakbyśmy nie istnieli. Tymczasem wojna zakończy się na naszych warunkach, jak i kiedy zechcemy. Józef jest przekonany, że rządzi cesarstwem, ale tak naprawdę jest samotny, nie rozporządza własną osobą. Turcy przybyli *solli soli soli*, do „jedynego samotnego człowieka na ziemi”. Eugeniusz, który zna się na dwuznacznościach, doskonale zrozumiał przesłanie. Postanowił opuścić swojego władcę i sprzymierzyć się z nami. Oto kim jest wasz odważny generał i wielki bohater - zdrajcą, jak wszyscy!

Słuchałem derwisza ze zdumieniem. Dzięki Attowi odgadliśmy prawdziwy sens *solli soli soli*. Teraz dowiadaliśmy się, w jakim celu aga powiedział te słowa Eugeniuszowi Sabaudzkiemu.

- Mówisz „my”, czyli kto? Kim jesteście? Osmanami? Anglikami? Holendrami? Jezuitami?

- Doprawdy jesteś taki naiwny? Nie wierzę! Oczekujesz mojego potwierdzenia, ale przecież wiesz. Jesteśmy wszędzie, my to wszyscy.

Rozejrzałem się wokół. Dwaj siepacze przysłuchiwali się w milczeniu słowom swojego pana, nie rozumiejąc języka, którym mówił.

- Prawdziwą władzę mamy my - mówił dalej Palatyn. - Cesarz jest takim samym osamotnionym wyrzutkiem jak zwykły żebrak. Turecki aga powiedział Eugeniuszowi prawdę, której nikt nie dostrzega, choć jest oczywista. Nasza moc polega na tym, że jesteśmy wszędzie, wszechobecni, ale niewidoczni, jadamy przy waszych stołach, śpimy w waszych łóżkach, szperamy w waszych torbach, a wy nas nie widzicie. Sprawiamy wrażenie nielicznych, odizolowanych, tymczasem są nas całe legiony. Myślicie, że jest was dużo, ale tak naprawdę wszyscy jesteście jedną osobą, samotnym człowiekiem.

- Uważacie się za wszechmocnych i dlatego poleciliście adze, aby publicznie wygłosił to zdanie.

- Niczego nie ukrywamy. To wy niczego nie dostrzegacie.

- Nie, Ciezeberze, dostrzegamy, ale wobec waszego okrucieństwa nie wierzymy w to, co widzimy. Na tym polega wasza prawdziwa siła.

- Milcz! - rozkazał derwisz. - Dynastia Habsburgów niedługo wygaśnie. Po śmierci Józefa Włochy prędzej czy później będą miały swojego króla, podobnie jak Niemcy.

Simonis jęknął żałośnie.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć - odparł derwisz - ponieważ Włochy od stuleci podzielone są na niezliczone księstwa, a Niemcy na elektoraty o wielowiekowych

tradycjach. Wkrótce w obu państwach dojdzie do zjednoczenia, bo my tego chcemy. Historia jest w naszych rękach.

- Wybijecie obecnych królów do trzeciego pokolenia. Na tronach posadzicie nowych władców, wybranych spośród dzieci wychowywanych przez posłusznych wam nauczycieli, którzy uczynią z nich żalosne marionetki - podsumował Simonis, powtarzając to, co powiedział nieco wcześniej.

- Lud słusznie ich zniechceni i zetnie koronowane głowy w przekonaniu, że dokonuje rewolucji, podczas gdy tak naprawdę będzie to realizacja naszego planu - rzekł derwisz.

- Nowy porządek zastąpi stary. Uchylimy poprzednio obowiązujące prawo i wprowadzimy inne zasady życia społecznego. Gorsze wyprze lepsze. Stworzymy historię od nowa. Nikt nie będzie pragnął powrotu do przeszłości. Wyśmiejemy starożytnych i przekonamy ludzkość, że żyje w najlepszym z możliwych światów. Sztucznie wywołane pandemie osłabią całe nacje. Prawdę powiedziawszy, już to czynimy. Wiesz, jak skończy Józef? Lek, który mu dostarczymy, będzie gorszy od samej choroby. Trzymamy medyków w szachu, propaganda jest niemal w całości w naszych rękach. Oderwiemy dzieci od piersi matek, z pokolenia na pokolenie będą się rodziły coraz słabsze. Wywołamy straszliwe wojny, by zniszczyć świadectwa przeszłości, wymazać je z pamięci. Zmienimy świat w więzienie. Szarzy, smutni ludzie pogodzą się z losem.

- Pogodzić się? Czasami bywa to trudne - wtrącił Simonis, wskazując na dzikie zwierzęta pod swoimi nogami.

Derwisz nie wychwycił ironii w głosie Simonisa i mówił dalej, przedstawiając swoją ponurą, nieuchronną wizję przyszłości.

- Cierpienie stanie się nieodłączną częścią życia. Ludzie szczęśliwi będą źle widziani. Gorąco pragnę, by w przyszłych wiekach niepodzielnie zapanowała zawiść. Zniewolone umysły będą się od czasu do czasu buntować. Wszystkich jednak nie pozabijamy. Tym, którzy coś zrozumieją z nowego ładu, dostarczymy fałszywych, posłusznych nam proroków. Będą ich stale obserwować i liczyć. Liczba buntowników jest określona. Resztę trzeba zlikwidować. Ciesz się! Prawdę mówiąc, potrzebujemy takich ludzi jak ty. Wasze bezsilne cierpienie jest dla nas pokarmem i nadaje sens naszym poczynaniom. Czyż powodem do dumy może być zwycięstwo nad stadem ślepych i głuchych istot żyjących w zgodzie z prawami natury? Dowodem prawdziwej mocy jest odwrócenie biegu rzek, triumf przeciętności i niesprawiedliwości, pochwała brzydoty. Oddzielimy człowieka od natury. Pozamykamy was w ogromnych ulach bez okien. Po jakimś czasie nie będziecie wiedzieć,

skąd się bierze jajko, jak wygląda snopek siana czy zwykły dmuchawiec. Ostateczne zwycięstwo nastąpi wtedy, gdy oddzielimy narody od Boga i zajmiemy Jego miejsce. Oto co szykuje wam przeznaczenie, a tym przeznaczeniem jesteśmy my!

- Być może, tyle że bez pieniędzy, broni i kłamstw jesteście niczym - oświadczył Simonis dziwnie spokojnym tonem, jakby niekończąca się przemowa derwisza nie wniosła niczego nowego, a jego spostrzeżenia były poczynione raczej z poczucia obowiązku niż dla pożytku, podobnie jak w przypadku żołnierza, który wystrzeliwuje ostatni pocisk w kierunku przeważających sił wroga, niczego przez to nie osiągając.

- Pieniądze są potrzebne, zgoda - przyznał Cizeber-Palatyn. - Ale my jesteśmy bardzo bogaci, bogactwo nas nuży. Właściwie to już nie istnieje. Wymieniamy złoto na banknoty, zapłatę na obietnice. Bogactwo jest ideą, a najsilniejszą bronią jest kontrola nad ideami. Kłamstwo jest częścią gry, sprawia, że staje się bardziej zabawna. Dlatego, że jesteśmy...

- ...bandą szaleńców - dokończył Simonis, ujmując w dwóch słowach sedno całego wywodu. Przybrał ojcowski ton, na jaki zasługują rozfiglowane dzieci, głupcy i chorzy psychicznie. - Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie poświęca życia na wyrządzenie krzywdy bliźniemu i nie przekazuje tej „misji” potomnym. Świat znosi wasze podłości, bo dysponuje jedyną prawdziwą bronią, jaką jest szaleństwo.

Zaskoczony Cizeber nie odezwał się. Milcząco dał znak dwóm zbójcom. Jeden poszedł w stronę wyjścia z tunelu, gdzie stały klatki dla zwierząt, drugi, po długich staraniach, załadował pistolet i wycelował w nogi mojego pomocnika. Było jasne, co chcą zrobić. Pierwszy opróżni klatkę z lwami, drugi zrani Greka, tak aby wpadł do klatki, oczywiście tej pustej, i był zdany na łaskę oprawców. Wyniosą go stamtąd i poddadzą torturom.

- Uwolnimy cię - oznajmił derwisz. - Opowiesz, co tu się wydarzyło, ale nikt ci nie uwierzy. Szybko zrodzi się pytanie: dlaczego oszczędzili Simonisa? Ludzie przestaną ci ufać. Zostaniesz sam, pozbawiony honoru i ojczyzny. Ale będziesz żył.

- Trochę się zapędziłeś. Nie wszystko poszło po waszej myśli. Świat zmierza ku najgorszemu, to prawda, ale dlaczego tak niemrawo! Zgodnie z waszymi prognozami już dawno powinien ulec zniszczeniu. Nie dziwię się, że ogarnęła was rozpacz. Od stuleci, ba - od tysiącleci, trudzicie się na próżno. Owoc waszych wysiłków jest mizerny. Oczekiwaliście, że usuniecie Chrystusa z ludzkich serc. Nie udało się. Kamień odrzucony przez budowniczych stał się kamieniem węgielnym, jak mówi psalm. Gra toczy się nadal. Nie przyszło wam do głowy, że to sam Bóg pozwala wam działać? Co więcej, wybrał was do swoich

nieodgadnionych celów? Bóg wystawia duszę ludzką na próbę, Ciezeberze. Jesteśmy niczego nieświadomym narzędziem Bożego zamysłu, częścią Jego planu. Dotyczy to wszystkich bez wyjątku, także dusz potępionych, jak twoja.

Derwisz wzdrygnął się, jakby przeszedł go dreszcz. Może z zimna, a może od słów Simonisa.

- Wracając do rzeczy - ciągnął mój pomocnik. - Jesteś pewien, że wszystko przebiegnie, jak powiedziałeś? Nie boisz się, że w ostatniej chwili ktoś może pokrzyżować ci plany?

Mówiąc te słowa, Simonis odszukał mnie wzrokiem w ciemnościach, wiedząc, że go obserwuję. Na jego twarzy dostrzegłem słaby uśmiech, jakby na pożegnanie. Zrozumiałem, że za chwilę ruszy do akcji, i tego samego oczekuje ode mnie.

- Któż mógłby to uczynić? - zapytał Ciezeber z lekceważeniem w głosie. - Może twoi przyjaciele? Ten karzeł, twój pryncypał, albo ta mumia, opat Melani?

Sytuacja była niezwykle napięta, wszystko wskazywało na to, że za chwilę coś się wydarzy. I właśnie w tym momencie dał się słyszeć donośny, ogłuszający odgłos.

Piątek

*17 kwietnia 1711 roku Dzień dziewiąty*

*Północ: za trzy godziny rozlegnie się pierwszy okrzyk straży nocnej*

Ciszę na równinie Simmering rozdarł przejmujący krzyk, głośny, rozpaczliwy lament. Dochodził zewsząd. Od jego siły drżała każda bryła ziemi, każdy kłos i kamień, wszystkie gwiazdne punkciki na ciemnym sklepieniu nieba. Musiałem zasłonić uszy, żeby nie pękły mi bębenki. Wydawało się, że rozwarła się gardziel wszechświata, jakby ziemia, niebo i wody zaintonowały ogłuszający psalm. Ta wstrząsająca litania śpiewana była po turecku. Podczas gdy Ciezeber triumfował nad Simonisem, bezimienny chór wzywał imienia Allaha, jakby nowy, wielki Mahomet wykrzykiwał swoją radość przed unicestwieniem Wiednia i broniących go żołnierzy.

W tej samej chwili przypomniałem sobie, co opowiadali mi studenci prowadzący badania nad złotym jabłkiem, i wszystko zrozumiałem. Zgodnie ze słowami Dragomira Populescu chodziło o chór, który co piątek śpiewał: „Biada wam! Allah, Allah!”, na pamiątkę nocy, kiedy zginęło czterdzieści tysięcy męczenników Kasima. Teraz krwawe żniwo powtarzało się i męczennicy domagali się zemsty. Odniosłem wrażenie, że zamyka się nade mną niebo. Czulem, że tej nocy zdecydują się losy świata.

Po kilku minutach horyzont jakby zapłonął i wybuchnął. Śpiew stał się tak przejmujący, że na nic się zdało zasłanianie uszu. Chwiejąc się z bólu przesywającego mi

głowę, podniosłem się i bez tchu patrzyłem, jak mój pomocnik skacze do zagrody dla lwów.

Simonis wybrał śmierć. Skromny pomocnik kominiarza, student o głupawym wyglądzie, postanowił zakończyć życie jak bohater. Lepiej dać się rozszarpać lwom niż wskutek tortur wyznać własne tajemnice. Przerażony, wpatrywałem się w ciemność. Oczami wyobraźni dostrzegłem czarną panterę, upokorzoną uderzeniem miotłą. Teraz zapewne zatopila zęby w szyi i piersi mojego pomocnika, dając początek orgiastycznej uczcie, podczas której nieszczęśnik będzie rozszarpywany na kawałki i obdzierany ze skóry. Dzikie zwierzęta będą piły jego krew, wysysały żyły, miażdżyły stawy, rozrywały mięśnie, jakby natura pragnęła zaspokoić swój kaprys i wziąć odwet. Jakby krew czterdziestu tysięcy męczenników miała być pomszczona przez śmierć Simonisa, a na jego ciele miały wyładować złość dwie armie: jedna z przeszłości, dowodzona przez Kasima, druga z teraźniejszości, pod wodzą czarnej pantery z Bezimiennego Miejsca.

Derwisz, który również zasłonił uszy rękami, chroniąc je przed ogłuszającym krzykiem, machał zabawnie rękami i na próżno zdierał sobie gardło, wzywając swoich ludzi, żeby pośpieszyli mu na ratunek i pomogli wydostać się z Neugebau.

Należało działać. Taniec Ciezebera i jego siepaczy przedłużał się. Wróciłem do latającego statku. Byłem tak poruszony śmiercią Simonisa, że prawie zapomniałem o opacie Melanim. Z dłońmi przyłożonymi do uszu poruszałem się bardzo niezgrabnie. Gdy tylko wspiąłem się na pokład, żaglowiec zaczął skrzypieć, drżeć i kołysać się. Właśnie na to liczyłem. Była to jedyna droga ucieczki. Atto również zasłaniał sobie uszy, ale opuścił ręce, rozpoznawszy znajome zjawisko. Statek uniósł się w górę.

Przeleciał tuż nad murami stadionu do gry w piłkę i Bezimiennego Miejsca. Lot nie przebiegał tak gładko jak poprzednio. Silne podmuchy wiatru miotały nim w górę, powietrzne wiry ściągały w dół. Bursztyny nie dźwięczały harmonijnie. Kołysane chaotycznie wiatrem, wydawały metaliczny szcęk - taki zapewne odgłos wydawała broń na polu walki w dawnych czasach. Żółte kamyki już nie lśniły, były matowe i sine, jak twarz człowieka, który doznał przerażającej wizji. Może tak właśnie było, pomyślałem, może wokół statku zgromadziło się zbyt wiele potworności... Śmierć Simonisa, niegodziwość Palatyna i obraz nowych czasów... Śmierć ciążyła niczym balast. Powietrzny żaglowiec zakołysał się niezgrabnie, jakby zmęczony, i poleciał w stronę ciemnej równiny Sim-mering. Siedzieliśmy na pokładzie, obezwładnieni okrzykami czterdziestu tysięcy męczenników. Po chwili okrzyki żołnierzy Kasima ustały.

Kiedy Atto został sam, domyślił się, co się dzieje. Na jego wychudłej twarzy wyczytałem nieopisane zdumienie wywołane tym przytłaczającym zjawiskiem. Opowieść

Daniła Daniłowicza i Dragomira Popule-scu nie była czczym wymysłem. Tej nocy spełniła się turecka legenda o czterdziestu tysiącach męczenników. Może legenda o złotym jabłku też była prawdziwa. Opat Melani powstrzymał się od komentarzy, urażony w swojej dumie człowieka, który był przeświadczony, że ma klucz do labiryntu życia.

Próbując się skupić i zebrać myśli, opowiedziałem opatowi o tym, co przytrafiło się Simonisowi. Miałem nadzieję, że silne przeżycia nie zaszkodzą mu. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że to moja dusza doznała najcięższych ran.

- To nie przypadek, że przyjechałem do Wiednia dzień po przybyciu Turków i pierwszych objawach choroby cesarza - wyznał opat niespodziewanie.

- Co pan powiedział? - zapytałem, blednąc. Na twarzy Atta pojawił się gorzki uśmiech.

- Nic o tym wszystkim nie wiedziałem, wierz mi. Stoimy na rozdrożu historii i w takich chwilach zdarzają się przedziwne rzeczy.

- To prawda, żyjemy w przełomowym momencie.

- Sądziłem, że to ja dokonam przełomu, tymczasem zostałem zmieciony jak mucha.

- Nowe siły...

- Nowe? Raczej stare, zmieniała się tylko strategia. Na przykład Fug-gerowie, którzy z pomocą tego zbira Ilsunga sfinansowali wstąpienie na tron Karola V, a później Maksymiliana. Ale to bez znaczenia. Liczy się nowa metoda. Kodeks postępowania tych ludzi nie ma nic wspólnego z kodeksem królów, ministrów, z dyplomacją czy dawnymi normami. Jest zupełnie inny, znają go wyłącznie oni. Żaden generał nie oznajmi cesarzowi, że nie będzie celował z armat w miejsce, gdzie stoi jego namiot, jak uczynił Melac podczas oblężenia Landau. Te czasy skończyły się na zawsze. Szach-mat został zniesiony. Od dziś zabija się także wrogię króla, jak derwisz udowodnił Simonisowi.

Na dźwięk imienia mojego pomocnika wyobraziłem sobie jego oczy w ostatnich chwilach życia. Czułem, że drzę na całym ciele.

- Zginął rozszarpany przez dzikie zwierzęta, niczym chrześcijański męczennik - szepnął Atto, jakby mówił sam do siebie.

- Słucham?

- Simonis. O nim myślisz, prawda? Ja też. Idąc na śmierć, dowiódł, że sprzeciwia się nowemu porządkowi. Twój pomocnik był, jakby to powiedział Peniček, po stronie Chrystusa. I zmarł jak w dawnych czasach ginęli chrześcijanie: rozszarpany przez lwy. Wiadomo jednak, także tobie, że należał do siatki, o której nic nie wiedziałeś i nigdy się nie dowiesz. Si-monis, podobnie jak nowi władcy bez twarzy, stanowi nowość nadchodzących czasów. Czy wiemy,

kim był naprawdę? Nie. A Penicek? Też nie. A Ciezeber-Palatyn-Ammon? Podobnie. I właśnie tacy jak oni grają w kości o władzę nad światem. Przyszłość jest w rękach anonimowych osób bez imienia, tożsamości, twarzy. Całe szczęście, że dobiegam kresu życia, chłopcze. Nie ma tu już miejsca dla ludzi takich jak ja. Byłem doradcą Króla Słońce. Jego Wysokość mnie słuchał, podejmował decyzje, wystawiał się na ocenę poddanych i historii. To był ludzki świat. Niebawem zacznę dryfować jak ten statek bez ludzkich istot na pokładzie. Dopiero teraz to pojąłem, wiesz? Człowiek cień, którego tak długo szukałem, nie istnieje. Walczyliśmy z wiatrakami. Jest tylko zbiorowa inteligencja tam w górze. Z tej perspektywy przypominamy ludzkie mrowisko.

- Skończył się nasz czas, zaczęła się agonia świata, dni ludzkości są policzone - powiedziałem, powtarzając to, co pomyślałem, gdy znaleźliśmy ciało Opalińskiego.

- Te wcielone diabły zdołały podpalić świat - ciągnął opat głosem, w którym pobrzmiwał bezsilny gniew. - A ja naiwny przyjechałem do Wiednia z pokojową misją! Nikomu pokój nie jest na rękę! Wojna jest zyskownym, krwawym interesem. Nie skończy się odrodzeniem, jak się obiecuje, o nie, ale wielką klęską, jakiej świat jeszcze nie widział.

Słowa Atta przeraziły mnie. Potrzebowałem nadziei, rozpaczliwie. W przeciwnym razie nie dam rady. To było za wiele jak na moje siły.

- Ale kiedy zostanie zawarty pokój... - powiedziałem.

- ...zacznę wojna - dokończył opat Melani z szyderczym śmiechem.

- Wszystkie wojny kończą się pokojem! - wykrzyknąłem, z całych sił pragnąc zachować optymizm.

- Z wyjątkiem tej! - odkrzyknął równie głośno Atto. - Ta wojna nie toczyła się na powierzchni życia. Nie! Rozszała się w środku życia. Świat zginie i nawet nie zauważymy kiedy. Wszystko było wczoraj, o wszystkim zapomnimy. Nie dostrzeżemy dziś i będziemy się obawiać jutra. Zapomnimy o przegranej w wojnie, o jej wybuchu i o stoczonych walkach. Oto dlaczego ta wojna się nie skończy!

- Kiedyś przecież zapanuje pokój...

- Nigdy nie będzie dość wojny.

- Ale ludzie, popełniając błędy...

- Zapominają. A właściwie strzelają! - zawołał stary kastrat i rozplakał się, skulony w kącie pokładu, bijąc się w pierś jak dusza czyścowa.

Do wybuchu tej niekończącej się wojny przyczynił się przed jedenastu laty sam Atto. Sądził, że decyduje o losach świata, tymczasem był tylko pionkiem w rękach ludzi pokroju Ciezebera. Dopiero teraz to zrozumiał i wpadł w rozpacz.

Pusty nieboskłon rozjaśniało słabe światło księżyca wyzierającego zza chmury. Panował przejmujący chłód. Drżąc z zimna, przycupnąłem obok Atta. Powinienem być zabrać opata i opuścić statek stojący teraz na ziemi, ale byłem załamany, zagubiony w czarnej nocy, pozbawiony sił.

Przypomniały mi się czasy, gdy w Rzymie na pokładzie małej łódki przemierzaliśmy z Ugoniem podziemne rzeki Wiecznego Miasta, uzbrojeni jedynie w wiosło i intuicję. Również z opatem Melanim łączyło mnie wiele wspomnień z tamtego okresu. Poznałem go przed dwudziestu ośmiu laty, w niewielkiej gospodzie, gdzie wówczas pracowałem, a on był gościem. Spotkałem się tam z przypadkiem choroby, będącej zapewne skutkiem otrucia, oraz z próbą zamachu za pomocą zakażenia groźną chorobą. Kolejny raz odniosłem wrażenie, że zamyka się pewien cykl, a powtarzanie się podobnych zdarzeń wskazuje na to, że niebawem odkryję ich prawdziwe znaczenie.

Opat Melani pogrążył się we śnie pozbawionym marzeń, o czym świadczył spokój malujący się na jego twarzy. Objąłem go ramieniem i grzałem własnym ciałem.

Siedząc na twardych deskach pokładu, wpatrywałem się w gwiazdy. Przypomniały mi się ostatnie słowa Simonisa, nawiązujące do odważnego czynu, którego później dokonał. Pomyślałem o czymś, co wydawało się niemożliwe. Czułem, że powinienem chociaż spróbować, że jestem to winien nieszczęsnemu, tajemniczemu Simonisowi. Nie mogłem zapomnieć tej chwili, kiedy się do mnie uśmiechnął, po czym skoczył między drapieżniki, na spotkanie śmierci. Gdybyśmy rozpowiadali głośno o spisku, którego celem było zamordowanie cesarza Józefa I, z pewnością zostalibyśmy uznani za szaleńców. Był inny sposób ostrzeżenia cesarza. Ach, gdyby statek zechciał ponownie wznieść się w górę! - rozmarzyłem się. Korzystając z doświadczeń nabytych podczas poprzedniego lotu, poruszałbym linami z kawałkami bursztynu i sterował podniebnym żaglowcem. Poleciałbym do cesarskiego pałacu i doprowadził mój desperacki plan do końca. Przez wielki komin na dachu cesarskiej rezydencji, wyposażony w żelazne szczeble, dostałbym się do apartamentów Józefa Zwycięskiego. Na kanapie w saloniku położyłbym na widocznym miejscu kartkę z informacją o spisku uknutym przeciw Jego Cesarskiej Wysokości. Napisałbym, żeby nie poddawano go zabiegom zaleconym przez Cie-zebera, albo opowiedziałbym o wszystkim zaufanemu majordomowi Józefa, albo... Słowem, sam dobrze nie wiedziałem co, ale powinienem był coś uczynić.

W tej samej chwili latający statek z największym trudem (tak mi się przynajmniej zdawało) wystartował. Szybko wstałem i z nową energią zacząłem pociągać za liny, żeby skierować żaglowiec w stronę pałacu cesarskiego. Liny jednak dziwnie zaskrzypiały, a statek



niesformnie podskoczył. Kolejny silny wstrząs zmusił mnie do puszczenia cugli (jeśli można tak powiedzieć) skrzydlatego rumaka. Jak podczas pierwszego lotu, sam wiedział, dokąd chce lecieć. Pozycja i stabilność statku natychmiast się poprawiły, co mnie bardzo ucieszyło, ale mina mi zrzedła, gdy zauważyłem, że zmierza on w stronę katedry Świętego Szczepana. W fioletowej nocnej mgle przesuwały się pod nami dachy i place Wiednia. Coraz bardziej zbliżaliśmy się do wieży katedry. Modliłem się, żeby żaden za strażników czuwających nad bezpieczeństwem tej świątyni nie dostrzegł sylwetki żaglowca i nie wszczął alarmu.

- Nie tu, do diabła! - zawołałem ze złością. - Wiesz, dokąd masz lecieć!

Kiedy latający statek zbliżał się do iglicy, ponownie przyszła mi na myśl śmierć Simonisa, ryki lwów i pantery, krzyki czterdziestu tysięcy męczenników. Kły zwierząt zatopiły się nie tylko w bezbronnych członkach Simonisa, ale także w mojej duszy. Ostatnich dni ludzkości, których zapowiedzią była śmierć Opalińskiego, nie doczekał również Simonis. Poczułem ich oddech na szyi. Ogarnął mnie lęk. I wtedy zobaczyłem.

Początkowo sądziłem, że to przywidzenie wywołane smutnymi przemyśleniami. Przedmiot wydawał się nie należeć do ziemskiego świata, ale widział go także opat Melani. Przebudził się i stał teraz u mojego boku, oniemiały ze zdumienia.

W powietrzu wisiała poślaczana kula wielkości jabłka. Trudno oddać słowami jej wygląd. Do dziś zachowałem w pamięci ten obraz, nieco mglisty i zniekształcony. Niektóre sny trudno zapamiętać nie z powodu słabej pamięci, ale dlatego, że taka jest właściwość marzeń sennych. Gdy próbuje się przenieść je do świadomości, znikają jak meduzy wyrzucone na brzeg. Nie potrafię również odtworzyć, co czułem w tamtej chwili, oprócz rozpacz i lęku. Mogę jedynie powiedzieć, że materia złotej kuli, wiszącej w niedalekiej odległości od dziobu latającego statku, przypominała coś pośredniego między parą a metalem, jakby magiczne dmuchnięcie alchemika przekształciło kulę z gazem w złoto, a potem ponownie w substancję gazową.

Zachwycony tajemniczą, nieprawdopodobną wizją, przypominałem sobie, że wśród wielu przepowiedni dotyczących złotego jabłka była również ta, o której wspominał Ugonio. Cesarstwo zwycięży w wojnie o sukcesję hiszpańską, toczącej się w całej Europie, gdy złote jabłko Justyniana zostanie umieszczone na najwyższej iglicy katedry Świętego Szczepana w Wiedniu - tam, gdzie pewnego dnia ukazał się archanioł Michał. Zgodnie z tradycją dzierzył on w jednej dłoni jabłko cesarskie, a w drugiej miecz, którym przepędził Lucyfera.

Latający statek podskoczył. Podniósł się wiatr i żaglowiec uderzył burtą w iglicę katedry. Choć nie mogłem oderwać wzroku od złotej kuli, kątem oka dostrzegłem ornamenty i woluty zdobiące najwyższy wierzchołek słynnej budowli.

- Co się dzieje?... Najpierw te krzyki... teraz jabłko - szeptał drżącym głosem opat Melani, przytrzymując się mojego ramienia. On także zrozumiał, czym jest złota kula.

Nie słuchałem go. Myślałem o tym, że zgodnie z opowieścią Ugonia, na pinaklu wieńczącym wieżę katedry znajduje się siedem tajemniczych słów, wypisanych mieczem archanioła Michała.

Dokładnie nie pamiętam, co się później stało. Jak przez mgłę przypominam sobie, że wychyliłem się, by pomimo ciemności poszukać na pinaklu napisu archanioła. Pod wpływem silnego podmuchu wiatru statek zakołysał się, tak że straciłem równowagę. W ostatniej chwili złapałem się burty i udało mi się nie wypaść z gondoli. Przez długie sekundy wisiałem głową w dół, mając przed oczami nierealny widok na kamienną dzwonnice górującą nad dachem katedry. Podciągnąłem się z powrotem na pokład statku i wtedy złote jabłko rozbłysło i rozplynęło się, pozostawiając smugę świetlistego pyłu.

Wizja skończyła się. Złote jabłko nie powróciło do katedry Świętego Szczepana. Hiszpania miała się dostać w ręce Francuzów. Noc, w którą wypełniał się los świata, dobiegła kresu. Wynik wojny był przesądzony - o czym chciał nam powiedzieć latający statek - a wraz z nim przyszłe wydarzenia.

Wśród grzmotów i błyskawic na horyzoncie zapowiadających poranną ulewę poddaliśmy się wirowaniu statku wokół własnej osi. Deszcz, płacz wszechświata, obwieszczał nową epokę, ostatnie dni ludzkości.

Latający statek, jakby chciał nam pomóc, również i tym razem wylądował wśród winnic na równinie Simmering, o kilka kroków od klasztornej piwnicy. Ledwo opuściliśmy pokład, pierzasty żaglowiec wzbił się w powietrze i odleciał, ale nie w kierunku Bezmiennego Miejsca, lecz na zachód. Widziałem, jak się oddala, niematerialny i cichy, aż zmieszał się na horyzoncie z popielatymi chmurami świtu. Zmierzał w stronę królestwa Portugalii, skąd przyleciał przed dwoma laty.

Ostatkiem sił podprowadziłem opata do piwnicy. Nie wiem, w jaki sposób moje biedne, krótkie członki homunkulusa zdołały unieść ciężar starca. Gdy wyczerpany oparłem się o drzwi, otworzyły się na oścież.

- Najdroższy! - usłyszałem.

Ujrzałem Cloridię, której towarzyszyła Camilla de' Rossi. *Chormai-sterin* zaopiekowała się Attem. Clordia objęła mnie z uśmiechem. Na jej twarzy dostrzegłem łzy. Co tu robiła moja małżonka? Dlaczego była tu także Camilla de' Rossi? Szukały nas? Skąd wiedziały, że będziemy w tym miejscu? Miałem mętlik w głowie. Po tym, co uczynili Peniłek i Palatyn, nie miałem siły, by stawić czoło sekretom *Chormaisterin*. Zmarszczyłem brwi.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Clordia i wzięła mnie za rękę. - Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Widziałem poruszające się usta, ale słów nie słyszałem. Wycieńczony, zemdlałem w ramionach mojej małżonki.

- Ależ to są... portrety naszych córek! - powiedziałem z trudem.

Leżałem na posłaniu obok kominka. Kręciło mi się w głowie. W całym ciele czułem kłujący ból. Clordia wyjęła coś z małej szkatułki i położyła mi na dłoni. Ujrzałem łańcuszek, do którego przymocowany był filigranowy złoty wisiołek w formie serduszka. Otworzyłem je. W środku znajdowały się miniaturowe podobizny dwóch ślicznych dziewczynek, moich córek w wieku dziecięcym. Gdzieś już widziałem te portrety. Czyżby w jednym z moich snów?

- Nie, mój ukochany. To nie są nasze córeczki. Z całą pewnością - powiedziała Clordia z uśmiechem.

Wszystko mi opowiedziała. Z trudem nadążałem za tokiem jej myśli, w głowie miałem zamęt. Gdy skończyła, poszukałem wzrokiem opata Melaniego. Siedział przed kominkiem, owinięty od stóp do głów wełnianym kocem, i rozmawiał z Camillą. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Miała to być chwila szczęścia, tak sobie przynajmniej wyobrażał. Tymczasem nie mogła nią być, nie teraz.

Koń zaprzężony do dwukółki mknął przez ciemności nocy jak strzała. Przy każdym podskoku kół Atto cicho jęczał. Musieliśmy się śpieszyć, jak najszybciej powstrzymać rękę, która miała zabić cesarza. Ale jak? W jaki sposób dostać się do Hofburga?

Nie mogłem zebrać myśli. Ze wszystkich przeżyć ostatnich godzin pozostała mi tylko jedna rzecz: dźwięk. Był to okrzyk czterdziestu tysięcy męczenników Kasima. Wprawdzie nie słyszałem go, ale żył we mnie jak ślad wyciśnięty stopą. Chwilami bardzo silnie dźwięczał. Z trudem odróżniałem własny głos. Nie byłem głuchy, ale ogłuszony.

Zanim wysiedliśmy z dwukółki przed klasztorem Porta Coeli, usłyszeliśmy łoskot jadącej karety i przed nami zatrzymał się dwukonny pojazd z herbem cesarskim. Wysiedli z niego dwaj paziowie z pochodniami.

- Otwierać! Prędko! - zawołali, łomocząc pięściami w bramę klasztoru.

- Mnie szukacie? - zapytała Camilla, podchodząc do nich. - Jestem *Chormaisterin*.

- To pani? A więc proszę to szybko przeczytać - powiedział jeden z paziów i podał Camilli zalakowany cesarską pieczęcią list.

Otworzyła go bez zwłoki.

- To od Jego Wysokości - poinformowała zaniepokojonym głosem. - Wzywa mnie.

Natychmiast.

Zostawiliśmy Cloridię i Atta pod klasztorną bramą.

Ciemna bryła cesarskiej rezydencji odcinała się na tle nieba. Camilla zapukała do tylnego wejścia. Pomimo późnej pory od razu nam otworzono. Domyśliłem się, że często tędy wchodziła, służący bowiem wpuścił ją bez słowa, nie pytając, kim jest. Wprowadził nas do małego pokoiku. Po kilku minutach zjawił się zaspany lokaj. Gdy zobaczył Camillę, uściskał ją i ucałował po bratersku.

- Jak się czuje?-zapytała.

Lokaj nie odpowiedział, ale jego spojrzenie było wymowne.

- Przedstawiam ci Vinzenza Rossiego, kuzyna mojego zmarłego męża - powiedziała Camilla, zwracając się do mnie. - Przyniesie nam wszystko, co trzeba.

Vinzenz wrócił po chwili z ubraniem dla pafia. Rozmiar był odpowiedni. Przebrałem się i ruszyliśmy korytarzami za lokajem.

Oprócz ciemności rozjaśnianych słabym blaskiem świecy przypominam sobie jedynie labirynt korytarzy i schodów, kolejnych korytarzy, obszerny przedpokój, i jeszcze jeden oraz cichą bieganinę lokajów, medyków i księży. Podenerwowanie, spuszczone oczy, wrażenie oczekiwania. Widziałem, jak wśród łkań oddała się jakaś dama z twarzą zasłoniętą welonem, w towarzystwie dworek, podtrzymywana przez mężczyznę, do którego zwracano się „pan hrabia Paar”. Czyżby to była cesarzowa? Nie miałem śmiałości zapytać. Szliśmy bardzo szybko, dyskretnie. Nie musieliśmy stosować wybiegów, gdyż cały personel pałacu wydawał się znać Camillę.

Wreszcie otworzyły się ostatnie duże drzwi i weszliśmy do środka.

W świetle kandelabru dostrzegałem profil oddychającego z trudem cesarza w agonii. Camilla podeszła do łóżka chorego (nikt nie śmiał powiedzieć jej, by zachowała ostrożność), Józef odwrócił głowę w jej stronę, ale nie miał siły odwzajemnić gestu powitania.

W głębi komnaty stali lekarze, ojciec spowiednik przyciskający do piersi kielich z najświętszym sakramentem, który przed chwilą przyjął Jego Cesarska Wysokość, protonotariusz z buteleczką oleju do ostatniego namaszczenia w dłoni. Nuncjusz apostolski, dla którego *Chormaisterin* skomponowała oratorium *Święty Aleksy*, właśnie przekazał umierającemu ostatnie błogosławieństwo papieża.

Camilla nie zważając na to, że może zarazić się śmiertelną chorobą, klęczała przy łóżku i szeptała coś do ucha cesarzowi, on zaś po prostu słuchał. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Odniosłem wrażenie, że wszyscy obecni wstrzymali oddech. Po chwili wstała i, jak mi się zdawało (choć nie mogę przysiąc, bo w ciemnościach dobrze nie

widziałem), pocałowała Józefa Zwycięskiego w czoło.

Czułem, że nigdy się nie dowiem, co powiedziała cesarzowi. I miałem rację.

*Godzina 10.15*

*Roland czuje, że śmierć jest blisko.*

*Uszami mózg mu się wylewa [...].*

*Roland czuje, że oczy mu zachodzą mgłą.*

*Staje na nogi, siłuje się, póki może.*

*Twarz jego straciła barwę [...].*

*Roland czuje, że śmierć go bierze całego;*

*Z głowy zstępuje do serca [...].*

*Roland czuje, że dobiegł już kresu [...].*

*Jedną ręką bije się w pierś [...].*

*Ofiarował Bogu swą prawą rękawicę,*

*Święty Gabriel wziął ją z jego dłoni.*

*Opuścił głowę na ramię;*

*Ooszedł, ze złożonymi rękami, swego końca\*.*

\* Fragmenty *Pieśni o Rolandzie* w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego (przyp. tłum.).

To koniec. Jego Cesarska Wysokość, następca Karola Wielkiego na tronie Świętego Cesarstwa Rzymskiego, oddał rękawicę archaniołowi, a duszę Najwyższemu. Jego cierpienia dobiegły kresu. Gorączka strawiła jego ciało, bóle osłabiły aż do omdlenia, wymioty, niczym twarda szczotka gręplarza, wyczyściły trzewia. Choroba całkowicie wyniszczyła organizm, pożarła na miazgę.

Józef Zwycięski zmarł jak paladyn Roland pokonany przez niewiernych w wąwozie Roncisvalle.

Do końca zachował trzeźwość umysłu. Na krótko przed dziesiątą kazał wezwać kapelana z błogosławionym światłem i wyciągnął ku niemu ręce. Kapelan ukląkł przy łóżku cesarza. Józef Zwycięski nie miał już sił wziąć w dłonie światła. Wpatrzony w płomień, wysłuchał modlitwy za umierających. Cesarski spowiednik wyszeptał ostatnie słowo i zasłabł. Trzeba było udzielić mu pomocy.

Ciałem Jego Wysokości wstrząsnęły gwałtowne konwulsje. Z oczu i uszu polala się ciemna krew, z nosa wypłynął śluz i kawałki mózgu. Skóra, tkanki, naczynia włosowate i limfatyczne eksplodowały jak ładunek wybuchowy. To nie wyglądało na zwykłą chorobę. Ciało Józefa Zwycięskiego zniszczyło zło, które użyło całej swej nikczemności, czerpiąc

rozkosz z dokonanego dzieła.

Kiedy królowa matka, obecna przez cały czas, podeszła do łóżka, uklękła i ucałowała dłoń syna, wiedzieliśmy, że nastąpił koniec.

Przestałem się ukrywać. W stroju pazia przedarłem się przez tłum dworzan stojących w przedpokoju i oddaliłem, przez nikogo niezauważony.

Zszedłem po schodach ze zgaszonym świecznikiem w ręku. Nie wiem, po co go zabrałem. Gdy mój król wydał ostatnie tchnienie, serce zamarło mi w piersiach. Teraz było coraz szybciej, waliło jak szalone. Tłumiony szloch palił gardło. Trzewia przeszywał ostry ból, jakby zagłębiała się w nie rozpalona ostra strzała. Łzy napłynęły mi do oczu, gdy przypomniałem sobie, jak spod półprzymkniętych powiek konającego cesarza pociekła krew. Gdy zgasły jego źrenice, niebiosy zapłakały.

Nie wiedziałem, dokąd idę. Chwiałem się i byłem pewien, że daleko nie dojdę. Dowlokłem się jakoś do miejsca, skąd widać było bastiony. Nagle odzyskałem siły. Przestałem ciągnąć za sobą nogi, poczułem, że moje uda stały się silne, twarde, a serce bije regularnie. Zacząłem biec. Biegłem przed siebie, bez celu, krzycząc na całe gardło. Odrzuciłem świecznik, zerwałem perukę, krawat, koszulę i biegłem z nagim torsem. Pragnąłem rozpaść się na tysiące kawałeczków. Biegłem i krzyczałem, ale nikt mnie nie słyszał. Byłem pewien, że z oczu cieknie mi krew zamiast łez i pozostawia czerwone krople na bruku. Wyobraziłem sobie, że łączy się z czarną krwią z udręczonych trzewi Daniła Daniłowicza z Pon-tevedro, a mój krzyk miesza się z chórem czterdziestu tysięcy męczenników Kasima. Przypomniałem sobie zakrzepłą krew Bułgara Christa Christova i mój krzyk zmienił się w świst burzy śnieżnej; czarną krew Tekuphot, którą ściągnął na nas starzec w ormiańskiej kawiarni, kapiącą z odciętych genitaliów Rumuna Dragomira Populescu na twarz Atta; ostre żerdzie nasiąknięte krwią Węgra Kolomana Szupana z Warażdinu; krew, która trysnęła z oczu dumnego Polaka Jana Janickiego vel Opalińskiego, gdy zatopiły się w nich żelazne szpikulce; wreszcie krew Greka Simonisa, rozszarpanego przez czarną panterę w Bezimiennym Miejscu. Z mojej piersi wydobył się krzyk i zmieszał się ze śpiewem czterdziestu tysięcy męczenników i rykiem drapeżnika.

Czerwona linia znacząca moje ślady była pasmem śmierci. Dzięki niej, myślałem, Clordia mnie odnajdzie. Burzyłem się na myśl o niewinnie przelanej krwi i drżałem na myśl o krwi Judasza, wypływającej z ran derwisza Cizebera *alias* Palatyna, przeklętego *in saecula saeculorum*, zdrajcy chaldejskiego, ormiańskiego czy hinduskiego, czy wszystkich trzech naraz, oraz nigdy nieprzelanej krwi Penicka, wysłannika Lucyfera.

Podniosłem zaciśnięte pięści do góry i rozkazałem: niech niebo pograży się w

ciemnościach, księżyc i słońce wstrzymają bieg! Niech kobiety zakryją twarze, przerwijcie ucztę, zamknijcie się w domach i trwajcie w żałobie! To koniec! Cesarz nie żyje. Śmierć odniosła triumf.

Ze spustoszonego świata docierało echo mojego krwawego szaleństwa. Fanfary nie zagrają milionom żołnierzom poległym w tej niekończącej się wojnie. Czy wiecie, dlaczego zginęliście? Kto czerpie korzyści z waszej śmierci? Wy wszyscy, zwycięzcy i pokonani, przegraliście wojnę. Wygrali ją wasi zabójcy - ludzie spekulujący cukrem, alkoholem, mąką, gumą, wełną, żelazem, atramentem i bronią. Po stokroć wzbogacili się na waszej krwi. To się nigdy nie skończy. Gniliście i będziecie gnąć w błocie okopów. I tak od stuleci, całe pokolenia, dopóty, dopóki wystarczająco nie nakradną, nakłamią, wykorzystają całą ludzkość. A potem, dalej! Następny! Pod topór kata. Będą tańczyć aż po Popielec i Wielki Post. W ten wielki tragiczny karnawał ludzie ginęli na oczach ludzi okrutnych jak Palatyn, a rzeźnicy stali się filozofami *honoris causa*.

A wy, złożeni w ofierze, nie powstaliście przeciw temu planowi. Wy, tam w górze, zamordowani, oszukani! Znosiliście to i będziecie znosić. Wolność i dobrobyt dowódców, pasożytów i błaznów naprzeciw waszemu nieszczęściu, z waszym przymusem. Sprzedawali i będą sprzedawać waszą skórę. Zmarli! Dlaczego nie wstaniecie z grobów i z twarzą wykrzywioną z bólu jak w chwili śmierci nie zażądacie odpowiedzi od tej bandy, jaki to szalony reżyser odebrał wam młodość i skazał na śmierć. Wstańcie więc i wyjdźcie do nich, obudźcie ich krzykiem waszej agonii. Byli zdolni pieścić swoje kobiety w noc po dniu, kiedy was zamordowali. Ratujcie nas przed nimi, przed pokojem, skazującym nas na ich obecność.

Pomocy, pomordowani! Pomóżcie mi! Żebym nie musiał żyć wśród ludzi, którzy sprawili, że serca przestały bić, a matki posiwiały nad grobami własnych dzieci. Bóg mi świadkiem, tylko cud może zaradzić tej straszliwej rzeczy. Obudźcie się! Pokażcie się! Niech przyszłość was wysłucha!

Ale jeśli prawdą jest, że, jak mówi Atto, wysłucha nas jedynie istota, która jest ponad wszystkim? Mój Jezu! Wypisz na moim ciele, podobnie jak na swoim, tragedię ludzkości. Spraw, aby miłosierny Duch Święty uznał moje szaleństwo, które czyni mnie współodpowiedzialnym za odkupienie.

Odkupienie, odkupienie. Nieustannie powtarzałem to słowo. Byłem do połowy nagi. Wbijałem paznokcie w skórę na ramionach, plecach, szyi, na policzkach zapadniętych od krzyku, na brzuchu i w pępek, który dawno temu łączył mnie z nieznaną matką. Biegałem przez cały dzień z nagim torsem, zatykałem uszy, żeby więcej nie słyszeć, gryzłem język, żeby nie mówić, zaciskałem powieki, żeby nie widzieć, zatykałem nos, żeby nie oddychać,

wyłamywałem palce, żeby więcej niczego nie dotykać. Przemierzałem pola, urwiska, parowy, mój krzyk przenikał każdą bryłę ziemi. Miałem otwarte oczy, ale biegłem na oślep; widziałem i nie widziałem, słyszałem i nie słyszałem. Wreszcie dosięgła mnie daleka melodia, otoczyła mnie, zmyliła kroki, stopy ją rozpoznały, zawahały się w swym szalonym biegu i zaczęły tańczyć do jej miarowego rytmu. Wtórowały im łagodnie ramiona, zataczając w powietrzu kręgi w takt skrzypiec, tamtych skrzypiec. Byłem w Neugebau. Krzyk dobywający się z piersi zmienił się stopniowo w modulację owego starego motywu, portugalskiej melodii zwanej folia, czyli szaleństwo.

Boso przemierzałem ogrody Bezimiennego Miejsca, ale nie były one już zaniedbane, opuszczone. Zdobily je delikatne, błękitno-złote mozaiki, z alabastrowej fontanny pośrodku ogrodu tryskała czysta, ożywcza woda, błogosławiąc wszystko wokół swoją świeżością. Spadła też na moje ramiona, obmywając rany z zakrzepłej krwi.

Dopiero wtedy, po raz pierwszy, naprawdę zobaczyłem Bezimienne Miejsce, jakby rany otworzyły przede mną królestwo sprawiedliwych. Spojrzałem na wszystko nowymi, nieziemskimi oczami. W eksplozji myślowej retrospekcji ujrzałem prawdziwą, żywą twarz Maksymiliana, chwalebne czyny, dla których został poczęty, ale nigdy ich nie dokonał. Zobaczyłem dachy połyskujące od złota, wieże ogrodowe wznoszące się kapryśnie niczym tureckie iglice, trawniki i żywopłoty, bujne i pełne rzadkich roślin, klejnotów, drzewek pomarańczy, cytryn i egzotycznych owoców oraz wyszukanych kompozycji z kwiatów; strzeliste, wspaniałe fontanny, których srebrzyste wody szemrały w misach z gładkiego, pięknie inkrustowanego marmuru, fasadę pałacu ozdobioną tysiącami belko-wań, rzeźb, kapiteli z delikatnymi dekoracjami z cyzelowanego złota; mury obronne z okazałymi dumnymi blankami i gorączkową krzątanicą służących, robotników, sekretarzy i lokajów w aksamitnych strojach sprzed dwustu lat. Wreszcie, w tle, dzikie, lecz uległe pomruki drapieżnych zwierząt. Neugebau, arcydzieło wyobraźni, było tak harmonijne, że symbole walki (wieże, blanki, lwy) zdawały się nieść pokojowe przesłanie, twórca Bezimiennego Miejsca, Maksymilian Tajemniczy, był bowiem człowiekiem pokoju.

Załkałem na myśl, że tylko raz mogłem zobaczyć tę pozaczasową wizję. Powróciłem myślami do Rzymu, do willi Okręt, która tyle doświadczyła i zachowała z minionego życia. Dewizy wypisane na jej ścianach opowiadały o świetności epoki, która nigdy nie powróci. Była jakby zaprzeczeniem Meduzy i dzieliła się swoją mądrością z każdym, kto spojrzał choć przez chwilę na te napisy. Tymczasem Neugebau, bezimienny infant usunięty z życia razem z łonem, które go zrodziło, nigdy nie doczekał się swojej wielkiej chwili. Jego czas nigdy nie nadszedł, nienawiść wymazała go przedwcześnie. Tylko ogrody zerkały nieśmiało w stronę



życia. A tam, gdzie nie miała dostępu natura, jedynie ludzkie dusze, Bezimienne Miejsce na próżno oczekiwało, że ktoś wyrwie je z martwoty. Pałac Neugebau nie miał nic do powiedzenia zwiedzającym czy zaciekawionym przechodniom z wyjątkiem następujących słów: „Moje królestwo nie jest z tego świata”. Czym była zatem moja dotychczasowa egzystencja? Jakie znaczenie miało przedwcześnie przerwane życie Józefa I, Maksymiliana II oraz - wcześniej, przed trzydziestu laty, w rzymskiej gospodzie Donzello - męczeństwo nadintendenta Fouqueta i nienawiść, która ogołociła jego pałac w Vaux-le-Vicomte, ową olbrzymią kamienną zniewagę żyjącą tylko jedną noc, 17 sierpnia 1661 roku? Czy wszyscy ci ludzie i bezimienne miejsca pozbawione historii, choć im się prawnie należała, nie stanowiły zapowiedzi Neugebau? O czym mówiły? Dlaczego się spotkaliśmy? Dlaczego wkroczyły do mojego skromnego życia, oślepiając je żalobnym blaskiem?

Nie wiem, jak udało się Cloridii mnie znaleźć i zaprowadzić do klasztoru. Leżałem na łóżku, nieruchomo. Widziałem i słyszałem żonę i synka, pochylających się nade mną, oraz opata Melaniego, przypominającego własny cień. Siedział na foteliku obitym zieloną brokatelą, obok mojego łóżka. Pamiętam, że był też jego bratanek. Błądziłem spojrzeniem po ich twarzach, moje źrenice zatrzymywały się na ich ustach, które coś do mnie mówiły. Domenico chciał mną potrząsnąć, Atto popłakiwał, obwiniając się za wszystko, i proponował wezwać lekarza. Clordia, załamana moim nieszczęściem, w którym dopatrywała się oznak bohaterstwa, błagała, bym dał znak, że rozumiem, co do mnie mówi.

Kolejny raz wróciłem pamięcią do wydarzeń sprzed jedenastu lat w Rzymie, do okazałej willi Okręt, o kształcie zbliżonym do latającego statku, opuszczonej podobnie jak Bezimienne Miejsce. Przypomnił mi się Giovanni Henrico Albicastro, dziwaczny holenderski skrzypek ubrany na czarno, który wydawał się unosić nad blankami willi, deklamując wersy z poematu *Statek głupców* i tym samym ucząc mnie życia. Nie wiedziałem, czy Albicastro i nieznany sternik latającego statku byli tą samą osobą, ale to nie miało znaczenia. Ważne, żeby wyciągnąć naukę ze słów holenderskiego skrzypka.

Podczas gdy w sercu nadal bezustannie krzychałem, moje usta milczały, posłuszne dawnym przestrogom. Całkowicie zaniemówiłem. Clordia płakała, a ja pragnąłem jej powiedzieć: „Jak mogę z tobą rozmawiać z tym ciągłym hałasem w uszach? Nie słyszysz go?” Tylko chwilami krzyk zmieniał się w dźwięki folii. Wtedy zaczynałem jęczeć, chciałem wyznać Cloridii, że ją kocham, ale wewnętrzny krzyk powracał.

Stałem się ofiarą własnych erynii. Cierpiałem z powodu ciszy, w którą każdy mógł wkroczyć. Gorąco pragnąłem, by cisza zamknęła się wokół mnie, niczym w kaplicy z ciałem zmarłego, pośrodku której spoczywała ludzkość, mój bohater tragiczny.

Ach! Gdybyż można było przekazać potomnym przesłanie tej epoki! - zadreślałem się, leżąc w mokrej od potu pościeli. Wówczas prawda zewnętrzna zaprzeczyłaby prawdzie wewnętrznej, a nasi potomkowie nie uznaliby ani jednej, ani drugiej. Czas wszystko odmienia, dzięki czemu można usprawiedliwić nawet największe przestępstwo dokonane na tej ziemi.

Tylko w archiwum Boga prawda jest bezpieczna. Nie, moi przyjaciele, zabici w czasach wojny czy pokoju, zmarli wczoraj czy dziś, Bóg nie pomści was za śmierć, ale za to, czego doświadczyliście za życia. Wasi oprawcy staną się cieniami, którymi są w istocie. Bóg pozbawi ich ciała, kryjących puste dusze. Dopiero w dzień sądu, dając dowód swojej mocy, nada realny kształt ich głupocie, nikczemności i marności.

Wybrałem drogę ciszy w oczekiwaniu na dzień, w którym, jak nauczał Albicastro, „łuk zostanie napięty”. Holenderski skrzypek uprzedził mnie jednak, że nie dokona się to na tym świecie. Chrystus upominał: „Moje królestwo nie jest z tego świata”.

Gdzie się ukryć w oczekiwaniu na królestwo Boże? Albicastro, Okręt, Bezimienne Miejsce. Miałem wrażenie, że wydarzenia, które przeżyłem u boku Atta, łączą się w jedną całość. Dopiero w tych dniach zacząłem to rozumieć. Życie nieustannie mnie zadziwiała, zgotowało mi wiele niespodzianek, nie szczędziło ciosów, ale też dużo mnie nauczyło. Byłem niczym pusty dzban, który stopniowo wypełnia się. Teraz wydawało mi się, że moje życie zatoczyło koło, nie proponuje mi już niczego nowego. Dlaczego?

Sobota

*18 kwietnia 1711 roku Dzień dziesiąty*

Leżałem w łóżku, pogrążony w milczeniu. Przed chwilą Cloridia podzieliła się ze mną nowinami. Do sejmu w Ratyzbonie wysłano specjalnych kurierów, którzy donieśli wszystkim książętom elektorom o śmierci cesarza. Pojawiły się niezawodne gazety z pieśniami żałobnymi na cześć zmarłego, głównie po włosku:

*W kwiecie wieku, w dzień kwietniowy*

*Zmarł największy z twoich synów.*

*W rządzeniu mądry, w boju honorowy,*

*Był wzorem władców i walecznych czynów.*

*Płacz, Austrio, płacz cała ziemi!*

Nie mogłem czytać. Myślałem o czym innym. Wielki Delfin, syn Jego Wysokości Arcychrześcijańskiego Króla Francji, odszedł z tego świata. Wieść dotarła do Wiednia poprzedniego dnia, dzisiaj szczegółowo donosiły o tym gazety.

Delfin zmarł bez spowiedzi, nie przyjąwszy komunii. Arcybiskup Paryża zapomniał o

wydaniu rozkazu bicia w dzwony. Najbardziej zaskakujące jednak było to, że jeden z lekarzy, pan de Fagon, zapewniał króla, że życiu delfina nic nie zagraża. Jeszcze w porze kolacji pierwszy medyk delfina informował króla, że choroba przebiega normalnie i z dnia na dzień będzie następowała poprawa. Po półgodzinie wrócił z wiadomością, że chory dostał nagle bardzo wysokiej gorączki i majaczy. Król wstał od stołu i pobiegł do komnaty syna. Delfin był już umierający, udzielono mu ostatniego namaszczenia. Na szczęście wypowiadał się i przyjął komunię w sobotę wielkanocną. Lekarzom dostało się za postawienie niewłaściwej diagnozy i zlekceważenie objawów choroby. Tłumaczyli się, że nic nie mogli zrobić, ponieważ delfin zmarł wskutek apopleksji.

Ciało zmarłego wydzielalo przykrą woń. Trzewia i serce delfina miały być pierwotnie przewiezione do Val de Grace, ale nadworni chirurdzy odmówili autopsji z obawy, że zarażą się w trakcie wykonywania tej czynności i umrą. Dwa dni później ciało umieszczono w ołowianym sarkofagu i przewieziono do St. Denis, z pominięciem uroczystości pogrzebowych. Zmarłemu mieli towarzyszyć dwaj kapucyni, lecz nie mogli tego uczynić z powodu strasznego fetoru dobywającego się z sarkofagu.

Francuski lud miłował Wielkiego Delfina. Ulice Paryża wypełniły się płaczącymi ludźmi, od najskromniejszych po najbardziej poważanych. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że wraz z jego śmiercią stracili szansę na trwałą pokój.

Zarówno ja, jak i Atto ponieśliśmy klęskę. Plan opata (zmusić cesarstwo do zakończenia wojny) nie powiódł się. Na przeszkodzie stanęły nieprzewidziane zdarzenia.

Tylko jedno mu się udało: doprowadził do spotkania Cloridii z Ca-millą, jej siostrą.

Dwa dni wcześniej, w piwnicy należącej do klasztoru, Cloridia wszystko mi opowiedziała i każdy element układanki trafił w końcu na swoje miejsce. Żona zaczęła swoją opowieść od matki Turczynki, o której do tej pory krępowała się mówić. Była córką lekarza janczarów, powiedziała, i wychowała się w Konstantynopolu. Od ojca nauczyła się podstaw wschodniej sztuki medycznej i poznała zdrowotne właściwości orkisz. Podczas ataku piratów została uprowadzona i sprzedana.

Później następowały znane mi już fakty. Matkę Cloridii kupił bankierski ród Odescalchich, dla których pracował mój świętej pamięci teść. Z łona szesnastoletniej Turczynki zrodziła się moja małżonka. Gdy Cloridia miała dwanaście lat, matka została sprzedana, a moja późniejsza żona porwana i zawieziona do Holandii.

Wydarzeń, które potem nastąpiły, nie znałem. Teraz, kiedy leżałem w łóżku, a wokół mnie unosił się zapach śmierci, gestem poprosiłem Clo-ridię, żeby opowiedziała mi tę historię - jedyną, jaka dobrze się skończyła. Dzięki niej mogłem choć na chwilę pokrzepić się na

duchu i zapomnieć o tym, co się stało.

Cloridia wzięła mnie za rękę, jej oczy napełniły się łzami. Słuchałem opowieści, czekając na kolejnego lekarza. Badało mnie już trzech medyków i wszyscy orzekli, wprawdzie bez większego przekonania, że jestem zdrow i prawdopodobnie niebawem odzyskam głos.

Odescalchi, opowiadała żona, głaszcząc mnie czule po głowie, sprzedali jej matkę kardynałowi Collonitzowi, bohaterowi z czasów oblężenia Wiednia. Z kardynałem miała drugą córkę, urodzoną w roku 1682. Collonitz powierzył wychowanie dziecka swojemu hiszpańskiemu zastępcy, Gerolamowi Giudiciemu. Giudici wziął je obie do siebie. Gdy dziewczynka podrosła, matka przekazała jej swoją wiedzę medyczną, nauczyła języka tureckiego oraz włoskiego. W wieku trzynastu lat, w 1695 roku, dziewczynka, obdarzona talentem muzycznym, grała, komponowała, przede wszystkim zaś śpiewała. Jej występ widział zapalczywy król rzymski i zadurzył się w niej. Ona wydawała się odwzajemniać jego uczucie. Collonitz patrzył na to niechętnym okiem. W kościele św. Urszuli przy Johannesgasse osobiście udzielił jej chrztu i z pomocą Giudiciego pragnął umieścić w klasztorze Porta Coeli.

Była to więc historia młodej Turczynki odrzuconej przez zakonnice, którą kilka dni temu opowiedziała nam Camilla.

Siostry nie zgodziły się przyjąć Turczynki do klasztoru. Wszystkie miały arystokratyczne korzenie, podczas gdy nowa wychowanka była niewolnicą. W obawie, że zostanie umieszczona w klasztorze klauzurowym (który z pewnością by ją przyjął), dziewczynka uciekła. Nikt nie wiedział, dokąd się udała ani z kim.

- Uciekła ze swoim nauczycielem muzyki Franzem de' Rossim - poinformowała Cloridia.

Muzyk Józefa, a zarazem wnuk Luigiego d' Rossi, nazywał ją Camillą. Takie samo imię nosiła jego kuzynka z Rzymu, z Zatybrza, którą pamiętała Cloridia.

- Nasza matka dała jej na imię Maria, tak jak mnie - oznajmiła małżonka z uśmiechem, ocierając mi łzy spływające na poduszkę.

Nie, nie byłem wzruszony tą pełną życia historią, tak silnie kontrastującą ze śmiercią cesarza, Wielkiego Delfina, Simonisa i jego przyjaciół. Płakałem z innego powodu. Wbrew moim oczekiwaniom opowieść Cloridii nie przyniosła mi ulgi. Nie ukoilo moich cierpień również to, że odnalazła wreszcie grób matki, gdzie mogła ją oplakiwać, podobnie jak nie przyniosła pociechy radość z odnalezienia siostry.

Ogarnięty przygnębieniem, myślałem, że przez trzydzieści lat małżeństwa Cloridia

nigdy nie popełniła błędu w ocenie. Mną często targały wątpliwości, ona zawsze miała jasność co do tego, jak należy postąpić i potrafiła udzielić mi rady. Tym razem jednak popełniła fatalną pomyłkę, twierdząc, że derwisz pragnął wyleczyć cesarza. Podobnie jak Atto, była starej daty, nie potrafiła się odnaleźć w nowych czasach. Zrozumiałem, że już nic, nawet moja słodka, mądra małżonka, nie uchroni mnie przed dręczącym przecuciem hekatombi.

Ze łzami w oczach patrzyłem na Cloridię, gdy snuła swoją opowieść. Franz i Camilla pobrali się, a o tym, co wydarzyło się później, wiedzieliśmy od *Chormaisterin*. Po wybuchu hiszpańskiej wojny sukcesyjnej wrócili do Wiednia, gdzie dowiedzieli się, że matka Camilli i Cloridii zmarła. Franz wrócił na służbę u Józefa, a z nim jego żona. Młody król rzymski nie rozpoznał tureckiej niewolnicy, w której się niegdyś zadurzył. Rok później Franz zmarł.

Józef nie rozpoznał w dojrzałej kobiecie, jaką była obecnie Camilla, młodzietkiej artystki, w której się przed laty zakochał. Obdarzył ją przyjaźnią i zaufaniem (o czym powiedział nam Gaetano Orsini). Odwzajemniając uczucia Józefa, *Chormaisterin* przez cztery lata komponowała dla niego oratoria, ale nie chciała za nie zapłaty. Obawiała się bowiem, że jej imię poznają skarbnicy Józefa lub dworskich urzędników i zaczną się pytania o jej tożsamość. Biorąc po uwagę skrupulatność wiedeńczyków w sprawach danych osobowych, prędzej czy później wyszłoby na jaw, że jest Turczynką. Utrzymywała się, jeżdżąc po Austrii i lecząc metodami opartymi na stosowaniu orkiszu, tak jak uczyła ją matka. Na szczęście ten rodzaj medycyny miał długą tradycję. Przed wiekami podobnych sposobów używała przeorysza zakonu benedyktynek, święta Hildegarda z Bingen. Szczegół ten pozwolił Camilli ogłosić się kontynuatorką dzieła Hildegardy i ukryć wschodnie korzenie. Nie mogła leczyć w Wiedniu, ponieważ nie miała *examiniert und approbiert*, zezwolenia na wykonywanie zawodu akuszerki. Poza tym mieszkał tu kardynał Collonitz, zmarły w 1707 roku.

Kiedy w ostatnich miesiącach 1710 roku Józef zaproponował Camilli, by osiadła na stałe w Wiedniu, odparła, że pragnie wstąpić do klasztoru. Jego Wysokość umieścił ją w Porta Coeli, naprzeciwko StraBoldischen Haus, gdzie księżę Eugeniusz ulokował młodzietką Pallfy.

Cesarz poprosił Camillę, by wystawiła oratorium na cześć nuncjusza papieskiego. *Chormaisterin* wybrała *Świętego Aleksego* - ostatni ze skomponowanych przez siebie utworów. Nie wiedziałem jednak, że oratorium miało szczególne znaczenie, Camilla przedstawiła w nim bowiem samą siebie. Podobnie jak święty Aleksy, ukrywała swoją przeszłość. Czy ujawniła swoją tożsamość podczas ostatniej rozmowy z cesarzem? Jak wynikało ze słów Cloridii, Camilla nie chciała o tym mówić. Modliła się dniem i nocą, żeby

nie poddać się rozpaczy.

Portrety dziewczynek w wisioru w formie serca nie były zatem wizerunkami moich córek, ale Camilli i Cloridii w dzieciństwie. Łączuszek należał do ich matki, która w ten sposób starała się ulżyć tęsknocie za utraconymi córeczkami. Po jej śmierci pozostał w domu Girolama Giudi-ciego, zastępcy Collonitza.

Poprzedniego dnia, widząc, że Atto, Simonis i ja nie wracamy z Bezimiennego Miejsca, zaniepokojona Cloridia poprosiła o pomoc *Chormai-sterin*. Obydwie wsiadły do dwukółki należącej do klasztoru i udały się w kierunku Neugebau. Z daleka dostrzegły, że dzieje się tam coś dziwnego. Camilla zaproponowała więc, by schroniły się w piwnicy, będącej własnością zakonnic z Porta Coeli. Po drodze, w obawie przed machinacjami opata Melaniego, Cloridia wyłamała zamek szkatułki, którą Atto powierzył mi pod warunkiem, że jej nie otworzę przed jego wyjazdem. Ja przekazałem ją Cloridii. Jakież było zdziwienie mojej małżonki, gdy ujrziała swój własny portret obok podobizny Camilli! *Chormaisterin* wszystko jej wyznała. Wiedziała o tym od Atta, ma się rozumieć.

W tym miejscu kończy się opowieść Cloridii. Poprosiłem, by powtórzyła mi ją jeszcze kilka razy, po czym pozwoliłem żonie odejść. Milczenie, w którym się pogrążyłem, osuszyło moje łzy i dało sposobność do rozmyślań. Wszystko powoli trafiało na swoje miejsce, jak na przykład znajomość Atta z Camilla.

W Paryżu, we wrześniu 1700 roku, Camilla opowiedziała opatowi Melanienemu o sobie i o swojej matce. Znając losy mojej żony, Atto doszedł do wniosku, że przyszła *Chormaisterin* i Cloridia są córkami tej samej kobiety. Powiedział o tym Camilli, ale udał, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa Cloridia. Tymczasem dopiero co wrócił z Rzymu, gdzie niemal codziennie widywał moją żonę.

Melani, jak zwykle, miał interes w zatajeniu prawdy. Nie chciał, by Franz de' Rossi i Camilla udali się do Rzymu, co z pewnością by uczynili, gdyby wiedzieli, że mieszka tam siostra Camilli. Cloridia zaś opowiedziałaby siostrze o jego machinacjach, oszustwach i intrygach, jakich się dopuścił nie tylko wobec mnie. Zanosilo się na wojnę o hiszpańską sukcesję. Bez trudu przekonał de' Rossich, że powinni pozostać na terenie cesarstwa. Jak wynikało ze słów Camilli, Atto powiedział im, że Wiedeń był wówczas najważniejszym ośrodkiem muzyki włoskiej w Europie, podczas gdy papieżstwo chyliło się ku upadkowi, Francja zubożała wskutek szalonych wydatków na wojny i balety, a złoty wiek kardynała Maz-zariniego dobiegł końca jakiś czas temu.

Przemycił też pewną półprawdę, oświadczając, że ma dług wobec mnie i Cloridii (prawda) i próbował nas odnaleźć (kłamstwo, dobrze wiedział, gdzie nas znaleźć; dopiero co

zostawił nas na lodzie w willi Spada). Na koniec obiecał Camilli, że będzie ją informował o przebiegu poszukiwań. Miał więc pretekst do utrzymania kontaktu z Camillą i Franzem, na wypadek gdyby ich potrzebował w Wiedniu...

Jednym z wielu powodów, dla których Atto spłacił w końcu swój dług, przekazując mi legat przez notariusza w Wiedniu, było to, że pragnął położyć kres rozłące siostr i doprowadzić do spotkania Camilli z Clori-dią. Nie życzył sobie jednak, by *Chormaisterin* powiedziała o wszystkim mojej żonie przed jego wyjazdem z Wiednia. „Wolę uniknąć podziękowań”, oznajmił Camilli z fałszywą skromnością. Ale tak naprawdę bał się, że Cloridia wpadnie w złość, kiedy odkryje, że przez jedenaście lat ukrywał istnienie Camilli.

Tak więc stary opat miał nadzieję, że wyjedzie z Wiednia, zanim prawda wyjdzie na jaw. Okoliczności przeszkodziły mu jednak wyjechać po kryjomu, jak uczynił w Rzymie przed jedenastu laty, a także dwadzieścia osiem lat temu, kiedy go poznałem. W innej sytuacji zdenerwowałbym się i zasypał go pretensjami i oskarżeniami, ale nie tym razem. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym tego uczynić, bo straciłem głos. Tym lepiej, bo Cloridia, rozczulona wybiegami Melaniego, wszystko mu przebaczyła.

Opowieść mojej żony rozwiązała ostatnią wątpliwość w stosunku do Atta. Zdanie wypowiedziane przez Ormianina podczas spotkania z Melanem w ciemnym zaułku, mówiące o służących, którzy „sprzedali serce pana”, oznaczało po prostu, że Atto za pośrednictwem Ormianina zlecił kradzież wisiorka w kształcie serca. Nie miało ono zatem nic wspólnego z cesarzem ani Ormianami agi.

Zaśmiałem się w duchu z nieporozumienia, wskutek którego miotalem się jak w matni, pośród fałszywych tropów i sztucznie stworzonych podejrzeń, podczas gdy za moimi plecami cały świat wywracał się do góry nogami. Ziemia miała się zmienić w wodę, woda w ziemię, niebo w ogień.

Wreszcie dźwięk, który wywołał moje rozmyślenia, ucichł. Słyszałem jedynie odległe echo. Zasnąłem.

Po przebudzeniu zobaczyłem Atta siedzącego w fotelu obok łóżka. Nasze losy były teraz jeszcze silniej związane niż przedtem. Z chwilą gdy Wiedeń nie mógł nam już nic ofiarować, Atto miał nas zabrać ze sobą do Paryża. Był to niezwykle wspaniałomyślny gest, na który wcześniej opat by sobie nie pozwolił. U schyłku życia natomiast, jak wszyscy, którzy pragną umrzeć w łasce Pana, czynił to chętnie. Opat przekonał Cloridię, by przyjęła jego propozycję. Obiecał, że dobrze zapłaci nam za służbę u niego i zadba o odpowiednie wykształcenie dla naszego synka.

- Jestem pewien, że Arcychrześcijański Król niebawem pozwoli mi wrócić do Pistoii, a

ty i twoja rodzina pojedziecie ze mną - oświadczył.

Od dłuższego czasu nie widziałem Camilli. Gdzie się podziewała? Popatrzyłem na Cloridię i pogłaskałem ją po policzku. Nie potrafiłem jej pocieszyć. Odnalazła siostrę, krew z krwi, ale straciła męża, którego znała. Stał się inny, nie tak dobry, smutniejszy, powściągliwy w okazywaniu miłości, bardziej stanowczy. Czułem coraz większą chęć, by dobyć szpady, szpady bardzo szczególnej. Wkrótce miał przyjść na to czas.

Kiedy snułem rozważania o wydarzeniach z niedalekiej przeszłości, Wiedeń pogrążył się w smutku. Gdyby Józef żył, owej soboty rzemieślnicy i kupcy wraz z pomocnikami odmówiliby czterdziestogodzinną modlitwę. Tymczasem zamiast modlitwy mieliśmy stanąć w kolejce, by oddać cześć zmarłemu. Powiedziały nam o tym siostrzyczki z klasztoru Porta Coeli. Nieszczęsne, umęczone ciało Jego Cesarskiej Wysokości, zabalsamowane przez nadwornych cyrulików, spoczywało na katafalku w części pałacu zwanej Ritterstube, Łożą Kawalerów. Przez całą noc i następne dni będą co godzina przybywać dwójkami przedstawiciele arystokracji i składać pożegnalny hołd swojemu cesarzowi. Od jutra w Łoży Kawalerów będzie czuwać przy katafalku także lud. Uroczystości pogrzebowe wyznaczono na dziesiątą i jedenastą 20 kwietnia wieczorem.

Dowiedziałem się, co się działo z Camillą. Codziennie rano, między godziną dziesiątą i jedenastą oraz wieczorem, między ósmą i siódmą, dyrygowała nadwornym chórem, który pod jej batutą śpiewał przy zwłokach cesarza psalm 51. Tak zarządził przed śmiercią Józef, będąc jeszcze w pełni władz umysłowych.

Atto poprosił Camillę, żeby zabrała go ze sobą. *Chormaisterin* zgodziła się i przyszła po opata. Gdy Melani chciał się ze mną pożegnać, powiedziałem na migi, że ja też pragnę pójść na ostatnie spotkanie z cesarzem, przy którego śmierci byłem obecny. Wstałem z łóżka, uwolniłem się z czułych objęć Cloridii, założyłem odświętne ubranie i stanąłem gotowy do wyjścia, nie bacząc na upomnienia małżonki, *Chormaisterin* i opata Melaniego.

Kiedy czekaliśmy na ulicy, aż Camilla sprowadzi kolosę (nie chciała, żebyśmy szli pieszo), Atto, domyślając się, o co chciałem go zapytać, powiedział:

- Nie, nic mi nie grozi, mogę poruszać się swobodnie. Plan tych drani powiódł się: cesarz nie żyje. A po zbrodni stanu siepacze i ich wysłannicy zawsze znikają. Niektórzy wyjeżdżają, jak Eugeniusz, inni ukrywają się, by obserwować sytuację, ale ogólna zasada jest taka, żeby na dwa do czterech dni wstrzymać wszelkie działania, nie robić zupełnie nic. Zobaczą, że idziemy czuwać przy zmarłym, ale nie będą interweniować. Wiedzą, że nic już nie możemy uczynić.

W żałobnie przybranej, rozjaśnionej światłem świec Łoży Kawalerów przy katafalku



stali łucznicy i trabanci. Podwyższenie miało trzy stopnie i ozdobione było połączanymi stiukami. Nad nim zamontowano baldachim z czarnego aksamitu z jedwabnymi frędzlami.

Jego Cesarska Wysokość wyglądał doskonale. Spoczywał w miejscu, gdzie za życia przyjmował wizyty i honory, przewodniczył zebraniom i ceremoniom. Miał na sobie strój i płaszcz z czarnego jedwabiu z koronkami tej samej barwy, na głowie rudą perukę i czarny kapelusz, u pasa dagę, na szyi małe insygnium Złotego Runa. Leżał w sarkofagu wyściełanym szkarłatnym aksamitem, ozdobionym połączanymi stiukami. Głowa cesarza, po mistrzowsku wyszykowana przez balsamistę, spoczywała na dwóch poduszkach. Uderzył mnie brak krost na twarzy. Rezultat balsamowania czy umyślnie spowodowanej śmierci?

Przed cesarzem umieszczono duży srebrny krucyfiks, który symbolicznie roztaczał opiekę nad zmarłym. Obok stało naczynie z wodą święconą. Po prawej stronie katafalku ustawiono insygnia władzy cesarskiej: koronę, jabłko, berło i order Złotego Runa na poduszce wyszywanej złotą nitką. Po stronie lewej znajdowały się korony królestwa Węgier i Czech.

Opodał, przykryte czarną taftą, stały urna i szkatułka ze srebra. Zgodnie ze zwyczajem dynastii Habsburgów jedno naczynie zawierało serce i język Józefa, drugie mózg, oczy i trzewia. Na dwóch otomanach przykrytych czarną tkaniną siedzieli nadworny kapelan i czterej augustianie bosy, którzy szeptali litanie za zmarłych.

Ujrzałem ich z daleka, byli wszyscy: kastrat Gaetano Orsini (z widocznymi jeszcze siniakami), sopranistka Landina, żona teorbaniście Fran-cesca Contiego, i inni. Cofnąłem się nieco, żeby mnie nie zobaczyli. Jak miałem się z nimi przywitać, skoro straciłem głos? Przyjrzałem się im. Mieli smutne twarze, bezradne spojrzenia. Musieli pożegnać się ze *Świętym Aleksym*, wykonanie oratorium na cześć nuncjusza zostało bowiem odwołane. Co się z nimi teraz stanie, kiedy nie żył ukochany cesarz, ich młody dobroczyńca, który powiększył grupę śpiewaków cesarskiej kaplicy? Czyjego brat Karol, po powrocie z Barcelony i objęciu tronu, zatrzyma ich, czy zwolni?

Podszedł do nas Vinzenz Rossi. Zamienił z Camillą kilka słów pociechy, a kiedy oddaliła się, by dyrygować chórem, zaprosił nas, byśmy usiedli razem z nim w kącie sali i posłuchali psalmu. Znałem psalm 51., więc kiedy muzycy śpiewali go po łacinie, ja w myśli powtarzałem słowa po włosku:

*Pokrop mnie hizopem, a stanę się czysty,*

*Obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję.*

*Spraw, bym usłyszał radość i wesele:*

*Niech się radują kości, któreś skruszył”.*

Żałobny chór tworzył jedną całość z wypełniającą mnie pustką. Żałoba wszystkich

poddanych była we mnie, przechodziła przez moje ciało. Upodobiłem się do drobinki cierpienia, niesionej dźwiękami błagalnego śpiewu rozpacz. Mimo to zachowałem trzeźwość myślenia. Wokół mnie rozlegał się cichy płacz, łkania i szlochy, ale ja byłem niewzruszony jak głaz. Patrzyłem na wszystko chłodnym okiem wytrawnego chirurga, który przed dokonaniem pierwszego cięcia starannie analizuje przebieg całej operacji.

Siedząc obok Atta na niewygodnym krześle wyściełanym aksamitem, rozmyślałem nad terażniejszością i przeszłością.

Psalm 51 (50), 9-10, w: Pismo Święte, wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1990 (przyp. tłum.).

W czasach naszego pierwszego spotkania, we wrześniu 1683 roku, opat Melani przybył do Rzymu z tajną misją, którą powierzył mu król Francji. Po pewnym czasie zorientował się, że nie powiedziano mu prawdy o charakterze i celach misji.

W roku 1700, tuż po powtórny przyjeździe do Rzymu, Atto został napadnięty i zraniony w ramię. Tym razem także miał do wypełnienia tajną misję na rzecz Króla Słońce, ale od samego początku wiedział, jakie jest jego zadanie: z pomocą przyjaciółki i intrygantki Marii Mancini miał sfalszować pewien testament i sprowokować kłótnię z kardynałem Albanim, przyszłym papieżem. Opat osiągnął cel z właściwym sobie mistrzostwem.

Teraz, w kwietniu 1711 roku w Wiedniu, sprawy potoczyły się inaczej. Atto Melani przybył do stolicy cesarstwa nakłonić Eugeniusza Sabaudzkiego do zakończenia wojny. Dobrze wiedział, co ma robić (dostarczyć cesarzowi sfalszowany list), lecz precyzyjny plan pokrzyżowała choroba Józefa I oraz tajemnicze machinacje kogoś pozbawionego twarzy. Jak się dowiedzieliśmy, w grę wchodził cały system, a nie jedna osoba.

Nadszedł kres opata Melaniego, który doskonale o tym wie. W upalny lipiec przed jedenastu laty wspiał się na szczyt władzy dyplomatycznej, teraz nastąpił jego zmierzch. Przyszły nowe czasy. Dziś był już tylko zwyczajnym staruszką, wspomnieniem przeszłości.

Odwolań do przeszłości było więcej. Józef Zwycięski zmarł, ale czuwanie nad jego ciałem nawiązywało do smutnego dnia śmierci Maksymiliana Tajemniczego. Obu pechowych cesarzy wiele łączyło. Obaj brali udział w wojnie, osobiście dowodząc armią; tolerancyjni w stosunku do zwolenników Lutry; związani z Bezimiennym Miejscem: Maksymilian je wybudował, a Józef zamierzał odrestaurować, czego niestety zaniechano z powodu śmierci cesarza. Maksymilian wznosił pałac Sclónbrunn, Józef go rozbudował. Obaj byli poliglotami obdarzonymi dużą inteligencją; pod tym względem znacznie przewyższali swoich poprzedników i następców. Mimo licznych zalet i zasług Maksymilian został zapomniany.

Podobny los czekał Józefa (byłem tego pewien), jeśli nie powstrzyma się tajemnych sił stojących za Cizeberem-Palatynem. Obaj zmarli przedwcześnie z powodu choroby, obu też poddano podejrzanemu leczeniu. Ich następcami byli nie synowie, lecz bracia. Nawet najbardziej naiwny człowiek domyśliłby się, że zostali zamordowani.

Nie pierwszy raz byłem świadkiem zabójstwa wybitnej osobistości. Dwadzieścia osiem lat temu na moich oczach zmarł Nicolas Fouquet, nadintendent finansów Arcychrześcijańskiego Króla. Wiódł życie wystawione na oszczerstwa i nienawiść; taki koniec był nieunikniony. Jego wspaniały pałac w Vaux-le-Vicomte, obiekt powszechnej zazdrości, dziś jest zaniedbany, podobnie jak Bezimienne Miejsce. Innymi słowy, Fouquet to obok Maksymiliana i Józefa równie tragiczna postać.

Tymczasem w Łoży Kawalerów smutny chór śpiewał błaganie, nawiązujące do tego, co czułem:

Stwórz, o Boże, we mnie serce czyste i odnow w mojej piersi ducha niezwykłego\*[\* Psalm 51 (50), 12, tamże.].

Józefie Zwycięski! Twoja śmierć demaskuje winnego. Zabójstwo bohatera spod Landau nie mogło być dziełem kogoś, kto mu dorównywał wielkością. Jeśli Król Słońce nie życzył sobie, byś zginął w boju, dlaczego dopuścił do tego, byś został skrycie zamordowany? Zabili cię ludzie ubodzy duchem, podli. Twoja śmierć oznacza kres pewnej epoki. Czasy królów, wielkich postaci, minęły bezpowrotnie. Dawniej, jak pouczył mnie opat Melani na przykładzie gry w szachy, przegrany monarcha pozostawał przy życiu. W tym stuleciu ta zasada nie obowiązuje. Dają o sobie znać nieznanne siły, uosabiane przez ludzi bez twarzy i imienia.

Chór pod dyрекcją *Chormaisterin*, z przepięknymi głosami Orsiniego i Landiny na pierwszym planie, zachęcał do zawierzenia nieskończonej mądrości Boga:

Chcę nieprawych nauczyć dróg Twoich i nawrócą się do Ciebie grzesznicy\*[\* Psalm 51 (50), 15, tamże.].

Atto modlił się po cichu. Od czasu do czasu wyciągał pomarszczoną szyję, by spojrzeć w stronę katafalku na trumnę z ciałem młodego cesarza. On pierwszy pojął, że nadchodzą nowe czasy. Zleceniodawcy zabójstwa Józefa grali w tej samej komedii, czerpali korzyści z tej śmierci, jak lwy, które szarpały konającego byka w Neugebau. Anglia i Holandia, pomysłodawcy, nie dopuściły do tego, by cesarstwo stało się zbyt silne i zburzyło równowagę pomiędzy potęgami Europy. Do ich sprzymierzeńców należeli: jezuici, którzy zemścili się za to, że Józef nie był ich wychowankiem, co więcej, pozbył się ich z dworu; Karol, przyszły cesarz, żywiący głęboką nienawiść do starszego brata; dawni ministrowie, których Józef

przepędził lub zmusił do posłuszeństwa; Eugeniusz Sabaudzki zwany *madame* La Vieille, który pomścił zniewagę spod Landau, kiedy młodziutki Józef ośmielił się zastąpić największego generała pederastę wszech czasów; wreszcie siepacze, czyli islam zaplątany w machinacje kogoś z Zachodu.

Kto więc dokonał zabójstwa? Wszyscy. Wszyscy włożyli broń do ręki szalonego derwisza o stu imionach, takich jak Palatyn, Ammon, Cieze-ber, który chyba naprawdę miał sześćset lat. A może było odwrotnie? Może to derwisz i ci, którzy podobnie jak on mają wiele imion, a żadnego nazwiska, wmanewrowali Anglię, Holandię, jezuitów, ministrów, a nawet Eugeniusza i Karola, żeby dokonała się hańba?

W Łoży Kawalerów zrobiło się duszno i gorąco. Spod peruk zgromadzonych ludzi spływał pot, panowało ogólne zmęczenie.

Może Józef Zwycięski pragnął odrestaurować Bezimienne Miejsce, pomyślałem, ponieważ sądził, że ma dość sił, by gwizdać sobie na moce, które zniszczyły Neugebau i Maksymiliana? A tymczasem...

Popatrzyłem na Atta. Odwzajemnił moje spojrzenie i przez chwilę wydawało mi, że jego źrenice mówią coś do mnie. Było to oczywiście przywidzenie, wywołane smutną atmosferą panującą wokół nas:

*Zapamiętaj sobie, chłopcze, bladą twarz Józefal To ostatni taki władca. Przyszli królowie będą bezwolnymi marionetkami w rękach bezro-zumnych ludzi bez głowy, potworów, którzy nikogo nie słuchają. Kto się do nich przyłączy, stanie się ich więźniem. Pewnego dnia lud wyjdzie na ulice, jak podczas frondy w dniu „tajemniczych barykad”, kiedyż nicości wyłoniły się zastępy szaleńców, gotowych wszystko zburzyć, znieważyc każdy autorytet i święty symbol. Jak w Pradze, podczas pogrzebu Maksymiliana U. Nie będzie to trwać dzień ani dwa dni. Nie, nadchodzi czas Terroru. Uzbrojony w sierpy i siekiery, na dziesięciolecia zawładnie ulicą. Odetnie język Prawdzie i głowę sprawiedliwym. Systematyczną rzeź i zakamuflowaną tyranię nazwą Wolnością, Równością i Braterstwem.*

Oderwałem wzrok od Atta. Do Łoży weszły zakonnice z różańcami w ręku. Po chwili ponownie spojrzeliśmy sobie z Attem w oczy:

*Nie usłyszysz ode mnie więcej nauk. Teraz już wiesz i sam zrozumiesz sens przyszłych wydarzeń. Cała reszta - sojusze polityczne, wojny, kryzysy ekonomiczne - jest fałszem. O wszystkim zdecydują synowie, wnukowie i prawnukowie zabójców Józefa.*

Przypomniałem sobie, jak przed trzydziestu laty mój świętej pamięci teść pomstował na związki matrymonialne między spokrewnionymi rodami królewskimi, na odwieczne kazirodztwo, którego dopuszczają się panujące dynastie. Z nagłym błyskiem w oczach Atto

dał mi do zrozumienia, że chodziło o coś innego:

*Od tej pory sojusze małżeńskie i więzy krwi będą trzymane w ścisłej tajemnicy. Nic nie będzie wyjawione, aby uniemożliwić odkrycie prawdy, a jeśli ktoś ją pozna, uznany będzie za szaleńca.*

Pomyślałem o Albicastrze, ekscentrycznym skrzypku, którego poznałem przed jedenastu laty podczas mojego drugiego spotkania z Attem. Wygłosił podobną przepowiednię i doskonale ją zrozumiałem. Dał mi wskazówki, niezbędne w zmaganiach z nowym światem.

Latający statek, przez wszystkich opuszczony, ale jeszcze zdolny wznieść się w powietrze - którego pierwszy tajemniczy sternik, pochodzący z Portugalii (podobnie jak ulubiona melodia Albicastra, folia), został po kryjomu stracony - był znakiem, że do głosu doszły siły przeciwne tym naukom.

Milczałem. Ale czy słusznie?

Paryż

*Wydarzenia z lat 1711-1713*

Podróż do Paryża była bardzo długa, męcząca. Podczas postojów Atto nie mógł się obyć bez lektyki. Wszyscy się nim opiekowaliśmy: Domeni-co, Cloridia i ja, zdrów, choć pozbawiony głosu.

W pośpiechu przekazaliśmy moje dochodowe przedsiębiorstwo kominiarskie pewnej włoskiej rodzinie. W transakcji pośredniczyła Camilla. Dzięki doświadczeniu zdobytemu w Porta Coeli sprawiła się doskonale. Zakonnice, jak wiadomo, znają się na prowadzeniu interesów. Pieniądze ze sprzedaży przedsiębiorstwa przesłałem córkom w Rzymie. Było to od dawna oczekiwane wiano.

Chciałem sprzedać także winnicę i dom w dzielnicy Josephina. Bałem się opuścić je tak po prostu, nie wiadomo na jak długo. Ktoś mógłby je sobie przywłaszczyć, ale Cloridia nie zgodziła się. Zwróciła się o pomoc do siostry. Camilla obiecała, że osobiście zaopiekuje się domem. Opat Melani pochwalił tę decyzję: „Kupcy chcieliby pozbawić nas ziemi, dając w zamian bezużyteczne banknoty, które z dnia na dzień mogą stracić na wartości. Ziemia jest bezcenna, mój chłopcze. Żywi i daje wolność”.

W Paryżu Atto mieszkał przy rue des Vieux Augustins, ulicy Starych Augustianów, w mieszkaniu wynajętym od niejakiego *monsieur* de Mon-tholon. Zabawne, pomyślałem, wyruszyliśmy z klasztoru sióstr augustia-nek, aby zamieszkać przy ulicy noszącej nazwę tego samego zakonu.

Początkowo sądziłem, że będę pracował jako służący lub lokaj Atta. Na miejscu okazało się, że stary opat ma cały zastęp sług. Cloridia zajęła miejsce starej guwernantki,

która odeszła na zasłużony odpoczynek, synek uczył się całymi dniami, tylko ja nie miałem co robić.

Nie wiedziałem, że Atto ma wobec mnie szczególne plany, i to od dawna.

Nie pierwszy raz poprosił mnie, żebym u niego zamieszkał. Zaproponował mi to przed dwudziestu ośmiu laty, w 1683 roku. Odmówiłem, poirytowany tysiącami intryg i kłamstw opata.

Teraz wreszcie mógł spełnić swoje pragnienie. Aby nie czuł się zbyt cenny, zlecał mi drobne prace i dawał wynagrodzenie godne sekretarza kardynała. Większość czasu, prawdę mówiąc, spędzałem na słuchaniu opowieści opata. Zaczął od swoich korzeni. Zwierzał mi się, nie pomijając niczego, nawet barbarzyńskiej decyzji ojca o wykastrowaniu go. Gdy do domu przyszedł cyrulik, mały Atto rozstał się z dziecięcymi marzeniami, skończyło się jego dzieciństwo.

Melani mówił bez przerwy, nawet z pełnymi ustami w czasie posiłków. Późnym wieczorem, gdy miał trudności z zaśnięciem, wyciągał mnie z łóżka, żebym dotrzymał mu towarzystwa. Clordia cierpliwie znosiła kaprysy opata. Rozumiała, że staruszek musi się wygadać.

Opat otworzył przede mną serce, wyspowiadał się ze wszystkich intryg, sekretów, przyprawiających mnie o dreszcze, niewybaczalnych grzechów, za które odpowie przed Panem. Czasami ogarniało go z tego powodu przygnębienie, innym razem wydawał się pogodzony. Przez trzy lata pobytu w domu Atta miałem okazję poznać całe jego długie życie. Niektóre wydarzenia z lat późniejszych przeżyłem wspólnie z opatem i sądziłem, że nie przedstawiają dla mnie żadnej tajemnicy, tymczasem...

Krótko mówiąc, życie moje, Clorii i Atta Melaniego płynęło spokojnie. Regularnie otrzymywaliśmy listy z Rzymu, od naszych córek, które zaręczyły się z porządnymi młodzieńcami ze skromnych domów (w Rzymie, stolicy lichwy, nie mogło być inaczej...), ale za to pełnymi dobrej woli.

Podczas pobytu w Paryżu byliśmy świadkami ciągłych sporów Atta z krewniakami. Domenico, jak zapowiedział opat, został odesłany do Toskanii. Częstym gościem Melaniego był niejaki Champigny, który pracował jako jego sekretarz. Atto dyktował mu listy do krewnych we Włoszech, utrzymując ich w przekonaniu, że całkowicie oślepl. Domenico nie wydał stryja, skuszony perspektywą otrzymania dużego spadku.

Opat i jego krewni sprawiali wrażenie przekomarzających się dzieci. Obie strony ciągle czegoś żądały i zgłaszały jakieś pretensje. W czerwcu opat wyrzucał bratankom, że nie przysłali mu kandyzowanych pomarańczy, jakby w Paryżu nie było sycylijskich cukierni!

Narzekał, że zaniedbują lasek w Toskanii, będący jego własnością. W sierpniu napisał do bratanków, że doskonale wie, jakimi sumami obracają, ponieważ Domenico, pełniący urząd sekretarza rady miejskiej w Sienie, przysłał mu wykaz wszystkich rodzinnych poborów i przywilejów. Przyjąwszy cios i chcąc udobruchać Atta, bratankowie obiecali, że wyślą do Paryża ziomka z salcesonem i mortadelą najlepszej jakości, nie taką jak ta poprzednia, twarda i pieprzna, którą posłali mu przed wyjazdem do Wiednia.

Z rodzinnej Toskanii nie nadchodziły jednak wyłącznie przykre wiadomości. W wiejskiej rezydencji Melaniego gościła w tym czasie konstablowa Maria Mancini, jego dawna, uwielbiana przyjaciółka, z którą przed jedenastu laty spiskował na moich oczach, zmieniając losy Europy. Listy od konstablowej sprawiały, że twarz Atta wypogadzała się, zaczynał mówić o wyjeździe do Wersalu i audiencji u Jego Wysokości, podczas której poprosi o pozwolenie na podróż do Pistoii i do swojej Marii.

Co roku powtarzało się to samo. Z nadejściem wiosny Maria przenosiła się do domu Atta w Toskanii. Stary opat kazał szykować karetę i jechał do króla prosić o zgodę na wyjazd do Włoch. Władca odmawiał. Melani gryzł palce ze złości i ponawiał próby, krążąc między Paryżem i Wersalem niczym młodzieniaszek. Myśl o konstablowej, jedynej kobiecie, którą kochał, dodawała mu sił. Jeśli dobrze policzyć, nie widzieli się od pięćdziesięciu lat.

Jesienią tego roku Atto przewrócił się w swoim pokoju i przez całą zimę nie wychodził, mimo że dobrze się czuł. Kandyzowane pomarańcze, najlepsza mortadela i salceson, jak również pomada i pomarańczowe cukierki, których zażądał później, nie przychodziły. Opat systematycznie słał do Pistoii kurierów, aby sprawdzali, w jakim stanie jest jego dom, jak się miewają bratankowie, i zdobywali dla niego ulubione smakołyki (Atto był bardzo uparty!). Ostatnio powiadomił krewnych, że po zakończeniu wojny ściągnie do Pistoii i pozostanie tam przez rok.

Rok później jednak, w marcu 1712 roku, nie zanosilo się na pokój. Ku mojemu zaskoczeniu opat bardzo żałował, że przed dwunastu laty przyczynił się do wyboru papieża Albaniego. Z tęsknotą wspominał swojego zmarłego przyjaciela, kardynała Buonvisiego. Kazał skopiować kilka jego listów i wysłać do Pistoii, żeby zachowały się dla potomności.

- Gdyby został papieżem - popłakiwał - Niemcy nie gnębiliby Toskanii, a pokój byłby zawarty już dawno temu. Bóg, pragnąc ukarać świat chrześcijański, wezwał go do siebie na dwa miesiące przed konklawe. Gdyby Buonvisi żył, na pewno zostałby papieżem, a nie Albani, a ja zakończyłbym swoje życie w Rzymie, a nie we Francji!

Wojna trwała nadal. Tak jak zapowiedział Palatyn, pokój w wyniszczonej Europie zapanuje na warunkach podyktowanych przez kupców. Opat również padł ofiarą tej sytuacji.

Nie dostawał renty, zarówno królewskiej, jak i tej z ratusza. Aby zapłacić tysiąc franków miesięcznie za wynajem mieszkania, musiał naruszyć oszczędności.

Jednak nie wszyscy mieli podobne możliwości. Na skutek szerzącej się biedy nawet protegowani konstablowej zachowywali się jak zwykli oszuści. Niejaki pan Jamal, na przykład, wyjechał nagle z Paryża i zmienił nazwisko, nie zwracając opatowi dwustu franków pożyczki. Na szczęście pani Colonna uregulowała dług.

Czary goryczy dopełniało to, że wyczekiwane kandyzowane pomarańcze, wysłane w końcu przez bratanków, zostały skradzione.

Jedyną pociechą dla Atta była lektura listów. Jeden z bratanków donosił, że jego niedawno urodzonego synka będzie podawał do chrztu księżę. Zdaniem pani konstablowej niemowlę było podobne do stiukowe-go putta z Lukki. Przeczytawszy list od Marii Mancini, następnego dnia Atto wyruszał o świcie do Wersalu błagać króla o zgodę na powrót do Pistoii.

W 1713 roku bratanek miał już dwóch synków. Stan zdrowia Atta znacznie się pogorszył. Przebywał w swoim pokoju i nigdzie nie wychodził, nawet na mszę. Oślepl naprawdę. Nierozważnie napisał bratankom, że „spadło na niego kolejne nieszczęście, nie może bowiem czytać ani pisać”. Bardzo się zdziwili, gdyż opat urzymywał ich w przekonaniu, że jest ociemniały od lat. Nadzieję na odzyskanie wzroku dał mu przyjaciel *monsieur de la Haye*, który w wieku 80 lat odzyskał zdolność widzenia, ale w przypadku Atta cud się jednak nie zdarzył.

Latem, przeczuwając, że dni opata są policzone, wielki księżę posłał do niego Domenica. Atto był bardzo słaby, ale nadal wierzył, że uda mu się wrócić do Pistoii.

W tym samym roku Francja sięgnęła dna. Gospodarka była w rozpaczliwym stanie, zdaniem Atta nawet sto lat pokoju nie wystarczyłoby, żeby spłacić długi króla. Wszystkie dochody królestwa zostały zastawione, obawiano się, że podobny los spotka finanse ratusza. Od dwóch lat nie wypłacano rent, z których utrzymywała się połowa poddanych królestwa. Atto wyczerpał już wszystkie środki pieniężne, nie miał czym zapłacić za mieszkanie. Powrót do Pistoii jawił mu się jako ostatnia deska ratunku. Na szczęście miał jeszcze nieruchomości.

W listopadzie 1713 roku do opata dotarła wieść, że Maria nadal przebywa w jego domu w Pistoii. Pokój był niemal pewny. Księżę Eugeniusz i marszałek de Villars spotkali się w Rastatt i wszystko wskazywało na to, że przed Bożym Narodzeniem podpiszą zawieszenie broni. Europa została rzucona na kolana. Z końcem zimy Atto zamierzał pojechać do Wersalu i wybłagać u Arcychrześcijańskiego Króla zgodę na wyjazd z Paryża. Gondi, sekretarz Medyceuszy, zajął się już szukaniem dla niego domu we Florencji, w Borgo Santo Spirito. Obiecał, że da znać, gdy znajdzie coś godnego uwagi. Atto nie miał najmniejszego zamiaru



wycofać się z życia politycznego i nie zważając na wiek, chciał podróżować między Pistoją a Florencją. Sądził, że po zawarciu pokoju król pozwoli mu wrócić do Włoch i napisał o tym do Pistoji, nie podejrzewając, że będzie to jego ostatni list do bratanków.

Tej mroźnej zimy, w ostatnich miesiącach życia Atta, zaszedłem do pewnego księgarza z Pontevedro, u którego regularnie zaopatrywałem się w książki. Kiedy szykowałem się do zakupu, wepchnął się przede mnie jakiś człowiek o długich nogach. Twarz zakrywał mu gruby wełniany szalik. Zapytał księgarza, czy może u niego kupić książkę zatytułowaną *Opowieści z Pół-Azji*. Zdziwiony sprzedawca powiedział, że nigdy nie słyszał o takim dziele. Idąc w stronę wyjścia, klient odwrócił się i mruknął pod nosem:

- Ci z Pontevedro są wszyscy tacy sami! Pół-Azja!

Podniosłem wzrok. Jak przez sen ujrzałem modre oczy wysokiego, lekko przygarbionego chłopaka, którego dobrze znałem. Mrugnął do mnie porozumiewawczo znad szalika. Włożył mi coś do ręki i szybko wyszedł z księgarni. Miałem ochotę za nim pobiec, ale wiedziałem, że go nie dogonię. Chciałem krzyknąć, ale byłem niemową. Roześmiałem się w duchu i poczułem się lekki jak piórko, gdy spostrzegłem, że trzymam w dłoni cieniutką książeczkę:

#### Doctoris Henrici Casparis Abelii Studenten Kiinste

Między kartkami tkwiła mała zakładka. Otworzyłem książeczkę na stronie, którą wskazywała, z opisem sposobów wytwarzania kamizelek ochronnych i środków nasennych, działających przez trzy dni, a także metody poskramiania psów. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Pantera i inne zwierzęta zostały uśpione na jakiś czas, a mój pomocnik uciekł podziemnym tunelem na równinę Simmering. Frosch wspominał o tym sekretnym przejściu, ale zapomniałem o nim, w przeciwieństwie do Simonisa. Na marginesie widniał zapisek poczyniony ręką Simonisa, *alias* Szymona, kto wie, jakie było jego prawdziwe imię: „Dziękuję”. Poczulem się szczęśliwy.

Pewnej nocy przyśniła mi się tajemnicza istota w śnieżnobiałym płaszczu z kapturem. Przybyła na pokładzie latającego statku i uniosła mnie na dzwonnice katedry Świętego Szczepana. Ujrzałem kamienny postument, na którym niegdyś spoczywało złote jabłko. Na jego miejscu znajdowało się jabłko cesarskie, symbol archanioła Michała, obrońcy ludu Bożego. Zakapturzona istota wskazała napis: siedem słów wypisanych mieczem archanioła:

Imprimatur

Secretum

Veritas

Mysterium

Nieco niżej widniało słowo *unicum*. A dwa ostatnie słowa? Latający statek oddalił się od iglicy, zniesiony porywem wiatru. Staralem się przeczytać koniec przesłania, ale nadaremnie. *Imprimatur et secretum, veritas mysteriumst*, powtarzała głośno nieznana istota, wzorem starożytnych epigrafów, w których pomijano czasowniki i przysłówki. „Można odkryć sekret, ale prawda pozostanie tajemnicą”, przetłumaczył nieznajomy.

Następnie dodał: *unicum...* Pozostaje tylko... Co pozostaje? Zsunął kaptur i odsłonił uśmiechniętą twarz... Ugonio! Obudziłem się nagle i zapomniałem, jak kończyło się zdanie. Ale może lepiej nie zagłębiać się w to zbytnio. Być może było to tylko jedno z dziwacznych przesłań łowcy relikwii: *allium ursinum*, wielki introligator, czy *Albanum* w wili Spada, które przed laty wprowadziły w błąd mnie i opata Melaniego, utrudniając śledztwo...

Paryż

6 stycznia 1714 roku

Przecknąłem się, gdy ktoś mnie nagle szturchnął, i powróciłem do teraźniejszości. Ceremonia dobiegła końca. Osoby przybyłe na pogrzeb opata Melaniego wychodziły z kościoła. Srebrne anioły, litościwie podtrzymujące jego śmiertelne szczątki, zwróciły trumnę starym służącym, którzy skierowali się do bocznej kaplicy, obok ołtarza głównego, na wprost drzwi do zakrystii, gdzie miał być pochowany. Miejsce było przygotowane, otwarte i puste, gotowe przyjąć ciało. Wkrótce kaplicę ozdobi pomnik nagrobny z popiersiem opata, dłuta florentyńczyka Rastrellego, aby wszyscy, którzy odwiedzą kościół, pamiętali o opacie Atcie Mela-nim.

Organizm starego opata pokonała influenza kataralna, opisana w annałach medycznych, przede wszystkim zaś w traktacie doktora Vitiego. Pierwsze objawy wystąpiły w grudniu: gorączka, kaszel, lekkie zapalenie gardła, słabo wyczuwalne tętno, płwociny zabarwione krwią. Atto żartował: „To Tekuphot”. Śmiechem pokrywał strach przed śmiercią. Leczyliśmy go, nacierając ciało wodą z dodatkiem słoju jęczmiennego, co wywołało obfite poty i przyniosło niejaką poprawę. Nadal odpluwał flegmę, ale bez krwi. Diagnoza lekarzy brzmiała: „Rzekome limfatyczne zapalenie opłucnej” - zagadkowe słowa w stylu Ugonia. Zapisali mu mirrę zmieszaną z kamforą, środki przeczyszczające i uśmierzające, a nawet wielorybią spernę, medykament niezwykle kosztowny, który zaprzepaścił poprawę zdrowia chorego z chwilą, gdy przyszło do zapłaty.

Kiedy najgorsze minęło, Atto odzyskał trzeźwość myślenia. Często stawał przy oknie, zamyślony, z przymrużonymi powiekami, nucąc arię Luigiego Rossiego. Byłem pewien, że myślał z uśmiechem o królu w wieku dziecięcym, który przed sześćdziesięciu laty słuchał jej w zamku Saint Germain. Rozmyślał też zapewne o kapryśnym splocie szczęścia i

niepowodzeń, o zawiści, przyjaźniach, zdradach, niespełnionych miłościach, o zadanych mu gwałtach, zwłaszcza o jednym, oraz o nieubłaganym losie. Obserwując go, nie będąc widzianym, wyobrażałem sobie, że rozważa w pamięci swoje winy i zasługi, świadomy, że wiernie służył zarówno muzyce, jak i Arcychrześcijańskiemu Królowi, a niebawem miał służyć najważniejszemu Panu.

Razem z Domenikiem i Chapignym obawialiśmy się nieżyty oskrzeli i gorączki, która męczyła Atta za dnia. Modliliśmy się, żeby przeżył zimę. On tymczasem wyglądał na pogodzonego z wolą Boga. Był gotów odejść z tego świata i ze spokojem mówił o śmierci, powierzając Dome-nicowi wiele spraw, o które bratanek miał zadbać, gdy jego zabraknie. Nade wszystko jednak opat polecił zapakować do skrzyń wszystkie jego pisma i książki i przekazać hrabiemu Bardiemu, wysłannikowi Medy-ceuszy w Paryżu, aby wysłał je do Pistoii. Listy i pamiętniki Atta Mela-niego kryły zbyt wiele tajemnic, by można było zaryzykować pozostawienie ich w domu!

Tydzień temu, w dzień świętego Szczepana, 26 grudnia, usłyszałem, jak Atto mruczy pod nosem: „Pogoda nie sprzyja mojej rekonwalescencji”. Po chwili dodał z odcieniem próżności: „Ale zdrowym też nie służy”. Cóż za optymizm! Mówił o swojej śmierci, ale w nią nie wierzył. To, co nazywał rekonwalescencją, było w istocie umieraniem.

Cztery dni później, 30 grudnia, podniósł się raptownie z łóżka, twierdząc, że się dusi. Posadziliśmy go w fotelu, ale to mu nie odpowiadało. Chciał przejść kilka kroków po pokoju, z pomocą moją i Domenica. Ledwo jednak się poruszył, wykrzyknął: „Niestety, nie dam rady!”. Czym prędzej posadziliśmy go ponownie. Opat zemdłał, więc położyliśmy go do łóżka. Wezwaliśmy Cloridię, która pokropiła go wodą królowej Węgier, przyslaną przez Gondiego, sekretarza wielkiego księcia. Atto odzyskał przytomność, ale po kwadransie ponownie zaniemógł.

„Nie opuszczajcie mnie!” - powiedział i stracił przytomność. Przez cztery dni leżał bez czucia. Lekarze byli zdumieni, że osiemdziesięcio-ośmioletni starzec ma takie silne serce. Przedwczoraj, w środę 4 stycznia, dwie godziny po północy, otworzył oczy i odwrócił głowę w moją stronę. Siedziałem przy jego łóżku, nie opuszczając go ani na chwilę, podobnie jak on uczynił przed trzema laty, kiedy byłem chory. Wziąłem jego kościste, zimne ręce w swoje dłonie. Wyszeptał: „Zostań ze mną!” - i wydał ostatnie tchnienie.

Przechodząc przez kościół Augustianów Bosych, miałem wrażenie, że Atto idzie u mojego boku, podobnie jak trzy lata temu, 20 kwietnia w innym kościele, dziwnym zbiegiem okoliczności należącym również do augustianów bosych. Był wtedy pogrzeb Jego Cesarskiej Wysokości Józefa Zwycięskiego, na którym za żadne skarby świata nie mogło mnie

zabraknąć. Ostatnie pożegnanie z Attem obudziło we mnie dawne wspomnienia.

Po błogosławieństwie udzielonym przez biskupa Wiednia ciało cesarza zostało przeniesione do nowego sarkofagu, wyściełanego czarno-złotyksamitem, który zabito połączanymi gwoździami. Trumna miała wiele złotych elementów, takich jak zamknięcie, klucze, uchwyty do transportu oraz znaki J. I., czyli Józef I., wyryte pośrodku wieka. Karmelitanki bose od św. Józefa przykryły trumnę kobiercem, używanym podczas pogrzebów cesarzy. U stóp trumny złożyły korony Czech i Węgier, a na górze cesarskie insygnia z orderem Złotego Runa oraz sztylet i dagę z cesarskim orłem. Urnę z sercem i językiem zmarłego przeniesiono w absolutnej ciszy do Kaplicy Loretańskiej w kościele Augustianów Bosych, stawiając ją obok innych ośmiu urn z sercami poprzedników Józefa I. Zaraz potem urnę z mózgiem, oczami i trzewiami cesarza przewieziono sześciokonnym zaprzęgiem, wśród pochodu świec, do katedry Świętego Szczepana i złożono w krypcie arcyksiężęcej austriackich Habsburgów, gdzie znajdowały się dwadzieścia dwie urny z podobną zawartością.

Zapadła noc, przyszedł czas na ostatnie pożegnanie. Kondukt żałobny wrócił do Łoży Kawalerów, gdzie czekała królowa matka wraz z innymi członkami rodziny cesarskiej, oprócz królowej wdowy, która pozostała w pałacu z najmłodszą córką. Trumnę, w asyście całego dworu i nuncjusza papieskiego, przeniesiono niskim pałacowym korytarzem do kościoła Augustianów Bosych. Między godziną dwudziestą a dwudziestą pierwszą dopełniono wszystkich żałobnych obrządków. Następnie augustianie przekazali trumnę kapucynom.

O godzinie dwudziestej pierwszej we wszystkich kościołach arcyksięstwa Austrii zaczęły bić dzwony i do kościoła Kapucynów przybyły tłumy wiernych. Trumna z ciałem cesarza, oświetlona tysiącami latarni i pochodni zatkniętych na wszystkich wiedeńskich dzwonicach, dotarła do kościoła. Po jej obu stronach kroczyli przedstawiciele arystokracji z dwoma tuzinami białych pochodni, których płomienie drżały na silnym wietrze. W środku czekała straż miejska w komplecie, z odwróconymi chorągwiami. Z ciemnych bębnow dobywało się głucho dudnienie śmierci.

Ściśnięty w tłumie czekałem z Attem na wniesienie trumny. Z trudem dostrzegałem kondukt żałobny. Tuż za trumną szła królowa matka, o nieprzeniknionej twarzy, w otoczeniu trzech kamerdynerów, oświetlona pochodniami niesionymi przez siedmiu młodych arystokratów. Jej Wysokość Eleonora Magdalena Teresa niedawno została mianowana królową regentką. Opat Melani, jak miałem się później dowiedzieć, z pomocą Ca-milli i Vinzenza Rossiego zdołał dostarczyć królowej sfałszowany list księcia Eugeniusza, aby w

jakiś sposób powstrzymać chęć walki Sabaud-czyka i ograniczyć jego wpływy za rządów przysłego cesarza Karola. Atto dobrze wiedział, że Eugeniusz zamierza nadal prowadzić wojnę z Francją, nawet bez sojuszników angielskich i holenderskich. Kto wie, czy list na coś się przydał.

Za królową matką kroczyły siostry i starsza córka Józefa, również w otoczeniu pochodni.

Gdy Józef dotarł do miejsca wiecznego spoczynku w kościele Kapucynów, nadworni muzycy zaintonowali *Libera me Domine*. Właśnie tego roku cesarz, jakby tknięty przecuciem, polecił rozbudować kryptę, dwukrotnie ją powiększając. Ciało cesarza spoczęło w dużym sarkofagu pośrodku krypty. Klucz do niego dołączył do innych kluczy do pozostałych grobowców austriackich Habsburgów, trzymany w skarbcu cesarskim. W ten sposób dobiegły końca trzydzieści trzy lata życia Jego Cesarskiej Wysokości Józefa Zwycięskiego, pierwszego cesarza o tym imieniu.

Wiedeń

*Grudzień 1720 roku*

Po śmierci opata Melaniego wyjechałem z Paryża, podobnie jak Do-menico.

Trwająca trzynaście lat hiszpańska wojna sukcesyjna dobiegła końca. W 1713 roku podpisano traktat pokojowy w Utrechcie, a w roku 1714 w Rastatt i Baden.

Tak jak przewidywał Atto, najbardziej obłowili się angielscy kupcy. Anglia wydarła Hiszpanii Gibraltar i zdobyła monopol na handel niewolnikami, a Francja zyskała kolonie północnoamerykańskie.

Zyskali więc nie tylko pomysłodawcy, ale także zwolennicy nowych czasów.

Cesarzowi Karolowi VI, bratu i następcy Józefa, sprezentowano hiszpańską Flandrię, Mediolan, Mantuę, Neapol oraz Sycylię. W Hiszpanii, 11 września 1714 roku francusko-hiszpańskie oddziały Filipa Andegaweńskiego, późniejszego króla Filipa V Burbona, zajęły Barcelonę, kładąc kres niepodległości miasta opuszczonego przez Karola, który zasiadł na upragnionym tronie cesarskim.

Sabaudowie, z małych książąt prowadzących podwójną grę, o których opowiadał mi Atto, zostali wyniesieni do rangi królewskiej na Sycylii. Była to zasługa Eugeniusza. W ten sposób Półwysep Apeniński znalazł się jakby w sabaudzkich objęciach. Na północy rządzą w Piemencie, a na południu na Sycylii, co stanowiło zapowiedź kolejnego planu przyjaciół derwisza, jakim były Włochy pod rządami króla.

Twierdzę Landau, od 1704 roku, należącą do cesarstwa, odbili w 1713 Francuzi. Historia lubi się powtarzać: dowódca garnizonu obleganej twierdzy, księżę Aleksander von

Wiirttemberg, kazał przetopić swoją złotą i srebrną zastawę. Winę za ten stan rzeczy ponosił Eugeniusz. Gdyby nie prowadził wojny do ostatniej chwili, cesarstwo utrzymałoby Landau w swoich rękach.

Przepowiednia Atta co do Eugeniusza spełniła się. Karol VI uczynił (i czyni) dla niego wszystko, czego zażądał. Na nic się zdało dostarczenie sfałszowanego listu Eugeniusza królowej matce.

Nad pałacem cesarskim zaczęły się gromadzić czarne chmury. Zgodnie z przewidywaniami derwisza dynastia Habsburgów wkrótce wygaśnie. Następcą tronu może być tylko syn, a Karol VI nie ma męskich potomków. Syn Karola, który urodził się przed czterema laty, w roku 1716, zmarł jako kilkumiesięczne niemowlę. Dziwnym zbiegiem okoliczności podobny los spotkał syna Józefa I.

Następczyniami Karola VI powinny być córki Józefa, z czego cesarz, ma się rozumieć, nie jest zadowolony. W 1713 roku Karol, mimo że po pięciu latach małżeństwa nie miał jeszcze potomstwa, wydał sankcję pragmatyczną, w myśl której po jego śmierci na tronie miały zasiąść jego dzieci, a nie Józefa. Tak więc tron odziedziczy starsza córka Karola Maria Teresa. Decyzja w rzeczy samej arbitralna. Karol od lat zabiega o nadanie sankcji pragmatycznej mocy prawnej. W zamian obiecuje morza, góry, a nawet ziemie. Gotów jest oddać wszystko, byle tylko na tronie nie zasiadła córka znenawidzonego brata.

Nienawiść Karola osłabia cesarstwo, księżęta niemieccy niecierpliwą się. Zbliża się chwila, kiedy Niemcy się odłączą i będą mieć władzę już nie w katolickim Wiedniu.

Jak przewidywał Atto, ta wojna przesądziła o końcu świata. Rozpoczęła się agonia ludzkości. Oligarchowie decydują przy stole o losach państw oddalonych o tysiące kilometrów. W Utrechcie podjęto decyzję co do kolonii Nowego Świata. Sojusze polityczne są jedynie działaniami fasadowymi, za którymi kryją się bankierzy. Kto, jak Arcychrześcijański Król czy Józef Zwycięski, nie daje sobą rządzić, wypada z gry razem ze swoimi potomkami. Nie liczą się już prawa dynastyczne ani wojenne zdobycze, ale wyłącznie pieniądze. Czy to nie w czasie wojny sukcesyjnej monety zastąpiono banknotami?

Od naszych francuskich przyjaciół dowiedziałem się, że w Paryżu żyje się coraz ciężiej, gorzej nawet niż w Rzymie.

Pięć lat temu, w 1715 roku, zmarł Król Słońce. Na gangrenę, tak jak przewidział Palatyn. Przed nim w latach 1711-1712, zmarły wszystkie jego dzieci z prawego łóża oraz wnuki (to również prorokował derwisz), z wyjątkiem dwuletniego chłopczyka. Luigiego uratowały nianie. Zamknęły się z nim w jednym ze skrzydeł pałacu i zabroniły wstępu lekarzom. Były przekonane, że członkowie rodziny królewskiej nie umierają wskutek chorób,

lecz nieodpowiedniego leczenia.

Atto Melani miał rację. „Z królem takim jak Wielki Delfin - powiedział mi w Wiedniu - Francja mogłaby uwolnić się od spirali arogancji i zniszczeń, ale nie chcą tego Anglia i Holandia. Pragną, by kraj ten został doprowadzony do jeszcze większej ruiny, a dwór był znieawidzony przez lud. Na przeszkodzie stoją dorośli synowie i wnuk Arcychrześcijańskiego Króla. Najlepiej by było, żeby w ogóle nie miał potomków”.

Arcychrześcijański Król zasiadł na tronie w wieku zaledwie czterech lat. Rządy w jego imieniu sprawowała królowa matka Anna Austriaczka z pierwszym ministrem kardynałem Richelieu, a później Mazzarinim u boku, którzy chronili kraj przed ingerencją obcych mocarstw. Teraz nie ma ani królowej, ani pierwszego ministra.

„Ludwik XIV zgromadził całą władzę w swoich rękach - mówił Atto. - Okres regencji po jego śmierci wystawiłby kraj na łaskę pierwszego lepszego intryganta, przybyłego z Anglii lub Holandii, który doprowadziłby Francję do całkowitej ruiny”.

Otóż to! Przyjaciele Palatyna tylko na to czekali. Kilka miesięcy po śmierci Arcychrześcijańskiego Króla z Holandii przybył ich człowiek, Szkot, niejaki John Law, którego teoria finansowa doprowadziła Francję do katastrofy ekonomicznej na niewyobrażalną skalę.

Opublikowano nawet traktat tego szalbierza, zatytułowany *Money and Trade Considered*, czyli „Uwagi na temat handlu i pieniędzy”. Wydano go też w wersji francuskiej, ale nie udało mi się jej znaleźć. Nie znam angielskiego, ale mój syn zna. Atto wiedział, że Anglia będzie prawdziwym zwycięzcą w wojnie i, wprawdzie niechętnie, kazał oprócz włoskiego, łaciny, greki, niemieckiego i francuskiego uczyć go także języka kupców.

Synek (prawdę mówiąc, jest już dużym chłopcem) przetłumaczył mi fragmenty traktatu, z których czarno na białym wynika, w jaki sposób Law dobił Francję. Jego zdaniem najlepszym bodźcem nakręcającym koniunkturę są... pożyczki i nadmierna emisja banknotów! Papierowe pieniądze wyparły monety, które warte były tyle złota, ile ważyły. Innymi słowy, była to woda na młyn lichwiarzy.

Oszust Law namówił regenta Filipa II Orleańskiego do założenia w 1716 roku Banku Generalnego. Dzięki Szkotowi regent miał nadzieję spłacić długi, zaciągnięte przez Francję podczas wojny secesyjnej. W 1718 roku instytucja ta, pod nową nazwą Bank Królewski, wydała gigantyczne ilości banknotów i rozprowadziła je wśród naiwnych Francuzów, którzy zmamieni obietnicami oddali w zamian bankowi swoje złoto, srebro i ziemie. Jeśli dobra miały wartość, załóżmy, sto, otrzymywali banknoty z napisem „warte pięćset”. Tak więc za realny majątek dostawali zadrukowany papier.

To niebywałe, jak naiwni są Francuzi! Uważają się za lepszych od innych, nieustannie sobie schlebiają, a jednocześnie gotowi są pójść za pierwszym lepszym szarlatanem.

W styczniu tego roku regent mianował Lawa generalnym kontrolerem finansów. Ten sam urząd pełnił wcześniej nadintendent Fouquet, a następnie minister Colbert!

W marcu przyjaciele Palatyna zadali cios ostateczny. Rozpuścili pogłoski podające w wątpliwość wiarygodność Lawa. Nagle wszyscy Francuzi jak jeden mąż przypuścili szturm na Bank Królewski i zażądali zwrotu złota, srebra i ziem przekazanych bankowi w zastaw za banknoty. Regent najpierw zmniejszył o połowę ich wartość, a potem w ogóle wstrzymał wypłaty. „Nic już nie mamy”, oznajmił z rozbijającą szczerością i kazał zamknąć bank. John Law zbiegł do Wenecji, Francuzi zostali z niczym.

Atto wszystko przewidział, derwisz przepowiedział. Ruina ekonomiczna i nienawiść ludu, które dotknęły Francję, przenoszą się na całą Europę, wyczerpaną wojną sukcesyjną.

Pieniądze od wieków miały wartość złota lub srebra, ale z chwilą, gdy stały się zadrukowanym papierem, zżera je galopująca inflacja. Jako jeden z nielicznych mogę spać spokojnie, mam bowiem winnicę i dom w dzielnicy Josephina, przeliczalne na dzwiczącą walutę.

Wróciłem do Wiednia. Na dzwonnicy św. Szeszpana zawisł wspaniały dzwon, odlany z rozkazu Józefa z tureckich dział. Wiedeńczycy nazwali go Pummerin. Nie bił za życia cesarza, jego śmierć nastąpiła bowiem przed ukończeniem dzwonu. Pummerin zamontowano w październiku, a zabrzmiał po raz pierwszy w styczniu 1712 roku, gdy tron przejmował nowy cesarz Karol VI. W grudniu na uzurpatora spadł gniew Boży: wybuchła epidemia dżumy i szalała przez cały rok 1713, zabijając osiem tysięcy niewinnych istot. Przed trzydziestu laty było tak samo. Koło się zamknęło, ale teraz *secretum pestis* nie uratowało Wiednia przed epidemią, jak wtedy gdy celowo wywołali ją Turcy oblegający miasto.

Dowiedziałem się o smutnym losie hrabianki Pallfy, młodzietkiej kochanki Józefa I. Tuż po jego śmierci królowa matka zmusiła ją do zwrotu prezentów otrzymanych od zmarłego adoratora. Hrabianka popadła w niełaskę, oddalono ją z dworu i zmuszono do małżeństwa z człowiekiem niskiej pozycji, ku rozpaczyci ojca Marianny, nieszczęsnego hrabiego Johanna Pallfyego ab Erdód, jednego z najwierniejszych, najbardziej walecznych dowódców cesarskich.

Almanach „Angielski Wróżbita”, w którym przepowiedziano śmierć Józefa I, cieszy się ogromną popularnością wśród wiedeńczyków. Krótko mówiąc, nastały dobre czasy dla Anglików.

Włosi natomiast, kochani przez Habsburgów do czasów Józefa, nie są mile widziani.



Do Wiednia zaczęli przybywać Francuzi sprowadzani przez Karola VI, który w Hiszpanii był ich zaciekłym wrogiem. Również język włoski, tak lubiany przez Józefa i cały dwór, stopniowo ustępuje francuskiemu. Tuż po przyjeździe do Wiednia Karol zwolnił cały personel pałacu, dawniej w służbie zmarłego brata. Na pierwszy ogień poszli nadworni muzycy. Na ich miejsce nowy cesarz zatrudnił innych ludzi, w tym niewielu Włochów. Usługi Camilli nie były już potrzebne, podobnie jak jej oratoria.

Siostra Cloridii, przygnębiona smutnymi wspomnieniami, poprosiła o zgodę na zmianę klasztoru. Obecnie przebywa u św. Wawrzyńca i czas spędza na kontemplacji. Znajomi muzycy chętnie by ją odwiedzili, ale Camilla nie chce widzieć nikogo poza swoją żoną.

Wiedeń, stolica cesarstwa, pozostaje miastem, w którym warto zamieszkać. W żadnym innym miejscu nie żyje się tak dobrze, z dala od zgiełku świata.

Mieszkam wreszcie w domu z winnicą, podarowanym mi przez opata Melaniego. Ja i moja rodzina marzyliśmy o nim od dawna. Nasze córki także przebywają w Wiedniu. Otrzymały *examiniert und approbiert*, zezwolenie na wykonywanie zawodu akuserek, i obydwie są matkami. Cloridia prowadzi *Heurige*, winiarnię. Pomagają jej nasz syn i dwaj zięciowie, młodzi, bystrzy rzymianie, szczęśliwi, że mogli opuścić stolicę lichwy, aby godnie żyć. W winnicy przydaje się każda para rąk, a praca w bliskim kontakcie z przyrodą jest dla naszego syna z pewnością zdrowsza niż wdychanie sadzy. Zimą siedzimy sobie w ciepłym domu, nie marznąąc na dachach. Choć w Wiedniu kominiarze dobrze zarabiają, zdrowie nie ma ceny. Poza tym bezpowrotnie straciłem tytuł majstra kominiarskiego. Zachowałem wszystkie dokumenty, mógłbym pójść do kamery cesarskiej i wystarać się o taki sam tytuł dla mojego syna, ale powstrzymuje mnie historia aresztowania w Bezimiennym Miejsku. Nie sadzę, żeby w moich papierach był jakiś ślad tej wyreżyserowanej operacji, ale lepiej być ostrożnym. Zawsze może się znaleźć ktoś, kto coś widział lub słyszał. W każdym razie w Neugebau nie trzeba już czyścić kominów, nowy cesarz nie chce go bowiem restaurować.

Dzięki edukacji, jaką mój syn otrzymał za sprawą opata Melaniego, mógłby mieć większe aspiracje, uczyć się, zdobyć dogłębną wiedzę w jakiejś dziedzinie, ale wiedza przynosi cierpienie. Jak mówił Atto, ziemia żywi, a więc czyni wolnym. Najlepszego wyboru dokonał Cyncynat.

Nareszcie znalazłem odpowiedź na dręczące mnie pytanie. Teraz wyraźnie słyszę ich głosy. Nie dochodzi do mnie już krzyk ani dźwięki folii. Trwam w nabożnym milczeniu. Słyszę jednak szepty duchów, które ukazały mi się w Bezimiennym Miejsku. Otoczyły mnie kręgiem. Widzę znane miejsca i twarze: francuski pałac w Vaux-le-Vicomte - rzymska willa

Okręt - Bezimienne Miejsce w Wiedniu; nadintendent Fouquet - Maksymilian II - Józef I. Ożywają w pamięci dwie daty: 5 i 11 września.

Piątego września urodził się Arcychrześcijański Król i został aresztowany nadintendent Fouquet. Tego samego dnia zmarł Sulejman Wspaniały, a dziesięć lat później zaczęła się agonia Maksymiliana. Po stu latach, w wyniku zdrady pewnego Ormianina, 5 września Wiedeń omal nie dostał się w ręce niewiernych.

Moja żona Cloridia, która w młodości zajmowała się niekiedy numerologią, powiedziała mi, że suma cyfr składających się na datę urodzin Ludwika XIV i datę śmierci Sulejmana wynosi 5. Cyfry z daty aresztowania Fouqueta dają w sumie 10, czyli dwa razy po 5.

Jedenastego września 1683 roku pod Wiedeń przybyły wojska chrześcijańskie, by wyzwolić miasto. Podjęły walkę trwającą do następnego dnia rano. Jedenastego września 1683 roku poznałem opata Atta Melaniego. Tego samego dnia w 1697 roku książę Eugeniusz pokonał Turków w słynnej bitwie pod Zentą, a w roku 1709 - Francuzów pod Malplaquet. Jedenastego września 1702 roku Józef po raz pierwszy zdobył twierdzę Landau. Tego samego dnia w 1714 roku Barcelona i Katalonia, opuszczone przez Karola, dostały się w ręce Filipa V i spłynęły krwią.

Dopiero teraz wszystko zrozumiałem. Wróciłem do punktu wyjścia. Słyszę, jak szepczą mi do ucha: więcej nie dostaniesz. Teraz ty musisz dać. Zdobyłeś wiedzę, więc teraz nauczaj! Żyłeś, więc daj życie innym.

Kiedy w 1711 roku przyjechałem do Wiednia, wszystko mówiło mi o przeszłości. Początkowo były to jedynie aluzje, jak na przykład wzmianka o matce Cloridii, którą usłyszałem z ust Camilli. Z chwilą gdy udałem się do Bezimennego Miejsca, wydarzenia przeszłe i teraźniejsze zaczęły przeplatać się z ogromną szybkością: latający statek, śmierć Ugonia, poznanego przed dwudziestu ośmiu laty, wiadomości z „Corriere Ordinario” i z „Wienerisches Diarium”, w ten czy inny sposób nawiązujące do przeszłości.

Życie, udzielając mi swoich nauk, powtarzało stare melodie z przeszłości, dawało mi do zrozumienia, że nadszedł czas, bym zwrócił to, co otrzymałem w darze. Nadeszła pora, bym z widza zmienił się w aktora dla innych widzów, z ucznia w nauczyciela dla nowych uczniów, z dzbaną w źródło żywej wody, którą nalewa się do innych dzbanów. Podobnie jak w przypowieści o talentach, nakazano mi, bym nie zakopywał w ziemi monety otrzymanej od Pana, ale bym ją spożytkował, inwestując lub pomnażając. W jaki sposób? Znałem już odpowiedź: zwracając się ku przeszłości, ku naukom, których udzielił mi opat Melani w ciągu trzech lat pobytu w Paryżu. Życie Atta miało stać się moim życiem, jego wspomnienia moimi.

Doświadczenie miało stać się moim schronieniem i warsztatem.

To, co przed trzydziestu laty było rozrywką młodego posługacza gospody, a siedemnaście lat temu specjalnym zajęciem na zlecenie Atta, teraz stało się wyborem życiowym.

Piszę o minionym stuleciu, o ostatnim wieku ludzkości. W swoich książkach opisuję to, co przeżyliśmy razem z opatem, i to, o czym mi tylko opowiedział. Przelewam te zdarzenia na papier, aby utrwalić je po wsze czasy.

Czeka mnie wiele pracy, niełatwo bowiem opisać tyle wydarzeń z przeszłości. Niekiedy zastanawiam się, czy zdążę, czy wszystkiemu podołam. Obracając w dłoni monetę z Landau, której Clordia nie włożyła do kufra księcia Eugeniusza, staram się niczego nie pominąć. Pracuję, kiedy wszyscy już śpią. Będę potrzebował wielu nocy, może tysiąca albo więcej, aby pozostawić na papierze ślad Czasu.

Nasze zmysły zawodzą i zniekształcają prawdziwy obraz życia, o ile taki istnieje. Staram się odtworzyć przeszłość jak najdokładniej, nie zmieniam dźwięków ani barw, nie oddzielam faktów od okoliczności, które do nich doprowadziły. Rekonstruuje sto masek każdej twarzy, każdy najdrobniejszy gest będący przyczyną tragedii, upadku moralnego czy utraty niezachwianych, zdawałoby się, przekonań. Opisując minione wydarzenia, mam na uwadze czytelnika, jego wiek, przeżycia i bagaż życiowych doświadczeń.

Pokolenia przychodzą i odchodzą. Każde ma swoje określone miejsce w przestrzeni i czasie. Koncepcja czasu, który przemija, ale jest pewną ciągłością - to właśnie jest ta prawda, prawda o każdym z nas, i to właśnie staram się powiedzieć. Pewnego dnia łuk zostanie napięty, ziarno oddzielone od plew i gdy Pan poprosi mnie o rozliczenie się z uczynków, powierzę Mu owoc mojej pracy.

Pióro i kawałek kartki - tak teraz porozumiewam się z ludźmi. Głos mi nie wrócił, jestem niemową. Sporządzając te notatki, napisałem między innymi: „Cierpiałem, gdy każdy mógł wejść w moją ciszę jak do miejsca bezpiecznej gościny. Gorąco pragnąłem, by cisza zamknęła się wokół mnie”. Moje życzenie spełniło się. Korzystam więc z czarnych linijek na białym tle, przypominających mi szachownicę Christa, która uratowała mi życie.

Pióro zastąpiło mi głos. Od czasu do czasu pomagam moim zięciom przy uprawie winnicy, ale głównym moim zajęciem jest teraz pisanie. Pewien drukarz z Amsterdamu łaskawie publikuje i sprzedaje moje książki. Rękopisy wysyłam zatem do wolnej Holandii, sygnowane godłem Pszczoła Robotnica, pojmowanym jako metafora mojej skromnej, acz wyteżonej pracy.

Gdy ogarnia mnie zniechęcenie, powtarzam sobie w myśli, że jeśli wszystko

wydarzyło się z woli Pana, to dlaczego zachował mnie przy życiu?

Czym sobie na to zasłużyłem, wyzbyłem się śmiertelnego lęku przed życiem? Co pomaga mi przetrwać noce? Dlaczego nie dano mi sił, żeby jednym uderzeniem pokonać grzechy tego świata? Czy moje książki docierają do świadomości czytelników? Dlaczego nie potrafię namówić skrzywdzonych ludzi do tego, by zaczęli krzyknąć? Dlaczego moja odpowiedź w formie zapisanych kartek nie brzmi bardziej przekonująco niż rozkaz, który rządzi duszami ludzi?

Przechowuję dokumenty dla epoki, która ich nie zrozumie albo będzie tak odległa od dzisiejszych wydarzeń, że uzna mnie za oszusta. Ale nie będzie okazji, żeby to stwierdzić, gdyż te czasy nigdy nie nadejdą. Moje książki opisują bezmierną tragedię, w której przegrywa cała ludzkość, a jej konflikt między światem i naturą kończy się śmiercią. Ponieważ dramat ten nie ma innych bohaterów poza ludzkością, nie ma też słuchaczy. Dlaczego ginie mój tragiczny bohater? Z powodu zewnętrznych okoliczności, które podziały na niego odurzająco, a zarazem wywarły na niego nacisk.

Ach, gdyby tak pewnego dnia ludzkość z woli Boga wyszła zdrowo z tej przygody - choć przygnębiona, zubożała i postarzała - i otrzymała magiczną moc, by wezwać do odpowiedzi kolejno wszystkich hersztów bandy, którym zawsze udaje się przeżyć, takich jak Palatyn, Peniłek, różne sługusy, oprawcy, satrapy i niewolnicy Belzebuba! Gdyby tak można było zamknąć ich w świątyniach, a później ciągnąć losy, skazując na śmierć co dziesiątego z nich, ale nie zabić, tylko spoliczkować! I powiedzieć im: jak to, nie wiedzieliście? Nie słyszeliście, że po wypowiedzeniu wojny, oprócz niezliczonych okropności i aktów przemocy, istnieje niebezpieczeństwo, że dzieciom zabraknie mleka matki? Jako to? Nie wiedzieliście, że jedna godzina strachu trwa tyle, ile lata więzienia? Nie wiedzieliście, jak wielkie nieszczęście może wyrażać jedno westchnienie tęsknoty lub miłości, pohańbionej, zdeptanej, zabitej? Nie zauważyliście, że tragedia zmienia się w farsę lub - ze względu na współistnienie dzisiejszych potworności i antycznego formalizmu - w operę komiczną? W jedną z tych okropnych oper, w których tekst jest obelgą, a muzyka torturą.

Wobec nowego demona przybyłego z Wysp Brytyjskich, jakim jest skarbowość, wszystkich ogarnęła prawdziwa histeria. Jej bronią jest papier. W ostatnim czasie nastąpił niezwykle rozkwit czasopiśmiennictwa i gazet stale przybywa. I pomyśleć, że za młodu chciałem być kronikarzem! Na szczęście opat Melani wybił mi to w 1683 roku z głowy.

Gazety żerują na ludzkim nieszczęściu; jego skala odpowiada oczywiście czasom, w których żyjemy, czasom maszyn. Produkcja z jednej strony głupia, z drugiej szalona, odznaczająca się mniejszą lub większą wulgarnością.

Niepotrzebne są armaty, żeby uczynić z nas inwalidów. Kartka przepuszczona przez maszynę drukarską wydała wojnę królestwu fantazji. Raz puszczone w ruch machina dokonała niewyobrażalnych spustoszeń w naszych sercach i umysłach. Oto na czym polega odpowiedzialność prasy za wojnę. Wszystkie narody zakosztowały wina jej rozpusty, królowie z nią sypiali, my zaś przegraliśmy przez babilońską dziwkę, która we wszystkich językach świata przekonała nas, że jesteśmy sobie nawzajem wrogami i wojna jest nieunikniona.

Zrobione. Miałem pisać, więc napisałem. Dopełniłem obowiązku. Zostałem wydany na pastwę życia? No to teraz ja rozprawię się z życiem. Moje książki pokonają gazety. I bardzo dobrze. Nikt nie zaprzeczy, że osiągnąłem doskonałość. „Kamień, którzy odrzucili budujący, ten się stał kamieniem węgielnym” - głosi psalm i tak pewnej nocy w Bezimiennym Miejscu Simonis powiedział do derwisza.

Niczym rozpędzony wóz słońca, przemykają mi przez myśl inne słowa Simonisa: „Gra jeszcze nieskończona, świat jest boskim polem próby dla dusz i dlatego wszyscy podlegamy zamysłom Boga, nawet Jego wrogowie”. Być może zbyt szybko zapomniałem słowa, na dźwięk których Pa-latyna przeszedł dreszcz. Przykro mi, Simonisie. Rozpacz, nieokiełznana Kasandra ostatnich dni ludzkości, nie pozwala im zakiełkować w mojej duszy, przynajmniej na razie.

Tymczasem ratuje mnie milczenie, które sprawiło, że stałem się doskonały.

Clordia stopniowo nauczyła się mnie rozumieć, jest uśmiechnięta i pogodna, a nasze pocałunki są tak samo gorące jak dawniej. Natomiast moi zięciowie nie rozumieją, że milczenie jest teraz moim naturalnym stanem, i próbują mnie z niego wyrwać. Chcieliby, żebym się z niego otrząsnął, zapłakał, żebym choć spojrzeniem okazał smutek lub złość. Pragną mnie przekonać, że prawdziwe życie jest tam, na zewnątrz, wśród marność świata. Zachowuję spokój, odkładam pióro do kałamarza i patrzę na nich poważnym, nieruchomym wzrokiem. Niczego nie osiągnąwszy, wychodzą wściekli z pokoju. Moje córki czytają traktaty na temat chorób nerwowych, bardzo dziś modne wśród młodych lekarzy, którzy potrafią jedynie dokonywać sekcji zwłok. Nie są zdolni ułożyć nawet króciutkiego wiersza. Tak jakby nauka mogła istnieć bez literatury... Córki proponują mi zastrzyki i balsamy, namawiają, bym wezwał jakiegoś dobrego lekarza i dał sobie zbadać struny głosowe.

Nie, dziękuję. Dziękuję wszystkim. Wystarczy. Chcę, żeby tak zostało. To mój czas, moje życie. Pragnę żyć tak dalej, niemy, niewzruszony i uprawiać zawód pisarza.

Scena gotowa?

Kurtyna w górę!

## Pistoia

*Rok 1644*

Kareta skrzypi, konie pokryły się pianą, do wnętrza kabiny dostaje się kurz i pokrywa nasze twarze. Zanim dotrzemy do Rzymu, najemy się go do syta. Jesteśmy w drodze od kwadransa, a moje biedne kości już trzeszczą jak osie pojazdu.

Wychyłam się przez okno, spoglądam do tyłu. Dachy Pistoii znikają z wolna w porannej mgle. Za chwilę nie będzie ich widać. Patrzę przed siebie, w kierunku niewidzialnego, dalekiego horyzontu, gdzie oczekują nas objęcia Wiecznego Miasta.

Mój młody pan, osiemnastoletni Atto Melani, siedzi na swoim miejscu. Oczy ma zamknięte, od czasu do czasu je otwiera, rozgląda się dokoła i znowu przyryka powieki. Sprawia wrażenie, jakby podróż była mu obojętna, ale wiem, że tak nie jest.

Ojciec chrzestny Arta, wielmożny pan Sozzifanti, zanim powierzył go mojej opiece, dał mi kilka rad: „Jest bardzo popędliwy. Miej go na oku, doradzaj mu, temperuj. Nie wolno zmarnować tak wybitnego talentu. Dopilnuj, żeby był posłuszny nauczycielowi, którego mu znaleźliśmy, słynnemu Luigiemu Rossiemu, i zdobył jego sympatię. Niech unika złego towarzystwa, dobrze się prowadzi i nie wywołuje skandali, jeśli pragnie zdobyć zaszczyty. Rzym jest gniazdem podstępnych żmij, którym ludzie impulsywni zawsze dają się wywieść w pole”.

Podziękowałem panu Sozzifantiemu. Nie powiedział mi tego, ale sam wiedziałem, że oddał mojej pieczy najbardziej utalentowanego kastrata, jaki się kiedykolwiek narodził w Wielkim Księstwie Toskanii. W Rzymie pod ręką najlepszych nauczycieli stanie się najwybitniejszym sopranem swojej opoki. Zdobędzie bogactwo i sławę.

Niełatwo będzie utrzymać go w ryzach. Pochodzi z ubogiej rodziny (ojciec jest prostym dzwonnikiem w katedrze w Pistoii), ale brat wielkiego księcia, wpływowy Maciej Medyceusz, trzyma go w garści. Przyglądam się dyskretnie młodemu Attowi. Kiedy przyryka oczy, udając, że śpi, domyślam się, że jego pierś rozpiera duma na myśl o protekcji wybitnych osobistości, a oczy poruszające się pod powiekami pragną uchwycić sen o sławie. Zamiast biegać za spódniczkami, jak młodzieńcy w jego wieku, myśli o chwale, zaszczytach, karierze. Nie, nie będzie łatwo utrzymać go w ryzach.

Nawiasem mówiąc, młody Atto ma być rozsądny i rozważny dlatego, że w dzieciństwie wsadzono go pewnej szalonej nocy do balii i wycięto gruczoły płciowe? Woda stała się czerwona, rozległ się przeraźliwy krzyk i z balii wyszedł już nie chłopiec, lecz kastrat - straszliwy żart natury.

Nie, niełatwo będzie utrzymać w ryzach młodego Atta Melaniego. W Rzymie czekają

mnie bardzo ciekawe rzeczy, jestem tego pewien.

Na karcie tytułowej niniejszej książki napisane jest *Veritas* [...].

Kończę w przekonaniu, że służyłem prawdzie.

Zmuszony byłem opowiedzieć o mrokach i rozpaczach.

Kłamstwa i przesady spowijają moją ojczyznę niczym gęsta mgła, lecz pragniemy iść dalej niestrudzenie, nie tracąc odwagi... *Vincit Veritas!*

[Karl Emil Franzos, *Aus Halb-Asien (Z Pół-Azji)*]

Watykan, 14 lutego 2042 Don Alessio Tanari Centrum Salezjańskie Konstanca,  
Rumunia

Drogi Alessio!

Piszę do Ciebie, gdyż ciekaw jesteś zapewne, co się u mnie dzieje. Gdy otworzysz paczkę, wszystko stanie się jasne. Wysłałem Ci kopię nowego dzieła dwojga moich przyjaciół, Rity i Francesca. Zgodnie z tradycją, przysłali mi swoje trzecie dzieło, zanim jeszcze zostało opublikowane.

Jestem pewien, że chętnie się z nim zapoznasz, podobnie jak z dwiema poprzednimi książkami. Po *Imprimatur* ukazało się *Secretum*, które wysłałem Ci zaledwie rok temu. Byłem wówczas w Rumunii, w Kostancy, dawniej Tomi, gdzie z rozkazu cesarza Augusta przebywał na wygnaniu rzymski poeta Owidiusz i gdzie teraz mieszkasz Ty.

Czy mogłem przypuszczać, że wydarzenia przybiorą tak niespodziewany obrót? Po śmierci papieża i wyborze jego niemieckiego następcy moje życie całkowicie się zmieniło. Ojciec Święty w swej łaskawości mianował mnie kardynałem i przeznaczył do Świętego Oficjum. Kiedy czasem przechodzę obok lustra i widzę się ubranego w purpurę, uśmiecham się na myśl, że w zeszłym roku, na wygnaniu w Rumunii, byłem przekonany, że przeznaczona jest mi purpura męczeństwa.

A Ty, drogi Alessio, jak się czujesz jako misjonarz w Rumunii? Jak się miewa ktoś, kto porzucił szatę jego wielbności i przywdział strój zwykłego kapłana? Być może odbierasz to jako degradację, ale czyż nie lepiej widzieć rzeczy, jakimi są naprawdę?

Ojciec Święty (który tuż po zakończeniu konklawe powziął decyzję o Twoim szybkim przeniesieniu i moim równie szybkim powrocie) powiedział kilka dni temu, że dobrze Cię pamięta z czasów, kiedy byłeś moim uczniem w seminarium. Jego zdaniem misja w Konstancy jest spełnieniem Twoich ambicji, jakie przejawiałeś już za młodych lat. Mam na myśli ambicje duchowe, ma się rozumieć.

Wróćmy jednak do meritum. Ojciec Święty pierwszy przeczytał dzieło moich przyjaciół Rity i Francesca. Akcja toczy się na obszarze niemieckojęzycznym doskonale mu

znanym, toteż z wielkim zainteresowaniem śledził narrację łączącą cytaty ze źródeł archiwalnych z odwołaniami do Szekspira, Prousta i Karla Krausa, jak również z zabawnymi anachronizmami zaczerpniętymi z najsłynniejszych wiedeńskich operetek, takich jak *Wesoła wdówka* Franza Lehara (skąd pochodzi wymagowane państwo Pontevedro i wiele innych szczegółów), *Zemsta nietoperza* Johanna Straussa syna (gdzie występuje strażnik więzienny o nazwisku Frosch), *Hrabina Marica* Imre Kalmana oraz *Student żebrak* Karla Millóckera.

W paczce przesyłam Ci też nagranie chóru. Jest to średniowieczne *Quem queritis*. Słuchałem go, gdy czytałem trzecie dzieło moich przyjaciół. Zanim wyjaśnię Ci powód mojej przesyłki, muszę poczynić pewną dygresję.

*Imprimatur Secretum Veritas Mysterium* to, jak wynika z pracy moich przyjaciół, napis na iglicy dzwonnicy Św. Szczepana. A może jest to tylko dziwaczny wymysł łowcy relikwii Ugonia? Na początku wydawało mi się, że słowa te pochodzą z *Flos sententiarum*, zbioru słynnych łacińskich powiedzeń, takich jak *in vino veritas* czy *est modus in rebus*.

Jak słusznie zauważa narrator powieści, napis, wzorowany na starożytnych epigrafach, pomija czasowniki i przysłówki. Należy przypuszczać, że zdanie powinno brzmieć: *imprimatur et secretum, veritas mysteriumst*, gdzie *mysteriumst* odpowiada oczywiście *mysterium est*.

Użycie spójnika *et* w sensie ‘także’, ‘nawet’, oraz domyślna forma czasownika *est*, ‘jest’, stanowi odwołanie do literackiej tradycji. Nie nawiązuje jednak do Seneki czy Marcjalisa ani do Cyserona czy Pliniusza. Termin *imprimatur*, ‘niech będzie odbite’, oznacza zezwolenie władzy kościelnej na publikację książki. Takiego słowa nie mógłby więc użyć pisarz rzymski czy z epoki późnego cesarstwa ani z okresu wczesnego chrześcijaństwa.

Przejrzałem kilka zbiorów łacińskich sentencji, między innymi nieco przestarzałą, ale bardzo dobrą antologię De Mauriego, opublikowaną przez wydawnictwo Hoepli. Bez skutku.

Bezustannie powtarzałem w myślach tę dewizę, jak heretycki różaniec czy magiczną mantrę, którą zakonnicy tybetańscy szepczą ponoć przez całe życie w zaciszu klasztorów.

Wreszcie *unicum*... Ucięte zakończenie nawiązujące do czegoś, co pozostaje. Co zostaje w gąszczu niepewności, na którą skazuje nas nierozpoznawalna Prawda? Choć tego nie zauważyłem, odpowiedź tańczyła w powietrzu: z odtwarzacza opodal mojego biurka, dochodziła średniowieczna pieśń religijna *Quem queritis*, w wykonaniu rosyjskiego chóru, wspomnienie zesłania w Tomi, *Mitbringsel*, jak powiedziała by Ojciec Święty.

Tytuł *Quem queritis* nie jest stwierdzeniem, lecz pytaniem. Łaciński tekst, dialog, brzmi:

- *Quem queritis in sepulchro, christicole?*



- *JESVM Nazarenum crucifixum, o celicole.*

- *Non est hic, resurrexit sicut predixerat, ite nunciate quia surrexit de sepulchro.*

*Quem queritis?* JESVM. Jesum, Jezus, to słodkie imię coś mi mówiło. Coś, co wiedziałem, ale niezbyt dobrze rozumiałem. Ale co to? Po wielogodzinnych rozmyślaniach napisałem na kartce JESVM, po łacinie, przez V zamiast U.

Rozwiązanie przyszło samo, gdy zamieściłem słowa tajemniczego przesłania jedno pod drugim:

Imprimatur

Et Secretum

Veritas Mysterium

Był to akrostych: pierwsze litery utworzyły słowo JESVM, imię Jezusa w bierniku. Znalazłem odpowiedź: *JESVM unicum*, 'tylko Jezus', Jezus jest jedyną prawdą.

Takie jest znaczenie *Quem queritis*. Jedna z końcowych scen Ewangelii, w średniowieczu uproszczona na użytek ludu tak, aby można ją było śpiewać lub odegrać, przedstawia Marię Magdalenę i Marię zmierzające do grobu Jezusa. „I oto powstało wielkie trzęsienie ziemi, albowiem anioł Pański zstąpił z nieba i przystąpiwszy odwalil kamień (...), a jego szata była biała jak śnieg. Strażnicy grobu zadrżeli przed nim ze strachu i stali jak nieżywi”. Anioł (lub anioły, w zależności od wersji) wyjawiał kobietom, że nie znajdują Chrystusa w grobie, ponieważ zmartwychwstał, tak jak zapowiedział. Boski posłaniec nakazał kobietom oznajmić tą nowinę wszystkim uczniom Jezusa.

W średniowiecznych utworach muzycznych fragment z Ewangelii (według św. Mateusza 28, 1-6; według św. Marka 16, 1-8; według św. Łukasza 24, 1-7; według św. Jana 20, 1-18) zredukowany został do krótkiego dialogu:

- *Kogo szukacie?*

- *Ukrzyżowanego Jezusa Nazarejczyka albo aniołów.*

- *Nie ma go tu, zmartwychwstał, tak jak zapowiedział, idźcie i ogłoście, że wyszedł z grobu.*

Imię JESVM użyte zostało w bierniku, odpowiada na pytanie: kogo szukacie? Szukamy Jezusa, opowiada więc na pytanie, jedyne prawdziwe pytanie człowieka wierzącego. Kogo szukamy, kogo powinniśmy szukać, jeśli nie Jezusa? Kto pozostaje, jeśli nie On?

*Quem queritis!* Odpowiedź brzmi: *Jesum*, co w niektórych inskrypcjach nagrobnych z okresu wczesnego chrześcijaństwa (nawiązujących do epizodu anioła, który zapowiada zmartwychwstanie Chrystusa) pisano ISVM, przez V zamiast U, jak również bez 'e', lub z 'e'

na górze I(°)SVM. Obok, na tej samej tablicy, widniał symbol  $ATT\Omega$ , co oznacza, że alfa i omega życia, czyli jego początek i koniec, znajdują się w świątyni Boga, przedstawionego jako „TT”. Te dwie litery czyta się też jako „Atto”.

Atto albo lepiej  $ATT\Omega$ , czyli my wszyscy, chcąc nie chcąc, w niezmiernym domu Pana.

Z siedmiu słów składających się na przesłanie brakuje dwóch. Miejmy nadzieję, że całość nie jest jedynie wytworem wyobraźni Ugonia...

Pokój z Tobą

Kardynał Lorenzo dell'Agio

### Materiały źródłowe

#### **Streszczenie**

*Ospa Józefa I. Latający statek i jego wynalazca. Ciezeber-Palatyn. Bezimienne Miejsce i jego wrogowie. Eugeniusz Sabaudzki. Józef Zwycięski. Ocenzurowana biografia i sekrety Karola. Atto Melani. Camilla de’Rossi. Poselstwa i legendy tureckie. Ilsung, Hag, Ungnad, Marsili. Bettelstudenten i kominiarze. Czas wolny, karczmy, jedzenie i inne szczegóły. Wiedeńczycy i ich historia.*

#### **Ospa cesarza Józefa I**

Cesarz Józef I zmarł w piątek, 17 kwietnia 1711 roku o godzinie 10.15, w wieku trzydziestu trzech lat. Oficjalnie przyczyną śmierci była ospa.

Należy zauważyć, że ta straszna choroba, którą leczy się jedynie objawowo, dziś już niemal wygasła.

Jak podaje słynny podręcznik medycyny Harrisona (Dennis L. Kasper, *Harrisons manual of medicine*, wyd. XVI, Nowy Jork, 2005, przekł. niem.: *Harrisons Innere Medizin*, wyd. XVI, Berlin 2005, s. 1377), biblia każdego studenta medycyny, ospa, podobnie jak wąglik, jest jednym z dziesięciu „specjalnie strzeżonych” wirusów klasy A, najbardziej niebezpiecznych, stosowanych w walce z bioterroryzmem.

W 1996 roku delegaci 190 państw podjęli rezolucję, zgodnie z którą do 30 czerwca 1999 roku wszystkie próbki z wirusem miały być zniszczone. Tak się jednak nie stało. Zachowano je w CDC (Center for Disease Control and Prevention) w Atlancie w Stanach Zjednoczonych.

Józef I zachorował na ospę 7 kwietnia 1711 roku i nikt więcej na dworze. Niektórzy badacze (zob. np. w: C. Ingrao, *Joseph I. der „vergessene Kaiser”*, Graz-Wiedeń-Kolonia 1982) twierdzą, że w tym czasie w Wiedniu szalała epidemia ospy. Nieprawda.

Historyk Hermann Joseph Fenger spisał wszystkie epidemie, jakie dotknęły Wiedeń

od 1224 roku (*Historiom Pestilentiarum Vindobonensis*, Wiedeń 1817) i nie wspomina o epidemii ospy w 1711 roku. Podobnie Erich Zöllner (*Geschichte Oesterreichs*, s. 275-278).

Sprawdziliśmy to. W miejskim archiwum Wiednia zajrzeliśmy do *Totenbeschauprotokolle*, czyli orzeczeń zgonów sporządzonych przez władze medyczne. Przejrzeliśmy wszystkie dokumenty z marca, kwietnia i maja 1711 roku, z których wynikało, że nie było epidemii ospy, co więcej, liczba zgonów odpowiadała średniej tego okresu.

Na dziesięć dni przed śmiercią Józef I był młodym, silnym mężczyzną, cieszył się doskonałym zdrowiem, uprawiał sport, jeździł na polowania.

Jak podaje orzeczenie lekarskie, twarz zmarłego pokrywały krosty. Natomiast w artykule, który ukazał się w owym czasie w gazecie, opisującym chwilę śmierci cesarza i jego ciało wystawione na widok publiczny, nie ma o nich wzmianki (*Umständliche Beschreibung von Weyland Ihrer Mayestdt/ JOSEPH/Dieses Namens des Ersten/Römischen Kayser/Auch zu Ungarn und Bóheim Kónih/u. Erz=Herzogen zu Oesterreich/u.u. Glorwürdigsten Angedenckens Ausgestandener Kranckheit/Höchst=seeligstem Ableiben/Und dann erfolgter Prdchtigsten Leich=Begangnuft/zusammengetragen/und ver-legt durch Johann Baptist Schönwetter*, Wiedeń 1711). W każdym razie nie pokazano by poddanym twarzy oszpeconej pęcherzami. Czy było to dzieło balsamistów?

Jak wynika z dziennika doktora Franza Hollera von Doblhofa (Wiedeńskie Archiwum Państwowe, Haus-, Hof - und Staatsarchiv, Familieakten, Karton 67) prowadzonego po łacinie, pierwszymi objawami choroby były krew i śluz w płwocinie. Tuż po śmierci, jak czytamy w dzienniku, „z nosa i ust cesarza przez dłuższy czas wypływała krew”. Z powodu krwotoku wewnętrznego szyja była obrzmiała, barwy ciemnoniebieskiej. Po przeprowadzonej własnoręcznie autopsji Franz Holler napisał, że wątroba i płuca były „sine, zgniłe, pozbawione naturalnej barwy” (*amisso colore naturali, lividum et gangrenosum*), czego przyczyną był krwotok. Z powodu straszliwego fetoru autopsję przeprowadzono bez otwierania czaszki.

Opis doktora Hollera zgadza się z tym, co dziś określa się jako „ospa krwotoczna”, szczególnie złośliwa i śmiertelna odmiana choroby.

Przed śmiercią Józefa I w żadnym z traktatów medycznych nie opisano krwotocznego przebiegu choroby.

Pierwsze wzmianki o ospie pochodzą od Galena oraz od lekarzy żyjących w X wieku: Persa Rhazesza, Alego Ben el Abbasa oraz Awicenny, a w XI wieku od Konstantyna Afrykańczyka, sekretarza Roberta Guiscarda. Wspomniani autorzy zamieszczają długi, szczegółowy opis przebiegu ospy wraz z możliwymi powikłaniami, ale żaden z nich nie pisze

o krwotoku. Przeciwnie, określają tę chorobę jako łagodną, która jedynie w wypadku pacjentów bardzo osłabionych prowadzi do śmierci. W XVI i XVII wieku Ambroise Paré, Nic-coló Massa, Girolamo Fracastoro, Alpinus, Ochi Rizetti, Scipione Mercuri, Sydenham i inni poświęcają wiele miejsca przypadkom ospy, z którymi się zetknęli, i nie wspominają o ospie krwotocznej. Ich zdaniem jest to choroba bardzo powszechna i łagodna. Bywała śmiertelna jedynie w pandemii wywołanej wojną i głodem. Ospa opisana jest zwykle w rozdziałach poświęconym chorobom wieku dziecięcego, obok ospy wietrznej i odrzy.

Rhazes w swoim traktacie o ospie i odrze dokonuje bardzo szczegółowego rozróżnienia tych chorób: „Niepokój i mdłości częściej występują przy odrze niż przy ospie; ból pleców jest bardziej typowy dla ospy”. Ambroise Paré (*Oeuvres*, Lyon 1664, księga XX, rozdziały 1-2) pisze o ospie w rozdziale poświęconym odrze, wymieniając wiele szczegółów, którymi różnią się choroby.

Dla nas, ludzi współczesnych, opisy te brzmią zupełnie niezrozumiale, ospa jest bowiem zupełnie inną chorobą niż niegroźna na ogół odra. Ropne pęcherze i inne poważne objawy ospy mają niewiele wspólnego z czerwoną wysypką i innymi dolegliwościami występującymi przy odrze. Sydenham również dokonuje szczegółowego rozróżnienia tych chorób, co oznacza, że w okresie od X do XVII stulecia ospa miała taki sam przebieg i była chorobą zakaźną, niekiedy myloną z odrą. Córka Józefa I, Maria Józefa, zachorowała na ospę w styczniu 1711 roku, trzy miesiące przed ojcem, i wyzdrowiała. Również w tym wypadku nie było śladu krwotoku.

Pierwszym świadectwem wystąpienia ospy krwotocznej jest orzeczenie lekarskie odnoszące się do choroby Józefa I.

Dwa lata później, w roku 1713, grecki lekarz (zdaniem niektórych badaczy bolończyk) Emanuele Timoni w traktacie zatytułowanym *Historia Variolarum quae insitionem excitantur* po raz pierwszy wspomina o nowej praktyce, stosowanej w Konstantynopolu, jakim była podskórna inokulacja.

Przed angielskim lekarzem Edwardem Jennerem, który u schyłku XVIII wieku opracował metodę szczepienia stosowaną do dziś, terminem inokulacja określano sposób uzyskiwania odporności organizmu. Polegał on na pobraniu surowicy z pęcherzy ospowych i wprowadzeniu jej w nacięcie na skórze zdrowego pacjenta, w celu wywołania ospy o łagodnym przebiegu. Pacjent chorował krótko i nabywał odporność. Wiadomo było powszechnie, że ta sama osoba nigdy nie zapadała na nią po raz drugi.

Podskórnej inokulacji dokonywano nie tylko w celach profilaktycznych, ale także zbrodniczych, stosując śmiertelną formę wirusa.

Timoni wspomina w swojej pracy o dwóch wrózkach pochodzenia greckiego, Tessagliese i Filippopoli, które u schyłku XVII wieku dokonywały w Konstantynopolu inokulacji na pacjentach niemuzułmanach. Muzułmanie nie chcieli się jej poddawać. W latach 1701-1709, czyli kilka lat po wprowadzeniu inokulacji, w Konstantynopolu odnotowano pierwsze śmiertelne ofiary ospy. Wrózek jednak nie powieszono, przeciwnie, wychwalano pod niebiosa. Do miasta przybyli wybitni lekarze, którzy orzekli, że gdyby nie działania Greczynek, epidemia zebrałaby jeszcze bogatsze żniwo. Wkrótce też lokalny kler wydał zgodę na stosowanie inokulacji.

W 1714 roku wenecki ambasador w Konstantynopolu opisał praktykę inokulacji w pracy *Nota et tuta variolas excitandi per transplantationem metho-dus nuper inventa et in usum tracta*.

W Europie inokulację rozpowszechniała w latach 1716-1718 żona angielskiego ambasadora w Konstantynopolu, lady Mary Worthley Montague. Podczas swych licznych podróży brytyjska dama reklamowała tę metodę na dworach europejskich. Odnosiła się do niej z tak wielkim entuzjazmem, że poddała inokulacji nawet własne dzieci. W 1716 roku lady Mary zatrzymała się w Wiedniu, gdzie, jak napisała w swoim pamiętniku, poznała żonę i córkę zmarłego cesarza Józefa I. W 1720 roku, w Anglii, przekonała króla, by zainokulować kilku galerników. W 1723 roku wszczepienie podskórne stosowano już na szeroką skalę.

I wtedy ospa, zamiast słabnąć, stała się chorobą o ostrym przebiegu i w większości przypadków kończyła się śmiercią. Nie była już uznawana za chorobę wieku dziecięcego. Straszliwych ropnych pęcherzy nie można było pomylić z wysypką typową dla ospy wietrznej czy odry.

Dane zaczerpnięte z pracy Marca Cesarego Nanniniego *La storia del vaiolo* (*Dzieje ospy*, Modena 1963) są wymowne. W ciągu dwudziestu pięciu lat od wprowadzenia praktyki inokulacji zmarło 10 procent ludności świata. U bardzo wielu ofiar stwierdzono ospę krwotoczną. Inokulacja stała się z czasem praktyką stosowaną w podbojach kolonialnych. W ten sposób zdziesiątkowano Indian Ameryki Północnej i Południowej. E. Bertarelli (*Jenner e la scoperta della vaccinazione, Jenner i odkrycie szczepionki*, Mediolan 1932) pisze, że tylko na wyspie Santo Domingo w kilka miesięcy zmarło 60 procent lokalnej ludności. Na Haiti ospa, zawleczona w 1767 roku, zabiła dwie trzecie mieszkańców, a na Grenlandii w roku 1733 trzy czwarte populacji.

W Europie, począwszy od okresu wprowadzenia inokulacji po ostatnie lata XVIII wieku, na ospę zmarło 60 milionów osób (H.-J. Parish, *A History of Immunization*, Londyn 1965, s. 21). U schyłku XVIII stulecia szacunki były podobne (D. Faust, *Communication au*

*congres de Rastadt sur l'extirpation de la petite verole*, 1798, *Archives Nationaux de France*, F8 124). W 1716 roku w Paryżu ospa spowodowała 14 000 zgonów, a w 1723 zabiła 20 000 osób. W 1756 epidemia ospy zebrała bogate żniwo w Rosji. W latach 1730-1770 w Anglii na ospę zmarło w sumie 80 505 osób. W Neapolu w 1768 roku w kilka tygodni doliczono się 6000 ofiar. W Modenie, w 1778 roku, w następstwie jednej inokulacji przez osiem miesięcy szalała epidemia, która zdziesiątkowała miasto. I dalej: Amsterdam, 1784: 2000 zmarłych; Niemcy, 1798: 42 379 ofiar; Berlin, 1766: 1077; Londyn, 1763: 3528. Anglia odniosła zyski z inokulacji, jako że Daniel Sutton założył dobrze prosperujące przedsiębiorstwo, którego filie w drugiej połowie XVIII wieku znajdowały się, między innymi, na wschodnich terenach Nowej Anglii i na Jamajce.

Dla porównania: w Londynie w 1666 roku na ospę zmarło 38 osób, w roku 1684 - 60, a w roku 1636 - 82. Krótko mówiąc, przed wprowadzeniem inokulacji ofiar było niewiele.

Na dworze w Wiedniu przed Józefem I na ospę chorował jedynie Ferdynand IV. Po Józefie natomiast przypadków zachorowań było o wiele więcej. U schyłku XVIII wieku zmarło na tę chorobę dziewięciu Habsburgów. Przypadki ospy krwotocznej były w tym okresie bardzo liczne i wszystkie śmiertelne.

Prezentujemy dwa opisy ospy. Autorem pierwszego z nich (*La commare*, Wenecja 1676, księga III, rozdział XXIV *Delie Yarole e cura loro*, s. 276) jest Scipione Mercuri, słynny rzymski lekarz żyjący w latach 1540-1615, a więc przed wprowadzeniem inokulacji. Warto zauważyć, że także zdaniem Mercu-riego ospa i odra mają bardzo podobne objawy (pisał o tym obszernie w *De morbis puerorum*, księga I: *De varolis et de morbillis*, Wenecja 1588).

Drugi opis wyszedł spod ręki doktora Fausta i został zaczerpnięty ze wspomnianej już relacji z 1798 roku, a więc z okresu, kiedy istniała już szczepionka przeciw tej chorobie.

Na początek Mercuri:

„Teraz opiszę choroby występujące powszechnie. Pierwsza z nich zwana jest w tym kraju ospą. Między ospą a odrą istnieją pewne różnice, ale obie wymagają podobnego leczenia. Objawiają się w postaci niewielkich bąbelków, pęcherzyków występujących na całym ciele, które powodują swędzenie, a gdy pękają, pozostawiają głębokie ślady na skórze... Poprzedzają je bóle brzucha i głowy, chrypa, czerwoność twarzy, częste kichanie. W przebiegu choroby występuje wysoka gorączka, pęcherzyki na całym ciele, białe lub czerwone, mniejsze lub większe, w zależności od pacjenta. Ospa na ogół nie zabija, z wyjątkiem sytuacji, gdy na skutek złego powietrza lub błędów lekarzy umiera tyle osób jak podczas epidemii dżumy”.

A oto opis Fausta z roku 1798:

„Mnóstwo ropnych pęcherzyków na całym ciele, od stóp do głów. Chory ma wrażenie, jakby ktoś zanurzył jego ciało we wrzącym oleju, odczuwa silny ból. Twarz jest zniekształcona, opuchnięta, oczy zamknięte, gardło zaognione. Chory chrapliwym głosem domaga się wody, ale nie może przełykać. Leży w pomieszczeniu pozbawionym światła i świeżego powietrza. Oczy ma zaro-piałe i zażawione. Z płuc dobywa się fetor, z ust wypływa ślina, ekskrementy są zgniłe, ropne, podobnie jak uryna. Całe ciało pokryte jest pęcherzykami i ropą, chory nie może się poruszać, nie można go też dotknąć. Jęczy i leży nieruchomo, co powoduje odleżyny”.

W 1773 roku opat Jean-Joseph Roman napisał poemat zatytułowany *L'ino-culation*, zawierający rymowany opis chorego na ospę:

*Odczuwa nieznanne dotąd cierpienia, Z jego oczu płyną łzy piekące. Nie gasi strasliwego pragnienia. Ślina występuje na wargi gorące. Traci władzę nad zmysłami, Pośród chmur cienie widzi chwilami. Głos traci barwę, a ciało umęczone Więżniem duszy jest zgnębionej.*

Opis krwotoku, jaki wystąpił u Józefa I, przywodzi na myśl „purpurę ospową” scharakteryzowaną przez niemieckiego lekarza Gerharda Buchwalda (patrz *Impfen: Das Geschdf mit der Angst, Szczepionki, biznes strachu*, Monachium 2000).

Dziewięćdziesięcioletni dziś Buchwald jest jednym z niewielu lekarzy, którzy osobiście obserwowali i studiowali przypadki ospy. W 2004 roku wysłaliśmy mu dokumentację dotyczącą choroby Józefa I, później odbyliśmy z nim długą rozmowę przez telefon. Na podstawie własnych doświadczeń Buchwald stwierdził, że uszkodzenie naczyń krwionośnych występuje tylko w przypadkach ospy wywołanej wirusem wprowadzonym do tych naczyń.

Potwierdza to zdanie z książki niemieckiego lekarza (s. 50 wydania niemieckiego):

„Krwotoki występują po wszczepieniu wirusa i zawsze kończą się śmiercią”.

Innymi słowy, zdaniem Buchwalda ospa krwotoczna nie istniała w naturze, ale była konsekwencją inokulacji.

Współczesna Melanemu literatura medyczna utrzymuje, że w Chinach i Indiach podskórna inokulacja była znana od tysiącleci. Nie jest to prawda. Propaganda uprawiana w XVIII wieku miała wzbudzić zaufanie do tego rodzaju praktyk.

Przyjęło się cytować dzieło ojca jezuity D'Entrecolles'a, misjonarza w Pekinie. Autor napisał swoje dzieło w maju 1726 roku, nie wcześniej. Przytoczył w nim fragment chińskiego opracowania, w którym opisany został sposób podniesienia odporności organizmu na ospę

drogą inhalacji, a nie inokulacji. Jezuita stwierdził, że według chińskich lekarzy przypadki, w których wirus ospy dostaje się do ciała nie w sposób naturalny (na przykład wdychany z powietrzem), ale przez nacięcie w skórze, kończy się śmiercią. W słynnej chińskiej historii medycyny Chimin Wonga i Wu Lien-Teha (*History of chinese medicine*, Szanghaj 1936) znajduje się to samo stwierdzenie, jak również wzmianka o tym, że zdaniem niektórych historyków medycyny inokulacja wywodzi się z Indii.

Znany lekarz, wykładowca uniwersytetu w Kalkucie, Girindranath Muk-hopadhyaya, w swojej *History of Indian Medicine* (Delhi 1922-1929, t. I, s. 113-133) dochodzi do tego samego wniosku co my: nie ma na to żadnego dowodu, jakoby inokulacja była bardzo starą praktyką. Niektórzy lekarze, głównie angielscy, piszą, że słyszeli w Indiach opowieści o inokulacji wywodzącej się ponoć ze starożytności. Jeden z nich, niejaki doktor Gillman wspomina o traktacie w sanskrycie, w którym jest podobno mowa o inokulacji. Mukhopadhyaya polecił zbadać traktat dwóm znawcom sanskrytu. Obaj zgodnie stwierdzili, że praca została sfalszowana. W starych indyjskich traktatach medycyny autorstwa Czaraki, Suśruty, Vagbhaty, Madhavy, Vrndy Mad-havy, Czakradatty, Bhavy Miśry i innych Mukhopadhyaya nie znalazł nawet aluzji do inokulacji ospy. Co więcej, w hymnach na cześć hinduistycznego bóstwa ospy Śitali Maty, zaczerpniętych z poematu *Kaśikhanda ze Skandha Pu-rany*, powiedziane jest wyraźnie, że choremu na ospę mogą pomóc jedynie modlitwy do bogini. Mimo to Mukhopadhyaya podkreśla, że „nikt nie podaje w wątpliwość, iż w Indiach stosowano inokulację”.

Mukhopadhyaya przypuszcza, podobnie jak my, że wszystkie te wywody służyły stworzeniu rodowodu inokulacji, a później szczepionki przeciw ospie, aby przekonać masy, że mogą polegać na tych praktykach i poddawać się im całymi rodzinami.

Dzieje ospy obfitują nie tylko w fałszerstwa, ale także w kłopotliwe przemilczenia. Wynalazca szczepionki przeciw ospie, będącej rozwiniętą formą inokulacji, słynny angielski lekarz Edward Jenner, zaszczepił swojego dziesięciomiesięcznego syna substancją pochodzącą z pęcherzyków osoby chorej. Syn został upośledzony umysłowo i zmarł w wieku 21 lat. W 1798 roku Jenner zaszczepił pięcioletnie dziecko, które wkrótce zmarło, oraz ciężarną kobietę, która po miesiącu poroniła, wydając na świat martwe niemowlę pokryte pęcherzykami typowymi dla ospy. Mimo tych niepowodzeń Jenner wysłał próbki szczepionki europejskim monarchom. Władcy stosowali ją na szeroką skalę, poddając szczepieniu sieroty, a tym samym wywoływali nowe zachorowania, które dostarczyły nowych próbek. W żadnym podręczniku historii medycyny nie ma wzmianki o podobnych praktykach.

Wróćmy do XVIII wieku, do czasów, gdy w Europie zaczęło się mówić krytycznie o



inokulacji. Wspominano tragiczny przypadek *madame de Se-vigne*, która zachorowała na ospę i zmarła w cierpieniach w 1711 roku, ale nie wskutek choroby, tylko nieodpowiedniego leczenia (patrz J. Chambon, *Traite des metaux et des mineraux*, Paryż 1714, s. 408 i następne). Luigi Gatti, włoski lekarz zamieszkały w Paryżu, w połowie XVIII wieku wyleczył chorą na ospę *madame Helvetius*, wykonując przed nią piruety i koziołki w przekonaniu, że jedynym dopuszczalnym lekarstwem jest śmiech i że przyczyną śmiertelnych przypadków ospy jest wyłącznie złe leczenie. Z niewiadomych powodów Gatti zmienił później zdanie, stając się jednym z najbardziej zagorzałych (i najbogatszych) zwolenników i propagatorów inokulacji.

Van Swieten pisał w XIX wieku, że chorzy na ospę arystokraci i osoby zamożne niemal bez wyjątku umierali, podczas gdy prości ludzie, niepoddający się żadnemu leczeniu, przeżywali (patrz *Rapport de l'Academie de Medecine sur les vaccinations pour l'anne 1856*, s. 35). Co więcej, zaczęły krążyć pogłoski: inokulacja, nie dość, że może zabijać, to jeszcze nie przynosi żadnego pożytku. Zdarzało się, że osoby, które poddały się inokulacji i zachorowały na ospę, ale nie umarły, po kilku latach ponownie zapadały na tę chorobę. W numerze „*Mercure de France*” ze stycznia 1765 roku (t. II, s. 148) wspomniano przypadek księżnej de Boufflers.

Zastanawiano się, czy inokulacja wywoła ospę u osób, które już raz na nią chorowały. Awicenna mówił, że „na ospę zapada się tylko raz” i odporność nabywa się na całe życie. Zdaniem lekarzy przeciwnych inokulacji ospa wszczepienna przeczy temu prawu natury. Dowód? Słynny przypadek króla Francji Ludwika XV, który chorował na ospę w wieku osiemnastu lat, a zmarł w roku 1774, mając lat 64. Na ospę. Niemal w identycznych okolicznościach jak Józef I.

Ludwik XV był jedynym dzieckiem, które przeżyło prawdziwy pomór synów i wnuków Króla Słońce. W latach 1711-1712 dom Burbonów we Francji został zdziesiątkowany. Hrabia De Merode-Westerloo (*Memoires*, Bruksela 1840) pisał, że w 1706 roku te nieszczęścia przepowiedział Palatyn jako karę za przestępstwa. W 1712 roku Ludwik miał dwa lata, był drugim synem książąt Burgundii. Jego rodzice i brat zmarli na ospę. Ludwik uratował się, bo niańki dosłownie zabarykadowały się z nim w komnacie, nie dopuszczając do niego lekarzy. Były przekonane, że innych członków królewskiego rodu zabili właśnie medycy. Ludwika nie dotknęła wróżba Palatyna. Kiedy był starszy, objął tron Francji jako następcą Ludwika XIV. We Francji, w czasach regencji, działał John Law, wynalazca banknotów, których nadmierna emisja doprowadziła państwo do krachu ekonomicznego.

Niektóre „przepowiednie” prędzej czy później się sprawdzają... W wieku 64 Ludwik XV nie miał opiekunek, które by go uratowały.

Jego śmierć do złudzenia przypominała śmierć Józefa I. Obaj władcy byli wrogami jezuitów (Ludwik XV zniósł Towarzystwo Jezusowe). Ludwik XV, podobnie jak Józef I, usłyszał od pewnego kaznodziei, że niebawem umrze. Był 1 kwietnia 1774 roku, czwartek wielkanocny. Biskup Senez wskazał z ambony na króla i zawołał: „Za czterdzieści dni Niniwa zostanie zniszczona!”. Dokładnie czterdzieści dni później, 10 maja, Ludwik XV wydał ostatnie tchnienie (Pierre Darmon, *La variole, les nobles et les princes*, Bruksela 1989, s. 93-94).

Tydzień wcześniej, patrząc zdumiony na ropne pęcherzyki na skórze, szeptał: „Gdybym już na nią nie chorował, przysięgłbym, że to ospa”. Trzeciego maja król zrozumiał: „Ależ to ospa!”. Zwracając się do zgromadzonych wokół niego osób, powiedział: „To doprawdy niesłychane!”.

Nie należy zapominać, że Ludwik XV był zdecydowanie przeciwny inokulacji.

Po ukończeniu historycznych badań nad ospą i wysłuchaniu opinii doktora Buchwalda na temat śmierci Józefa I, zaczęliśmy poszukiwać anatomopatologa, który poparłby nasze starania o ekshumację zwłok cesarza i byłby skłonny je zbadać.

Nie braliśmy pod uwagę lekarzy zajmujących się ekshumacją znanych osobistości historycznych w celu opracowania nowych szczepionek i sponsorowanych przez giganty przemysłu farmaceutycznego.

Zwróciliśmy się o pomoc do wykładowców uniwersytetów włoskich i austriackich, ale nie wykazali zainteresowania tą sprawą, co więcej - większość z nich odniosła się do nas z niechęcią.

Już przez to przeszliśmy. Kiedy w 2003 roku poszukiwaliśmy grafologów, aby zbadali podpis na testamencie króla Hiszpanii Karola II Habsburga, większość ekspertów odmówiła współpracy, obawiając się reakcji obecnego króla Juana Carlosa Burbona. W przypadku ospy było jeszcze gorzej...

Wysłaliśmy podanie do Denkmalamt w Wiedniu (do urzędu ochrony zabytków) z prośbą o wyrażenie zgody na ekshumację zwłok Józefa I. Wiedzieliśmy, że w takich wypadkach procedura jest bardzo długa, więc żeby nie tracić czasu, przesłaliśmy dokumentację profesorowi Andrei Amorosiemu, anatomopatologowi, wykładowcy na wydziale medycyny doświadczalno-klinicznej na uniwersytecie Magna Grecia w Catanzaro, na południu Włoch. Profesor Amorosi z entuzjazmem odniósł się do naszego pomysłu ekshumacji ciała cesarza. To od niego dowiedzieliśmy się, że wirus ospy jest pod specjalnym

nadzorem i służy do walki z bioterroryzmem. Nasze starania mogły więc narobić wiele hałasu.

Zapytaliśmy profesora, czy po tak długim czasie można stwierdzić, jaka była przyczyna zgonu Józefa I: otrucie, wszczepienie ospy czy może rzeczywiście zmarł na ospę. Profesor odpowiedział, że otrucie da się łatwo stwierdzić, gdyż w tamtej epoce stosowano głównie metale, które można wykryć specjalną aparaturą (współczesne trucizny nie zostawiają śladów).

W wypadku inokulacji, wyjaśnił profesor, sprawa jest bardziej skomplikowana, ale można jej dowieść. Oprócz ciała Józefa I należy ekshumować kilka innych zwłok, najlepiej zmarłych na ospę wcześniej niż Józef, kiedy nie była to jeszcze choroba śmiertelna. Próbki DNA pobrane z tych ciał należy porównać z DNA Józefa I. Profesor Amorosi, wyjaśniając przez telefon wszystkie możliwe sposoby wykrycia prawdziwej przyczyny śmierci cesarza, użył wielu fachowych terminów, których nie potrafimy przytoczyć.

Uzgodniliśmy z profesorem, że przyśle pocztą fotokopie stron z podręcznika medycyny Harrisona, poświęcone bioterroryzmowi, a jednocześnie popyta wśród swoich kolegów, czy nie zajęliby się razem z nim ekshumacją i zbadaniem zwłok cesarza.

Więcej się nie odezwał.

Nie otrzymaliśmy również wspomnianych fotokopii, nie udało się nam też porozmawiać z profesorem. Nie odpowiedział na nasze maile, a telefony całymi miesiącami odbierała sekretarka, pielęgniarka lub asystentka. Zapytawszy nas o nazwisko, informowała, że profesor Amorosi jest nieobecny. Mimo to nie rezygnowaliśmy. Telefonowaliśmy do profesora kilka razy codziennie. Poznawaliśmy już po głosie osoby, które odbierały telefon. W czerwcu 2006 roku, kiedy po raz kolejny powtarzaliśmy do słuchawki słowa „ekshumacja”, „ospa”, „inokulacja”, ktoś z drugiej strony wyszeptał zmęczonym głosem: „Ile macie lat? Czy zdajecie sobie sprawę z tego, co robicie? Dajcie spokój! A przede wszystkim zostawcie w spokoju profesora”.

Przestaliśmy telefonować. Pierwszy raz, odkąd prowadzimy badania historyczne, poczuliśmy lęk. Głos w słuchawce nie brzmiał groźnie. Był po prostu szczery. To jasne, ktoś zastraszył profesora Amorosiego. Być może rzeczywiście igramy z ogniem? Dotknęliśmy kwestii bioterroryzmu omawianej w podręczniku Harrisona. Mimo ciągłych upomnień Światowej Organizacji Zdrowia, w CDC w Atlancie nadal przechowywane są próbki ospy i nadal przeprowadza się doświadczenia. Autor podręcznika podkreśla, że sztuczny wirus ospy jest bardziej niebezpieczny od naturalnego.

Wróćmy na chwilę do książki doktora Buchwalda. Autor pisze w niej o wszelkiego

rodzaju podłościach, jakich jeszcze niedawno dopuszczano się, by ukryć, że powodem zgonów niektórych osób była szczepionka przeciw ospie. Zamiast tego twierdzono, że chorzy zmarli w wyniku zarażenia ospą. Aby zataić prawdę, zamieniano karty chorobowe, wykradano orzeczenia lekarskie i temu podobne. Przeróżające zdjęcia (s. 49 i 50) Wartraudy B., dziewczynki pokrytej ropnymi pęcherzykami ospy wywołanej szczepionką, i młodej pielęgniarki zmarłej w Wiesbaden w latach 70. XX wieku na ospę krwotoczną odebrały nam mowę.

W chwili gdy oddajemy tę książkę do druku, nie otrzymaliśmy jeszcze odpowiedzi na naszą prośbę o pozwolenie na ekshumację ciała Józefa I.

### ***Latający statek i jego wynalazca***

Gazeta z 24 czerwca 1709 roku, w której podano informację o przybyciu do Wiednia latającego statku, jest autentyczna. Należy do zbiorów miejskiej biblioteki w Wiedniu. Nie jest to jedyny dowód istnienia latającego statku. O locie niezwyklego podniebnego pojazdu pisały też inne gazety. Współczesnym historykom znane jest nazwisko jego wynalazcy. Nie był nim skrzypek Albicastro, jak myślał kominiarz, lecz Bartolomeo de Gusmao (1685-1724), postać niezwykła, bez wątpienia geniusz. Był jezuitą, uczonym, podróżnikiem, wynalazcą i szarlatanem. Przeszedł od historii jako wynalazca balonu aerostatycznego, który uniósł się w powietrze kilkadziesiąt lat wcześniej niż balon braci Montgolfier.

Informacje o locie drewnianego statku (o ile rzeczywiście się odbył) ukazały się w gazetach wiedeńskich, londyńskich i portugalskich.

Czy statek zaprojektowany przez Gusmao naprawdę uniósł się w powietrze? Nie ma w tej kwestii zgodności. Historyk pojazdów latających Bernd Lukasch wcale tego nie wyklucza. Zdaniem historyka Fernanda Reisa natomiast *passarola* (jak nazwał swój wynalazek Gusmao) był czystym wymysłem, za pomocą którego wynalazca próbował odwrócić uwagę oszczerców i ciekawskich od swoich doświadczeń nad balonami wypełnionymi gorącym powietrzem. Co do informacji w gazetach, to zdaniem współczesnych była ona sprawką Gusmao i jego przyjaciela hrabiego de Penaguilao, którzy wymyślili tę kaczkę dziennikarską. Również na to nie ma dowodu, a życie samego Gusmao owiane jest tajemnicą.

W latach 1713-1716 ekscentryczny Portugalczyk odbył podróż po Europie, zyskując sławę przedziwnymi wynalazkami: urządzeniem ze szkła, powalającym smażyć mięso w promieniach słońca, wiatrakiem kręcącym się szybciej niż wszystkie inne, machiną do badania torfowisk i tym podobne. Zamieszkał w Paryżu, gdzie początkowo pracował jako zielarz, a później, z pomocą brata, jako sekretarz portugalskiego ambasadora Króla Słońce. Po powrocie do Portugalii, dzięki swym niezwykłym umiejętnościom uczonego i mówcy, został

członkiem Królewskiej Akademii Historii, następnie nadwornym kapelanem. Po pewnym czasie został oskarżony przez inkwizycję o sympatyzowanie z kryptożydami. Ponadto, jak pisze Saramago w *Memoriale del convento*, był zamieszany w skandal, w którym głównymi postaciami byli król Portugalii, brat monarchy, ich kochanki, czarownice i prostytutki. Zdaniem niektórych badaczy wrogość władz kościelnych do Gusmao wiązała się z jego aeronau-tycznymi eksperymentami. Jeden z jego braci, chcąc ratować go przed inkwizycją, oświadczył, że Bartolomeo jest szalony. Jezuita opuścił po kryjomu Portugalię i uciekł do Hiszpanii, skąd chciał dostać się do Paryża. W Toledo dostał jednak złośliwej gorączki i trafił do szpitala, gdzie zmarł miesiąc później, w wieku 39 lat. Na krótko przed śmiercią nawrócił się na judaizm. Prawdę o latającym statku Gusmao zabrał ze sobą do grobu.

Nie należy się dziwić, że, jak napisano w gazecie, pilota, który w 1709 roku przybył do Wiednia na pokładzie latającego statku, aresztowano i wtrącono do więzienia, zamiast powitać triumfalnie jako pierwszego lotnika w historii. Austriacy są przywiązani do tradycji i nie ufają nowościom. W początkach XX wieku cesarz Franciszek Józef był przeciwny wprowadzeniu elektryczności i wind.

Doświadczenia i teorie Francesca Lany, Ovidia Montalbaniego i Ludovica Montanariego zaczerpnięte zostały z ich tekstów, opublikowanych w drugiej połowie XVII wieku.

### ***Ciezeber-Palatyn***

Z opowieści kominiarza wielokrotnie wyłania się tajemnicza postać derwisza. W jednej z ulotek (rozdawanych na ulicy) zawierających relację z audiencji tureckiego agi u Eugeniusza (*Beschreibung Der Audientz des von tuercki-schen Gross=Sultan nach Wien gesandten und alda ankommenden Cefulah Aga Capichi Pascia*, Wiedeń, 9 kwietnia 1711) wspomina się o indyjskim derwiszu Ciezeberze ze świty ambasadora. Ciezeber wyjawia kominiarzowi, że nazywa się Isaac Ammon, zwany Palatynem. Ta postać istniała naprawdę, a jej polityczne proroctwa co do przyszłości Europy, sformułowane z wieloletnim, a nawet wielowiekowym wyprzedzeniem, okazały się trafne. Jak już wspomnieliśmy, wiadomości o tej zagadkowej postaci zaczerpnęliśmy z *Me-moires du feld-marechal comte de Merode-Westerloo*, Bruksela 1840, t. 2, s. 150-185 i 293. Autor pamiętników, które przez dłuższy czas pozostawały w rękopisie, drukiem ukazały się dopiero w XIX wieku, opublikowane przez jego potomka, był belgijskim wojskowym i dyplomatą w służbie cesarstwa. Często wchodził w konflikt z księciem Eugeniuszem. Ponieważ przedstawił Sabaudczyka w bardzo niekorzystnym świetle, stał się przedmiotem krytyki współczesnych historyków (patrz np. H. Oehler, *Prinz Eugen im Urteil Euro-pas*, Monachium 1944, s. 369-375).

Palatyn, a właściwie Isaac Ammon, wywodził się z wybitnego rodu patriarchów nestoriańskich i był związany z babilońskim środowiskiem derwiszy (*Memoires*, s. 159-160). Jako doświadczony uzdrowiciel i znawca trucizn wyleczył z poważnej choroby hrabiego Merode'a. Hrabia utrzymywał kontakt z derwiszem przez osiem lat. Palatyn wyjawiał mu przepowiednię o tajemniczym otruciu wielkich osobistości: Ludwika XIV, delfina, księcia i księżnej Burgundii, ich syna, księcia de Berry, króla Hiszpanii Karola II oraz Józefa I. Użył jedynie słowa „cesarz”, ale bez wątpienia chodziło o Józefa I, de Me-rose-Westerloo sytuuje bowiem znajomość i rozmowy z derwiszem (s. 150 i 160-161) około roku 1708, kiedy cesarzem był Józef I. Palatyn utrzymywał też kontakty z Eugeniuszem Sabaudzkim. Hrabia de Merode-Westerloo wspomina (s. 293), że o znajomości Palatyna z Eugeniuszem dowiedział się dopiero w 1722 roku.

Proroctwa Palatyna spełniły się. Król Słońce zmarł na gangrenę w 1714 roku, trzy lata po przepowiedni derwisza. W maju tego samego roku odszedł książę de Berry. Wnuk Ludwika XIV i trzeci syn Wielkiego Delfina zmarł, zgodnie z proroctwem, wskutek choroby, a sam delfin pożegnał się z tym światem 14 kwietnia 1711 roku, trzy dni wcześniej niż Józef I. Książę i księżna Burgundii zmarli w roku 1712. Tę zadziwiającą serię zgonów historycy nazwali hekatombą.

### ***Bezimiennie Miejsce i jego wrogowie***

Wszystkie opisy Bezimiennego Miejsca, zwanego Neugebau (jak wynika ze źródeł archiwalnych), potwierdzają historycy oraz liczne prace wymienione w bibliografii. Dzisiaj pałac nosi nazwę Neugebaude. Opowieść Simonisa o Maksymilianie II, który w ostatnich latach życia zapragnął wznieść zespół pałacowy, poświadcza wenecki ambasador Giacomo Soranzo (por. Joseph Fiedler [oprac], *Relationen venetianischer Botschafter iiber Deutschland und Ostereich im 16. Jahrhundert*, Wiedeń 1870, s. 217).

Czarna pantera także istniała. Wspomina o niej „Wienerisches Diarium” (dziś „Wiener Zeitung”), w numerze 483 z 17-20 marca 1708 roku. W niedzielne popołudnie 18 marca cesarz Józef I wraz z małżonką i świtą towarzyszył swojej szwagierce, księżnej Elżbiecie Krystynie Brunszwik-Wolfenbiit-tel, właśnie do Neugebaude. Ponieważ brat cesarza Karol przebywał wówczas w Barcelonie, starając się o tron hiszpański, Józef reprezentował go per procu-ra podczas zaślubin z niemiecką księżniczką. Przed wyjazdem księżnej Elżbiety Krystyny do Hiszpanii, gdzie miała dołączyć do męża, Józef I chciał jej osobiście pokazać dzikie zwierzęta w Neugebaude, zwłaszcza niedawno sprowadzone lwy i panterę.

Po śmierci Józefa I pałac podupadł. Nie tylko zaprzestano renowacji budowli, ale

także stała się ona ofiarą zaniedbań, błędów i złej woli, jakby sprzysięgły się przeciw niej złe moce.

Po objęciu cesarskiego tronu Karol, brat Józefa, całkowicie zaniechał odbudowy pałacu, pozwalając, by popadł w ruinę. Zniszczeniu uległy też ogrody, z czasem zniknęły ostatnie ślady wspaniałych trawników, roślin doniczkowych, żywopłotów. Po wstąpieniu na tron córki Karola Marii Teresy stan zespołu pałacowego uległ dalszemu pogorszeniu. Na prośbę cesarskich artylerzystów cesarzowa zgodziła się urządzić na terenie pałacu prochownię. Z jej rozkazu usunięto wspaniałe kolumny z panoramicznej loggii od strony północnej. Wieże ogrodowe przebudowano, zmieniając je w magazyny prochu. Cztery wieże główne wyburzono, a pas murów obronnych poddano gruntownym zmianom. Stadion do gry w piłkę (skąd według kominiarza startował latający statek) przykryto dachem, a później podzielono na kondygnacje za pomocą drewnianej konstrukcji, która po pewnym czasie spłonęła wraz z dachem.

Oprócz kolumn żołnierze Marii Teresy usunęli fontanny, stiuki, ornamenty, a także kawałki murów i cegły, przenosząc wszystko do Schönbrunnu. Kilka cudownych toskańskich kolumn z pałacu Maksymiliana II zostało włączonych do kolumnady w Schönbrunnie, od strony wychodzącej na słynny park. Arkadowa loggia w Neugebaude, pozbawiona kolumn, została później zamurowana, w wyniku czego pałac przypominał duże pudło.

Inne kolumny z Neugebaude złożyły się na szkielet Gloriette, eleganckiego łuku triumfalnego, do którego dobudowano dwa długie arkadowe skrzydła. Budowla wznosi się na zielonym wzgórzu na tyłach Schönbrunnu i figuruje na tysiącach widokówek i w przewodnikach po Wiedniu. Kolejne kawałki Neugebaude włączono zapewne do bocznych skrzydeł Schönbrunnu, których budowę rozpoczęto po śmierci Józefa I. Wiedeńskie archiwa milczą na temat tej zakrojonej za szeroką skalę rozbiórki i operacji recyklingu. Nikt dokładnie nie wie, w których miejscach Schönbrunnu ukryto milczące świadectwa niespełnionego marzenia Maksymiliana II. Inne materiały, z którymi nie za bardzo wiedziano, co zrobić, zostały użyte do tak zwanych rzymskich ruin, tworzących dziwaczne zestawienie kapiteli, gzymsów, ozdobnych posągów, renesansowych i pseudoantycznych belkowań, niczym w wedutach Piranesiego. Konstrukcja, przypominająca zburzoną rzymską świątynię, umieszczona została w rogu parku.

Turyści, którzy zwiedzają Schönbrunn, podziwiając wspaniałą elewację ogrodową, Gloriette czy imitację rzymskich ruin, nie wiedzą nawet, że patrzą na fragmenty Neugebaude. Dlaczego Maria Teresa zamiast uszanować i uratować arcydzieło Simmeringu, wołała rozebrać go i użyć do budowy innego obiektu? Prawdopodobnie wynikało to ze skłonności

władczyni do oszczędnego gospodarowania. Nie mogła pozwolić, żeby szesnastowieczne kolumny Bezimiennego Miejsca niszczały na deszczu i wietrze. No dobrze, dlaczego w takim razie nie zawahała się wydać na orientalny salonik na pierwszym piętrze Schönbrunn astronomicznej kwoty miliona guldenów (przewodniki podają, że w tamtych czasach uznany lekarz czy adwokat zarabiał 500 guldenów rocznie)? Jeśli rzeczywiście pragnęła ograniczyć wydatki, mogła zrezygnować z ogromnego, niezwykle kosztownego łoża, zdobionego złotym i srebrnym brokatem, które ostatnio odrestaurowano i ponownie umieszczono w jednej z komnat pałacu.

Dług Schonbrunnu wobec Neugebaude jest ogromny. Zespół pałacowy Simmering został nawet nazwany „matką Schonbrunnu” (Leopold Urban, *Die Orangerie von Schönbrunn*, praca magisterska, Wiedeń 1992). Porównanie obu arcydzieł architektury „odślania zaskakujące podobieństwa” (tamże, s. 62), na przykład układ nisz, łuków i ścian w pałacowej oranżerii oraz w pomieszczeniach przeznaczonych dla zwierząt. Podobieństwa widoczne są również w podziemnym tunelu w zachodniej części Neugebaude (gdzie, pod koniec opowieści kominiarza, derwisz i jego siepacze dopuszczają się nielegalnego aresztowania). Ozdobne maski Schonbrunnu także wydają się nawiązywać do fontann Neugebaude. Rzędy kolumn podtrzymujących długie sklepienie panoramiczne, przerwane korpusem centralnym, stanowią motyw wspólny dla Gloriette i pałacu na równinie Simmering, a podstawowe elementy zespołu pałacowego (staw, fontanny na tyłach budowli, rozległy dziedziniec i ogród otoczony murami) występują zarówno w Neugebaude, jak i w Schönbrunnie. Gdyby Neugebaude został odrestaurowany, byłby z pewnością znacznie piękniejszy od Schonbrunnu. Pomimo to nikt nie podjął wysiłków, by uratować Bezimienne Miejsce, wprost przeciwnie.

Maria Teresa ogołociła Neugebaude, jej następcy kontynuowali dewastację zabytku. W następnych wiekach dochodziło do kolejnych rozbiórek, zaniedbań, pożarów, nie wyłączając strasznego w skutkach postępu oddziałów wojskowych w okresie walk między armiami cesarską i napoleońską. Krematorium, które władze miejskie Wiednia postanowiły wybudować w obrębie wewnętrznych murów ogrodu w 1922 roku, w nieodwracalny sposób zniszczyło pierwotne założenie zespołu pałacowego. Tam, gdzie przedtem były kwietniki, rzędy drzewek owocowych, smukłe tureckie wieże, alejki i trawniki, teraz wznoszą się piece krematoryjne i tablice nagrobne. Czy naprawdę nie było innego miejsca pod tę inwestycję?

Renesansowa fontanna, wybitne dzieło rzeźbiarza Alexandre’a Colina, którą Maria Teresa kazała przenieść z Neugebaude do Schonbrunnu i umieścić na dziedzińcu oranżerii (Urban, s. 71 i następne), została w 1952 roku rozmontowana i porzucona pod gołym niebem.



Z upływem czasu zniknęły także inne ozdobne elementy, przeniesione zapewne do prywatnych ogrodów. Wskutek pożaru w 1962 roku uległa zniszczeniu pałacowa kaplica, używana jako magazyn taśm filmowych.

Propozycje odbudowy pałacu blokują jakieś tajemnicze siły. Wydaje się, że nikogo poza mieszkańcami Wiednia, zakochanymi w swoim mieście, nie obchodzi losy jedynej renesansowej willi na tym terenie. Prace restauratorskie miały się rozpocząć w 1974 roku, ale nigdy do nich nie doszło. W 1982 roku zamierzano urządzić w pałacu muzeum broni, dwa lata później ponownie mówiło się o odbudowie. W roku 1986 w prasie podano, że w wyniku wykopalisk archeologicznych odkryto nowe, istotne szczegóły dotyczące budowy i dziejów zespołu Neugebaude. W 1993 roku wskutek kolejnego pożaru runął dach pałacu. Wśród wiedeńczyków krąży plotka, że stacja metra U3 Stubentor została wybudowana z cegieł pochodzących z Neugebaude (a nie z materiału znalezionej na miejscu, jak głosi tabliczka umieszczona na stacji).

Kilka lat temu ktoś zaproponował, by wyburzyć cały zespół pałacowy. Na szczęście znalazł się obrońca Neugebaude, Othmar Brix, burmistrz XI dzielnicy Wiednia, obejmującego swym zasięgiem pałac Maksymiliana II. Brix podjął starania o odbudowę obiektu, ale zmarł niespodziewanie w 2003 roku, w wieku zaledwie 59 lat, przed rozpoczęciem prac. Zupełnie jakby prześladowali go ci sami tajemniczy wrogowie, którzy utrudniali odnowę pałacu. Ulica, która prowadzi dziś do Bezimiennego Miejsca, nosi jego nazwisko.

Niedawno podjęto wreszcie prace restauratorskie w Neugebaude, choć nie zdecydowano jeszcze o jego przyszłym przeznaczeniu (ośrodek kultury, muzeum i tym podobne). Finansowanie prac uzależnione jest jednak od decyzji politycznych. Nadal istnieje też groźba wyburzenia. Z tych powodów przed kilkoma laty powstało dobrowolne stowarzyszenie obrońców Neugebaude, z siedzibą w zabytkowych murach, które organizuje zwiedzanie obiektu z przewodnikiem, a na dziedzińcu głównym - letni festiwal filmowy i muzyczny. Być może jest to jedyny sposób powstrzymania tajemniczych sił, które chcą skazać na zapomnienie budowlę Maksymiliana II i jej chlubną przeszłość.

Legendy krążące wokół Bezimiennego Miejsca nie są wymysłem autorów. Opowieści Simonisa o duchach i doświadczeniach alchemicznych Rudolfa II mają swoje źródło w wiedeńskich gazetach, m.in. „Neues Wiener Tagblatt” z 4 kwietnia 1940 roku, s. 6 („Ein Besuch in Wiens Gespensterschloß”, *Zwiedzanie wiedeńskiego pałacu duchów*), „Volkszeitung” z 28 stycznia 1940, s. 7, „Neue Freie Presse” z 7 września 1937, s. 6. O duchach, które straszyły nocnych strażników, kiedy pałac pełnił funkcję magazynu wojskowego, sygnalizowano do połowy XIX wieku. Mieszkańcy pobliskiej równiny

Simmering unikali Neugebaude do lat 30. XX wieku, w obawie, że spotkają tam ducha.

Maksymilian II rzeczywiście sprowadził z Półwyspu Iberyjskiego słonia, od którego wzięła nazwę słynna gospoda przy Graben (jednej z ulic w najstarszej części Wiednia), działająca przez trzy stulecia, później wyburzona. Możliwe więc, że słonia umieszczono na terenie zespołu pałacowego Maksymiliana, tak jak opowiadał kominiarz.

### ***Eugeniusz Sabaudzki***

Na początek kartka agi. W dokumentach dotyczących kampanii wojennych Eugeniusza widnieje raport księcia adresowany do Karola (*Feldziige des Prin-zen Eugen von Savoyen. Nach den Feld-Acten u. anderen authentischen Quel-len hrsg. Von der Abtheilung fur Kriegsgeschichte des. k.k. Kriegs-Archives*, Wiedeń 1876-1892, t. XIII, dodatek s. 14, rozdział 7, Wiedeń 11 kwietnia 1711):

„O siódmej po południu przybył turecki aga, o dziewiątej udzieliłem mu audiencji. Załączam kopię pisma, które mi przekazał”.

Czy notatka jest oryginalna? Czytelnik pomyśli, że została dołączona do listu Eugeniusza. Natomiast Czytelnik, który czytał przypisy do *Imprimatur* i *Secretum*, zrozumie zapewne, że w dokumentach nie ma pisma agi. Niektóre operacje przeprowadza się zawsze w ten sam sposób, bez względu na to, czy chodzi o zatajenie machinacji papieża, o sfalszowanie testamentu czy o ukrycie spisku przeciw cesarzowi.

Czym było pismo agi i dlaczego Eugeniusz miałby je wysłać Karolowi? Jego obowiązkiem było poinformować o nim także Józefa I, chyba że cesarz nie powinien o niczym wiedzieć, w odróżnieniu od Karola...

Machinacje Atta Melaniego. Opat Melani wpadł na pomysł, by dostarczyć cesarzowi fałszywy list Eugeniusza. I był bliski jego realizacji. To prawda, jak opowiada sam Atto, że sfalszowany list, będący dowodem planowanej zdrady księcia sabaudzkiego, został wysłany do króla Hiszpanii Filipa V, który z kolei przekazał go Królowi Słońce i Torcy'emu. Torcy zatrzymał list ku niezadowoleniu Atta. W maju 1711 roku (czyli miesiąc po wydarzeniach opisanych przez kominiarza) Eugeniusz, przebywający wówczas w Tournai we Flandrii, został poinformowany o istnieniu listu, ale dowiódł swojej niewinności.

O całej sprawie można przeczytać w korespondencji Eugeniusza, przechowywanej w Archiwum Państwowym w Wiedniu, lub w dokumentach z kampanii wojennych. Najlepiej wyjaśniają list hrabiego Bergeycka, który napisał do Eugeniusza, że Filip V polecił mu dowiedzieć się, czy pismo księcia jest autentyczne, a jeśli tak było, hrabia miał pertraktować z Sabaudczykiem (Archiwum Państwowe w Wiedniu, *Kriegsakten* 262, 22.3.1711; *Kriegsakten* 263, 3.5.1711); odpowiedź oburzonego Eugeniusza (Archiwum Państwowe w Wiedniu,

Grosse Korrespondenz 93a, 18.5.1711); listy do królowej matki, do regentki Eleonory Magdaleny Teresy, do Karola (*Feldziige des Prinzen Eugens XIII*, dodatek s. 32-33, 13 i 17.5.1711) oraz do Sinzendorfa (Archiwum Państwowe w Wiedniu, Grosse Korrespondenz 73a, 18.5.1711), w których Eugeniusz wyraził swoje ubolewanie, dołączając kopię listu Bergeycka; na koniec odpowiedzi regentki, Karola i Sinzendorfa, które potwierdzają niewinność Sabaudczyka (Archiwum Państwowe w Wiedniu, Grosse Korrespondenz 90b, 3.6.1711; 31.7.1711; Grosse Korrespondenz 145, 21.5.1711).

Analiza stosunków panujących między Eugeniuszem, Józefem i Karolem, dokonana przez Atta, w zadziwiający sposób odzwierciedla fakty. To prawda, że Eugeniusz miał silniejsze wpływy na dworze Karola niż Józef. Sabaudczyk zdołał przekonać Karola, by kontynuował sukcesyjną wojnę hiszpańską w pojedynkę, podczas gdy sojusznicy zawarli już pokój z Francją. Później wziął udział w wojnie z Turkami.

Eugeniusz rzeczywiście nienawidził Józefa, tak jak mówił Melani. Prawdą jest też, że Sabaudczyk został wykluczony z walk o Landau w 1702 roku i zastąpiony przez Józefa, o czym pisze Onno Klopp (*Der Fali des Hauses Stuart*, t. II, Wiedeń 1885, s. 196). Klopp potwierdza także to, że Józef nie pozwolił Eugeniuszowi walczyć z Francuzami w Hiszpanii, gdzie Sabaudczyk miał nadzieję dokonać wielkich czynów (tamże, t. XXIV, s. 12 i następne).

Uwagi Atta na temat osobowości Eugeniusza Sabaudzkiego również odpowiadają rzeczywistości. Nie należy się dziwić, że oficjalna historiografia poświęca niewiele miejsca ciemnym stronom jego osoby. W tysiącach książek i artykułów (doliczono się ich ponad 1800), wysławiających postać Eugeniusza, brakuje informacji o jego prywatnym życiu. Z prostego powodu: książę nie pozostawił prywatnej korespondencji, jedynie listy dotyczące wojny, dyplomacji, polityki. W archiwach osób, które z nim korespondowały, także nie ma śladu prywatnych listów. Odnosi się wrażenie, że intymne strony życia Eugeniusza w ogóle nie istniały. Wszędzie jawi się tylko niewzruszona postać żołnierza, dyplomaty, męża stanu i bohatera, któremu obce są uczucia, wątpliwości, słabość.

Kobiety? Nie wydaje się, by jakaś kobieta zawładnęła tym spizowym człowiekiem. Eugeniusz, jeden z najbogatszych, najslawniejszych mężczyzn swojej epoki, nigdy się nie ożenił. Badacze wiążą z jego imieniem kilka kobiet, zwłaszcza hrabinę Eleonorę Batthyany, która w 1715 roku została „oficjalną kochanką” księcia. Z korespondencji Eugeniusza z Eleonorą nie wynika jednak, by wiązało ich silniejsze uczucie. Eugeniusz podchodził do kobiet w sposób praktyczny: hrabiankę Palffy, młodziutką kochankę Józefa I, umieścił w domu przy ulicy Porta Coeli (w pobliżu własnego pałacu), aby lepiej ją kontrolować i wykorzystać do swoich celów (Max Braubach, *Prinz Eugen von Savoyen*, Wiedeń 1964, t. 3,

s. 21-22).

To prawda, że gdy przebywał we Francji, Eugeniusz był młodzieńcem zagubionym, niedouczone, rozpustnym. Angielski historyk Nicholas Henderson pisze: „W latach wczesnej młodości Eugeniusz należał do kręgu zniewie-ściących młodzieńców, podobnie jak zdeprawowany opat de Choisy, który przebierał się za dziewczynę, nosił kolczyki i kobiece fryzury” (N. Henderson, *Prince Eugen of Savoy*, Londyn 1964, s. 21). Jak wynika z listów szwa-gierki Ludwika XIV Elżbiety Orleańskiej, Eugeniusz odbywał wtedy stosunki homoseksualne, o czym wspomina Atto Melani. Elżbieta znała osobiście Eugeniusza. Swojej ciotce, księżnej Zofii Hanowerskiej, opowiadała, że Sabaudczyk miał przydomek *madame Simone* lub *madame l’Ancienne*, czyli Stara (o tym też mówi Atto Melani), w relacjach z rówieśnikami „pełnił rolę kobiety”, w seksualnych wybrykach towarzyszył mu księżę Turenne i obaj nazywani byli „wulgarnymi dziwkami”. Elżbieta twierdziła też, że Eugeniusz wolał „parę paziów” niż kobiety, że z powodu „deprawacji” nie przyznano mu upragnionego beneficjum i że dopiero w Niemczech być może zapomniałby o „rzemiośle”, którego nauczył się w Paryżu.

Wybitny biograf Eugeniusza, Max Braubach, w pięciotomowym dziele o życiu i dokonaniach wielkiego żołnierza niewiele miejsca poświęcił listom Elżbiety i jej znajomości z księciem. Inny historyk, Helmut Oehler, zacytował jej ostre określenia, wynikające jakoby z niechęci Elżbiety do Eugeniusza. W czasach kiedy powstały listy Elżbiety (1708-1710), sabaudzki księżę był przeciwny pokojowi między europejskimi mocarstwami a Francją. Elżbieta, ze względu na dramatyczną sytuację Ludwika XIV, przeciwnie - marzyła o tym, by pokój został zawarty. Nie jest to jednak zgodne z rzeczywistością. Elżbieta pisała bowiem o homoseksualizmie Eugeniusza również wiele lat po zakończeniu wojny.

Oehler nie wydaje się obiektywny, gdy mówi o kolejnym krytyku Eugeniusza, holenderskim hrabim Merode-Westerloo, zmienia ton i nazywa hrabiego „mądrąłą”, „szarlatanem”, „salonowym gadułą”, „pasożytem”, „godnym pożałowania osobnikiem, wiodącym bezsensowne życie”, a jego pamiętniki wytworem „starczej demencji”. Oehler wyjaśnia, że celowo pominął pewne fragmenty z dziennika holenderskiego dyplomaty, ponieważ „brzydzi się” rozpowszechnianiem „głupot”.

Nie należy się zatem dziwić, że o Eugeniuszu pisano głównie w superlatywach, jako o bohaterze bez skazy. Tak też widziano go w czasach reżimu nazistowskiego, na przykład w biografii Victora Bibla *Prinz Eugen. Ein Heldenle-ben* (Wiedeń-Lipsk 1941), zadedykowanej armii Trzeciej Rzeszy.

Pierwszy list Elżbiety, w którym zarzuca Eugeniuszowi homoseksualizm, zacytowany

został w: Wilhelm Ludwig Holland (oprac), *Briefe der Herzogin Elisabeth Charlotte von Orleans*, Stuttgart 1867, w: *Bibliothek des Litterari-schen [sic!] Yereins in Stuttgart*, Band CXLIV, s. 316:

*Madame Louise, hrabina Palatynatu, Frankfurt*

*St. Clou, 30 października 1720*

[...] Nie rozpoznałabym księcia Eugeniusza na portrecie, który tu widziałam. Nos ma krótki i szeroki, na rycinie natomiast długi i spiczasty. Eugeniusz ma nos tak zadarty, że zawsze trzyma otwarte usta, przez które widać w całości dwa górne zęby. Dobrze go znam, kiedy był mały, często go karciałam. Wtedy mówiło się, że zostanie księdzem i chodził ubrany jak opat. Zapewniałam go, że to nigdy nie nastąpi, co potem się sprawdziło. Kiedy porzucił habit, młodzi chłopcy nazywali go „madame Simone” lub „madame / ‘Ancienne „. Mówiono, że z nimi odgrywał zawsze rolę kobiety. Widzi Pani zatem, droga Louise, że dobrze znam księcia Eugeniusza. Poznałam całą jego rodzinę: pana ojca, panią matkę, braci, siostry, wujków i ciotki, krótko mówiąc, jest mi dobrze znany. Niemożliwe, żeby miał nos długi i spiczasty.

Kolejny fragment (list Liselotte do ciotki z 9 czerwca 1708) w: Helmut Oehler, *Prinz Eugen im Urteil Europas*, Monachium 1944, s. 108:

Księżę Eugeniusz ma zbyt wiele rozumu, żeby nie podziwiać Waszej Wysokości. Ponieważ jednak Wasza Wysokość pragnie poznać prawdziwy powód, dla którego Eugeniusza nazywano madame Simone lub madame VAncienne, podobnie jak księcia Turenne, informuję, że obaj byli nazywani, proszę mi wybaczyć ten termin, wulgarnymi dziwkami, do czego podobno przywykli i oddawali się każdemu, pełniąc rolę kobiety. Księżę Eugeniusz mógł zapomnieć o tym rzemiośle w Niemczech.

Fragment innego listu z 1710 (Oehler, tamże, s. 109):

*Nad kobiety [Eugeniusz] przedkłada parę ślicznych paziów.*

Z listu napisanego w 1712 (Oehler, tamże):

[...] Jeśli odwaga i rozum czynią bohatera, księżę Eugeniusz jest nim bez wątpienia. Ale od bohatera wymaga się też innych zalet, które nie wszyscy posiadają. Kiedy był madame Simone lub madame l Ancienne, wszyscy patrzyli na niego jak na petite salopę. Gorąco pragnął beneficjum wartości 2000 talarów, ale odmówiono mu go z powodu debauche. Dlatego też udał się na dwór cesarski, gdzie odniósł sukces.

Także inne wiadomości o homoseksualizmie na dworze francuskim, podane przez Atta, są autentyczne, co można sprawdzić w: Didier Godard, *Le gout de Monsieur - L 'homosexualite masculine au XVII<sup>e</sup> siecle*, Paryż 2002, oraz w: Claude Pasteur, *Le beau vice*,

*ou les homosexuels d la cour de France*, Paryż 1999.

Opis pałacu Eugeniusza przy ulicy Porta Coeli (obecnie Himmelpfortgasse; w dawnym pałacu księcia mieści się austriackie ministerstwo finansów) jest zgodny z prawdą, włącznie z opisem projektowanej biblioteki na pierwszym piętrze. Bogaty księgozbiór księcia znajduje się obecnie w Bibliotece Narodowej w Wiedniu.

### **Józef Zwycięski**

Opisy oblężeń twierdzy Landau pod wodzą Józefa, jak również wszystkie związane z nimi szczegóły, włącznie z historią monet wybitych z rozkazu francuskiego dowódcy Melaca, potwierdza G. Heuser w pracy *Die Belagerun-gen von Landau*, Landau 1894-1896.

Procesja, która blokuje przejazd kolasy Peniicka czwartego dnia po południu, rzeczywiście miała miejsce. Broszura na temat śmierci Józefa I {*Um-ständliche Beschreibung von Weyland Ihrer Mayestat /JOSEPH/ Dieses Na-mens des Ersten/Rómischen Kayser/Auch zu Ungarn und Bóheim KónigJu. Erz=Herzogen zu Oesterreich/u.u. Glorwiirdigsten Angedenckens Ausgestan-dener Kranckheit/Hóchst=seeligstem Ableiden/Und dann erfolgter Prdchtigsten Leich=Begdnngnufi/zusammengetragen/und verlegt durch Johann Baptist Schönwetter*, Wiedeń 1711, s. 6) zawiera wykaz zakonów i bractw biorących udział w czterdziestogodzinnej modlitwie. Dwunastego kwietnia, tuż po godzinie 17, do katedry podążali ojcowie oratorianie, bractwo Niepokalanego Poczęcia oraz cech ślusarzy, których kolej wypadała między godziną 18 a 19.

Nazwisko cesarskiego lekarza von Hertoda widnieje w wyżej wspomnianej broszurze *Umständliche Beschreibung*, która wiernie odtwarza wszystkie szczegóły śmierci Józefa I i ceremonii pogrzebowej.

Opis trumny i dekoracji żałobnych zaczerpnięty został z *Apparatus Fune-bris quem JOSE PHI I. Gloriosissim. Memoriae...* Wiedeń 1711.

Jest bardzo prawdopodobne, że wśród wrogów Józefa I byli jezuici, jak twierdzi Atto Melani. Opowieść o wypędzeniu przez młodego Józefa jezuitę Wiedemanna, którą przytacza trzeciego dnia kominiarz, jest autentyczna (patrz Eduard Winter, *Fruhaufkldrung*, Berlin 1966, s. 177). Żaden z panegi-ryków cytowanych przez kominiarza nie jest wymysłem fantazji. Czytelnik znający historię prasy z pewnością rozpoznał „Englischer Wahrsager” („Angielski Wróżbita”), kalendarz, z którego kominiarz zaczerpnął przepowiednię na rok 1711.

Wschód słońca o oryginalnym, czerwonym kolorze również nie został wymyślony. Opowiadał o nim hrabia Sigmund Friedrich Khevenhuller-Metsch, a jego słowa książę Jan Józef Khevenhuller-Metsch przytoczył w swoim dzienniku: *Aus der Zeit Maria Theresias*.

*Tagebuch 1742-1776* (Wiedeń-Lipsk 1907, s. 71):

Nie tylko angielski wróżbita przepowiedział w swoim kalendarzu tę bolesną śmierć. Zapowiedziało ją też słońce, które od pewnego czasu wschodziło czerwono.

Dziwne zjawisko przywodzi na myśl podobny fenomen zaobserwowany w Rosji w 1936 roku, który przypomniał rosyjski reżyser Nikita Michałków w filmie *Spaleni słońcem* z 1994, poświęconym stalinowskiemu czystkom.

Jak opowiada kominiarz, z chwilą gdy w „Englischer Wahrsager” ukazała się przepowiednia śmierci cesarza, gazeta zaczęła się cieszyć niezwykle popularnością. Sądząc z zachowanych egzemplarzy, do końca XVIII wieku była najczęściej kupowaną gazetą.

Prawdziwa jest także historia przytoczona przez Atta Melaniego o zdrajcy Raueskoecie, który zaproponował Ludwikowi XIV porwanie Józefa, ale król odrzucił propozycję (patrz Charles W. Ingrao, *Josef I., der „vergessene Kai-ser*, Graz-Wiedeń-Kolonia 1982, s. 243, nr 98, oraz Philipp Roder von Diers-burg, *Freiherr, Kriegs und Staatsschriften des Markgrafen Ludwig Wilhelm von Baden tiber den spanischen Erbfolgekrieg aus den Archiven von Karlsruhe, Wien undParis*, Karlsruhe 1850, t. 3, s. 97).

### ***Ocenzurowana biografia i sekrety Karola***

Zawiść Eugeniusza, rywalizacja Karola - dlaczego żaden z historyków nie badał aury wrogości otaczającej Józefa I? Sława zdobyta w Landau drogo go kosztowała, powiedział Atto Melani kominiarzowi.

Susanne i Theophil Antonicek (*Drei Dokumente zu Musik und Theater un-ter Kaiser Joseph I*, w: „Festschrift Othmar Wessely zum 60. Geburtstag”, Tutzing 1966, s. 11-12) utrzymują, że między Józefem a bratem (a co za tym idzie, między ich doradcami) wywiązała się ukryta wojna z powodu muzyki. Karol zarzucał bratu rozrzutność. Po śmierci Józefa od jego nadintendenta do spraw muzyki, Scipiona Publicoli Santa Crocego, zażądano przedłożenia rachunków. Wielu pupilów zmarłego cesarza zwolniono (w tym także Santa Crocego), wkrótce jednak rygor wprowadzony przez Karola złagodniał. Józef zapoczątkował złoty okres muzyki na dworze cesarskim.

Między braćmi zawsze panowała zazdrość i niezgoda. W otoczeniu Józefa było zapewne wiele wrogich mu osób. Historycy powinni zbadać, jaki wpływ miały jego wielkie zwycięstwa pod Landau na wzrost nieprzychylnych nastrojów wobec niego.

Prawdę powiedziawszy, powstało takie dzieło. Jest monumentalne, liczy 12 tomów rękopisu. Brat cesarza Karol VI kazał je złożyć w archiwum. W tych manuskryptach, których zbadania się podjęliśmy, znajduje się wiele nieznanych faktów z życia Józefa.

Wiedeń, wiosna roku 1738. Od śmierci Józefa upłynęło dwadzieścia siedem lat, dwa

lata od śmierci Eugeniusza Sabaudzkiego. Na tronie cesarskim zasiada Karol, brat Józefa. Wybitny literat Gottfried Philipp Spannagel śle naglące listy do hrabiny Clenck (Biblioteka Narodowa w Wiedniu, Handschri-f-ten Sammlung, manuskrypt kod 8434). Spannagel jest jednym z nadintenden-tów biblioteki cesarskiej. Stanowisko to otrzymał w uznaniu za wielką wiedzę w dziedzinie prawa, genealogii i historii. Wiele lat spędził we Włoszech, biegle pisał nie tylko po łacinie, niemiecku i francusku, ale także po włosku. Przed jedenastu laty, w roku 1727, mianowano go nadwornym historykiem, a później kustoszem biblioteki cesarskiej. Powierzono mu bardzo delikatne zadanie: przez dwa lata udzielał lekcji historii arcyksiężnej Marii Teresie, córce Karola. Dzięki sankcji pragmatycznej, o której wspomina kominiarz, Maria Teresa została następczynią Karola, odbierając prawo do tronu przysługujące córkom Józefa. Obdarzona dużą energią, przeszła do historii jako wielka refor-matorka monarchii austriackiej. Spannagel, wielki uczyony i nauczyciel rodziny cesarskiej, pisze do hrabiny Clenck, aby pomogła mu uzyskać audiencję u cesarza Karola. Hrabina pozostaje w bardzo dobrych stosunkach z cesarzem i jego małżonką. Spannagel właśnie kończy pracę nad dwunastotomowym dziełem historycznym, które pragnie zaprezentować Karolowi. Praca napisana została po włosku, w ulubionym języku jej bohatera, i nosi tytuł: *Della vita e del regno di Josefo U vittorioso, Re et Imperadore dei Romani, Re di Unghe-ria e di Boemia e Arciduca d’Austria* (Biblioteka Narodowa w Wiedniu, Handschriften Sammlung, kod. 8431-8435 i 7713-7722). Jest to pierwsza biografia Józefa, przedstawiająca jego bohaterskie czyny i życie od dzieciństwa do śmierci. Do publikacji dzieła potrzebna jest nie tylko zgoda cesarza, ale także jego pomoc finansowa. Spannagel prosi więc hrabinę Clenck o pomoc w zorganizowaniu spotkania z cesarzem albo o wstawiennictwo u jego małżonki. Mija rok. W 1739 bibliotekarz nadal oczekuje jakiegoś znaku, pomocy w opublikowaniu dzieła. Zachował się bilecik hrabiny, w którym dama wyznacza Spannagelowi spotkanie, aby przekazać mu z dawna oczekiwaną odpowiedź. Jak brzmiała ta odpowiedź?

*Della vita e del regno di Josefo U vittorioso...* to wzruszający dokument napisany przez wielbiciela Józefa I. W dołączonej do biografii korespondencji (kod. 8434, s. 272 i następne) Spannagel nazywa zmarłego cesarza swoim „bohaterem”. Autor tworzy żywy portret bohatera, podkreślając jego zalety intelektualne, moralne i wojskowe. Ze szczególną starannością opisuje zwycięstwa pod Landau w 1702 i w 1704 oraz niedoszły udział w kampanii w 1703 roku, kiedy bawarską twierdzę zdobyli Francuzi, zgodnie ze słowami Atta Melaniego.

Spannagel zastanawia się, dlaczego Józef nie wziął udziału w tej kampanii, i stwierdza, że na dworze był ktoś, kto mu to uniemożliwił. Oficjalnym powodem zatrzymania



Józefa (kod. 7713, s. 105, 239 i następne) był „brak koniecznych rzeczy”, „braki w skarbcu” i „duża liczba wrogów”, dysponujących „wszystkim, co potrzebne do prowadzenia wojny”. Spannagel twierdzi jednak, że to wszystkiego nie tłumaczy. Należało się zastanowić, czy ludzie kierujący interesami politycznymi i wojskowymi uczynili wszystko co w ich mocy. Przyjaciele Józefa mieli co do tego poważne wątpliwości.

Innymi słowy, ktoś Józefa zdradził albo świadomie zaniedbał swoich obowiązków względem cesarza. Dlaczego? Przede wszystkim z powodu braku

„harmonii” między starymi ministrami Leopolda i ministrami „Wschodzącego Słońca”, czyli Józefa. Zdaniem tych ostatnich tylko Józef, dokonując rzeczy wielkich, godnych jego „znamienitych talentów”, mógł uchronić „dom Austrii przed ostateczną ruiną”. W końcu gwiazda Józefa zaświeciła po zdobyciu Landau w 1702 roku, zwiastując zmiany w cesarstwie, również w sferze rządów.

Data urodzin Spannagela pozostaje nieznana, wiadomo jednak, że zmarł w roku 1749 (I.F.V. Mosler, *Geschichte der k.k. Hofbibliothek zu Wien*, Wiedeń 1835, s. 148). Był więc świadkiem wielu wydarzeń, o których pisał, i mógł przytaczać świadectwa ustne. Sumiennosc skłoniła go do cytowania dokumentów dostarczonych przez kanclerza (kod. 7713, s. 124-126; dodatek do księgi V - litera Z), czyli listów księcia Salma, byłego wychowawcy Józefa, wysłanych do hrabiego Sinzendorfa w pierwszych miesiącach 1703 roku. Salm mówi w nich otwarcie o „złych zamiarach obecnego rządu”, z naciskiem podkreśla „najwyższą konieczność” odwołania ministrów i zastąpienia ich „osobami zdolnymi, godnymi zaufania, o nieposzlakowanej opinii, które dokonają zmian i położą kres nadużyciom”. Autor listów stwierdza też, co następuje: „Widząc złośliwość, z jaką obecny rząd odnosi się do króla rzymskiego, szczerze wyznam, że nie radziłbym królowi, by brał udział w kampanii wojennej, dopóki rząd się nie zmieni”.

Prawdą jest, jak mówi wychowawca rodziny Karola, że Józef padł ofiarą „złych zamiarów”, a mówiąc wprost: zawiści. Z tego właśnie powodu nie mógł wziąć udziału w wojnie 1703 roku, bo wtedy jego gwiazda zabłysłaby na nowo.

Biografia Józefa nie spodobała się Karolowi. Za pośrednictwem kanclerza zaproponował Spannagelowi, by dokonał pewnych skrótów (kod 8434, s. 280-286), usuwając zwłaszcza fragment, w którym jest mowa o powodach, dla których nie pozwolono Józefowi wziąć udziału w wojnie 1703 roku. Spannagel opisał całą sprawę na podstawie dokumentów dostarczonych przez kanclerza, odtworzonych w suplemencie do biografii. Mimo nalegań władcy Spannagel nie poddał się jego sugestiom, aby nie naruszać integralności dzieła.

Cesarzowi nie spodobało się jeszcze jedno. Historyk miał przeprosić (kod 8434, s.

297r-298v i 292r) za „pomyłki” w opisie wychowania Karola, które nazwał „skromnym”. Choć cesarz nie miał racji, Spannagel dokonał poprawek, przypominając cesarzowi, że czeka na dokumenty, które pozwoliłyby mu dokładniej opisać młodość obecnego cesarza.

Spannagel był odważny, nie wahał się podejmować niewygodnych tematów i być może nieświadomie dopuścił się obrazy majestatu. Cesarz nigdy nie udzielił mu audiencji, a jego biografia nie została opublikowana. Rękopis czeka na wydawcę, być może prędzej czy później ktoś we Włoszech się obudzi (przypominamy, że tekst jest w języku włoskim).

Spannagel, chcąc wkraść się w łaski cesarza, zaczął pisać po łacinie historię królestwa Karola. Nie ukończył jednak dzieła, a stron poświęconych bratu Józefa jest w istocie bardzo niewiele (patrz Susanne Pum, *Die Biographie Karls VI. Von Gottfried Philipp Spannagel. Ihr Wert als Geschichtsquelle*, praca niepublikowana, Wiedeń 1980). Historyk, który kochał Józefa, raczej nie mógł cenić Karola.

Ale na tym nie koniec cenzorskich zapędów następcy Józefa Zwycięskiego. W 1715 roku, cztery lata po śmierci Józefa, Karol przeprowadził pewną szczególną operację. Zatrudnił dwóch urzędników, by wyjęli wszystkie listy z biurka i mebli należących do ojca i zmarłego brata. Starannie przeprowadzona akcja trwała cztery miesiące (od 28 stycznia do 20 kwietnia i od 26 sierpnia do 19 września).

Większość tych listów Karol kazał spalić. Przeglądał je osobiście, strona po stronie, i na strawę płomieniom skazał przede wszystkim listy o treści osobistej i dotyczące rodziny. W Archiwum Państwowym w Wiedniu przechowywany jest protokół operacji, z dopiskami Karola (Haus-, Hof- und Staatsarchiv, Familienakten, karton 105, nr 239). Spośród osobistych listów Józefa, wymienionych w protokole, wiele dotyczyło Landau, co dowodzi, jakie znaczenie miał dla niego podwójny triumf w Bawarii. Karol kazał spalić dziesiątki listów, które pisał do brata, jego odpowiedzi, ich korespondencję z ojcem i żonami, jak również inne listy o nieznanym treści. Korespondencję osobistą Karol opatrywał dopiskiem: „Spalić, żeby nie dotarło do opinii publicznej”.

Dlaczego tak bogatego zboru dokumentów nie ruszono przez cztery lata (tym bardziej że w protokole, obok listów, widnieją klejnoty)? Co skłoniło Karola do zniszczenia tylu cennych pamiątek rodzinnych? Czy wśród nich ukryta była prawda o stosunkach panujących między braćmi? Sekret dotyczący śmierci Józefa? Pytania te na zawsze pozostaną bez odpowiedzi.

#### *Atto Melani*

Wiadomość o tym, że w początkach kwietnia przybył do Wiednia niejaki Milani, o czym kominiarz przeczytał w gazecie, nie jest fikcyjna. Jak podaje „Wienerisches Diarium”

z 8-10 kwietnia 1711 roku na stronie 4, ósmego kwietnia przez tzw. Bramę Szkotów wjechał do miasta pan Milani, urzędnik poczty cesarskiej z Mediolanu i zatrzymał się w hotelu pocztowym (*Schot-tenthor... Herr Milan/kayserl. Postmeister/komt aufi Italien/gehet ins Post-haufi*). Można to sprawdzić w Bibliotece Narodowej w Wiedniu lub w miasteczku Rathaus, podobnie jak wszystkie pozostałe cytaty z gazet z tamtych lat.

Dziwnym zrzędzeniem losu zarówno Józef I, jak i Atto Melani zostali pochowani w kościele Augustianów Bosych: w Augustinerkirche w Wiedniu i w kościele Augustianów Bosych Notre Dame des Victoires w Paryżu. Pomnik nagrobny Atta w Paryżu (dłuta florentyńczyka Rastrellego) nie zachował się, uległ zniszczeniu podczas rewolucji w 1789 roku. Śmiertelne szczątki Melaniego przepadły na zawsze, wrzucone do Sekwany podczas rewolucyjnych zamieszek, podobnie jak ciała członków rodziny królewskiej, Mazzari-niego i Richelieu. Kopię pomnika można zobaczyć w Pistoii, w kaplicy Melanich w kościele San Domenico. Pistojski cenotaf dostarcza nam jedyne portretu Atta (inne nie zachowały się), którym jest popiersie Melaniego w stroju opata, o dumnym spojrzeniu, z dołeczkiem na podbródku. To my pierwsi opublikowaliśmy go w książce *Sekrety konklawe*, Amsterdam 2004 (wyd. pol. Warszawa 2006).

Wszystkie szczegóły dotyczące stosunków Atta z rodziną (włącznie z wysyłaniem kandyzowanych pomarańczy i mortadeli), starcze dolegliwości, wywody na temat hemoroidów, okoliczności śmierci, kontakty z konstablową, opowieść o głodzie we Francji w 1709 roku, kryzys finansowy roku 1713, ostatnie słowa przed śmiercią, pogrzeb i tysiące innych detali znajdują potwierdzenie w korespondencji opata, przechowywanej w Archiwum Państwowym we Florencji (Fondo Mediceo del Principato 4812, listy do wielkiego księcia Toskanii i do jego sekretarza opata Gondiego) oraz w Biblioteca Maru-celliana (rękopisy Melaniego, t. 9, listy do krewnych w Toskanii). W sprawie kontaktów Atta Melaniego z konstablową Marią Mancini Colonną radzimy zajrzeć do przypisów do książki: Monaldi & Sorti, *Secretum*, Amsterdam 2004 (wyd. pol. Warszawa 2006), gdzie po raz pierwszy zostały opublikowane fragmenty listów opata Melaniego.

Z korespondencji Atta dowiadujemy się, że w 1711 roku był on jednym ze współpracowników Torcy'ego, wpływowego pierwszego ministra Króla Słońce, jak sam stwierdza z dumą trzeciego dnia niniejszej historii. Z listów wysłanych z Francji do Toskanii wyłania się gorzka prawda: na dworze francuskim nikt już go nie słuchał, co było uzasadnione, zważywszy na podeszły wiek Melaniego. W liście do Gondiego, z 23 lutego 1711 roku, Atto napisał, że udał się do Wersalu, ale Torcy go nie przyjął.

Zgodne z prawdą jest też pragnienie Atta, by dokończyć żywota w Toskanii (patrz

przypisy do *Secretum*, op. cit). Siedemnastego grudnia 1713 roku, osiemnaście dni przed śmiercią, pisał:

„Postanowiłem udać się do Wersalu i błagać Króla, by pozwolił mi spędzić dwa lata w Toskanii, aby sprawdzić, czy powietrze rodzinnych stron przywróci mi siły i, co bardziej istotne, wzrok. Ponieważ sam nie mogę pisać, czuję się bezużyteczny w służbie Jego Wysokości i ministrów; tym bardziej że kiedy zabrakło najstarszych, z którymi byłem w zażyłości, jak Mr Lione, Tellier i Pompone, traktowano mnie jako pośrednika w rozmowach z Królem. Teraz nikt już o tym nie myśli. Tuszę, że pan markiz Torcy mi sprzyja, ale jest tak ostrożny, że nie udało mi się namówić go do przedstawienia panu de Maretzo-wi mojej prośby, by wypłacono mi rentę”.

Również we Florencji coraz mniej liczono się z Attem. W jednym ze swoich listów do Wielkiego Księcia Toskanii Gondi napisał:

*[Opat Melani] nalega, bym wysłuchał jego opinii... w przekonaniu, że pragnę ją poznać.*

Gondi nie traci cierpliwości do Atta przez wzgląd na jego krewnych w Toskanii.

Z korespondencji rodzinnej Melaniego dowiadujemy się, że 12 kwietnia 1711 roku rzeczywiście dostał ataku kolki, opisanego przez kominiarza. Ślepotę, którą udaje, żeby uniknąć natarczywości krewniaków, potwierdzają listy wysyłane w tych latach z Paryża do Toskanii. Dwudziestego trzeciego marca 1711 roku Melani napisał do Gondiego: „Stan mojego zdrowia jest niestabilny z powodu zmian pogody, ale głównie ze względu na zaawansowany wiek, który nie pozwala mi czytać ani pisać. Dzięki Bogu nadal zachowuję trzeźwość umysłu, mimo że 30 tego miesiąca kończę 85 lat”.

W roku 1711 Atto mocno już niedowidział, dwa lata później całkiem stracił wzrok. Szóstego lutego 1713 roku napisał do Luigiego, brata Domenica: „Na moje nieszczęście nie mogę ani czytać, ani pisać. Tymczasem pan de la Haye, mój przyjaciel, odzyskał wzrok w wieku 80 lat!” Opat Melani nie wspominał, że od wielu lat udawał niewidomego.

### ***Camilla de’Rossi***

Na Zatybrzu w Rzymie rzeczywiście mieszkała niejaka Camilla de’ Rossi, sklepikarka, od której Franz de’ Rossi zapożyczył imię dla swojej małżonki. Zachował się jej testament (Archivio Capitolino, Rzym, 6 grudnia 1708, akta notariusza Francesca Madescira).

Jak opowiada sama *Chormaisterin*, Franz de’ Rossi był muzykiem na dworze wiedeńskim i rzeczywiście zmarł na skutek przeziębienia w wieku 40 lat 7 listopada 1703 roku, w kamienicy Niffisches Haus w centrum miasta. W miejskim archiwum w Wiedniu przechowywany jest dokument (Totenbe-schauprotokoll) stwierdzający śmierć Franza de’

Rossy'ego, napisany zgodnie z ortografią stosowaną wówczas w odniesieniu do nazwisk obcych:

Der Herr Frantz de Rossy kóniglicher Musicus im Niiffischen Haus, in der Wohlzeile, ist an Liinglsucht beschaut. Alt 40 Jahre.

Franz de' Rossi określony został jako „koniglicher Musicus”, czyli muzyk króla, a nie cesarza. Służył zatem Józefowi I, który w 1703 roku był jeszcze królem rzymskim, a nie jego ojcu, cesarzowi Leopoldowi I.

O śmierci Franza informował też „Wienerisches Diarium” 1703, nr 28 z 7-10 listopada 1703 roku:

Den 7. November 1703 starb Herr Frantz Rosij/Kóniglicher Musicus im Nivischen Haus in der Wohlzeil/alt 40. Jahr.

Partytury i libretta oratoriów to jedyny ślad, jaki zachował się po *Chormai-sterin*. Gaetano Orsini powiedział kominiarzowi, że nie otrzymywała zapłaty za swoje utwory, i to prawda. Brak jakiegokolwiek wzmianki o Camilli w dokumentach cesarskich czyni z niej postać niemal zupełnie nieznaną. Na szczęście w „Wienerische Diarium” zamieszczano wzmianki o wielkopiątkowych wykonaniach oratoriów w tych samych latach (1707-1710), w których Camil-la de' Rossi skomponowała swoje cztery utwory, jak również o tym, że słuchał ich Józef I, zamawiający te kompozycje.

Oprócz tego pośredniego potwierdzenia działalności i obecności kompozytorki w Wiedniu autorzy nie znaleźli żadnych innych dokumentów w następujących archiwach: Hofarchiv w Wiedniu, OMaM (= Obristhofmarschallam-tabhandlungen) Bd. 643 (Index 1611-1749); Bd.180 (hwentaria 1611-1749); Bd.181 (wzmianka o pokojowcu Vinzenzu Rossim, prawdopodobnie kuzynie Franza, o którym wspomina kominiarz); OMeA (=Obristhofmarschallamt), Protokolle 6 i 7; Karton 654, Abhandlungen 1702-1704; Hofkammerarchiv, NÓHA (=Niederosterreichische Herrschaftsakten), W-61/A, 32/B, 1635-1749, Fol. 455-929: lista muzyków zatrudnionych w Hofkapeile, Kammermusik i Hofoper (brakuje niektórych roczników, jak również lat 1691-1711); Ge-denksbucher, 1700-1712.

Żadnego śladu Camilli nie ma też w aktach urodzin, ślubów i zgonów (Ge-burts-, Trauung - und Sterbematriken), zaczynających się od roku 1700; podobnie w Conscriptionsbögen (rodzaj spisu mieszkań i lokatorów), które zaczynają się od roku 1805. Brakuje jakiegokolwiek wzmianki o należnościach Camilli z prywatnej kasy (Privatkassa) Józefa I, z której pochodziły zarobki muzyków. Susanne i Theophil Antonicek (*Drei Dokumente*) opublikowali listę muzyków opłacanych przez markiza Scipiona Publicola di Santa Croce, nad-intendenta Józefa I do spraw muzyki w latach 1709-1711. Również w tych

dokumentach (s. 11-29) nie ma żadnej wzmianki o Camilli de' Rossi.

Informacje o innych włoskich muzykach w Wiedniu zaczerpnięto z wiedeńskich archiwów: L. Ritter von Köchel, *Die Kaiserliche Hof-Musikkapelle in Wien 1543-1867*, Wiedeń 1869, oraz z: B. Garvey Jackson, *Oratorios by Command of the Emperor: The Music of Camilla de Rossi*, w: „Current Musicology”, 42 (1986), s. 7. Gaetano Orsini rzeczywiście śpiewał w oratoriach

Camilli de' Rossi i był muzykiem opłacanym z osobistej kasy Józefa I (patrz Państwowe Archiwum w Wiedniu, Hofkammerarchiv, Geheime Kammer-zahlamtrechnungen 1705-1713, różne strony, np. 10v).

Klasztor Porta Coeli istniał naprawdę. W 1785 roku został wyburzony z rozkazu cesarza Józefa II, podobnie jak wiele innych klasztorów w mieście. Archiwum Porta Coeli przetrwało i zostało przeniesione do archiwum miasta Wiednia.

Prawdziwa jest także historia tureckiej niewolnicy, która miała zostać wychowanką klasztoru, ale zakonnice jej nie przyjęły: P. Alfons Žak, *Das Frauen-kloster Himmelpforte in Wien*, w: „Jahrbuch für Landeskunde von Niederösterreich”, nowa seria, VI (1907), Wiedeń 1908, s. 164: „W roku 1695 w kościele św. Urszuli ochrzczono turecką niewolnicę Gerolama Giudiciego, hiszpańskiego zastępcy kardynała Leopolda hrabiego Collonitza. Miała być wychowywana w klasztorze Himmelpforte. Zakonnice nie zgodziły się przyjąć dziewczyny, wszystkie wychowanki klasztoru były bowiem arystokratkami, podczas gdy ona była niewolnicą. Nawet Kaiser przyznał im rację trzeciego września 1695 roku. Dwunastego września zastępca kardynała zwrócił się do wiedeńskiego konsystorza z prośbą o zobowiązanie klasztoru do przyjęcia niewolnicy, ale szesnastego września jego prośbę odrzucono”.

Nie powinno dziwić Czytelnika nagłe pojawienie się Camilli de' Rossi w piwnicy w pobliżu Neugabäude. Jak wynika z dokumentów dotyczących klasztoru, przechowywanych w Archiwum Miasta Wiednia, klasztor Porta Coeli miał swoje posiadłości niedaleko Bezimienego Miejsca.

Jest bardzo prawdopodobne, że Camilla de' Rossi wstąpiła do klasztoru św. Wawrzyńca. Nie tylko dlatego, że nie sposób znaleźć informacji o kompozytorce począwszy od roku 1711, ani w Wiedniu, ani w rodzinnym Rzymie, ale też ze względu na słowa lady Montague, słynnej angielskiej pisarki i podróżniczki, która po zwiedzeniu stolicy cesarstwa w 1716 roku, napisała:

„Byłam zaskoczona, że zobaczyłam tu jedyną ładną dziewczynę w całym Wiedniu. Nie tylko piękną, ale też wesołą, dowcipną, doskonale wychowaną. Nie mogłam się

powstrzymać, żeby się jej nie przyjrzeć. Powiedziała mi wiele miłych rzeczy i poprosiła, bym ją odwiedzała. »Będzie to dla mnie cudowna rozrywka (powiedziała z westchnieniem), jako że unikam spotkań z osobami, które poznałam dawno temu. A jeśli któraś z nich przychodzi do klasztoru, zamykam się w swojej celi«. Zauważyłam, że w oczach miała łzy, co mnie bardzo poruszyło. Poprosiłam ją, by otworzyła przede mną swoje serce, ale nie chciała się przyznać, że nie czuje się tam szczęśliwa. Później starałam się poznać prawdziwy powód, dla którego zrezygnowała z normalnego życia, ale wszyscy odpowiadali mi zdziwieniem, gdyż nie potrafili wytłumaczyć przyczyny jej decyzji. Odwiedzałam ją wielokrotnie, ale było mi smutno na widok tej pięknej, młodej istoty, pochowanej za życia w klasztorze».

(Briefe der Lady Marie Worthley Montague während ihrer Reisen in Europa, Asia und Afrika, Lipsk 1724, s. 19-55).

Metody lecznicze Camilli de' Rossi, nawiązujące do medycyny św. Hildegardy z Bingen, są autentyczne. Nie należy się dziwić, że *Chormaisterin* nauczyła się ich od swojej tureckiej matki. Jak stwierdził Karl Heinz Reger (*Hildegard Medizin*, Monachium 1989, s. 11), zdaniem niektórych badaczy w pismach Hildegardy widać wyraźne wpływy kultury islamu.

#### *Poselstwa i legendy tureckie*

Legendy tureckie, które badają studenci (przede wszystkim legenda o złotym jabłku i czterdziestu tysiącach męczenników Kasima), są prawdziwe. Potwierdza je między innymi praca: Richard F. Kreutel (oprac), *Im Reiche des Goldenen Apfels. Des türkischen Weltenbummlers Evliyâ Celebi denk-würdige Reise in das Giaurenland und in die Stadt und Festung Wien anno 1665*, Graz-Wiedeń-Kolonia 1957.

Historia Dayi Cerkesa lub Dayi Czerkiesa, którą opowiedział Peniëcek, jest bardzo podobna do wersji Kerstina Tomenendala w *Das türkische Gesicht Wiens*, Wiedeń-Kolonia-Weimar 1999, s. 187 i następne.

Odpowiada prawdzie nieludzki system porwania dzieci chrześcijańskich, stosowany przez Osmanów i przytoczony przez Atta Melaniego. Pisał o nim między innymi Robert Mantran w pracy *La vita quotidiana a Costantinopoli ai tempi di Solimano ii Magnifico*, Mediolan 1985 (wyd. oryg. Paryż 1965), na s. 104-105:

„W drugiej połowie XIV wieku, po zdobyciu bałkańskiej części Europy, Osmanie, chcąc zapewnić sobie regularny pobór do wojska, długo stosowali sposób, który głęboko poruszał chrześcijan. Mamy na myśli *devsirme*, czyli branżę: co roku lub co dwa lata zabiera się rodzinom chrześcijańskim zamieszkującym na Bałkanach dzieci poniżej piątego roku życia i wysyła do Anatolii, do rodzin muzułmańskich, gdzie są wychowywane na modłę

muzułmańską, uczone tureckiego, wpaja im się obyczaje i tradycje tureckie oraz islamskie. Dzieci dziesięcio-, jedenastoletnie oddaje się do ośrodków kształcenia w pałacach w Adrianopolu, Gelibolu, a później też Konstantynopola. Od tej pory nazywane są *acemi oglan*. W zależności od uzdolnień kieruje się do wojska lub do pałacu, gdzie stają się paziami i są nazywane *ic oglan*. Następnie przechodzą przez różne instancje, osiągając coraz wyższe stopnie. Jeśli zdołały zwrócić na siebie uwagę sułtana, jego żony lub faworyty, mogły bez przeszkód uzyskać najwyższe urzędy, nawet tytuł wielkiego wezyra. Ponieważ dzieci nie pamiętały swoich korzeni, a swoją pozycję zawdzięczały sułtanowi, służyły mu z największym oddaniem, co było ich jedyną ambicją”.

O pochodzeniu najwyższych klas branek pisze Giorgio Vercellin w pracy *Solimano U Magnifico*, Florencja 1997, s. 11-12:

„Obecność Osmanów w Europie w czasach reformacji wywarła duży wpływ na dzieje naszego kontynentu, zwłaszcza krajów między Renem a Dunajem. Na konflikcie między Karolem V i Ferdynandem I a «niewiernymi» korzystali głównie protestanci”. Wybitny znawca epoki Kenneth Setton pisze („Lutheranism and the Turkish Peril”, w: „Balkan Studies”, III, 1962), że „Bez Turków reformacja podzieliłaby los albigensów [...]. Imperium zawdzięczało swoją siłę janczarom, oddziałom wysoko wyspecjalizowanej piechoty, utworzonej przez sułtana Murada I (1362-1398) blisko sto lat przed powstaniem pierwszej regularnej armii we Francji. Liczba janczarów wywodzących się z owej szczególnej instytucji, jaką było *devsirme* [...] i wyróżniających się białym nakryciem głowy, wynosiła w XIV wieku tysiąc, sto lat później 5000, a w epoce Sulejmana 12 000”.

Opis tureckiego orszaku na Himmelfortgasse odpowiada sprawozdaniom z wizyty opublikowanym w tych dniach w gazetach, między innymi w „Be-schreibung der Audientz...”, Wiedeń, 9 kwietnia 1711.

Dwie kolejne audyencje agi w pałacu Eugeniusza, 13 i 15 kwietnia 1711 roku, znajdują potwierdzenie w pracy A. Arnetha, *Prinz Eugen bon Savoyen*, Wiedeń 1864, t. II, s. 159. Arneth popełnia jednak błąd, twierdząc, że aga wyjechał 19 kwietnia. To nieprawda. Uroczystość pożegnalna, która odbyła się u zastępcy Eugeniusza, wiceprzewodniczącego do spraw wojny hrabiego von Herbersteina, miała miejsce 16 maja i została opisana w publikacji zatytułowanej *Die an dem Tuerckischen Abgesandten Cefullah Aga, Capihi Paccia, ertheilte Abschieds=Audienz, mit Beschreibung aller Ceremonien so darbey ergangen*, zu Wien, den 16. May 1711.

W „Corriere Ordinario” z 3 czerwca 1711 roku (s. 91 z roku 1711) stwierdza się, że aga wyruszył 2 czerwca „w kierunku Konstantynopola pięcioma łodziami, które mu



przydzielono, i zabrał ze sobą dużo rzeczy kupionych [w Wiedniu], między innymi noże kieszonkowe, małe i duże sierpy i inne temu podobne narzędzia „.

Inne informacje na temat tureckich poselstw pochodzą z pracy R. Pergera i E.D. Petritscha *Der Gasthof „Zum Goldenen Lamm „in der Leopoldstadt un seine türkischen Gäste* w: „Jahrbuch des Vereines fur die Geschichte der Stadt Wien”, 55 (1999), s. 147 i następane.

Piątego dnia niniejszej historii Koloman opowiada kominiarzowi, że podczas oblężenia Wiednia przez Turków Ormianin Schahin i jego służący dopuścili się zdrady: patrz K. Teply, *Die Einfuhrung des Kaffees in Wien*, Wiedeń 1980, s. 35 i następane.

Historia zaginionej głowy Kara Mustafy także jest autentyczna, patrz Richard F. Kreutel, *Der Schadel des Kara Mustafa Pascha*, w: „Jahrbuch des Vereins fik Geschichte der Stadt Wien”, 32/33 (1976-1977), s. 63-77. W rzeczywistości istniała też druga turecka głowa w miejskim Zeughaus w Wiedniu, pod adresem Am Hof nr 10. Należała ona do Abazy Kor Hiiseyina Paschy, który zginął w bitwie pod Bisambergiem, niedaleko Wiednia, 24 sierpnia 1683 roku (patrz Kerstin Tomenedal, *Das turkische Gesicht Wiens. Aufden Spuren der Turken in Wien*, Wiedeń-Kolonia-Weimar 2000, s. 186). Głowa tego bohatera przechowywana była jako *pendant* słynniejszej głowy Kara Mustafy i odnotowana w katalogach do 1790 roku. Być może zniknęła wcześniej i jest to sprawka Ugonia...

### ***Ilung, Hag, Ungnad, Marsili***

Podstawowe informacje o Ilungu potwierdza Stephan Dworzak w pracy magisterskiej *Georg Ilung von Tratzberg*, 1954.

Jak opowiada Simonis, za radą Georga Ilunga w 1564 roku Hag został mianowany nadwornym skarbnikiem (Hofpfennigmeister). Patrz Archiwum Państwowe w Wiedniu, Haus-, Hof - und Staatsarchiv, Familienakten, Karton 99, rekomendacja Ilunga złożona Maksymilianowi II 3 października 1563 roku.

To prawda, że Ilung doradził, by konającego Maksymiliana leczyła (lub zabiła?) tajemnicza uzdrowicielka Magdalena Streicher. Jest o tym mowa w liście lekarza Crata von Craffttheima do Johannes Sambucusa, opublikowanym przez M.A. Beckera w *Die letzten Tage und der Tod Maximilians II*, Wiedeń 1877, s. 41. Co do Davida Ungnada odsyłamy do: Hilda Lietzmann, *Das Neugebdude in Wien. Sultan Silleymans Zelt - Kaiser Maximilians II. Lust-schloss*, Monachium Berlin 1987.

Luigi Marsili (wszystkie informacje o nim są historycznie potwierdzone) rzeczywiście nauczył wiedeńczyków parzenia kawy, jak opowiada kominiarz. W broszurze *Bevanda asiatica, brindata aWEnimentissimo Bonvisi, Nunzio apostolko appresso la Maestd*

*deWImperatore etc.* (Wiedeń 1685) włoski dowódca wyjaśnia, jak prażyć ziarna kawy, mielić i zalewać wrzątkiem. Inne wiadomości o Marsilim, zawarte w opowieści Atta Melaniego, potwierdzają liczne dzieła wymienione w bibliografii dołączonej do tej książki.

### ***Bettelstudenten i kominiarze***

W 280 numerze „Wienerisches Diarium”, zawierającym informacje z 7-9 kwietnia 1706 roku, w zbiorach Biblioteki Miasta Wiednia, znaleźliśmy rzadki opis *Bettelstudenten*, którego nie odkrył dotąd żaden historyk:

„Środa, 7 kwietnia. Od pewnego czasu można zauważyć, że pomimo licznych rozporządzeń wielu studentów - i innych osób, które do nich dołączają, choć nie są studentami - dniem i nocą wałęsa się i zebrze przed kościołami i domami, nawet w czasie roku szkolnego. Pod pozorem studiowania próżnują, kradną i napadają, jak podczas zamieszek, które wybuchły 17 i 18 stycznia w mieście i okolicach, jak również w Nussdorfie (do tej pory trwa dochodzenie, po jego zakończeniu winni zostaną surowo ukarani), stawiając w złym świetle porządnych studentów. To godne pożałowania żebractwo - gdyż tak należy nazwać włóczenie się bez celu i oddawanie się nałogom pod pretekstem studiowania - należy zdecydowanie wyplenić. W tym celu trzeba zrealizować zalecenia zawarte w dawnych uchwałach Jego Cesarskiej Wysokości. Rektor, cesarscy urzędnicy i zarząd wiedeńskiego uniwersytetu zostali poproszeni, by powołując się na specjalne Zarządzenie, powiadomili *Bettelstudenten*, którzy włóczą się, zamiast studiować, żeby w ciągu 14 dni wrócili do domu. W przeciwnym razie zostaną zatrzymani i doprowadzeni pod strażą do Carceres Academicos i surowo ukarani. Natomiast ubodzy studenci, którzy codziennie pilnie studiują, powinni wystarać się o stypendium lub jakieś inne środki utrzymania. Ci, którym się to nie uda i będą musieli prosić o jałmużnę poza godzinami zajęć, mogą to czynić nadal, aż do czasu wydania nowego rozporządzenia. Muszą jednak mieć zawsze przy sobie znak rozpoznawczy, co miesiąc go odnawiać i okazywać na każde żądanie. W przeciwnym razie nie będą traktowani jak prawdziwi studenci, ale jak studenci włóczędzy i bezzwłocznie zostaną ukarani”.

Słowa kominiarza można sprawdzić w licznych źródłach opisujących życie studentów w początkach XVIII wieku, na przykład w: Rudolf Kink, *Geschichte der kaiserlichen Universitdt zu Wien*, Wiedeń 1854; Peter Krause, „*O alte Burschenherrlichkeit*”. *Die Studenten und ihr Brauchtum*, Wiedeń 1987; Uta Tschernut, *Die Kdrntner Studenten an der Wiener Uniwersitdt 1365-1900*, niepublikowana praca magisterska, Wiedeń 1984. Jak wyjaśnia Wolfgang Karl Rost w pracy *Kurtze Nachricht von der Academischen Deposition*, Jena, bez daty, ceremonia otrzęsin, podczas której Simonis nazwał Peniicka pismakiem, odbywa się według starej żakowskiej tradycji.

Sztuczki i przesady Simonisa i jego przyjaciół zostały zaczerpnięte z zabawnej pracy Henricusa Kaspara Abeliusa *Leib=Medicus der Studenten und Studenten=Kunste*, Lipsk 1707.

Każdy najdrobniejszy szczegół dotyczący nędznego życia kominiarzy we Włoszech jest prawdziwy, patrz Benito Mazzi, *Fam, fum, frecc, U grandę ro-manzo degli spazzacamini*, w: „Quaderni di cultura alpina”, 2000. Autentyczny jest też opis dobrobytu włoskich kominiarzy w Wiedniu oraz licznych przywilejów, które cesarz przyznał temu cechowi, patrz Elzę Reketzki, *Das Rauchfangkehrergewerbe in Wien. Seine Entwicklung vom Ende des 16. Jh.*

*Bis ins 19. Jh., unter Beriicksichtigung der iibrigen österreichischen Ldnder*, praca doktorska, Wiedeń 1952. Informacje na temat Gewerbe IV, czyli przedsiębiorstwa numer cztery, które Atto Melani podarował przyjacielowi kominiarzowi, można sprawdzić w aktach cechu kominiarzy, przechowywanych w miejskim archiwum w Wiedniu (Wiener Stadt - und Landensarchiv), podobnie jak dane dotyczące winnicy i domu „w pobliżu kościoła Św. Michała” na przedmieściu Josephina, obecnie pięknej dzielnicy miasta Josefstadt.

#### ***Czas wolny, karczmy, potrawy itp.***

Wszystko, co dotyczy dni świątecznych, procesji, ciągłych nieobecności w pracy z powodu uroczystości religijnych, dobrobytu skromnych mieszkańców, podobnie jak wczesny początek dnia, wołanie straży nocnej („Zbudź się, w imię Boga, już widać jasne światło dnia!”), lokale, gry, podatki, szpiedzy, sposoby spędzania wolnego czasu i tym podobne, odpowiada prawdzie, począwszy od Hetzhaus i walk zwierząt.

Jak pisze Gerhard Tanzer w swojej pracy magisterskiej na temat rozrywek w osiemnastowiecznym Wiedniu (*Jn Wienn zu seyn ist schon Unterhaltung genug!*”. *Zum Wandel der Freizeit im 18. Jh.*, Dissertation zur Erlangung des Doktorgrades der Philosophie, Wiedeń 1988) oraz w eseju napisanym na jej podstawie (*Spectacle miissen seyn. Die Freizeit dr Wiener im 18. Jh.*, Wie-deń-Kolonia-Weimar 1992), w latach 1707-1717 właściciele lokali ostro protestowali przeciw opodatkowaniu pól do gry w kule, dokładnie tak jak opowiada kominiarzowi Simonis podczas poszukiwania Populescu. Bardzo wiele osób, jak rumuński student, trudniło się denuncjowaniem tych, którzy łamali przepisy. Ich dochody były bardzo wysokie. Wkrótce dostrzeżono jednak dobrą stronę zjawiska: pieniądze wygrane w grach były pieniędzmi w obiegu, a najważniejsze było to, żeby nie wypływały za granicę. W następnych latach nastąpił prawdziwy rozkwit gier hazardowych, podobnie jak zabaw tanecznych. Tańczono i grano wszędzie, narzekali konserwatyści, nawet kiedy obok lokalu przechodziła procesja z Najświętszym Sakramentem.

Wiadomości o liczbie karczm istniejących w Austrii oraz wykaz dań pochłanianych podczas uczt weselnych zostały zaczerpnięte z pracy Franciscusa Guarinoniusa *Die Greuel der Verwüstung menschlichen Geschlechts*, Wiedeń 1610.

Scena z biesiadnikami przy stole, zachowującymi się bardzo swobodnie, której przyglądają się Atto, kominiarz i Domenico czwartego dnia, w przeciwieństwie do tego, co mógłby sądzić Czytelnik, nie jest wymysłem autorów. Podobne zachowania (dmuchanie na gorące potrawy w taki sposób, że tłuszcz pryskał na sąsiada, oblewanie sobie podbródka i kołnierzyka u koszuli przy picciu wina, używanie serwetki do wytarcia nosa, przyciąganie obrusa, żeby zbliżyć do siebie pieczeń, itd.) opisano w wielu dziełach (zamieszczonych w bibliografii), aby je napiętnować. Pisał o nich między innymi słynny nadworny kaznodzieja, augustianin bosy Abraham a Sancta Clara (patrz E.M. Spielmann, *Die Frau und ihr Lebenskreis bei Abraham a Sancta Clara*, praca magisterska, Wiedeń 1944, s. 125-126).

Tajna wymiana chleba i wina między Turkami i wiedeńczykami podczas oblężenia w 1683 roku jest udokumentowana, patrz: K. Teply, *Die Einjuhrung...* op. cit., s. 30. Teply pisze (s. 35), że kiedy historyk Onno Klopp (*Das Jahr 1683 und der folgende grosse Tiirkenkrieg bis zum frieden von Carlowitz von 1699*, Graz 1882) ośmielił się skrytykować zachowanie mieszkańców, którzy dwieście lat wcześniej bronili oblężonego miasta, natychmiast uciszili go dziennikarze, politycy i akademicy, składając interpelacje do rady miejskiej.

Prawdziwa jest też opowieść Kolomana o niewiarygodnej ilości i różnorodności ryb, które dawniej sprowadzano do Wiednia. Dopiero w latach 80. XVIII wieku sytuacja uległa zmianie. Cesarz Józef zamknął wiele klasztorów - głównych dostawców ryb - i anulował liczne święta religijne, nakazujące post. Przepisy na danie rybne, wymyślone, aby obejść ten nakaz, odeszły w zapomnienie. W Wiedniu weszło w modę powiedzenie z epoki elżbietańskiej, służące protestantom do wyśmiewania katolików: „To porządny człowiek, nie jada ryb”.

Piwiarnia Pod Żółtym Orłem (Zum Gelben Adler), zwana też Karczmą Greków (Griechenbeisl), usytuowana na terenie targu mięsnego (dzisiejszego Fleischmarkt), gdzie Simonis zaprowadził Atta i kominiarza szóstego dnia niniejszej historii, istnieje do dziś. Zgodnie z tradycją podczas epidemii dżumy w 1679 roku w tym słynnym lokalu wędrowny pieśniarz Augustin skomponował znany utwór *O du, lieber Augustin, alles ist hin...*

Kawiarnia Pod Niebieską Butelką (Zum Blauen Flasche) rzeczywiście istniała i była pierwszym lokalem, który miał oficjalne pozwolenie na serwowanie kawy.

Gospoda Pod Domowym Kozłem (Zum Haimböck) czynna jest do dziś. Wiedeńczycy bardzo lubią ten lokal, ma bowiem doskonałą kuchnię. Obecnie nazywa się IOer Marie

(Zehner Marie). Nowa nazwa gospody, pochodząca z połowy XVIII wieku, łączy numer ulicy z imieniem pięknej córki gospodarza. Niestety nie ma już wokół wspaniałych winnic, są brzydkie bloki mieszkalne. Aby odnaleźć nieskażoną naturę, trzeba wspiąć się na Ambonę (Am Predigtstuhl) na wzgórzu Wilhelminenberg, dokąd kominiarz udał się szóstego dnia.

Wina Liesing i Stockerau, jak twierdzi Cloridia, były rzeczywiście bardzo złej jakości. Potwierdza to almanach na rok 1711 *Crackauer Schreib=Calender auffdas Jahr nach Christi Geburt M.CC.XI durch M. Johannem Gostumiowsky, in der Hochlöbl. Crackauerischen Academia Phil. Doct. Ordinarium Astrologiae Professorem, und Königlichem Mathematicum*, Kraków 1710.

Wygłoszona przez Atta teoria, że Habsburgowie wywodzili się z rodu Pier-leonich, odpowiada dawnym traktatom heraldycznym, popularnym w Wiedniu w XVIII wieku. Dotyczy to również mało zaszczytnych czynów rzymskiego rodu (patrz: Eucharius Gottlieb Rynek, *Leopolds des grossen Romischen Kay-sers wunderwiirdiges Leben un Thaten aus geheimen Nachrichten eröffnet und in vier Theile getheilet*, Lipsk 1709,1, 9).

Kule z dział tureckich, wbite w mury Wiednia, można dziś zobaczyć w miejscach opisanych przez Ugonia.

*Neuer Crackauer Schreib=Calender, durch Matthias Gentilli, Conte Roda-ri, von Trient*, Kraków 1710, czyli almanach na rok 1711, skąd kominiarz zaczerpnął wyliczenie lat, jakie upłynęły od narodzin Chrystusa, znajduje się w zbiorach Wiener Stadt - und Landesbibliothek.

Legenda o Tehuphot jest autentyczna. W całości prezentuje ją W. Hirsch, *Entdeckung derer Tekuphot, oder Das schadliche Blut*, Berlin 1717.

Prawdzie odpowiada też opis prawa kwaterunkowego, o którym mówi Simonis, patrz: Joseph Kallbrunner (oprac), *Wohnungssorgen im alten Wien. Dokumente zur Wiener Wohnungsfrage im 17. und 18. Jahrhundert*, Wiedeń-Lipsk 1926.

Wykaz zgonów, przytoczony przez Atta z „Wienerisches Diarium”, zgadza się z listą zamieszczoną w 803. numerze gazety z 11-14 kwietnia 1711 roku. Statystyki dotyczące zgonów w roku 1710, wspomniane przez kominiarza, potwierdza dodatek do „Corriere Ordinario” z 7 stycznia 1711 roku. Podobnie w przypadku zmarłych w Rzymie w tym samym roku (patrz: Francesco Valesio, *Diario di Roma*, tom IV, rok 1710, s. 368 i następane).

Wiadomość o chorobie francuskiego delfina dotarła do Wiednia 14 kwietnia 1711 roku. W tym samym dniu Cloridia pokazuje Attowi i kominiarzowi gazetę z tą informacją.

Opis Węgier, zaprezentowany przez Peniicka, potwierdzają źródła z przełomu XVII i XVIII wieku. Patrz: Casimir Freschot, *Idea generale del regno d'Ungheria, sua descrittione*,

*costumi, regni, eguerra*, Wenecja 1684.

Informację o popularności języka włoskiego w Wiedniu poświadcza podręcznik Stefana Barnabę (*Teutsche und Italianische Discurs*, Wiedeń 1660, oraz *Unterweisung der Italienischen Sprach*, Wiedeń 1675), przede wszystkim zaś wspaniała praca Michaela Rittera, *Man sieht der Sternen König glan-tzen*, Wiedeń 1999, s. 9. Jak stwierdza Ritter, włoski był w Wiedniu nie tylko językiem dworu, ale także najpopularniejszym językiem obcym.

Kardynał Kollonitsch (według dawnej pisowni Collonitz) był rzeczywiście podporą wiedeńczyków broniących miasta przed Turkami, jak opowiada Gae-tano Orsini, i rzeczywiście pozostawał w ścisłym kontakcie z rodziną papieża Innocentego XI Odescalchiego, finansującego wojska chrześcijańskie, które zwyciężyły w bitwie z 12 września 1683 roku (zob. przypisy do *Imprimatur*, Mediolan 2002, Warszawa 2005).

Szczegóły dotyczące lokalu, gdzie Christo Christov grywał w szachy, zostały zaczerpnięte z: Michael Ehn i Ernst Strouhal, *Luftmenschen. Die Schachspieler von Wien 1700-1938*, Wiedeń 1998.

„Wienerisches Diarium” istotnie sprzedawany był, jak mówi kominiarz, w kamienicy Pod Czerwonym Jeżozwierzem (Rothes Igel). Według *Histori-sches Lexikon Wien* Feliksa Czeike (Wiedeń 2004, III, 300) redakcja „Wienerisches Diarium” mieściła się w Rothes Igel od 1721 roku. Mimo to w „Wienerisches Diarium” z 1711 roku czytamy: „Zu finden im Rothes Igel”, czyli „znajduje się w Czerwonym Jeżozwierzem”.

### ***Wiedeńczycy i ich historia***

Wiedeńscy historycy, uczeni, profesorowie, ale też zwykli ludzie i okoliczni mieszkańcy są bardzo wrażliwi na punkcie wszystkiego, co dotyczy Habsburgów. Biada tym, którzy rzucą choć odrobinę cienia na znakomity cesarski ród! Wiedeńczycy bardzo kochali Józefa i Karola, księcia Eugeniusza uznawali za świętego, a obronę miasta w 1683 roku - za przejaw niezwykłego bohaterstwa. Historyk Onno Klopp dystansuje się od podobnych opinii, a Arneth budzi zastrzeżenia, wiadomości o śmierci Józefa I czerpie bowiem z biografii Wagnera, jezuitę! Poza tym podaje błędną datę wyjazdu agi z Wiednia (patrz wyżej) i wmawia Czytelnikowi, że wokół osoby Józefa I panowała miłość i zgoda. Arneth twierdzi też, że Karol bardzo cierpiał na wieść o śmierci brata, że Józef pożegnał się z „najukochańszą małżonką”, przemilcza natomiast nieprzyjemności, jakie spotkały młodzieńską kochankę cesarza, hrabiankę Mariannę Palffy.

Jeszcze dziś, jeśli ktoś ośmieli się źle mówić o Habsburgach, zostaje natychmiast uciszony, jakby chodziło o aktualną politykę (niedemokratycznych rządów), a nie o odległą przeszłość. Wiedeńczycy są przekonani, że w ich mieście wszystko jest w najlepszym

porządku, a kto ośmieli się twierdzić inaczej, zwłaszcza jeśli jest cudzoziemcem, niech się ma na baczności! Dzięki takiemu nastawieniu zdołali uchronić swój świat przed destrukcyjną siłą naszych nieciekawych czasów. Powinni to docenić zwłaszcza pisarze ostro krytykujący Austrię, jak Elfriede Jelinek. My, autorzy niniejszej książki, zmuszeni do opuszczenia naszej ukochanej ojczyzny - Włoch, potwierdzamy, że w Wiedniu żyje się lepiej niż w innych stolicach Europy. Dziękujemy, wiedeńczycy!

### Spis treści

Wstęp 9

Rzym, styczeń 1711 14

Wiedeń, luty 1711 20

Czwartek, 9 kwietnia 1711 roku. Dzień pierwszy 33

Piątek, 10 kwietnia 1711 roku. Dzień drugi 72

Sobota, 11 kwietnia 1711 roku. Dzień trzeci 128

Niedziela, 12 kwietnia 1711 roku. Dzień czwarty 196

Poniedziałek, 13 kwietnia 1711 roku. Dzień piąty 259

Wtorek, 14 kwietnia 1711 roku. Dzień szósty 348

Środa, 15 kwietnia 1711 roku. Dzień siódmy 425

Czwartek, 16 kwietnia 1711 roku. Dzień ósmy 474

Piątek, 17 kwietnia 1711 roku. Dzień dziewiąty 507

Sobota, 18 kwietnia 1711 roku. Dzień dziesiąty 524

Paryż, wydarzenia z lat 1711-1713 537

Paryż, 6 stycznia 1714 roku 543

Wiedeń, grudzień 1720 roku 547

Pistoia, rok 1644 558

List 562

Materiały źródłowe 566

Objaśnienia fragmentów łacińskich 603

Lista utworów muzycznych na CD 606